



**KARIN  
SLAUGHTER**

**ZAPOMNIANA  
DZIEWCZYNA**

# **ZAPOMNIANA DZIEWCZYNA**

**KARIN SLAUGHTER**

Przekład  
Dorota Stadnik

*Dla pani D. Ginger*

17 KWIETNIA 1982

Emily Vaughn krytycznie przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Owszem, sukienka wyglądała równie pięknie, jak w sklepie, ale to, co w tej sukience się schowało... Okręciła się w jedną stronę, potem w drugą, próbując znaleźć taki kąt widzenia, pod którym nie przypominałaby wyrzuconego na brzeg umierającego wieloryba.

Z fotela odezwała się Bunia:

– Rose, trzymaj się z daleka od ciasteczek.

Emily potrzebowała chwili, by się zastanowić. Rose była siostrą Buni, która zmarła na gruźlicę podczas Wielkiego Kryzysu. Swoje drugie imię Emily dostała właśnie po niej.

– Buniu – położyła rękę na brzuchu – to raczej nie od ciasteczek.

– Na pewno? – Po wargach Buni przemknął szelmowski uśmiezek. – Miałam nadzieję, że się podzielisz.

Emily posłała swojemu odbiciu kolejne pełne dezaprobaty spojrzenie, po czym niezgrabnie kucnęła przed bujanym fotelem babci. Staruszka robiła na drutach dziecięcy sweterek, a jej palce migąły przy pofałdowanym kołnierzyku jak skrzydełka kolibra. Długi rękaw sukienki w stylu wiktoriańskim podwinął się, odsłaniając fioletowy siniec na kościstym nadgarstku. Emily delikatnie go dotknęła.

– Niezgraba ze mnie. – Bunia zawsze miała na podorędziu tysiące usprawiedliwień. – Freddy, musisz się przebrać, zanim tata wróci do domu.

Teraz Bunia uważała ją za wujka Freda. Demencja była niczym innym jak odwiedzaniem kolejnych szkieletów schowanych w rodzinnej szafie.

– Przynieść ci ciasteczka? – spytała Emily.

– Byłoby cudownie. – Bunia nie przerywała pracy nad sweterkiem, ale jej wzrok, który nigdy na niczym się nie zatrzymywał, nagle skupił się na Emily, a na ustach pojawił się uśmiech. Przekrzywiła głowę, jakby studiowała perłową wyściółkę muszli. – Tylko spójrz na swoją piękną, gładką skórę. Jesteś taka śliczna.

– To u nas rodzinne. – Emily zachwycił ten przebłysk świadomości, który odmienił spojrzenie babci. Wróciła dawna Bunia, jakby szczotka wymiotła pajęczyny z zakamarków zaśmieconego mózgu.

Emily dotknęła jej pomarszczonego policzka.

– Cześć, Buniu.

– Cześć, moje kochane dziecko. – Babcia odłożyła robótkę, lecz tylko po to, by ująć w dłonie twarz wnuczki. – Kiedy masz urodziny?

Emily wiedziała, że powinna podać jak najwięcej informacji.

– Za dwa tygodnie kończę osiemnaście lat, babciu.

– Dwa tygodnie. – Bunia uśmiechnęła się jeszcze promienniej. – Cudownie być młodym. Tyle obietnic. Całe życie jest księgą, która czeka na napisanie.

Emily napięła się, tworząc niewidoczną tamę chroniącą ją przed falą emocji. Nie chciała zepsuć tej chwili płaczem.

– Opowiedz mi historię ze swojej książki, Buniu.

Bunia była zachwycona. Uwielbiała snuć wspomnienia.

– Opowiadałam ci, jak byłam w ciąży z twoim ojcem?

– Nie – odparła, choć słyszała tę historyjkę dziesiątki razy. – Jak to było?

– Okropnie. – Bunia zaśmiała się, by złagodzić wymowę tego słowa. – Mdłości rano i wieczorem, ledwie wstawałam z łóżka, żeby coś ugotować. W domu panował bałagan, na dworze był niemiłosierny skwar, a ja desperacko chciałam obciąć włosy. Miałam długie, do pasa, a kiedy je umyłam, upał mi je psuł, zanim zdążyły wyschnąć.

Emily pomyślała, że być może Bunia myli swoje życie z opowiadaniem *Berenika obcina włosy*. Fitzgerald i Hemingway często wracali w jej

wspomnieniach.

– Jak krótko się obcięłaś?

– Och, nie zrobiłam tego. Twój dziadek by mi nie pozwolił.

Zaskoczona Emily otworzyła usta. To bardziej przypominało prawdziwe życie niż opowiadanie.

– Były z tym całe korowody, wciągnęłam w to mojego ojca. On i mama przyszli wstawić się za mną, ale twój dziadek, czyli ich zięć, nie wpuścił ich do domu! – Emily ścisnęła drżące dłonie babci, która mówiła dalej: – Pamiętam tę kłótnię na werandzie, omal nie doszło do rękoczynów, jednak moja matka ubłagała ich, żeby przestali. Chciała zabrać mnie do domu i zająć się mną do narodzin dziecka, lecz twój dziadek twardo się sprzeciwił. – Dumiała przez chwilę z zaskoczoną miną, jakby nagle coś sobie uświadomiła. – Wyobraź sobie, jak inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby tamtego dnia zabrali mnie do domu.

Emily zawiódła wyobraźnia, ale nic dziwnego, skoro była skupiona na tu i teraz, czyli na realiach swojego życia. Mówiąc wprost, tak samo jak jej babcia znalazła się w potrzasku.

– Moje jagniątko. – Zdeformowany palec Buni osuszył łzy Emily, zanim zdążyły popłynąć. – Nie smuć się, wyrwiesz się stąd. Pójdiesz do college’u i spotkasz chłopca, który cię pokocha. Urodzisz dzieci, które będą cię uwielbiać, i zamieszkas w pięknym domu.

Emily poczuła ciężar w piersi. Jej marzenia o takim życiu już się rozwiały.

– Skarbie – ciągnęła Bunia – uwierz mi. Stoję w przejściu między życiem a śmiercią, dzięki czemu widzę i przeszłość, i przyszłość. W nadchodzących dniach widzę dla ciebie tylko szczęście.

Emily poczuła, że coś w niej pęka pod naporem wzbierającego żalu. Bez względu na to, co jej przyszłość przyniesie – dobro, zło, zwykły dzień powszedni – Bunia nie będzie tego świadkiem.

– Bardzo cię kocham.

Nie doczekała się odpowiedzi, bo oczy babci znów zasnuły pajęczyny, spod których wзираła dezorientacja. W jej spustoszonej umyśle zaświtała myśl, że trzyma za rękę jakąś obcą dziewczynę. Zmieszana sięgnęła po druty i znów zajęła się robótką.

Emily otarła ostatnie łzy i wstała. Nie ma nic gorszego niż patrzenie na zapłakaną obcą osobę. Lustro kusiło, ale Emily czuła się już wystarczająco źle bez oglądania swojego odbicia, więc nie chciała pogarszać sobie nastroju. Poza tym i tak nic by to nie zmieniło.

Bunia nie podniosła wzroku, gdy Emily zabrała swoje rzeczy, wyszła z pokoju, stanęła na szczycie schodów i zaczęła nasłuchiwać.

Surowy ton głosu matki tłumiły zamknięte drzwi jej gabinetu. Emily wyteżyła słuch, by wychwycić głęboki baryton ojca, choć ojciec pewnie nadal był na radzie pedagogicznej. Mimo to zdjęła buty i ostrożnie zaczęła schodzić po schodach. Skrzypienie starego domu znała równie dobrze, jak gniewne krzyki rodziców.

Już wyciągała rękę, by otworzyć drzwi, kiedy przypomniała sobie o ciasteczkach. Okazały zegar szafkowy wskazywał piątą. Bunia na pewno zapomniała, że prosiła o ciasteczka, ale miała dostać jeść dopiero po szóstej.

Postawiła buty pod drzwiami, oparła o nie małą torebkę i na palcach poszła do kuchni, mijając gabinet matki.

– Do diabła, a ty gdzie się wybierasz w takim stroju? – Smród ojcowskich cygar i zwiertzałego piwa wypełniał kuchnię. Czarna marynarka ojca leżała na jednym z krzeseł, rękawy białej koszuli miał podwinięte. Zamknięta puszka natty boh stała na blacie obok dwóch już opróżnionych i zgniecionych.

Emily patrzyła, jak kropla rosy spływa po puszcze.

Ojciec pstryknął palcami, jakby ponaglał jednego ze swoich studentów, by go zmobilizować.

– Odpowiedz mi.

– Ja tylko...

– Wiem, co „ty tylko”! – gwałtownie wpadł jej w słowo. – Mało ci szkód, których już narobiłaś w tej rodzinie? Chcesz całkiem zniszczyć nasze życie dwa dni przed najważniejszym tygodniem w karierze twojej matki?

Emily poczerwieniała ze wstydu.

– Nie chodzi o...

– Mam gdzieś, o co według ciebie chodzi czy nie chodzi. – Otworzył wieczko puszek i wrzucił je do zlewu. – Wracaj do pokoju, zdejmij tę paskudną kieckę i siedź tam, póki nie pozwolę ci wyjść.

– Tak, ojciec. – Emily otworzyła szafkę, by sięgnąć po ciasteczka dla babci, ale ledwie musnęła pomarańczowo-białą paczkę bergersów, ojciec mocno złapał ją za przegub. Skupiła się nie na bólu, lecz na sińcu biegnącym wokół kruchego nadgarstka babci, który wyglądał jak ślad po kajdankach.

„Wyrwiesz się stąd. Pójdiesz do college’u i spotkasz chłopca, który cię pokocha...”.

– Tato, ja...

Gdy ścisnęła mocniej, aż zakwiliła z bólu. Opadła na kolana i zacisnęła powieki, kiedy jego cuchnący oddech uderzył ją w nozdrza.

– Co ci powiedziałem?

– Ty... – Z trudem łapała oddech, gdy kości nadgarstka zaczęły drżeć. – Przepraszam, ja...

– Co ci powiedziałem?

– Że m-m-mam iść d-d-do pokoju.

Imadło wypuściło jej rękę z żelaznego uścisku. Westchnęła z ulgą, wstała i zamknęła szafkę, po czym wyszła z kuchni.

Postawiła stopę na pierwszym schodku, tuż nad miejscem, gdzie najgłośniejsze skrzypiało... i nagle zmieniła zdanie.

Odstawiła stopę i odwróciła się na pięcie.

Jej buty nadal stały pod drzwiami wejściowymi obok torebki. Wszystko miało turkusowy odcień, więc świetnie pasowało do satynowej sukienki. Jednak sukienka



była za ciasna, Emily nie mogła włożyć rajstop powyżej kolan, a stopy spuchły boleśnie, więc darowała sobie buty na obcasach, chwyciła tylko kopertówkę i wyszła.

Gdy szła przez trawnik, łagodny podmuch wiatru pieścił jej odsłonięte ramiona, trawa łaskotała w stopy, z daleka niósł się słony zapach oceanu. Atlantyk był jeszcze zbyt zimny dla turystów, którzy dopiero latem tłumnie ciągnęli na tutejszą promenadę. Teraz Longbill Beach należało do miejscowych, którzy za nic by nie stanęli w wijącym się ogonku przed Thrasher's po kubek frytek czy gapili się na maszyny robiące kolorowe ciagutki na wystawie sklepu ze słodyczami.

Lato.

Tylko kilka miesięcy.

Clay, Nardo, Ricky i Blake szykowali się do uroczystego rozdania świadectw, a potem złączą nowe życie z dala od dusznej atmosfery tego żalostnego nadmorskiego miasteczka. Czy gdy już je złączą, pomyślą o niej choć raz? Czy teraz o niej myśleli? Jeśli nawet tak, to z politowaniem, a także z ulgą, że w końcu pozbyli się zgniłka z ich małego kazirodczego kręgu.

Obcość nie bolała jej tak bardzo jak na początku. Emily ostatecznie zaakceptowała fakt, że już nie jest częścią ich życia. Wbrew słowom Buni wcale się stąd nie wyrwie. Nie pójdzie do college'u, nie spotka chłopca, który ją pokocha. Skończy jako ratowniczką, gwizdząc na plaży na nieznośne bachory, albo za ladą w Salty Pete's, rozdając w nieskończoność darmowe próbki.

Gdy skręciła za róg, dotknęła stopami ciepłego asfaltu. Chciała spojrzeć za siebie na dom, ale powstrzymała się od tak teatralnego gestu. Zamiast tego wyobraziła sobie matkę, jak z telefonem przy uchu chodzi wzdłuż i wszerz gabinetu, omawiając plany i strategie. Ojciec opróżnił kolejną puszkę piwa, z pewnością porównując w myślach odległość między pozostałymi piwami w lodówce a butelką szkockiej w bibliotece. Babcia kończyła małe sweterek, zachodząc w głowę, dla jakiego dziecka zaczęła go robić.

Nadjeżdżający samochód zmusił Emily do zejścia ze środka ulicy. Patrzyła na przejeżdżającego dwubarwnego chevroleta chevette, potem zobaczyła czerwone światła stopu, gdy auto zahamowało z piskiem opon. Głośna muzyka dudniła z otwartych okien.

To śpiewał zespół Bay City Rollers.

Leciał utwór *S-A-T-U-R-D-A-Y night!*

Pan Wexler odwrócił głowę od wstecznego lusterka w stronę bocznego. Światła zamigotały, gdy oderwał stopę od hamulca i wcisnął gaz, a potem zrobił to w odwrotnej kolejności. Nie mógł się zdecydować, czy stanąć, czy jechać dalej.

Emily zrobiła parę kroków do tyłu, gdy samochód zaczął się cofać, i wyczuła zapach jointa tłącego się w popielniczce. Przypuszczała, że Dean miał dziś pilnować uczniów, choć jego czarny garnitur bardziej pasował na pogrzeb niż na bal maturalny.

– Em! – zawołał, przekrzykując muzykę. – Co ty robisz?

Rozpostarła ramiona, prezentując turkusową kreację.

– A na co to wygląda?

Otaksował ją wzrokiem raz, potem wolniej i uważniej drugi, tak samo jak pierwszego dnia, gdy weszła do jego klasy. Prowadził zajęcia z nauki o społeczeństwie, prócz tego był trenerem lekkiej atletyki, więc jak inni trenerzy nosił ciemnoczerwone poliestrowe szorty i białe polo z krótkim rękawem.

Na tym podobieństwo się kończyło.

Dean Wexler był tylko o sześć lat starszy od swoich uczniów, ale obyty w świecie i mądry w sposób nieosiągalny dla żadnego z nich. Przed studiami zrobił sobie rok przerwy na wędrowkę z plecakiem po Europie, a także kopał studnie w wioskach Ameryki Południowej. Pił herbatę ziołową i uprawiał własne zioło, nosił bujne wąsy na modłę Toma Sellecka z *Magnum*. Choć miał ich uczyć wiedzy o społeczeństwie i strukturach władzy, to na jednej lekcji pokazał im artykuł o DDT zatruwającym wody gruntowe, a na innej objaśniał, jak Reagan zawarł tajne

porozumienie z Irańczykami w sprawie zakładników, by wpłynąć na wyniki wyborów.

Prawie wszyscy uważali Deana Wexlera za najfajniejszego nauczyciela, jakiego znali.

– Em... – z westchnieniem powtórzył jej imię, gdy auto stanęło na jałowym biegu. Dean zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik, a piosenka urwała się na słowie „ni-i-i-ight” .

Dean wysiadł. Górował nad nią, ale w jego oczach nie było nieżyczliwości.

– Nie możesz iść na bal. Co ludzie pomyślą? Co powiedzą twoi rodzice?

– Nie obchodzi mnie to. – Drugą część wypowiedziała wyższym tonem, bo tak naprawdę bardzo ją to obchodziło.

– Musisz przewidywać skutki swojego postępowania. – Wykonał gest, jakby chciał wziąć ją za rękę, jednak zmienił zdanie. – Twoją matkę prześwietlają ci z najwyższego szczybla.

– Serio? – spytała Emily, jakby matka nie wisiała na telefonie długie godziny, aż jej ucho przybierało kształt słuchawki. – Ma jakieś problemy?

Kolejnym ciężkim westchnieniem Dean dał jej do zrozumienia, że wystawia jego cierpliwość na próbę.

– Chyba rozumiesz, że swoim postępowaniem możesz zniweczyć to wszystko, na co pracowała.

Emily obserwowała mewę unoszącą się nad skupiskiem chmur.

„Swoim postępowaniem”.

„Swoim postępowaniem”.

„Swoim postępowaniem”.

Wcześniej Dean bywał protekcyjny wobec innych, ale nigdy wobec niej.

– A jeśli ktoś zrobi ci zdjęcie? – ciągnął. – Jeśli w szkole będzie dziennikarz? Pomyśl, jak to się na niej odbije.

Zaświtała jej w głowie myśl, która przyprawiła ją o uśmiech. Dean żartował. To jasne, że żartował.

– Emily. – On jednak nie żartował. – Nie możesz...

Zamienił się w mima, rękami robiąc w powietrzu obrys jej ciała. Odsłonięte ramiona, zbyt pełne piersi, zbyt szerokie biodra, rozciągnięte szwy w pasie tam, gdzie satynowy turkus nie maskował wydatnego brzucha.

Dlatego Bunia dziergała maleńki sweterek. Dlatego ojciec nie pozwalał jej wychodzić z domu od czterech miesięcy. Dlatego dyrektor wyrzucił ją ze szkoły. Dlatego została odcięta od Claya, Narda, Blake'a i Ricky.

Była w ciąży.

W końcu Dean znów się odezwał:

– Co powie twoja matka?

Emily zawahała się, walcząc ze wstydem, który na nią spadł, z tym samym wstydem, który przeżywała, odkąd wydało się, że nie jest już porządną dziewczynką, która ma przed sobą obiecujące życie, bo stała się złą dziewczynką, która zapłaci wysoką cenę za swoje grzechy.

– Od kiedy tak się martwisz o moją matkę? Myślałam, że jest tylko trybikiem w skorumpowanym systemie.

Powiedziała to ostrzej, niż zamierzała, ale jej złość była prawdziwa. Słowa Deana Wexlera w jej uszach brzmiały identycznie jak przemowy jej rodziców, dyrektora, innych nauczycieli, pastora. A także jej byłych przyjaciół. Oni wszyscy mieli rację, a ona zawsze się myliła.

– Wierzyłam w ciebie – powiedziała, doskonale wiedząc, że to zaboli go najbardziej.

Prychnął.

– Jesteś za młoda na ugruntowany i spójny system wartości.

Przygryzła dolną wargę, starając się utrzymać w ryzach swój gniew. Dlaczego wcześniej nie widziała, że to kawał zakłamanego drania?

– Emily. – Znowu potrząsnął głową ze smutną miną, wciąż próbując nakłonić ją do uległości. Nie dbał o nią, wcale go nie obchodziła, nie chciał mieć z nią do

czynienia. Nie chciał widzieć, jak urządzi scenę na balu. – Wyglądasz... no, jesteś gruba, zrobisz z siebie pośmiewisko. Idź do domu.

Nie zamierzała iść do domu.

– Mówiłeś, że powinniśmy spalić cały świat. Właśnie tak mówiłeś: Spalić wszystko, zacząć od nowa, zbudować coś...

– Niczego nie budujesz, tylko planujesz jakiś numer, żeby zwrócić na siebie uwagę matki. – Skrzyżował ramiona, zerkając na zegarek. – Dorośnij, Emily. Czas egoizmu minął. Pomyśl o...

– O czym mam pomyśleć, Dean? O czym według ciebie mam myśleć?

– Jezu, mów ciszej.

– Nie dyktuj mi, co mam robić! – Poczowała, jak serce tłucze się jej w gardle. Zacisnęła pięści. – Sam to powiedziałaś, nie jestem już dzieckiem. Mam prawie osiemnaście lat i serdecznie dość tych wszystkich ludzi, tych wszystkich mężczyzn, którzy mówią mi, co powinnam robić.

– Czyli teraz reprezentuję patriarchy?

– A reprezentujesz, Dean? Jesteś jednym z patriarchy? Zobaczmy, jak szybko ci inni zewrą szyki, kiedy powiem ojcu, co zrobiłaś.

Poczowała przeszywający ogień biegnący od ramienia ku czubkom palców. Jej stopy oderwały się od ziemi, gdy Dean okręcił ją i rzucił o bok samochodu. Metal parzył ją w łopatki, słyszała tyknięcie stygnącego silnika.

Dean zacisnął rękę na jej nadgarstku, drugą zatkał jej usta i przysunął twarz do jej twarzy tak blisko, że widziała kropelki potu na wąsach.

Chciała się wyrwać. Sprawiał jej ból. Naprawdę sprawiał jej ból!

– Jaki kit chcesz wcisnąć ojcu? – syknął. – No mów.

Coś chrupnęło w przegubie, czuła, jak szczękają jej zęby.

– Co powiesz, Emily? No co? Nic? Czy właśnie to powiesz? Nic?

Jej głowa poruszyła się w górę i w dół. Emily nie wiedziała, czy spocona ręka Deana wymusiła na niej ten ruch, czy może instynkt przetrwania nakazał jej przytaknąć.

Dean powoli oderwał od niej palce.

– Co powiesz?

– N-n-nic. Nic nie powiem.

– I o to chodzi. Bo nie ma o czym mówić. – Wytarł dłoń w koszulę i cofnął się o krok. Omiótł ją wzrokiem, nie tyle rzetelnie wyceniając, co kalkulując na różne sposoby wartość jej spuchniętego nadgarstka. Ale oczywiście wiedział, że Emily nie piśnie słowa rodzicom. Bo gdyby jednak odważyła się pisnąć, tylko zrobiliby jej awanturę, że wyszła na miasto, a przecież kazali jej siedzieć w ukryciu. – Wracaj do domu, zanim spotka cię coś naprawdę złego.

Odsunęła się, żeby mógł wsiąść do auta. Silnik zawarkotał raz, potem drugi, wreszcie zaskoczył. Rozbrzmiało radio, kasetka magnetofonowa wróciła do życia.

*S-A-T-U-R...*

Ostrożnie objęła nadgarstek dłonią, gdy łyse opony nabierały rozpędu. Dean zostawił ją w obłoku palonej gumy. Zapach był wstrętny, jednak Emily ani drgnęła z bosymi stopami przyklejonymi do gorącego asfaltu. Lewy nadgarstek pulsował w rytm uderzeń serca, prawą rękę położyła na brzuchu. Wyobraziła sobie, że przyśpieszony puls, który słyszała przy badaniu USG, nadaża za jej przyśpieszonym tętnem.

Przylepiła wszystkie zdjęcia z badania na lustrze w łazience, bo czuła, że tak powinna zrobić. Pokazywały plamkę w kształcie fasolki, która rośnie i rozwija się, zyskując najpierw oczy i nos, potem palce u rąk i stóp.

Powinna coś czuć, prawda?

Przyływ emocji? Natychmiastową więź? Zachwyt i wzniosłość?

Zamiast tego czuła strach, a tak naprawdę przerażenie i ciężar odpowiedzialności. I z tego poczucia odpowiedzialności zrodziło się poczucie misji.

Wiedziała, co znaczy zły rodzic. Codziennie, a nawet kilka razy dziennie obiecywała swojemu dziecku, że wypełni najważniejsze obowiązki rodzica.

Teraz wypowiedziała te słowa na głos gwoli przypomnienia:

– Ochronię cię. Nikt nigdy cię nie skrzywdzi. Dam ci poczucie bezpieczeństwa.

Droga do miasta zajęła jeszcze pół godziny. Bose stopy najpierw ją piekły, potem otarła sobie skórę, wreszcie całkiem odrętwiała, gdy przecięła promenadę z białego cedru. Atlantyckie fale miały po prawej stronie, fale rozбивały się z szumem na piasku i wracały. Okna wystaw sklepów po lewej odbijały słońce pełzające po wodach Zatoki Delaware. Wyobraziła sobie, jak przesuwa się nad Annapolis, Waszyngtonem, przez rzekę Shenandoah, szykując się do wędrówki na zachód, podczas gdy ona wciąż szła tą samą promenadą, po której pewnie będzie chodzić do końca życia.

Zeszłego roku o tej porze zwiedzała kampus Foggy Bottom na George Washington University. Zanim wszystko tak koncertowo się schrzaniło. Zanim jej dotychczasowe życie zmieniło się bezpowrotnie. Zanim straciła prawo do nadziei, nie mówiąc już o marzeniach.

Plan był następujący: zgodnie z rodzinną tradycją jej przyjęcie na GWU miało być formalnością. Zaplanowano, że studia spędzi wygodnie umieszczona między Białym Domem a Centrum Kennedy’ego. Miała odbyć staż w biurze jakiegoś senatora. Pójść w ślady ojca i studiować nauki polityczne. Pójść w ślady matki i studiować prawo na Harvardzie, popracować pięć lat w prestiżowej kancelarii, objąć stanowcy urząd sędziowski, a ostatecznie wylądować na stanowisku sędziego federalnego.

„Co powie twoja matka?”.

– Twoje życie się skończyło! – To wykrzyczała jej matka, kiedy ciąża Emili stała się widoczna. – Nikt cię nie będzie szanował!

Zabawne, ale patrząc na minione miesiące, okazało się, że matka miała rację.

Zeszła z promenady na długą ciemną uliczkę między sklepem ze słodyczami a budką z hot dogami, potem przeszła przez Beach Drive. W końcu znalazła się na Royal Cove Way. Minęło ją kilka samochodów, niektóre zwolniły, by siedzący w środku mogli przyjrzeć się bliżej żalostnej plażowej piłce w turkusowej sukience zmierzającej na szkolny bal. Emili potarła ramiona, by się rozgrzać. Nie powinna

wybierać tak krzykliwego koloru. Nie powinna wybierać fasonu bez ramiączek. Powinna dopasować krój sukienki do jej powiększających się gabarytów.

Niestety dopiero teraz przyszły jej do głowy te dobre pomysły, dlatego nabrzmiąte piersi wylewały się z dekoltu, a biodra kołysały się niczym wahadło zegara w burdelu.

– Ej, laska! – krzyknął jakiś chłopak przez otwarte okno mustanga. Jego kumple siedzieli stłoczeni z tyłu, ktoś wystawiał nogę przez okno.

Wyczuła piwo, trawkę i pot.

Trzymała rękę na zaokrąglonym brzuchu, gdy szła przez dziedziniec szkoły, i pomyślała o rosnącym w niej dziecku. Najpierw wydało się jej abstrakcją, potem kotwicą. Dopiero ostatnio poczuła, że to człowiek.

Jej człowiek.

– Emmie?

Gdy się odwróciła, zaskoczył ją widok Blake’a, który krył się w cieniu drzewa. Trzymał w dłoni papierosa. Niewiarygodne, ale był ubrany jak na bal maturalny. Od czasów podstawówki niemiłosiernie drwił z zabaw i balów maturalnych. Mówił, że to Gala dla Plebejuszy, najlepsza noc w całym ich żalosnym życiu. Tylko czarny smoking odróżniał Blake’a od chłopaków w białych i pastelowych ubraniach, którzy mijali ją na drodze.

Chrząknęła.

– Co ty tu robisz? – spytała.

Uśmiechnął się szeroko.

– Pomyśleliśmy, że będzie zabawnie, jeśli osobiście pośmiejemy się z plebsu.

Rozejrzała się za Clayem, Nardem i Ricky, bo ta czwórka zawsze trzymała się razem.

– Są w środku, oprócz Ricky, bo ona się spóźni – wyjaśnił.

Emily nie wiedziała, co powiedzieć. „Dzięki” tu nie pasowało, zważywszy na to, że kiedy ostatni raz rozmawiała z Blakiem, nazwał ją „głupią suką”.

Ruszyła przed siebie, rzucając tylko:



– Na razie.

– Em?

Nie przystanąła, nie odwróciła się, bo nawet jeśli Blake słusznie nazwał ją suką, to na pewno nie była głupia.

Muzyka pulsowała przez otwarte drzwi sali gimnastycznej. Emily wręcz fizycznie odczuła wibrowanie basów, gdy przechodziła przez dziedziniec. Komitet organizacyjny najwyraźniej zdecydował, że tematem przewodnim balu będzie „Romans nad morzem”, co było i smutne, i przewidywalne. Papierowe ryby w kolorach tęczy śmigają między niebieskimi serpentynami. Żadna nie wyglądała jak marlin długonosy, od którego miasteczko wzięło nazwę, ale kim była Emily, by ich poprawiać? Nawet nie uczennicą.

– Chryste – rzucił Nardo – masz jaja, żeby tu przychodzić w takim stanie.

Stał z boku wejścia, czyli tam, gdzie spodziewała się go zobaczyć. Był w takim samym czarnym smokingu jak Blake, tyle że z przypinką z napisem I SHOT J.R.[1] w klapie, jawną manifestacją, że jest tu tylko dla jaj. Zaoferował Emily łyk wódki Everclear zmieszanej z wiśniową lemoniadą Kool-Aid prosto z butelki w połowie już opróżnionej.

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Od jakiegoś czasu praktykuję abstynencję.

Zaśmiał się rubasznie i wsunął butelkę do kieszeni smokingu. Zauważyła, że szew puścił pod ciężarem flaszki z zajzajerem. Gdy Nardo zatknął skręta za uchem, Emily przypomniała sobie, co po pierwszym spotkaniu powiedział o nim jej ojciec: „Ten chłopak skończy w więzieniu albo na Wall Street, choć nie w tej kolejności”.

– Więc... – Nardo wyjął skręta zza ucha i zaczął szukać zapalniczki. – Co sprowadza taką niegrzeczną dziewczynkę jak ty w takie urocze miejsce?

Emily przewróciła oczami i spytała:

– Gdzie Clay?

– A co, masz mu coś do powiedzenia? – Uniósł brwi, spoglądając wymownie na jej brzuch.

Emily odczekała, aż skręt się zapali, i sprawną ręką potarła sobie brzuch jak czarownica pocierająca szklaną kulę.

– A gdybym miała tobie coś do powiedzenia, Nardo?

– Cholera – rzucił, patrząc nerwowo ponad jej ramieniem. Gdy tak stali i gadali, przyciągali coraz większy tłumek. – To nie jest śmieszne, Emily.

Znowu przewróciła oczami.

– Gdzie Clay?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? – Odwrócił się od niej, udając zainteresowanie białą limuzyną podjeżdżającą na parking.

Emily ruszyła w stronę sali gimnastycznej. Wiedziała, że Clay będzie gdzieś pod sceną otoczony wianuszkiem pięknych szczupłych dziewczyn. Stopą poczuła zmianę temperatury, gdy szła po podłodze z polerowanego drewna. Motywy morskie królowały również w środku szkolnego budynku. Balony zwisały z krokwi wysokich sufitów, gotowe opaść na koniec wieczoru. Na wielkich okrągłych stołach były muszle i inne dekoracje o tematyce morskiej, umajone jasnoróżowymi pączkami kwiatów brzoskwiń.

– Patrz – odezwał się ktoś. – Co ona tu robi?

– O cholera.

– Ma tupet.

Emily patrzyła prosto przed siebie. Zespół muzyczny dopiero szykował się na scenie do występu, ale ktoś włączył nagranie, żeby wypełnić pustkę. Zaburczało jej w brzuchu, gdy mijała stoły zastawione jedzeniem. Tylko zerknęła na słodki jak ulepek syrop udający poncz, tartinki obłożone mięsem i serami, ciągutki, które się nie sprzedały w sezonie letnim, metalowe kosze pełne frytek, parówki w cieście, krabowe ciasteczka, ciasteczka Berger, różne rodzaje ciast.

Ruszyła w kierunku sceny, lecz gdy się zatrzymała, gwar rozmów ucichł. Słyszała tylko echo piosenki Ricka Springfieldda, który ostrzegał ich, by nie rozmawiali z nieznajomymi.

Uczniowie gapili się na nią. Nie tylko oni, inni też. Opiekunowie, rodzice, nauczycielka plastyki, która mówiła Emily, że jest bardzo utalentowana. Nauczyciel angielskiego, który pod jej pracą o Virginii Woolf napisał:

*Jestem pod wrażeniem.*

Nauczycielka historii, która obiecała Emily, że będzie główną oskarżycielką w tegorocznym inscenizowanym procesie.

Dopóki...

Emily znów ruszyła w kierunku sceny z brzuchem sterczącym jak dziób oceanicznego liniowca. Dorastała w tym mieście, tu chodziła do szkoły i do kościoła, uczestniczyła w obozach letnich, wycieczkach, wędrówkach i pizama party w domach zaprzyjaźnionych dziewczyn. To byli jej koledzy i koleżanki z klasy, jej sąsiedzi, jej koleżanki skautki, partnerzy z zajęć w laboratoriach, kumple i kumpele od wspólnej nauki, znajomi, z którymi spędzała czas, gdy Nardo zabrał Claya do Włoch ze swoją rodziną, a Ricky i Blake pomagali dziadkowi w barze.

A teraz...

Wszyscy tak zwani przyjaciele odsunęli się od niej jakby w obawie, że przez kontakt z nią mogą się zarazić. Co za hipokryci. Zrobiła to, co wszyscy już robili albo bardzo chcieli zrobić, ale miała pecha i została przyłapana.

– Jezu – ktoś szepnął.

– Oburzające – rzucił jakiś rodzic.

Kąśliwe uwagi tych dwulicowców już jej nie bolały. Dean Wexler w swoim głównianym dwukolorowym chevrolecie zdjął z niej ostatnią warstwę wstydu odczuwanego z powodu ciąży. Jedyne, co było w tym złego, to dupki odsadzające ją od czci i wiary.

Odcięła się od ich szeptów, powtarzając w duchu listę obietnic złożonych swojemu dziecku:

„Ochronię cię. Nikt nigdy cię nie skrzywdzi. Dam ci poczucie bezpieczeństwa”.

Clay stał wsparty o scenę i czekał na nią ze skrzyżowanymi ramionami. Miał na sobie taki sam czarny smoking jak Blake i Nardo. A raczej to oni jego naśladowali. Zawsze tak było. Cokolwiek zrobił Clay, reszta szła za jego przykładem.

Nic nie powiedział, kiedy Emily stanęła przed nim, tylko wyczekująco uniósł brwi. Zauważyła, że choć miał zwyczaj natrzęsania się z czirliderek, teraz otaczały go wianuszkami. Pozostali członkowie grupy mogli sobie wmawiać, że uczestniczą w balu maturalnym dla jaj, i tylko Clay wiedział, że przyszli na bal, żeby on mógł zaliczyć jakąś dziewczynę.

Gdy reszta milczała, odezwała się główna czirliderka Rhonda Stein:

- Co ona tu robi? – Choć patrzyła na Emily, to pytanie skierowała do Claya.
- Może chodzi o powtórkę z *Carrie*? – podsunęła skwapliwie inna czirliderka.
- Czy ktoś przyniósł wiadro świńskiej krwi?
- Kto ją ukoronuje?

Rozległy się nerwowe śmiechy, ale wszyscy czekali na reakcję Claya.

A on nabrał powietrza i wypuścił je powoli, a potem wzruszył ramionami i rzucił niedbale:

- To wolny kraj.

Emily zaswędziało w gardle od suchego powietrza. Kiedy wyobrażała sobie ten wieczór i zbiorowy szok, jaki wywoła, i napawała się myślą, że kiedyś opowie swojemu dziecku, jak jego radykalna i wyzwolona matka-kusicielka odważyła się tańczyć na balu maturalnym, i w tej swojej fantazji spodziewała się całej gamy emocji, lecz nie wyczerpania. Jednak w tej właśnie chwili psychicznie i fizycznie poczuła się niezdolna do czegokolwiek oprócz żalostnej rejterady do domu.

Tak też uczyniła.

Tłum, który rozstąpił się, gdy szła pod scenę, trwał na swoich pozycjach, z tym że nastrój zmienił się diametralnie. Brakowało tylko wideł i szkarłatnej litery. Chłopcy zaciskali zęby z wściekłości, dziewczyny pokazały jej plecy. Widziała nauczycieli i rodziców potrząsających głowami z niesmakiem. Co ona tu robiła?

Czemu psuła wszystkim innym bal? Jezabel, dziwka, szmata. Sama była sobie winna. Za kogo się uważała? Chciała zrujnować życie jakiemuś biednemu chłopcu?

Dopiero po wyjściu na zewnątrz uświadomiła sobie, jak duszno było w sali gimnastycznej. Nardo już nie czaił się przy drzwiach, Blake znowu wycofał się do cienia, a Ricky była tam, gdzie zawsze w takich sytuacjach, to znaczy nie tam, gdzie trzeba.

– Emily?

Odwróciła się, zdumiona widokiem Claya. Wyszedł za nią z sali gimnastycznej. A przecież Clayton Morrow nigdy za nikim nie chodził.

– Co tu robisz? – spytał.

– Odchodzę. A ty wracaj do swoich przyjaciół.

– Do tych frajerów? – Spojrzał ponad jej ramieniem, śledząc coś, co poruszało się zbyt szybko jak na człowieka. Uwielbiał obserwować ptaki. To była sekretna strona Claya. Czytał Henry’ego Jamesa, uwielbiał teksty Edith Wharton, dostawał najwyższe oceny za całki i różniczki, nie wiedział, co to jest rzut wolny ani jak podkręcić piłkę, ale nikt o to nie dbał, bo Clay był cholernie przystojny.

– Czego chcesz, Clay?

– Przecież to ty mnie szukałaś.

Dziwna wydała się jej ta jego pewność, że zjawiała się tu dla niego. Nie spodziewała się zastać na balu nikogo z ich paczki, za to chciała upokorzyć resztę szkoły za ostracyzm. Szczerze mówiąc, liczyła, że dyrektor Lampert wezwie komendanta Stiltona, żeby ją aresztował. Wtedy trzeba by ją wyciągać z opresji, ojciec by się wściekł, a matka...

– O w mordę... – mruknęła. Może w całej tej aferze chodziło właśnie o matkę?

– Emily? – odezwał się Clay. – No mów, po co tu jesteś? I czego ode mnie chcesz?

Clay nie chciał odpowiedzi. On chciał rozgrzeszenia.

Ale ona nie była jego pastorem.

– Wracaj do środka i baw się dobrze, Clay. Prześpij się z czirliderkami. Idź do college’u. Znajdź świetną pracę. Przejdź przez wszystkie drzwi, które zawsze są dla ciebie otwarte. Korzystaj z życia do końca swoich dni.

– Zaczekaj. – Położył rękę na jej ramieniu, jakby sterem zawrócił ją w swoim kierunku. – Jesteś niesprawiedliwa.

Zajrzała w jego przejrzyste niebieskie oczy. Ta chwila nic dla niego nie znaczyła, była tylko nieprzyjemną interakcją, która uleci z jego pamięci jak smużka dymu. Za dwadzieścia lat Emily tylko wróci wspomnieniem, burząc komfort psychiczny, gdy Clay wyjmie ze skrzynki pocztowej zaproszenie na zjazd absolwentów tego liceum.

– To moje życie jest niesprawiedliwe – powiedziała. – Ty masz się dobrze, Clay. Zawsze masz się dobrze. I zawsze będziesz.

– Tylko proszę, nie stań się jedną z tych nudnych, rozgoryczonych kobiet. – Westchnął ciężko. – To byłoby straszne.

– Claytonie, lepiej, żeby komendant Stilton nie dowiedział się, co wyczyniałeś za uchylonymi drzwiami. – Wspięła się na palce, żeby dokładniej zobaczyć przerażenie w jego oczach. – To dopiero byłoby straszne.

Złapał ją za szyję jedną ręką, a drugą uniósł zaciśniętą w pięść. Oczy mu pociemniały z wściekłości.

– Ktoś cię zabije, ty głupia cipo.

Emily zacisnęła powieki, czekając na cios, lecz usłyszała tylko nerwowy śmiech.

Otworzyła oczy.

Clay ją puścił. Nie był na tyle głupi, by pobić ją przy świadkach.

– Ten skończy w Białym Domu – powiedział jej ojciec po pierwszym zetknięciu się z Clayem. – O ile nie skończy na stryczku.

Emily upuściła torebkę, gdy Clay złapał ją za szyję. Teraz podniósł ją, otrzepał z ziemi i podał Emily szarmanckim gestem.

Wyrwała mu kopertówkę z ręki.

Tym razem nie ruszył za nią, kiedy odeszła. Minęła kilka grupek uczestników balu w rozmaitych odcieniach pasteli i krynolinach. Większość tylko gapiła się na nią, ale Melody Brickel, jej przyjaciółka z czasów wspólnej gry w zespole muzycznym, posłała jej serdeczny uśmiech, i to coś dla Emily znaczyło.

Czekała na światła, żeby przejść przez ulicę. Tym razem nie było zaczepek, chociaż kolejny samochód pełen chłopców przejechał obok niej, złowieszczo zwalniając.

– Ochronię cię – szepnęła do małego pasażera rosnącego w jej ciele. – Nikt nigdy cię nie skrzywdzi. Dam ci poczucie bezpieczeństwa.

Światło w końcu się zapaliło. Słońce zachodziło, rzucając długi cień na końcu przejścia dla pieszych. Emily zawsze czuła się dobrze sama w mieście, teraz jednak dostała gęsiej skórki. Ogarnął ją niepokój, gdy pomyślała, że znowu będzie musiała przeciąć uliczkę między sklepem ze słodyczami a budką z hot dogami. Bolały ją stopy, bolała szyja w miejscu, gdzie złapał ją Clay. Nadgarstek ciągle pulsował, jakby był złamany albo zwichnięty. Nie powinna tu przychodzić. Lepiej, gdyby została w domu i dotrzymała Buni towarzystwa, aż dzwonek wezwie na kolację.

– Emmie? – To znowu był Blake. Wychynął zza budki z hot dogami niczym wampir. – Dobrze się czujesz?

Czy dobrze? Czuła się tak, jakby opuszczały ją siły. Ale nikt już jej nie pytał o samopoczucie.

– Muszę wrócić do domu.

– Em... – Nie chciał dopuścić do tego, by odeszła bez słowa. – Ja tylko... Naprawdę nic ci nie jest? To dziwne, że w ogóle przyszłaś. Dziwne, że my wszyscy tu jesteśmy, a już najdziwniejsze są twoje buty, to znaczy ich brak. Zgubiłaś je?

Jak na komendę spojrzeli na jej bose stopy.

Emily ryknęła śmiechem, który zawibrował w jej ciele jak Dzwon Wolności. Śmiała się tak, że rozboleł ją brzuch. Śmiała się do rozpuku, aż zgięła się w pół.

– Emmie? – Blake położył rękę na jej plecach. Bał się, że straciła rozum. – Zadzwoń do twoich rodziców? A może...

– Nie. – Wyprostowała się i wytarła oczy. – Przepraszam. Właśnie dotarło do mnie, że jestem boso i w ciąży.

Blake uśmiechnął się z przymusem.

– Specjalnie to zrobiłaś?

– Nie. A może tak?

Sama nie wiedziała. Może to jej podświadomość wyczyniała dziwne rzeczy. A może dziecko wpływało na jej hormony. Łatwo przyjęłaby oba wyjaśnienia, ponieważ trzecia możliwość – że ma nierówno pod sufitem – byłaby dla niej niezbyt komfortowa.

– Przepraszam – powiedział Blake, ale jego przeprosiny nic nie znaczyły, ponieważ ciągle popełniał te same błędy. – Za to, co mówiłem wcześniej. Nie teraz, tylko wcześniej. Nie powinienem mówić, że... to znaczy to było złe, kiedy powiedziałem...

Emily doskonale wiedziała, o co mu chodzi.

– Że powinnam spuścić to w kiblu?

Wyglądał na równie zaskoczonego jak Emily, gdy jej to zasugerował parę miesięcy temu.

– Że... tak. Tego nie powinienem mówić.

– Racja, nie powinieneś. – Czuła ściskanie w gardle, ponieważ prawda była taka, że decyzja ani przez chwilę nie należała do niej. Jej rodzice podjęli ją za nią. – Muszę...

– Chodźmy gdzieś i...

– Cholera! – Wyrwała uszkodzony nadgarstek z uścisku Blake'a. Postawiła stopę na nierównym fragmencie chodnika, zachwiała się, odruchowo złapała Blake'a za poły smokingu, lecz i tak runęła na asfalt wprost na kość ogonową, która aż chrupnęła. Ból był przeszywający. Emily przekręciła się na bok i coś pociekło jej między nogami.

Dziecko.

– Emily! – Blake opadł na kolana obok niej. – Nic ci nie jest?



– Odejdź! – powiedziała błagalnie, choć potrzebowała jego pomocy, by wstać. Torebka zgmiotła się przy upadku, a satyna się podarła. – Blake, proszę, idź sobie. Tylko pogarszasz sprawę! Czemu zawsze pogarszasz sprawę?

Zabolały go te słowa, widziała to w jego oczach, jednak w tej chwili nie mogła martwić się o niego. Wszystkie jej myśli krążyły wokół jednego: czy ten upadek nie zaszkodził dziecku.

– Nie chciałem... – zaczął Blake.

– Jasne, że nie! – wrzasnęła. To on nieustannie rozsiewał plotki. To on prowokował Ricky do takiego okrucieństwa. – Nigdy nie chcesz, prawda? To nigdy nie jest twoja wina, ty nigdy niczego nie chrzanisz, nigdy za nic nie odpowiadasz. Wiesz co? To twoja wina. Masz, czego chciałeś. To wszystko twoja przeklęta wina!

– Emily...

Potknęła się i wpadła na róg sklepu ze słodyczami, co zapobiegło kolejnemu upadkowi. Słyszała, że Blake coś mówi, lecz w jej w uszach zabrzmiał piskliwy krzyk.

Czy to dziecko? Czy wołało o pomoc?

– Emmie?

Odepchnęła go i chwiejnym krokiem weszła w uliczkę, a strużka gorącej cieczy spływała po wewnętrznej stronie ud. Oparła się dłonią o ceglana ścianę, by nie opaść na kolana. Spazm ścisnął kleszczami jej gardło. Otworzyła usta, by nabrać powietrza. Słone powietrze paliło płuca, oślepiło ją słońce odbijające się od promenady. Cofnęła się w ciemność i oparła się o ścianę w zaułku.

Obejrzała się. Ulica była pusta, Blake się ulotnił. Nikt jej nie widział.

Zebrała dół sukienki, obolałą ręką podtrzymując fałdy satyny, i zdrową rękę włożyła między uda. Spodziewała się krwi na palcach, ale nie zobaczyła ani kropli. Nachyliła się i obwąchała rękę.

– Och – szepnęła.

Zsikała się. Po prostu się zsikała.

Zaśmiała się znowu, tym razem przez łzy. Poczwała ulgę, kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Kiedy osuwała się na ziemię, poszarpała materiał sukienki o chropawy mur. Bolała ją kość ogonowa, lecz nie dbała o to. Była przeszczęśliwa, że tylko się zsikała. Mroczne miejsca, w które zawędrował jej mózg, gdy przez chwilę podejrzewała, że spomiędzy nóg cieknie krew, okazały się bardziej pouczające niż wszystkie zdjęcia USG, które mogła przylepić do lustra w łazience.

W tej chwili desperacko pragnęła, by jej dziecku nic się nie stało. Nie z poczucia obowiązku. Dziecko nie oznaczało tylko i wyłącznie odpowiedzialności. Dawało sposobność, by kochać miłością, jakiej sama nigdy nie zaznała.

Pierwszy raz w tej zawstydzającej i upokarzającej sytuacji, która generowała silne poczucie bezradności, Emily Vaughn zrozumiała z całą pewnością, że kocha swoje dziecko.

– Wygląda, że to dziewczynka – oznajmił lekarz podczas ostatniego badania.

Wtedy Emily przyjęła te wieści jako kolejny krok w całym procesie, teraz jednak otworzyła się w niej tama, która od dawna powstrzymywała ją przed zalewem emocji.

Jej dziewczynka.

Jej maleńki skarb.

Zasłoniła dłonią usta. Była tak słaba, że z pewnością znów by upadła, gdyby już nie siedziała na zimnej ziemi. Schowała głowę między kolana. Łzy jak grochy toczyły się po jej policzkach. Otworzyła usta, ale w jej piersi wezbrało tyle miłości, że nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku. Przycisnęła rękę do brzucha i wyobraziła sobie dotyk maleńkiej rączki. Serce zabiło jej mocniej na myśl, że nadejdzie dzień, kiedy ucałuje czubki tych drobnych paluszków. Bunia mówiła, że każde dziecko wydziela innych zapach, i tylko matka go rozpoznaje. Emily chciała poznać ten zapach. Chciała budzić się w nocy i nasłuchiwać oddechu ślicznej dziewczynki, która wcześniej rosła w jej ciele.

Chciała ułożyć plan.

Za dwa tygodnie skończy osiemnaście lat, dwa miesiące później zostanie matką. Znajdzie pracę i wyprowadzi się od rodziców. Bunia zrozumie, a czego nie zrozumie, to zapomni. Dean Wexler w jednym miał rację: najwyższy czas, by wreszcie dorosła, bo w tej nowej sytuacji musiała myśleć nie tylko o sobie. Musi wyrwać się z Longbill Beach i sama zacząć planować swoją przyszłość, zamiast pozwalać, by inni robili to za nią. A najważniejsze, to chciała dać swojej córeczce to wszystko, czego sama nie zaznała.

Dobroć. Zrozumienie. Bezpieczeństwo.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, jak ta drobinka radośnie pływa w jej brzuchu. Nabrała powietrza i zaczęła recytować mantrę, ale tym razem z miłości, a nie z poczucia obowiązku:

– Ochronię...

Głośny trzask kazał jej otworzyć oczy.

Zobaczyła czarne skórzane buty, czarne skarpetki, brzeg nogawki czarnych spodni. Podniosła wzrok i słońce zamigotało, gdy kij bejsbolowy przeciął powietrze.

Serce jej zamarło. Poczowała obezwładniający strach.

Nie o siebie. O dziecko.

Skuliła się, chroniąc rękami brzuch i podciągając nogi, gdy padała na bok. Pragnęła jeszcze jednej chwili, jeszcze jednego oddechu, by jej ostatnie słowa skierowane do córeczki nie były kłamstwem.

Ktoś zawsze planował, że je skrzywdzi.

Nigdy nie były bezpieczne.

---

[1] Hasło reklamujące serial *Dallas*. (Przyp. red.).

# CZASY OBECNE

## 1

Andrea Oliver bardzo chciała, by jej żołądek przestał podskakiwać na znak protestu, gdy biegła błotnistą ścieżką. Słońce paliło ramiona, mokra ziemia oblepiała buty, pot zamienił jej koszulkę w folię spożywczą. Ściągną w kolanie upodobniły się do stalowych strun bandžo, które pobrzękiwały z każdym uderzeniem pięty w podłoże. Słyszała za sobą sapanie i stękanie maruderów, którzy próbowali dotrzymać jej kroku. Przed nią biegli chorobliwie ambitni, osobowości typu A, czyli tacy, którzy rzucą się w pław przez rzekę pełną piranii, jeśli będą mieli choć jeden procent szansy na pierwsze miejsce.

Andrea zadowolona się miejscem w środku stawki, ani maruderka, ani prowadząca, co samo w sobie było osiągnięciem. Dwa lata temu wlokłaby się w ogonie, a raczej, co bardziej prawdopodobne, nadal leżałaby w łóżku, ignorując budzik dzwoniący piąty czy szósty raz, a ciuchy leżałyby rozwleczone po całym minimieszkanie nad garażem jej matki. I na każdej nieotwartej kopercie spoczywającej na kuchennym stole widniałby stempel WEZWANIE DO ZAPŁATY. Kiedy wreszcie zwlekłaby się z łóżka, czekałyby na nią trzy wiadomości od ojca z prośbą o znak życia, sześć od matki z pytaniem, czy uprowadził ją seryjny zabójca, oraz nieodebrany telefon z pracy, czyli ostatnie ostrzeżenie przed wylaniem.

– Cholera – mruknęła Paisley.

Andrea zerknęła przez ramię, gdy Paisley Spenser oderwała się od grupy, i zobaczyła, że jeden z maruderów, Thom Humphrey, upadł na plecy i zapatrzył się w korony drzew. Zbiorowy jęk wypełnił las. Zasada brzmiała jasno: jeśli jedno z nich nie ukończy biegu, wszyscy muszą powtórzyć całą trasę.

– Wstawaj! Wstawaj! – wrzasnęła Paisley, zawracając, by albo go słownie zmobilizować, albo tak skopać, by wołał wstać i pobiec, niż dalej być kopany. – Dasz radę! No dalej, Thom!

– Dajesz, Thom, dajesz! – krzyknęli pozostali.

Andrea wydobywała z gardła jakieś nieartykułowane dźwięki, ale bała się otworzyć usta, bo jej żołądek kołysał się jak krzesła na pokładzie Titanica. Przez ponad cztery miesiące biegała sprinty, robiła pompki i pajacyki, wspinała się po linie, robiła nieskończone serie padnij-powstań, biegała piętnaście milionów kilometrów dziennie, i co z tego, skoro wciąż należała do wagi lekkiej. W gardle poczuła żółć, a usta miała boleśnie spierzchnięte, takie jakby nie swoje. Zacisnęła pięści, gdy pokonywała ostatni zakręt na trasie. Ostatnia prosta. Jeszcze pięć minut i koniec tego zabójczo wyczerpującego dystansu, którego już nigdy nie będzie musiała pokonywać.

Paisley przebiegła obok, dając gaz do dechy, Thom wrócił do grupy, szyki się zwały. Wszyscy sięgali po resztki energii.

Andrea nie miała do czego sięgać. Wiedziała, że żołądek dosłownie wystrzeli jej gardłem, jeśli jeszcze bardziej dociśnie. Otworzyła usta, łapiąc powietrze, ale skończyło się na tym, że połknęła rój komarów. Zakasłała, przeklinając w duchu własną głupotę. Spędziła dwadzieścia tygodni w Federal Law Enforcement Training Center, w skrócie FLETC, czyli centrum szkoleniowym agentów federalnych w hrabstwie Glynn w stanie Georgia. Wśród komarów, pcheł piaskowych, pluskiew wielkości gryzoni, gryzoni wielkości psów i faktu, że obóz Glynco FLETC znajdował się pośród moczarów, powinna już wiedzieć, jak należy oddychać w takich warunkach.

Z oddali dobiegł ją jakiś hałas. Skupiła się na podłożu pod nogami, ponieważ teren wyraźnie opadał. Hałas stał się bardziej czytelny, były to oklaski i okrzyki dopingujące biegnących. Ambitniacy przerwali żółtą taśmę w obecności wiwatujących bliskich, którzy przyjechali celebrować zakończenie piekielnych tortur wymyślonych po to, żeby albo wykończyć kursantów, albo ich wzmocnić.

– Jasny gwint – mruknęła skrajnie zdumiona Andrea. Bo prawda była taka, że ani nie padła trupem, ani nie zrezygnowała.

Miesiące szkolenia teoretycznego, codziennie pięć do ośmiu godzin nauki walki wręcz, technik obserwacji, egzekwowania nakazów, trening strzelania i tyle wysiłku fizycznego, że masa mięśniowa Andrei zwiększyła się prawie o dwa kilogramy, a teraz, wreszcie... No, wprost nie do wiary, ale najwyżej z pięćdziesiąt metrów dzieliło ją od oficjalnego zdobycia tytułu agentki United States Marshals Service!

Thom przemknął po jej lewej stronie. Cały on. Andrea tak bardzo zapragnęła go wkurzyć, że złapała drugi oddech, a od przypływu adrenaliny zakręciło się jej w głowie. Podkręciła tempo, minęła Thoma i dogoniła Paisley, z którą wymieniły triumfalne uśmiechy. Trzej faceci sami rezygnowali w zeszłym tygodniu, trzej kolejni zostali poproszeni o rezygnację, jeden zniknął po rasistowskim żarcie, inny dlatego, że nie umiał trzymać rąk przy sobie. Ona i Paisley Spenser były dwiema z czterech kobiet w grupie liczącej czterdzieści osiem osób. Jeszcze kilka kroków i będzie po wszystkim, zostanie tylko wejście na scenę po odbiór dyplomu.

Gdy Paisley wpadła na metę o włos przed Andrea, uniosły ramiona w triumfalnym geście. Liczna rodzina Paisley rozkrzyczała się niczym stado żurawi i rzuciła się do uścisków. Wszędzie wokół Andrea widziała podobne sceny radości. Wszystkie twarze w tłumie jaśniały od uśmiechów. Wszystkie prócz dwóch.

To były twarze jej rodziców.

Laura Oliver i Gordon Mitchell stali ze skrzyżowanymi ramionami. Śledzili Andreeę wzrokiem, gdy obcy ludzie gratulowali jej i klepali po plecach. Paisley żartobliwie szturchnęła ją w ramię, a ona odwzajemniła się tym samym,

obserwując, jak Gordon wyciąga telefon. Uśmiechnęła się, ale ojciec wcale nie zamierzał uwiecznić na zdjęciu jej sukcesu. Odwrócił się do niej plecami, by odebrać połączenie.

– Gratulacje! – ktoś krzyknął.

– Jestem z ciebie dumna!

– Dobra robota!

Laura, która obserwowała córkę idącą przez tłum, zacisnęła wargi, przez co wyglądały jak cienka biała linia. Miała wilgotne oczy, niestety nie były to łzy dumy, jak wtedy, kiedy popłakiwała w trakcie pierwszego występu muzycznego córki w szkole albo gdy Andrea wygrała konkurs plastyczny.

Jej matka była zdruzgotana.

Gdy jeden ze starszych inspektorów podsunął Andrei kubek napoju izotonicznego Gatorade, odmownie potrząsnęła głową i zaciskając zęby, potruczała w stronę stojących w rzędzie jasnoniebieskich przenośnych toalet. Zamiast wejść do jednej z nich, poszła za nią, otworzyła usta i zwymiotowała wszystko, co miała w żołądku.

– Ch...cholera – wybełkotała wkurzona, że potrafi gołymi pięściami i stopami położyć na łopatki bandziora, ale nie umie kontrolować własnego żołądka. Wytarła usta wierzchem dłoni. Świat wirował jej przed oczyma. Powinna się napić tego pieprzonego izotonika. Jeśli czegoś nauczyła się na szkoleniu, to tego, że trzeba się nawadniać. I nigdy, przenigdy nie dopuścić, by ktoś zobaczył, jak wymiotuje, bo właśnie na szkoleniu człowiek zyskiwał ksywę do końca swojej kariery zawodowej. A ona wcale nie chciała zasłynąć jako „Rzygaczka Oliver”.

– Andy?

Odwróciła się, nie czując zaskoczenia, gdy ujrzała matkę z butelką wody w wyciągniętej ręce. Jeśli Laura była w czymś dobra, to na pewno w okazywaniu pomocy bez pytania.

– Andrea – poprawiła ją.

Laura przewróciła oczami, ponieważ przez ostatnie dwadzieścia lat córka upominała ją, żeby mówiła do niej Andy.

– Tak, tak, Andrea. Dobrze się czujesz?

– Tak, mam, bardzo dobrze. – Woda była cudownie lodowata, więc na moment przyłożyła butelkę do karku. – Mogłabyś chociaż udawać, że cieszysz się moim szczęściem.

– Mogłabym – uprzejmie zgodziła się Laura. – Jaka jest procedura przy wymiotach? Przestępcy czekają, aż skończysz rzygać, zanim cię zgwałcą albo zamordują?

– Nie bądź obrzydliwa. Robią to przed. – Andrea odkręciła butelkę. – Pamiętasz, co mi powiedziałaś dwa lata temu? – Gdy matka milczała, doprecyzowała: – W moje urodziny? – Laura nadal milczała, choć obie doskonale pamiętały trzydzieste pierwsze urodziny Andrei. – Mam, powiedziałaś, żebym wzięła się w garść, wyprowadziła się z twojego garażu i zaczęła żyć swoim życiem. – Szeroko rozłożyła ramiona. – Właśnie tak wygląda teraz moje życie.

– Nie kazałam ci dołączyć do wrogów – odezwała się w końcu Laura.

Andrea powiodła językiem po wewnętrznej stronie policzka. Od zaciskania zębów powstało tam wyczuwalne podłużne zgrubienie. Nigdy przy kimś nie wymiotowała, była druga od końca w grupie pod względem wzrostu, ledwie przewyższała Paisley, która liczyła sobie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów od pięt do czubka głowy. Obie były lżejsze od najlżejszego faceta w grupie o jakieś dwadzieścia kilogramów, ale obie ukończyły szkolenie w pierwszej dziesiątce, a dziś wyprzedziły połowę uczestników.

– Skarbie, czy cała ta historia ze szkoleniem na agentkę to zemsta? – spytała Laura. – Chcesz mnie ukarać za to, że trzymałam cię w niewiedzy?

„Trzymanie w niewiedzy” było monstrualnym niedomówieniem, zważywszy na to, co Laura ukrywała przed córką przez trzydzieści jeden lat. A mianowicie to, że biologicznym ojcem Andrei jest psychopatyczny przywódca sekty dążącej do zbiorowych mordów. Matka posunęła się nawet do tego, że karmiła ją historyjką



o ojcu, który zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Najpewniej Andrea do dziś wierzyłaby w te kłamstwa, gdyby nie to, że przyparta do muru Laura wreszcie wyjawiała prawdę, a wydarzyło się to przed dwoma laty.

– No, słucham – ponagliła ją matka.

Od tamtego czasu Andrea nauczyła się, że milczenie może być równie bolesne, jak słowa.

Laura westchnęła ciężko. Nie przywykła do tego, by inni nią manipulowali. Wzięła się pod boki, popatrzyła na tłum, potem w niebo, i znowu spojrzała na Andreeę.

– Moja droga, twój umysł mnie zadziwia. – Patrzyła, jak córka napełnia usta zimną wodą. – Siła woli i energia, którą się wykazałaś, by tu dotrzeć, mówią mi, że możesz zdobyć prawie każdą pracę, jakiej zapragniesz. Podoba mi się to. Kocham cię za wytrwałość i determinację. Chcę, żebyś robiła to, co jest zgodne z twoimi uzdolnieniami i zainteresowaniami, co jest twoją pasją. Tylko nie to.

Andrea przepłukała usta i wypluła wodę.

– W szkole klaunów orzekli, że mam za małe stopy.

– Andy. – Laura tupnęła nogą z frustracji. – Mogłabyś wrócić na Akademię Sztuki, być nauczycielką, a nawet zostać w tym swoim centrum powiadamiania ratunkowego.

Andrea pociągnęła spory łyk wody. Jako trzydziestolatka przyjęłaby słowa matki za pewnik, teraz słyszała w nich tylko błędne wskazówki.

– Czyli albo większe długi, albo rozwydrzone dzieciaki, albo słuchanie skarg wiekowych obywateli, że nikt nie odbiera ich śmieci za dziewięć dolców za godzinę?

Laura nie dała się zbić z pantałyku i niezrażona kontynuowała, to znaczy spytała:

– Co z twoją twórczością?

– Bardzo intratne zajęcie.

– Kochasz malować.

- A bank kocha, kiedy spłacam w terminie kredyt studencki.
- Twój ojciec i ja moglibyśmy pomóc...
- Który ojciec?

Cisza między nimi nabrała konsystencji suchego lodu.

Andrea dopiła wodę, natomiast Laura próbowała zebrać myśli, bo tym razem dała się zbić z pantałyku. A córkę po krótkiej chwili dopadły wyrzuty sumienia z powodu szpilki, którą wetknęła matce. Gordon był... i do dziś jest wspaniałym ojcem. I jeszcze do niedawna był dla niej jedynym ojcem...

– Cóż. – Laura przekręciła zegarek na przegubie. – Doprowadź się do porządku. Rozdanie dyplomów za godzinę.

– Jestem pod wrażeniem, że znasz harmonogram.

– Andy... – zaczęła Laura i natychmiast się poprawiła: – Andreo, czuję, jakbyś uciekała przed samą sobą. Jakbyś była pewna, że mieszkanie w innym mieście i ta szalona, skrajnie niebezpieczna praca uczynią z ciebie inną osobę.

A ona desperacko pragnęła, by to rodzicielskie kazanie wreszcie dobiegło końca. Akurat matka powinna doskonale wiedzieć, jak to jest, gdy człowiek wręcz boleśnie odczuwa potrzebę wysadzenia swego dotychczasowego życia w powietrze i na jego zgliszczach stworzenia czegoś o wiele bardziej znaczącego i sensownego. Zupełnie jakby Laura nie dołączyła do groźnej sekty w wieku dwudziestu jeden lat, ponieważ w jej życiu panowała idealna równowaga. I jakby pod wpływem objawienia nie wydała policji biologicznego ojca Andrei. I jakby przed dwoma laty nie pokryła milczeniem incydentu, gdy wpadła w szal na myśl, że jej córce grozi niebezpieczeństwo.

– Mamo – odparła Andrea – powinnaś się cieszyć, że jestem wewnątrz.

– Wewnątrz czego? – spytała zdumiona Laura.

– Systemu – wyjaśniła tym jednym słówkiem, bo nic bardziej obrazowego nie przyszło jej do głowy. – Jeśli on kiedykolwiek wyjdzie z więzienia, jeśli tylko spróbuje nam podskoczyć, stanie za mną całe USMS.

– Nie wyjdzie z więzienia. – Laura zaczęła kręcić głową, zanim jej córka dokończyła zdanie. – A nawet jeśli, to same się o siebie zatroszczymy.

Ty tak, pomyślała Andrea. Na tym polegał problem. Kiedy wszystko zaczęło się walić, to Laura okazała się twardzielką, podczas gdy ona siedziała skulona w kącie jak dziecko bawiące się w chowanego. Tylko że to nie była zabawa, a ona nie chciała powtórnie przeżywać tego straszego poczucia bezradności, jeśli... czy też kiedy... jej ojciec ponownie wyceluje w nie swoje mordercze instynkty.

– Skarbie... – Laura podjęła następną próbę. – Podoba mi się kobieta, którą się stałaś. Kocham moją wrażliwą, utalentowaną i dobrą dziewczynkę.

Andrea przygryzła wargę. Rozległy się okrzyki, gdy ostatni maruderzy minęli linię mety. To byli kursanci, z którymi się szkoliła. I których wyprzedziła o ponad dziesięć minut.

– Andreo, udzielę ci takiej samej nieproszonej rady, jaką dostałam od swojej matki. – Laura nigdy nie mówiła o swojej rodzinie, a co dopiero o swojej przeszłości, dlatego przykuła uwagę córki. – Byłam młodsza, ale taka sama jak ty teraz. Każde wyzwanie w życiu traktowałam jak klif, z którego ciągle muszę się rzucać.

Andrea nie chciała przyznać, że to brzmi znajomo.

– Myślałam, że jestem odważna, wręcz brawurowa – ciągnęła Laura. – Trwało długie lata, zanim pojęłam, że kiedy spadasz, tracisz nad wszystkim kontrolę, bo tym wszystkim rządzi grawitacja.

– Nie mam lęku wysokości. – Andrea zmusiła się, by wzruszyć ramionami.

– Prawie to samo odpowiedziałam matce. – Laura uśmiechnęła się do sekretnego wspomnienia. – Ona wiedziała, że nie biegnę ku czemuś. Ja uciekałam od wszystkiego, zwłaszcza od siebie. I wiesz, co mi wtedy powiedziała?

– Nie, nie wiem, ale zaraz to od ciebie usłyszę.

Laura wciąż się uśmiechała, gdy ujęła jej twarz.

– Powiedziała: „Gdziekolwiek pójdiesz, przed sobą nie uciekniesz”.

Andrea wychwyciła w jej oczach troskę. Matka się bała i próbowała chronić córkę... a może próbowała nią manipulować? Jak zawsze?

– Rany, mamó. – Andrea cofnęła się o krok. – Byłaby z niej świetna babcia. Szkoda, że nie miałam okazji jej poznać.

Grymas na twarzy Laury zdradził, że Andrea trafiła w czuły punkt. To była dla nich nowość, te przykre wymiany uwag, kiedy ich języki zamieniały się w brzytwy.

Andrea lekko ścisnęła dłoń matki. Przestały już ranić się słowami. Zaklejały krwawiące miejsce plastrem i pozwalały, by jątrzyło się do następnego razu.

– Pójdę poszukać taty – oznajmiła.

– Dobrze – wykrztusiła Laura, przełykając łzy.

Andrea besztala się w duchu, idąc w stronę tłumu. A potem zbesztala się za to besztanie, bo w końcu jaki to miało sens?

Wrzuciła pustą butelkę do pojemnika na odpady plastikowe, zainkasowała kolejną porcję poklepywania po plecach i gratulacji od nieznanomych, którzy wyrażali swój nieklamany podziw. Omiotła wzrokiem morze twarzy, zresztą w większości białych, aż namierzyła ojca, który stał samotnie z tyłu. Gordon był wyższy niż większość ojców, szczupły, miał niechlujną brodę i wąsy, co upodabniało go do Idrisa Elby, gdyby Idris Elba nie był aktorem, ale frajerowatym specjalistą prawa powierniczego i spadkowego, a także prezesem miejscowego klubu miłośników astronomii oraz fanatykiem jazzu, który zamęcza innych niekończącymi się opowieściami o tym gatunku muzyki.

Andrea była mokra od potu, a Gordon miał na sobie jeden ze swoich garniturów Ermenegildo Zegny, mimo to przytulił ją mocno i ucałował w czubek głowy.

– Tato, jestem brudna.

– Od tego są pralnie chemiczne. – Znowu cmoknął ją w czubek głowy i dopiero wtedy wypuścił z objęć. – Jestem dumny, że ukończyłaś szkolenie, skarbie.

Zwróciła uwagę na precyzję jego słów. Nie był dumny, że została agentką federalną. Był dumny, że wykonała zadanie, tak jak pękał z dumy, kiedy

obrysowała kontur swojej dłoni czy narysowała indyka w przedszkolu.

– Tato, ja... – zaczęła.

Pokręcił głową. Uśmiechał się, ale ona znała uśmiechy ojca.

– Pogadajmy o tym, jak nieswojo czuje się twoja matka. Myślę, że znajdziemy w tym trochę powodu do radości.

Andrea odwróciła się i zobaczyła, jak Laura nerwowo mija szereg uzbrojonych mężczyzn. Starsi inspektorzy mieli na sobie granatowe koszulki polo z naszywkami USMS na kieszonkach. Przy paskach jasnobrązowych spodni lśniły srebrne odznaki w kształcie gwiazdy. W kaburach tkwiły Glocki.

Jeden z bardziej towarzyskich instruktorów nawiązał rozmowę z Laurą. Gordon parsknął na widok jej niewyraźnej miny, jednak Andrei wcale nie było do śmiechu, gdy patrzyła na wijącą się matkę.

– Nie wiem – powiedziała nagle, a gdy Gordon spojrzał na nią, dodała: – Jeśli się zastanawiasz, czemu to robię, to odpowiedź brzmi: sama nie wiem. – Andrei zrobiło się lżej po tym wyznaniu. Dotąd ani razu nie pozwoliła sobie na powiedzenie tego głośno, ale chyba nieproszona rada Laury rozwiązała jej język. – Przed samą sobą trzymam się wersji, że funkcja agentki USMS nadaje sens mojemu życiu albo że powinnam zrekompensować straty, które chcieli spowodować moi biologiczni rodzice, lecz jeśli mam być całkiem szczerą, to tylko stawiam jedną stopę przed drugą i powtarzam sobie, że bieg do przodu jest lepszy niż upadek do tyłu.

Jak zwykle Gordon najpierw poszukał właściwych słów, zanim się odezwał:

– Początkowo przypuszczałem, że chcesz wkurzyć matkę, co ci się udało, ale ponad cztery miesiące katorżniczego treningu, ostrej dyscypliny i intensywnej nauki nie za bardzo pasują mi do buntu.

Trafił w punkt.

– Wciąganie fentanylu i zafundowanie sobie brzucha z kolesiem z gangu motocyklowego jakoś do mnie nie przemawiało.

Mina Gordona zdradzała, że nie docenił tego żartu.

– To logiczne, że szukasz odpowiedzi na pytania o twoje wcześniejsze życie.  
– Pewnie tak – odparła Andrea, choć to było tylko jedno z wielu możliwych wyjaśnień.

Agencja United States Marshals Service, której właśnie stała się częścią, sprawowała kontrolę nad programem Witness Security, w skrócie WitSec, nazywanym potocznie „programem ochrony świadków”. Kiedy Laura zgodziła się zeznawać przeciwko ojcu Andrei, obie zostały objęte programem ochrony świadków, choć gdy matka podpisywała oficjalny dokument, Andrei nie było jeszcze na świecie. W zamian za zeznania przeciwko ojcu Andrei, Laura mogła wymyślić historię swojego tragicznego wdowieństwa, umieszczając tę opowieść w stanie Georgia w miasteczku na wybrzeżu. I gdy tym sposobem uwolniła się od stygmatu wyrachowanej przestępczyni, stworzyła kolejną historię, która powołała do życia logopedkę z małego miasteczka, młodą kobietę o antyrządowych poglądach, dzięki czemu idealnie dopasowała się do rozczarowanych weteranów, których miała pod swoją opieką w szpitalu.

Niestety już w drugim tygodniu kursu Andrea dowiedziała się, że wszystkie akta programu ochrony świadków USMS są ściśle tajne. Bez prawnego uzasadnienia nikt, absolutnie nikt nie miał do nich dostępu. To nie był krąg Iluminatów, nie poznawało się wszystkich sekretów świata po dołączeniu do stowarzyszenia.

– Nieważne. – Gordon wiedział, kiedy zmienić temat. – Odznaki agencji robią wrażenie. Bardzo w stylu Wyatta Earpa.

– To Srebrna Gwiazda. A Wyatt Earp został szeryfem dopiero wtedy, gdy ktoś próbował zamordować mu brata. – Andrea nie mogła się powstrzymać. Wykładowcy wcisnęli im historię USMS w każdy zakątek mózgu. – Virgil Earp był zastępcą szeryfa, kiedy wywiązała się strzelanina w O.K. Corral.

– Wielki szacunek dla twoich instruktorów, że zmusili cię do otwarcia podręcznika. – Gordon uśmiechnął się jakby pod przymusem. – Początkowa pensja wystarcza na życie. Po roku pracy masz gwarantowaną podwyżkę. Potem

podwyżki są już regularne. Do tego płatny urlop, chorobowe, opieka medyczna, a także obowiązkowa emerytura w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Potem możesz wykorzystać swoje doświadczenie w doradztwie, póki nie zdecydujesz się całkiem odejść na zieloną trawkę.

Gordon próbował, więc Andrea też postanowiła spróbować.

– My ścigamy tylko naprawdę złych gości. – Gdy Gordon uniósł brwi, dodała tonem wyjaśnienia: – Wiemy, z kim mamy do czynienia. To nie jest lokalna policja, która zatrzymuje kierowcę za przekroczenie prędkości i nie wie, czy auto prowadzi członek kartelu narkotykowego, czy facet, który śpieszy się na trening softballa. – Gordon wyraźnie czekał na ciąg dalszy. – Znamy ich nazwiska, ich kryminalną przeszłość. Sędzia daje nam nakaz i wysyła po nich. – Wzruszyła ramionami. – Przewozimy więźniów do sądu. Konfiskujemy mienie przestępców w białych kołnierzykach. Albo pilnujemy, żeby pedofile trzymali się z dala od dzieci. Nie prowadzimy dochodzeń, chyba że przydzielą nas do konkretnej sprawy. Generalnie mamy do czynienia z ludźmi, którzy już zostali skazani. Wiemy, kim są. – Gordon znowu skinął głową bardziej na znak, że słucha, niż zgadza się z tym, co słyszy. – Znasz obraz *The Problem We All Live With?* – spytała.

– Norman Rockwell. Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty. Obraz olejny. – Gordon znał dzieła Rockwella. – Zainspirowany sześciolletnią Ruby Bridges, pierwszą Afroamerykanką, która poszła do szkoły podstawowej dla białych dzieci w Nowym Orleanie.

– Wiedziałaś, że eskortowali ją agenci USMS?

– Tak?

Podzieliła się z nim całą wiedzą w pigułce:

– Agenci dbają o bezpieczeństwo sędziów Sądu Najwyższego i członków zagranicznych delegacji, ochraniają uczestników igrzysk olimpijskich i naukowców na Antarktyce. To najstarsza agencja federalna w kraju. Jerzy Waszyngton osobiście mianował pierwszych trzynastu agentów.

Laura wybrała ten moment, by dołączyć do rodziny ze swoim przekazem:

– Ścigali też zbiegłych niewolników i odstawiali ich do właścicieli. I nadzorowali obozy internowania dla uwięzionych Amerykanów pochodzenia japońskiego w czasie drugiej wojny światowej. I...

– Lauro... – ostrzegawczo rzucił Gordon.

Andrea spojrzała w ziemię. Słyszała rozmowy innych rodziców, ale żadna nie była tak nieprzyjemna jak ta.

– Skarbie? – Gordon czekał, aż Andrea podniesie wzrok. – Masz moje pełne wsparcie. Zawsze je miałaś. Nie musisz mnie przekonywać.

– Ja pierdolę – wymamrotała Laura.

Gordon położył dłoń na ramieniu Andrei.

– Obiecuj tylko, że zawsze będziesz pamiętać, kim jesteś.

– O tak – wtrąciła Laura. – Nie zapominaj, kim naprawdę jesteś.

Oboje mówili o dwóch różnych rzeczach, więc zarysowała się intrygująca płaszczyzna do dyskusji, niestety Andrea nie była zainteresowana.

– Pani Oliver, panie Mitchell. – Jak spod ziemi wyrósł przy nich następny agent. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur, pod marynarką odznaczała się broń. Mike puścił oko do Andrei, jakby od ich ostatniego spotkania upłynęło kilka sekund, a nie półtora roku. – Inspektor Michael Vargas, USMS. Musicie być dumni z córki.

– Vargas? – Laura aż się cofnęła na widok Mike'a. To on był jej agentem prowadzącym w programie ochrony świadków i ufała mu w tym samym stopniu, w jakim ufała innym przedstawicielom agencji rządowych. – To kolejne fałszywe nazwisko czy wreszcie mówisz prawdę?

Andrea nie tylko zgromiła matkę wzrokiem, lecz również spytała:

– Prawdę o czym?

– Agencje Vargas, miło pana poznać. – Gordon uściśnął Mike'owi dłoń, udając, że się nie znają, bo tak działał program ochrony świadków.

Nawet instruktorzy Andrei nie mieli pojęcia, że dorastała objęta tym programem. Wątpiła, by sam szef o tym wiedział.



– Pani Oliver. – Mike wiedział, że Laura nie poda mu ręki. – Gratuluję. Widzę, że promienieje pani z dumy.

– Muszę się napić. – Laura ruszyła na poszukiwania baru w federalnym centrum szkoleniowym o dziesiątej trzydzieści rano. Zawsze jeżyła się na wszelką władzę, ale fakt, że Andrea dołączyła do agencji, której przedstawiciele kontrolowali wszystkie jej działania przez ponad trzydzieści lat, zmienił Laurę w jeżozwierza z bazooką.

Mike odczekał, aż Laura znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i skwitował:

– Nikt jej nie powiedział, że agenci USMS pomagali wprowadzać prohibicję.

Gordon znowu ścisnął ramię Andrei i odszedł.

Mike odprowadził go wzrokiem, po czym spojrzał na Andree i stwierdził:

– Twoja mama przynajmniej się zjawiała. To już coś.

Andrea nie otwierała ust, starając się wyglądać na osobę chłodną i opanowaną. Była spocona, wręcz odstręczająca, ale gorąca fala, która ją oblała, nie była echem po intensywnym wysiłku fizycznym. Tę falę żaru wywołała obecność Mike'a. Randkowali intensywnie przez cztery miesiące, póki nie rzuciła go bez słowa wyjaśnienia. Decyzja była tyleż bolesna, co konieczna. Wtedy Mike należał do jej starego życia, a jak przed chwilą zauważyła kochana mateczka, jej córka nigdy nie napotkała klifu, z którego nie mogłaby spaść. Nie potrzebowała mężczyzny z kompleksem wybawcy, który zawsze wkroczy do akcji, żeby ocalić ją przed upadkiem. Musiała się nauczyć, jak ratować się sama.

Może właśnie dlatego wstąpiła w szeregi USMS.

To wyjaśnienie było równie dobre, jak każde inne.

– Co sądzisz o moim nowym seksownym wizerunku? – Mike podrapał się po gęstej, bujnej i ciemnej brodzie. – Podoba ci się?

Choć była zachwycona, tylko wzruszyła ramionami.

– Przejdźmy się. – Mike trącił ją w ramię, by ruszyła się z miejsca, ale najpierw spojrzał w kierunku Laury i Gordona, którzy prowadzili ożywioną dyskusję. – Znowu się spotykają?

Faktycznie tak było, lecz Andrea nie zamierzała zdradzać żadnych informacji agentowi, który prowadził jej matkę.

Mike podjął kolejną próbę:

– Cieszę się, że Gordon popiera twoją decyzję o dołączeniu do porządných gości.

Gordon był czarnoskórym mężczyzną po studiach prawniczych na prestiżowym uniwersytecie, który za każdym razem się pocił na widok policjanta w lusterku wstecznym.

– Mój ojciec zawsze stał za mną murem – powiedziała.

– Tak samo jak twoja matka. – Mike uśmiechnął się na widok jej sceptycznej miny. To, że okazywał wsparcie Laurze, przez którą kilka lat temu omal nie stracił posady, albo dowodziło jego nadzwyczajnej odporności psychicznej, albo było symptomem amnezji pourazowej. – Odpuść jej trochę. To ryzykowna praca, a Laura wie o tym lepiej niż inni. Boi się, że spotka cię coś złego.

Postanowiła przekierować rozmowę na inne tory:

– Założę się, że twoja mama urządziła huczne przyjęcie, kiedy ukończyłaś szkolenie.

– Żebyś wiedziała – odparł Mike. – A potem wpadłem na nią w spiżarni, gdzie wyplakiwała sobie oczy, bo tak się bała, że spotka mnie coś złego.

Poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Była tak zdeterminowana, by ukończyć szkolenie, że nie zastanawiała się, czy Laura ma uzasadnione powody, żeby potępiać jej ostatni wybór w skomplikowanym procesie poszukiwania najlepszej drogi życiowej. Jej matka miała wiele wad, ale na pewno nie była głupia.

– Powiedz mi coś. – Mike popchnął ją w kierunku budynku administracyjnego. – Nadal będziemy udawać, że nie zżera cię żal, że zostawiłaś mnie półtora roku temu?

Jeśli Andrea coś udawała, to raczej to, że Mike wcale nie doprowadził jej do stanu, w którym sama już nie wiedziała, czy wykrzyzczyć jego imię, czy wybuchnąć płaczem.

O ile pamięć jej nie myliła, oboje robili jedno i drugie.

– Ej. – Znowu żartobliwie trącił ją ramieniem. – Uważam, że to pytanie zasługuje na odpowiedź.

Wreszcie ją wymyśliła, i to taką właściwą:

– Myślałam, że to luźny związek.

– Czyżby? – Mike wyprzedził ją, żeby otworzyć przeszklone drzwi. – Luźny związek zwykle nie wiąże się z tym, że jadę kawał drogi do West Jesus Alabama, żebyś poznała moją matkę.

Matka Mike'a była przeciwieństwem Laury, można by powiedzieć, że stanowi swoistą kombinację June Cleaver i Rity Moreno z domieszką Lorelai Gilmore[2].

– Słowo „luźny” ma wiele znaczeń – odparła rezolutnie.

– Nie przypominam sobie takiej wiadomości. Przysłałaś ją esemesem? Nagrałaś na sekretarce?

– Wysłałam gołębia pocztowego – zażartowała. – Nie dostałeś tweeta?

W budynku biurowym nie paliły się światła, za to działała klimatyzacja, dzięki czemu dla Andrei było to najpiękniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek się znalazła. Czuła mrowienie na skórze, gdy pot na niej wysechł.

Mike był dziwnie milczący, gdy najpierw szli korytarzem, a potem otworzył drzwi na klatkę schodową. Andrea puściła go przodem w imię feministycznych zasad i żeby popatrzeć sobie na niego od tyłu. Rzeźba mięśni jego nóg odznaczała się pod nogawkami dopasowanych spodni. Mocną dłonią łapał się poręczy, przeskakując po dwa stopnie. Andrea sypiała z różnymi mężczyznami przed Mikiem, ale on okazał się tym pierwszym, z którym naprawdę była. Inteligentny, piekielnie pewny siebie. W jego towarzystwie niewiele miała okazji, żeby wykazać się tym samym.

Otworzył drzwi na górze klatki schodowej, oznajmił:

– Starsi mają pierwszeństwo – i ruszył przodem.

Andrea popatrzyła na ciemny korytarz spod zmrużonych powiek, zachodząc w głowę, co u licha, tu robią. Mike miał szczególny dar, w kontakcie z nim jej

mózg wyłączał obszary odpowiedzialne za racjonalne myślenie. W tej chwili powinna wychodzić spod prysznic. Spóźni się na uroczyste zakończenie szkolenia.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytała.

– Przecież lubisz niespodzianki.

Wręcz przeciwnie, nie znosiła niespodzianek, ale i tak weszła za nim do pustej sali konferencyjnej.

Światła były zgaszone, więc Mike podniósł żaluzje, żeby wpuścić do środka światło dzienne.

– Usiądź – powiedział.

Co z tego, że służbowo przewyższała ją rangą? Absolutnie nie miała zamiaru wykonywać jego poleceń.

Obeszła całą salę, w której prowadzono zajęcia z inwigilacji i zatrzymywania zbiegów. Suchościeralne tablice były wytarte, a na ścianach wisiały oprawione portrety dawnych agentów: Roberta Forsytha, który jako pierwszy szeryf w historii zginął na służbie pod koniec osiemnastego wieku; Bassa Reevesa, pierwszego czarnoskórego zastępcy szeryfa, który służył na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku; Phoebe Couzins, pierwszej kobiety na tym stanowisku, a także jednej z pierwszych absolwentek studiów prawniczych w Stanach Zjednoczonych.

W największej ramie wisiał plakat z filmu Ścigany z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku z Harrisonem Fordem w roli zbiega i Tommym Lee Jonesem w roli ścigającego go szeryfa. Andrea uznała, że lepsze to niż olbrzymi plakat z Nicolasem Cage'em w Con Air – locie skazańców, który zdołał pomieszczenie socjalne w jej akademiku. Agenci USMS rzadko bywali bohaterami hollywoodzkich produkcji.

Mike stanął przed gigantyczną mapą świata. Niebieskie pinezki znaczyły usytuowanie różnych placówek USMS. Agenci, których było około trzech tysięcy, służyli na całym świecie i tworzyli zwarte środowisko. Znali się wszyscy albo znali

kogoś, kto zna kogoś. Dla niej było oczywiste, że w nowej pracy prędzej czy później wpadnie na Mike'a.

– Gdzie się zgłosiłaś? – spytał.

Nie prosiła o konkretną lokalizację, po prostu wiedziała, że dostanie przydział po otrzymaniu dyplomu.

– Wszystko jedno gdzie, byle na Zachodnim Wybrzeżu.

– Wszystko jedno gdzie, byle daleko od domu, prawda? – Wiedział, że właśnie o to jej chodzi. – Już zdecydowałaś, co chcesz robić?

– To zależy, no nie? – Wzruszyła ramionami.

Na korzyść USMS przemawiał fakt, że agencji naprawdę zależało, by jej pracownicy robili to, co im najbardziej odpowiada, dlatego w pierwszym roku pracy dokładnie zapoznawali ze specyfiką każdego z możliwych przydziałów. Przez kolejne dwa tygodnie zajmowali się chwytniem zbiegów, ochroną sędziów, konfiskatą majątków, transportem więźniów, nadzorem nad sprawcami przestępstw seksualnych, poszukiwaniem zaginionych dzieci i oczywiście programem WitSec.

Andrea miała nadzieję, że kiedy natrafi na swoje powołanie, zapali się jej w głowie ogromna żarówka. Jeśli nie, zawsze zostawały świetny pakiet emerytalny, płatny urlop i dobra opieka zdrowotna.

– Na zachodzie biura są niewielkie – stwierdził Mike. – Mało ludzi do pracy, najpewniej przez większość czasu będziesz łapać i holować. – Mówił o chwytniu zbiegów i transporcie więźniów.

– Od czegoś trzeba zacząć – odparła lekkim tonem.

– Racja. – Mike podszedł do okna i spojrzął na boisko treningowe. – Będą za parę minut. Może usiądziesz?

Powinna wyciągnąć z niego coś więcej, ale tylko patrzyła na jego szerokie ramiona. Nie umięśnione ciało, nie niski głos i nie nowa broda były w Mike'u Vargasie najseksowniejsze. Chodziło o to, jak z nią rozmawiał. Czuła wtedy, że była jedynym człowiekiem, któremu zdradzał różne osobiste informacje: że uwielbia realizm magiczny, jednak nie przepada za książkami o smokach; że ma

łaskotki w stopach i nienawidzi zimna; że nieraz się wkurza na swoje trzy starsze upierdliwe i apodyktyczne siostry, choć bardzo je kocha; że kiedy był dzieckiem, jego święta matka harowała na dwóch posadach, by wykarmić rodzinę, ale on wolał nie zjeść jednego posiłku, za to spędzić z nią więcej czasu; że kiedy pierwszy raz rozmawiali z Andrea o swoich rodzinach, okłamał ją, gdy opowiadał o ojcu.

Mike miał dziesięć lat, kiedy w środku nocy jego tatę obudził jakiś hałas. Przekonany, że ma do czynienia z włamywaczem, by bronić rodzinę, strzelił nastoletniemu bratu Mike'a w głowę.

Do dziś powracał do niego ten przerażający łaskot, gdy martwy brat runął na drewnianą podłogę.

Powracał też do niego równie przerażający łaskot ciała ojca, gdy tydzień później zabił się z tej samej broni.

– Byłbym zapomniał. – Mike posłał jej uśmiech. – Miałem udzielić ci rady.

Andrea uwielbiała u niego ten żartobliwy ton.

– Czyli to, co lubię najbardziej: rada, o którą nie proszę.

Mike uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Gdziekolwiek wylądujesz, wyświadczyć sobie przysługę i poinformuj wszystkich, że się spotykamy.

– O rany... – Wybuchnęła śmiechem. – Niby co to za przysługa?

– Po pierwsze: spójrz na mnie. – Rozpostarł ramiona. – Jestem zajebiście boski.

Tu się nie mylił.

– A po drugie?

– Faceci w twoim nowym miejscu pracy będą się zastanawiać, czemu zachowujesz się jak cnotka i z żadnym z nich nie sypiasz. – Oparł się plecami o okno. – I każdy z tych koleśi zacznie kombinować, że może ta laska jest z wydziału wewnętrznego i patrzy mi na ręce? Czy takiej można ufać? A może to lesbijka? Więc czemu się nie wyautuje? Co ukrywa? Czy jej dziewczyna jest ładniejsza ode mnie?

– To jedyne możliwości: kapuś albo lesbijka? Nie mogę być po prostu niezainteresowana?

– Złotko, to agenci USMS. To oczywiste, że musisz być zainteresowana.

Zdegustowana pokręciła głową. Tym jedynym, co w Glynco śmierdziało bardziej niż pot i Skin So Soft, to testosteron.

– Twoje ego chyba połknęło mojego gołębia pocztowego.

Oczy mu rozbłysły w promieniach słońca.

– To wyjaśnia, czemu ciągle czuję na wargach twój smak.

Drgnęli, kiedy mężczyzna w czarnym garniturze, ze słuchawką w uchu i prezencją sztywniaka z kijem w tyłku charakterystyczną dla agentów federalnych, wsadził łysą głowę do sali. Rozejrzał się, skinął i zniknął.

– Przepraszam za spóźnienie. – Z tymi słowami wszedł do środka starszy mężczyzna o imponującej posturze i w ogóle taki, który wszędzie przyciąga uwagę. Wyciągnął zadbaną dłoń do Andrei i dodał: – Miło cię w końcu poznać, Andreo. Jestem dumny z tego, co osiągnęłaś na szkoleniu. To spory wyczyn.

Musiła przygryźć dolną wargę, żeby nie opadła jej szczęka. Nie przedstawił się, ale znała tę twarz, oczywiście, że znała. Był liczącym się kandydatem w ostatnich prawyborach prezydenckich, póki skandal nie wykluczył go z rywalizacji. Na szczęście spadł na cztery łapy i zasiadł w Senacie jako młodszy senator stanu Kalifornia.

Był też, o czym dowiedziała się niedawno, starszym bratem Laury, co przynajmniej formalnie czyniło go wujkiem Andrei.

– Widziałeś... – Urwała. – Widziałeś się z moją matką?

Wypełnione botoksem brwi Jaspera Quellera drgnęły.

– Jest tu?

– Z moim tatą... z Gordonem. Oni... Ufff... – Musiała usiąść. Kompletnie zapomniała o obecności Mike'a, póki sam się nie przedstawił Jasperowi. Miała ochotę skopać mu jaja za to, że ją tu przyprowadził. I chciała skopać tyłek sobie, że dała się tak podejść, bo przecież Jasper nie zjawił się tu przypadkiem.

To było ukartowane.

Andrei tłukło się w głowie pytanie, które usłyszała dwa lata temu, gdy jej życie wywróciło się do góry nogami:

– Jezu, dziecko, szłaś przez życie z haczykiem w podniebieniu?

Wtedy odpowiedziała twierdząco. Nic jednak nie usprawiedliwiało faktu, że dwa lata później ciągle łykała przynętę.

– Co tu robisz? – zwróciła się do Jaspera.

Mike rozsądnie uznał, że najwyższy czas wymknąć się z sali.

Jasper położył cienką skórzaną aktówkę na stole, a klik połączonych zamków zabrzmiał jak brzęk monet. Nie wiedziała, kto szył mu garnitur, ale zrobił świetną robotę. Pomyślała, że patrzy na równowartość jej skonsolidowanego kredytu studenckiego.

– Mogę? – Jasper wskazał krzesło.

Andrea nie musiała wspomagać się tablicą pogładową na ścianie. Agencja USMS działała w ramach Departamentu Sprawiedliwości nadzorowanego przez senacką komisję sprawiedliwości, która składała się z dwudziestu dwóch senatorów, wśród których był człowiek uprzejmie ją zapytujący, czy pozwoli mu usiąść naprzeciwko niej.

– Proszę. – Chciała nonszalancko machnąć ręką, niestety zamiast tego uderzyła w kant stołu. Mimo klimatyzacji strużka potu ściekała jej po plecach. Kipiała od emocji. Laura wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że jej córka i brat siedzą sobie razem i gawędzą pod wspólnym dachem. Nieważne, jak bardzo Andrea złościła się na matkę, i tak nie miała wyboru. Nigdy nie stanęłaby po stronie Jaspera.

– Andreo, najpierw powiem, jak mi przykro, że wcześniej się nie spotkaliśmy. – Nawet siedząc, Jasper zachowywał wojskową postawę, choć już od dekad nie nosił munduru. – Miałem nadzieję, że nawiążesz ze mną kontakt.

Przyjrzała się siateczce zmarszczek wokół jego oczu. Był o sześć lat starszy od Laury, mieli podobne nosy o szlachetnym kształcie i wydatne kości policzkowe.



– Po co miałabym szukać z tobą kontaktu?

– Słusznie. – Krótko skinął głową. – Przypuszczam, że twoja matka była temu przeciwna.

Prawda jest skuteczną bronią, pomyślała, mówiąc przy tym:

– Ten temat nigdy nie wypłynął.

Jasper spojrział na nią znad otwartej aktówki, wyjął teczkę z aktami i położył ją na stole. Potem zamknął aktówkę i postawił ją na podłodze.

Andrea walczyła ze sobą, by nie zapytać o teczkę, ponieważ Jasper najwyraźniej chciał, żeby o nią zapytała.

– Spóźnię się na rozdanie dyplomów.

– Nie zaczną bez ciebie, zaufaj mi.

Andrea zdusiła przekleństwo. Nieduży świątek USMS skurczył się jeszcze bardziej. Niedługo dołączy do grona wyszkolonych śledczych, którzy będą zachodzić w głowę, czemu amerykański senator wstrzymał uroczystość zakończenia szkolenia, by porozmawiać z Andrea Oliver.

– Dobrze widzieć cię na żywo. – Przyglądał się jej bacznie. – Z wyglądu bardzo przypominasz matkę.

– Czemu nie odbieram tego jako komplement?

– Rozumiem... – Posłał jej uśmiech. – Mimo wszystko chyba tak lepiej, niż porównywać cię do ojca?

W duchu przyznała mu rację, ale tylko w duchu, bo nic nie powiedziała.

– Szczerze mówiąc, jestem tu właśnie z jego powodu. – Jasper postukał palcem w teczkę. – Jak wiesz, na dodatkowe zarzuty, które postawiono twojemu ojcu dwa lata temu, ława przysięgłych odpowiedziała niejednomyślnie, a Departament Sprawiedliwości nie będzie ponownie go sądzić. Jednocześnie twój ojciec nadal odsiaduje pierwszy wyrok. Zarzut zawiązania spisku mającego na celu dokonanie aktów terroryzmu wewnętrznego dotyczył czasów sprzed jedenastego września, a samo planowanie morderstwa bardzo ogranicza możliwości prawa karnego. Choć zeznania twojej matki były pomocne, to jednak okazały się niewystarczające,

prawda? Bylibyśmy w lepszej sytuacji, gdyby twój ojciec zrealizował swoje mordercze plany.

Andrei nie spodobała się krytyczna wzmianka o Laurze, lecz machnęła na to ręką. Nick Harp miał przed sobą jeszcze piętnaście lat odsiadki z czterdziestu ośmiu zasądzonych w wyroku.

– No i...?

– Za pół roku twój ojciec może znowu starać się o zwolnienie warunkowe – wyjaśnił Jasper.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że poczuła nagły ucisk w żołądku. Spokojny sen zawdzięczała tylko temu, że o czymś doskonale wiedziała: Nick Harp siedzi za kratkami.

– Już starał się o przedterminowe zwolnienie, jednak zawsze dostawał odmowę. – Wzruszyła ramionami. – Czemu sądzisz, że tym razem może być inaczej?

– Można powiedzieć, że ogólne nastawienie wobec krajowego terroryzmu uległo ostatnio zmianie, zwłaszcza wśród bardziej konserwatywnych komisji do spraw zwolnień warunkowych. – Jasper potrząsnął głową, jakby senator Stanów Zjednoczonych miał niewiele mocy sprawczej. – W ubiegłych latach udawało mi się zapobiec jego zwolnieniu, lecz tym razem mogę przegrać, a on wygra.

– Serio? – rzuciła z jawnym sceptycyzmem. – Przecież nadzorujesz Federalne Biuro Więziennictwa.

– Właśnie w tym rzecz. Byłoby niestosowne, gdybym ingerował w tę procedurę.

Andrei zaschło w gardle. Zadrżała ze strachu na myśl, że Nick może wyjść z pudła, i ze złości, że Jasper przygotował tę zasadzkę.

– Pan wybaczy, senatorze, ale oboje wiemy, że ma pan na sumieniu różne niestosowne postęпки.

Jasper znowu się uśmiechnął i z tymże uśmieszkiem skwitował:

– Zupełnie jak matka.

– Wal się z takimi porównaniami. – Andrea pochyliła się ku niemu przez stół. – Wiesz, co zrobił ostatnio? To potwór. Ludzie zginęli. On siedzi, a ludzie giną! Wiesz, co zrobi, kiedy wyjdzie? Od razu przyjdzie po moją matkę. I po mnie.

– Doskonale. – Jasper sparodiował jej wzruszenie ramion. – Zatem wszyscy jesteśmy żywotnie zainteresowani tym, by pozostał, gdzie jest.

Andrea zmieniła nastawienie, ponieważ maska zimnej suki nie działała.

– Więc czego chcesz ode mnie?

– Niczego. Wręcz przeciwnie, chcę ci coś dać. – Gdy oderwał dłoń od teczki, zobaczyła naklejkę, ale nie mogła przeczytać napisu. – Chcę ci pomóc, Andreo. I pomóc rodzinie.

Wiedziała, że mówi o Laurze, choć przynajmniej jak dotąd ani razu nie wymówił imienia siostry.

– Prosiłaś o przydział na Zachodnim Wybrzeżu – zaczął.

Energicznie pokręciła głową. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to posada w rodzinnym stanie wuja.

– Nie interesuje mnie...

– Wysłuchaj mnie, proszę. – Uniósł rękę. – Zastanawiałem się, czy nie wolałabyś czegoś bliżej, na przykład w Baltimore.

Andrea milczała pod wpływem nagłego niepokoju, natomiast Jasper mówił dalej:

– W tym okręgu jest sędzia federalna, której ktoś grozi śmiercią. Ktoś przysłał jej pocztą do domu w Baltimore zdechłego szczura. – Na moment zawiesił głos. – Może widziałas tę historię w wieczornych wiadomościach.

Andrea niczego nie widziała, bo nikt w jej wieku nie oglądał wieczornych wiadomości.

– Sędzia była nominowana przez Reagana – ciągnął Jasper. – Za poprzedniej administracji naciskali na nią, żeby odeszła na emeryturę, ale przegapiła okazję.

Choć niezbyt interesowała się polityką, to oczywiście wiedziała, że USMS zajmuje się również ochroną sędziów federalnych.

– Za jej nominacją kryje się tragiczna historia, mianowicie tydzień przed przesłuchaniem końcowym zniknęła jej córka. W tym samym czasie w kontenerze na śmieci na skraju miasta znaleziono jakąś kobietę. Miała zmasakrowaną twarz i złamane dwa kręgi szyjne. Musieli ją zidentyfikować na podstawie dokumentacji dentystycznej. To była córka sędzi.

Andrea poczuła mrowienie w piętach, jakby stała na krawędzi bardzo wysokiego budynku.

– Niewiarygodne, ale dziewczyna przeżyła atak. – Jasper urwał, jakby chciał oddać jej szacunek. – Chociaż słowo „przeżyła” ma tu znaczenie niepełne czy względne. Chodzi o to, że z medycznego punktu widzenia znajdowała się w stanie wegetatywnym, czyli skazana na odłożoną w czasie śmierć, lecz prawda okazała się bardziej skomplikowana. Bo córka sędzi była też w ciąży. Z tego, co wiem, nigdy nie ustalili, kto był ojcem. Podtrzymywali ją przy życiu przez prawie dwa miesiące, aż można było bezpiecznie wyjąć z niej dziecko. – Andrea zagryzła mocno wargę, żeby zapanować nad drżeniem ciała, a Jasper ciągnął dalej: – W tamtych czasach sprawa tej dziewczyny była cause célèbre. – Wiedziała, że tak określa się najgłośniejsze medialnie sprawy. – Można przypuszczać, że tragiczne okoliczności pomogły jej matce zdobyć nominację, bo Reagan zdecydowanie popierał antyaborcyjne postawy. Przed nim nikt po ich stronie o to nie dbał. Bush musiał odciąć się od projektu ustawy o świadomym rodzicielstwie, żeby zdobyć nominację wiceprezydencką. – Jasper wyczuł, że Andrea czeka na ciąg dalszy historii sędzi. – Sędzia i jej mąż wychowali dziecko. Mówię „dziecko”, a to dzisiaj czterdziestoletnia kobieta. Ma nastoletnią córkę, podobno dość niesforną.

Andrea powtórzyła pytanie.

– Co tu robisz?

– Myślę, że tak naprawdę to zachodzisz w głowę, co to ma wspólnego z twoim ojcem, prawda? – Znowu położył dłoń na tajemniczej teczce. – Federalne sądy mają przerwę letnią. Jak zwykle o tej porze roku sędzia i jej mąż zjechali do rodzinnej posiadłości, gdzie spędzą dwa miesiące. USMS zapewnia im ochronę, agenci pracują na dwie zmiany, nocną i dzienną, a sprawę pogroźek bada inspektor

specjalny do spraw sądownictwa w Baltimore. Ochrona nie nastęcza trudności, a ty potraktuj to jak opiekę nad dzieckiem. Poza tym Longbill Beach to piękne miasteczko. Domyślam się, że wiesz, gdzie leży?

Andrea musiała odchrząknąć, zanim odpowiedziała:

– W Delaware.

– Zgadza się – stwierdził Jasper. – A dokładniej Longbill Beach to miasteczko, w którym dorastał twój ojciec.

Andrea poskładała w całość brakujące kawałki układanki.

– Podejrzewasz, że czterdzieści lat temu Nick Harp zabił córkę sędzi.

– Tak, tak właśnie podejrzewam, a zabójstwo nie ulega przedawnieniu. Po wyroku skazującym spędzi w więzieniu resztę życia.

Echo tych słów rozbrzmiało w głowie Andrei:

„Spędzi w więzieniu resztę życia”.

– Krążyły plotki, że był ojcem jej dziecka, a w wieczór zaginięcia skonfrontowała się z nim. Kłócili się przy świadkach, groził jej fizycznie i słownie, no i wyjechał z miasteczka krótko po zidentyfikowaniu jej ciała.

Przełknęła ślinę. Chciała skupić się na szczegółach, ale myślała tylko o jednym: że Nick Harp spłodził jeszcze jedno dziecko.

A potem je porzucił.

– Sama zobacz. – Jasper w końcu przesunął teczkę w jej stronę.

Andrea nawet nie sięgnęła po nią, bo już mogła wyraźnie zobaczyć napis:

EMILY ROSE VAUGHN, UR. 1.05.1964, ZM. 9.06.1982

Zamgliło jej wzrok, gdy zobaczyła imię dziewczyny. W głowie ciągle jej wirowało. Próbowała się skupić:

„Zabójstwo, bez przedawnienia, Nick za kratkami do końca życia...”.

Ale ciągle wracało do niej pytanie: czy to pułapka? Nie mogła ufać Jasperowi. Boleśnie się przekonała, że tak naprawdę nikomu nie może ufać.

– I jak? – odezwał się Jasper. – Nie jesteś ciekawa?

Akurat w tej chwili nie odczuwała ciekawości.

Tylko coś całkiem innego.

Strach. Lęk. Gniew.

Czterdziestoletnia przyrodnia siostra, która wychowała się w nadmorskim miasteczku jak ona. Następne dziecko, które nigdy nie rozwikła tajemnicy swojej matki. Ojciec sadysta, który zniszczył im życie i poszukał następnej ofiary.

Wyciągnęła drżącą rękę po teczkę. Oładka była gruba i sztywna. Na pierwszej stronie widniała fotografia młodej ładnej blondynki, która uśmiechała się wprost do obiektywu aparatu. Trwała ondulacja i niebieskie cienie na powiekach zdradzały, że to lata osiemdziesiąte. Andrea odwróciła kartkę. Potem następną. Poznała raport policyjny po układzie strony. Data, czas, lokalizacja, plan miasta, szkic z miejsca przestępstwa, prawdopodobne narzędzie zbrodni, świadkowie, obrażenia na ciele niewinnej siedemnastoletniej dziewczyny.

Palce miała coraz bardziej mokre od potu, gdy przewracała kolejne kartki. Znalazła zapiski oficera śledczego. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku komputery były rzadkością. Wyglądało na to, że maszyny do pisania też. Pismo było prawie nieczytelne i kserowane tyle razy, że litery wyglądały jak na poruszonej fotografii.

Andrea wiedziała, że nie znajdzie w aktach imienia i nazwiska „Nicholas Harp”. Jej ojciec używał tego pseudonimu w czasach, gdy poznał jej matkę. Odrzucił prawdziwą tożsamość wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku po wyjeździe z Longbill Beach, ale rzecz jasna tamtejsi mieszkańcy znali jego prawdziwe imię i nazwisko. Znalazła je na ostatniej stronie podwójnie podkreślone i zaznaczone obwódką: Clayton Morrow.

## 2

– Oregon jest piękny, mamó. – Andrea zignorowała zdumione spojrzenie, jakie rzucił jej kierowca Ubera, kiedy przejeżdżali przez Zatokę Chesapeake. Odwróciła głowę, dając do zrozumienia, że to rozmowa prywatna. – Myślę, że mi się tu spodoba.

– To już coś – powiedziała Laura. W słuchawce dał się słyszeć szum wody. Laura szykowała obiad dla Gordona na Belle Isle. – Tak dawno tam nie byłam. Pamiętam drzewa.

– Stanowym drzewem jest daglezja zielona. Stanowym kwiatem mahonia pospolita, choć nie ma nic wspólnego z mahoniem. To kwitnący krzew, ma owoce przypominające jagody. – W służbowym telefonie Andrea przewijała kciukiem tekst w Wikipedii na temat Oregonu. – Nie wiedziałas, że to dziewiąty stan pod względem powierzchni?

– Nie wiedziałam.

– I... – Andrea szukała czegoś, co nie brzmiałoby jak odczytywanie oficjalnych statystyk. – Na północnym zachodzie stanu rośnie las deszczowy w Dolinie Gigantów. Super, nie?

– Jest tam zimno? Mówiłam ci, żebyś wzięła kurtkę.

– Jest w porządku. – Andrea błyskawicznie weszła na stronę pogoda.com. – Prawie osiemnaście stopni.

– Ciągłe jest wcześniej – stwierdziła Laura, choć różnica czasu w Oregonie wynosiła tylko trzy godziny. – Temperatura spadnie o zachodzie słońca. Kup kurtkę na miejscu. Wyjdzie taniej, niż gdybym wysłała ci twoją FedExem. Lato w regionie

północno-zachodniego Pacyfiku jest nieprzewidywalne. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

– Będzie dobrze, mamó. – Andrea patrzyła w okno, słuchając wywodów Laury o kurtce, jaką powinna kupić stosownie do pogody panującej prawie pięć tysięcy kilometrów stąd.

– Osłonięte zamki błyskawiczne są bardzo ważne. I ściągacze u dołu rękawów, bo inaczej wiatr wdziera się do środka.

Andrea zamknęła oczy, chroniąc je przed promieniami wczesnopołudniowego słońca. Jej wewnętrzny kompas obracał się zbyt szybko. Jasper nie tyle kiwnął palcem w jej sprawie, co odpalił torpedę. Miała dostać dwa tygodnie wolnego przed pierwszym przydziałem, ale dzięki niedawno poznanemu wujkowi już następnego dnia po zdobyciu licencji agenta USMS otrzymała aż dwa zadania: ochraniać sędziego, której ktoś groził śmiercią i przysłał pocztą zdechłego szczura, oraz zatrzymać za kratkami ojca, znajdując dowód, że jest winny zabójstwa młodej dziewczyny, o której dawno zapomniano.

Jak w przypadku każdej innej decyzji podjętej w ciągu ostatnich dwóch lat, nie była pewna, dlaczego przyjęła ofertę Jaspera. W pierwszym odruchu chciała wyjść z sali, potem jednak zrobiła coś, czego nie robiła przez dwa lata: wróciła myślami do chwili, w której jej życie wyleciało w powietrze.

Zamiast wykorzystać okazję, kręciła się w kółko jak nakręcana małpka ściskająca zepsute cymbały. W tym czasie nie zrobiła nic, z czego mogłaby być dumna. Niczego nie planowała. Nie myślała o konsekwencjach. Pokonała tysiące kilometrów, próbując rozwikłać tajemnicę swoich rodziców i odkryć prawdę o ich przestępstwach. Z powodu własnej popędliwości omal nie straciła życia i naraziła Laurę na to samo. Nie mówiąc o tym, co zrobiła Mike'owi. Tyle razy próbował ją ratować, a ona podziękowała mu kopniakiem w jaja za cały jego trud.

Może dlatego przyjęła propozycję Jaspera.

To wyjaśnienie było równie dobre jak każde inne.



Jak miała rozwiązać sprawę morderstwa sprzed czterdziestu lat, tylko Bóg jeden wiedział. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny w charakterze agentki USMS nie zaczęły się pomyślnie. Wczoraj po południu jechała pięć godzin wynajętym autem na lotnisko w Atlancie, by zdążyć na lot do Baltimore o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt, ale z powodu złej pogody lot opóźnił się o dwie i pół godziny, potem przez jeszcze gorszą pogodę samolot został przekierowany do Waszyngtonu, gdzie wylądowała o drugiej w nocy. Z lotniska Dullesa pojechała taksówką do taniego motelu w Arlington w Wirginii, gdzie przespala cztery godziny, później złapała jeszcze półtorej godziny snu w pociągu do siedziby USMS w Baltimore w stanie Maryland.

Nikt nie był przygotowany na jej przyjazd, bo wszyscy starsi oficerowie brali udział w konferencji w Waszyngtonie. Agentka Leeta Frazier, która zajmowała się konfiskatą mienia, umieściła Andreę w sali konferencyjnej, dała jej do podpisania stos papierów, broszurę o zakazie molestowania seksualnego, wręczyła służbowego glocka 17 kaliber dziewięć milimetrów wraz ze Srebrną Gwiazdą, po czym kazała jej wrócić później, by mogła poznać szefa i resztę zespołu.

Co gorsza, Leeta nie była w stanie zarekwirować auta, i takim to sposobem Andrea wylądowała w najdroższym Uberze świata do Longbill Beach. Cały dzień wydawał się wydłużoną wersją najnudniejszego dnia w dziejach ludzkości. Dopiero teraz, około drugiej po południu, w końcu jechała wzdłuż wybrzeży Marylandu do Delaware, gdzie miała poznać swojego partnera.

– Wyślij mi zdjęcie, kiedy dojedziesz na miejsce – powiedziała Laura.

Andrea musiała odtworzyć w pamięci wcześniejszą część ich rozmowy, by pojąć, że matka mówi o kurtce widmie, którą miała kupić na pogodę, jakiej w Delaware akurat się nie spodziewała.

– Spróbuję nie zapomnieć.

– Obiecałaś, że będziesz dzwonić dwa razy dziennie.

– Wcale nie.

– Chodziło mi o esemesy.

– Nie.

– Andreo – zaczęła Laura, ale właśnie w tej chwili Gordon miał jej coś do powiedzenia, więc zasłoniła słuchawkę.

Andrea wyłączyła wyświetlacz służbowego telefonu. Zastanawiała się, czy zdążyła już naruszyć politykę agencji, wyszukując informacje na temat Oregonu. Ciągle nie mogła uwierzyć, że dali jej broń oraz odznakę i że oficjalnie została agentką federalną US Marshals Service. Mogła aresztować ludzi. Mogła upoważnić kierowcę Ubera do wykonania jakiegoś zadania. A może powinna kazać mu patrzeć na drogę, bo odkąd dotarło do niego, że jest przedstawicielką organów ścigania, raz po raz spoglądał na nią w lusterku wstecznym jak na wiadro łajna, które nie wie gdzie czemu wylądowało na tylnym siedzeniu jego auta.

Przypomniała sobie zdanie, które jeden z instruktorów napisał na tablicy:

Jeśli chcecie być kochani, nie pracujcie w organach ścigania.

– Już jestem. – Laura wróciła na linię. – Nie wymagam tego od ciebie, ale bardzo mnie ucieszy każda, nawet sporadyczna wiadomość od ciebie, skarbie, żebym wiedziała, że nadal żyjesz.

– Dobrze. – Wyraźnie złagodniała, choć nie miała pojęcia, czy uwzględni sugestię matki. – Muszę kończyć, mam. Chyba widzę wojaka żółtogardłego.

– Och, przyślij mi zdj...

Andrea rozłączyła się, obserwując biegusa w locie, tego ptaka dziwaka, który wygląda, jakby stąpał w powietrzu, choć tak naprawdę zwyczajnie sobie frunie.

Na moment przymknęła oczy i wypuściła powietrze z płuc, by wraz z nim pozbyć się zmęczenia. Ciało domagało się snu, ale gdy wcześniej próbowała się zrelaksować, jej umysł i tak pracował na najwyższych obrotach, bo obsesyjnie próbowała dociec, jakie są prawdziwe motywy wujka, dręczyło ją pytanie, czy ojciec dowie się o jej poczynaniach i spróbuje je storpedować, a także ustalić, co lepsze: przyznać się Mike'owi, że popełniła straszny błąd, czy kazać mu spadać.

Andrea nie miała już siły grać w tę samą grę, w każdym razie nie na tylnym siedzeniu Ubera, w którym woń kosmetyków samochodowych marki Armor All

mieszała się z sosnowym odświeżaczem powietrza. Żeby przestać się nakręcać, sięgnęła do plecaka i wyjęła akta sprawy Emily Vaughn.

Zwróciła uwagę na zniszczoną etykietkę pisaną na maszynie. Zachodziła w głowę, jak Jasper zdobył kopię akt policyjnego śledztwa. No cóż, jako senator Stanów Zjednoczonych mógł mieć dostęp do wielu różnych informacji. Poza tym był obrzydliwie bogaty, więc tam, gdzie nie sięgała jego oficjalna władza, gotówka wydatnie zwiększała jej zasięg.

To nie tak, żeby machinacje Jaspera cokolwiek dla niej znaczyły. Jej alternatywne śledztwo miało tylko jeden cel, i absolutnie nie chodziło o zacieśnienie kontaktów z bogatym wujkiem. Ze wszystkich sił pragnęła zatrzymać ojca za kratkami, ale nie tylko dla bezpieczeństwa Laury. Człowiek, który z garstki wrażliwych i podatnych na wpływy ludzi stworzył sektę dążącą do totalnej destrukcji i zniszczenia, nigdy nie powinien wyjść z więzienia. I jeśli w tym celu trzeba rozwiązać sprawę zabójstwa sprzed czterdziestu lat, to ona musi podołać temu wyzwaniu. Lecz jeśli nie zdoła udowodnić, że to robota jej ojca, albo udowodni, że zabójcą był ktoś inny, to cóż... Wtedy spadnie z tego klifu.

Mocno odetchnęła przed otwarciem teczki.

Najbardziej do niej przemówiła fotografia Emily Rose Vaughn. To było zdjęcie z ostatniego roku w szkole. Dobiegająca osiemnastki dziewczyna była piękna, nawet trwała i mocno pomalowane oczy nie zepsuły tego wrażenia. Andrea odwróciła zdjęcie i spojrzała na datę. Kiedy Emily stała z innymi uczniami ostatnich klas w kolejce do zdjęcia, jej ciąża musiała być już widoczna. Może włożyła pas wyszczuplający albo obciskające rajstopy z podwyższonym stanem, lub jeszcze inne narzędzie tortur stosowane przez ówczesne kobiety dla ukrycia prawdy.

Andrea powtórnie przyjrzała się twarzy Emily. Próbowwała przypomnieć sobie własne emocje tuż przed końcem szkoły średniej. Ekscytacja na myśl o college'u, zrywanie się do lotu tuż przed wyfrunięciem z domu, wzrastająca gotowość do tego, by stać się dorosłym, a przynajmniej tą wersją dorosłej osoby, która nadal jest w pełni zależna finansowo od rodziców.

W ciągu siedmiu ostatnich tygodni swojego życia Emily Vaughn spełniła rolę ludzkiego inkubatora. Na ile Andrea zdążyła wyczytać z policyjnego raportu, Jasper miał rację, że tożsamości ojca jej dziecka nigdy nie ustalono. Dopiero trzynaście lat później proces OJ Simpsona spowodował, że system sądownictwa przychylniejszym okiem spojrział na dowody DNA. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku istotne znaczenie miałyby tylko słowo Emily, a wyglądało na to, że tę tajemnicę zabrała do grobu.

Pytanie brzmiało, czy Clayton Morrow był podejrzany, bo istniały przeciwko niemu mocne dowody, czy też przestępstwa popełnione przez Nicka Harpa sprawiły, że dopiero post factum został uznany za prawdopodobnego sprawcę.

Gdy Andrea wygooglowała sprawę, okazało się, że publicznie dostępnych materiałów o ataku na Emily Vaughn jest jak na lekarstwo. Żaden autor podcastów czy twórca telewizyjnych programów kryminalnych nie wrócił do tej sprawy, ponieważ przez te wszystkie lata nie wypłynęły żadne nowe fakty, nie zgłosili się nowi świadkowie, nie wytypowano nowych podejrzanych, a skromne dowody zebrane z różnych miejsc albo gdzieś przepadły wraz z upływem czasu, albo zostały zniszczone podczas powodzi wywołanej huraganem Isabel w dwa tysiące trzecim roku.

Notka biograficzna sędzi Esther Vaughn w Wikipedii zawierała linki do dwudziestu jeden artykułów sprzed czterdziestu lat o okolicznościach śmierci Emily. Szesnaście pochodziło z „Longbill Beacon”, alternatywnej gazety, która zwinęła się osiem lat temu i po której został w sieci tylko komunikat o błędzie 404, czyli informacja, że strony nie znaleziono, o czym Andrea szybko się przekonała. Dostęp do gazet o zasięgu krajowym był płatny, co je wykluczało, ponieważ nie chciała zostawiać w sieci śladów transakcji, poza tym nie wiedziała, czy jej karta kredytowa zostanie zaakceptowana. Nie mogła też skorzystać z bazy danych USMS, ponieważ złamałaby zasadę – a także prawo federalne – że nie sprawdza się przeszłości ludzi bez legalnych uprawnień do tego typu czynności.

To dla Andrei oznaczało, że internetowe śledztwo utknęło w martwym punkcie. Śmierć Emily Vaughn nie pozostawiła więcej cyfrowych śladów. W wielu opiniach,

które Esther Vaughn wydała przez lata swojej sędziowskiej kariery, nie było nic prócz sformułowania „tragiczna osobista strata”, używanego jak zdanie wytrych na usprawiedliwienie konkretnych zmian w systemie karnym, jakich spodziewano się po sędzi mianowanej przez Reagana. Co do jej męża, to Andrea natknęła się na oficjalny komunikat prasowy sprzed roku wystosowany przez Loyola University, prywatną uczelnię katolicką w stanie Maryland, że doktor Franklin Vaughn po latach pracy w szkole biznesu odchodzi na emeryturę, by więcej czasu spędzać z rodziną.

I jak w przypadku żony, tu też brakowało szczegółów dotyczących jego rodziny.

Wywody doktora Vaughna o ekonomii i sprawiedliwości społecznej zawsze krążyły wokół samodzielnego dochodzenia do sukcesu, bez pomocy z zewnątrz i bez względu na to, czy człowieka stać na buty, w których miałyby do tego sukcesu dochodzić.

Najbardziej irytujące było to, że internet nie znał ani imienia, ani obecnego nazwiska córki Emily.

Andrea nie bardzo wiedziała, co może oznaczać ta nieobecność w sieci. Istniało mnóstwo powodów, dla których nie zostawiła żadnych cyfrowych śladów. Urodzona siedem lat przed Andrea, należała do pokolenia starszych milenialsów, więc media społecznościowe nie były jej naturalnym środowiskiem. Łatwo nie istnieć w sieci, jeśli człowiek żyje w trybie offline. Facebook i tak jest do bani, tak samo jak Instagram, TikTok czy Twitter. Córka Emily mogła też legalnie zmienić nazwisko, przyjąć nazwisko męża, zerwać kontakty z dziadkami albo, co bardziej prawdopodobne, trzymała się z daleka, bo jej matka została brutalnie zamordowana, i to najpewniej przez jej megalomańskiego ojca, babcia była sędzią federalną, a ludzie – straszni czterdzieści lat temu – stali się potworami, odkąd mają internet.

Andrei pozostały więc pytania. Czy córka Emily nadal mieszka w Longbill Beach, czy wyjechała? Czy jest rozwódką? Jasper mówił, że wychowuje nastoletnią córkę – dość niesforną, jak to ujął – ale czy utrzymuje kontakt

z dziadkami? Czy zna prawdę o śmierci Emily? Z czego się utrzymuje? Jak wygląda? Czy ma jasnoniebieskie oczy Nicka Harpa, jego wydatne kości policzkowe i dołeczek w brodzie, czy raczej pełniejszą twarz w kształcie serca po matce?

Machinalnie dotknęła ręką swojej twarzy. Nie miała szlachetnych rysów Laury czy Jaspera, choć Jasper pewnie miał rację, że z wyglądu przypomina matkę. Oczy miała jasnobrązowe, nie jasnoniebieskie, twarz wąską, choć nie trójkątną, z ledwie dostrzegalnym dołeczkiem w brodzie, który chyba odziedziczyła po ojcu. Nos stanowił genetyczną zagadkę, był zadarty na końcu jak u Prosiaczka wążającego tulipana.

Przypięła fotografię Emily z powrotem do pierwszej strony. Przerzucała kolejne kartki z raportami, choć czytała je niezliczoną ilość razy w lotniskowej poczekalni, w samolocie, w taksówce, w motelu, w pociągu. Rozmazane odciski palców nosiły pomarańczowe ślady po krakersach z masłem orzechowym, które wszamała na śniadanie.

Powinna uważać.

Wszyscy przyszli agenci przechodzili we FLETC w Glynco dziesięcioletniowy intensywny kurs technik dochodzeń kryminalnych. Andrea siedziała obok całego alfabetu przyszłych federalnych agencji śledczych: DEA od narkotyków, ATF od alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych, IRS od podatków, CBP od ceł i ochrony granic, HHS od zdrowia i opieki społecznej. Następnie przez dziesięć kolejnych tygodni przyszli agenci zgłębiali tajniki każdej ze służb, by poznać ich specyfikę obejmującą najróżniejsze przestrzenie życia społecznego i rozbudowany katalog przestępczej działalności, z którą należy walczyć.

Instruktorzy wymyślali wyjątkowo zawile hipotetyczne przypadki, na przykład zbieg na wolności, uprowadzenie dziecka, eskalacja gróźb pod adresem sądziego Sądu Najwyższego. Zespół Andrei wnikliwie przeglądał sfabrykowane nagrania z monitoringu w firmach, sprzed bankomatów i prywatnych domów. Weszli do internetu, odnaleźli plany budynku, mapy, sprawdzili historię kont bankowych,

rejstry publiczne w poszukiwaniu członków rodziny, przyjaciół, bliższych i dalszych znajomych. Do przejrzania były konta w mediach społecznościowych, czytniki tablic rejestracyjnych, zdjęcia przepuszczone przez program rozpoznawania twarzy, dane od operatorów sieci komórkowych, teksty maili i esemesów.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku człowiek miał tylko uszy i usta. Zadawał pytania, otrzymywał odpowiedzi, składał je w jedną całość i próbował znaleźć rozwiązanie.

Andrea nie mogła powiedzieć, że szef policji w Longbill świetnie się spisał, zwłaszcza że zabójca nie został ujęty, jednak gość wykonał precyzyjną robotę. Dokładne wymiary i szkic kontenera na śmieci stojącego na zapleczu baru Skeeter's Grill, gdzie znaleziono Emily. Prosty rysunek postaci z iksami dokumentującymi umiejscowienie obrażeń. Uliczka, w której znaleziono ślady krwi zgodnej z grupą krwi Emily, została dokładnie obmierzona i przeczesana w poszukiwaniu wszelkich śladów. Prawdopodobne narzędzie zbrodni – deskę z połamanej palety – znaleziono porzucone przy głównej drodze. Na palecie w uliczce znaleziono kępkę czarnych nitek, ale laboratorium FBI odrzuciło je jako zbyt powszechne, by miały wartość dowodową. Z samych spisanych zeznań wielu świadków Andrea była w stanie odtworzyć ostatnie kroki Emily Vaughn, zanim ktoś brutalnie odebrał jej życie.

Najbardziej przejmujące – z czego Andrea nie mogła się otrząsnąć – okazało się słowo, które dziś na ekranie komputera można po prostu usunąć, zamienić w ducha, który przegrał w starciu z technologią.

Andrea znalazła je w odręcznej notce po telefonie na numer dziewięć-jeden-jeden, gdy pracownik kuchni w fastfoodowej restauracji uniósł wieko kontenera na śmieci i natknął się na nagą, nieokazującą oznak życia i ciężarną Emily Vaughn, która leżała na workach ze śmieciami. Dłoń operatora telefonu alarmowego wyraźnie drżała, pewnie dlatego, że policja w Longbill Beach miała głównie do czynienia ze skargami na niesfornych turystów albo agresywne mewy. Pierwsza

linijka najpewniej zawierała pierwszą informację przekazaną na gorąco przez dzwoniącego:

Ciało kobiety znalezione w śmietniku za barem Skeeter's Grill.

Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że Emily żyje. To stwierdzili dopiero ratownicy medyczni. Najbardziej uderzyło Andreę i przyprawiło o łzy to, że w pewnym momencie – najwyraźniej kiedy stało się jasne, czyje to ciało – ktoś przekreślił słowo „kobieta” i poprawił zdanie na:

Ciało dziewczyny...

Dziewczyny, która miała w sobie tyle potencjału. Dziewczyny, która miała marzenia. Dziewczyny, którą znaleziono, gdy leżała na boku z rękami ciasno splecionymi na brzuchu, bo chciała chronić nienarodzone dziecko.

Dla Andrei Emily nigdy nie będzie jakąś tam „dziewczyną”. Była pierwszą dziewczyną – i jedną z wielu – którą jej ojciec zostawił na swojej pełnej przemocy drodze życia.

Zauważyła, że auto zwalnia. Dwugodzinna jazda minęła szybciej, niż się spodziewała. Zamknęła akta sprawy Emily i wsunęła teczkę do plecaka. Jechali główną ulicą czegoś, co musiało być Longbill Beach. Zobaczyła dziesiątki otumanionych słońcem turystów wałęsających się przy kioskach z fast foodami i spacerujących białą promenadą wzdłuż Atlantyku, która wyglądała, jakby ciągnęła się prawie tysiąc kilometrów na południe do promenady w Belle Isle.

Jak na złość, Andrea pomyślała o matce:

„Gdziekolwiek pójdziesz, przed sobą nie uciekniesz”.

– Proszę mnie wysadzić... – Skrzywiła się, bo w tym samym momencie kierowca włączył radio. – Przed biblioteką! Niech mnie pan wysadzi przed biblioteką!

Zaczął kiwać głową w rytm ryczącej muzyki, gdy skręcił ostro w prawo, oddalając się od morza. Ewidentnie wybrał tę piosenkę jako jasny przekaz dla niej. Był to utwór grupy N.W.A. Fuk da Police.



Przewróciła wymownie oczami, gdy auto znów skręciło ostro, a ona uderzyła barkiem o szybę. Biblioteka Główna w Longbill Beach mieściła się na tyłach liceum. Wyglądała na nowszą od budynku szkoły z solidnej czerwonej cegły. Elewacja była pokryta tynkiem pomalowanym na kolor łososiowy, a okna weneckie latem zapewne zmieniały wnętrze biblioteki w piec.

Kierowca nie raczył wyłączyć muzyki, gdy podjechali pod bibliotekę. Żyłasty starszy mężczyzna w wypłowiałej hawajskiej koszuli, dżinsach i kowbojkach stał przy skrytce depozytowej na książki. Zaczął klaskać do wtóru muzyki, a kiedy Andrea otworzyła drzwi samochodu, akurat zaczynał się refren.

– Jebać policję, jebać, jebać... – wrzasnął nieznajomy razem z wykonawcą, robiąc dwa kroki w stronę auta. – Jebać policję!

Przed szkoleniem w Glynco Andrea katalogowała ludzi tylko jako młodszych bądź starszych od niej. Teraz oceniła, że facet ma około pięćdziesięciu pięciu lat, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, waży może osiemdziesiąt kilogramów. Na jego muskularnych ramionach widniały wojskowe tatuaże. Łysa czaszka lśniła w słońcu zniżającym się ku zachodowi. Jego broda à la Van Dyke była przyprószona siwizną i lekko zapuszczona.

– Jebać policję. – Okręcił się, a jego koszula podeszła do góry. – Jebać-jebać-jebać.

Andrea zamarła na widok glocka kaliber dziewięć milimetrów przypiętego do paska. Obok błyszczała Srebrna Gwiazda. Domyśliła się, że właśnie patrzy na swojego nowego partnera. A potem pomyślała, że facet zajmuje się ściganiem zbiegów, ponieważ agentów polujących na najgorszych z najgorszych obowiązywało niewiele zasad dotyczących ubioru i innych regulacji.

Wyciągnęła rękę na powitanie.

– Jestem...

– Andrea Oliver, prosto z Glynco. – Zaprezentował imponujący teksański akcent i uścisnął jej dłoń. – Jestem agent Bible. Cieszę się, że w końcu dotarłaś. Masz bagaż?

Nie bardzo wiedząc, co robić, pokazała mu worek marynarski, w który spakowała ubrania na tydzień. Jeśli to potrwa dłużej niż tydzień, będzie musiała tłumaczyć matce, czemu jej rzeczy mają zostać przesłane do Baltimore, a nie do Portlandu.

– Doskonale. – Bible pokazał kierowcy kciuki w górę. – Podoba mi się, co wyrażasz tą muzyką, synu. Wyczuwam sojusznika.

Nawet jeśli kierowca miał na to jakąś odpowiedź, Bible na nią nie czekał, tylko dał znak Andrei, żeby poszła za nim.

– Pomyślałem, że przejdziemy się, zrobimy rekonesans, poznamy się lepiej, ułożymy jakiś plan. Jestem tu od dwóch godzin, przyjechałem niedługo przed tobą. Tak w ogóle to mam na imię Leonard, ale wszyscy mówią mi Sum.

– Sum Bible? – Pierwszy raz od dwóch lat Andrea żałowała, że nie ma tu jej matki. Leonard „Sum” Bible wyglądał jak ucieleśnienie bohaterów opowiadań Flannery O’Connor.

– A ty masz jakąś ksywę? – Gdy przecząco pokręciła głową, ciągnął dalej: – Każdy ma ksywę. Założę się, że ją ukrywasz. Uważaj.

Chłopak na rowerze omal jej nie zahaczył.

– Rzuć okiem. – Odwrócił głowę, żeby zobaczyła delikatne blizny na obu policzkach. – Wdałem się w walkę z sumem.

Andrea była ciekawa, czy ta ryba miała nóż sprężynowy.

– Tak czy owak – Bible szedł równie szybko, jak mówił – słyszałem, że twój lot miał opóźnienie. To musiało być piekielnie trudne, tak wskoczyć do samolotu po biegu i pawiu.

Mówił o Marshal Mile, ostatnim biegu na zakończenie szkolenia. I dał do zrozumienia, że zna nietypowe okoliczności jej szybkiego przydziału.

– Dobrze się czuję – zapewniła. – Gotowa do pracy.

– Świetnie, też dobrze się czuję, superdobrze. I też zawsze gotowy. Będzie z nas świetny duet, Oliver. Czuję to, czuję to w kościach.

Zacisnęła dłoń na pasku worka marynarskiego i przerzuciła plecak na drugie ramię, usiłując nadażyć za długimi krokami partnera. Zrobiło się trudniej, gdy dotarli do głównej ulicy. Po obu stronach Beach Drive przewalały się tłumy turystów, od małych dzieci poprzez młodzież aż do emerytów, a wielu z nich patrzyło na mapy, w marszu pisało wiadomości albo gapiło się w słońce.

Czuła, że w swoim stroju rzuca się w oczy. Czarna koszulka polo miała na plecach ogromne logo USMS i niewielkie na kieszonce na piersi. W magazynie mieli małe rozmiary, niestety tylko męskie, więc rękawy sięgały poniżej łokci, a kołnierzyk był tak gruby, że drapał ją w brodę. Odpruła szwy w mankietach spodni, ale nadal były przykrótkie, za to w talii za luźne. Ponieważ kobiece spodnie miały małe kieszonki, lecz nie miały szlufek, więc musiała kupić chłopięce spodnie w dziale dziecięcym i gruby pleciony pasek, żeby do niego przypiąć broń, kajdanki, pojemnik z gazem łzawiącym i Srebrną Gwiazdę. Pierwszy raz w życiu dorobiła się bioder, choć nie o takie biodra jej chodziło.

Bible musiał wyczuć, że czuje się niekomfortowo i dlaczego tak się czuje, bo spytał:

– Masz w torbie jakieś džinsy?

– Tak. – Miała jedną parę.

– Lubię nosić džinsy. – Bible wcisnął guzik na sygnalizatorze przy skrzyżowaniu, a jego głowa sterczała nad tłumem jak surykatce. – Wygodne, modne, uniwersalne.

Spojrzała na tablice z nazwami ulic, natomiast Bible nadal rozważał zalety i wady džinsów o luźnym i dopasowanym kroju. Rozpoznała to skrzyżowanie, jego nazwa znalazła się w zeznaniach jednego ze świadków...

Około godziny 18:00 17 kwietnia 1982 roku ja, Melody Louise Brickel, widziałam Emily Vaughn, jak przechodziła przez ulicę przy Beach Drive i Royal Cove Way. Wyglądało, jakby szła od strony sali gimnastycznej. Miała na sobie sukienkę bez ramiączek z turkusowej satyny z tiulem, kopertówkę w takim samym kolorze, ale była bez rajstop i bez butów. Wyglądała na zmartwioną. Nie podeszłam

do niej, bo mama kazała mi trzymać się z daleka od niej i całej jej grupy. Nigdy więcej nie widziałam jej żywej. Nie wiem, kto jest ojcem jej dziecka. Pod rygorem odpowiedzialności karnej przysięgam, że moje zeznanie jest zgodne z prawdą.

– Kogo spotkałaś w centrali? – spytał Bible.

– W centrali? – Musiała wysilić pamięć. – Wszyscy byli na konferencji. Zastałam agentkę od przypadku mienia, która...

– A, Leeta Frazier – podsunął Bible. – Porządna dziewczyna. Pracuje prawie tak długo jak ja. Ale posłuchaj, bo to ważne. Mike powiedział, żebym o ciebie zadbał.

Serce jej zamarło.

– Mike nie... – zaczęła.

– Wejdę ci w słowo. Moja żona Cussy ciągle mi powtarza, że młodzi nie doceniają galanterii, jednak powiem ci wprost: nigdy nie wierzyłem w plotki. I nie mówię tak dlatego, że jesteście zaręczeni.

Andrea czuła, że zaraz opadnie jej szczęka. No i nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Cieszę się, że mamy to z głowy. – Światła się zmieniły i Bible ruszył po pasach z tabunem spalonych słońcem nastolatków. Zerknął przez ramię i rzucił do Andrei: – Masz już mieszkanie w Baltimore?

– Nie, ja... – Musiała truchtać, żeby za nim nadążyć. – My nie... Mike i ja...

– To nie moja sprawa. Nigdy więcej ani słowa na ten temat. – Przeciągnął kciuk i palec wskazujący po wargach, sznurując je symbolicznie. – Z innej beczki: co wiesz o sędzi?

– Ja... – Andrea czuła, jakby spadała w czarną dziurę.

– Słuchaj, pamiętam, jak to jest być kompletnie zielonym. Dostajesz poświadczenie swoich kwalifikacji, a nawet nie wiesz, gdzie i jak się obrócić, ale jestem tu po to, żeby cię podszkolić. Mój ostatni partner siedzi na plaży, sączy mai tai i liczy manaty. Ty i ja stanowimy teraz team, jak rodzina, no, taka służbowa rodzina, bo z tego, co wiem, już masz swoją rodzinę.

Andrea weszła na chodnik i odetchnęła głęboko. Kiedy poznała Mike'a, też strzelał do niej salwami podobnych frazesów. Próbował zbić ją z tropu, skłonić, żeby powiedziała coś wbrew sobie, i ta metoda zadziałała tyle razy, że czuła się jak idiotka.

Dlatego usilnie pracowała przez dwa lata, żeby przestać być tamtą kobietą. Jeszcze raz zaczerpnęła powietrza.

– Sędzia Esther Rose Vaughn. Osiemdziesiąt jeden lat. Nominowana przez Reagana. Zatwierdzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. Jedna z dwojga konserwatystów pozostających w składzie sądu. Ma wnuczkę i pra...

Bible przystanął tak gwałtownie, że Andrea omal na niego nie wpadła.

– Skąd wiesz o wnuczce i prawnuczce?

Dała się złapać. Może to, że czterdziestojednoletnia córka Emily Vaughn jest niewidzialna w sieci, ma swoją głębszą przyczynę.

– A czemu miałabym nie wiedzieć? – spytała dość hardo, zamiast plątać się i kręcić.

– Właśnie. – Bible ruszył z miejsca.

Andrea uznała, że jedyne, co może zrobić, to iść za nim długim chodnikiem. Tłum się przeredził, ostatni spacerowicze przyglądali się ciągutkom robionym w maszynie na wystawie za upačkaną szybą. Turystyczna część ulicy kończyła się przy zamkniętej wypożyczalni rowerów i miejscu zapisów na lekcje paddleboardingu i parasailingu. Jak wszystko inne, tak i pływacy wyglądali znajomo. Latem Andrea sporo czasu spędzała na plaży i obserwowała turystów, którzy starali się nie wywrócić deski surfingowej na prądzie odpływowym albo nie walnąć spadochronem w wysoki budynek.

– Zatem pani sędzia – z szybkością karabinu maszynowego ponownie zaczął Bible – dostała groźby śmierci. Nic wielkiego, takie rzeczy wciąż się dzieją, ale nasiliły się dwa lata temu, kiedy odrzuciła ten błazeński protest wyborczy. – Andrea skinęła głową. Groźby śmierci stały się tak powszechne, że można je usłyszeć nawet w Starbucksie. – Ostatnie groźby uznano za wysoce wiarygodne, bo

sędzia dostała listy ze wzmiankami o pewnych szczegółach z jej życia osobistego. To tradycyjne listy, sędzia nie używa poczty elektronicznej.

Andrea znowu skinęła, z tym że głowa zaczęła jej pulsować od nowych informacji. W trakcie podróży skupiła się wyłącznie na Emily Vaughn i jej potencjalnym zabójcy. Nie myślała o tym, że jako agentka USMS ma co innego do wykonania, bo według słów Jaspera miała to być tylko „opieka nad dzieckiem”. I właśnie dotarło do niej, że to jednak bardzo poważne zadanie.

– Skąd nadano listy? – spytała, siląc się na rzeczowy ton, który przystoi agentce.

– Zostały wrzucone do niebieskiej skrzynki, którą minęliśmy po drodze z biblioteki. Nie ma tam kamer, brak też odcisków palców, które można by wykorzystać – powiedział Bible. – Wysyłano je w sezonie urlopowym, jeden w piątek, jeden w sobotę, potem w niedzielę i w poniedziałek. Wszystkie zaadresowane na kancelarię sędzi w budynku sądu federalnego w Baltimore, tym samym, w którym dziś byłaś. Sędziowie federalni i agenci USMS tworzą jedną wielką rodzinę. Znam sędzię i jej współpracowników od lat. Troszczymy się o siebie nawzajem.

Andrea miała kolejne pytanie:

– Czy szczura też przysłano do sądu?

– Nie – odparł Bible. – Pudełka ze szczurem nie wysłano pocztą. Ktoś je podrzucił do skrzynki pocztowej w domu sędzi w mieście, konkretnie w Guilford, snobistycznej dzielnicy na północy Baltimore, rzut kamieniem od Loyoli i Uniwersytetu Johna Hopkinsa.

– Gdzie mąż sędzi, doktor Franklin Vaughn, wykładał ekonomię, zanim w zeszłym roku przeszedł na emeryturę.

Bible cmoknął językiem, co Andrea odczytała jako uznanie dla jej odrobionej lekcji.

– To ta sama osoba? Autor listów z pogrózkami i ten od paczki ze szczurem?

– Może jeden facet, a może dwóch.

– Facet?

– Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli kobieta chce cię zabić, powie ci to prosto w twarz.

Z doświadczenia Andrei wynikało, że to prawda.

– Coś wyczytujesz z tego martwego szczura? Jak w Ojcu chrzestnym ? No wiesz, taki komunikat od mafii?

– Doceniam twój filmowy gust, ale to nie tak, mafijna organizacja Baltimore Crew już nie istnieje, a sędzia nie miała do czynienia z ich sprawami – odparł Bible. – Pewnie się zastanawiasz, czemu nie jesteśmy w Baltimore. Na szczęście dla nas to letnia przerwa, inaczej sędzia codziennie chodziłaby do pracy w sądzie. Z powodu jednego martwego szczura nie wyjechałaby z miasta. Ona lubi trzymać się ustalonego planu zajęć. Spędza letnie miesiące w domu w Longbill od czasów zatwierdzenia jej na to stanowisko. Przyjechali tu dziś o świcie, tak samo jak to robią od wieków. Pamiętaj, że sędzia nie zmieni swojego harmonogramu.

Andrea wychwyciła sens jego słów również dlatego, że wcześniej trochę poszperała w internecie. Wszystkie fotografie sędzi Esther Vaughn ukazywały kobietę o surowym wyglądzie, która zawsze patrzy wprost w obiektyw, niezmiennie z piękną kolorową apaszką pod szyją, która rozświetla ascetyczny czarny żakiet. Opisy w artykułach były przechadzką po ścieżce ku #MeToo. W niektórych tekstach z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku sędzię Vaughn dobitnie nazywano „trudną kobietą”. W pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku narrację stonowano i sędzia zyskała miano kobiety „skomplikowanej”. A ostatnio przywołano wszystkie mocne przymiotniki: apodyktyczna, władcza, inteligentna oraz, i to zdecydowanie najczęściej, nieugięta.

– Tak to wygląda w największym skrócie – podsumował Bible. – Ostatecznie dla nas nie ma znaczenia, kto to wysłał i dlaczego, czy to jedna osoba, czy więcej. W centrali w Baltimore inspektor sądowy namierza tego ptaszka, i to jego zadanie, bo my nie jesteśmy śledczymi, tylko mamy zadbać o bezpieczeństwo sędzi.

Andrea poczuła ściskanie w gardle. Zaczęło do niej docierać, że robi się z tego sprawa życia i śmierci, ale wcale nie z powodu naładowanej broni przy pasku. Czy jakiś szalowiec faktycznie wziął na celownik sędzię? Czy wystarczy jej odwagi, by stanąć między osiemdziesięcioletnią kobietą a potencjalnym zabójcą?

– Oboje wyciągnęliśmy krótką słomkę, bo przyjechaliśmy dość późno. Czeka nas nocna zmiana, musimy mieć patrzaki szeroko otwarte na wypadek, gdyby objawił się jakiś nadawca szczurów albo autor pogróżek. Kapujesz?

Andrea była w stanie skupić się tylko na jednym: nocna zmiana. Od chwili opóźnienia lotu tęskniła za wygodnym łóżkiem w pokoju hotelowym.

– Pierwszy przystanek. – Bible wskazał niski budynek z żółtej cegły kilka metrów przed nimi. – Spotkanie z szefem policji. Zasada agentów USMS numer dwanaście: najszybciej, jak możesz, powiadom miejscowych o swoim przyjeździe, niech poczują się docenieni. Czekałem z tym do twojego przyjazdu, więc za jednym zamachem oboje się przedstawimy. Czy do tego miejsca mojej gadaniny masz jakieś pytania?

– Nie – odparła, gdy wchodzili po schodach.

– I dobrze. No to idziemy.

Andrea przytrzymała drzwi krawędzią worka marynarskiego, zanim zamknęły się za jej partnerem. Poprawiła plecak na ramieniu i weszła do środka. Lobby miało wymiary więziennej celi. Natychmiast wyczuła silną woń lizolu przemieszaną z ostrym zapachem kostki klozetowej. Toalety mieściły się dokładnie naprzeciw recepcji. Dzieliły je niecałe trzy metry.

– Dobry wieczór, sierżancie. – Bible zasalutował zmęczonemu podoficerowi, który siedział za kontuarem. – Agent Bible, a to moja partnerka, agentka Oliver. Przyszliśmy na spotkanie z szefem.

Andrea usłyszała jęk funkcjonariusza, gdy podnosił słuchawkę. Skupiła uwagę na ścianie przy toaletach, obwieszanej fotografiami wszystkich funkcjonariuszy policji w Longbill Beach od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. Wędrowała spojrzeniem po datach w kolejności chronologicznej, ze ściany po



jednej stronie drzwi toalety przeniosła wzrok na drugą, aż znalazła to, czego szukała.

Zdjęcie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku przedstawiało komendanta o kwadratowej szczęce z trzema funkcjonariuszami po lewej i trzema po prawej stronie. Podpis brzmiał:

KOMENDANT BOB STILTON Z ODDZIAŁEM

Serce Andrei załomotało.

To właśnie komendant Bob Stilton prowadził śledztwo w sprawie Emily Vaughn.

Zebrało się jej na wymioty. Komendant wyglądał tak, jak go sobie wyobrażała: świdrujący wzrok, wredna mina i bulwiasty czerwony nos alkoholika. Na każdym zdjęciu miał tak zaciśnięte pięści, że skóra na dłoniach mu białała. Sądząc z jego raportów, nie był miłośnikiem gramatyki i interpunkcji. Ani logicznego wnioskowania. Wszystkie zeznania, dokumenty uzupełniające i diagramy były uporządkowane, ale facet nie dołączył do akt notatek sporządzanych na brudno, które pokazałyby jego tok rozumowania w tej sprawie. Jedyne dowód, że Clayton Morrow był podejrzany, pojawił się w tekście naskrobanym przez komendanta na dole ostatniej strony akt, która była raportem z sekcji zwłok...

MORROW JĄ ZABIŁ. DOWODÓW BRAK.

Andrea przeniosła wzrok na sąsiednią fotografię, datowaną pięć lat później. Następna została wykonana po kolejnych pięciu latach. Andrea powędrowała w czasie. Oddział powiększył się z sześciu do dwunastu funkcjonariuszy. Komendant Bob Stilton stopniowo uginał się pod ciężarem lat, aż w dwa tysiące dziesiątym roku na fotografii pojawiła się jego młodsza i mniej zaokrąglona wersja.

KOMENDANT JACK STILTON Z ODDZIAŁEM.

To imię Andrea też znała. Jack Stilton był synem komendanta Boba Stiltona. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku Stilton junior dostarczył zeznanie spisane ścisłym pismem drukowanymi literami, w którym zrelacjonował, kiedy ostatni raz widział Emily Vaughn żywą.

OKOŁO GODZINY 17:45 DNIA 17 KWIETNIA 1982 ROKU JA, JACK MARTIN STILTON, WIDZIAŁEM, JAK EMILY VAUGHN ROZMAWIA Z BERNARDEM „NARDO” FONTAINE’EM. TRWAŁ BAL MATURALNY, A ONI STALI PRZED SALĄ GIMNASTYCZNĄ. EMILY MIAŁA ZIELONĄ ALBO NIEBIESKĄ SUKIENKĘ I MAŁĄ TOREBKĘ. NARDO BYŁ W CZARNYM SMOKINGU. OBOJE WYGLĄDALI NA ZŁYCH, CO MNIE ZANIEPKOIŁO, WIĘC CHCIAŁEM TAM PODEJŚĆ. BYŁEM NA DOLE SCHODÓW, KIEDY USŁYSZAŁEM, JAK EMILY PYTA, GDZIE JEST CLAYTON MORROW. NARDO ODPOWIEDZIAŁ: „A SKĄD MAM, K...WA, WIEDZIEĆ?”. EMILY WESZŁA DO SALI GIMNASTYCZNEJ. NARDO POWIEDZIAŁ DO MNIE: „NIECH TA SUKA LEPIEJ SAMA ZAMKNIE TĘ PRZEKŁĘTĄ GĘBĘ, BO KTOŚ ZROBI TO ZA NIĄ”. POWIEDZIAŁEM MU, ŻEBY SIĘ ZAMKNAŁ, ALE CHYBA MNIE NIE USŁYSZAŁ. POSZEDŁEM ZA SALĘ GIMNASTYCZNĄ, ŻEBY ZAPALIĆ PAPIEROSA. WIĘCEJ ICH NIE WIDZIAŁEM. ZOSTAŁEM TAM JAKIEŚ PÓŁ GODZINY, POTEM WRÓCIŁEM DO DOMU I OGLĄDAŁEM Z MAMĄ W TELEWIZJI ONE OF THE BOYS Z DANĄ CARVEYEM, POTEM ELTONA JOHNA W SATURDAY NIGHT LIVE. NIE WIDZIAŁEM CLAYTONA MORROWA NA BALU. NIE WIDZIAŁEM ERICA „BLAKE’A” BLAKELY’EGO ANI JEGO SIOSTRY BLIŹNIACZKI ERIKI „RICKY” BLAKELY, CHOCIAŻ MYŚLĘ, ŻE WSZYSCY TAM BYLI, BO ONI TAK DZIAŁAJĄ. NIE WIEM, KTO JEST OJCEM DZIECKA EMILY. ONA NIE ZASŁUŻYŁA NA TO, CO JĄ SPOTKAŁO. CZARNY GARNITUR MIAŁEM NA SOBIE RAZ NA POGRZEBIE WUJKA JOEGO, ALE MAMA GO DLA MNIE WYPOŻYCZYŁA, WIĘC FORMALNIE GARNITUR NIE JEST MÓJ. POD RYGOREM ODPOWIEDZIALNOŚCI KARNEJ PRZYSIĘGAM, ŻE MOJE ZEZNANIE JEST ZGODNE Z PRAWDĄ.

Za plecami Andrei drzwi otworzyły się z impetem.

– Komendancie Stilton, dzięki za przybycie o tak późnej porze. – Bible już mocno ścisnął dłoń prawdziwemu Jackowi Stiltonowi, kiedy Andrea się odwróciła.  
– Obiecuję, że nie zajmiemy wiele czasu.

Starła się zachować spokój, gdy Bible dokonywał prezentacji. Lewą brew Stiltona przecinała blizna, była to biała linia w kształcie błyskawicy między cienkimi włoskami, prawdopodobnie pamiątka po jakiejś bójce. Miał wyraźnie krzywy mały palec, który pewnie źle się zrósł po złamaniu. Poza tym Jack Stilton nie wyglądał na takiego, co szuka zaczepki. Nadwaga przydała jego dorosłej twarzy coś z dziecka, choć Andrea oczywiście już wiedziała, że jest rówieśnikiem Clayтона Morrowa, człowieka, który trzy lata po opuszczeniu Longbill Beach przedstawił się Laurze jako Nicholas Harp.

Miała wrażenie, że dzieli się na dwie części, gdy wymieniała powitalny uścisk dłoni z Jackiem Stiltonem.

Przyjaźnił się z jej ojcem? Wiedział więcej, niż napisał w zeznaniu czterdzieści lat temu? Nie wyglądał na gościa, który zostaje w domu i ogląda filmy z matką.

– Oboje jesteście agentami USMS? – spytał Stilton z jawnym powątpiewaniem, czemu trudno się dziwić, ponieważ Bible przypominał podstarzałego skatera, a o Andrei można by pomyśleć, że wygrzebała swoje spodnie z kosza z chłopięcymi ubraniami w Costco. Co akurat się zgadzało.

– W rzeczy samej, oboje jesteśmy agentami United States Marshals Service, komendancie Stilton – odezwał się Bible. – I założę się, że od dziecka słyszał pan mnóstwo serowych żartów[3], mam rację?

– Nie. – Nozdrza Stiltona rozszerzyły się z wściekłości.

– To nic, coś wymyślę. – Bible walnął Stiltona w plecy. – Idźcie oboje i zaczynajcie. Ja pójdę się odlać. Oliver, wszystko dobrze?

Andrea była w stanie tylko skinąć głową, gdy Bible zniknął za drzwiami toalety.

Stilton wymienił wściekle spojrzenie z sierżantem, po czym z jawną niechęcią powiedział do Andrei:

– No to chodźmy.

Pomyślała, że Bible specjalnie rzucił ją na głęboką wodę, by sprawdzić, czy popłynie.

– Od dawna jest pan komendantem? – zwróciła się do Stiltona.

– Tak.

Czekała na ciąg dalszy, ale się nie doczekała. Stilton odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę drzwi za recepcją.

I tyle z pływania.

Skórzany pas Stiltona skrzypiał przy każdym kroku, gdy szli do pokoju funkcjonariuszy. Przestrzeń urządzono praktycznie. Była naprawdę duża, na planie prostokąta z dwoma wydzielonymi biurami w tylnej części, na drzwiach jednego widniała tabliczka PRZESŁUCHANIA, na drzwiach drugiego – KOMENDANT STILTON. Stół konferencyjny i aneks kuchenny mieściły się po jednej stronie otwartej przestrzeni. Po drugiej stały cztery biurka za przegrodami. Paliły się wszystkie górne światła, choć w budynku byli tylko oni. Andrea doszła do wniosku, że pozostali funkcjonariusze są albo na patrolu, albo w domu z rodziną.

– Kawa świeżo parzona. – Stilton machnął ręką w stronę aneksu kuchennego. – Nalej sobie, skarbie.

– Uh... – Zaskoczył ją. Jedyńm mężczyzną, który mówił do niej „skarbie”, był Gordon. – Nie, dziękuję.

Stilton opadł ciężko na wielkie skórzane krzesło na końcu stołu konferencyjnego.

– Dobra, kotku. Wyjaśnisz mi, co się dzieje, czy czekamy na twojego szefa?

Pierwszą odzywkę Andrea zignorowała, ale teraz spiorunowała go wzrokiem.

– Nie patrz na mnie jak na męską szowinistyczną świnię – zareagował natychmiast. – Na Południu nie zwracają się do dystyngowanych dam per „słodziutka”? – Jego podrabiany południowy akcent brzmiał, jakby Scarlett O’Hara skreśliła mu jaja sznurówką gorsetu. Nic dziwnego, że ludzie tak nienawidzą gliniarzy, pomyślała, a akurat ten gliniarz jeszcze coś miał do dodania: – Daj spokój, kwiatuszku. Gdzie twoje poczucie humoru?

Andrea rzuciła worek i plecak na podłogę, po czym usiadła przy stole. Zrobiła to samo co z kierowcą Ubera. Wyjęła telefon i ostentacyjnie zaczęła ignorować Stiltona. Z nerwów obraz jej się zamazywał, ale jednak zmusiła się, żeby nie

podnosić wzroku. Najpierw czuła, że Stilton gapi się na nią, aż w końcu coś do niego dotarło. Wstał z głośnym stęknieniem i poszedł do aneksu kuchennego. Usłyszała chrobot kubka, gdy zdejmował go z półki, a potem kliknięcie dzbanka z kawą zdejmowanego z ekspresu.

W końcu udało się jej skupić wzrok na komunikacie na ekranie blokady. Zgodnie z przewidywaniami miała dwie wiadomości, po jednej od obojga rodziców. Laura przysłała link do stałej wystawy sztuki rdzennych Amerykanów w Muzeum Sztuki w Portlandzie. Gordon prosił ją o telefon w weekend, o ile znajdzie czas. Andrea weszła w kontakty i odszukała numer Mike'a. Nie zapomniała, co powiedział Bible przed biblioteką.

Napisała: COŚ TY, KURWA, NAOPOWIADAŁ TYM LUDZIOM???

Niecierpliwie czekała na odpowiedź.

W końcu Mike odpisał: NIE MUSISZ DZIĘKOWAĆ!

– Wybaczcie. – Bible z rozmysłem trzasnął drzwiami i zobaczył Andreę zajęętą telefonem, ale pytanie skierował do Stiltona: – Kawa świeża?

Stilton znowu wskazał aneks szerokim gestem i klapnął na krzesło.

– Serdecznie dziękuję. – Szurając butami po płytkach, Bible poszedł do aneksu i nalał sobie kawy. – Nie zatrzymamy pana zbyt długo, komendancie Ser. Wręczy nam pan raport, a my zwrócimy go później?

– Raport? – powtórzył wyraźnie zmieszany Stilton.

Teraz i Bible wyglądał na zmieszanego.

– Myślałem, że służy tu pan od jakiegoś czasu. Może pański poprzednik zostawił coś, na co możemy rzucić okiem?

– Rzucić okiem... na co? – Stilton aż wystawił język.

– Na akta sprawy sędzi.

– Jakie akta? – Skołowany Stilton potrząsnął głową.

– A, rozumiem. Mój błąd. – Bible odwrócił się od komendanta i zaczął wyjaśniać Andrei: – Zwykle lokalni gliniarze prowadzą kartotekę aktywną, rejestrując wszystkie nietypowe zdarzenia w pobliżu domu sędziów sądu

federalnego: kręcący się obcy, auta parkujące na ulicy podejrzenie długo i takie tam. To standardowe postępowanie, gdy ma się w swojej jurysdykcji osobę będącą potencjalnym celem ataku.

Andrea wsunęła telefon do kieszeni. Wstydziła się, że w ogóle go wyjęła. Bible właśnie demonstrował, jak powinna się zachować. Zamiast ignorować dupka, powinna przypomnieć Stiltonowi, że to ona jest agentką federalną, a on jest dupkiem.

Bible ponownie zwrócił się do komendanta:

– Co z samobójstwami? Mieliście jakieś ostatnio? Niekoniecznie udane.

– Ja... – Stilton znowu się zacukał. – Były takie dwie na tej hipisowskiej farmie. Jakies półtora roku temu jedna podcięła sobie nadgarstki, a w Boże Narodzenie drugą wyciągnęli z oceanu zmarzniętą na kość. Obie przeżyły. Chciały zwrócić na siebie uwagę i tyle.

– Hipisowska farma – powtórzył Bible. – Co tam jest teraz?

– Leży niecałe dziesięć kilometrów w bok od głównej drogi wzdłuż wybrzeża, jakies półtora kilometra w linii prostej, na granicy hrabstwa.

– To miejsce z budynkami w kolorach tęczy?

– Zgadza się – potwierdził Stilton. – Od lat zajmują się tam jakimiś hydroorganicznymi bzdetami. Przyjeżdża tam na praktyki mnóstwo zagranicznych studentów. Mają sypialnie wieloosobowe, stołówkę, magazyn. Jak dla mnie to pretekst do wykorzystywania innych do pracy za darmo. Przyjeżdżają głównie studentki, bardzo młode, daleko od domu. Gotowy przepis na katastrofę.

– Stąd próby samobójcze.

– Właśnie.

Andrea patrzyła, jak Stilton wzrusza ramionami. Ona też chciała to zrobić. Nie miała pojęcia, czemu Bible pyta o samobójstwa.

– Dobrze. – Bible odstawił kubek z kawą na stół. – Dziękuję za poświęcony nam czas, komendancie. Zostawię wizytówkę. Będę wdzięczny, jeśli da mi pan znać o jakichś nowych przypadkach samobójstw.

Stilton wpatrywał się w wizytówkę, którą Bible energicznie położył na stole.

– Jasne.

– Zapewniamy sędzi całodobową ochronę, oczywiście w jej domu, informuję na wypadek, gdyby pan tego nie zauważył. Dwoje w dzień, dwoje w nocy. Co do mnie, to lubię siadywać na werandzie od frontu ze strzelbą, bo to odstrasza intruzów. Poza godzinami służby kwaterujemy w tamtym motelu przy drodze. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy wrzasnąć, a my odwrzaśniemy.

Stilton oderwał wzrok od wizytówki.

– To wszystko?

– Tak, to wszystko. – Bible poklepał go po plecach. – Dzięki za pomoc, komendancie Ser.

Andrea bez słowa ruszyła za Bible'em przez lobby do drzwi. Schodząc za nim po schodach, analizowała sytuację. Wrzucił ją na głęboką wodę, a ona poszła na dno jak kamień szcepiony łańcuchem z kowadłem. Zaczęła prawdziwą pracę ledwie parę godzin temu i już skrewiła.

Bible stanął na chodniku.

– I jak? – spytał.

Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Instruktorzy w Glynco wbijali im do głów przez całą dobę siedem dni w tygodniu, że zawsze należy zacząć od zdobycia autorytetu. Skoro ona nie zdobyła szacunku u małomiasteczkowego gliniarza, to nigdy go nie wzbudzi u jakiegoś kryminalnego drania.

– Schrzaniłam sprawę – powiedziała. – Dałam się wkurzyć, a mogłam przeciągnąć go na naszą stronę. Pewnego dnia może nam się przydać.

– Czym cię wkurzył?

– Nazwał mnie skarbem i zażartował z mojego akcentu.

– Straszna potwarz, Oliver. – Bible parsknął śmiechem. – Ignorowanie to jeden ze sposobów i czasem działa. Widziałem też dziewczyny, które podejmują grę, to znaczy odpowiadają tym samym i trochę kokietują.

Andrea nie wiedziała jeszcze wielu rzeczy, ale jedno wiedziała na pewno: flirtując z mężczyzną w pracy, nigdy nie zyska szacunku.

– A jeszcze inny sposób? – spytała.

– Zasada numer szesnaście: pomyśl o sobie jak o termometrze. Przyjrzyj się ich zachowaniu i dostosuj do tego swoją temperaturę. Komendant trochę się podgrzał, więc ty też powinnaś. Nie ma potrzeby go zmrażać. Następnym razem spróbuj. Praktyka wyrabia nawyki, które wchodzą w krew.

Kiwnęła głową, gdy usłyszała znajomy refren. Większość policyjnej roboty wymagała dostrajania własnych reakcji do sytuacji. Tymczasem ona przywykła do ekstremów.

– Dobrze.

– Już się tym nie gryź, zostaw pana Sera w lusterku wstecznym. Widziałas go pierwszy i pewnie ostatni raz.

Andrea domyśliła się, że to koniec lekcji, bo Bible ruszył przed siebie chodnikiem.

– Mój wóz stoi przed biblioteką. – Bible widział, że Andrea zostaje w tyle. – Wrzucę coś na ząb, zanim pojedziemy do sądzi.

Na wzmiankę o jedzeniu Andrei zaburczało w brzuchu. Z coraz większym trudem odrywała stopy od ziemi. Spojrzała pod nogi na betonowy chodnik. Co kilka metrów stały na ziemi czarne skrzyneczki wielkości pudełka na buty. Znała takie pułapki ze swojego nadmorskiego miasteczka. Za turystami ciągnęły gryzonie. Zastanawiała się, czy ten, kto przysłał sądzi martwego szczura, znalazł go w centrum miasta. Potem odsunęła od siebie te myśli, bo zbyt wiele wysiłku kosztowało ją samo stawianie kroków.

– Bar jest tam. – Bible przyśpieszył. – Zamówiłem dla nas dwa miejsca przy kontuarze. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem?

– Świetnie. – Andrea liczyła, że po solidnej porcji jedzenia złapie drugi oddech. Znowu zaburczało jej w brzuchu, gdy wyczuła zapach frytek. Neon baru rzucał różową poświatę na chodnik:



## KOKTAJLE MLECZNE–HAMBURGERY–OTWARTE DO PÓŁNOCY

– Wiesz, co dobre. – Bible uśmiechnął się szeroko, przytrzymując drzwi kobiecie wychodzącej z lokalu i obładowanej torbami z jedzeniem na wynos.

– Sum? – Kobieta nie posiadała się ze zdumienia. – Co ty tu robisz?

– Trener ściągnął mnie z ławki rezerwowych – skwitował, po czym dokonał prezentacji: – Judith, to Andrea Oliver, moja nowa partnerka w zapobieganiu przestępczości.

– Cześć. – Judith patrzyła na Andreę, czekając na odpowiedź.

– Mhm... – Andrea nie mogła wykrztusić słowa. – Yyy, cześć.

– Jest trochę małomówna. Daj, pomogę ci. – Bible wziął od Judith torby i odprowadził ją do stojącego niedaleko auta.

Za kierownicą siedział mężczyzna. Andrea dostrzegła Srebrną Gwiazdę przy jego pasku.

– Wrzucimy coś na ząb – powiedział Bible do Judith. – Przekaż sędzi, że będziemy o wpół do szóstej, bo muszę wtajemniczyć nową partnerkę w arkana naszej pracy.

– Bądźcie o szóstej, żebyśmy zdążyli zjeść. Babcia urządza kolację dla rannych ptaszków. – Judith otworzyła drzwi i rzuciła pikowaną workowatą torbę na siedzenie pasażera, a potem odebrała od Bible'a torby z jedzeniem.

W świetle ulicznych lamp wyglądała na nieco starszą od Andrei, pewnie dobiegała czterdziestki. Miała na sobie kolorową bluzkę i pareo zamiast spódnicy. Emanowała prostolinijnością i artystycznym luzem, więc srebrny lśniący mercedes, do którego wsiadła, kłócił się w jej wizerunkiem.

– Do zobaczenia niedługo. – Bible pomachał jej na pożegnanie.

Drzwi mercedesa zamknęły się z tłumionym trzaskiem i zamruczał silnik.

Judith patrzyła przez zamknięte okno na Andreę ze znakiem zapytania w oczach, a ona nie wiedziała, co robić. Otworzyła plecak i zaczęła w nim grzebać, jakby szukała czegoś absolutnie niezbędnego. W końcu samochód odjechał, ale twarz Judith już zdążyła wryć się w jej pamięć.

Jasnoniebieskie oczy. Wydatne kości policzkowe. Lekko zaznaczony dołeczek w brodzie.

Judith wyglądała jak ich ojciec.

[2] June Cleaver – główna postać kobieca w serialu telewizyjnym z lat 50. Leave it to Beaver, archetyp idealnej matki z amerykańskich przedmieść. Rita Moreno – amerykańska aktorka, piosenkarka, tancerka pochodzenia portorykańskiego. Lorelai Gilmore – matka nastoletniej córki z serialu Gilmore Girls ( Kochane kłopoty ). (Przyp. tłum.).

[3] Stilton to typ angielskiego sera pleśniowego, stąd aluzja do ewentualnych żartów na temat nazwiska komendanta. (Przyp. tłum.).

## 17 PAŹDZIERNIKA 1981

Pół roku przed balem

Emily zadrżała, gdy przenikliwy wiatr przygnał znad oceanu. Zamknęła oczy, chroniąc je przed wszechobecną w powietrzu solą. Była płacziwa, obolała i zmęczona, choć przy tym osobliwie czujna. Nigdy przedtem nie cierpiała na bezsenność, choć babcia powtarzała, że to rodzinna przypadłość. Może na tym polegało życie prawie osiemnastolatki – prawie dorosłej, prawie kobiety – że nie potrafiła wyłączyć umysłu, by porządnie odpocząć.

College. Stypendium. Nowe miasto, nowa szkoła, nowi przyjaciele.

Postawiła w myślach znak zapytania po słowie „przyjaciele”.

Dorastała w Longbill Beach, od urodzenia znała tych samych ludzi, te same miejsca i rzeczy. Nie wiedziała, czy pamięta, jak nawiązywać nowe przyjaźnie, i nie była pewna, czy w ogóle tego chce. Oczywiście od pierwszej klasy miała szkolnych znajomych, jednak jej życie emocjonalno-towarzyskie kręciło się wokół czworga ludzi tworzących „klikę”, a byli nimi Clay, Nardo, Blake i Ricky. Sami ochoczo tak się nazwali po tym, kiedy pan Dawson, dyrektor podstawówki, ostrzegł Ricky, że nie powinna trzymać sztamy z „tą kliką”.

Odkąd Emily sięgała pamięcią, klika spędzała razem wszystkie weekendy i wiele wieczorów, a także chodziła na wiele zajęć. Wszyscy członkowie kliki uczęszczali na kursy dodatkowe dla zdolnych uczniów. Wszyscy oprócz Blake’a trenowali biegi u pana Wexlera, wszyscy czytali fascynujące książki, dyskutowali o polityce, o wydarzeniach na świecie i francuskich filmach. Wzajemnie się stymulowali intelektualnie.

Za rok o tej porze będą rozrzućeni po różnych miejscach, a ona zostanie sama.

Skręciła w lewo w Beach Drive. Puste sklepy w centrum chroniły przed gwałtownymi podmuchami. Irytujące tłumy turystów zniknęły, co powitała z ulgą, ale i ze smutkiem. Przez ostatni rok Emily zaczęła patrzeć na wiele spraw z innej perspektywy. Oglądanie się w przeszłość stało się łatwiejsze niż spoglądanie w nieznaną przyszłość. Z każdego miejsca, na które patrzyła, wyzierała nostalgia. Ławka w parku, gdzie Clay opowiedział jej o wypadku samochodowym, w którym zginęła jego matka. Drzewo, o które się opierała, gdy Ricky zaklejała jej plastrem idiotyczne otarcie, którego się nabawiła po upadku ze schodów przed biblioteką. Uliczka między sklepikiem z ciągutkami i budką z hot dogami, gdzie dwa lata temu Blake, upojony wygraną w stanowej debacie, próbował ją pocałować.

Najpierw usłyszała hałaśliwy śmiech, a gdy na drugim końcu ulicy ujrzała chłopaków, jej serce zamruczało jak kociak. Clay i Nardo, pogrążeni w rozmowie, wystawiali twarze na popołudniowe słońce jakby wbrew ostrym podmuchom wiatru. Nardo, szczupły jak na biegacza przystało, policzki miał pełne, przez co wyglądał jak cherubinek. Clay był wyższy, poważniejszy, zrównoważony, a teraz w zdecydowany sposób poruszył głową, by spojrzeć za siebie. Blake jak zawsze włókł się za nimi, trzymając dłonie w kieszeniach sztruksowych spodni. Patrzył pod nogi, nie widział więc, że Nardo gwałtownie się zatrzymał, a Emily, która była z pięćdziesiąt metrów dalej, usłyszała okrzyk:

– Chryste! – i uśmiechnęła się, gdy Blake wpadł na Narda, natomiast Clay się potknął, a potem wszyscy trzej zaczęli nawzajem się potrać jak kulki w automacie do flipera.

Poruszył ją ich widok, ta ich beztraska młodość i młodzieńcza komitywa. Nagle łzy napłynęły jej do oczu. Chciała zatrzymać tę chwilę na zawsze.

– Emily?

Odwróciła się zaskoczona, lecz nie zdziwiła się, gdy ujrzała Jacka Stiltona, który w to późne popołudnie zamiast przebywać w domu, siedział na schodach przed posterunkiem policji. Trzymał w dłoni długopis, na kolanach miał otwarty zeszyt, ale nie napisał jeszcze ani słowa.

– Serku – powiedziała Emily, ciepło uśmiechając się do niego i ocierając łzy. – Co ty tu robisz?

– Muszę napisać pracę. – Wzburzony popukał długopisem w zeszyt. – Tata i ja nocowaliśmy na posterunku.

Serce Emily ścisnęło się z żalu. Jej matka często emanowała chłodem i zachowywała się apodyktycznie, ale przynajmniej nie była szurniętą alkoholiczką, która co jakiś czas zmienia zamki w drzwiach wejściowych.

– Współczuję ci. To koszmar.

– No. – Jack ciągle stukał długopisem w kartkę, bacznie spoglądając na chłopców, którzy szczególnie wtedy, gdy byli w grupie, odnosili się do niego bardzo nieprzyjaźnie. – Nie mów nikomu, dobrze?

– Jasne, że nie powiem. – Pomyślała, że mogłaby usiąść przy nim na schodach, niestety Clay już ją zobaczył, a ona nie chciała usłyszeć kolejnych przytyków na temat, jak to nazywał, „kolekcji zepsutych zabawek Emily”. – Przykro mi, Ser. Wiesz, że zawsze możesz się przespać w naszej szopie ogrodowej. Moi rodzice nigdy tam nie zaglądną, a ty nie musisz czekać, aż ci to zaproponuję. Jak chcesz, to jeszcze dziś zaniosę tam poduszkę i koc.

– No – powtórzył, kiwając głową. – Może.

– Em! – wrzasnął Clay, który trzymał otwarte drzwi bistra, jednak nie czekał na nią, bo i tak wiedział, że przyjdzie.

– Powinnam już... – zaczęła.

– Jasne. – Ser opuścił głowę i zaczął pisać coś w zeszycie.

Emily poczuła się źle, ale nie na tyle źle, by coś z tym zrobić. Wsadziła ręce do kieszeni płaszcza i potruchtała do bistra.

Kiedy pchnęła drzwi, zadźwięczał dzwonek, a gdy weszła do środka, owionęło ją zbyt gorące powietrze. W środku byli tylko trzech płacący rachunki klienci, samotnicy siedzący daleko od siebie na obrotowych stołkach przy długim kontuarze. No i była też klika, która zajęła swoje stałe miejsce, czyli półokrągły boks na końcu lokalu. Ricky, która niosła tacę pełną napojów gazowanych

i mlecznych koktajli, puściła oko do Emily. Wielki Al Blakely popatrywał na nich gniewnie, bo nawet poza sezonem nie lubił, kiedy klika zajmowała miejsce w jego lokalu, uznał jednak, że warto się poświęcić, by mieć na oku swoje wnuczeta. Poza tym, podobnie jak tamci trzej goście, Nardo zawsze płacił rachunek.

– Nie słuchasz. – Clay złapał koktajl z tacy przyniesionej przez Ricky, ale mówił do chłopaków. – Czy wy celowo jesteście takimi niekotami?

Nardo właśnie wrzucił do ust garść frytek, lecz i tak odpowiedział:

– Ja tam wolę być sokołem z dziobem ostrym jak brzytwa.

Tylko Ricky parsknęła śmiechem, bo pozostali jęknęli.

– Właśnie o tym mówię. – Clay wyjął słomkę z podajnika. – Świat się rozpada, ludzie głodują, ja nawołuję do rewolucji, a wy, debile, myślicie tylko o sportowych brykach i grach wideo.

– To nie fair – zaproponował Nardo. – O seksie też myślę, i to nawet często.

– Zawsze chcemy tego, czego nie mamy – skwitował Blake.

Ricky zachichotała i walnęła brata w ramię, a on westchnął z emfazą i wstał, by siostra usiadła na swoim miejscu między nim a Nardem.

Emily po cichu przycupnęła obok Claya, ale on jak zwykle ani drgnął, by zrobić jej więcej miejsca, więc zwisała z ławy jednym pośladkiem w powietrzu.

– Skoro już wspomniałeś o autach – zaczął Blake – to zauważyliście, że pan Constandt ma DeLoreana?

– Tak naprawdę – wtrącił Nardo – to mówi się DMC-12.

– Na miłość boską. – Clay odchylił głowę i spojrzał w sufit. – Czemu tracę czas z tym bezmyślnym plebsem?

Emily i Ricky zgodnie przewróciły oczami. Miały ograniczoną tolerancję na słuchanie o rewolucji z tej prostej przyczyny, że najgorsze, co kiedykolwiek zdarzyło się w ich grupie, ograniczyło się do tego, że parę lat temu Wielki Al przez kolejne wieczory i weekendy zapędzał swoje bliźniacze wnuczeta, Blake'a i Ricky, do pomocy w bistrze, by lokal stanął na nogi po niszczycielskim pożarze w kuchni.

Clay jęknął, unosząc głowę, i zacisnął wargi wokół słomki, a grdyka mu podskakiwała przy każdym łyku. Światło zachodzącego słońca, które przez szybę wpadało do środka, przydało jego pięknej twarzy anielskiego blasku. Ten widok przyprawił Emily o dreszcz pożądania. Clay był niesamowicie przystojny, miał gęste brązowe włosy i seksowne pełne usta, zupełnie jak Mick Jagger. Nawet kiedy pił, wodził niebieskimi oczami po boksie od Blake'a przez Ricky aż po Narda. Na nią, która siedziała po jego lewej stronie, nie spojrzał.

– Dobra. – Nardo jak zwykle pierwszy przerwał milczenie. – Dokończ, o czym mówiłeś.

Clay zwlekał. Siorbiąc przez słomkę, dopił koktajl i odsunął szklanekę, która wylądowała tuż przed Emily. Jej nozdrza się rozszerzyły. Mleko pachniało odstręczająco, prawie jak zepsute. Noga zaczęła jej drżeć i poczuła mdłości.

– Mówiłem – zaczął w końcu Clay – że Weather Underground robili konkretne rzeczy. Szkolili się jak żołnierze, uczyli się zasad walki partyzantki miejskiej, dzięki czemu banda żalosnych studentów college'u przekształciła się w armię, która zamierzała odmienić świat.

– Wysadzili się w powietrze w piwnicy kamienicy na Manhattanie. – Nardo był wyraźnie uszczęśliwiony, że to on przekazuje tę informację. – Trudno to uznać za zwycięską strategię.

– Uderzyli w Kapitol – Clay zaczął odliczać na palcach – i w Departament Stanu, obrobili furgonetkę Brinksa, obrzucali gliniarzy koktajlami Mołotowa i nękali sędziów sądu stanowego.

Emily zacisnęła usta. Jej matka była sędzią sądu stanowego.

– Przeprowadzili atak bombowy na pieprzony Pentagon, stary – ciągnął Clay.

– I co im z tego przyszło? – Nardo wyglądał bardziej władczo niż zwykle, gdy odgarnął z oczu kosmyk rzadkich blond włosów. Jako jedyny z chłopaków miał przekłute ucho, a brylant był ogromny. – Żadna z tych akcji nic nie dała. Wysadzili w powietrze parę pustych budynków, zabili paru ludzi...

– Niewinnych ludzi – wtrąciła Emily. – Którzy mieli rodziny i...

– Tak, tak. – Nardo machnął niecierpliwie ręką. – Zabili niewinnych ludzi i nic nie osiągnęli, bo to nic nie zmieniło.

Emily nie lubiła być deprecjonowana.

– Czy oni wszyscy nie skończyli w więzieniu albo jako zbiegowie?

Clay spojrzął na Emily po raz pierwszy, odkąd weszła do bistra. Zwykle rozkoszowała się każdą z tych chwil, kiedy okazywał jej zainteresowanie, lecz tym razem była bliska płaczu. Przyjęli go do college'u na Zachodnim Wybrzeżu, a ona miała studiować godzinę drogi od domu. Tysiące kilometrów od niego będzie usychać z tęsknoty, a on pewnie szybko o niej zapomni.

Clay skierował swoją uwagę z powrotem na Narda.

– Przeczytaj manifest Prairie Fire. Weather Underground chcieli skończyć z amerykańskim imperializmem, wykorzenić rasizm i stworzyć społeczeństwo bezklasowe.

– Czekaaj, czekaaj! – zaoponował Nardo. – Tak jakoś się składa, że bardzo lubię obecną strukturę klasową.

– Szok i niedowierzanie – mruknął Blake. – Koleś, którego dziadek był bankierem Standard Oil, chce utrzymać status quo.

– Wal się. – Nardo rzucił frytkę w kierunku Blake'a, ale wylądowała bliżej Emily. – Nie rozumiem, czemu nie traktujesz tego jak przestrogi. Weather Underground, Symbioniczna Armia Wyzwolenia... Rany, nawet Jim Jones i Charles Manson... co się z nimi stało, z nimi i z ich zwolennikami?

Emily odwróciła głowę, udając, że patrzy na pustą salę bistra. Już koktajl Claya był nie do zniesienia, a w połączeniu z frytkami z keczupem przyprawiał jej żołądek o dzikie harce. Czuła dziwną chwiejność, coś na kształt choroby morskiej na suchym lądzie.

– Nie rozumiesz, Bernardzie – zaczął Clay – że pan Wexler ma rację. W Białym Domu siedzi poplecznik Goldwatera, geriatryczny aktorzyzna filmów klasy B, który brandzluje subwencjami swoich kumpli z korporacji, a krytykuje „królowe zasiłków” i wzmacnia branżę zbrojeniową.



– Strasznie dużo informacji w jednym zdaniu – skomentowała Ricky, instynktownie orbitując wokół Narda.

– To się nazywa zrozumienie świata, kochana.

Ricky znów skrzyżowała spojrzenie z Emily. Rewolucja rzadko opowiadała się za prawami kobiet.

– Dobrze, niemniej jednak – wtrącił Blake z przewidywalną u niego drobiazgowością – można argumentować, że ciągle o nich mówimy, prawda? Albo że przez te lata nadal wiemy o Weather Underground, Charlesie Mansonie czy Jimie Jonesie, co mogłoby oznaczać, że wciąż są jakoś ważni.

– Jedno wyrasta z drugiego. – Clay rozczapierzył cztery palce. – Ten gest pokazywała Bernardine Dohrn na znak solidarności z dziewczynami od Mansona, które podźgały widelcem Sharon Tate.

– Boże. – Ricky wyglądała na autentycznie zniesmaczoną. – Dajcie spokój, chłopaki, to nie jest fajne.

Chłopcy wydali z siebie różne dźwięki oznaczające przeprosiny albo wyrozumiałość dla dziewczynskiej słabości.

Emily zobaczyła, jak Blake bierze siostrę za rękę pod stołem. Byli bliźniętami, ale nie wyglądali nawet na spokrewnionych. Ricky była niska i okrągła, a także miała perkaty nos, natomiast Blake był ze trzydzieści centymetrów wyższy od niej, kościsty i żyłasty. Różnili się nawet włosami. Ricky miała na głowie burzę loków, Blake miał opadające na ramiona proste włosy o kilka tonów jaśniejsze od siostry.

– No dobra. – Nardo znowu przejechał dłonią po swojej fryzurze, unosząc i tak już zadarty nos. – Pogadajmy o następnym weekendzie, co? Mamuśka i tatusiek w końcu spędzą kilka nocy w mieście, więc wiecie, co to znaczy.

– Comiesięczna imprezka! – Ricky na znak radości uniosła szklanę.

Emily wbiła wzrok w stół... i nagle zadrżały jej dłonie.

– Formalnie rzecz biorąc – powiedział Blake – w przyszłym tygodniu minie ponad miesiąc od ostatniej imprezki.

– Dobra, więc pod względem formalnym będzie to Comiesięczna Impreza z Plusem – rzucił Nardo. – Najważniejsze, przyjaciele, że czeka nas imprezka.

– Hura! – zawołała Ricky, wznosząc kolejny toast.

Emily próbowała zmusić płuca do zaczerpnięcia oddechu.

– Świetne wieści, stary. – Clay przechylił się przez stół i wyjął papierosa z paczki Narda. – Kto będzie tym razem?

– Właśnie – powiedział sarkastycznie Blake. – Kogo zapraszamy?

Ricky prychnęła. Nigdy nikogo nie zapraszali. Zawsze byli tylko w piątkę i taka konfiguracja najbardziej im odpowiadała.

– Jeśli mogę coś zasugerować... – Zapalony papieros zwisał w kąciку ust Claya. – Co wy na to, żeby powtórzyć sesję z naszym drogim przyjacielem panem Timothyem Learym?

Wszyscy się zaśmiali, gdy wspomniał o ikonie kontrkultury i kapłanie psychodelików, jednak u Emily drzenie dłoni przeszło na całe ciało, a krople potu zrosiły kark. Rzuciła w stronę Ricky kolejne szybkie spojrzenie. Comiesięczne imprezy zaczęli urządzać parę lat temu. Mniej przypominały klasyczne balangi, bardziej małe jam session zakrapiane alkoholem i napędzane trawką, na których rozwiązywali światowe kryzysy i prowokowali się wzajemnie do śmiechu.

Aż do ubiegłego miesiąca.

Wtedy pierwszy raz spróbowali LSD i do dziś zostały im po tamtym wieczorze dziury w pamięci.

– Ej, Emmie-Em. – Clay wyczuł jej wahanie. – Nie psuj imprezy, zanim się zaczęła.

– Bawiłaś się super – dodał Nardo. – Naprawdę suuuper.

Zrobiło się jej słabo na widok wymownych ruchów jego brwi w górę i w dół.

– On ma rację. – Ricky przyszła Nardowi w sukurs, czego można się było spodziewać. – Nie psuj innym zabawy, Em.

– No dalej, Emily! – dołączył do reszty Blake. – Znasz zasadę. Trzej muszkietierowie.

Clay wymyślił perwersyjną interpretację zasady „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Upijali się i jarali wszyscy albo nikt. Fakt, że to zwykle Emily trzeba było urabiać, jakoś umykał ich zbiorowej pamięci.

– Niech jedna nieudana podróż nie popsuje jazdy reszcie. – Clay pchnął ją w ramię zbyt energicznie, przez co jej pośladek zaczął tracić punkt podparcia, a on oczywiście znowu ją popchnął.

– Clay! – Musiała go złapać, żeby nie spaść na podłogę.

– Trzymam cię. – Objął ją w pasie, jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Emily.

Spojrzała na swoją dłoń, która opierała się mocno o jego pierś. Czuła pod palcami jego twarde mięśnie i miarowe bicie jego serca. Znow obudziło się w niej pierwotne pragnienie.

– Jezu, on już ją przeleciał – powiedział Nardo tonem pełnym pogardy i ekscytacji jednocześnie.

Clay skwitował tę sugestię prychnięciem, pomógł Emily usiąść z powrotem na ławce i strząsnął popiół z papierosa do niedopitego napoju Narda.

– Ricky – powiedział Nardo – potrzebny następny koktajl.

Ricky przewróciła oczami.

– Myślałam, że pan Wexler kazał nam zrzucić po parę kilo.

– A ja myślę, że chodziło mu przede wszystkim o ciebie, moja droga. – Nardo wyraźnie się ucieszył z jej zawstydzenia. – No, mała, przynieś mi koktajl.

– Czemu sam nie ruszysz dupy?

Dmuchnął jej dymem prosto w twarz.

– Chciałabyś.

Emily znowu się odwróciła. Od smrodu dymu ścisnęło jej żołądek. Przyłożyła ręce do twarzy, policzki miała rozpalone. Bliskość Claya zapierała jej dech w piersiach i nienawidziła swojego ciała, że tak reaguje. Poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że zakręciło się jej w głowie.

– Muszę iść do łazienki.

– Popieram. – Ricky stuknęła ramieniem Blake’a, żeby wyjść z boksu. – Spróbujcie nie wysadzić się w powietrze pod naszą nieobecność.

Tę uwagę skierowała do Narda, który w odpowiedzi znowu poruszał brwiami.

– Rany – mruknęła Emily, kiedy znalazły się poza zasięgiem uszu chłopaków. – Czemu po prostu nie powiesz Nardowi, co czujesz?

– Wiesz, czemu – odparła Ricky.

Wszyscy to wiedzieli. Bernard Fontaine od zawsze był palantem i na zawsze nim zostanie. Ricky doskonale zdawała sobie z tego sprawę, dostrzegała to w jego postępowaniu prawie przez całe życie, lecz z powodu fatalnej słabości tliła się w niej nadzieja, że Nardo się zmieni.

– Dziadku! – zawołała do Wielkiego Ala stojącego przy grillu. – Nardo chce następnego shake’a.

Wielki Al posłał jej nieufne spojrzenie, jednak podszedł do maszyny do koktajli.

Zabawne, że w jego oczach właśnie Nardo miał na resztę zły wpływ, podczas gdy to Clay nieustannie wiódł ich na skraj urwiska. Każda głupota, którą mieli na sumieniu – kradzież alkoholu, ćpanie, podwędzanie gotówki i kosztowności z aut przyjezdnych – była pomysłem Claya.

Tyle że on nigdy nie ponosił konsekwencji tych wybryków.

– Chodź, przewietrzmy się – zaproponowała Ricky.

Emily poszła za nią długim korytarzem. Zimne podmuchy wpadały do środka przez otwarte drzwi, czuła sól w powietrzu, wiatr szarpał włosy. Promenada wyglądała jak chodnik rozłożony wzdłuż brzegu.

Ricky wyjęła z kieszeni kurtki paczkę papierosów, ale Emily pokręciła głową. Ciągle czuła mdłości, co nie było niczym nowym. Ostatnio każdy zapach przyprawiał ją o nudności, czy to świeże kwiaty na kuchennym stole, czy cuchnące cygara ojca. Pewnie nabawiła się grypy żołądkowej.

Zapałka się rozjarzyła, gdy Ricky potarła ją o draszkę, i przytknęła ogień do papierosa. Zassała powietrze, jej policzki się zapadły. Wypuściła dym i zaniósła się

ostrym kaszlem. Emily przypomniała sobie coś, co Blake powiedział, gdy jego siostra pierwszy raz zapaliła papierosa:

– Wyglądasz jak ktoś, kto pali, bo uważa, że to fajne, a nie dlatego, że chce.

Emily podeszła na skraj promenady i oparła się o balustradę. W dole morze wirowało wokół pali. Czuła na skórze delikatne rozpryski wody. Policzki ciągle jej płonęły od bliskości Claya.

Ricky zawsze czytała jej w myślach.

– Pytałaś o mnie i Narda, a co z tobą i Clayem?

Emily zacisnęła usta. Cztery lata temu Clay uznał, że seks tylko skomplikuje dynamikę grupy. Emily zinterpretowała to jako sygnał, że nie jest zainteresowany, bo gdyby był... No cóż, zawsze umiał znaleźć sposób, by dostać to, czego chce.

– W przyszłym roku o tej porze będzie w Nowym Meksyku – powiedziała.

– To nie tak daleko.

– Ponad trzy tysiące kilometrów. – Emily знаła tę odległość z tabelki umieszczonej w roczniku „Old Farmer’s Almanac” należącym do jej ojca.

Ricky wykasła chmurę dymu.

– Ile trwa jazda?

Emily wzruszyła ramionami, ale знаła odpowiedź.

– Dwa, trzy dni, zależy, ile w drodze zrobisz przerw.

– Cóż, Blake i ja będziemy w Newark na starym, dobrym Uniwersytecie Delaware. – Ricky uśmiechnęła się ze smutkiem. Jedyne, co dobrego ich spotkało w związku z tragiczną śmiercią ich rodziców, to sprawa sądowa, po której założono fundusz przeznaczony na studia osieroconego rodzeństwa. – Ile to godzin od ciebie?

Emily zrobiło się głupio, bo nie sprawdziła odległości między Foggy Bottom a Uniwersytetem Delaware, musiała więc odpowiedzieć na wyczucie:

– Najwyżej dwie.

– A Nardo wylądzuje na Uniwersytecie Pensylwanii, jeśli jego ojciec przekupi, kogo trzeba. To tylko parę godzin od UD. – Ricky najwyraźniej już wszystko

przekalkulowała. – Wcale nie tak daleko, prawda? Możesz wskoczyć do pociągu i spotkać się z nami, kiedy chcesz.

Emily skinęła głową, bo bała się odezwać. Dopadło ją niesamowite przygnębienie, była rozdarta między rozpaczliwą chęcią zmiany w życiu a równie rozpaczliwym pragnieniem, by na zawsze bezpiecznie pozostać w klice.

Jeśli Ricky czuła to samo, to o tym nawet nie wspomniała, tylko w milczeniu paliła papierosa. Jedną stopę opierała o najniższy szczebel balustrady, zapatrzona w morze z grymasem niezadowolenia na twarzy. Emily wiedziała, że Ricky nienawidzi wody, bo gdy ona i Blake mieli cztery lata, ich rodzice zginęli w wypadku na łodzi. Wielki Al zapewnił im godziwe życie, niestety nie potrafił zastąpić rodziców. Rodzice Narda też nie spisywali się najlepiej, bo nieustannie byli w rozjazdach: a to podróż służbowa do Nowego Jorku, a to wakacje na Majorce, a to zbiórka pieniędzy w San Francisco, a to zawody golfowe w Tahoe czy gdziekolwiek indziej, byle tylko nie spędzać czasu z synem. Natomiast jeśli chodzi o rodziców Emily, to prawdę mówiąc, niewiele więcej można by o nich powiedzieć poza tym, że oczekiwali od córki sukcesów.

Najdziwniejsze, że to Clay miał dwoje stabilnych i kochających dorosłych w swoim życiu, ponieważ po śmierci matki adoptowało go małżeństwo Morrow. Gdzieś w świecie miał cztery siostry i brata, ale nigdy o nich nie wspominał, nie mówiąc już o szukaniu z nimi kontaktu. Pewnie dlatego, że państwo Morrow traktowali go jak dar od samego Pana Jezusa, a Clay nie lubił się dzielić.

– Em... – odezwała się Ricky. – Co się z tobą ostatnio dzieje?

– Nic. – Emily nie tylko wzruszyła ramionami, lecz również pokręciła głową. – Wszystko w porządku.

Ricky zbyt mocno strząsnęła popiół do morza. Była za dobra w wyczuwaniu nastrojów Emily.

– Dziwne, nie? Wszyscy stoimy w blokach startowych do nowego życia, a ciągle jesteśmy tutaj, prawda?

Balustrada zadrżała, gdy Ricky tupnęła nogą przy słowie „tutaj”, czyli przed bistro jej dziadka. Emily cieszyła się, że jej najlepsza przyjaciółka podobnie odczuwa chwilę przełomu i pęknięcia. Straciła rachubę, ile razy tylnym wyjściem wymykały się z bistra, podczas gdy chłopcy spierali się, która z Aniołków Charliego jest najbardziej seksowna, cytowali kwestie z Monty Pythona albo próbowali zgadnąć, która z nowych dziewczyn w szkole poszła już na całość.

Emily wiedziała, że ona i Ricky stracą to poczucie wspólnoty, gdy tylko rozjadą się na uczelnie.

– Uf. – Ricky zmarszczyła brwi, spoglądając na wypalonego w połowie papierosa. – Nienawidzę tego.

Emily patrzyła, jak przyjaciółka wrzuca niedopałek do oceanu, próbując nie myśleć, jak to podziela na ryby.

– Jesteś jakaś inna od ostatniej imprezy – zagadnęła Ricky.

Emily odwróciła wzrok. Płaczliwość wróciła. Mdłości. Drżenie. Usłyszała w głowie donośne „ding!”, dźwięk, jaki wydaje maszyna, gdy piszący dociera do końca linijki, a po chwili klekot wózka wracającego do pozycji wyjściowej. Potem wyobraziła sobie, jak wyskakują klawisze z czcionkami, tworząc słowa napisane wielkimi literami:

### OSTATNIA IMPREZA

Nie pamiętała jej. To było coś innego niż zapomnienie, gdzie posiała klucze albo co zadali do domu. W tych przypadkach jej mózg zawsze podsuwał jakieś wskazówki, wyobrażała sobie, że rzuciła klucze na stół, zamiast włożyć je do torebki, albo błędziła gdzieś myślami w czasie lekcji i zapomniała zanotować, co ma zadane do domu. Kiedy próbowała przypomnieć sobie wieczór Imprezy, jej mózg odmawiał współpracy. Betonowe schody prowadzące do wielkich frontowych drzwi domu Narda. Hol wyłożony płytkami barwy umbry. Salon na niższym poziomie ze złotymi żyrandolami i ogromnym telewizorem. Wielkie okna z widokiem na basen. System hi-fi zajmujący całą ścianę. Głośniki prawie tak wysokie jak Emily.

Tych szczegółów jej pamięć nie zarejestrowała tamtego konkretnego wieczoru. Pochodziły z wcześniejszych i wprost niezliczonych wieczorów, kiedy oznajmiała rodzicom, że zostaje na noc u Ricky albo idzie uczyć się do koleżanki, z którą nie rozmawiała od lat, bo wszyscy szli do Narda, żeby się upić, pograć w planszówki, oglądać filmy, palić marychę i dyskutować, jak naprawić ten popieprzony świat, który mieli odziedziczyć.

Noc tamtej Imprezy nadal była czarną dziurą.

Emily pamiętała, jak Nardo otwiera drzwi. Pamiętała, jak Clay kładzie na jej języku małej kawałek papieru. Pamiętała, jak siedzi na jednej z zamszowych kanap.

A potem ocknęła się na podłodze w sypialni swojej babci.

– Dobra. – Ricky westchnęła ciężko, odwracając się plecami do fal, i oparła się łokciami o balustradę, wypychając piersi do przodu jak figurka na masce auta. – Nic nie wiem o kwasie, ale Clay ma rację, nie pozwól, żeby jeden zły odlot wszystko zepsuł. Halucynogeny mają działanie terapeutyczne, na przykład używał ich Cary Grant, żeby pozbyć się traum z dzieciństwa.

Dolna warga Emily zaczęła drżeć. Poczuła, jakby nagle się rozdwoiła. Jej ciało stało z Ricky na promenadzie, lecz jej mózg pofrunął gdzie indziej, w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

– Em. – Ricky wiedziała, że coś jest nie tak. – Wiesz, że możesz ze mną pogadać.

– Wiem – odparła Emily, choć czy naprawdę mogła? Ricky miała tę osobliwą bliźniaczą więź z Blakiem, co objawiało się również tym, że jeśli powiedziało się coś jednemu, to było oczywiste, że drugie też się dowie. No i był jeszcze Nardo, który mógł z Ricky wyciągnąć wszystko. A także Clay, któremu wszyscy raportowali wszystko.

– Chłopcy pewnie się zastanawiają, co się z nami dzieje – powiedziała wymijająco.



– Wracamy do środka. – Ricky oderwała się od balustrady i ruszyła w stronę bistra. – Dostałaś ten zestaw zadań z trygonometrii?

– Ja... – Emily poczuła ściskanie żołądka. Słonawa bryza, kuchenne wonie, zapach papierosów, a może wszystkie trzy uderzyły ją w nozdrza i nagle złapały ją mdłości.

– Em? – Ricky obejrzała się za siebie w holu. – Zadania?

– Chciałam...

Zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Zatkala dłonią usta i zataczając się, poszła do łazienki. Drzwi stanęły otworem, potem uderzyły ją w bark. Rzuciła się do umywalki, bo była bliżej niż toaleta, a gdy gorący płyn wyciekł pomiędzy palców, oderwała dłoń od ust i strumień wymiocin chlusnął do umywalki.

– Rany Julek... – Ricky wyciągnęła z dozownika parę ręczników papierowych i puściła zimną wodę do drugiej umywalki. – Boże, co za smród.

Emily krztusiła się i dyszała ciężko, zaciskając powieki nad niestrawionymi ciasteczkami i napojem gazowanym, które pochłonęła z babcią przed wyjściem z domu. Nadszedł kolejny skurcz, ale nie miała czym wymiotować. Żołądek był już pusty, a ona nie mogła przestać.

– Już dobrze. – Ricky położyła mokry ręcznik na karku Emily i pogładziła ją po plecach, mrużąc uspokajająco. Nie pierwszy raz spadł na nią niezbyt zaszczytny obowiązek kojenia zarzygańców. Z całej grupy to ona miała najodporniejszy żołądek i najsilniejszy instynkt opiekuńczy.

– Kurwa! – wybełkotała Emily, używając tego słowa pierwszy raz w życiu, bo pierwszy raz w życiu miała takie mdłości. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Może coś ci zaszkodziło. – Ricky wrzuciła mokry ręcznik do kosza i wyjęła kosmetyczkę. – Od kiedy to masz?

– Od niedawna – odparła Emily, nagle uświadamiając sobie, że co najmniej od trzech dni, może nawet od tygodnia.

– Pamiętasz Paulę z zajęć plastycznych? – Ricky użyła zapalniczki, żeby rozgrzać końcówkę kredki do oczu. – Rzygała przez cały trzeci semestr i wiesz, co

się z nią stało.

Emily spojrzała w lustro i zobaczyła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Oczywiście musiałybyś pójść na całość, żeby do tego doszło. – Ricky poprawiła czarne kreski pod oczami. – Straciłaś cnotę i nic nie powiedziałaś? O cholera... – Przyjrzała się bacznie Emily, doszukując się najgorszego w jej znękaney minie. Głośno przełknęła. – Em, chyba nie jesteś...?

– Nie. – Emily pochyliła się nad inną umywalką i spryskała twarz zimną wodą. Ręce jej drżały, w ogóle cała drżała. – Nie bądź głupia. Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła. To znaczy mogłabym zrobić, ale potem bym ci powiedziała.

– A jeśli... – Ricky załamał się głos. – Cholera, Em, jesteś pewna?

– Czy jestem pewna, że wciąż jestem dziewicą? – Emily przeszła do umywalki z wymiocinami i odkręciła wodę, żeby je spłukać. – Przecież bym pamiętała, gdybym uprawiała seks. Bo to jednak coś.

Ricky milczała.

Emily popatrzyła w lustrze na twarz swojej najstarszej stażem przyjaciółki. Cisza między nimi rozbrzmiała w ciasnym wykafelkowanym pomieszczeniu jak echo wystrzału.

Impreza.

– Dostałam okres w zeszły piątek – powiedziała Emily.

– O kurwa. – Ricky zaśmiała się z ulgą. – Czemu mi nie powiedziałaś?

– Od razu ci powiedziałam, jak tylko się zaczął, wtedy, na wuefie. Mówiłam, że muszę iść do szatni zmienić szorty.

– A tak, tak... – Ricky kiwała głową, aż przekonała samą siebie, że to prawda. – Przepraszam. Pewnie dlatego tak cię wzięło. Bóle miesięczkowe są straszne.

– Zgadza się. – Emily też pokiwała głową.

– Kryzys zażegnany. – Ricky przewróciła oczami. – Powinnam zanieść Nardowi jego drogocenny koktajl.

– Rick... – zaczęła Emily. – Nie mów chłopakom, że rzygałam, dobrze? To taka żenada. Wiesz, że Nardo od razu wyskoczy z tymi swoimi żarcikami o rybach albo

z czymś równie ohydny.

– Jasne. – Ricky wykonała gest sznurowania ust i udała, że wyrzuca kluczyk, choć Emily oczami wyobraźni już widziała tę reakcję łańcuchową: Ricky – Blake – Nardo – Clay.

– Sprzątnę to. – Emily wskazała upačkaną umywalkę, ale Ricky już zamykała drzwi.

Emily usłyszała szczęk zamka.

Powoli odwróciła się i spojrzała na siebie w lustrze.

Od zawsze miała nieregularne miesiączki. Albo się spóźniały, albo przychodziły za wcześnie, a może tak kiepsko szło jej pilnowanie własnego cyklu, bo dotąd nie uprawiała seksu, więc po co miałyby zawracać sobie głowę czymś, co było zwykłym utrapieniem, a nie sygnałem, że coś jest nie tak?

Zamrugła i zamknęła oczy. Zobaczyła siebie, jak wchodzi po betonowych schodach wiodących pod frontowe drzwi Narda. Jak wyciąga język, a Clay kładzie na nim działkę kwasu. Jak budzi się na podłodze obok łóżka swojej babci. Jak jest skacowana, lepka i spanikowana, bo z kompletnie niezrozumiałego powodu ma sukienkę włożoną na lewą stronę, a pod nią żadnej bielizny.

Otworzyła oczy i patrzyła na swoje łyzy płynące po policzkach. Żołądek ciągle miała ściśnięty, ale poczuła wilczy apetyt. Była zmęczona, lecz ożywiona. Odzyskała rumieńce. Jej skóra wręcz lśniła.

Była kłamczuchą.

Wcale nie dostała okresu w zeszłym tygodniu.

Nie miała okresu od czterech tygodni.

Od czasu tamtej Imprezy.

Andrea stanęła przy umywalce w łazience w RJ's Eats i opłukała twarz zimną wodą. Przez chwilę studiowała swoje odbicie w lustrze. Stwierdziła, że nie wygląda na tak roztrzęsioną, jak się czuje. Wreszcie spotkała córkę Emily, najpewniej swoją przyrodnią siostrę! Fakt, że zawdzięcza to raczej czystemu przypadkowi niż swoim umiejętnościom detektywistycznym, postanowiła potraktować jako dar zamiast zapowiedź porażki.

Judith.

Wyjęła z kieszeni telefon i wpisała do wyszukiwarki „Judith Vaughn”, ale nie znalazła nic prócz dwóch nekrologów po śmierci jakiejś bardzo wiekowej kobiety oraz konta na LinkedIn, gdzie nie miała zamiaru się rejestrować. Instagram, Twitter i TikTok okazały się ślepyimi zaułkami. Sprawdziła jeszcze Facebooka, na którym znalazła więcej starszych pań, oraz zdjęcia – jak założyła – ich wnuków. Imię pochodziło z innego stulecia, więc to miało sens. Nawet kiedy zawęziła poszukiwania do stanów Maryland i Delaware, nadal nie mogła znaleźć Judith Vaughn, która pasowałaby do tej, na którą gapiła się na ulicy.

Przycisnęła telefon do piersi. Jej równoległe śledztwo w sprawie Nicka Harpa nie mogło stanąć w miejscu z powodu bezskutecznych poszukiwań w necie. Judith nie wyglądała na mężatkę, miała jednak córkę, może więc nosiła nazwisko partnera czy ekspartnera. Lub partnerki, bo to też się zdarzało.

Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko i próbowała przeanalizować, co mogło wynikać z tej nowej informacji. Wprawdzie uznała, że Bernard Fontaine, Eric Blakely i Erica Jo Blakely nie korzystali z mediów społecznościowych z powodów generacyjnych, jednak mogło to być błędne założenie. Jej matka była zaledwie o kilka lat młodsza od dawnych przyjaciół Emily, a miała konto na Facebooku. Co

prawda Laura spędzała więcej czasu na serwisie Nextdoor, ale tylko dlatego, że ludzie żyjący przez okrągły rok w miasteczkach położonych nad brzegiem oceanu byli albo plotkarzami, albo świrami, wśród których czaili się potencjalni seryjni zabójcy.

Drzwi łazienki się otworzyły.

Kobieta z burzą szpakowatych loków uniosła brwi na widok Andrei. Miała na sobie czerwony fartuch i biały T-shirt, a na obu nadgarstkach mnóstwo czarnych i srebrnych bransoletek à la Madonna z lat osiemdziesiątych. Przerwała żucie gumy, żeby zapytać:

– Wszystko w porządku, skarbie?

– Yyy... – Wargi Andrei znowu odmówiły posłuszeństwa. Kobieta była dobrze po pięćdziesiątce, raczej bliżej sześćdziesiątki, na oko ważyła z sześćdziesiąt pięć kilogramów, pod ciemną farbą połyskiwały siwe odrosty. Andrea poznała kelnerski fartuch w paski, ale litery RJ na plakietce uruchomiły mały dzwoneczek w jej głowie.

– Skarbie? – Kobieta roztaczała wokół siebie aurę matczynego ciepła, jakby zawsze miała przy sobie torbę z niezbędnymi rzeczami i ciasteczka na wypadek, gdyby ktoś ich potrzebował.

– Yyy – powtórzyła Andrea. – Tak, przepraszam. Wszystko w porządku. Dziękuję.

– Nie ma problemu. – Kobieta wróciła do żucia gumy i weszła do jednej z dwóch kabin.

Andrea zdołała się powstrzymać i nie popatrzyła na nią przez szparę w drzwiach. Dorastała w małym mieście i doskonale wiedziała, że ludzie zwykle tam zostają.

Zaczekała na odgłos siusiania, po czym wróciła do Google'a i weszła na stronę bistra. Ominąwszy baner z napisem POSZUKUJEMY PRACOWNIKÓW, kliknęła w zakładkę z historią lokalu, którego początki sięgały lat trzydziestych dwudziestego wieku, gdy pradziadek Wielki Al Blakely zaczął sprzedawać napoje.

Po jakimś czasie kupił to bistro i przekazał je swojemu synowi Wielkiemu Alowi juniorowi, potem wybuchł pożar, który niemal doprowadził do upadku firmy, ale dwadzieścia lat temu lokal zmienił nazwę na RJ's, kiedy kobieta okupująca kabinę w damskiej toalecie rzuciła posadę redaktorki naczelnej „Longbill Beacon”, by przejąć bistro. Andrea znalazła jej zdjęcie i nazwisko pod spodem:

RJ „Ricky” Fontaine.

Ja, Erica Jo Blakely, nie byłam na balu zeszłego wieczoru. Zostałam w domu, byłam sama mniej więcej do szóstej, kiedy mój brat wrócił wcześniej z balu, bo tam było nudno. Obejrzelśmy Płonące siodła , Czy leci z nami pilot? i kawałek Obcego na wideo, a potem poszliśmy spać. Nic nie wiem o dziecku Emily Vaughn. Byłam jej najlepszą przyjaciółką od przedszkola, ale ostatni raz rozmawiałam z nią pięć miesięcy temu i powiedziałam, żeby więcej się ze mną nie kontaktowała. Nie pogniewaliśmy się ani nie pokłóciłyśmy, tylko mój dziadek kazał mi trzymać się od niej z daleka, bo Emily używała narkotyków, co było prawdą. Nie wiem, co się z nią stało, ale to nie było w naszym stylu. Okazała się pełna gniewu i goryczy. Wszystkim szkoda i jej, i jej rodziny, bo ona pewnie umrze, lecz to nie zmienia prawdy ani faktów. Pod rygorem odpowiedzialności karnej przysięgam, że moje zeznanie jest zgodne z prawdą.

Andrea znowu spojrzała na siebie w lustrze, zachodząc w głowę, czemu wcześniej nie złożyła w całość tej łatwej układanki. To oczywiste, że Ricky Blakely wyszła za Narda Fontaine'a, przez co do tej pory nie udało się jej namierzyć. Pewnie byli parą od liceum. Takie rzeczy często dzieją się w małych miastach.

Jej odbicie w lustrze odwzajemniło uśmiech. Powinna kopnąć się w tyłek, że nie wpadła na to wcześniej, ale nagle przepełniła ją radość. Udało się! Zlokalizowała kogoś, kto był blisko związany z Emily. Bez względu na sarkastyczny ton zeznania Ricky, były przyjaciółkami przez większość życia Emily. Dorosła Ricky była już ponad tamtym drobnym sporem. I na pewno wiedziała wszystko.

Radość zgasła równie szybko, jak się pojawiła.

Niby jak ma skłonić Ricky do mówienia? Nie mogła ot tak, po prostu zastukać w drzwi kabiny i poprosić ją o każdy szczegół brutalnego zabójstwa jej najlepszej przyjaciółki sprzed czterdziestu lat, a na koniec zapytać jak gdyby nigdy nic, czy inny przyjaciel z dzieciństwa nie jest zabójcą.

Gdyby Ricky chciała obrzucić Claytona Morrowa błotem, zrobiłaby to kilkadziesiąt lat temu, kiedy straszliwe czyny Nicka Harpa przyciągnęły uwagę mediów krajowych. We wszystkich artykułach, które Andrea przeczytała, występował pod swoim prawdziwym nazwiskiem jako Clayton Morrow z Longbill Beach. Z biogramu Ricky wynikało, że też pracowała w mediach, a konkretnie w gazecie, jednak Andrea nie natknęła się na żadne bezpośrednie świadectwo kogoś, kto dorastał z jej ojcem. Z tego, co wiedziała, nikt z Longbill Beach nigdy nie rozmawiał z prasą. Rodzeństwo Clay'a vel Nicka nie zostało odnalezione ani nie zgłosiło się samo, a jego przybrani rodzice odmówili wszelkich kontaktów z prasą. Ponieważ oboje zmarli ponad trzydzieści lat temu – matka na raka piersi, ojciec na zawał serca – zatem wszystkie szczegóły o ich synu umarły razem z nimi.

Tym sposobem Andrea wróciła do punktu wyjścia.

Poczuła, że wchodzi w buty dawnej Andy, dziewczyny, która psychicznie szykuje się na porażkę. Ale jeśli w akademii nauczyła się czegoś konkretnego, to rozbijania zadań na mniejsze fragmenty, które po kolei należy ogarnąć. W tej chwili była na etapie gromadzenia informacji. Wykona drugi krok, kiedy nadejdzie właściwy moment. Teraz mogła jej pomóc tylko jedna rzecz: musiała przestać myśleć o swoim ojcu jak o Nicku Harpie. To Clayton Morrow należał do kręgu podejrzanych w sprawie zabójstwa Emily Vaughn. I jeśli obciąży zarzutem Clay'a, wtedy załatwi również Nicka.

Wyraźny dźwięk odwijanego papieru toaletowego postawił Andreę w stan gotowości. Dziwne było stać tu przez cały czas, kiedy Ricky załatwiała się w kabinie, ale jeszcze dziwniej byłoby tkwić tu nadal po wyjściu Ricky z kabiny. Musiała wyjść, zanim usłyszy spuszczenie wody.

Celowo skrzyła w lewo zamiast w prawo w stronę części jadalnianej. Mimo sporego ruchu kuchnia była pusta. Andrea poszła dalej długim korytarzem. Drzwi

były otwarte, za nimi widać było promenadę i usłyszała szum fal. Pojawił się mężczyzna w stroju kucharza i spojrzał na nią zaintrygowany. Wyglądał na jej równolatka, do tego był czarny, więc to nie Eric Blakely. Może siostrzeniec? Albo syn?

Znowu wyjęła telefon, wpisała do wyszukiwarki „RJ Blakely” i znalazła konto na Twitterze: @RJEMSMF.

RJ Eats Milkshakes Motherfucker.

Punkty za oryginalność. Szybko przewinęła odpowiedzi i zobaczyła wiele pozytywnych opinii od turystów i zwyczajową porcję kretyńskich wpisów, jakich pełno na Twitterze. Zdecydowanie przeważały zdjęcia koktajli ustawionych na kontuarze bistra, a większość z nich zawierała alkohol. Andrea nigdy nie przywykła do alkoholu umieszczonego w menu. Dorastała na Południu, gdzie amfę i broń można zdobyć niemal na każdym rogu, natomiast sprzedaż alkoholu podlega ścisłej kontroli.

Drzwi łazienki zaczęły się otwierać, więc Andrea pośpiesznie ruszyła korytarzem w stronę sali, jednak zdążyła jeszcze usłyszeć, jak Ricky szepcze coś ze złością do telefonu, jakby domagała się rozmowy z menedżerem.

– Wykluczone – syknęła. – To niedopuszczalne.

Szmer głosów wypełnił restaurację, gdy posunięci już w latach turyści wrzucali do ust smażone potrawy. Andreę zabolął brzuch na widok Suma Bible’a, który siedział na drugim końcu kontuaru. Było za wcześnie na kolację, ale oprócz śniadania złożonego z krakersów posmarowanych masłem orzechowym nic dziś nie jadła. Kiedy zobaczyła czekającego na nią hamburgera z frytkami przy pustym stołku barowym obok Bible’a, musiała wytrzeć ślinkę z kącików ust.

– Zacząłem bez ciebie – oznajmił, jak dziecko objadając kęsy wokół hamburgera. – Porządne miejsce. Byłem tu już i uznałem, że będziesz miała ochotę na ofertę specjalną.

Nie odpowiedziała, tylko usiadła, i najgłębiej, jak mogła, wepchnęła do ust burgera, a potem pociągnęła kilka łyków coli, żeby przełknąć. I skrzywiła się



z powodu nieoczekiwanego smaku w ustach.

– Szok, nie? – rzucił Bible. – Mają tylko pepsi.

Tylko pepsi? Andrea potrząsnęła głową, bo to nie było w porządku.

– Jak trafiłaś do organów ścigania? – spytał.

Poczuła, jak jej gardło rozciąga się niczym brzuch pytona, gdy przełknęła kulę mięsa i bułę. Każdy kursant miał w Glynco swoją historię: wujka, który zginął na służbie, rodzinę policyjną z tradycjami sięgającymi poprzedniego stulecia, palącą potrzebę chronienia i służenia innym.

Mogła odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

– Pracowałam na komisariacie lokalnej policji.

Skinął głową z pewną dozą niedowierzania i Andrea zadała sobie w duchu pytanie, jak głęboko sięgnęło grzebanie w jej aktach. Czy na przykład dokonali rozróżnienia między mundurowym gliniarzem służącym na ulicy a operatorką numeru dziewięćset jedenaście, która pracowała po nocach i padała jak wampir, kiedy wstawało słońce?

– Ja byłem w marines i na początku wojny w Zatoce złamałem palec u nogi, więc odesłali mnie do domu, żebym się wykurował. Wtedy moja żona Cussy dała mi wyraźnie do zrozumienia, że jeśli nie odejdę z wojska, to urwie mi jaja, i ostatecznie wylądowałem w USMS.

Andrea patrzyła, jak Bible wzrusza ramionami, ale oczywiście on też pominął mnóstwo rzeczy.

Zanurzył frytki w keczupie.

– Studiowałaś? – spytał.

– W Savannah. – Wepchnęła do ust kolejną porcję burgera i niechętnie skonstatowała, że Bible czeka na dalszy ciąg. – Rzuciłam pół roku przed dyplomem.

Przez chwilę przeżuwał razem z nią, po czym stwierdził:

– Pierwszy przydział dostałem w Dystrykcie Południowym. Mają tam bardzo ładną siedzibę przy Bull Street. Chyba nie mówisz o Savannah College of Art and

Design, co?

Przełknęła ostatni kęs burgera. Na początku szkolenia w Glynco uświadomiła sobie, że nie ma eleganckiego sposobu na oznajmienie, że wymiękła przed dyplomem ze scenografii na SCAD po oblaniu „roli oświetlenia w narracji”, bez wywołania u słuchaczy zdumienia, które by odczuli na widok motyli wylatujących z tyłka pierdzącego jednorożca.

Przedstawiła Bible'owi wersję do przełknięcia:

– Dostałam pracę w Nowym Jorku. Mieszkałam tam, póki u mojej matki nie wykryto raka piersi, więc wróciłam do domu, żeby się nią zająć. Pracowałam w lokalnej policji i na tablicy ogłoszeń zobaczyłam informację o rekrutacji do USMS. Przez półtora roku klikałam ODSWIEŻ na stronie, aż w końcu przyjęli moje zgłoszenie.

Bible zboczył z tematu.

– Jaką sztuką się zajmowałaś? – zapytał chyba naprawdę zaintrygowany.

– Niewystarczająco dobrą – odparła lakonicznie. Potrzebowała zmiany tematu, a poza historią jej życia Bible był zainteresowany tylko jedną sprawą. – Czemu pytałeś komendanta Stiltona o samobójstwa w okolicy?

Dopił pepsa i odparł:

– Skłonności mordercze i samobójcze idą w parze.

W Glynco uwielbiali takie złote myśli prawie tak samo jak akronimy, jednak tę frazę Andrea usłyszała po raz pierwszy.

– To znaczy?

– Adam Lanza, Israel Keyes, Stephen Paddock, Eric Harris i Dylan Klebold, Elliot Rodger, Andrew Cunanan – odparł.

Dzięki stałej diecie złożonej z powtórkowych programów Dateline NBC rozpoznała nazwiska sprawców zabójstw w amoku i masowych zabójców, ale klasyfikowała tę kwestię jako potworność i na tym poprzestała.

– Wszyscy popełnili samobójstwo, zanim zostali ujęci – stwierdziła po chwili namysłu.

– Zgadza się. Wykazywali się intrapunitwnością, co jest wymyślną nazwą reakcji psychicznej polegającej na tym, że ktoś kieruje dudniącą w nim złość, wrogość, frustrację i pretensje do świata przeciwko sobie. Mieli udokumentowane myśli samobójcze i mordercze fantazje. Tacy ludzie nie zabijają pod wpływem impulsu, tylko konsekwentnie do tego zmierzają. Piszą, fantazjują i opowiadają o tym, a także z tego powodu lądują w szpitalu. – Bible wytarł usta i rzucił serwetkę na talerz. – Pięć lat temu było może tysiąc gróźb rocznie pod adresem sędziów. W zeszłym roku mieliśmy już ponad cztery tysiące.

Andrea nie pytała o powody. W obecnych czasach wszyscy byli wkurzeni, a już zwłaszcza na rządzących.

– Czy którąś z tych gróźb spełniono?

– Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku były tylko cztery przypadki zabójstw sędziów federalnych. Jeden z nich nie spełnia kryteriów, bo sędzia zginął w sklepie Safeway, gdzie celem była pewna kongresmenka.

Prócz Dateline NBC Andrea karmiła się podcastami o prawdziwych zbrodniach.

– Gabby Giffords – powiedziała.

– Tak, to ona. Podoba mi się, że słuchasz – stwierdził Bible. – Wszyscy zamordowani sędziowie to mężczyźni. Ich zabójcy też, o czym wiemy, bo ich ujęliśmy. Wszyscy prócz jednego byli nominatami partii republikańskiej. – Bible urwał, by się upewnić, że Andrea nadała. – Znamy tylko dwa przypadki, w których członkowie rodziny sędziego zostali zamordowani albo ciężko ranni. W obu przypadkach dotyczy to kobiet sędziów, i to one były celami. Obie dostały nominację z ramienia demokratów. W obu przypadkach zabójcami byli biali mężczyźni w średnim wieku. Obaj cierpieli na ciężką depresję z powodu utraty pracy, rodziny, pieniędzy. I obaj popełnili samobójstwo.

– Skłonności mordercze i samobójcze. – Andrea w końcu załapała, do czego zmierza Bible. Na kursie nauczyła się jeszcze tego, że organy ścigania kochają swoje statystyki. – Rozumiem. Zazwyczaj na podstawie przeszłego zachowania

można przewidzieć przyszłe zachowanie, i te wzorce generalnie powtarzają się u innych typów seryjnych zabójców.

– Właśnie.

– Dlatego prosiłeś komendanta Sera o powiadomienie o przypadkach samobójstw w okolicy. Biały mężczyzna w średnim wieku o skłonnościach samobójczych pasuje do profilu osoby, która może podjąć próbę zabójstwa sędzi kobiety. – Odczekała, aż Bible potaknie. – Ale zarzucasz sieć bardzo szeroko. Ilu facetów pasujących do opisu podejmie próbę samobójczą w danym dniu, choć wcale nie chce zabić sędzi?

– W Stanach dochodzi do stu trzydziestu udanych prób samobójczych dziennie. Około siedemdziesięciu procent samobójców to biali mężczyźni w średnim wieku, większość odbiera sobie życie przy użyciu broni palnej. – Bible uniósł palec. – Uprzedzając twoje następne pytanie: nie, nasz ptaszek się nie zabił. Myślę, że próbował, jednak bez powodzenia. Tak to u nich działa. Gdyby nie byli życiowymi nieudacznikami, przegrywami, jak się o nich mawia, nie byłiby tacy wściekli. Wiemy, że nasz ptaszek nie wyszedł ze szpitala po nieudanej próbie, bo inaczej istniałby raport policyjny, a wśród osiemdziesięciu czterech przypadków prób samobójczych zareportowanych w pięciu sąsiednich stanach w ciągu ostatnich pięciu dni żaden nie ma związku z sędzią.

Andrea poczuła, że jej mózg zaczyna się budzić. To nie była tylko ciekawość. Bible bardzo poważnie traktował swoją teorię.

– Niby czemu miałyby istnieć jakiś raport policyjny? – spytała. – Przecież próba samobójcza nie jest sprzeczna z prawem.

– W Marylandzie i Wirginii formalnie jest. To sięga angielskiego prawa zwyczajowego z trzynastego wieku. – Wzruszył ramionami. – Jest legalna w Delaware, ale ogólnie rzecz biorąc, z próbami samobójczymi często wiążą się leki zdobyte nielegalnie albo nielegalnie posiadana broń. Nie mówiąc o tym, że jest w to umoczony jakiś były partner, sąsiad czy współpracownik.

Ten argument miał sens, mimo to Andrea zacytowała słowa samego Bible'a:

– Nie jesteśmy śledczymi. Mamy zapewnić sędzi bezpieczeństwo, to jest nasze zadanie.

– Jasne, ale myślałem, że tak sobie tylko gadamy, partnerko. Nie wyśledzisz za wiele nad tłustym cheeseburgerem, chyba że ścigasz zgagę. Dzięki.

Ricky podeszła do nich z dolewką napojów. Jej trzonowce przeżuwały gumę jak urządzenie mechaniczne. Zaczęła od Andrei i znowu puściła do niej oko.

– W porządku, skarbie?

– Tak, proszę pani. – Andrea spojrzała na szklankę, próbując zapanować nad emocjami. Ciągle była w euforii z powodu namierzenia Ricky. Mogła tylko modlić się w duchu, żeby Bible tego nie zauważył.

Jednak zauważył.

– Wygląda na to, że masz nową koleżankę.

Andrea nie zareagowała na tę sugestię, natomiast stwierdziła:

– Szczegóły z życia osobistego.

– Co? – spytał Bible, popijając pepsi.

Odczekała, aż odstawi szklankę.

– Powiedziałeś, że w listach przysłanych do kancelarii sędzi były pewne szczegóły z jej życia osobistego, dlatego groźby śmierci uznano za wiarygodne. Z tego by wynikało, że ktokolwiek grozi sędzi, zna ją przynajmniej na tyle, by znać te szczegóły.

– A niech mnie, Mike miał rację co do ciebie, Oliver. Jesteś bystrzacha, bez dwóch zdań. Chciałbym mieć twoją pamięć. Nauczyłaś się tego w szkole artystycznej? Takiej dbałości o detale?

Andrea wyczuła, że Bible chce ją podpuścić, dlatego zagadnęła z innej beczki:

– Wygląda na to, że dobrze znasz Judith.

Znowu sięgnął po szklankę, dopił pepsi, odstawił szklankę na kontuar. Potem powoli okręcił się na stołku, aż znalazł się twarzą w twarz z Andrea.

– Na poważnie?

– Jasne.

– Jeśli między nami ma się ułożyć, Oliver, to muszę wiedzieć o tobie tylko jedną rzecz.

Przeczuwała jakiś kit, więc naszykowała własną porcję kitu.

– Jestem otwartą księgą, Bible. Pytaj, o co chcesz.

– Tarta czy cobbler[4]?

– Tarta.

Bible wstrzymywał oddech, ale teraz wypuścił powietrze z płuc.

– Co za ulga. – Okręcił się na stołku plecami do niej i uniósł rękę, przywołując kelnerkę.

Andrea patrzyła przez okno auta na ciągnące się w nieskończoność ogromne wakacyjne domy po zachodniej stronie Beach Road. Nie musiała zaglądać do miejskiej ewidencji nieruchomości, by wiedzieć, że rozrastające się rezydencje pochłonęły chatki, do których letnicy przyjeżdżali od pokoleń. To samo zjawisko nadmiernej zabudowy wolnej czy półwolnej przestrzeni wystąpiło w Belle Isle. Skromny dom Laury na plaży przyćmiły gargantuiczne rezydencje, które ona nazywała gigandencjami. Nieustannie skarżyła się na liściki znajdujące w skrzynce pocztowej, w których proponowano jej kupę kasy za tę niewielką posiadłość.

– Głębki – mruzczała, drąc kolejne listy. – Niby dokąd miałabym pójść?

Andrea zerknęła na Bible'a, który od wyjścia z bistra był niezwykle milczący. Światła z deski rozdzielczej rzucały na blizny na jego twarzy niesamowity blask. Bębnił palcami w kierownicę w rytm yacht rocka z radia. Często wyobrażała sobie, że pokolenie jej matki spędzi późną starość w domach opieki, szurając nogami do piosenek Duran Duran i krzycząc na opiekunów: „Co ty gadasz, Willis?”[5].

Mimo swojskiego gustu muzycznego Bible'a, Andrea nie wiedziała, czy może całkiem zaufać swojemu nowemu partnerowi. Było oczywiste, że zna rodzinę Vaughnów lepiej, niż to okazywał. Przynajmniej na tyle dobrze, że Judith przywitała go jak starego przyjaciela. Z pewnością próbował odnaleźć człowieka, który groził sędzi, chociaż jasno dał do zrozumienia, że śledztwo nie jest ich

zadaniem. Poza tym nie dzielił się z Andrea swoimi ustaleniami, co według niej w ich układzie było fair, bo ona też nie dzieliła się z nim informacjami o swoim równoległym dochodzeniu.

Otworzyła usta, uważając, że powinna go wciągnąć w rozmowę, ale wtedy przypomniała sobie, co mówił o termometrze. Teraz on ochłódł, więc i ona powinna obniżyć temperaturę.

Popatrzyła na gargantuiczne rezydencje. Ciągle była na etapie gromadzenia informacji o nierozwiązanej sprawie zabójstwa Emily Vaughn. Faktem jest, że nikt nie wiedział na pewno, czy to Clayton Morrow jest winny tej śmierci. Andrea miała nadzieję, że tak, bo dzięki temu nie tylko pozostałby za kratami, lecz także jej rodzina zyskałaby trochę spokoju. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to bardzo nieprofesjonalne zaczynać od rozwiązania i cofać się, by znaleźć tropy na poparcie gotowej tezy.

Nie trzeba miesięcy szkolenia w Glynco, by wiedzieć, że szukanie motywu, narzędzia zbrodni i sposobności to punkt wyjścia każdego śledztwa w sprawie zabójstwa. Andrea zastosowała tę formułę do brutalnego ataku, który doprowadził do śmierci Emily Vaughn.

„Narzędzie zbrodni” nie nastroczało kłopotów. Była to deska użyta jak kij bejsbolowy. Komendant Stilton senior dopasował ją do uszkodzonej palety w uliczce, gdzie napadnięto Emily, a samo narzędzie zbrodni najpewniej zostało wyrzucone z samochodu. Pewien spacerujący z psem człowiek dostrzegł rozłupaną deskę z plamami krwi przy głównej drodze między centrum a Skeeter’s Grill.

„Sposobność” też była łatwa do ustalenia. Prawie wszyscy uczniowie najstarszych klas liceum w Longbill Beach przyszli tego wieczoru na bal maturalny. Także nauczyciele, którzy mieli pilnować porządku, oraz rodzice, którzy nie potrafili w taki wieczór usiedzieć w domu. Biorąc pod uwagę średni wiek uczestników balu, Andrea założyła, że wszyscy korzystali z transportu prywatnego. A ciało Emily nie zawiozło się samo do kontenera na śmieci na skraju miasta.

Pozostawał „motyw”. Nie ma ważniejszego motywu niż utrzymanie tajemnicy. Najbardziej prawdopodobnym motywem ataku na Emily był fakt, że ojciec jej dziecka chciał pozostać anonimowy. I ze wszystkich relacji wynikało, że Emily spełniła jego wolę. Ta kwestia wpływała regularnie w zeznaniach świadków, jednak nikt nie znał odpowiedzi, kto był ojcem.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku nie istnieli nastoletni tatuśkowie. Jeśli zaliczyłeś wpadkę, to albo żeniłeś się z dziewczyną, albo zaciągałeś się do wojska. Jeśli Clay nie był ojcem, to zaraz po nim podejrzanymi byli Nardo oraz Eric Blakely. Z zeznań niektórych świadków wyzierała jawna zazdrość wobec grupy. Często opisywano ich jako arogantów wykluczających innych, ktoś nazwał ich wręcz „kręgiem kazirodczym”. Ricky wyszła za Narda i bardzo sensowne było przypuszczenie, że jeden z chłopaków zainteresuje się Emily. Ale o wiele mniej sensowne było to, że Emily go chroniała.

Chyba że bała się wyjawić jego personalia z obawy o własne życie.

Dla kogoś, kto nie spędził długich miesięcy na szkoleniu dla funkcjonariuszy organów ścigania, DNA wydawało się łatwym rozwiązaniem. Niestety możliwość legalnego porównania DNA Judith i Andrei nie gwarantowała definitywnego rozstrzygnięcia. Pokrewieństwo między przyrodnim rodzeństwem można stwierdzić tylko wtedy, gdy dysponuje się próbkami DNA obu matek, a DNA Emily nie znajdowało się w systemie. Strony takie jak Ancestry.com pomagały w tropieniu rodzinnego DNA, jednak i tu należało znaleźć się w systemie na wypadek potencjalnego dopasowania, a sam fakt dopasowania pokazywał tylko istnienie genetycznego związku.

Była jeszcze CODIS (Combined DNA Index System), czyli baza danych skazanych przestępców w gestii FBI. Z tego, co wiedziała Andrea, Nardo i Eric Blakely nigdy nie byli o nic oskarżeni i tym samym nie figurowali w rejestrze skazanych, natomiast DNA Clayтона Morrowa jako brutalnego przestępcy znajdowało się w systemie. Z tym że nawet gdyby Andrea zdobyła próbkę śliny Judith, w legalny sposób nie mogłaby załadować jej danych do bazy dla



porównania. Do tego potrzebne były zgoda i nakazy, i nawet Jasper nie zdołałby tego załatwić bez wiedzy Clayтона Morrowa.

A gdyby Clay się o tym dowiedział, próbowałby temu zapobiec.

Dzwonek telefonu przerwał rozważania Andrei.

Bible zerknął na wielki ekran dotykowy na desce rozdzielczej, na którym wyświetlił się napis BOSS, i mruknął:

– Oho, góra do nas. – Nacisnął ODBIERZ i powiedział: – Bible i Oliver na głośniku.

– Jasne. – Ku zaskoczeniu Andrei, chrypliwy głos należał do kobiety. – Agentko Oliver, witam w naszych szeregach. Przepraszam, że nie powitałam pani osobiście, ale jak pani wiadomo, procedura pani powołania do mojego wydziału odbyła się poza normalnym trybem.

Andrea uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, o jakim wydziale mówi jej nowa szefowa.

– Tak, oczywiście, rozumiem.

– Na pewno zdążyła już pani przeczytać mojego maila. Proszę dać znać, jeśli będzie pani miała jakieś pytania.

– Tak... – Coś ścisnęło Andreę w gardle. Nie zaglądała do służbowego telefonu od chwili poetyckich uniesień zaserwowanych matce o drzewach w Oregonie. – Tak, szefowo, dziękuję. Tak zrobię.

Bible obserwował, jak Andrea usiłuje otworzyć służbowy telefon. Jej iPhone miał funkcję rozpoznawania twarzy, ale uruchomienie smartfona z Androidem wymagało wprawy. Kiedy wreszcie poradziła sobie z prawidłowym przesunięciem palca po ekranie, zobaczyła sześćdziesiąt dwie nieprzeczytane wiadomości. Szybkie przewinięcie w dół po tematach wiadomości powiedziało jej, że przypisano ją do JSD, czyli Judicial Security Division[6], co nie było zaskoczeniem, skoro miała zapewnić bezpieczeństwo sędzi.

– Dzięki za telefon, szefowo – włączył się w rozmowę Bible. – Mamy nocną zmianę, zaczynamy punkt szósta. Pojedziemy trochę wcześniej, żeby Oliver mogła

rozejrzeć się po terenie.

– Doskonale – odparła szefowa. – Oliver, gratuluję przydziału. Zawsze uważałam, że Mike ma nosa do ludzi. Nigdy nie wierzyłam w plotki.

Andrea zacisnęła zęby, przeglądając kolejne maile. Miała ochotę zabić Mike'a gołymi rękami.

– Muszę kończyć – dodała szefowa. – Oliver, moje drzwi są zawsze otwarte.

W końcu znalazła powitalną wiadomość od nowej przełożonej. W samą porę, bo wreszcie wiedziała, jak zwracać się do zastępczyni komendanta Cecelii Compton.

– Dziękuję, pani komendant.

Bible uśmiechnął się szeroko na znak aprobaty.

– Skontaktuję się później, szefowo. Spodziewam się telefonu od żony jeszcze przed początkiem zmiany.

– Rozumiem.

Gdy szefowa zakończyła rozmowę, Bible oznajmił:

– Zasada numer trzydzieści dwa: zawsze sprawdzaj maile, zanim je zignorujesz.

– Słuszna zasada – mruknęła Andrea, przeglądając rozliczne wiadomości od kolegów i koleżanek po fachu witających ją w szeregach agentów. Nawet Mike wpasował się w ogólny nastrój i wysłał jej neutralnego służbowego maila, którego treść mógł przygotować szef działu personalnego.

Zadzwoił inny telefon.

– To Cussy, moja żona. – Bible przycisnął do ucha prywatny telefon, odwrócił lekko głowę dla zachowania pozorów prywatności i rzucił do słuchawki: – Jak mija dzień, moja piękna?

Andrea ignorowała jego zawstydzająco miękki ton, nie przestając przewijać maili. Wyglądało na to, że odezwali się do niej wszyscy agenci USMS z najbliższej okolicy. Czy oczekiwali od niej zdawkowej odpowiedzi na każdego maila powitalnego? Czy porównają ich treść, czy wystarczy ułatwić sobie życie i użyć funkcji „kopiuj-wklej”?

Bible zachichotał znacząco.

– Kochanie, wiesz, że zawsze przyznaję ci rację.

Andrea znowu zwróciła głowę do okna, by dać partnerowi choć odrobinę więcej prywatności. Bible zwolnił przed znakiem stopu. Domyśliła się, że są niedaleko posiadłości Vaughnów. Spojrzała na nazwy ulic, rozpoznając je z innego zeznania świadka.

Około godziny 16:50, 17 kwietnia 1982 roku ja, Melody Louise Brickel, rozmawiałam z mamą w mojej sypialni o tym, którą sukienkę włożę na bal maturalny. Tak naprawdę to była kłótnia, ale potem się pogodziłyśmy. Podeszłam do okna, które wychodzi na skrzyżowanie Richter Street i Ginger Trail i tam zobaczyłam brązowo-beżowy wóz pana Wexlera. Stał na żółtej linii. Pan Wexler był w czarnym garniturze, bez kurtki. Drzwi auta były otwarte, a on stał na ulicy. Emily Vaughn też stała na ulicy. Miała na sobie satynową sukienkę w morskim odcieniu, w której widziałam ją potem w centrum. Nie wiem, czy była w butach, czy bez, za to pamiętam, że jej kopertówka pasowała kolorem do sukienki. Wydawało mi się, że Emily kłóci się z panem Wexlerem, a on był bardzo zły. Dodam, że okno było otwarte, bo mój pokój mieści się na poddaszu, a tam jest gorąco. Widziałam, jak pan Wexler złapał Emily i pchnął ją na swoje auto. Ona krzyknęła, co słyszałam przez otwarte okno. On też krzyknął – niedokładnie tak, ale to było coś w rodzaju: „Co ty wygadujesz? Nie ma o czym mówić!”. Wtedy zawołałam mamę, żeby podeszła do okna, lecz zanim to zrobiła, pan Wexler już odjeżdżał. Wtedy mama przypomniała, że nie wolno mi rozmawiać ani z Emily Vaughn, ani z jej przyjaciółmi, z którymi się prowadziła. Nie z powodu ciąży Emily, ale dlatego, że moja mama uważała, że nie powinnam się z nimi zadawać, bo to była zła sytuacja, a ona nie chciała, żebym cierpiała, bo wiedziała, że to mnie boli.

Później tego wieczoru widziałam Emily przed salą gimnastyczną, co jest w moim wcześniejszym zeznaniu, i to był ostatni raz, kiedy widziałam ją żywą.. Nie mówiłam tego przedtem, bo nie myślałam, że to ma znaczenie. Nie wiem, kto jest ojcem dziecka Emily. Znam ją od dawna, od przedszkola, ale nie byliśmy

blisko. Tak naprawdę Emily nie była blisko z nikim, kogo znam, może z wyjątkiem jej babci, która niedomaga. Nawet z tą grupą jej przyjaciół, jeszcze zanim zaszła w ciążę, było tak, że ona ich znała, ale oni tak naprawdę nigdy jej nie znali. Nie wiedzieli, jaka jest. Pod rygorem odpowiedzialności karnej przysięgam, że moje zeznanie jest zgodne z prawdą.

Bible przejechał znak stopu, a Andrea patrzyła, jak zielone światła znikają za szybą. Zastanawiała się, czy pan Wexler jest czarnym koniem w wyścigu o ojcostwo. Nie pierwszy raz nauczyciel byłby uwikłany w seks z nieletnią. To by wyjaśniało, dlaczego w zakładce Gdzie oni są? na stronie internetowej liceum w Longbill Beach brakowało nazwiska Wexler, choć teoretycznie powinna zawierać pełną listę kadry pedagogicznej od powstania szkoły w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku.

Google niewiele pomógł. Wexler było nazwiskiem niemieckim, a samo słowo znaczyło „właściciel kantoru”. I wychodziło na to, że na początku osiemnastego wieku niezliczone zastępy Wexlerów zarzuciły kotwicę w Chesapeake Bay. Sądząc po internetowej książce telefonicznej obejmującej najbliższą okolicę, wystarczyło rzucić kamieniem, by trafić kogoś znad Renu.

– To tutaj. – Bible włączył kierunkowskaz, choć nie minęli żadnego auta od wyjazdu z miasta.

Andrea pochyliła się, żeby zobaczyć obsadzony drzewami podjazd mający długość przynajmniej połowy boiska futbolowego. Brama wjazdowa z kutego żelaza była otwarta na oścież mimo gróźb śmierci. Andreę ciekawiło, czy jest zepsuta, czy sędzia próbuje robić na złość swojej ochronie.

– Wiesz, co to jest jankeskie skąpstwo? – Gdy Andrea przecząco potrząsnęła głową, Bible mówił dalej: – Południowe skąpstwo polega na tym, że sam zjem stare ciastka, ale ciebie ugoszczę świeżutkimi biszkopcikami maślanymi. Jankeska wersja skąpstwa to dziesięć milionów dolców na koncie w banku, ale zakręcę termostat w czasie zamieci i podam ci cuchnący naftaliną płaszcz prapradziadka z tysiąc osiemset dwunastego roku, jeśli brak ci charakteru i hartu ducha, by wygenerować wewnętrzne ciepło.

Parsknęła śmiechem.

– To chyba jedna z twoich służbowych zasad.

– Mam dla ciebie inną. – Zawrócił i zaparkował samochód tyłem między dwoma innymi. – Zasada numer dziewiętnaście: nigdy nie daj po sobie poznać, że jesteś przestraszona albo onieśmielona.

Andrea przywołała w wyobraźni obraz sędzi Vaughn w jednej z jej kosztownych apaszek.

– Dobra zasada.

Piekące popołudniowe słońce oblewało wszystko oślepiającym blaskiem, gdy wysiedli z auta. Andrea zobaczyła czarnego forda explorera, takiego samego jak samochód Bible'a, który stał zaparkowany na podjeździe.

– Krump i Harri mają dzienną zmianę. Od szóstej do szóstej – wyjaśnił.

– Super – mruknęła, ponieważ perspektywa kolejnych dwunastu godzin bez snu wydawała się bułką z masłem.

– Uwielbiam to twoje nastawienie da-się, partnerko. – Bible zsalutował jej energicznie. – Może obejdziesz teren, rozejrzysz się, a potem spotkamy się w środku? Wyjdź drzwiami garażowymi i skręć w lewo.

– Nie ma sprawy.

Poczekwała, aż Bible zniknie w garażu. Cieszyła się, że zaczerpnie świeżego powietrza przed spotkaniem z sędzią. Czuła się trochę niekomfortowo, wiedząc tak dużo o najgorszym okresie życia Esther Vaughn. Nie była pewna, jak ukryje fakt, że wie więcej, niż powinna. Mimo dwulicowości rodziców jej samej kłamstwo przychodziło z trudem.

Ruszyła wzdłuż domu z nadzieją, że Bible zdaje sobie sprawę, iż „obejście terenu” potrwa dobry kwadrans, jak nie dłużej. Sam garaż mógł pomieścić sześć aut. Przez otwarte wrota ledwie widziała drogę w dole. Odległy szum morza mówił, że po drugiej stronie domu panuje atmosfera jak na obrazie Taras nad morzem w Saint Adresse Moneta. Sam dom wpisywał się w otoczenie. Z zewnątrz posiadłość Vaughnów trochę przypominała inspirowane geometrią dzieła

niderlandzkiego artysty Mauritsa Cornelisa Eschera, ale przede wszystkim imponowała rozmachem w stylu Tudora ścinającego głowy swoim żonom. Środkowa część wyglądała jak olbrzymi dwukondygnacyjny dom, do którego ktoś potem dodał dwa masywne skrzydła z obu stron. Andrea natychmiast zrozumiała uwagę Bible'a o jankeskim skąpstwie. Przy braku uzależnienia od prochów czy hazardu rodzina musiała być dziana, z tym że dom ewidentnie wymagał remontu, i to generalnego.

Skręciła za róg i dostrzegła przebłysk oceanu, gdy wiatr zmienił kierunek. Kręta żwirowa ścieżka powiodła ją do ogrodu w stylu angielskim. Jego charakter podkreślała obfitość flory i fauny. Wielobarwne kwiaty wylewały się z rabat, gęstwa krzewów i krzaczków porastała obie strony ścieżki, nieregularna kamienna ściana okalała niedużą fontannę, a w zasięgu wzroku nie było żadnych chwastów. Ktoś najwyraźniej pielęgnował go z zamiłowaniem. Wyczuła zapach świeżej gleby, czyli ktoś niedawno rozgrabiał ziemię.

Wyczuła coś jeszcze. Dym papierosowy.

Trzymała się w cieniu wielkiego domu i przeszła na tył posiadłości, gdzie ujrzała połacie zaniedbanej trawy i wybijające zarośla. Korony drzew zgęstniały, blokując dostęp słońcu. Uderzyła stopą w kostkę brukową leżącą bokiem na drodze. Zorientowała się, że to fragment innej krętej ścieżki, podniosła kostkę i poszła dalej wśród bujnej roślinności, aż wyszła na otwartą przestrzeń. Po lewej stronie zobaczyła basen. Po prawej, bezpośrednio pod balkonem na pierwszym piętrze rezydencji, ciepłe światelko wydobywało się z wnętrza czegoś, co wyglądało jak szopa na narzędzia.

– Kurwa!

Andrea odwróciła się i zauważyła nastolatkę w bluzce wiązanej na szyi i obciętych szortach, balansującą między złością a strachem, że została przyłapana z papierosem. Ze względu na jej wiek nie dziwiło, że złość wygrała. Rzuciła niedopałek na ziemię i wpadła do domu, zostawiając za sobą tłącego się papierosa i chmurę nienawiści.

– Nie zapomnij nakarmić Syda! – zawołała Judith z progu szopy. Ciągle miała na sobie ten sam zwiewny strój, ale długie włosy związała w luźny kok.

Andrea przez chwilę walczyła z wcześniejszym skrępowaniem, które czuła przed bistro, i spytała:

– Syda?

– To nasza stara zrzędliva papuga, a to była Guinevere, moja piękna, acz porywcza córka. Jeśli cię to interesuje, to nienawidzi swojego imienia prawie tak samo, jak nienawidzi mnie, a ja staram się nie brać tego do siebie. W tym wieku wszyscy nienawidzimy swoich matek, prawda?

Andrea odczekała ze swoją nienawiścią do matki aż do dojrzałego wieku trzydziestu jeden lat.

– Przepraszam za tamto. To był długi dzień.

– Zapomnij o tym. – Judith lekceważąco machnęła ręką. – Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo doceniam to, co robisz dla naszej rodziny. Babcia nie powie słowa, ale te ostatnie listy naprawdę nią wstrząsnęły.

Andrea potraktowała to wyznanie jak zachętę do dalszej rozmowy.

– Znasz ich treść?

– Choć mi ich nie pokazała, to domyślam się, że są bardzo osobiste. Ją niełatwo doprowadzić do łez.

Andrea z trudem wyobraziła sobie sędzię Esther Vaughn, o jakiej czytała, w łożach, ale na tym polegał problem z przymiotnikami typu „władczy” czy „apodyktyczny”. Wtedy można zapomnieć, że człowiek czyta o prawdziwej ludzkiej istocie.

– Wróciłaś tu? – spytała.

– To duży dom. Wzięłam Syda i przyjechałam z powrotem do domu w zeszłym roku.

Andrea wiedziała, że Franklin Vaughn też rok temu przeszedł na emeryturę. Może faktycznie chciał spędzać więcej czasu z rodziną.

– Chyba nie muszę dodawać, że Guinevere nie była zadowolona z przeprowadzki. – Judith zachichotała. – Nazywa to Domem Slytherina, co jest bardzo nie fair. Harry Potter to przecież czasy naszego pokolenia, prawda?

Andrea czuła gulę w gardle. Mogły być siostrami przyrodnimi. W innym świecie spotkałyby się po ponownym ślubie rodziców i zapalały do siebie nienawiścią.

– Zapraszam. – Judith wskazała szopę. – To mój warsztat. Czasem tu nocuję, ale nie wtedy, gdy jest gorąco. Oprowadzę cię po włościach.

Andrea aż otworzyła usta na widok tak bardzo znajomej przestrzeni. Drewniane półki na ścianach. Stalowe naczynia, cedzaki i lejki. Miarki do płynów. Nitryłowe rękawiczki. Maseczki na twarz. Szczypce. Drewniane łyżki. Paski do testów pH. Butelki ze spryskiwaczem. Kropłomierze. Dwudziestolitrowe wiadro kwasu siarkowego. Kilka dużych toreb z przezroczystego plastiku z białym proszkiem.

– Nie bój się, to nie koka, to... – zaczęła Judith.

– Zaprawa farbiarska – dokończyła Andrea. – Co farbujesz?

– Głównie jedwab – odparła Judith. – Jestem pod wrażeniem. Większość gliniarzy rzuca okiem na to wszystko i z miejsca podejrzewa, że pod bokiem pani sędzi urządziłam fabryczkę prochów.

– A tu chodzi o szale pani sędzi. – Andrea zorientowała się, że przeoczyła cały rząd suszarek. Wisiały na nich szale w rozmaitych kolorach. Jeden o tak głębokim odcieniu niebieskiego, jakby uległ załamaniu w pryzmacie. – Uchwyciłaś sedno indyga. Stosowałaś metodę Gullah Geechee?

– Teraz naprawdę opadła mi szczęka – odparła Judith. – Skąd agentka USMS wie o starym sposobie farbowania tkanin przywiezionym przez niewolników z Afryki?

– Dorastałam w Karolinie Południowej. – Andrea obawiała się, że zdradza o sobie zbyt wiele. – Uczyłaś się tego w szkole czy jesteś samoukiem?

– Trochę tego i tego. – Judith wzruszyła ramionami. – Rzuciłam studia na RISD. – Rhode Island School of Design była jedną z najlepszych uczelni



artystycznych w kraju. – I zawsze z radością zapraszam moich byłych wykładowców na moje wystawy kolaży. Szale zaczęłam robić kilka lat temu dla babci, gdy usunęli jej guza ze strun głosowych. Dzięki Bogu wyłapali raka w samą porę, ale babcię bardzo krępują blizny na szyi.

Andrea poczuła się, jakby zainkasowała niespodziewany cios, lecz nie chodziło o raka. Odwróciła się od Judith, udając, że patrzy na szale, tak naprawdę walcząc z napływającymi łzami. Zawsze kochała sztukę, nigdy jednak nie pomyślała, że przekazał jej to w genach Clayton Morrow, a nie Laura.

Co jeszcze jej przekazał?

– Kolaże są w pracowni. Jeden może cię szczególnie zainteresować – powiedziała Judith, a gdy Andrea odwróciła się do niej, pociągając nosem, i otarła oczy, dodała: – Przepraszam, od tak dawna używam kwasów, że moje oczy przestały na nie reagować. – Dała jej znak, by poszła za nią do następnego pomieszczenia. – W pracowni jest przewiew.

Weszły do rozległej przyjaznej przestrzeni. Okna były wszędzie, nawet na suficie, i oczywiście sztalugi z dziełami na różnym etapie tworzenia. Judith nie była ani hobbystką, ani rzemieślniczką. Okazała się artystką z krwi i kości, której prace nasuwały skojarzenia z dziełami dadaisty Kurta Schwittersa oraz dadaisty i surrealisty Mana Raya. Podłoga była zachlapana farbą, naczynia z klejem, nożyce, deski do krojenia, szpulki nici, ostrza, werniksy, utrwalacze w sprayu stały na stołach obok czasopism, fotografii i tego wszystkiego, z czego miało powstać coś nowego.

To była najdoskonalsza pracownia, jaką Andrea kiedykolwiek odwiedziła.

– W najgorętsze dni lata słońce tu doskwiera, ale warto. – Judith zatrzymała się przed sztalugą, na której stała jej najnowsza praca. – Pomyślałam, że to powinnaś zobaczyć.

Andrea nie zaczęła od detali. Najpierw chciała wychwycić nastrój całości i odniosła wrażenie, jakby znalazła się na pokładzie maleńkiej łódki miotanej falami, które zapowiadają nadciągający sztorm. Judith posłużyła się solaryzacją, by

oddać poczucie niepewności. Strzępki podartych listów i zdjęć nachodziły na siebie jak w kalejdoskopie, tworząc mroczny, złowieszczy kolaż.

– To jedna z moich najbardziej obciążających psychicznie prac – przyznała Judith tonem, w którym pobrzmiwały przeprosiny. – Moje prace krytycy zwykle nazywają męskimi, wręcz muskularnymi, jakby zupełnie nie...

– Nie rozumieli kobiecego gniewu – dokończyła Andrea. Doświadczyła podobnego lekceważenia za strony swoich profesorów płci męskiej. I pomyślała o wybitnej niemieckiej artystce. – Hannah Höch słyszała te same bzdury, kiedy wystawiała swoje prace z dadaistami, ale w niecałe dwadzieścia lat po jej śmierci w nowojorskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej urządzili jej indywidualną wystawę.

– No, no... – Judith pokręciła głową. – Jesteś najbardziej fascynującą agentką, jaką znam.

Andrea nie przyznała, że agentką USMS jest dopiero półtora dnia. Uważnie studiowała kolaż, czytając słowa wyjęte z listów, jedne napisane odręcznie na papierze zeszytowym, inne napisane na maszynie, jeszcze inne wygenerowane w komputerze.

Zabiję cię pieprzona suko zdychaj żydowska zdiro kusicielska cipa żydowa diablica morderczyni królowa lodu kurwa lachociąg pedofilka krwiopijca jędza zołza dziwka Sorosa...

– To z pogrózek, które dostała twoja babcia? – spytała Andrea.

– Nie z tych najnowszych, ale z tych, które dostawała przez lata. Te jeszcze nie są najgorsze. – Judith zaśmiała się gorzko. – Choć moje poglądy polityczne nie idą w parze z poglądami dziadków, to w jednym jesteśmy zgodni: teorie spiskowe głoszone przez różnych pomyleńców są naprawdę porażające. Nawiasem mówiąc, moja rodzina nie ma żydowskich korzeni. Ci popaprańcy chyba sądzą, że to jedna z najgorszych obelg, jakimi mogą nas obrzucić.

Andrea przyjrzała się fotografiom okalającym tę ohydłą inwektywę. Judith posłużyła się szwem i kolorowymi kredkami, żeby ujednolicić motyw. Franklin Vaughn z Gwiazdą Dawida narysowaną na twarzy. Młodsza Judith w szkolnym

mundurku z odciętymi piersiami. Esther w todzie z iksami wydrapanymi w miejscu oczu. Martwy szczur z łapkami w powietrzu i pianą toczoną z pyszczka.

– Znaleźli tego nieszczęśnika pływającego w basenie. – Judith wskazała szczura. – W zeszłym miesiącu dziadek postawił karmnik dla ptaków, a one pojawiły się z wyciągniętymi rękami.

Andrea wzdrygnęła się mimowolnie. Nie chciała myśleć o szczurzych łapkach jak o rękach.

– Zapłaciłam jednemu gościowi z Nowej Zelandii, żeby zrobił tę pianę wokół pyska. W Photoshopie – wyjaśniła Judith. – Nie do wiary, co można znaleźć w sieci.

– Właśnie – odparła Andrea, choć wiedziała, że jest mnóstwo rzeczy, a także ludzi, kompletnie niewidzialnych w internecie. Stłumiła w sobie artystyczną zazdrość i przywołała prawdziwy powód, dla którego zjawiała się w Longbill Beach. W kontaktach z nieznanymi Judith cechowała zbytnia wylewność typowa u ludzi z małych miasteczek. A może ta otwartość wynikała z desperackich poszukiwań kogoś, kto zrozumie sens jej twórczych projektów i dokonań? Tak czy owak, wydawała się gotowa na bezpośrednie pytanie.

– Tworzysz pod nazwiskiem Vaughn? – spytała Andrea.

– Och, Boże broń. Nie zniosłabym ciągłej obserwacji. Używam drugiego imienia mojej matki – wyjaśniła. – Judith Rose.

Andrea skinęła głową, udając, że serce wcale jej nie załomotało jak szalone na wzmiankę o Emily.

– Jesteś naprawdę dobra. Mama musi być z ciebie dumna.

Judith niepewnie spojrzała na Andreę i spytała:

– Sum ci nie powiedział?

– O czym?

Judith dała jej znak, by poszła za nią na drugi koniec pracowni, i zatrzymała się przed magazynowymi regałami sięgającymi od podłogi do sufitu z wielkimi

płótnami na półkach. Przerzuciła kilka, znieruchomiła i spojrzała na Andreeę przez ramię.

– Bądź dla mnie łaskawa. To moja pierwsza próba kolażu. Byłam wtedy w wieku Guinevere. Pełna obaw, buzująca od hormonów.

Andrea nie wiedziała, czego się spodziewać, kiedy Judith obróciła płótno z bardzo prymitywnym kolażem. Budził niepokój i ponure skojarzenia, ale nie aż tak intensywne. Dla Andrei było oczywiste, że Judith szukała indywidualnych środków wyrazu, a tematem tej pracy jest jej nieżyjąca matka. Zdjęcia Emily tworzyły ramę, były zszyte grubą czarną nicią jak ciało po sekcji zwłok.

Andrea szukała odpowiednich słów.

– To jest...

– Surowe? – Judith zaśmiała się autoironicznie. – Racja, cóż, to powód, dla którego nie pokazuję tego każdemu. Nawet moja agentka tego nie widziała.

Andrea próbowała zadać pytanie, które mógłby zadać ktoś niezorientowany:

– To twoja matka?

Judith potwierdziła skinieniem głowy, choć oczywiście zdjęcie Emily Vaughn umieszczone w rogu Andrea znała tak dobrze, że mogłaby je opisać z zamkniętymi oczami. Nastroszona trwała. Jasnoniebieskie cienie na powiekach. Lekko wydęte usta. Grudki tuszu na rzęsach.

– Wszyscy mówią, że Guinevere ją przypomina.

– Istotnie. – Andrea pochyliła się, by przyjrzeć się pracy z bliska. Jak w nowszym dziele, Judith pokawałkowała wizerunki paskami tekstu. Papier zeszytowy w linię był porzucany na płótnie przypadkowo, nie tworząc żadnego określonego wzoru. Wyrazy były napisane tym samym zamaszystym i kulfontastym charakterem pisma bardzo emocjonalnej młodej dziewczyny...

Ludzie są TACY PODLI... Ty NIE ZASŁUGUJESZ na to, co mówią... Nie rezygnuj, próbuj to rozgryźć... ODKRYJESZ PRAWDĘ!!!

– Ty to napisałaś? – spytała Andrea.

– Nie, to fragmenty listu, który znalazłam w rzeczach matki. Myślę, że napisała go sama do siebie. W latach osiemdziesiątych wyznania afirmatywne były bardzo popularne. Żałuję, że go podałam. Ni cholery nie pamiętam, co w nim jeszcze było.

Andrea z trudem zmusiła się, by spojrzeć na Judith. Starła się nie wyglądać na zbyt przejętą, podekscytowaną, nerwową i przestraszoną, nie chciała zdradzić też innych emocji, pod wpływem których czuła mrowienie. Tak dużo zdjęć Emily, niektóre z przyjaciółmi, inne zrobione w chwilach samotności.

Co dzieło plastyczne szesnastoletniej Judith mogło powiedzieć o zabójstwie siedemnastoletniej Emily?

– Aż tak złe? – Judith była wyraźnie zatroskana.

Andrea знаła to uczucie, kiedy ceni się czyjeś zdanie, a ten ktoś odwraca wzrok.

– Nie, jest surowe, ale dobitnie widać, że pracowałaś nad czymś niezmiernie dla ciebie ważnym. – Andrea położyła dłoń na sercu. – Czuję to tutaj.

Judith też przyłożyła dłoń do serca, ponieważ czuła to samo.

Stały tak, dwie kobiety z dłońmi na sercu, dwie kobiety, które mogły być siostrami, aż wreszcie Andrea znów spojrzała na kolaż i spytała:

– Pamiętasz, jak nad tym pracowałaś?

– Ledwie, ledwie. Wtedy odkryłam kokainę. – Judith zaśmiała się lekko, jakby właśnie nie wyznała występku agentce USMS. – Pamiętam smutek. Trudno być nastolatką, a już przy takiej stracie...

– Uchwyciłaś to bardzo prawdziwie. – Andrea oddychała głęboko, próbując stłumić emocje przy oglądaniu drobnych szczegółów z życia Emily. Rama stworzona ze zdjęć ukazywała osobowość młodej dziewczyny. Czy biegała po plaży, czy czytała książkę, czy grała na flecie w mundurku szkolnej orkiestry, jej słodycz wyzierała z każdego kadru i wręcz przenikała obiektyw aparatu. Emily nie sprawiała wrażenia kruchej, wyglądała raczej na wrażliwą i bardzo, ale to bardzo młodą.

W lewym górnym rogu była grupowa fotografia, a na niej Emily w towarzystwie trzech chłopców i jednej dziewczyny. Ricky łatwo było wyłowić z powodu burzy loków i tego, że była jedyną dziewczyną prócz Emily. Clay przypomniał Andrei słowa Laury, że był oszałamiająco pięknym chłopcem. Jego przeszywające niebieskie oczy przyprawiły ją o dreszcz mimo upływu czterdziestu lat. Przypuszczała, że chłopak obok Claya to Eric Blakely, brat bliźniak Ricky, choć jego włosy różniły się od włosów siostry kolorem i strukturą. Pozostawał Nardo, chłopak ze złośliwą miną, pulchny blondyn z ręcznie zwijanym papierosem wiszącym w kąciku ust, wersja Billy'ego Idola rodem ze stanu Delaware.

– To byli jej przyjaciele. – Judith wyraźnie zależało na kolejnej porcji informacji zwrotnych. – A raczej ludzie, których uważała za przyjaciół. Ciężarne nastolatki nie miały w tamtych czasach swojego reality show.

Andrea znowu poczuła się sparaliżowana wzrokiem Claya. Musiała skierować uwagę na coś innego i wybrała wyblakłe zdjęcie zrobione polaroidem.

– A to kto?

– To mama z moją prababcia ze strony dziadka. Zmarła niedługo po moim urodzeniu. – Judith wskazała kobietę w surowym stroju jak z epoki wiktoriańskiej z wesołym pyzaty dzieckiem na kolanach. – Babcia była wtedy zajęta karierą zawodową. Tak naprawdę to moja prababcia wychowała mamę i stąd imię Judith. Jestem ich sumą.

Było więcej fotografii przedstawiających życie Judith pozbawionej matki. Pierwszy dzień szkoły bez niej u boku. Pierwsze szkolne przedstawienie. Pierwsza wystawa prac plastycznych. Pierwszy dzień w college'u. Wszystkie połączone z tekstem listu i znalezionymi przedmiotami – kawałek świadectwa szkolnego, dyplom, reklama sportowych staników. Choć ktoś oczywiście stał za obiektywem aparatu, Judith zawsze była sama.

Dziwne, ale te fotografie uświadomiły Andrei, jak intensywnie była obecna w jej życiu Laura. To Gordon zawsze robił zdjęcia. Laura pomagała jej piec

babeczki z lukrem na szkolny kiermasz, pokazywała, jak przyczepić szpilkami wykrój do kawałków materiału na sukienkę na urodziny inspirowane Dumą i uprzedzeniem, towarzyszyła jej na każdej wystawie prac, na rozdaniu świadectw i na koncertach, a także czekała w długiej kolejce przed księgarnią w kapeluszu czarodzieja po kolejną część przygód Harry'ego Pottera.

Przez to objawienie poczuła się małostkowa, jakby walczyła i zdobyła przewagę nad rywalką.

– To z pewnością ja. – Judith wskazała serię zdjęć USG, które ułożyła pośrodku kompozycji w kształt wachlarza, ilustrując początek swojego życia. – Mama przyczepiła te zdjęcia do lustra w łazience. Myślę, że chciała je oglądać codziennie rano i wieczorem.

– Na pewno – zgodziła się Andrea, ale jej uwagę przykuły notki z kasy magnetofonowej w prawym dolnym rogu. Były to małe skrawki kolorowych zdjęć niczym konstelacja wokół spisanych odręcznie tytułów piosenek i nazwisk wykonawców.

Ktoś nagrał dla Emily składankę piosenek.

– Muzyka z lat osiemdziesiątych to najczęściej zwykły syf, choć muszę przyznać, że te są całkiem niezłe – powiedziała Judith.

Tusz był rozmazany. Andrea wyczytała tylko tyle ze zbitek słów:

Hurts So Good – J. Cougar; Cat People – Bowie; I Know/Boys Like – Waitresses; You Should Hear/Talks – M. Manchester; Island/Lost Souls – Blondie; Nice Girls – Eye to Eye; Pretty Woman – Van Halen; Love's/Hard on Me – Juice Newton; Only/Lonely – Motels.

Próbowała połączyć w całość postrzępioną konstelację wokół słów i nagle dotarło do niej, że to nie są skrawki różnych zdjęć, ale jednego. Para jasnyniebieskich oczu w przeciwległych rogach. Dwoje uszu. Nos. Wydatne kości policzkowe. Pełne zmysłowe usta. Podbródek z dołeczkiem.

Andrea poczuła ściskanie w gardle, jednak przemogła się i spytała:

– Kto nagrał tę składankę?

– Mój ojciec – odparła Judith. – Człowiek, który zamordował moją matkę.

[4] Cobbler – rodzaj deseru, w którym owoce zapiekane są pod warstwą ciasta, ale bez kruchego spodu. (Przyp. tłum.).

[5] Cytat z sitcomu telewizyjnego Diff'rent Strokes, nadawanego w USA w latach 1978–1986. (Przyp. tłum.).

[6] Judicial Security Division – Wydział Bezpieczeństwa Sądu. (Przyp. tłum.).



## 19 PAŹDZIERNIKA 1981

Emily siedziała na kozetce w gabinecie doktora Schroedera. Tak bardzo dygotała w papierowym fartuchu, że aż dzwoniła zębami. Pani Brickel kazała jej zdjąć ubranie, nawet bieliznę, co wcześniej się nie zdarzało. Emily przez cienką warstwę białego papieru poczuła na nagich pośladkach chłód winylowego obicia kozetki. Stopy jej marzły, zrobiło się jej niedobrze, ale nie potrafiła zdecydować, czy to ten sam rodzaj mdłości, który kazał jej wybiec podczas studiowania Biblii, co zdarzyło się zeszłego wieczoru, czy bardziej ten, który wygonił ją od stołu przy śniadaniu dziś rano, kiedy nawet nie zdążyła przeprosić. Pierwszy pewnie był wynikiem stresu, drugi od mdląco słodkiej woni syropu klonowego, który zawsze tak na nią działał.

Tak czy nie?

Przecież nie mogła zajść w ciążę. Na Boga, nie była idiotką i doskonale by wiedziała, że uprawiała seks, bo seks to poważna sprawa. Po nim człowiek czuł się inaczej. Wiedział, że wszystko się zmienia, i to bezpowrotnie, bo seks czynił cię nowym człowiekiem. Po nim dziewczyna stawała się kobietą, a ona wciąż była nastolatką. Nie czuła się inaczej niż zeszłego roku o tej samej porze.

Poza tym dziewczynom ciągle spóźniał się okres. Ricky miała bardzo nieregularne cykle, a Gerry Zimmerman nie miesiączkowała przez parę miesięcy, bo stosowała odjechaną dietę jajeczną. No i wszyscy wiedzieli, że Barbie Klein tak intensywnie gra w tenisa i trenuje bieganie, że jej jajniki zupełnie przestały działać.

Czekając, aż drzwi gabinetu się otworzą, Emily powtarzała sobie w myślach to samo, co powtarzała od dwóch dni: ma problemy z żołądkiem; to tylko grypa żołądkowa; jest chora, ale nie w ciąży, bo przecież od zawsze zna Claya, Blake'a i Narda, i wie, że żaden z nich nie zrobiłby jej krzywdy.

Chyba nie?

Poczuła w ustach smak krwi. Niechcący przygryzła wewnętrzną stronę wargi.

Położyła rękę na brzuchu i wyczuła jego kształt. Tak to zawsze wyglądało? Zeszłej nocy leżała w łóżku i pocierała brzuch jak butelkę z uwięzionym w niej dzinnem, i co? Był płaski jak zwykle. Zaraz jednak spytała samą siebie, czy zawsze robiło się takie wybrzuszenie, gdy siadała? Wyprostowała ramiona i mocniej nacisnęła na brzuch, a ciało ugięło się pod dłonią.

Gdy drzwi się otworzyły, Emily podskoczyła jak przyłapana na czymś niestosownym.

– Panno Vaughn. – Doktor Schroeder roztaczał woń papierosów i kosmetyków marki Old Spice. Z natury był gburowaty, a dziś na dodatek wyglądał na zirytowanego. – Pielęgniarka mówi, że nie chciałaś powiedzieć, z czym przychodzisz.

Emily zerknęła na panią Brickel, która była matką Melody. Czy opowie córce, że głupia Emily Vaughn ma gripę żołądkową, a myślała, że jest w ciąży, chociaż nigdy nie uprawiała seksu? Czy Melody powtórzy to wszystko w szkole?

– Panno Vaughn? – Doktor Schroeder spojrzał wymownie na zegarek. – Przez ciebie czekają pacjenci, którzy przyszli na umówioną godzinę.

– Ja... – Zaschło jej w gardle, oblizwała wargi.

– Co „ja”? – Doktor Schroeder ściągnął brwi.

– Wydaje mi się... – Emily nie mogła wykrztusić tych głupich słów. – Wymiotowałam. Trochę. To znaczy wymiotowałam wczoraj. I w sobotę wieczorem. Ale myślę, że...

– Ciii... – Pani Brickel pogładziła ją po plecach. – Mów wolniej.

Emily odetchnęła niemal spazmatycznie.

– Nigdy nie byłam z... To znaczy nigdy z nikim nie byłam... no, jak po ślubie. Dlatego nie wiem, czemu...

– Czego nie wiesz? – Opryskliwość doktora Schroedera przeszła w jawną wrogość. – Przestań szukać wymówek, młoda damo. Kiedy miałaś ostatnią

miesiączkę?

Emily nagle zrobiło się gorąco. Znała sformułowanie „spalić się ze wstydu”, jednak nigdy wcześniej nie doświadczyła takiego stanu. Palce u rąk i nóg, serce w piersi, płuca, wnętrzności, nawet włosy na głowie, po prostu każdy fragment jej ciała był trawiony przez ogień.

– Ja nie... – Zatchnęła się, nie była w stanie na niego spojrzeć. – Nigdy nie byłam z chłopcem. Po prostu nigdy bym tego nie zrobiła.

Doktor Schroeder zaczął otwierać szuflady i szafki, potem zamknął je z hukiem.

– Połóż się na plecach.

Emily obserwowała, jak doktor kładzie przybory na tacy: rękawiczki chirurgiczne, tubkę z czymś, opaskę na głowę z małym lusterkiem, a także długi metalowy instrument z końcówką w kształcie kaczego dzioba, który zabrzączał, gdy doktor odłożył go na laminat.

Poczuła, jak pani Brickel szturcha ją w ramię. Emily wciąż nie była w stanie na nią patrzeć, gdy kładła się z poduszką pod plecami. Poniżej, przy nogach, wzniosły się dwa dziwnie wyglądające pręty zagięte na końcu jak łyżeczki. Na ich widok serce podeszło jej do gardła. To się nie działo naprawdę. Utknęła na planie horroru.

– Przesuń się na skraj kozetki. – Doktor Schroeder włożył rękawiczki.

Emily widziała, jak włosy porastające grzbiet jego dłoni pod rękawiczkami upodabniają się do futra.

Doktor chwycił ją za kostkę.

Emily krzyknęła.

– Nie bądź dzieckiem – ostro rzucił doktor, złapał ją za drugą kostkę i pociągnął na skraj kozetki. – Przestań stawiać opór.

Pani Brickel znowu położyła rękę na jej ramieniu, tym razem podtrzymując ją. Wiedziała. Emily nie zdradziła jej powodu swojej wizyty, ale pani Brickel kazała jej zdjąć ubranie, bo dostrzegła różnicę. Wiedziała, że Emily nie jest już dzieckiem.

Kto mógł o tym powiedzieć?

– Nie krzycz – rzucił szorstko doktor Schroeder, mocniej zaciskając ręce na jej kostkach. – Inni pacjenci cię usłyszą.

Emily odwróciła głowę i wbiła wzrok w ścianę, czując, jak doktor wpycha jej pięty w strzemiona po obu stronach stołu. Musiała szeroko rozewrzeć kolana. Wiedziała, że jeśli uniesie głowę, zobaczy stojącego nad nią doktora Schroedera. Myśl o jego wykrzywionej złością twarzy kompletnie ją załamała. Z jej piersi wyrwał się szloch.

– Rozluźnij się. – Doktor Schroeder usiadł na obrotowym stołku. – Tylko pogarszasz sprawę.

Emily zagryzła wargę tak mocno, że znowu poczuła krew. Nie wiedziała, co robi doktor, póki nie było za późno.

Gdy wepchnął w nią zimny metalowy przyrząd, krzyknęła z bólu. Czuła, jakby skrobał jej wnętrzności. Metalowe szczęki rozwarły się z głośnym kliknięciem. Instynktownie cofnęła pięty, co tylko mocniej uwięziło jej nogi w strzemionach. Doktor Schroeder przysunął lampę. Zrobiło się gorąco nie do zniesienia, ale gorsze było upokorzenie, gdy twarz doktora znalazła się tam, na dole.

Emily stłumiła szloch, łzy pociekły jej z oczu. Gdy grube palce doktora dźgnęły ją w środku, zacisnęła zęby, czując ostry skurcz. Powietrze uwięzło jej w płucach, nie mogła oddychać, jakby ją sparaliżowało, i zakręciło się jej w głowie. Zawartość żołądka podeszła do gardła, bała się, że zaraz zemdleje.

A potem było po wszystkim.

Instrument zniknął z niej, a doktor Schroeder wstał, odsunął lampę i zdjął rękawiczki. Odezwał się nie do Emily, lecz do pani Brickel:

– Nie jest nietknięta.

Pani Brickel mruknęła coś do siebie i mocniej ścisnęła Emily za ramię.

– Usiądź – nakazał doktor Schroeder. – Pośpiesz się. Zmarnowałaś już dość mojego czasu.

Emily próbowała uwolnić stopy ze strzemion, a gdy metal zabrzączał, doktor Schroeder chwycił ją za kostki i uniośł pięty, ale zamiast je puścić, zetknął ze sobą

i przytrzymał.

– Widzisz to? – spytał. – Gdybyś trzymała nogi razem, nie wpakowałabyś się w kłopoty.

Emily zaczęła się gramolić, starając się usiąść, a gdy rozdarła papierowy fartuch, próbowała się zasłonić.

– Za późno na wstyd. – Doktor Schroeder zaczął coś pisać w jej karcie. – Kiedy wystąpiła ostatnia miesiączka?

– To było... – Wzięła chusteczkę podaną przez panią Brickel. – Półtora miesiąca temu. Ale mówiłam już, że ja nigdy... ja nie...

– Nie ulega wątpliwości, że odbyłaś stosunek. Z tego, co widziałem, wielokrotnie.

Emily była zbyt wstrząśnięta, by odpowiedzieć.

Wielokrotnie?

– Skończ z tym udawaniem. Oddałaś się chłopakowi, a teraz ponosisz konsekwencje – stwierdził doktor rzeczowym tonem. – Na co liczyłaś, głupia dziewucho?

Emily miętosiła w dłoniach skrawek papierowego fartucha.

– Ja nigdy... ja nie robiłam nic z...

Doktor Schroeder podniósł wzrok znad notatek. W końcu zwrócił na nią uwagę.

– Mów dalej.

– Ja nigdy... – Słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło Emily. – Byłam na imprezie i...

Słyszała, jak jej głos niknie w małym gabinecie. Co mogła powiedzieć? To była impreza z przyjaciółmi, z jej kliką. Gdyby powiedziała, że stało się coś złego, że ktoś ją odurzył albo że urwał jej się film, a tam byli tylko trzech chłopcy, to by znaczyło, że jeden z nich za to odpowiada.

– Mhm. – Doktor Schroeder uznał, że rozumie, ale dopytał o detale: – Wypiłaś za dużo czy ktoś dosypał ci prochy do drinka?

Emily pamiętała, jak Clay kładzie jej na języku listek kwasu. Niczego jej nie dosypał, wzięła to z własnej woli, bo mu ufała. Im wszystkim ufała.

– Twierdzisz zatem – ciągnął doktor Schroeder – że jesteś bez winy, tylko jakiś chłopak cię wykorzystał, czy tak?

– Ja... – Nie była w stanie się wysłowić. Chłopcy by jej tego nie zrobili, przecież byli dobrzy. – Nie pamiętam, co się stało.

– Przyznajesz jednak, że odbyłaś stosunek seksualny. – To nie było pytanie, a doktor Schroeder miał odpowiedź przed oczami. Nie była nietknięta. – Więc jak? – rzucił ostro.

Emily mogła tylko skinąć głową.

To wyznanie rozsierdziło go jeszcze bardziej.

– Powiem ci coś, młoda damo. Lepiej wymyśl inne kłamstwo dla swojego ojca. Z badania wynika, że od dawna jesteś aktywna seksualnie. Nie przeszłaś testu dwóch palców, a takiej luźności można spodziewać się tylko u mężatek.

Emily złapała się za serce. To się stało więcej niż raz? Czy ktoś włamywał się do jej pokoju, gdy spała?

– Ja nie... – zaczęła.

– Ależ tak. – Doktor Schroeder rzucił kartę na stół. – Dobrze się zastanów, co zrobisz dalej. Okażesz charakter, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność za swoje czyny, czy zniszczysz przyszłość jakiemuś młodemu nieszczęśnikowi, bo nie umiałaś trzymać nóg razem?

Emily za bardzo szlochała, żeby mu odpowiedzieć.

– Tak myślałem. – Znowu zerknął na zegarek. – Siostró Brickel, niech siostra pobierze krew, żeby potwierdzić, co i tak już wiemy. Ta dziewczyna jest w szóstym tygodniu pierwszego trymestru. Panno Vaughn, daję ci godzinę na poinformowanie ojca o twoim stanie, zanim zadzwonię i powiem mu o tym osobiście.

Emily czuła, że porusza ustami, ale nie mogła wydobyć głosu.

Ojca?

On ją zabije.

– Słyszałaś. – Doktor Schroeder znów spojrzał na nią, z niesmakiem potrząsając głową. – Godzinę – powtórzył.

Pani Brickel delikatnie zamknęła drzwi za doktorem. Miała zaciśnięte usta. Piekła ciasteczka, kiedy Emily i Melody były małe, a sędzia Vaughn pracowała do późna.

Teraz powiedziała:

– Emily...

Załkała. Nie mogła znieść kolejnej porcji słownego napiętnowania. Już czuła, jakby ktoś wbił jej nóż w pierś. Jak ma stanąć przed ojcem? Co on jej zrobi? W zeszłym roku tak oberwała pasem za trójcę z geografii, że z tyłu na udach została blizna.

– Emily, spójrz na mnie. – Pani Brickel ścisnęła ją za rękę. – Badanie wcale nie wykazało, ile razy byłaś aktywna seksualnie. Doktor może tylko stwierdzić, że twoja błona dziewicza została przerwana. To wszystko.

Słowa pani Brickel wstrząsnęły Emily.

– Przecież powiedział, że...

– Kłamie – odparła pani Brickel. – Próbuje cię zawstydzić. Cokolwiek zaszło, nie jesteś zła. Po prostu uprawiałaś z kimś seks, to wszystko. Teraz możesz myśleć, że to koniec świata, jednak proszę, uwierz, że wcale tak nie jest. Przejdziesz przez to. Kobiety zawsze sobie radzą.

Stłumiła kolejny atak szloch. Nie chciała być kobietą, a już najbardziej ze wszystkiego nie chciała stanąć twarzą w twarz z ojcem, bo to naprawdę będzie koniec świata. Ojciec nie pozwoli jej iść do college'u, może nawet nie pozwoli, by skończyła liceum. Wtedy utknie w domu, za jedyne towarzystwo mając babcię. A gdy babcia umrze, zostanie kompletnie sama.

Co miała robić?

– Kochanie, spójrz na mnie. – Pani Brickel ujęła ją za ramiona. – Nie chcę cię oszukiwać, obie wiemy, że będzie ciężko, a ja wiem też, że masz siłę i dasz radę przez to przejść. Niezwykła z ciebie dziewczyna.

– Ja nie... – Emily miała mętlik w głowie. Czuła się jak w pułapce. Życie wymykało się jej z rąk i nic nie mogła na to poradzić. – Jak pani myśli, co zrobi mój ojciec?

Pani Brickel znowu zacisnęła usta.

– Przekonamy się, czy świętość poglądów politycznych Franklina Vaughna wytrzyma konfrontację ze świętością jego członkostwa w Country Clubie.

Emily potrząsnęła głową. Nie rozumiała sensu tych słów.

– Przepraszam, nie powinnam tego mówić. – Pani Brickel mocniej ścisnęła Emily za ramiona. – Czy możesz porozmawiać z ojcem?

Ojcem? – pomyślała w popłochu.

– Emily, wiem, że to nie jest idealne wyjście, ale jeśli darzysz uczuciem tego chłopca, nie jesteś za młoda na małżeństwo.

Małżeństwo?

– Jeśli nie chcesz, są inne możliwości.

– Jakie? – Emily gwałtownie wyrzuciła z siebie to pytanie. Ogarnęła ją panika. – Co ja zrobię? Jak przez to przejdę? Nie wiem, kto... Nie wiem, kto jest ojcem! Powiedziałam o tym doktorowi, powiedziałam pani... Nie wiem, co zaszło. Przysięgam, że nie wiem. Wzięłam coś... tak, wzięłam, choć nie wiedziałam, jak to zadziała, i za nic nie mogę o tym powiedzieć mojemu ojcu. On mnie zabije, pani Brickel. Może mnie pani wziąć za histeryczkę, ale on... on... – Skrzywiła się na dźwięk swojego głosu odbijającego się od ścian gabinetu. Jej serce waliło jak werble, oblała się zimnym potem, wróciły mdłości. Miała wrażenie, jakby jej skóra oddzielała się od kości. Nic już do niej nie należało. Zbulwersowana mina doktora Schroedera powiedziała wszystko. Emily przestała być Emily i stała się grzesznicą. Stała się „tą inną”. Odruchowo dotknęła brzucha... to znaczy tego, co ktoś w nią włożył.

Tylko kto?

– Emily – spokojnym, kojącym głosem odezwała się pani Brickel. – Musisz skontaktować się z matką. Natychmiast.



– Ona jest... – Emily ugryzła się w język. Matka jest w pracy i nie wolno jej przeszkadzać, chyba że sprawa nie cierpiała zwłoki. – N...n...nie mogę.

– Powiedz najpierw mamie – nie odpuszczała pani Brickel. – Wiem, że mi nie wierzysz, jednak jestem pewna, że Esther zrozumie. Jesteś jej córką, będzie cię chronić.

Emily spuściła głowę. Ręce jej drżały, pociała się pod papierowym fartuchem, mokry od łez kołnierzyk przykleił się do szyi. Jeszcze nie zrobili badania krwi. Może to wszystko okaże się straszliwą pomyłką?

– Doktor Schroeder powiedział, że to sześć tygodni, ale ja myślę, że to było miesiąc temu. To cztery tygodnie, nie sześć.

– Zegar bije od daty ostatniej miesiączki – wyjaśniła pani Brickel. – Nie od daty stosunku.

Stosunku?

Pod ciężarem tego słowa aż się zgarbiła. To nie była pomyłka, ten koszmar dopiero się zaczął. Odbyła z kimś stosunek i zaszła w ciążę.

– Emily, ubierz się, idź do domu, zadzwoń do mamy. – Pani Brickel pogładziła ją po plecach i pchnęła lekko, zachęcając do działania. – Przejdziesz przez to, kochana. Będzie ciężko, ale poradzisz sobie.

Emily dostrzegła łzy w jej oczach. Wiedziała, że pani Brickel kłamie. Mogła więc tylko odpowiedzieć:

– Tak, tak, w porządku.

– To dobrze. Teraz pobiorę ci krew.

Emily patrzyła na szafkę nad umywalką, gdy pani Brickel szykowała przybory. Była szybka i sprawna, a może to Emily była już tak odrętwiała, że nie czuła igły i ledwie zauważyła plaster nalepiony w zgięciu ręki.

– Gotowe, już po wszystkim. – Pani Brickel otworzyła szufladę, ale nie wyjęła z niej lizaka, którego dawała grzecznym małym pacjentom, tylko położyła na kontuarze podpaskę. – Użyj jej, jeśli zauważysz plamienie.

Emily czekała, aż zamkną się za nią drzwi, a potem wbiła wzrok w podpasękę. Czuła w skroniach tętno, lecz w sumie nic więcej, bo ciało miała kompletnie odrętwiałe. Ręce, którymi wciągnęła spodnie i zapięła bluzkę, nie były jej rękami. Kiedy wsunęła stopy w mokasyny, miała poczucie, że nie kontroluje swoich ruchów. Jej ciało poruszało się samo. Samo otworzyło drzwi, przeszło korytarzem do holu, a stamtąd na zewnątrz, na chodnik. Oczy zażawione od porannego słońca nie były jej oczami. Gardło, które walczyło o zapanowanie nad odruchem wymiotnym, było gardłem kogoś innego. Pulsujący ból między nogami był bólem obcej osoby.

W głowie miała pustkę, aż nagle wyobraziła sobie karnawał, gdyż jej mózg zamienił się w karuzelę. Ujrzała konie poruszające się w górę i w dół, i tylko to, a nie budkę z lodami, wypożyczalnię leżaków na plaży, maszynę do ciągutek znieruchomiła na wystawie w oczekiwaniu na lato i powrót turystów. Zmrużyła oczy, z których pociekły łzy, a karuzela kręciła się coraz szybciej. Świat wirował, widziała go jak przez mgłę... I jej mózg na całe szczęście w końcu się wyłączył.

Zamrugła i rozejrzała się zaskoczona, bo znalazła się w całkiem nowym otoczeniu. Siedziała w boksie na końcu bistra. Sama, a mimo to na brzegu ławy, czyli jak zawsze, gdy przychodziła tu z całą kliką.

Jak się tu znalazła? Czemu czuła ból między nogami? Czemu była złana potem?

Zrzuciła kurtkę i utkwiała wzrok w koktajlu stojącym tuż przed nią na stole. Szkło puste, nawet łyżka wylizana do czysta, a ona nie pamiętała, żeby zamawiała koktajl ani że go piła. Jak długo tu siedziała?

Zegar na ścianie wskazywał szesnaście po czwartej.

Doktor Schroeder otworzył gabinet o ósmej rano, a ona już czekała pod drzwiami.

Osiem godzin wyparowało jej z pamięci.

Nie poszła do szkoły. Nauczycielka plastyki miała ocenić wykonany przez Emily portret babci, opuściła test z chemii i próbę zespołu. Przed wuefem miała

spotkać się w szatni z Ricky, żeby pogadać... tylko o czym?

Tego nie pamiętała.

Nieważne. W tej chwili nic z tego nie miało najmniejszego znaczenia.

Potoczyła wzrokiem dookoła stołu, ale patrzyła oczami wyobraźni. Ricky, potem Blake, potem Nardo, potem Clay. Jej przyjaciele, jej klika. Któryś z nich coś jej zrobił. Nie była już nietknięta. Nie była już dziewicą. Spojrzenie, jakie rzucił jej doktor Schroeder, od teraz będzie jej rzucać cała reszta.

– Emily? – Wielki Al stanął nad nią. Wyglądał na zniecierpliwionego, jakby od dłuższego czasu bezskutecznie starał się zwrócić na siebie jej uwagę. – Musisz iść do domu, dziewczyno. – Gdy milczała, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, dodał: – Emily, natychmiast. – Złapał ją za ramię, ale nie był brutalny, tylko zdecydowany. Ciągnął ją, póki nie wstała, wziął kurtkę, pomógł Emily ją włożyć i zawiesił jej plecak na ramieniu, a na koniec podał torebkę i powtórzył: – Idź do domu.

Przeszła przez salę i otworzyła przeszkłone drzwi. Pogoda się zmieniła, Emily musiała przymknąć oczy przed smagającym wiatrem. Schnący pot przyprawił ją o gęsią skórkę. Zawsze uwielbiała uciekać na zewnątrz, na świeże powietrze. Gdy rodzice się kłócili, gdy w szkole robiło się ciężko, gdy klika walczyła z sobą o coś, co wydawało się istotne, a potem obśmiewała to albo zapominała, zawsze wtedy wychodziła na zewnątrz, żeby uciec. Nawet w deszczu, nawet podczas sztormu. W osłonie drzew znajdowała wytchnienie, w ziemi pod stopami spokój, w wietrze rozgrzeszenie.

Teraz czuła...

Teraz nic nie czuła.

Z rękami w kieszeniach szła przed siebie jak automat. Nie wiedziała, że idzie do domu, póki nie ujrzała zardzewiałej bramy na końcu podjazdu. Była otwarta. Mama chciała ją naprawić, jednak ojciec zaoponował, twierdząc, że to zbyt kosztowne, i tak już zostało.

Szła krętym podjazdem z opuszczoną głową, by wiatr nie smagał jej po twarzy. Strach poczuła dopiero na widok domu. Nogi odmówiły współpracy, ale zmusiła

się, by iść dalej. Nadchodziła chwila, w której poniesie konsekwencje własnych czynów. Doktor Schroeder zawsze dotrzymywał słowa i na pewno już wiele godzin temu zadzwonił do ojca. Matka pewnie też wiedziała i czekają na nią w bibliotece. Wyobraziła sobie, że ojciec już naszykował pas, widziała, jak klepie nim w otwartą dłoń, zapowiadając, co zaraz jej zrobi.

W garażu spadła temperatura. Emily położyła dłoń na gałce i nagle poczuła chłód metalu. Rozczapierzyła palce i ten chłód wniknął falą w jej ciało. Najpierw w palce, potem powędrował w górę ramion do barków, rozlał się na klatkę piersiową i biodra, potem ogarnął nogi i dotarł do stóp. Dziwne, że jako ostatni przebudził się jej brzuch. Nagle poczuła wilczy apetyt.

Położyła dłoń na podbrzuszu. I wyczuła to, wyczuła delikatne ciężowe zaokrąglenie. Widomy znak, że coś w niej rośnie. To nie siła ciężkości spowodowała to wybrzuszenie. To sprawka chłopca.

Tylko którego?

Drzwi otworzyły się na oścież.

Zobaczyła napiętą twarz matki. Esther Vaughn rzadko okazywała emocje, ale teraz Emily widziała jej spływający tusz. Rozmazana kredka do oczu upodobniła ją do Tammy Faye Bakker, telewizyjnej ewangelistki znanej zarówno z kazań, jak i z ostrego makijażu. Emily zaśmiałyby się na tę myśl, gdyby nie widok ojca za drzwiami. Wypełnił sobą cały zagracony korytarz. Gdyby jego złość generowała ogień, wszyscy troje w jednej chwili spłonęliby żywcem.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzenie ustało i na Emily spłynął spokój. Była pogodzona z tym, co nastąpi, wręcz chciała mieć to już za sobą. Nauczyła się od matki, że czasem najlepiej zwinąć się w kłębek na podłodze, osłonić twarz przedramionami i przyjąć spadające ciosy.

Faktem jest, że na nie zasłużyła.

– Emily! – Esther pociągnęła ją do kuchni i zamknęła drzwi na wypadek, gdyby gosposia była jeszcze w domu. Mówiła ostrym tonem, ale cicho. – Gdzieś ty się podziewała, do licha?

Emily spojrzała na zegar w kuchence. Dochodziła piąta. Nie pamiętała, co robiła po wyjściu z gabinetu doktora Schroedera aż do teraz.

– Mów. – Esther potrząsała jej ramieniem jak sercem dzwonu. – Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Emily pokręciła głową, ponieważ sama nie wiedziała dlaczego. Pani Brickel kazała jej zadzwonić do matki. Czemu nie posłuchała? Czy już traciła rozum? Co robiła przez osiem godzin?

– Siadaj – odezwała się Esther. – Proszę, powiedz nam, co się stało. Kto ci to zrobił?

Emily czuła, jakby jej dusza znowu chciała ulecieć z ciała. Przytrzymała się krzesła, żeby nie odfrunąć.

– Nie wiem.

Franklin wszedł za nimi do kuchni, oparł się o blat i skrzyżował ramiona. Był spokojny, nic nie powiedział, nic nie zrobił, zupełnie jak nie on. Czemu nie wrzeszczał i nie rozdawał ciosów?

– Skarbie. – Esther uklękła przed nią na podłodze i wzięła ją za ręce. – Proszę, powiedz mi, co zaszło. Muszę wiedzieć. Jak to się stało?

– Byłam... – Emily zamknęła oczy. Pod powiekami widziała Claya, jak kładzie jej na języku listek kwasu. Tego nie mogła im powiedzieć, bo z miejsca by jego obarczyli winą.

– Emily, proszę – powtórzyła błagalnie Esther.

Emily otworzyła oczy.

– Wypiłam trochę alkoholu. Nie wiedziałam, że tak się skończy... ale odpłynęłam. Tylko tak mogę to nazwać. Potem się ocknęłam i nie miałam pojęcia, że do czegoś doszło. Nie wiedziałam, nic nie wiedziałam.

Esther zacisnęła usta i opadła na pięty. Emily widziała, że umysł matki pracuje na najwyższych obrotach w poszukiwaniu rozwiązania przy zagłuszonych emocjach. Dlatego nie było krzyków i lania. Rodzice mieli osiem godzin, żeby do woli nawrzeszczeć na siebie.

Teraz radzili sobie z sytuacją jak zawsze, gdy coś groziło pozycji sędzi Esther Vaughn, tak samo jak poradzili sobie, kiedy wujek Fred został przyłapany w barze dla mężczyzn albo kiedy ojciec Sera, komendant Stilton, odwiózł do domu babcię, która weszła do sklepu spożywczego tylko w koszuli nocnej. Emily znała na pamięć wszystkie etapy postępowania w takich sytuacjach, jakby tworzyły wzór w herbie rodzinnym. Dostrzec problem. Zapłacić, komu trzeba. Znaleźć rozwiązanie, dzięki któremu nazwisko rodziny nie wyląduje na pierwszych stronach gazet. Iść dalej jak gdyby nigdy nic.

– Emily – naciskała Esther. – Powiedz prawdę. Tu nie chodzi o wzajemne rzucanie oskarżeń, szukajmy rozwiązania.

– Wzajemnych oskarżeń bym nie wykluczał – odparował Franklin.

Esther syknęła na niego jak kotka.

– Emily, mów.

– N...n...nigdy wcześniej nie piłam. – Im bardziej Emily kłamała, tym bardziej sobie wierzyła. – Pociągnęłam tylko łyk, mamó. Przysięgam. Wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Nie jestem... nie jestem zła. Naprawdę.

Rodzice wymienili spojrzenia, których nie umiała rozszyfrować.

Franklin odchrząknął.

– To albo Blakely, albo Fontaine, albo Morrow. Tylko z nimi się zadajesz.

– Nie – zaproponowała, bo ojciec nie znał ich tak dobrze jak ona. – Oni by mi tego nie zrobili.

– Do jasnej cholery! – Ojciec huknął pięścią w kontuar. – Nie jesteś Najświętszą Panią. Ujawnij to. Jakiś chłopak wsadził w ciebie kutasa i zrobił ci dziecko.

– Franklinie! – rzuciła ostrzegawczo Esther. – Dość tego!

Emily patrzyła zdumiona, jak ojciec powściąga gniew. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała. Esther nie korzystała w domu ze swojego autorytetu, nie zbudowała sobie dominującej pozycji, a jednak w tej chwili to ona grała pierwsze skrzypce.

– Mamo. – Emily głośno przełknęła ślinę. – Tak mi przykro.

– Wiem – odparła Esther. – Dziecko, posłuchaj mnie. Nie dbam o to, jak do tego doszło... czy tego chciałaś, czy nie, bo w tej chwili to nieistotne. Powiedz tylko, kto to był, żebyśmy mogli postąpić, jak należy.

Emily nie wiedziała, co należy. Przypomniała sobie słowa pani Brickel o możliwych rozwiązaniach. Wtedy pomyślała o Nardie, jak dmucha jej w twarz dymem z papierosa, o Blake'u, jak uszczypliwie komentuje jej obcisłe spodnie, o Clayu, jak kompletnie ją ignoruje, gdy półdupkiem zwisa w powietrzu, siadając obok niego przy stole od prawie piętnastu lat.

Nagle coś dotarło do niej jasno i wyraźnie. Nie kochała ich! W każdym razie nie tak, jak sądziła, że kocha. Nie chciała żadnego z nich, nawet Claya.

– Emily. – Matka powtarzała jej imię jak mantrę. – Emily, proszę.

Przełknęła okruchy szkła tkwiące w jej w gardle.

– Nie chcę wyjść za mąż – powiedziała.

– A ja nie chcę zostać cholernym dziadkiem! – wybuchnął Franklin, zaciskając pięści, jednak ręce utrzymał przy sobie. – Chryste Panie, Esther, rozmawialiśmy o tym. Zabierz ją gdzieś i pozbądźcie się problemu.

– Owszem, rozmawialiśmy o tym. – Esther wstała i zwróciła się w jego kierunku, tym gestem wyłączając Emily z dyskusji. – Ktoś i tak się dowie, Franklinie. Zawsze ktoś się dowiaduje.

Ojciec machnął ręką, przechodząc do następnego punktu w rodzinnym podręczniku radzenia sobie z problemami, i stwierdził:

– Wynajmij kogoś, użyj gotówki.

– Kogo mam wynająć? Jednego z moich asystentów? Gosposię? – Esther wstała i wycelowała palec w twarz Franklina. – Jesteś matematykiem, więc mi policz, ile czasu minie, zanim ktoś zaoferuje kwotę, która rozwiąże im języki. Policz, ile czasu minie, zanim z powodu jednego głupiego błędu to wszystko, na co tak ciężko pracowaliśmy, trafi szlag.

– To nie mój błąd – burknął.

– Ale reputacja jest twoja! – wyrzuciła z siebie, jakby strzelała z armaty. – To ty jeździsz na konferencje, przemawiasz w kościołach i...

– Dla ciebie! – wrzasnął. – Dla twojej chwalebnej kariery!

– Myślisz, że „Washington Post” obchodziłby jakiś nic nieznaczący profesor ekonomii, gdyby nie jego żona, która sama, praktycznie bez żadnej pomocy, wprowadza w naszym stanie prawne rozwiązania wynikające z idei nowego federalizmu, przez co wzmocni się autonomia Delaware?

Emily nigdy nie widziała ojca tak skruszonego. Spuścił głowę, prawie dotykając brodą klatki piersiowej. A potem zapytał:

– Może adopcja?

– Nie bądź śmieszny. Wiesz, jak fatalnie wygląda w kraju system opieki nad dziećmi. Równie dobrze można by wrzucić to biedactwo do morza. Poza tym liczba ludzi, których trzeba by wtajemniczyć w tę sprawę, wzrośnie wykładniczo. – Esther coś jeszcze miała do powiedzenia: – Nie mówiąc o tym, że Reagan na stałe skreślił mnie z listy, gdy tylko wyczuje powiew takiego skandalu.

– Jakby jego córka nie dojrzała skandalicznie przedwcześnie! – obruszył się Franklin. – Esther, wedle życzenia trochę matematyki. Lata miną, zanim ktoś puści parę z ust, a ty do tego czasu już będziesz po nominacji. To dożywotnia nominacja, więc im powiesz, że mogą ci skoczyć.

Emily poczuła się tak, jakby znowu miała w gardle szkło. Równie dobrze mogłoby jej tu nie być.

– Nie rozumiesz, jak zajadli i przebiegli są ci z opozycji? Spójrz, co wyprawiają z Anne Gorsuch. Od niedawna kieruje Agencją Ochrony Środowiska, a już zrobili sobie z niej tarczę strzelniczą. – Złączyła dłonie na wysokości twarzy. – Franklinie, nie jestem Kennedym. Nie zamiotą skandalu pod dywan, kiedy jest w niego uwikłana konserwatywna kobieta.

Emily patrzyła na ojca, który wbił wzrok w podłogę. W końcu skinął głową.

– Dobrze, w takim razie moja matka zabierze ją do kliniki w jakieś bezpieczne miejsce, do Kalifornii albo...



– Oszalałeś? – Esther uniosła ręce. – Twoja matka ledwie pamięta, jak się nazywa!

– Wystarczy jej rozumu, żeby mieć oko na przekłętą wnuczkę!

Esther wymierzyła mu siarczysty policzek. Dźwięk przypominał trzask łamiącej się gałęzi.

„Przekłęta wnuczka” otworzyła usta ze zdumienia, a na policzku ojca wykwił czerwony ślad. Emily już szykowała się na agresywną reakcję, jednak Franklin tylko pokręcił głową i wyszedł z kuchni.

Esther objęła się w pasie i zaczęła chodzić w tę i z powrotem. Jej umysł ciągle pracował na najwyższych obrotach, bo desperacko szukała rozwiązania.

– Mamo... – zaczęła Emily.

– Ani słowa. – Uniosła dłoń, by uciszyć córkę. – Nie dopuszczę do tego. To się nie może zdarzyć. Nie tobie, a już na pewno nie mnie.

Emily próbowała znowu połknąć okruchy szkła, ale uparcie trwały w gardle.

– Nie zrujnujesz sobie życia z tego powodu. – Esther odwróciła się do Emily. – Dlaczego nie dowiedziałaś się, jak można zapobiegać ciąży?

To pytanie odjęło Emily głos. Było takie... śmiałe. Czemu w ogóle miałyby rozpytywać o sposoby zapobiegania ciąży? I czy w ogóle mogła o to pytać? Nikt nigdy nawet się nie zająknął na ten temat.

– Niech to szlag. – Esther wróciła do nerwowego przemierzania kuchni. – Na pewno nie chcesz za niego wyjść?

Za niego? Czyli za kogo? – pomyślała Emily, nadal milcząc.

– W końcu i tak będziesz musiała wyjść za mąż – kontynuowała matka. – Ale to nie musi być taki związek jak mój i twojego ojca. Dojrzejecie, nauczycie się kochać wzajemnie.

– Mamo – powiedziała Emily. – Nie wiem, kto to. Nawet nie pamiętam tego momentu.

Esther znowu zacisnęła usta i bacznie popatrzyła na córkę, szukając na jej twarzy oznak kłamstwa.

– Mówiłam prawdę o tym, jak to się stało. Wypiłam coś i nie pamiętam, co było potem. Nie wiem, kto to zrobił.

– Nawet jeśli nie wiesz, na pewno masz jakieś przypuszczenia.

– Przypuszczenia? – Emily pokręciła głową. – Nie sądzę, żeby... Mamo, oni by tego nie zrobili, to znaczy chłopcy. Przyjaźnimy się od pierwszej klasy i...

– Twój ojciec ma rację przynajmniej w tym jednym. To chłopcy, Emily. To, co cię spotkało, chłopcy robią dziewczynom, którym urywa się film po alkoholu.

– Mamo...

– W tym momencie okoliczności są nieistotne. Podaj imię chłopca, któregokolwiek, wszystko mi jedno. Podaj imię, a wszystko naprawimy. W przeciwnym razie zostaniesz z tym wstydem do końca życia.

Emily nie wierzyła własnym uszom. Matka ciągle mówiła o prawdzie i sprawiedliwości, a teraz nakłaniała własną córkę, by zrujnowała komuś... nie, nie jakiejś konkretnej osobie, tylko wszystko jedno komu... życie!

– I jak? – spytała Esther.

– Ja... – Emily przerwała, żeby nabrać tchu. – Nie mogę, mamo. Naprawdę nie pamiętam. To byłoby złe. Nie mogę powiedzieć czegoś, co do czego nie mam pewności. Nie mogę tego zrobić...

– Bernard Fontaine jest większym kanciarzem niż jego potępienia godny ojciec. Eric Blakely będzie podawał placki ziemniaczane z sosem mięsnym przez resztę swojego nędznego życia. – Emily musiała ugryźć się w język, żeby nie stanąć w ich obronie, i dalej słuchała matki: – Zawsze lubiłaś Claya. Z nim byłoby aż tak źle? – Esther wyraźnie próbowała złagodzić ton. – Jest bardzo przystojny i jedzie do college’u na Zachodnie Wybrzeże. Mogło być gorzej.

Emily próbowała wyobrazić sobie życie z Clayem. Zawsze spychana na bok i wisząca w niewygodnej pozycji, podczas gdy on głądził o rewolucji.

Zaczęła potrząsać głową, zanim zdążyła odpowiedzieć:

– Nie. Nie mogę kłamać.

– W takim razie to twój wybór, Emily Rose. Pamiętaj, to ty podjęłaś decyzję. – Esther raz skinęła głową, sygnalizując koniec jednego wątku i początek następnego. – Musimy stawić temu czoło jako rodzina, zresztą jak zawsze. Nie powinnaś chodzić na własną rękę do Schroedera, ale stało się i przez to mamy związane ręce. To gaduła i obwieści wszystkim nowinę, jeśli wrócisz po wakacjach i okaże się, że problem zniknął. Już nawet nie wspominając o jego pielęgniarce. Natalie Brickel pewnie chichotała jak czarownica, kiedy się o tym dowiedziała.

Emily odwróciła wzrok. Pani Brickel okazała jej życzliwość, nic więcej.

– Przykro mi, mamo.

– Wiem, że ci przykro, Emily. – Głos Esther się załamał. Odwróciła się, by ukryć przed córką łzy. – Wszystkim nam przykro... choć jakie to ma znaczenie?

Emily poczuła, że drży jej dolna warga. Nie znosiła patrzeć na łzy matki. Pozostało jej tylko powtarzać do śmierci te same dwa słowa:

– Przykro mi.

Matka ukryła twarz w dłoniach. Ona z kolei nie znosiła, gdy inni widzieli ją w chwilach słabości.

Emily pomyślała o wszystkim, co może teraz zrobić – podejść do matki i zacząć ją pocieszać, objąć ją, pogłaskać po plecach, jak pani Brickel gładziła ją – ale wsparcie emocjonalne wykraczało poza ich od dawna i na zawsze ustalony wzorzec relacji. Emily była świetna we wszystkim, co robiła, a Esther z niesłabnącą aprobatą obserwowała jej osiągnięcia. Żadna z nich nie wiedziała, co począć z porażką.

Emily mogła tylko wpatrywać się w swoje splecione dłonie i czekać, aż Esther odzyska panowanie nad sobą. Doktor Schroeder i ojciec na pewno w jednym mieli rację. To była wyłącznie jej wina. Ujrzała wyraźnie, jak wszystkie popełnione błędy świecą się niczym neon na wykresie jej życia. Chciałaby cofnąć się w czasie, mając tę wiedzę, którą właśnie zyskała. Nie poszłaby na żadną idiotyczną imprezę. Nie wystawiłaby języka jak pies i nie połknęła tego, co jej na języku położono.

Mimo swoich rozlicznych wad, Franklin Vaughn przejrzał jej klikę na wskroś.

Nardo miał szemrany charakter. Blake trąbił o tym, że pójdzie do college'u za pieniądze zasądzone po tragicznej śmierci jego rodziców, ale wszyscy wiedzieli, że na koniec i tak rzuci studia. A Clay... Jakim cudem zdołała sobie wmówić, że Clayton Morrow jest wart jej czasu i zachodu? Był arogancki, bezduszny i bardzo, bardzo samolubny.

Esther pociągnęła nosem i wydmuchała go w papierową chusteczkę. Miała zaczerwienione oczy, a rozmazany makijaż upodobił ją do szopa pracza. Była zdruzgotana.

I znów Emily mogła tylko powtórzyć:

– Tak mi przykro.

– Nie rozumiem, jak mogłaś do tego dopuścić. – Głos Esther zabrzmiał szorstko, choć łzy nadal płynęły jej po twarzy. – Tak wiele pragnęłam dla ciebie. Wiesz co? Nie chciałam, żebyś zmagala się z życiem, tak jak ja musiałam. Próbowałam ci to wszystko ułatwić, stworzyć szansę, żebyś została kimś, nie musząc niczego poświęcać.

Emily znowu zaczęła płakać. Rozczarowanie matki ją załamało.

– Wiem, mam, przepraszam.

– Teraz nikt nie będzie cię szanował. Rozumiesz to? – Esther złożyła dłonie jak do modlitwy. – Tym, co zrobiłaś, unieważniłaś swoją inteligencję, swoją ciężką pracę, swój zapał, swoją determinację. To wszystko, co zrobiłaś dobrego do tej pory, uleciało z powodu pięciu minut... czego właściwie? Nie mogłaś zaznać prawdziwej rozkoszy. Ci chłopcy nie są jeszcze mężczyznami, to nadal dzieciuchy.

Emily w milczeniu kiwnęła głową. Matka miała rację. Byli bandą głupich dzieciaków.

– Chciałam... – Głos Esther znowu się załamał. – Chciałam, żebyś zakochała się w kimś, kto o ciebie zadba i będzie cię szanował. Nie rozumiesz, co zrobiłaś? To się rozwiało. Minęło.

Emily zaschło w ustach tak bardzo, że ledwie mogła przełykać ślinę.

– Nie wiedziałam.

– Cóż, teraz się dowiesz. – Esther znów raz potrząsnęła głową, ale nie po to, żeby przejść do następnego punktu, czyli do rozwiązania problemu, lecz by dać do zrozumienia, że ostateczna decyzja została już podjęta. – Od tej chwili każdy, kto na ciebie spojrzy, zobaczy w tobie plugawą dziwkę. – Po tych słowach wyszła z kuchni. Na korytarz prowadziły drzwi, jednak nimi nie trzasnęła. Nie zatupała nogami na drewnianej podłodze. Nie krzyczała i nie waliła pięściami w ściany.

Po prostu rzuciła słowa, które przyfrunęły do Emily i zaczęły tłuc się w jej głowie:

„Plugawa dziwka”.

Tak myślał o niej doktor Schroeder, kiedy wepchnął jej ten straszny instrument między nogi, a także w duchu tak myślała o niej pani Brickel. Ojciec prawie to powiedział. Tę etykietkę przykleją jej nauczyciele w szkole i byli przyjaciele, a Clay, Nardo, Blake i Ricky powiedzą to samo. Ten krzyż będzie dźwigać przez resztę życia.

– Skarbie?

Zaskoczona Emily zerwała się z krzesła, gdy ujrzała babcię, która siedziała na skrzynkach wina w spiżarni. Była tam przez cały czas. Pewnie wszystko słyszała.

– Och, babciu. – Emily nie myślała, że potrafi jeszcze bardziej się zawstydzić. – Długo tu jesteś?

– Nie mam zegarka – odparła, choć był przypięty do wyłogu sukienki. – Masz ochotę na ciasteczka?

– Ja je przyniosę. – Emily podeszła do kredensu i otworzyła drzwiczki. Nie była w stanie spojrzeć na babcię, ale spytała: – Babciu, słyszałaś, o czym rozmawialiśmy?

Babcia usiadła przy stole.

– Tak. Słyszałam, co powiedzieli.

Emily w końcu się odwróciła i spojrzała babci w oczy, szukając nie osądu, lecz przebłysku świadomości. Z którą babcią teraz obcowała? Z tą, która ją wychowała,

była jej mistrzynią, jej powiernicą? Czy z tą, która nie rozpoznawała obcych ludzi otaczających ją w domu?

– Emily? – odezwała się babcia. – Dobrze się czujesz?

– Babciu... – Zaszlochała i padła przy niej na kolana.

– Moje biedne jagniątko. – Pogładziła wnuczkę po głowie. – Co za pech.

– Babciu... – Emily zmusiła się do mówienia, póki miały na to czas. – Czy pamiętasz, jak na początku zeszłego miesiąca obudziłam się w twojej sypialni na podłodze?

– Oczywiście, że pamiętam – odparła babcia, choć trudno było to zweryfikować, bo pamięć staruszki pogarszała się z dnia na dzień. Zdarzało się, że brała Emily za swoją zmarłą w dzieciństwie siostrę. – Miałaś na sobie zieloną sukienkę, bardzo ładną.

Serce Emily zabiło mocniej. Ujrzała siebie, jak podchodzi do Claya, wyciąga język, na którym on kładzie porcję kwasu, i ma na sobie pożyczoną od Ricky jedwabną sukienkę.

– Zgadza się, babciu. Rzeczywiście miałam na sobie zieloną sukienkę. Pamiętasz tamtą noc?

– Saddle-oxford stał na zewnątrz – odparła z uśmiechem babcia. – Taka śmieszna mała bańka. Bip... bip.

Serce Emily ścisnęło się z żalu. Babci mieszała się terażniejszość ze strzępami z przeszłości. Przynajmniej nie będzie pamiętać jej rozmowy z rodzicami. To znaczyło, że im większy będzie miała brzuch, tym bardziej babcia zdziwi się na jej widok... oczywiście gdy rozpozna w niej swoją wnuczkę, ciężarną wnuczkę.

– Skarbie?

– Przyniosę ciasteczka. – Emily wstała, żeby sięgnąć po pudełko, i dłonią wytarła oczy. – Chcesz mleka?

– Tak, tak, uwielbiam zimne mleko.

Emily otworzyła lodówkę. Wysiła pamięć, wracając do wspomnień z poranka po Imprezie. Pamiętała, że obudziła się na podłodze w sypialni babci w sukience

odwróconej na lewą stronę. Miała obolałe uda, a w środku czuła pulsujący ból, który uznała za sygnał nadchodzącej miesiączki.

Czemu nie pamiętała tego, co było wcześniej?

– Saddle-oxford, saddle-oxford, bip-bip-bip – podśpiewywała babcia. – Jak on się nazywa? Ten mały baniasty samochód?

– Samochód? – powtórzyła Emily, stawiając szklanekę mleka na stole. – Jaki samochód?

– Och, wiesz, o czym mówię. – Babcia skubnęła kęs ciasteczka. – Taki spadzisty z tyłu. Wygląda jak coś, z czego może wyskoczyć klaun.

– Yyy... – Emily usiadła na krześle naprzeciwko babci.

Nawiedził ją kolejny przebłysk pamięci, tym razem z ciemnego wnętrza auta. Paliły się światełka na desce rozdzielczej, piosenka w radiu leciała zbyt cicho, żeby wyłowić słowa, a Emily nerwowo dotykała rozdartego brzegu zielonej sukienki Ricky.

– Są pochyłe z tyłu – ciągnęła babcia. – Auta z bagażnikiem, który widać we wstecznym lusterku.

Emily zaczęła oddychać równie płytko, jak w gabinecie doktora Schroedera. Znowu usłyszała piosenkę z radia samochodowego, ale ciągle nie potrafiła rozróżnić słów.

– Hatchback?

– Tak to nazywają? – Babcia pokręciła głową. – Dziwne widzieć dorosłego mężczyznę w czymś takim.

– Jakiego mężczyznę?

– Och, skąd mam wiedzieć. Podwiózł cię pod dom tej nocy, o którą pytasz. Widziałam go przez okno.

Emily zacisnęła zęby. I znowu umysł wyrzucił z zakamarków pamięci przebłysk, który stał się równie realny, jak ta scena, gdy Clay kładzie jej na język porcję kwasu. To zdarzyło się kilka godzin po Imprezie. Noc była tak ciemna, że Emily ledwie widziała kontur własnej dłoni przed nosem. Nagle zamknęły się

drzwi auta, silnik mrucał, przednie reflektory rzuciły światło na front domu. Emily zatoczyła się. Miała obtarte uda, lepką skórę. Spuściła wzrok i zobaczyła rozdarcie na brzegu zielonej sukienki Ricky. Potem podniosła wzrok i dostrzegła babcię, która stała w oknie sypialni.

Ich oczy się spotkały. Coś między nimi zaszło. Emily czuła się inaczej, taka jakby... brudna.

Silnik zwiększył obroty i samochód szybko wyjechał tyłem z podjazdu. Emily nawet nie musiała się odwracać, by wiedzieć, jak wygląda. Siedziała w nim przed chwilą, miesiące temu, co najmniej rok temu podwożona do domu w deszczu czy łapiąc okazję w drodze na trening. We wnętrzu auta wisiał zapach potu i trawki. Z zewnątrz przypominało bańkę polakierowaną w dwóch kolorach we wzór przypominający buty saddle-oxford, jasnobrązowe na górze, ciemnobrązowe na dole. Tylko jeden człowiek w mieście jeździł takim chevroletem chevette. To był ten sam człowiek, który odwiózł ją do domu w noc tamtej Imprezy.

Dean Wexler.



Andrei towarzyszyło niewytłumaczalne i kompletnie bezzasadne poczucie odrzucenia po wyjściu z pracowni Judith. Jej domniemana... jej prawie na pewno przyrodnia siostra okazała całkowity brak zainteresowania ich wspólnym ojcem. Judith знаła tylko późniejsze przestępstwa Clayтона Morrowa w wersji opisanej przez magazyn „People” i nigdy nie kopała głębiej, a także nie próbowała nawiązać z nim kontaktu. Nie chciała wiedzieć więcej. Wręcz chciała wiedzieć mniej.

– Czemu miałabym poświęcić mu choćby jedną myśl? – spytała Andrei. – Czemu ktokolwiek miałby to zrobić?

Owszem, to było dobre pytanie, jednak Andrea nie mogła na nie odpowiedzieć bez ujawnienia całej prawdy.

Idąc za dom, ścisnęła w dłoni iPhone’a. Nie mogła zmusić się, żeby spojrzeć na wyświetlacz. Zdołała ukradkiem zrobić kilka zdjęć kolażu z Emili, kiedy Judith zamykała pracownię. Były to zdjęcia z badania USG, fotografie grupowe, niepozowane zdjęcia, na których uchwycono zwyczajne chwile z życia Emili, a także lista utworów na kasecie. Resztę ich wspólnego czasu spędziła na kiwaniu głową, gdy Judith opowiadała o Guinevere, która faktycznie okazała się niesforna i krnąbrna, o sędzi, którą Judith udało się nieco zmiękczyć, gdy obudziła w niej zainteresowanie ogrodnictwem, oraz o jej niezachwianym poparciu dla pragnień wnuczki, by zająć się sztuką zamiast prawem czy ekonomią, czyli dziedzinami, które zapewniłyby jej godne i dostatnie życie.

– Babcia jest niesamowicie zdeterminowaną osobą – opowiadała Judith. – Postanowiła, że ze mną nie popełni tych samych błędów, które popełniła z moją mamą. To straszny sposób na drugą szansę i naprawienie błędów, ale nadała temu specjalne znaczenie.

Andrea nie została, by wysłuchać opowieści o konkretnych błędach, choć miała przeczucie, że Judith chciała wprowadzić ją w szczegóły. Tak wpływa na człowieka życie w małym miasteczku. Izolacja i brak nowych kontaktów mocno kształtują człowieka. Albo gada się za dużo, albo w ogóle przestaje się rozmawiać.

Pomimo ukrytych motywów, które nią kierowały, Andrea miała nadzieję, że Judith należy do tej drugiej kategorii ludzi. Czuła się nieuczciwa wobec niej, tyle wiedząc o jej życiu osobistym i udając, że jest zupełnie inaczej. Mogła na przykład powiedzieć Judith, że myli się w sprawie z pozoru nieistotnej, choć tak naprawdę bardzo ważnej...

Charakter pisma na kasecie ze składanką nie należał do Claytona Morrowa.

Z tego, co Andrea wiedziała, nie należał do nikogo z grupy Emily. Miała bardzo dobry materiał porównawczy, bo wszystkie zeznania świadków z tamtego dochodzenia zostały osobiście przez nich spisane. Niemal nieczytelna kursywa Jacka Stiltona czy dziecinne kółeczka nad „i” Ricky Blakely zostały zatrzymane w czasie, podobnie jak chaotycznie wrzucane w tekst drukowane litery w ciasnym piśmie Claya Morrowa. Tak mocno przyciskał długopis do papieru, że na ksero widać było cień wyłobień.

17 kwietnia 1982 roku, około godz. 17:45, ja, Clayton James Morrow, stałem pod SCENĄ w sali gimnastycznej, kiedy Emily Vaughn podeszła do MNIE i mojej dziewczyny Rhondy Stein. Gapiła się na nas bez słowa i kołysała się w przód i w tył z otwartymi ustami. Wszyscy widzieli, że jest naćpana albo pod wpływem. Wiele osób zauważyło, że nie ma butów i jest bardzo rozstrojona psychicznie. Na PEWNO była zdezorientowana. Zanim odeszła, nie powiedziała ani słowa. Ludzie sobie z niej żartowali, ale ja źle się z tym czułem. Przyjaźniliśmy się, póki nie zeszła na złą drogę, dlatego czułem, że powinienem upewnić się, czy wszystko z nią w porządku. Przed salą powiedziałem jej, żeby poszła do domu. Każdy, kto twierdzi, że ją chwyciłem, przeinacza fakty. Gdyby ci tzw. świadkowie stali wystarczająco blisko, toby ZOBACZYLI, że oczy uciekają jej w głąb czaszki. Złapałem ją, żeby nie upadła. To wszystko. Przyznaję, że krzyknąłem na nią, żeby uważała, mogłem też powiedzieć, że inaczej się zabije, oczywiście wszystko

z troski o jej bezpieczeństwo. Jak mówiłem, ona dużo ćpała, a potem chodziła i wkurzała ludzi, bo każdego faceta, który kiedyś spojrział na nią niewłaściwie według niej, oskarżała o gwałt. Przez to jej wariactwo wycofałem się z naszej znajomości. Nie wiem, kim jest ojciec jej dziecka, i szczerze mówiąc, nie dbam o to. Wiem tylko, że to nie ja, bo nigdy nie byłem nią zainteresowany. Jeśli już, to była dla mnie jak młodsza siostra. Jeśli wyjdzie ze śpiączki, właśnie to jej powiem. Chodzę z Rhondą na poważnie. Jest kapitanem czirliderek i mamy wiele wspólnych zainteresowań. Nigdy nikomu źle nie życzyłem i mam nadzieję, że ona z tego wyjdzie. Zaznaczam przy tym, że nie mam z tym nic wspólnego i cieszę się, że niedługo jadę do college'u. Mam wystarczająco dużo zaliczonych przedmiotów, żeby już jechać. Moi rodzice mogą przysłać mi dyplom pocztą albo powiesić go w domu na ścianie. Wszystko mi jedno. Tamtego wieczoru miałem na sobie czarny SMOKING, jak wiele innych osób, nie wiem, czemu to takie ważne, ale powiedziano mi, żebym dodał tę informację. Pod RYGOREM odpowiedzialności KARNEJ przysięgam, że moje zeznanie jest zgodne z prawdą.

W zeznaniu Claya najbardziej ją uderzyło to, że poza pierwszym zdaniem, które brzmiało podobnie we wszystkich zeznaniach świadków, już nigdy więcej nie użył imienia Emily.

Dotarła przed frontowe wejście do rezydencji Vaughnów. Oba fordy explorery nadal stały obok siebie. Przypuszczała, że Harri i Krump zdają Bible'owi zmianę. Zamiast wejść do domu, oparła się plecami o ścianę i odblokowała iPhone'a, by szybko wyszukać potrzebne informacje.

Piosenka Hurts So Good Johna Cougara pochodziła z albumu American Fool.

Nice Girls – z debiutanckiego albumu grupy Eye to Eye o tym samym tytule.

Love's Been a Little Bit Hard on Me Juice Newton – z albumu Quiet Lies.

Znalazła resztę piosenek z listy, od Blondie przez Melissę Manchester po Van Halena. Według Wikipedii wszystkie piosenki pochodziły z albumów wydanych w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. To oznaczało, że

ktokolwiek nagrał tę składankę, był w kontakcie z Emily kilka tygodni, a może zaledwie kilka dni przed atakiem.

Zacisnęła usta i przejrzała sfotografowane fragmenty pierwszego kolazu nastoletniej Judith. Znalazła listę piosenek i powiększyła obraz.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku ktoś użył wiecznego pióra, by zapisać nazwiska artystów i tytuły piosenek. Atrament trochę się rozmazał, ale widać było, że litery zostały starannie wykaligrafowane precyzyjną kursywą. Andrea domyślała się, że ten, kto nagrał kasetę, albo poczuł przypływ weny twórczej, albo zadał sobie trud, żeby ukryć prawdziwy charakter pisma.

W świetle brutalnego ataku na Emily odpowiedź wydawała się oczywista.

Gdy telefon zawibrował w jej dłoni, odruchowo przewróciła oczami, zanim odczytała imię matki w wiadomości, ponieważ oczywiście to Laura do niej napisała. Andrea otworzyła wiadomość i zobaczyła zdjęcie kurtki firmy Arc'teryx, która – co Andrea musiała przyznać – idealnie pasowała do jej stylu, choć już nie do miejsca, gdzie aktualnie przebywała. Potem wyskoczył tekst od matki, a w nim link do sklepu turystycznego w Portlandzie w Oregonie.

Matka napisała:

Mają Twój rozmiar. Rozmawiałam z kierownikiem. Jest tam do dziesiątej.

– Niech to szlag – mruknęła Andrea.

Odpisała:

Nie mogę czytać przez wiatr z łopat helikoptera.

W garażu ktoś otworzył drzwi, a gdy tam spojrzała, zobaczyła, że Bible idzie w jej stronę.

– Przepraszam. – Uniosła dłoń z iPhone'em. – Moja matka walczy o tytuł nadopiekuńczego rodzica roku.

– Nie ma problemu – odparł, chociaż widziała, że jakiś problem jednak jest. – Harri i Krump chcieli się z tobą przywitać, zanim uderzą w kimono.

Dwaj mężczyźni pojawili się za plecami Bible'a, obaj mieli ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i stojąc ramię w ramię, zajmowali prawie całą

szerokość jednej z garażowych wnęk. Ich wyczerpane twarze zdradzały, że chcą jak najszybciej stąd zniknąć.

– Mitt Harri, Bryan Krump, a to Andrea Oliver, nasza nowa współpracowniczka.

– Miło poznać. – Harri uściskał serdecznie jej dłoń. Rozpoznała w nim kierowcę mercedesa Judith. Był wyższy od swojego partnera, musiał więc pochylić głowę w drzwiach garażu. – Witam w służbie.

– Ja też. – Krump ograniczył się do zółwika. – Nie pozwól Kurakowi Leghornowi zagadać cię w nocy na śmierć.

Andrea nie mogła powstrzymać śmiechu. Przywołanie postaci z kreskówki pasowało do rzeczywistości.

– Spróbuję.

– Mike to porządny gość – dodał Krump i Andrea przestała się śmiać. – Nigdy nie wierzyłem w plotki.

– Ja też nie – wtrącił Harri.

– Świetnie. – Tylko tyle Andrea zdołała wycedzić przez zaciśnięte zęby.

– Dobra, dzięki, chłopaki. Śpijcie dobrze. – Bible poklepał Andreę po ramieniu, dając znak, że powinna się śpieszyć. – Sędzia zaraz idzie na górę do sypialni. Powinnaś ją poznać.

Harri i Krump zaszalutowali jej i odeszli, natomiast Andrea schowała iPhone'a do kieszeni i poszła za Bible'em przez garaż. W głębi stał inny mercedes, kanciasty model z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku klasy S z wyblakłym złotym lakierem i popękkanymi skórzanymi siedzeniami.

– Jankeskie skąpstwo – szepnął Bible.

Andrea uśmiechnęła się, bo Bible był miłszy, niż oczekiwała, zważywszy na to, że miała tylko rozejrzeć się po terenie, a jej rekonesans zamienił się w trzydziestominutowe zajęcia wprowadzające na temat metody farbowania i kolaży według Judith Rose.

– Znowu wpadłam na Judith. I Guinevere – powiedziała.

– Zgaduję, że Guinevere puszczała dymka z wiatrem, żeby wkurzyć mamusię. Podobają ci się prace Judith?

– Ooo... tak. – Andrea zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to jak dyplomatyczna odpowiedź, gdy tak naprawdę została przyłapana. A potem pomyślała, że dyplomacja może być niezłą taktyką. – Sztuka jest subiektywna.

– Wiem, że masz rację. – Bible po koleżeńsku poklepał ją po plecach. – Sędzia jest w kuchni z doktorem Vaughnem. Rozejrzę się po okolicy, potem spotkamy się w bibliotece. Tam są wszystkie książki.

Andrea znowu poczuła się rzucona na głęboką wodę. Nie zamierzała utonąć, tak jak utonęła z komendantem Stiltonem. Rozejrzała się, próbując ustalić swoje położenie w długim ciemnym holu. Zobaczyła stosy gazet na akwariium, szafkę na buty zapewne pamiętającą czasy średniowiecza, czarno-białe portrety zwierząt gospodarskich inspirowane stylem Winslowa Homera, które krzywo wisiały na ścianach pokrytych boazerią. Papuzie skrzeczenie Syda niosło się echem po schodach, gdzieś grał telewizor. Wnętrze nie przypominało Domu Slytherina, kojarzyło się raczej z Hufflepuffem urządzonym przez pannę Havisham.

Usłyszała szcęk sreber stołowych o porcelanę i uznała, że ten dźwięk ma ją zaprowadzić do kuchni.

Termometr, powtarzała sobie w duchu, idąc korytarzem. Sędzia z pewnością przyjmie ją chłodno, więc ona też taka musi być. Da radę, potrafi, w końcu jest nieodrodną córką swojej matki.

Przed wejściem do kuchni odetchnęła głęboko, a potem zobaczyła niski sufit z ciężkimi dębowymi belkami, blaty z corianu, białe szafki z melaminy, spłowiałe linoleum w cegiełkę, złoty żyrandol nad stołem farmerskim. Ktoś w latach dziewięćdziesiątych dał z siebie wszystko, by przeobrazić dom. Jedynym współczesnym akcentem był bardzo dobry kolaż Judith wiszący obok lodówki.

– Witaj, moja droga. – Esther Vaughn siedziała przy stole nad filiżanką herbaty. Obok niej siedział jej mąż na wózku inwalidzkim. Miał sflaczałą twarz i bielmo na jednym oku, a drugie spoglądało obojętnie w górę i w prawo. – To doktor Vaughn.

Musisz mu wybaczyć, że nie mówi. W zeszłym roku przeszedł udar krwotoczny, ale nadal jest w pełni władz umysłowych.

Andrea domyśliła się, że to udar jest prawdziwym powodem jego odejścia na emeryturę. I powrotu wnuczki do domu mniej więcej w tym samym czasie.

Spojrzała na niego i powiedziała:

– Miło pana poznać, doktorze Vaughn.

Nie zareagował, czego można się było spodziewać. Dzięki Laurze, która jest logopedką, Andrea знаła różne rodzaje udarów oraz ich skutki. Udar krwotoczny, inaczej wylew krwi do mózgu, był najgorszy z nich. Spowodowany pęknięciem naczynia krwionośnego w mózgu, wywoływał ciśnienie śródczaszkowe, które może zniszczyć tkankę wokół, co jest eufemistycznym określeniem uszkodzenia mózgu.

Esther źle odczytała jej milczenie.

– Czy wózki inwalidzkie wprawiają cię w zakłopotanie? – spytała.

– Nie, proszę pani. Pozwalają cieszyć się, że ludzie, których kochamy, nadal są z nami. – Uciekła się do swoich dobrych południowych manier. – Powinnam podziękować państwu, że przyjmujecie mnie pod swój dach. Wiem, że to trudny czas dla całej rodziny. Zrobię, co w mojej mocy, żeby nie wchodzić wam w paradę.

Esther przez chwilę przyglądała się jej w milczeniu, wreszcie spytała:

– Napijesz się czegoś?

Andrea zdała sobie sprawę, że jej termometr z trudem przystosowuje się do sytuacji. Władcza, nieczuła, nieugięta sędzia Vaughn wcale nie była taka sztywna, jak głosiła fama. Kosmyki włosów, które wysunęły się z ciasnego koka, opadały na ramiona jak u dziewczyny, a bruzdy na osiemdziesięciodziesięcioletniej twarzy wyglądały łagodniej w kuchennym świetle. Była drobna, miała niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu w skarpetkach, które włożyła do jasnoróżowego szlafroka frotté.

Zaczęła podnosić się z krzesła.

– Mam herbatę, mleko albo...

– Dla mnie nic, dziękuję. – Andrea dała jej znak, żeby nie wstawała. Esther wyglądała na kruchą. Przeguby miała tak delikatne, jak jej porcelanowa filiżanka. – Powinnam już zacząć pracę. Proszę dać znać albo mnie, albo funkcjonariuszowi Bible’owi, jeśli będą państwo czegoś potrzebować.

– Proszę usiąść na chwilę. – Esther wskazała jej krzesło naprzeciwko swojego męża. – Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o tobie, skoro, jak sama powiedziałaś, masz spędzić sporo czasu w naszym domu.

Andrea usiadła z ociąganiem. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, więc oparła je na udach. Po chwili uświadomiła sobie, że to może wyglądać dziwnie, złączyła więc dłonie i położyła je na stole.

Esther posłała jej babciny uśmiech.

– Ile masz lat? – spytała.

– Trzydzieści trzy.

– Tuż poniżej granicy przyjęcia do USMS.

Andrea skinęła głową. Limit wieku wynosił trzydzieści siedem lat.

– Tak, pani sędzio.

– Nie musisz mówić do mnie ani „proszę pani”, ani „pani sędzio”, Andreo. Nie siedzimy na sali sądowej, na dodatek jesteśmy daleko na północ od Savannah.

Uśmiechnęła się z przymusem. Bible musiał dać sędzi jej CV, co miało sens. Wchodziła w prywatną przestrzeń rodziny, by ją chronić, a w takiej sytuacji każdy chciałby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Moja wnuczka mówi, że wykazałaś się zaskakującą znajomością i zrozumieniem sztuki.

Andrea znowu skinęła głową, wzmagając przy tym czujność. Czyżby wyczuła w tonie sędzi przestrożę? Jeśli Franklin Vaughn ją wyczuł, nie dał tego po sobie poznać, po prostu zdrowym okiem patrzył pusto przed siebie.

– Judith jest nadzwyczajna – ciągnęła sędzia. – Jej matka miała artystyczne zacięcie. Oczywiście wiesz, co ją spotkało. – Gdy Andrea znowu kiwnęła głową, Esther ciągnęła dalej: – Tragedia często rozbija rodzinę, ale mnie dopisało



szczęście, bo nasza tragedia scementowała moją rodzinę. A Guinevere jest wisienką na naszym torcie. Tylko nie mów jej tego, bo moje pochwały ją żenują. Wyobrażam sobie, że byłaś taka sama w jej wieku. Twoja matka musiała mieć pełne ręce roboty.

Andrea z trudem nie okazała żadnych emocji i zachowała naturalny wyraz twarzy. Prawda była taka, że sędzia zbierała informacje, jednak akurat o niej nie mogła nic wiedzieć, w każdym razie nic istotnego. Esther Vaughn nie czytała w myślach i nie miała dostępu do jej akt zgromadzonych w bazie danych programu ochrony świadków. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie mógł poznać jej prawdziwej tożsamości bez cholernie ważnego powodu. Esther Vaughn mogła dowiedzieć się czegoś tylko wtedy, gdy ona chlapnie coś głupiego.

Starła się bardzo, żeby czegoś takiego nie chlapnąć.

– Cieszę się, że jest pani blisko ze swoją rodziną.

Esther w milczeniu popijała herbatę. Nie dała Andrei jasno do zrozumienia, że ma już iść, po prostu nie odzywała się do niej.

Więc się skupiła się na regularnym oddechu. Rozszyfrowała grę sędzi. Ćwiczyli to w Glynco w trakcie symulowanych przesłuchań. Nikt nie lubi przeciągającej się ciszy, ale winni są na to szczególnie podatni.

– Doktorze Vaughn? – Kobieta w stroju pielęgniarki przerwała impas. – Czas na kąpiel, zabieram pana. Pani sędzio, czy czegoś pani potrzeba?

– Nie, Marto. Dziękuję. – Esther pochyliła się i pocałowała męża w bok głowy.  
– Dobranoc, mój drogi.

Jeśli Franklin Vaughn faktycznie był w pełni władz umysłowych, to nie miał żadnych szans, by to okazać. Po prostu spoglądał przed siebie, gdy pielęgniarka otulała go kocem, zwolniła blokadę i wyjechała wózkiem z kuchni.

Andrea musiała wstać, żeby zrobić im miejsce. Kiedy mogła znowu usiąść, uświadomiła sobie, że lepiej czuje się na stojąco.

Esther wyprostowała kręgosłup i ramiona i nagle wydała się dwa razy większą starszą kobietą od tej, która proponowała Andrei herbatę. Zastąpiła ją władcza,

onieśmielająca i nieugięta sędzia Esther Vaughn.

– Usiądź, Andreo. – Esther z zaciśniętymi ustami czekała, aż jej polecenie zostanie wykonane. – Musisz mi wybaczyć moją dociekliwość. Po prostu zainteresowało mnie twoje nagłe pojawienie się w moim życiu.

Andrea próbowała obniżyć własną temperaturę, by dopasować się do kostki lodu, którą miała przed sobą, i szybko się zorientowała, że na jej prywatnym termoregulatorze zabrakło skali. Błyskawicznie uznała, że powinna sięgnąć po starą sprawdzoną metodę polegającą na przekierowaniu uwagi.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani córki. To, że nie wykryto sprawcy, musi być dla pani bardzo trudne.

Sędzia przyglądała się jej tak otwarcie, że Andrea poczuła się, jakby robiła jej wiwisekcję mózgu. Pod wpływem przeszywającego wzroku sędzi poczucie winy zalało istotę szarą w jej mózgu. Wiedziona potrzebą wyznania prawdy, coraz trudniej panowała nad nerwami. Oczywiście mimo to próbowała zachować spokój, jednak w końcu cisza stała się nieznośna.

– Pani sędzio... – Andrea poruszyła się na krześle. – Czy jest coś jeszcze?

– Tak. – Esther tym jednym słówkiem przygwoździła ją do siedzenia. – Pracowałam z agentami USMS przez całą swoją karierę w sądzie federalnym, ale nigdy nie spotkałam kogoś, kto zaczyna służbę następnego dnia po ukończeniu szkolenia. Zwłaszcza, wybaczyć, że to powiem, kobiety.

Andreę ścisnęło w żołądku. Już miała do czynienia z takimi ludźmi jak Esther Vaughn. Dociskali cię, aż odpuścisz albo dasz równie mocny odpór. Dawna Andy odpuściłaby od razu. Nowa Andrea była wkurzona, że ta damulka uznała ją za łatwy cel.

– Nie ma potrzeby przeproszać – odparła obojętnym tonem. – Już byłam nazywana kobietą.

Esther zadarła podbródek. W końcu do niej dotarło, że łatwo nie będzie.

– Rozumiem, że zaręczyny z innym agentem przynoszą pewne korzyści.

Andrea przyrzekła sobie, że jeśli jeszcze kiedykolwiek spotka Mike'a, to potraktuje jego jaja imadłem.

Ale na razie ograniczyła się do wzruszenia ramieniem.

– Nie lubię, kiedy ludzie manewrują, żeby znaleźć się na mojej orbicie. To mi każe dociekać ich motywacji – dodała Esther Vaughn.

Andrea przyglądała się głębokim bruzdom na jej twarzy. Sędzia potrafiła wciskać odpowiednie guziki. Nie była tak niewzruszona jak Czarnoksiężnik z Oz stojący za kurtyną.

– Zdradzisz mi swoje motywy? – nie odpuszczała Esther.

Andrea odwołała się do szkolenia.

– Chcę być najlepszą agentką, jaką mogę być, proszę pani.

– I wybrałaś dla siebie fascynujący świat wydziału bezpieczeństwa sądowego?

– Próbuję, pani sędzio. USMS pozwala...

– Znam procedurę rotacji – przerwała jej Esther. – Jestem w branży niemal tak długo, jak istnieje ta służba.

Andrea próbowała wybić ją z rytmu:

– Nie wiedziałam, że dostała pani nominację z Waszyngtonu.

Esther nie uśmiechnęła się na tę uwagę.

– Reagan posadził mnie w ławach sądu. Przypuszczam, że nie masz pojęcia, kim był Ronald Reagan ani ile znaczył dla naszego kraju.

Andrea nie zdążyła ugryźć się w język i zacytowała Laureę:

– Wiem, że umarł na zapalenie płuc, i to nawet pasuje, skoro tylu bezdomnych i chorych na AIDS, których ignorował, zmarło na to samo.

Wzrok Esther przeszył ją niczym zabójczy pocisk.

Natomiast Andrea przypomniała sobie o wadze trzymania języka za zębami. Sędzia miała tu wiele do powiedzenia. Mogła zażądać, by odsunęli ją od służby, mogła zniszczyć jej karierę, zanim na dobre się zaczęła. Andrea wyteęzała szare komórki, szukając sposobu na wyjście z tej sytuacji obronną ręką, ale w głowie słyszała tylko jedno słowo powtarzane jak wystrzały z karabinu maszynowego:

Kurwa-kurwa-kurwa-kurwa-kurwa-kurwa-kurwa-kurwa.

– Cóż. – Usta Esther były tak zaciśnięte, jakby każdy mięsień wokół nich służył temu celowi. – To było naprawdę bardzo zabawne.

Andrea nie patrzyła na kobietę, którą coś rozbawiło.

– Pozwolę ci pracować. – Gdy Esther wstała od stołu, Andrea zrobiła to samo. – Przypuszczam, że Sum jest w bibliotece, to na końcu holu po lewej. Nie wchodź na górę, chyba że to kwestia życia i śmierci. Rozumiem, że wykonujesz swoje zadania, ale doktor Vaughn i ja pragniemy zachować odrobinę prywatności. Rozumiesz?

– Tak.

Sędzia wyprostowała się sztywno.

– Tak?

Tym razem Andrea jasno i wyraźnie usłyszała upomnienie.

– Tak, pani sędzio.

Andrea spała tak niespokojnie w gównianym łóżku w Please Motel, że po przebudzeniu czuła się jak skacowana. Dwanaście godzin chodzenia po spowitej w ciemnościach posiadłości Vaughnów przypominało próbę odnalezienia Wally'ego w pierwszym kręgu piekła Dantego, dlatego mogła tylko gapić się w sufit i snuć błagalne modlitwy, żeby ból głowy wreszcie minął. Miała straszny sen, w którym siedziała przy stole w kuchni sędzi, a ogromny pajak rozpościerał długie włochate odnóża. Zamarła w bezruchu, gdy chwycił ją i pociągnął do wilgotnego otworu gębowego najeżonego wieloma zębiskami. Obudziła się gwałtownie, gdy uciekając przed paszczką potwora, zsunęła się z łóżka i wylądowała na podłodze.

Innymi słowy, drugi dzień jej kariery w agencji USMS świetnie się zaczął.

Usłyszała sygnał iPhone'a oznajmiający nadejście wiadomości, jednak zignorowała go, zakładając, że matka znalazła inną kurtkę w Oregonie, i podkręciła muzykę, której słuchała. Ściągnęła wszystkie piosenki ze składanki Emily. Niektóre

znała, ale poczuła się rozczarowana, że jej ulubioną piosenkę z kasyty wykonuje dojrzała kobieta znana jako Juice Newton.

Zamknęła oczy, lecz sen już nie wrócił. Ciągłe miała pod powiekami kolaże Judith. Nowszy z groźbami śmierci pod adresem sędzi; starszy, stworzony przez nastoletnią Judith, która próbowała poradzić sobie z mieszanymi uczuciami wobec matki.

Składanka, oderwane słowa:

Próbuj to rozgryźć!

Odkryjesz prawdę!!!

Grupowa fotografia Emily z trzema chłopakami, którzy później staną się głównymi podejrzanymi w sprawie jej morderstwa.

Z notatek komendanta Boba Stiltona wynikało, że atak nastąpił między osiemną a osiemną trzydzieści. Nie wyjaśnił, jak ustalił akurat taki przedział czasowy, ale Andrea nie miała wyjścia i musiała przyjąć tę informację do wiadomości. Narzędziem ataku na Emily była deska z palety porzuconej w zaułku, można więc założyć, że nastąpił raczej pod wpływem chwili niż jako realizacja przemyślanego planu. A napastnik z pewnością był wściekły.

Stilton uznał, że ciało Emily zostało przeniesione bezpośrednio po ataku, lecz Andrea nie była tego pewna. Ze szkicu komendanta wynikało, że zaułek miał ponad dwanaście metrów długości i niecały metr szerokości. Oba budynki były wysokie mniej więcej na cztery i pół metra, a ich okapy miały około trzydziestu centymetrów szerokości. Nawet w środku dnia musiał tam panować cień, w którym łatwo ukryć ciało, nie mówiąc już o tym, że trzy wielkie czarne worki ze śmieciami z bistra stanowiły doskonałą osłonę.

Andrea sprawdziła dane meteorologiczne z tamtego sobotniego wieczoru: żadnego deszczu, słońce zaszło o dziewiętnastej czterdzieści dwie. Gdyby ona chciała pozbyć się ciała, na pewno poczekałaby do zmroku.

Co dawało każdemu podejrzanemu z jej listy mnóstwo czasu, by pokazać się na balu przed powrotem po ciało. Nikt nie miał żelaznego alibi, a zarazem nikt nie był

jednoznacznie uznany za podejrzanego. Nawet Eric Blakely, który przyznał, że jako ostatnia zidentyfikowana osoba rozmawiał z Emily, miał świadków. Dwaj koledzy z jego klasy twierdzili, że widzieli go w sali gimnastycznej w czasie, kiedy miał miejsce atak.

Z dokumentacji medycznej wynikało, że w siódmym miesiącu ciąży Emily ważyła sześćdziesiąt dziewięć kilogramów. Uniesienie takiego ciężaru było czymś wykonalnym dla osiemnastoletniego chłopaka, ale z pewnością sprawiło sporo kłopotu, a na promenadzie obowiązywał zakaz poruszania się samochodami, bo drewniane pomosty mogłyby nie wtrzymać takiego obciążenia. Z tego wniosek, że podejrzany musiał zaparkować na Beach Road i poszedł do zaułka, by zabrać Emily, następnie wrócił do auta i wrzucił ją do bagażnika.

Stamtąd jechało się piętnaście minut do Skeeter's Grill, skąd – według zeznania chłopaka, który znalazł Emily w kontenerze na śmieci – większość obsługi wyszła około dwudziestej drugiej trzydzieści, chociaż restaurację zamykano o północy. Chłopak powiadomił o znalezieniu ciała o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt osiem. Emily była naga, może dlatego, że jej turkusową balową sukienkę łatwo było zidentyfikować, a może zabójca bał się zostawić jakiś ślad. Tak czy inaczej, twarzy Emily nie dało się rozpoznać, nie miała też przy sobie torebki ani portfela. Jeden z ratowników stwierdził, że ona nie żyje, ale drugi zauważył nieznaczny ruch ręki i zaczął reanimację.

A siedem tygodni później wyjęli z niej Judith Rose.

Andrea przewróciła się na bok. Jej mózg bronił się przed nadmiarem informacji. Stuknęła palcem w telefon, żeby sprawdzić godzinę. Przegapiła wiadomość od Mike'a o ósmej trzydzieści dwie rano. Poczowała drżenie w sercu, a potem kolejne drżenie gdzie indziej.

Mike przysłał jej zdjęcie przedstawiające stadko zwierząt pijące wodę z jeziora, a pod nim umieścił trzy znaki zapytania.

– Co do cholery... – Przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie, próbując rozpoznać zwierzęta, a potem uznała, że jest za wcześnie na zabawę w detektywa.

Przewróciła się na plecy i zamknęła oczy. Jej mózg wypełnił się głosem Juice Newton na błogą minutę, zanim otworzyła wyszukiwarkę i wystukała...

Zwierzę które wygląda jak bawół wodny i gazela

Wikipedia odpowiedziała:

Antylopa gnu

– Gnu? – wymamrotała, a potem dodała: – Wiadomości.

Potwierdzenie odbioru poszło, więc Mike wiedział, że dostała jego wiadomość. Rozważała, czy odpowiedzieć, czy cisnąć telefonem na drugi koniec pokoju, kiedy przed jej oczami zatańczyły trzy kropki, widomy znak, że Mike ma więcej do powiedzenia. Patrzyła, jak wyskakuje dymek z tekstem:

Znowu zapomniałaś mojego numeru?

Andrea kliknęła w miejsce na tekst, ale nic nie napisała. Chciała pomyśleć o Mike'u, obserwując kropki skaczące na wyświetlaczu. Najpierw pozwoliła Juice dokończyć zawołanie o trudach miłości, a dopiero potem odpisała:

Nadal 911, tak?

Kropki podskoczyły raz, drugi. I znowu.

W odpowiedzi pojawiły się kciuki w górę.

Zamknęła aplikację, przycisnęła telefon do piersi i zapatrzyła się w sufit. Nie zamierzała dać się usidlić Mike'owi, w każdym razie nie teraz, i zamiast o nim, pomyślała o kuchni Vaughnów, przywołując złoty żyrandol, melaminowe blaty i sędzię, która jak pajak sięga po nią przez stół.

Wczorajszej nocy Andrea była przekonana, że Esther Vaughn nic nie wie o roli Jaspera w jej przydziale ani o jej związku z Claytonem Morrowem, jednak teraz zaczęła w to wątpić. Sędzia federalny mógł pozyskiwać wszelkie informacje, a Esther Vaughn tylko trochę przesadziła, gdy powiedziała, że siedzi w wymiarze sprawiedliwości prawie tak długo, jak długo istnieje USMS. Zważywszy na to, że średni wiek kongresmana wynosił około dziewięciu tysięcy lat, z pewnością miała mnóstwo wysoko postawionych przyjaciół. Oczywiście przeszukiwanie bazy prywatnych danych agentów USMS było niezgodne z prawem, ale jeśli przez kilka

ostatnich lat świat czegoś się nauczył, to tego, że politycy nie grają według obowiązujących zasad.

Impulsywnie zerknęła na telefon, przez chwilę rozważała dwie sprzeczne opcje, a na koniec zrezygnowała z szukania odpowiedzi na pytanie:

Kto może się dowiedzieć, że jesteś w programie ochrony świadków?

– Oliver! – To Bible zaczął walić pięścią w drzwi, wykrzykując jej nazwisko. – Oliver! Wstałaś już?

Z rozpaczliwym jękiem zwlekła się z łóżka. Owszem, poznała go po głosie i na sto procent wiedziała, że to Bible, ale i tak rozsunęła zasłony w oknie, żeby się upewnić. Słońce przeniknęło przez jej rogówkę jak wiązka lasera. Tak ją oślepiło, że nie mogła sprawdzić godziny w telefonie. Otworzyła drzwi, osłaniając dłonią oczy, żeby chwilowe oślepienie nie przeszło w stan permanentny.

– Nadal w piżamie? – spytał Bible, jakby musiał pytać o to, co widział gołym okiem.

Andrea nie zamierzała przeproszać za swoje szorty i pasującą do nich koszulkę.

– Która godzina?

Bible spojrzął na zegarek, chociaż musiał znać odpowiedź.

– Dość późno. Pomyślałem, że może zechcesz ze mną pobiegać.

– Pobiegać? – Poczowała się tak, jakby Bible mówił do niej w obcym języku. – Która godzina? – powtórzyła.

– Grubo po jedenastej. Prawie południe. – Zaczął kołysać się na palcach. – No chodź, pobiegamy. Zrób coś, żeby wpompować endorfiny do mózgu. Wcześniej nie chciałem ci tego mówić, lecz prawda jest taka, że jeśli po szkoleniu sobie odpuścisz, to już nigdy nie odzyskasz formy.

– Ja... – Odwróciła się, spoglądając tęsknie w stronę łóżka. Było dopiero po jedenastej, siedem godzin do rozpoczęcia pracy. Znowu spojrziała na Bible'a. – Co?

– Świetnie. – Poklepał się po brzuchu, palcami wybijając rytm. – Wiesz, co mówią, Oliver. Chudzi agenci kochają swoje żony.



– C... – Nie mogła znowu spytać „co?”. Oboje spali może cztery godziny. Skąd, do licha, on ma tyle energii? – Bible, ja...

– Dowiedziałem się od recepcjonisty motelu, że po drugiej stronie drogi jest fajna ścieżka, która prowadzi do lasu i dalej na tyły tej hipisowskiej farmy, o której mówił wczoraj stary komendant Ser. – Wskazywał kierunek, ale Andrea nie widziała dalej niż jego palec. – Śniadanie zjemy później. Stawiam naleśniki. Bekon, jajka są, herbatników nie mają... Zaraz, mówiłem już o naleśnikach? Dzięki, że dołączysz, partnerko. Czekam po drugiej stronie drogi.

Nadal próbowała sklecić jakieś sensowne zdanie, gdy Bible chwycił gałkę i zamknął za sobą drzwi. A po chwili z parkingu doleciał do niej jego stłumiony głos, gdy zdecydowanie zbyt radośnie krzyknął do kogoś:

– Dzień dobry!

Oparła się plecami o drzwi. Ból głowy został spotęgowany przez nieznośnie dokuczliwe słońce. Pragnęła wrócić do łóżka wprost desperacko, i właśnie dlatego zmusiła się, żeby tego nie zrobić. I nie zaliczyć kolejnego klifu, z którego pozwoliła sobie spaść.

Z lenistwa nie zmieniła piżamowego T-shirtu, ale dla przyzwoitości wygrzebała z worka sportowy stanik. Spodenki do biegania, wciśnięte w boczną kieszeń, wyglądały jak psu z gardła wyjęte. Szukała skarpetki do pary, kiedy w końcu dotarło do niej, o co ją prosił Bible.

Jej partner chciał rozejrzeć się po hipisowskiej farmie.

Nie kierowała nim zwykła ciekawość. To oczywiste, że badał sprawę gróźb skierowanych do sędzi, chociaż kilkakrotnie podkreślił, że to nie ich zadanie. Ich, nie ich, w każdym razie istniała szansa, że jej równoległe śledztwo w sprawie śmierci Emily Vaughn okaże się zbieżne z tym śledztwem. Włożyła sportowe buty i spięła włosy z tyłu. Okulary przeciwsłoneczne wygięły się z torbie, więc musiała wyprostować zausznik zębami, żeby je włożyć.

Na zewnątrz słońce tak jak i wczoraj paliło bezlitośnie, skwar był nawet jeszcze gorszy. Andrea spojrzała w lewo, potem w prawo. Do domu sędzi było z półtora

kilometra, a do centrum pięć, może dziesięć minut spacerkiem w przeciwnym kierunku. Bistro już jest otwarte, naleśniki, gorąca kawa i krzesła, na których można usiąść, są też stoły z blatami, na których można oprzeć głowę i zapaść w drzemkę...

– Partnerko! – Zgodnie z obietnicą Bible stał po drugiej stronie drogi. Kołysał się na placach w przód i w tył jak kreskówkowy agent Tigger, a na jej widok zaklaskał w dłonie i zawołał: – Rusz się, Oliver! Zaczynamy!

Powłóczyła nogami po asfalcie, próbując zmusić się do biegu, natomiast zadowolony z życia Bible ruszył ubitą ścieżką i zniknął jej z oczu. W jej krokach nie było krzty sprężystości, gdy pobiegła za nim. Wyprzedził ją o kilkadziesiąt metrów, zanim jej ciało zaskoczyło, przypominając sobie mechanizm biegu. Ale i tak każdy staw protestował, mięśnie też nie były uszczęśliwione. Jednak przełamując opór, ręce trzymała luźno, a łokcie blisko tułowia.

Bible skręcił ostro i wbiegł głębiej w las. Było oczywiste, że znaleźli się na starej drodze leśnej. Próbowwała ustalić swoje położenie. Ścieżka prowadziła spod motelu niemal prostopadle do morza, a słońce miała wprost nad głową. Wszystkie ścięgna wołały zgodnym chórem: „Po co wstawiałaś?! Czemu nie leżysz w łóżku?!”.

Próbowwała zagłuszyć ich rozpaczliwy krzyk zwiększeniem tempa, z każdym krokiem powtarzając w duchu imiona i nazwiska:

Clayton – Morrow – Jack – Stilton – Bernard – Fontaine – Eric – Blakely – Dean – Wexler.

Jeden siedział w więzieniu. Drugi był gliną. Trzeci wyglądał jak dupek. Czwarty miał siostrę, która pracowała w bistrze. Ostatni odszedł z pracy w szkole i nie znalazł się na liście kadry pedagogicznej na stronie internetowej szkoły w zakładce Gdzie oni teraz są?

Clayton Morrow.

Bernard Fontaine.

Eric Blakely.

Dean Wexler.

Jack Stilton.

Andrea poczuła, że mięśnie w końcu odzyskują pamięć wysiłku fizycznego, a ból zaczął ustępować. Co za szczęście! Popłynęły endorfiny i wreszcie mogła podnieść głowę bez grymasu na twarzy.

Partner był trzy metry przed nią. Jej oczy odzyskały ostrość widzenia i chłoneły szczegóły. Bible miał na sobie granatowy T-shirt z logo USMS, czarne szorty do biegania i mocno starte na piętach buty. Mięśnie nóg były wyraźnie zarysowane, co z pewnością wypracował na siłowni. Mogła spędzić następną godzinę, zachodząc w głowę, dlaczego poprosił, żeby dołączyła do rekonesansu, a powinna raczej zadzwonić z motelu do Mike'a, żeby podzielił się z nią wiedzą o Leonardzie „Sumie” Bible'u.

– W porządku? – Zerknął na nią przez ramię.

Ten facet nawet się nie spocił, pomyślała Andrea i wysapała:

– W porządku.

Jak to miała w zwyczaju, językiem przejechała po fałdzie skóry po wewnętrznej stronie policzka, który powstał przy zagryzaniu zębów. Jej żołądek był zaskakująco spokojny. Bible wstrzymywał tempo, dostosowując je do niej. Zrozumiała, że czeka, aż go dogodni. Kiedy ścieżka stała się szersza, zrównała się z nim.

Biegli w jednym rytmie, jednocześnie uderzając stopami o podłoże, choć jego krok był o trzydzieści centymetrów dłuższy od jej kroków. Andrea myślała, jak go zagadać, ale Bible ją wyprzedził.

– Muszę coś wyznać – zaczął, a Andrea słuchała własnego oddechu ciężko wypuszczanego z płuc. – Na farmie może dziać się coś, czemu powinniśmy się przyjrzeć. – Spojrzała na niego. Pod wpływem wysiłku blizny na jego twarzy stały się jasnoróżowe. – Słyszałem od właścicielki bistra, że na polu znaleziono ciało – ciągnął Bible. – Wygląda na samobójstwo.

Andrea omal się nie potknęła. Niesamowity zbieg okoliczności.

– Czemu usłyszałeś o tym w bistrze? Komendant cię nie powiadomił?

– I to jest idiotyczne, nie? – Bible przeskoczył nad korzeniem wystającym z ziemi. – Ani słowa od starego Sera, chociaż prosiłem go, żeby dał mi znać, jeśli jakieś samobójstwo znajdzie się na jego radarze. To pole leży w samym środku jego jurysdykcji. Do ciebie dzwonił?

Andrea potrząsnęła głową, chociaż nie sprawdzała telefonu. Smartfon z Androidem został w pokoju w motelu. Z przyzwyczajenia w drodze do drzwi wsadziła do kieszeni swojego prywatnego iPhone'a.

– Ofiara to młoda kobieta – dodał Bible. – Bardzo młoda. Nie pasuje do profilu, ale nie daje mi spokoju, że Ser nas nie powiadomił. I zastanawia mnie, co jeszcze ukrywa ten cwaniaczek.

Andrea pomyślała, że Ser może ukrywać bardzo wiele.

– Co wiesz o tej farmie? – spytała.

– Prócz tego, że jest hipisowska? – Posłała mu znaczące spojrzenie. Teraz mogli już skończyć z udawaniem. – Powstała w połowie lat osiemdziesiątych – zaczął wyjaśniać. – Organiczne uprawy, zanim kogokolwiek to interesowało. Uprawiali bób. Piekli, suszyli i pakowali jak przekąski. Nazwali to Magiczny Bób Deana. Słyszałaś o nim?

– Nie – odparła Andrea, chociaż słyszała o jakimś Deanie.

Około 16:50, 17 kwietnia 1982 roku, ja, Dean Constantine Wexler, jechałem samochodem przez Richter Street w drodze na bal maturalny, gdzie miałem pełnić rolę opiekuna. Musiałem skręcić, żeby w nią nie wjechać. Była półprzytomna. Nie wiem, czy brała narkotyki. Nie znam jej na tyle, żeby to stwierdzić. Była moją uczennicą tylko przez rok. Czułem się jednak odpowiedzialny jako dorosły i jako nauczyciel. Zatrzymałem się i wysiadłem, żeby sprawdzić, co z nią. Jako nauczyciel mam obowiązek zgłosić, jeśli z uczniem czy uczennicą dzieje się coś złego. Emily miała na sobie sukienkę balową i powiedziała, że idzie na bal. Zaznaczam, że kilka miesięcy wcześniej została wydalona ze szkoły za sianie niepokoju w klasie. Była boso, nie zauważyłem torebki, włosy miała w nieładzie. Powiedziałem, żeby natychmiast wracała do domu. Kłóciła się ze mną i przyznając,

że dałem się ponieść nerwom. Nie chciałem mieć z nią do czynienia. Musicie wiedzieć, że od miesięcy chodziła i oskarżała nieznajomych, że ją zapłodnili. Jeśli Melody Brickel twierdzi, że pchnąłem Emily na swoje auto, to rozważcie źródło tej informacji.

Był krzyk. To przyznaję. Krzyczała głównie Emily. Zaczęła mnie oskarżać o różne rzeczy, na co ja powtarzałem „uważaj, co mówisz” albo „nie masz nic do powiedzenia”. Nie pamiętam dokładnie, bo przez cały czas chciałem tylko znaleźć się jak najdalej od niej. Musicie spytać Melody Brickel o jej błyskotliwą opinię stworzoną na bazie tego, co – jak twierdzi – widziała z sześćdziesięciu metrów. One obie to nieznośne i rozwydrzone dziewczyny. Wiem, że wszyscy mówią, że Emily pochodzi z dobrej rodziny, ale to tylko dowodzi istnienia odwiecznego sporu: natura czy wychowanie. Dzieciaki żyjące w ultrakonserwatywnych bańkach zawsze pękają w konfrontacji z prawdziwym światem. Wiem, że Emily jest w śpiączce, a ja oświadczam, że nie ma nic wspólnego ze mną. Nie mam pojęcia, kim jest ojciec jej bękarta. Twierdzę stanowczo, że to nie ja. Chcę, żeby oni wszyscy zniknęli z mojego życia. Gdybym tylko mógł rzucić pracę, pomagałbym ludziom, którzy naprawdę tego potrzebują, zamiast marnować swój talent w tej dziurze. Poinstruowano mnie, żebym napisał, co miałem na sobie tego wieczoru. Byłem w czarnym garniturze i krawacie, ale wszyscy byli ubrani na czarno. Pod rygorem odpowiedzialności karnej przysięgam, że moje zaznanie jest zgodne z prawdą.

– Jak wczoraj poszło ci z sędzią? – spytał Bible.

– Zobaczymy, czy dzisiaj wpuści mnie do domu. – Andree zastanowiło, dlaczego Bible nie mówi o ciele znalezionym na polu. – Pozwoliłam sobie na niestosowny żart o śmierci Reagana, a ona poszła na górę.

– Wszyscy jesteście sobie warci, Oliver. – Bible roześmiał się. – Z tym że akurat ona na starość złagodniała.

Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jaka była sędzia w wersji niezłagodzonej. Ale to nie z jej powodu biegła teraz przez las w koszulce do spania.

– Powiedziałaś, że wiesz o samobójstwie od właścicielki bistra. Mówiłeś o Ricky Fontaine? Tej starszej kobiecie z kręconymi włosami, która obsługiwała nas wczoraj po południu?

– Tak. – Bible posłał jej takie samo spojrzenie, jakim ona obrzuciła go przed chwilą. – Jeden z kierowców pracujący w magazynie wygadał się w bistrze. Powiedział, że dziewczyna nie zjawiała się na porannej zmianie, a około dziewiętej trzydzieści znaleźli ją na polu robotnicy rolni. Mogła wziąć garść pigułek. Zgłosili to komendantowi, który jakoś nie zadzwonił z tą wieścią do zaprzyjaźnionych agentów USMS.

Andrea mruknęła coś niezrozumiale pod nosem, bojąc się, że starannie wyartykułowane słowa mogłyby ją zdradzić.

– Tędy. – Bible poprowadził ją przez kolejne rozwidlenie. Musiał być tu wcześniej. Fakt, że wziął ją ze sobą, by ponownie przyjrzeć się temu miejscu, musiał coś znaczyć. Z pewnością nie zabrał jej po to, żeby mieć wsparcie. Żadne z nich nie było uzbrojone, a Srebrna Gwiazda i identyfikator Andrei leżały w motelowym sejfie razem z jej glockiem.

Ścieżka ostro skręciła, potem zawróciła i nagle otworzyła się na rozległe pofałdowane pole. Słońce przeistoczyło rzędy zielonych wiotkich roślin w bujny kobierzec. Andrea nigdy wcześniej nie widziała plantacji bobu. Patrząc na długie woskowe strąki, pomyślałaby, że to groszek cukrowy albo fasolka szparagowa. Szklarnia kryła się za następną fałdą terenu. Szkło błyszczało w słońcu. Budynki w tęczy barwach i ogrodowe serpentyny zwisające z werandy okalającej dom zdradzały, że dotarli do hipisowskiej farmy.

Sielski klimat tego widoku psuł biały policyjny namiot pośrodku pola. Miejsce, które obejmowało dziesięć rzędów bobu oddalonych o niecały metr od siebie, było otoczone żółtą taśmą. Stary niebieski traktor z ponadwymiarowymi kołami stał nad jednym z rzędów.

Kiedy podeszli bliżej, Andrea poczuła zimny dreszcz. Dwa lata temu dowiedziała się, że w śmierci jest spokój, który przenika w głąb duszy. Jej serce

spowolniło, oddech stał się głębszy, pot na skórze odparowywał.

Ktoś okrył ciało białym prześcieradłem. Bawełniana tkanina układała się miękko na biodrze. Kobieta umarła, leżąc na boku. Słodkawy zapach zdradzał, że leżała tam nie dłużej niż kilka godzin, co zgadzało się ze słowami kierowcy. Ciało znaleziono około dziewiątej trzydzieści.

Bible podniósł policyjną taśmę, przytrzymał ją dla Andrei i skinął dwóm robotnikom rolnym. A przynajmniej tak założyła, że to pracownicy farmy, sądząc po ich kombinezonach i tym, że stali oparci o zdezelowaną furgonetkę. Sprawiali wrażenie spiętych, w przeciwieństwie do trzech umundurowanych policjantów krążących wokół namiotu. Dwaj byli pochłonięci zawartością swoich telefonów, jeden trzymał ręce w kieszeniach. Generalnie nic się nie działo. Andrea rozpoznała komendanta Jacka Stiltona po sylwetce. Stał pochylony, a raczej wystawał z radiowozu z radiem przy ustach. Widział Andreę i Bible'a u wylotu ścieżki. Jego niezadowolenie przebyło dzielący ich dystans niczym Waszyngton przekraczający rzekę Delaware na obrazie Emanuela Leutzego.

– Komendancie Ser! – Bible zamachał rękami. – Jak się masz, kolego?

Andrea patrzyła, jak Stilton gramoli się z radiowozu. Zgromadzeni ożywili się, wyjęli ręce z kieszeni, oderwali się od telefonów, a robotnicy wymienili nieufne spojrzenia. Obaj biali, jeden był dobrze po pięćdziesiątce, bliżej sześćdziesiątki, drugi wyglądał na jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Ten starszy miał długie postrzępione włosy i nierównomiernie zafarbowany T-shirt, dzięki czemu bez obawy o popełnienie błędu można go było zaliczyć do kategorii hipisów.

Młodszemu papieros zwiślał z ust, a grymas na twarzy przypominał Andrei zdjęcie, które widziała poprzedniego wieczoru.

Billy Idol ze stanu Delaware.

Bernard Fontaine zuchwale puścił do niej oko, ale na twarzy Andrei nie drgnął choćby jeden mięsień. Na ziemi między nimi leżała martwa młoda kobieta. Inną młodą kobietę ktoś wrzucił do kontenera na śmieci czterdzieści lat temu. Nardo znał obie.

– Komendancie, chyba pan zapomniał o naszej wczorajszej rozmowie. – Bible położył dłoń na ramieniu Stiltona. – Wydawało mi się, że prosiłem o telefon w sprawie samobójstw w okolicy.

Stilton patrzył to na Bible'a, to na przykryte ciało.

– Agencie Bible, jest za wcześnie. Nie wiemy, czy to samobójstwo.

Andrea przyznała mu w myślach punkty za bezczelność. Namiot został ustawiony tak, by uniemożliwić gapiom obserwację, ale nikt z ekipy nie miał na sobie odzieży ochronnej ani nikt nie robił zdjęć, a na ziemi brakowało markerów oznaczających umiejscowienie ewentualnych dowodów.

– Wezwaliście coronera? – zwróciła się do Stiltona.

– A jak myślisz, co właśnie robię, skarbie?

– Może ty mi powiesz, skarbie?

Andrea usłyszała, że ktoś parsknął śmiechem, przez co sytuacja stała się jeszcze bardziej irytująca. Zachowywali się tak, jakby nie traktowali tego poważnie. Pracowała w centrum powiadamiania ratunkowego i znała procedurę postępowania w przypadku znalezienia ciała. Funkcjonariusze nie rozstawiali namiotu ani nie grodzili terenu taśmą przed wezwaniem coronera. A przynajmniej na drodze powinny stać dwa wozy strażackie i z całą pewnością ambulans.

I nikt nigdy nie powinien zakładać, że jeśli coś wygląda na samobójstwo, to na pewno jest samobójstwem.

– Ona cię tylko prowokuje, komendancie. – Bible oparł się o jeden z masztów namiotu. – Zgaduję, że to właśnie ta hipisowska farma. Bez urazy.

Ostatnie słowa skierował do starego hipisa, który odparł:

– Nie ma sprawy.

Gdy Bible spojrzał na ciało, akurat wiatr poruszył prześcieradłem.

Bible zapytał Stiltona:

– Można zerknąć?

– Nie można. – Komendant skrzyżował ramiona na piersiach. – Nie chcę utrudniać, ale agenci USMS nie mają uprawnień do tego typu spraw.



– A co to za typ sprawy?

Stilton miał rozbiegany wzrok. Spojrzał na hipisa, potem na Narda, na swoich funkcjonariuszy i znowu na Bible'a. Wyraźnie nie życzył tu sobie obecności agentów. Dziwna prawda była taka, że gliniarze zwykle przypominali charty. Ich ekscytacja rosła w obecności innych gliniarzy.

Andrea próbowała dociec, czemu w ogóle wszystko wydawało się dziwne. To było pierwsze miejsce prawdziwej zbrodni w jej trwającej od wczoraj karierze zawodowej, lecz tylko ona i Bible szanowali powagę sytuacji. Komendant chciał się ich pozbyć, jego funkcjonariusze kompletnie nie wiedzieli, co robić, Nardo się nudził, a stary hipis skupił całą uwagę na ręcznie zwijanym papierosie. Wiekiem pasował do innego podejrzanego z listy Andrei, a mianowicie do Deana Wexlera. Fakt, że był tu z Bernardem Fontaine'em, mówił coś, czego jeszcze do końca nie rozumiała.

– Dean Wexler? – spytała.

Wysunął język, żeby zwilżyć bibułkę.

– To ja.

Andrea nie mogła zrobić rundy honorowej. Nie mogła też zmienić się w termometr, ponieważ temperatura Wexlera właściwie była niewyczuwalna. Ani on, ani Nardo nic sobie nie robili z tych okoliczności, co też mówiło Andrei coś, czego jeszcze nie rozumiała.

– Co tu uprawiacie? – spytała Wexlera.

Wsadził papierosa do ust.

– Vicia faba.

Zaśmiała się tylko dlatego, że Dean Wexler chyba należał do tych facetów, którzy bardzo nie lubią, gdy kobieta z nich podkpiwa.

– Wyszukany sposób nazwania bobu.

Wexler zacisnął szczęki. W jego oczach przesłoniętych opadającymi powiekami rozbłysła niema groźba.

– Agencie Bible – odezwał się Stilton – doceniam waszą pomoc, ale możecie biec dalej. Mamy to.

– Macie co? – spytał Bible.

Stilton wypuścił powietrze przez usta, demonstracyjnie okazując cierpliwość.

– Mamy dziewczynę, która prawdopodobnie przedawkowała. Miała problem od jakiegoś czasu. Nie pierwszy raz próbowała.

– Aha – powiedział Bible. – To ta, którą wyciągnęliście z oceanu w Boże Narodzenie, czy ta, która podcięła sobie żyły półtora roku temu?

Andrea poczuła napięcie w całym ciele.

W Glynco wpojono kursantom zasadę, żeby wsłuchiwali się w swoje ciało. Odruch „uciekaj lub walcz” był o wiele bardziej miarodajny niż wszystkie zmysły. Andrea całą uwagę skupiła na Nardzie i hipisie. Wyczuwała w nich coś, co niesło zagrożenie. Pierwszy raz w życiu żałowała, że nie ma przy sobie broni.

– Agencie Bible – odezwał się Stilton – popraw mnie, jeśli się mylę, ale ta sytuacja nie ma nic wspólnego z zadaniem, które sprowadziło tu ciebie i twoją partnerkę.

Bible spojrział na Stiltona z góry.

– Zabawne w byciu agentem USMS jest to, że jesteśmy jedną z dwóch służb organów ścigania w Stanach Zjednoczonych, której powierza się zadanie egzekwowania prawa federalnego. Nie jesteśmy Służbą Celną i Graniczną. Ani Urzędem do spraw Wyrobów Alkoholowych, Tytoniowych i Broni Palnej. Ani Urzędem Podatkowym. Mamy wszelkie prawa, duże i małe, świeże i sięgające czwartego marca tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, daty wejścia w życie Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Stilton miał niewyraźną minę, choć spróbował lekceważąco wzruszyć ramionami.

– I co?

– Kodeks Stanów Zjednoczonych, artykuł czterysta osiemdziesiąty drugi, paragraf dziewięćset trzydziesty, punkt pierwszy mówi, że odebranie sobie życia

stanowi naruszenie prawa federalnego. Przepis stary, ale jary. Ma swoje źródło w angielskim prawie zwyczajowym. – Bible mrugnął do Andrei, ponieważ oboje wiedzieli, że blefuje. – Jak ty to widzisz, partnerko?

– Dla mnie to brzmi jak jurysdykcja – odparła.

Stilton zmienił nastawienie.

– Na początku powiedziałem, że nie wiemy, czy to samobójstwo.

Bible nie wytknął mu nieściskości, zamiast tego wyjął z kieszeni szortów parę nitrylowych rękawiczek i znowu mrugnął do Andrei, ostatecznie przyznając, że zjawił się tu przygotowany.

– To miejsce zbrodni, agencie – zareagował Stilton. – Musimy poczekać na koronera. Nie możemy ingerować...

– Kto okrył ciało prześcieradłem? – spytała Andrea.

Wexler chrząknął.

– Gość, który ją znalazł.

Ricky powiedziała, że znalazł ją robotnik rolny. Andrea widziała na polu tylko dwóch mężczyzn.

– To znaczy, że ingerencja już nastąpiła.

Bible wziął się do pracy. Bez słowa uklęknął i delikatnie odsunął prześcieradło.

Ktoś wydał z siebie tłumiony okrzyk. Andrea była dumna, że to nie ona.

Mimo to jej żołądek zacisnął się jak pięść.

W kostnicy w Glynco widziała trupy, ale miała wtedy czas, by się przygotować na to doświadczenie. Wszystkie ciała należały do osób, które zdecydowały, żeby po śmierci podarować je na potrzeby nauki, więc można było poczuć nić porozumienia między sobą a nieżyjącym. Wszystko odbywało się z powagą i było przewidywalne. Kursant się szkolił. Dawcy ciał wspaniałomyślnie mu to umożliwiali.

Teraz Andrea poczuła szok wywołany obrazem nagłej śmierci.

Jak z kolazami Judith, początkowo mogła tylko rejestrować emocje, a w tym przypadku dominowało zdruzgotanie. Wysiłkiem woli skupiła się na detalach:

pusta fiolka po leku na receptę, zaschnięta różowa piana wokół ust, brudne włosy blond, śmiertelna bladość skóry, niebieskawe czubki zgiętych palców, dłoni pokryta czerwonymi plamami. Kobieta leżała w polu od wielu godzin i pod wpływem siły grawitacji krew odpłynęła do tych części ciała, które dotykały ziemi. Prześcieradło wokół jej stóp wyglądało na rozkopane, ale ona ani przez chwilę nie wyglądała na śpiącą. Była martwa.

– Jezu – ktoś szepnął.

Andrea oddychała przez usta, gdy zapach uderzył ją w nozdrza. Przypomniała sobie, że jest policjantką. Wiedziała, co robić.

Analiza, zrozumienie, raport.

Naga kobieta leżała na boku.

Źle.

Ofiara nie była kobietą. Wyglądała na szesnastolatkę, może siedemnastolatkę. Lewe biodro sterczało w powietrzu, wznórek łonowy był ogolony, ciemne otoczki sutków prawie szerniały, bo trwał wczesny etap rozkładu. Pod głową miała żółtą sukienkę złożoną w kostkę. Jedna ręka była wyprostowana, druga obejmowała szczupłą talię.

To, co było najbardziej wstrząsające, to strasznie wychudzone ciało. Na pierwszym roku studiów artystycznych Andrea uczyła się anatomii potrzebnej do rysunku figuratywnego. Teraz przypominała sobie diagramy ilustrujące trójwymiarowy wgląd w ciało człowieka. Kości dziewczyny odznaczały się wyraźnie pod skórą, stawy wyglądały jak gałki drzewiowe, pod zapadniętymi kośćmi policzkowymi rysowała się linia zębów, pod prawym okiem widniał siniec, wargi były niebieskawe. Cienką jak papier skórę znaczyły nieregularne krwawe wybroczyny, na przegubach były skrzyżowane różowe blizny.

Próbowała się zabić już wcześniej.

– Oliver – odezwał się Bible ostrym tonem – zrób zdjęcia.

Andrea kucnęła obok dziewczyny, wyjęła z kieszeni iPhone'a, kciukiem wybrała funkcję aparatu fotograficznego, a czubkami palców ujęła prześcieradło,

żeby odsłonić stopy.

Fakt, że były bose, okazał się najmniej szokujący.

Dziewczyna wokół lewej kostki miała założoną metalową obręcz. Tkwiła tak ciasno, że zdarła jej skórę. Pośrodku obręczy tkwiły trzy kamienie szlachetne, akwamaryn między dwoma szafirami. Bransoletę można by wziąć za biżuterię, gdyby nie zaogniony ślad wokół kostki, gdzie umieszczono ją na stałe.

Dostrzegła napis wyryty w metalu.

Bible też go zauważył.

– Kim jest Alice Poulsen? – spytał.

## 20 PAŹDZIERNIKA 1981

Emily dziobała widelcem śniadanie na talerzu. Naprzeciw niej Bunia robiła to samo, nie bardzo rozumiejąc, skąd to napięcie przy stole, ale instynktownie czuła, że powinna milczeć. Esther i Franklin siedzieli po przeciwnych końcach stołu, oboje ubrani do pracy, jakby to był zwyczajny dzień w ich codziennym życiu. Franklin czytał gazetę, Esther robiła adiustację wstępnej wersji opinii, w skupieniu zaciskając usta. Oboje założyli okulary do czytania. W końcu zdjęli je, włożyli papiery do teczek i ruszyli do pracy, każde swoim autem.

Emily widziała przedtem niezliczone burze między rodzicami. Mieli swój sposób na przetrwanie każdej z nich, a mianowicie udawali, że nic strasznego się nie stało. Może ona też nabrała tej umiejętności, ponieważ też próbowała udawać, że poprzedni wieczór wcale się nie zdarzył. I że nie zdarzyła się poranna wizyta u doktora Schroedera. I że Impreza też się nie zdarzyła.

Szczególnie próbowała udawać, że jej wspomnienie o panu Wexlerze i o tym, jak odwozi ją do domu tamtej nocy, to albo wytwór jej wyobraźni, albo strzępki wizji po LSD.

Dostała napadu mdłości. Jajka na talerzu stężały w żółtą masę, a zastygły tłuszcz z bekonu utworzył fałdę wokół brzegów tostów. Nie miała pojęcia, jak długo wpatrywała się w talerz, ale kiedy podniosła wzrok, przy stole siedziała tylko Bunia, a rodzice już wyszli.

– Masz plany na dziś? – spytała Bunia. – Pomyślałam, że popracuję trochę w ogrodzie.

Emily poczuła napływające łzy.

– Idę do szkoły, babciu.

Bunia zrobiła skonfundowaną minę. Położyła sztucce na talerzu, wstała od stołu i wyszła z jadalni.

Emily przyciskała oczy opuszkami palców, żeby powstrzymać napływające łzy. Tego ranka przy nakładaniu makijażu czuła, jakby przeciągała po twarzy papier ścierny. Powieki miała spękane po całonocnym płaczu i nawet nie zmrużyła oka. Osoba, która spoglądała na nią z drugiej strony lustra, wyglądała jak kosmita.

Nie była nietknięta.

Dlaczego czuła tylko wstyd? Seks powinien być wyjątkową, romantyczną chwilą zespolenia z bratnią duszą, oddania się mężczyźnie, który był wart jej miłości.

Stało się inaczej... na tylnym siedzeniu lepkiego od brudu autka klauna.

Może.

Emily nie polegała bezkrytycznie na przebłyskach pamięci, migających jak sceny z horroru w stroboskopowych światłach, które mogły, ale wcale nie musiały być prawdziwe. Była pewna – nawet gdy wmawiała sobie, że pewna nie jest – że to jeden z chłopców. Teraz nie pozwalała sobie wierzyć, że Dean Wexler o bujnych wąsach z kroplami potu i z niezdarnymi rękami odebrał jej coś, czego nie chciała dać.

Bo przecież to był gwałt, prawda?

A może jednak nie. Może matka miała rację. I ojciec. Jeśli wypijesz za dużo, jeśli ćpasz, to akceptujesz nieodłączne ryzyko, że jakiś chłopiec zrobi to, co robią chłopcy.

Ale pan Wexler był mężczyzną.

To przecież różnica, prawda? Gdyby powiedziała ojcu, że to żaden z chłopców, bo została wykorzystana przez dorosłego mężczyznę, ojciec inaczej spojrzałby na tę sytuację. I nawet na nią może by spojrzał, bo od ubiegłego wieczoru przestał ją zauważać. Idąc przez pokój, siedząc przy stole, sięgając po dzbanek z kawą, czytając gazetę, zawsze udawał, że nie dostrzega córki, która siedzi metr od niego.

Emily spojrzała na swoje dłonie. Łzy zamgłyły jej wzrok. Zastanawiała się, czy ona cała znika. Czy nikt już nie spojrzy na nią tak jak kiedyś?

– Emily. – Esther stała w drzwiach. Oparła się jedną ręką o framugę, drugą poprawiała palce w rajstopach. – Nie spóźnij się do szkoły.

Spojrzała nie na nią, tylko zerknęła przez okno. Jej serce zabiło na dźwięk normalnego tonu głosu matki. Esther już nie okazywała złości. Nie będzie więcej kłótni i wzajemnych oskarżeń. Była sędzią w każdym znaczeniu tego słowa. Kiedy już podjęła decyzję w danej sprawie, potem nigdy jej nie kwestionowała.

Kiedy Emily znów spojrzała w stronę drzwi, matki już nie było.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Odłożyła nóż i widelec na talerz, zaniósła go do kuchni i wrzuciła resztki jedzenia do kosza. Potem włożyła talerz i sztućce do zlewu dla gospośi do umycia. Znalazła plecak na książki i torebkę obok drzwi do garażu. Nie pamiętała, żeby je tam zostawiała zeszłego wieczoru, ale nie pamiętała też innych rzeczy, o wiele ważniejszych niż zeszły wieczór.

To było wszystko, co potrafiła odtworzyć: ciemne wnętrze auta pana Wexlera. Światelka na desce rozdzielczej. Cicha piosenka z radia w tle. Jej dłonie nerwowo gmerające przy rozdartym brzegu zielonej sukienki Ricky. Ręka pana Wexlera na jej kolanie.

Emily zamrugnęła. Czy to ostatnie zdarzyło się naprawdę, czy wmawiała sobie coś, co wcale nie miało miejsca?

Jedno wiedziała na pewno: nie może stać w holu i myśleć o tym do końca życia. Już straciła cały dzień w szkole, a mówiąc konkretniej, umówioną konsultację z nauczycielką plastyki, test z chemii, próbę zespołu, pięć minut przed wuefem, żeby pogadać z Ricky o czymś, co jeszcze dwa dni temu wydawało się niezmiernie ważne.

Otworzyła drzwi. Mercedes ojca już zniknął. Przeszła przez garaż. Kierowca matki czekał na biegu jałowym przed domem.

– Em?

Odwróciła się, zaskoczona widokiem Sera. Oparty o drzewo palił papierosa.



– O nie, Ser, strasznie cię przepraszam. – Serce w niej zamarło. Powiedziała mu, że może spać w szopie. – Zapomniałam o poduszce i kocu.

– Spoko. – Zgasił papierosa czubkiem buta i schował niedopałek do kieszeni. – Wiesz, że wiele mi nie trzeba. Wszystko dobrze.

Wcale nie wyglądał dobrze, co tylko pogorszyło jej nastrój.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Wyglądasz, jakbyś też miała ciężką noc.

Emily nie była w stanie myśleć o swoim wyglądzie. Szopa stała po drugiej stronie domu, ale Ser mógł słyszeć, co działo się w kuchni zeszłego wieczoru, jeśli stał przed garażem.

– O której przyszedłeś? – spytała.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Byłem w domu, ale mamie odbiło. Tata poszedł na posterunek, a ja...

Patrzyła, jak drży mu dolna warga. Nic nie słyszał, miał własne problemy.

– Nieważne – powiedział. – Odprowadzę cię do szkoły.

Emily pozwoliła, żeby wziął od niej plecak. Musieli poczekać, aż samochód jej matki zawróci. Esther spojrzała przez tylną szybę, po chwili zrobiła to samo. Na ułamek sekundy jej pokerowa twarz zmiękła. Emily słyszała myśli matki: czy to chłopak Stiltonów?

Kiedy auto ruszyło podjazdem, Esther odzyskała panowanie nad sobą.

Ser nic nie załapał z tego momentu, tylko po prostu wyjął z paczki następnego papierosa. Szli krętym podjazdem w zgodnym milczeniu. Emily próbowała przypomnieć sobie pierwsze spotkanie z Serem. Jak większość szkolnych kolegów i koleżanek był częścią jej życia, odkąd sięgała pamięcią. Prawdopodobnie wylądowali razem w zerówce albo jeszcze wcześniej w przedszkolu. Próbując przywołać swoje pierwsze wspomnienie o nim, widziała nieśmiałego chłopca, który siedzi w kącie i obserwuje bawiące się dzieci. Nigdy się nie zintegrował i nie należał do żadnej grupy, dlatego Emily zawsze wychodziła z siebie, żeby z nim

porozmawiać. Nawet należąc do kliki, często czuła się, jakby stała na zewnątrz i tylko zaglądała do środka.

Zwłaszcza teraz.

– Oki doki – zaczął Ser. – Powiesz, co się dzieje?

Emily uśmiechnęła się do niego.

– Nic się nie dzieje. Wszystko dobrze.

Ser z niedowierzającą miną zaciągnął się raz i drugi, jednak nic nie powiedział.

Emily coś przyszło do głowy.

– Byłeś w szopie miesiąc temu?

Sera wyraźnie zaniepokoiło jej pytanie.

– Jeśli twoi rodzice się wściekli, bo...

– Nie, nie – zapewniła. – Im wszystko jedno. Pytałam, bo wtedy wróciłam do domu bardzo późno. Wtedy, to znaczy dwudziestego szóstego. I rodzice strasznie się na mnie wkurzyli, że wracam po wyznaczonej godzinie. Myślałam, że może coś słyszałeś albo coś pamiętasz.

– Rany – powiedział Ser – przepraszam, Emily. Jeśli byłem wtedy z tyłu domu, to nic nie słyszałem. Miałaś kłopoty? Dlatego jesteś taka przygnębiona?

Pokręciła głową. Ser nie był enigmą. Jeśli nocował tu wtedy, już by coś powiedział. Zadawała mu niewłaściwe pytania, musiała spróbować z innej beczki.

– Dużo wiesz o śledztwach? – spytała. – No wiesz, od swojego taty?

– Coś tam niby wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale więcej wiem z oglądania powtórek Columbo.

Uśmiechnęła się, bo on się uśmiechnął. Premierowe odcinki serialu śledził jej ojciec, w przeciwieństwie do niej, choć oczywiście wiedziała, że to serial o sprytnym detektywie.

– Powiedzmy, że Columbo bada sprawę, w której ktoś zrobił coś złego.

– Emily, każda sprawa Columbo jest o tym. – Ser uśmiechnął się z rozbawieniem. – O to w tym wszystkim chodzi.

– Racja. – Potrzebowała chwili na zebranie myśli. – Powiedzmy, że w tej sprawie kobieta była na koktajl party, gdzie ukradli jej... naszyjnik z brylantem.

– Mhm.

– Tylko że ona nie pamięta nic z tego przyjęcia, bo za dużo wypła. – Odczekała, aż Ser skinie głową. – Ma jakieś urywki wspomnień, przebłyski, w których pamięta, jak rozmawia z różnymi ludźmi albo jest w różnych miejscach. Ale nie jest pewna, czy to prawdziwe wspomnienie, czy nie.

– Wygląda mi to tak, jakby została odurzona – zauważył Ser. – Alkohol nie daje takich efektów, chyba że zalejesz się w sztok. Tak to przynajmniej wygląda u mojej mamy.

Emily była pewna, że Ser wie, co mówi.

– Jak ta kobieta może odzyskać naszyjnik?

Ser znowu się uśmiechnął.

– Musi zadzwonić do Columbo.

Emily znowu odwzajemniła jego uśmiech.

– Może później to zrobi, a mnie ciekawi, jak Columbo rozwiązałby sprawę?

Ser nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią:

– Najpierw przepytałby ludzi, którzy byli na przyjęciu, potem by porównał notatki, czyli sprawdził, czy to, co mówi jedna osoba, zgadza się z tym, co mówią inni. Jeśli ich wersje są sprzeczne, to znaczy, że ktoś kłamie, a jeśli ktoś kłamie, to wiadomo, że coś ukrywa.

Pierwszy raz od wielu dni Emily poczuła lekkość w sercu. Słowa Sera miały sens. Czemu nie pomyślała, żeby porozmawiać ze wszystkimi? Mogła skłonić ich do przyznania się do winy.

Był tylko jeden problem.

– Jak robi to Columbo? – spytała. – Jeśli ludzie są winni, nie będą chcieli mówić, zwłaszcza z policją.

– Tak twierdzi tata. – Ser wzruszył ramionami. – Ale w telewizji winni zawsze mówią, choć czasem kłamią, żeby skierować podejrzenie na kogoś innego. Albo

chcą wysondować, czy zostaną złapani, więc zadają mnóstwo pytań o śledztwo. A Columbo umie ich podejść. Nie oskarża ludzi, tylko na przykład mówi: był pan na przyjęciu, więc pozwolę sobie zapytać, czy zauważył pan coś podejrzanego, a może ktoś zachowywał się inaczej niż zwykle? Nigdy nie pokazuje palcem na kogoś i nie mówi: ty to zrobiłeś. Oni sami się zdradzają.

Emily musiała przyznać, że Ser świetnie naśladowuje głos Columbo.

– Co jeszcze?

– Wszystko zapisuje. Każdy gliniarz powinien to robić. Tata mówi, że kiedy rozmawiasz z ludźmi, otrzymujesz mnóstwo informacji, i z początku nie wiesz, które są ważne, więc zapisujesz wszystkie, potem przeglądasz notatki i odsiewasz to, co istotne, od rzeczy nieistotnych.

Emily skinęła głową, bo to też miało sens. Czasem na lekcji gubiła się w detalach, jednak gdy później zaglądała do notatek, odnajdowała w nich sens i myśl przewodnią.

– Najlepsze jest zawsze na końcu odcinka – ciągnął Ser. – Tuż przed reklamą Columbo rozmawia z podejrzanym i zachowuje się, jakby skończył, i już wychodzi, ale przy drzwiach odwraca się i mówi: przepraszam, jeszcze jedno.

– Jeszcze jedno?

– Tak. To sytuacja, kiedy zachowujesz najważniejsze pytanie na koniec, kiedy podejrzany opuszcza gardę. – Ser urwał końcówkę papierosa i wsunął niedopałek do kieszeni. – Mówisz: doskonale, dziękuję za odpowiedź na pytania, i zachowujesz się, jakbyś zaraz miała wyjść. Chowasz notes, podejrzany czuje ulgę, bo myśli, że już po wszystkim. A ty wtedy odwracasz się i mówisz...

– Jeszcze jedno.

– Correctamundo. – Naśladowanie Fonza[7] też nieźle Serowi wychodziło. – I tak odzyskasz swój naszyjnik.

– Co?

– Ta kobieta, której skradziono naszyjnik.

– A tak. – Serce Emily zadrżało. Pojawiła się szansa na odkrycie prawdy. – Kiedyś będziesz dobrym gliniarzem, Ser.

– Och, tylko nie to. – Sięgnął po następnego papierosa. – Jeśli za dziesięć lat nadal będę tkwił w tej dziurze, przypomnij mi, żebyś strzelił sobie w łeb.

– To straszne. Nie mów tak.

Zbliżali się do szkoły. Ser podał jej plecak i odszedł bez słowa. Kilka lat temu Nardo dokuczał mu, że podkochuje się w Emily, więc do dziś bardzo się starał, żeby nikomu nie dać powodu do kpin na ten temat.

Emily machinalnie przesunęła torebkę na bok, rozważając radę Sera. Powinna spojrzeć na to jak na śledztwo. Zapewne odpowiedź niczego nie zmieni, lecz może przynieść odrobinę spokoju. Bez względu na to, co mówili rodzice, ktoś ją wykorzystał, kiedy była zupełnie bezbronna. Oczywiście nie była aż tak głupia, by sądzić, że sprawca za to zapłaci, jednak dla własnego zdrowia psychicznego musiała wiedzieć, kto ją skrzywdził.

– Co robisz? – Ricky trąciła ją w ramię. – Śmiejesz się jak głupia do Sera? – Gdy Emily przewróciła oczami i też trąciła ją w ramię, Ricky dodała: – Nie rozumiem, czemu przejmujesz się tymi zepsutymi zabawkami.

Emily nie chciała połknąć haczyka. Klika bywała okrutna dla tych spoza kręgu, dla obcych. Ale co jej zrobią, kiedy poznają prawdę?

– Gdzie byłaś wczoraj? – spytała Ricky. – Dwa razy dzwoniłam do ciebie do domu i twoja mama dwa razy mi powiedziała, że śpisz.

– Miałam jelitówkę – odparła Emily. – Mówiłam ci w sobotę.

– A tak! – Ricky znowu ją trąciła. – Wczoraj myślałam, że pogadamy.

– O czym?

– Ja... o cholera, jest Nardo. – Ricky puściła się pędem przez dziedziniec szkoły, nie oglądając się na Emily.

Nie poszła w jej ślady, jednak nie spuszczała oka z kliki, która zebrała się pod frontowymi drzwiami sali gimnastycznej. Nardo palił papierosa, chociaż przyłapali go na tym już trzy razy. Blake stał oparty o ścianę z książką w rękach. Tylko Clay

patrzył na nią, jak idzie po schodach do szkoły. Pierwszy raz w życiu nie zareagowała na jego obecność. Nie pomachała mu. Nie czuła siły przyciągania jego wzroku, którym ściągał ją do siebie.

Otwierając drzwi szkoły, odwróciła się do niego plecami. Jego spojrzenie ciągle paliło jej plecy, nawet gdy zamknęła za sobą drzwi. Zmrużyła oczy od jasnego światła lamp w holu, a inni uczniowie mijali ją w pędzie. Poczowała napięcie w całym ciele. W szkole zawsze tak się czuła, ale tym razem niepokój nie wynikał z niewypowiedzianej presji Esther, która popychała ją do sukcesu. Towarzyszył jej niepokój, bo zaczęła układać plan.

Powinna porozmawiać z panem Wexlerem. Podejdzie do niego swobodnie, jak gdyby nigdy nic, zada mu kilka pytań, a potem uda, że już odchodzi, i na koniec rzuci „jeszcze jedno”.

Czuła, że jej pewność siebie ulatuje. Naprawdę może zapytać pana Wexlera, czy ją wykorzystał? On się oburzy. To jasne, że się oburzy. Tylko czy dlatego, że jest niewinny, czy wręcz przeciwnie?

– Emily! – Melody Brickel cwałowała korytarzem. Ten czasownik pasował do niej, bo miała słabość do koni, co wśród innych powodów nie przysparzało jej popularności w szkole. – Nie byłeś wczoraj na próbie!

Miała ochotę zwinąć się w kłębek. Pani Brickel wiedziała o wszystkim, ale czy podzieliła się swoją wiedzą z córką?

– Em? – Melody złapała ją za ramię i wciągnęła do pustej klasy pana Wexlera. – Co z tobą? Płakałaś? Wyglądasz strasznie. Za to fryzurę masz super.

– Ja... – Mózg Emily zaczął pracować na wysokich obrotach. Była w klasie pana Wexlera, który niedługo się tu zjawi, a ona nie była gotowa. Jeszcze nie mogła stawić mu czoła. Musiała przygotować listę pytań, ale w tej chwili myślała tylko o tym, żeby stąd wyjść, zanim on się pojawi.

– Emily? – powtórzyła Melody. – Coś się stało?

– Ja... – Emily przełknęła ślinę. – Mama ci nie mówiła?

– Niby co miała mi powiedzieć? Aha, rozumiem, byłaś wczoraj u doktora Schroedera, czy tak? Z tym że nawet jeśli, to mamie nie wolno mówić o tym, co dzieje się w gabinecie, to twarda zasada. Ale już mi powiedziałaś, że tam byłaś, więc co się dzieje? Coś ci jest?

– Tak, ja... – Emily musiała napędce wymyślić jakieś kłamstwo. – Chodzi o mój okres. Zaczął się parę dni temu i strasznie mnie boli.

– O nie, biedaczko. – Melody wzięła ją za rękę. – Jesteś za duża, żeby chodzić do tego obleśnego dziada, radzę ci, porozmawiaj z prawdziwym ginekologiem. Dwa lata temu mama zabrała mnie do ginekologa, zaczęłam brać pigułki i od tego czasu ledwie zauważam swoje miesiączki.

Emily nie wiedziała, co jest bardziej zdumiewające: że Melody była u ginekologa czy że bierze pigułki.

– Nie rób takiej oburzonej miny, głupia. Pigułka nie jest tylko dla seksu. Chociaż mam nadzieję, że tego seksu kiedyś się wreszcie doczekam! – Melody wyjęła z torby kasetę. – Masz, przyniosłam ci, tylko koniecznie masz mi oddać.

Emily wzięła kasetę. Na okładce było pięć dziewczyn owiniętych ręcznikami, z maseczką odżywczą na twarzach. Grupa Go-Go's, Beauty and the Beat.

– Mówiłam ci o nich w zeszłym tygodniu – ekscytowała się Melody, która miała obsesję na punkcie muzyki. – Posłuchaj, jak wokół zwalnia w środku Our Lips Are Sealed, dobrze? To niezupełnie przesunięcie metrum, podobnie zrobili Beatlesi w We Can Work It Out, gdzie z czterech czwartych schodzą na trzy czwarte. Albo Under My Thumb, gdzie Stonesi...

Emily przestała słyszeć słowa Melody, bo do klasy wszedł pan Wexler. Kątem oka zobaczyła, jak rzuca stos papierów na biurko, ale nie spuszczała wzroku z Melody, która grała na wyimaginowanej perkusji i wybijała stopą rytm słyszalny tylko dla niej.

– Posłuchaj tego, dobrze? – powtórzyła Melody. – To jest odłotowe. Same napisały muzykę. Super, nie?

Emily potaknęła, chociaż nie miała pojęcia, z czym się zgadza. Wiedziała tylko, że to wystarczyło, by Melody wypadła wielkimi susami z klasy.

– Czym się tak nakręciła tym razem? – spytał pan Wexler.

Emily musiała przełknąć ślinę, żeby wydobyć z siebie głos:

– Go-Go's.

Pan Wexler zaśmiał się rubasznie.

– Porównuje grupkę pulchnych dziewczyn do Stonesów? Daj spokój, po prostu się zgrywają, żeby poznawać facetów.

Tydzień wcześniej Emily uwierzyłaby mu na słowo, może nawet zaśmiałyby się razem z nim, teraz jednak zapytała:

– A faceci nie grają w kapelach, żeby wyrywać dziewczyny?

– Może kudłacze, których słuchasz – odparował pan Wexler. – Stonesi to prawdziwi muzycy, oni mają talent.

Emily złożyła dłonie. Znowu zaczęła się pocić. Nie miała planu, nie mogła tego zrobić, nie była porucznikiem Columbo.

– Czego chcesz, Em? – Pan Wexler wrzucił do ust garść mieszanki studenckiej z paczki leżącej na jego biurku. – Nawaliłem się wczoraj wieczorem, przy porannym bieganiu ledwie powłóczyłem nogami, jakbym biegał po ruchomych piaskach, a muszę przygotować się do lekcji.

– Ja... – Emily przypomniała sobie słowa Sera. Musiała notować, ale nie mogła tego zrobić w zeszytach szkolnych. Wsadziła rękę do torebki, wyjęła jakąś kartkę, włączyła długopis i spojrzała na pana Wexlera. Problem w tym, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Emily? Co ty robisz, co to jest?

– Ja... – Odwaga ją opuściła. – Wczoraj nie byłam na lekcji. Muszę wiedzieć, co mam nadrobić.

Pan Wexler parsknął śmiechem.

– Aha... Tyle że raczej nie ma potrzeby, prawda? Masz piątkę, nie przejmuj się.

– Ale ja...



– Emily, nie pamiętam, co było wczoraj na lekcji, rozumiesz? Wpisałem ci obecność i jeśli o mnie chodzi, to byłaś na mojej lekcji. Ciesz się wygraną.

Patrzyła, jak pan Wexler odwraca się i zaczyna wycierać tablicę. Był w świetnej formie, bo biegał, niestety na tym kończyła się jego samodyscyplina. Spodnie miał pomięte, koszulę z żółtawymi plamami od potu pod pachami, potargane włosy. Kiedy odwrócił się twarzą do niej, zobaczyła, że ma przekrwione oczy, ponieważ nie użył kropli do oczu stojących na biurku.

Słabe światła deski rozdzielczej, piosenka w radiu, rozdarcie w zielonej sukience Ricky...

– Em? – Oparł dłonie na biurku. – Na miłość boską, co się z tobą dzieje? Nie obraż się, ale wyglądasz tak, jak ja się czuję, czyli gównianie.

– Ja... – Przypomniała sobie słowa Sera. Radził, by podejść do tego na luzie, nie oskarżać. Usiadła w pierwszym rzędzie ławek, siląc się na swobodę, i spytała: – Pamięta pan, jak w zeszłym miesiącu odwoził mnie pan od Narda?

Pan Wexler natychmiast zachował się jak winny, to znaczy zmrużył oczy, podszedł do drzwi i je zamknął, a na koniec odwrócił się do Emily.

– Już ci mówiłem, że więcej o tym nie będziemy rozmawiać. – Gdy zaczęła coś notować na kartce, spytał agresywnym tonem: – Co piszesz? Jezu, czemu... – Gdy wyrwał jej długopis, odsunęła się przestraszona, a on nadal wrzeszczał: – Co się dzieje, do cholery?!

– Ty... – Czuła, że traci kontrolę nad sobą. Nie tak miało być, żadnej konfrontacji, żadnego oskarżania. – Tamtej nocy moja babcia pana widziała, poznała samochód.

Z przybitą miną opadł na krzesło obok niej i zaklął:

– O kurwa...

– Babcia... babcia pytała mnie o to wczoraj wieczorem. Spytała, czemu siedziałam w pana aucie o tak późnej porze, bo ona wie, że jest pan nauczycielem.

– Powiedziała twoim rodzicom? – spytał zdławionym głosem.

Zobaczyła jego strach, co znaczyło, że zyskała nad nim pewną przewagę. Musiała utrzymać ten stan.

– Jeszcze nie. Prosiłam, żeby tego nie robiła, ale...

Pan Wexler wyprostował się i odchylił na krześle.

– Musimy ustalić naszą wersję na wypadek, jeśli powie... a raczej kiedy powie, bo wiesz, że w końcu to zrobi. – Mogła tylko kiwnąć głową, bo przewaga znowu była po jego stronie. – No dobrze. – Zwrócił się twarzą do niej, opierając się na łokciach. – Co dokładnie widziała twoja babcia?

– Widziała, że... – Chciałaby rozegrać to strategicznie, niestety już się pogubiła. – Wysiadłam z pana auta, było późno, a ja byłam zdenerwowana.

Pan Wexler pokiwał głową. Słyszała skrobanie szczeciny, gdy podrapał się po nieogolonym policzku.

– Dobrze, to niewiele.

Emily milczała, zaciskając usta. Ser powiedział, że winni chcą mówić. Musiała zaczekać, aż pan Wexler tak właśnie zrobi.

– Dobrze – powtórzył, oddając jej długopis. – Powiemy im tak. – Emily przyłożyła długopis do kartki, a pan Wexler ciągnął: – Nardo wezwał mnie na pomoc, bo ci odbiło, z tym że wszyscy byli ujarani. Przyjechałem po ciebie, żeby odwieźć cię do domu. A to wszystko, co zaszło między mną a Clayem... – Machnął ręką. – Zapomnij o tym. To moje słowo przeciwko jego, a jemu nikt nie uwierzy.

Clay? – pomyślała, a pan Wexler dodał jeszcze:

– Odwiozłem cię do domu i to już koniec historii. Tak?

– Ale... – Gorączkowo szukała sposobu, jak wyciągnąć od niego szczegóły. – Nie tylko o Claya musimy się martwić, tak? Nardo i Blake tam byli, a także Ricky. Bo ona też tam była.

– Kiedy przyjechałem, Ricky spała na trawniku od frontu – powiedział pan Wexler. – Nie wiem, gdzie byli Nardo i Blake, z tym że oni mogli nas widzieć z wnętrza domu, prawda? Bo okna wychodzą na basen?

– Mhm, tak. Może. – Emily poczuła suchość w ustach. Ricky spała na trawniku przed domem, Nardo i Blake zaszyli się domu, a ona była z Clayem przy basenie. Nie mogli pływać, bo basen był przykryty, no i woda była za zimna. Czemu siedzieli tam sami? To musiało coś znaczyć.

– Dobrze, to już wiadomo. – Pan Wexler postukał palcem w jej notatnik. – Zapisz to, jeśli tak będzie ci łatwiej zapamiętać. Zadzwoniłaś do mnie, bo pokłóciłaś się z Clayem, więc przyjechałem po ciebie, odwozłem cię do domu... i tyle.

Emily zaczęła pisać, musiała jednak jeszcze o coś spytać.

– O co kłóciłam się z Clayem?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Przypomnij sobie jakąś waszą kłótnię i powiedz, że wróciliście do tematu. Przecież wy na okrągło wkurzacie się nawzajem. – Pan Wexler wstał. – Idź na lekcję. I radzę ci, nie rozmawiaj o tym z nimi. Sama wiesz, że zawsze wezmą stronę Claya, a ja nie chcę, żebyś straciła przyjaciół z powodu jakiejś głupiej historii.

Język jej skołowaciał. Bała się straty kliki, teraz jednak czuła tę stratę jako coś realnego. Odrzuca ją. Przyjaciele, których się trzymała, których znała od pierwszej klasy, z którymi od dziesięciu lat spędzała każdą wolną chwilę, odrzuca ją, kiedy wszystko się komplikuje.

Zwłaszcza gdy się okaże, że te komplikacje mają związek z Clayem.

– Jeśli twoi rodzice zaczną cię o to wypytywać, trzymaj się tej wersji, a wszystko się ułoży. Ja powiem im to samo.

Emily spojrzała do notesu i dopisała jedno słowo: „Clay”.

– Emily. – Pan Wexler zerknął na zegarek. – Idź już na lekcję. Więcej nie mogę wypisywać wam usprawiedliwień za spóźnienia. Ponoć niektórzy nauczyciele sypnęli, że faworyzuję swoich ulubieńców. Wiem to od pana Lamperta. Założę się, że to Darla North. Boże, ta głupia suka nie umie trzymać swojej tłustej gęby na kłódkę.

Emily schowała notes i długopis, po czym wstała i podeszła do drzwi.

Ale jeszcze się odwróciła.

– Panie Wexler, jeszcze jedno, dobrze?

– O co chodzi? – Znowu spojrzął wymownie na zegarek.

– Moja babcia... – Emily urwała. Koniec ze strategią. Musiała mówić wprost. – Chodzi o tamtą noc, kiedy odwiózł mnie pan do domu. Babcia powiedziała, że miałam rozdartą sukienkę, do tego włożoną na lewą stronę.

Pan Wexler zacisnął szczęki tak mocno, że wyglądało to tak, jakby kawałek szkła sterczał mu z twarzy.

– To zauważyła, kiedy wysiadłam z pana auta – ciągnęła Emily.

Znowu potarł policzek. I znowu słyszała to drapanie palcami zarostu.

Wtedy wyprowadziła cios.

– Co mam powiedzieć, kiedy ojciec mnie o to zapyta?

Wexler najpierw zamarł, ale w następnym ułamku sekundy runął na nią i przygwoździł ją do ściany tak błyskawicznie, że nie zdążyła zareagować. Jedną spoconą ręką zatkał jej usta, drugą chwycił za szyję.

Brakowało jej powietrza. Wczepiła się paznokciami w wierzch jego dłoni. Ledwie dotykała stopami podłogi. Uniósł ją na tyle, że mogła tylko walczyć o oddech.

– Posłuchaj mnie, ty mała, pieprzona suko – wysyczał, a jego oddech cuchnął mieszanką przetrwanego alkoholu i kawy. – Nie piśniesz ojcu ani słowa. Rozumiesz, co mówię?

Nie mogła odpowiedzieć, bo wbijał palce w jej gardło.

– Przyjechałem po ciebie do Narda. Wdałaś się w straszną awanturę z Clayem. Odwiozłem cię do domu. To wszystko. – Mocniej ścisnął jej szyję. – Rozumiesz?

Nie mogła mówić. Nie mogła się ruszyć. Jej powieki zaczęły drgać.

Gdy ją puścił, Emily opadła na podłogę i złapała się za obolałą szyję. Czuła pulsowanie tętnic, łzy poleciały jej z oczu.

Pan Wexler kucnął przed nią, wycelował palec w jej twarz i nakazał:

– Powtórz, co powiesz.

– To... – Zakasłała. Poczowała krew w gardle. – To nie był pan.

– To nie byłem ja – powtórzył. – Nardo zadzwonił, żebym po ciebie przyjechał, więc przyjechałem, a ty szarpałaś się z Clayem, więc odwiozłem cię do domu. Nie tknąłem cię, nie rozdarłem ci sukienki ani... – Zmrużył oczy i powoli przeniósł wzrok z jej twarzy na brzuch, a Emily niemal usłyszała dzwonek alarmowy rozbrzmiewający w jego głowie. – Kurwa, ty jesteś w ciąży!

Słuchała, jak te słowa niosą się echem po ścianach z pustaków. Nikt dotąd nie powiedział tego głośno, nawet doktor Schroeder nie użył tego słowa. Ojciec nazwał to zrobieniem dziecka. Matka mówiła nie wprost, zupełnie jak mówi się o raku przy chorym na raka.

– Kurwa! – Walnął pięścią w ścianę i krzyknął z bólu, zerkając na zakrwawione kłykcie. – Kurwa.

– Panie Wex...

– Zamknij się – syknął. – Jezu, ty durna zdziro. Wiesz, co to znaczy?

Próbowała wstać, ale nogi za bardzo jej drżały.

– Bardzo... bardzo przepraszam.

– To na pewno.

– Panie Wexler, ja... – próbowała go uspokoić. – Dean, przepraszam, nie powinnam nic mówić. Ja tylko... boję się, rozumiesz? Boję się, bo stało się coś złego, a ja tego nie pamiętam. – Milczał, tylko patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a Emily powtórzyła: – Bardzo przepraszam... – Czuła, że odtąd tylko tymi dwoma słowami będzie się zwracać do innych. – Moja babcia widziała, jak wysiadam z twojego auta, więc pomyślałam... pomyślałam, że może ty... – Głos uwiązał jej w gardle.

Z jego twarzy nadal nie mogła wyczytać żadnych emocji. Kiedy wydawało jej się, że zastygną w tej pozie na zawsze, on przerwał ten trans, wstając z kucek, i sztywnym krokiem przeszedł przez klasę. Kiedy się odwrócił, Emily zobaczyła na jego koszuli plamy krwi z kłykci.

– W dzieciństwie chorowałem na świnkę. – Macał dłoń, sprawdzając, czy kości są całe. – Ona wywołała u mnie orchitis.

Emily gapiała się na niego bezmyślnie. Nie rozumiała, o czym mówi.

– Sprawdź w słowniku, głupia cipo. – Wexler usiadł za biurkiem. – To znaczy, że nie jestem pieprzonym ojcem.

[7] The Fonz (także Fonzie) – postać z amerykańskiego sitcomu Happy Days grana przez Henry'ego Winklera. (Przyp. tłum.).

# 5

Bible podniósł wzrok znad metalowej obręczy na kostce martwej dziewczyny.

– To jest na niej wyryte – wyjaśnił i zapytał ponownie: – Kim jest Alice Poulsen?

Nardo zerknął na Wexlera, który odparł:

– To wolontariuszka. Nie znam jej.

Bible wstał. Wyraźnie był zły.

– Wolontariuszka? A na co się pisała? Na zagłodzenie i etat królika doświadczalnego unieruchomionego w laboratorium?

Nardo i Wexler gapili się na niego, jakby czekali, aż przeformułuje pytanie.

– Więc dobrze... – Bible zacisnął szczęki. – Ile jeszcze wolontariuszek tu pracuje? – spytał z naciskiem na „wolontariuszek”.

I znowu Nardo pozwolił odpowiedzieć Wexlerowi.

– Dziesięć, może piętnaście, do dwudziestu w szczycie sezonu.

– Dziesięć, piętnaście, może dwadzieścia. Mnóstwo ludzi do zapamiętania. – Bible odwrócił się do Stiltona. – Komendancie, to pan mówił, że panna Poulsen próbowała się zabić półtora roku temu. Podcięła sobie żyły, tak?

– Tak. – Stilton skinął głową. – Zgadza się.

– Zatem mieszkała na tej farmie przynajmniej od półtora roku, a pewnie dłużej.

– Bible skierował tę uwagi znowu pod adresem Wexlera. – Ile ma lat?

– Jest pełnoletnia. Przyjmujemy tylko dorosłych. Muszą pokazać paszport albo dowód.

– Ale tej dorosłej, która mieszkała i pracowała u pana od półtora roku, pan nie zna?

Wexler zdjął z języka tytoniowy paproch... i tylko tyle, bo milczał.

Andrea czuła napięcie narastające w trójkącie Bible – Stilton – Dean Wexler. Żaden z nich nie patrzył na martwe ciało leżące na ziemi, choć byli wyraźnie poruszeni widokiem wychudłej młodej kobiety.

Bible zareagował wściekłością, natomiast odpowiedzią Andrei była bezdenna zgroza. Czuła się obezwładniona mrocznym obrazem, który miała przed oczami. Ta kobieta była czyjaś córka, koleżanką z klasy, przyjaciółką, może siostrą. A teraz nie żyła.

Mogła tylko podążać za instrukcjami Bible'a. Udokumentowała premedytację widoczną na ciele Alice Poulsen. Zapadnięte policzki. Boleśnie chude ręce i nogi. Sine ślady czyichś palców na nadgarstkach. Żebra sterczące jak u truchła rozkładającego się zwierzęcia. Stwierdzenie, że dziewczyna wyglądała na niedożywną, było tylko częścią jej historii. Na łokciach i kościach biodrowych widniały otwarte rany, które przypominały odleżyny. Kosmyki włosów leżały na ziemi jak wąsy z kolby kukurydzy, a paznokcie wygięły się pod wpływem kontaktu z kwasem żołądkowym przy prowokowaniu wymiotów.

Czy z własnej woli poddała się tym torturom?

Skierowała zoom na fiolkę. Etykieta została usunięta, nakrętka była odwrócona. Andrei trzęsły się ręce, gdy robiła ostatnie zdjęcia obręczy na kostce, która mogła służyć jako kajdany. Wstała i wytarła dłonie o szorty. To był koszmar. Zagłodzona, przypominająca szkielet dziewczyna, która została oznakowana jak zwierzę hodowlane. Nawet jeśli Alice Poulsen popełniła samobójstwo, ktoś popchnął ją do tego.

Spojrzała na Narda, wyczuwając instynktownie, że z nich dwóch to on ma w sobie więcej sadyzmu.

– Kto jej to założył na kostkę? – spytała. – Sama sobie tego nie zrobiła.

– Zaraz, zaraz, dziewczyno – odezwał się Wexler. – Nic nam o tym nie wiadomo.



Przełknęła falę inwektyw, które miała na końcu języka. Wexler nie wydał się zszokowany widokiem obręczy i musiał znać tę młodą kobietę. Mieszkała w jego posiadłości przez ponad rok i nic takiego nie mogłoby się tu zdarzyć bez jego wiedzy i aprobaty. Andrea była tak zła, że cała się trzęsła. Alice Poulsen najpewniej niedawno skończyła szkołę średnią i przyjechała tu jako wolontariuszka. A wyjedzie stąd w worku.

Wskazała ciało.

– Ta dziewczyna to skóra i kości. Jak pan mógł do tego dopuścić? Musiał ją pan widzieć, mijać się z nią, pewnie nawet rozmawiać. A ona wyglądała jak chodzący trup.

– Nie moja działka. – Wexler wzruszył ramionami.

Andrea powtórzyła pytanie Bible'a:

– Kim jest Alice Poulsen?

– Nie wiem. – Wexler znowu wzruszył ramionami. – W zeszłym roku były tu dwie dziewczyny z Danii. Może to jedna z nich?

Oczywiście, że wiedział, skąd była.

– A ta druga? Kim jest?

– Mówiłem już, że nie znam ich dobrze. – Po raz kolejny wzruszył ramionami.

Bible uznał, że czas przejąć inicjatywę.

– Więc kto zna je dobrze? – zapytał. – Kto pozwolił, żeby Alice Poulsen doprowadziła się do takiego stanu, i nic z tym nie zrobił?

Zapadła cisza, tylko Wexler skwitował słowa Bible'a kolejnym irytującym wzruszeniem ramion. Serce waliło Andrei jak szalone i musiała odetchnąć głęboko, by choć trochę odzyskać kontrolę nad emocjami, które w niej buzowały.

W akademii nauczyła się, że stres i złość często oszukują zmysły i rozum. Siłą woli stłumiła gniew i skierowała uwagę na to, co rozgrywało się na jej oczach. Trzej policjanci po cywilnemu okazywali wyraźne zainteresowanie rozmową, ale nie zachowywali czujności, zresztą w przeciwieństwie do swojego szefa. Komendant Stilton wyglądał, jakby każdy mięsień w jego ciele był napięty do

granic możliwości. W tym czasie Nardo niby niepostrzeżenie odsunął się o kilka kroków od Wexlera. Andrea nie wiedziała, czy w ten sposób chciał zdystansować się od niego, czy zbliżyć do furgonetki.

Nie bawiła się w podchody, tylko energicznie podeszła w stronę auta, dając jasno do zrozumienia, że wywlecze go z niego za kołnierz, jeśli spróbuje wsiąść.

– Masz broń, Chudy? – Bible, zerkając na Andree, mówił do Narda.

Poczuła wielką kroplę potu spływającą po karku. Przeoczyła fakt, że luźny kombinezon Narda był tak zmodyfikowany, żeby na wysokości krzyża można było nosić kaburę. Dopiero teraz zauważyła kontur czegoś, co mogło być małym pistoletem kaliber dziewięć milimetrów. Była tak zła, że zapomniała poszukać broni, a przecież od tego powinna zacząć. W Stanach, gdzie mieszkało trzysta trzydzieści milionów ludzi, było prawie czterysta milionów sztuk broni. Najczęściej dobrego faceta od złego faceta można było odróżnić dopiero wtedy, kiedy ten zły zaczynał strzelać.

– Mam pozwolenie – odparował Nardo. – Ale to nie twoja sprawa.

– Jasne, jasne. – Bible złączył dłonie. Lepiej panował nad gniewem niż Andrea.

– Panowie, moim zdaniem powinniśmy iść do domu i porozmawiać.

– Nie ja – oznajmił Nardo. – Nie gadam z psami bez adwokata.

Andrea mogła przewidzieć jego odpowiedź, która zabrzmiała niemal identycznie jak w jego zeznaniu sprzed czterdziestu lat.

Jest 18 kwietnia 1982 roku i ja, Bernard Aston Fontaine, nie rozmawiam z psami bez mojego prawnika.

– Nie mam ci tego za złe, stary – powiedział Bible. – Moja żona Cussy ciągle mi powtarza, że nienawidzi gadać z gliniarzami. Komendancie, może wsiądziemy wszyscy do radiowozu i przeniesiemy to przedstawienie na wzgórze?

– Beze mnie – powiedział Wexler. – Jeśli chcesz pogadać, możesz jechać ze mną moją furgonetką.

– Ja pojedę z panem – powiedziała Andrea.

Nie czekając na jego pozwolenie, obeszła furgonetkę i otworzyła drzwi. Musiała podciągnąć się, żeby wsiąść do kabiny. W pierwszym odruchu pomyślała, że skręt w popielnicze nie jest pierwszym skrętem wypalonym w tym starym fordzie, bo każdy centymetr sześcienny przestrzeni był przesiąknięty wonią trawki. Ale tym razem nie pozwoliła sobie na rozproszenie uwagi, by nie powtórzyć błędu z bronią. Zajrzała pod siedzenie, by się upewnić, że nie wystaje spod niego koniec strzelby, sprawdziła przegrody na drzwiach i otworzyła schowek.

Wexler usiadł za kierownicą i z trzaskiem zamknął drzwi.

– Masz nakaz przeszukania mojego wozu?

– Mam powód – odparła. – Pański wspólnik nosi ukrytą broń, dlatego w trosce o swoje bezpieczeństwo sprawdziłam, czy nie ma pan w wozie broni.

Prychnął lekceważąco i włączył silnik, natomiast Andrea sięgnęła po pas bezpieczeństwa. Niestety był zaklinowany, a Wexler nawet nie próbował wyciągnąć pasa po swojej stronie. Gdy kciukiem wrzucił bieg, siedzenie łątkowe zadrżało od warkotu starego silnika. Koła drgnęły i ruszyły, tocząc się między zadbanymi rzędami bobu. Musieli dojechać na koniec pola i tam zawrócić, żeby nie poniszczyć roślin.

Andrea rozejrzała się i ze zdziwieniem stwierdziła, że na polu nie ma nikogo, kto by zbierał, doglądał czy co tam jeszcze trzeba robić z bobem. Nie wiedziała, jak działa farma, za to wiedziała, że kontrolowanie tłumu to zawsze kłopot w miejscu potencjalnego przestępstwa. Teoretycznie dziesięcioro czy piętnascioro wolontariuszy i wolontariuszek powinno być gdzieś w pobliżu, skoro jedna z nich leżała martwa w odległości krzyku od ich rzekomych kwater.

Chyba że ktoś kazał im trzymać się z daleka i nie rzucać się w oczy.

– Kto odpowiada za wolontariuszy? – spytała. – Nardo?

Wexler poruszał bezgłośnie szczęką. Wskazówka prędkościomierza pokazywała poniżej ośmiu kilometrów na godzinę. Andrea uznała, że ten facet jeździ jak stary człowiek, bo jest stary. W tym tempie dotarcie do domu na farmie potrwa kilkanaście minut, a to dawało jej trochę czasu, żeby skłonić Wexlera do

mówienia. Metoda termometru była w jego przypadku bezużyteczna. Deana Wexlera w ogóle nie poruszył widok zwłok młodej kobiety na jego polu. Z pewnością przywykł do prowadzenia farmy po swojemu, za to nie przywykł do odpowiadania na pytania, zwłaszcza zadawane przez kobietę.

Andrea zaczęła od prostej sprawy:

– Od kiedy pan tu mieszka, panie Wexler?

– Od jakiegoś czasu. – Patrzył prosto przed siebie, gdy furgonetka toczyła się do przodu. Próbowwała wymyślić inne sondujące pytanie, kiedy Wexler zaskoczył ją stwierdzeniem: – Zgaduję, że ta jędza sędzia opowiedziała ci o mnie wszystko wczoraj wieczorem. – Gdy Andrea nie zareagowała na ten domysł, mówił dalej: – Przyjechałaś wczoraj po południu, jadłaś w bistrze, spędziłaś całą noc w domu sędzi. Spałaś w motelu. – Uśmiechnął się z satysfakcją. Był pewien, że wprawił ją w zakłopotanie. – Słonko, to mała miejscina, tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

– Tak to działa? – Nie spuszczała z niego wzroku.

– Powiem ci więcej. Jesteście tu, żeby pilnować sędzi, a to znaczy, że kogoś w końcu zmęczyły jej świętoszkowate brednie.

– Wygląda na to, że pana też zmęczyły.

– Jeśli chcecie ustalić, kto jej grozi, to będę numerem sześćsetnym na waszej liście. – Posłał Andrei znaczące spojrzenie. – Nardo jest jeszcze niżej. Nigdy nie dbał o tę rodzinę, szczególnie o tę... jak jej tam, dziewczynę. Cholera, nawet nie pamiętam, jak się nazywała.

– Emily. Emily Vaughn.

Wexler znowu coś mruknął. Dojechali już na koniec pola i skręcił powoli pod lasem, a potem ustawił furgonetkę wzdłuż obsadzonych rzędów.

Zamiast jechać dalej, gwałtownie wcisnął hamulec.

Z ust Andrei wyrwał się tłumiony okrzyk i tylko dzięki refleksowi nie wyrznęła twarzą w metalową deskę rozdzielczą. Wexler zachichotał, czerpiąc chorą przyjemność z jej reakcji. Chciał ją nie tylko przestraszyć. Chciał zrobić jej

krzywdę, ale nie wytknęła mu tego, bo musiałyby się przyznać, że ją wkurzył. Mogła tylko cicho siedzieć, gdy furgonetka znów ruszyła powoli.

Wexler ciągle się uśmiechał, gdy sięgnął do kieszeni po kapciucha. Objął kierownicę kolanami i zajął się robieniem skręta. Zbliżali się do namiotu w miejscu znalezienia ciała. Ktoś na powrót okrył denatkę prześcieradłem, jednak Wexler nawet nie spojrzął w tamtą stronę. Nie odwrócił się też, gdy Nardo z głośnym hukiem wskoczył na pakę.

Nardo mrugnął do Andrei, gdy opuścił okno między nimi, a potem udał, że trzyma w ręce broń, i wycelował ją w jej kierunku.

Andrea spojrzała w stronę farmy. Czekają ich jeszcze kilka minut jazdy, a dzięki otwartym oknom Nardo mógłby usłyszeć ich rozmowę. Według niej to nie przypadek, że Wexler chciał ją przestraszyć akurat wtedy, kiedy w rozmowie pojawił się wątek Emily Vaughn. Zagrywka jak zagrywka, a ona nie mogła pozwolić, żeby ją dekoncentrował.

– Nigdy nie ustalili, kto jest ojcem dziecka Emily – zauważyła.

– Judith – odpowiedział ktoś, kto twierdził, że nic nie pamięta. Wexler zapalił papierosa i znowu chwycił kierownicę. – To nie ja, słońce. Nawet Emily nie wiedziała, kto jej zmajstrował dzieciaka. Sędzia powiedziała ci o tym? Dziewczyna nie miała zielonego pojęcia.

Andrea walczyła z sobą, żeby zachować obojętny wyraz twarzy. Wiedziała, że to tajemnica, ale nie dla Emily, która znała prawdę.

– Ta suka nawaliła się na imprezce i ocknęła się w ciąży. Z tego, co wiem, każdy chłopak się nią poczęstował. – Wexler uśmiechnął się na widok jej zbulwersowanej miny. – Emily była rozrywkowa i dobrze wiedziała, co się stanie. Pewnie tego chciała, cholera. Po jej śmierci rodzice zrobili z niej anioła i nikt już nie mówi, że Emily Vaughn bzykała się ze wszystkim, co się rusza.

Andrea poczuła się tak, jakby zdzielił ją w twarz. Facet mówił o gwałcie. Czy Emily była odurzona, czy nie, to nie miało znaczenia, jeśli była niezdolna do wyrażenia zgody na seks.

Zadowolony Wexler zaciągnął się dymem. To go musiało napędzać, żeby codziennie rano wstać z łóżka. Dudniło w nim pragnienie, by dowalać kobietom, żeby czuły się gównem warte.

Desperacko próbowała wykorzystać wiedzę ze szkolenia. Właśnie dowiedziała się czegoś szokującego, a w Glynco wbijano jej do głowy, że w stanie szoku nie można rozmawiać z podejrzanym. W pracy trzeba robić swoje, odsuwając emocje na bok, i dopiero po pracy starać się z nimi dojść do ładu.

– Nietrudno będzie pozyskać próbkę DNA od córki Emily. To nie tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi rok. Dziś ojcostwo łatwo udowodnić.

– Ja strzelam ślepakami, laleczko. – Miał na twarzy ten sam odrażający uśmiešek. – Oczyszczili mnie czterdzieści lat temu. Spytaj o to Sera, to jego ojczulek prowadził śledztwo. O ile to można nazwać śledztwem. Wszyscy wiedzieliśmy, kto to zrobił, a ten debil nawet nie umiał go zamknąć, zanim gościek prysnął z miasta.

– Clayton Morrow – powiedziała Andrea.

– Właśnie. – Wexler wypuścił dym nosem. – Czyli nie ja.

Wrzucił drugi bieg, gdy zjechali z pola, i strzałka prędkościomierza wskazała prawie dwadzieścia na godzinę. Byli na otwartej przestrzeni, niecałe pięćdziesiąt metrów od domu. Trawa i chwasty konkurowały o dostęp do słońca. Prócz domu stały tam zabudowania gospodarcze, wokół chodziły kury i kozy.

Andrea nie zwracała uwagi na otoczenie. Nie mogła pozwolić, żeby to Wexler miał ostatnie słowo. Postawiła hipotezę opartą na wcześniejszych poszukiwaniach w sieci.

– Może nie jest pan ojcem, ale i tak stracił pan pracę po tej historii.

Wexler był kompletnie zaskoczony.

– Zwolnienie z tej gównianej szkoły to najlepsze, co mnie spotkało.

Andrea nie skomentowała tego wyznania, choć coś się wydarzyło. Otóż po raz pierwszy poczuła, że Wexler przedstawia nagą prawdę.

– To jest moja wizja nieba. – Wyciągnął ręce, wskazując farmę. – Mogę iść w pole i pracować w ziemi, jeśli mam ochotę, mogę leżeć w hamaku i palić skręta. Mam jedzenie, dach nad głową i tyle pieniędzy, ile mi potrzeba. Czterdzieści lat temu wyszedłem ze szkoły prosto ku wolności.

– Mimo to nadal znajdował pan sposób, żeby otaczać się wrażliwymi młodymi dziewczynami.

Wexler nacisnął hamulec.

Andrea poleciała głową do przodu, ale znów uratował ją refleks. Za to Nardo nie miał tyle szczęścia i walnął ramieniem w szybę z takim impetem, że poczuła w zębach wibracje.

– Ej, Dean! – Nardo zabębnił pięścią w szybę, lecz nie było w tym złości, tylko rozbawienie. – Co ty wyprawiasz, stary?

Andrea znowu poczuła, jak wali jej serce. Tym razem nie mogła tego tak zostawić.

– Panie Wexler, jeśli jeszcze raz wytnie pan taki numer, przywołam pana do porządku.

Zaśmiał się pogardliwie.

– Moje gówno jest większe od całej ciebie, mała.

– Niech się pan zgłosi na kolonoskopię. – Andrea sięgnęła do klamki w drzwiach. – To może być objaw poważnej choroby.

To stało się bardzo szybko, w ułamku sekundy, ale mózg Andrei zdołał wszystko spowolnić.

Nardo zaśmiał się z tyłu furgonetki.

Ona poczuła nagły ostry ból w ramieniu.

Spojrzała w dół.

Dean złapał ją za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że poczuła palący ból w nerwie łokciowym.

Kandydaci na przyszłych agentów USMS trenowali od dwóch do ośmiu godzin dziennie taktyczne szkolenie bojowe, brazylijskie jujitsu i walkę wręcz. Bez tego

nie ukończyliby szkolenia. To nie był kurs teoretyczny z podręcznikami i niezapowiedzianymi kartkówkami. Ćwiczyli walkę dzień w dzień, często dwa razy dziennie, na piasku pełnym pcheł piaskowych, w ulewnym deszczu i w tropikalnym skwarze w Brunswicku na południu Georgii.

Czasem instruktorzy polewali ich wodą z węża strażackiego, żeby było ciekawiej.

Z oczywistych powodów, a może po to, żeby solidnie ich nastraszyć, w pobliżu zawsze stała w gotowości karetka. Bywało, że kursanci zmywali się z kursu z powodu nagłych przypadków medycznych. Nikt nie wybierał sobie sparingpartnera. W prawdziwym życiu tak to nie działa, dlatego trening musiał przypominać prawdziwe życie. Kobiety nie walczyły tylko z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami. Każdy walczył z każdym, co oznaczało, że czasem Andrea musiała stłuc Paisley Spenser, a czasem do pary miała faceta metr dziewięćdziesiąt o ciele jakby wyrzeźbionym z jednego bloku granitu.

Szybko pojęła, na czym polega największy feler takiego żywego bloku granitu: zamach pięścią albo solidny kopniak wymagały od takiego delikwenta mnóstwa energii. Jasne, taki gość mógł komuś złamać kręgosłup jednym celnym ciosem, ale samo jego wyprowadzenie trwało o wiele dłużej, kiedy trzeba uaktywnić wszystkie mięśnie.

Andrea nie miała tego problemu. Była szybka, sprytna i nie wahała się walczyć nie fair.

Dlatego wszystko potoczyło się bardzo szybko we wnętrzu starej furgonetki Deana Wexlera.

Chwyciła go za nadgarstek prawą ręką, kciuk przycisnęła do podstawy dłoni, a pozostałymi palcami ścisnęła grzbiet. Potem wykręciła mu ramię na plecy, docisnęła łokieć i rzuciła twarzą na kierownicę w idealnie wykonanym ucisku nadgarstka.

Zorientowała się, co się stało, dopiero gdy dociskała plecy Wexlera całym ciężarem ciała.



– O w mordę – powiedział Nardo. – Dziewczyna cię pokonała, stary.

Wexler stękał, tym razem z bólu.

– Puszczę pana – powiedziała do niego Andrea – ale nie radzę znowu próbować ze mną tych numerów.

Powoli poluzowała uścisk i usiadła, gotowa w każdej chwili powtórzyć manewr, gdyby zrobił coś głupiego.

Dean Wexler nie zamierzał robić niczego głupiego, tylko otworzył drzwi i mruknął:

– Jebana cipa.

Andrea wysiadła z furgonetki i postanowiła trzymać się na dystans, żeby dać Wexlerowi trochę przestrzeni. Ruszał się tak samo jak prowadził samochód, czyli powoli, sztywno, jak artretyk. Andrea analizowała w duchu swoją reakcję. Zadziałała przesadnie? Czy był lepszy sposób deeskalacji? Czy w pierwszym prawdziwym starciu zapisała się do tych gliniarzy, którzy lubowali się w poczuciu władzy i demonstrowaniu siły?

– Dobra robota, laska. – Nardo opierał się o tył furgonetki. Wyjął camela i wyciągnął paczkę w stronę Andrei.

Pokręciła głową. Ciągle miała zaciśnięte pięści. Serce jej łomotało. Przypomniała sobie, że właśnie tego się uczyła na szkoleniu. Za pierwszym razem odpuściła, potem go ostrzegła, a Wexler sam zaostrzył sytuację, łapiąc ją za nadgarstek. Wtedy zareagowała. I co najważniejsze, kiedy jej się podporządkował, puściła go.

– Wyobrażam sobie, że zarobiłabyś kupę kasy na takich pokazach – zaśmiał się Nardo i wykasłał dym. – Co sądzisz o zapasach w kisielu?

Andrea zamachała ręką, rozpraszając dym. Nardo cuchnął przetrawionym piwem i pretensją.

– Spotkałam twoją żonę w bistrze. Jak się zapatruje na twoje kontakty z tyloma młodymi dziewczynami na farmie?

– Byłą żonę, dzięki Bogu. – Zaciągnął się papierosem. – Musisz ją o to spytać.

- A jej brat? – sondowała Andrea.
- Zimny z niego trup, biedaczysko.

Andrei zabrakło tchu. Z zeznania Erica Blakely'ego wynikało, że był ostatnią osobą z grupy Emily, która rozmawiała z nią przed atakiem.

Około godziny 18:00, 17 kwietnia 1982 roku ja, Eric Alan Blakely, widziałem, jak Emily Vaughn idzie w kierunku Beach Drive od strony sali gimnastycznej. Nie zwróciłem uwagi na jej strój, bo nie przywiązuję do tego wagi. Nie zauważyłem też, czy jest naćpana albo pijana, chociaż mogła być, zważywszy na jej przeszłość. Próbowła coś mi powiedzieć, ale odtrąciłem ją, a gdy zaczęła na mnie krzyżeć, próbowałem ją uspokoić. Wyzwała mnie i weszła w zaułek. Odszedłem stamtąd w stronę sali gimnastycznej, co już mówili moi koledzy z klasy. Czułem niesmak po tej scysji, więc postanowiłem wrócić do domu, gdzie obejrzałem na wideo filmy z siostrą, Ericą Blakely. Nie wiem, kto jest ojcem dziecka Emily. Tamtego wieczoru miałem na sobie czarny smoking, jak wszyscy inni. Pod rygorem odpowiedzialności karnej przysięgam, że moje zeznanie jest zgodne z prawdą.

Nardo znów się zaciągnął i oznajmił:

– Los truposza przypomina los głupola, no nie? To łatwe dla ciebie, ale trudne dla ludzi wokół ciebie.

Andrea spojrzała na niego bez słowa. Nardo miał minę, jakby czekał na jej wybuch śmiechu.

– No tak. – Mrugnął do niej zza chmury dymu. – Wiesz, byłabyś całkiem niezłą, gdybyś schudła parę kilo. Nocujesz w motelu, tak?

Wyrecytowała jedyną modlitwę, jakiej nauczyła ją Laura:

– Boże, obdarz mnie pewnością siebie przeciętnego białego mężczyzny.

– Bardzo dobrze. – Nardo był pod wrażeniem. – Wy, damy z Południa, umiecie się odwinąć.

– Jak ten, kto się odwinął i walnął Emily Vaughn w głowę deską?

Na twarzy Narda pojawił się znajomy grymas i niemal wypluł z siebie jedno słowo:

– Lesba.

Andrea pomyślała, że jego pokolenie musiało uważać to za obelgę. Odprowadziła go wzrokiem, gdy poszedł w stronę stodoły. Poczekała, aż zniknie w środku, odetchnęła głęboko i z sykiem wypuściła powietrze.

Spojrzała na swoją rękę. Nadgarstek pulsował w miejscu, gdzie zacisnęły się palce Wexlera. Spodziewała się sińców, pewnie podobnych do tych, które widziała na przegubie Alice Poulsen.

Znowu zaczerpnęła powietrza. Musiała skoncentrować się na przestępstwie, do którego tutaj doszło. Przyjechała z Bible'em na farmę nie z powodu dawnych związków Deana Wexlera i Narda Fontaine'a z Emily Vaughn. Inna młoda dziewczyna straciła życie zaledwie parę godzin temu i leżała na polu pod białym prześcieradłem, podczas gdy funkcjonariusze kręcili się dookoła, gapili w smartfony albo stali z rękami w kieszeniach.

Udokumentowała w telefonie spustoszenia dokonane w ciele Alice Poulsen. Jej rodzice mieszkali tysiące kilometrów stąd, zapewne w błogim przekonaniu, że ich córka przeżywa przygodę życia w Stanach. Niedługo ktoś zapuka do ich drzwi i przyniesie tragiczne wieści, a oni, pogrążeni w rozpacz, będą chcieli się dowiedzieć, co spotkało ich dziecko. Ona i Bible mogą być jedynymi, którzy udzielą im odpowiedzi.

Analiza, zrozumienie, raport.

Przyjrzała się otoczeniu. Parterowy dom w stylu farmerskim był pomalowany w odcieniach tęczy, tak samo jak stodoła i pozostałe zabudowania gospodarcze. Na werandzie okalającej dom wisiały serpentyny, w oknach stały świece, kurnik był pełen tłustych kur, trzy kozy pasły się pod przepięknym dębem wierzbolistnym. Taczki i narzędzia ogrodnicze stały pod jaskrawą stodołą, która mieściła traktor zapewne wart więcej niż lamborghini. W oddali zobaczyła silosy i magazyn, a obok nich tablicę z napisem MAGICZNY BÓB DEANA. Logo miało kolor niebieskiego szafiru i akwamaryny, takie same jak kamienie na obręczy na kostce Alice Poulsen.

– Przeklęty dupek – mruknęła ze złością, bo była pewna, że Dean Wexler doskonale wiedział, kim jest ta dziewczyna.

Odwróciła się, gdy usłyszała chrzęst żwiru. Drogą toczył się radiowóz komendanta. Nie śpieszyło im się, pewnie chcieli, żeby popracowała nad Deanem Wexlerem. Bible znowu rzucił ją na głęboką wodę. Było za wcześnie na rozstrzygnięcie, czy udało jej się przepłynąć parę długości, czy raczej taplała się w miejscu. Radiowóz wszedł w ostry zakręt.

Zauważyła, że niżej i w pewnej oddali są dwa stalowe budynki. Wesołe kolory kończyły się na wysokości żwirowej drogi, a metalowe konstrukcje były ciemne i pokryte rdzawymi lizajami. Na dachach zalegały liście. Nad drzwiami większego budynku widniał napis KWATERY. Drugi był oznaczony jako STOŁÓWKA. Wszystkie okna w obu budynkach były otwarte, by wpuścić do środka trochę powietrza.

Andrea dorastała na Południu, przypomniawszy sobie, że w tej części kraju brak klimatyzacji nie oznaczał okrucieństwa, wręcz przeciwnie, był dość powszechny. Czego nie da się powiedzieć o pięciu przenośnych toaletach stojących dziesięć metrów od stołówki.

Farma wyglądała na wystarczająco zasobną, żeby starczyło grosza na założenie kanalizacji, zwłaszcza jeśli pracę wykonywali wolontariusze, co – jak zakładała Andrea – było eufemizmem na nieodpłatną pomoc. Swego czasu naczytała się różnych ogłoszeń o praktykach wakacyjnych, łatwo więc wymyśliła przypuszczalną reklamę, która namawiała do poznania prawdziwego życia na farmie organicznej z zakwaterowaniem i Wi-Fi w pakiecie. A na załączonych zdjęciach tęcze budynki i ani skrawka prymitywnego baraku.

Ciekawe, że główny dom miał klimatyzację.

Komendant Stilton zatrzymał radiowóz za niebieską furgonetką. Jeśli w drodze odbył poważną rozmowę z Bible'em, to żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego z jej rezultatów. Stilton trzasnął drzwiami prawie tak samo mocno jak wcześniej Wexler.

Andrea odsunęła się, gdy Stilton ciężkim krokiem ruszył w stronę domu.

– Nie wiem, co się dzieje z komendantem Serem – powiedział Bible. – A jak nasz delikwent?

– Wkurzony. Złapał mnie za nadgarstek, a ja pomogłam mu wylądować mordą na kierownicy.

– I słusznie – bardzo serio odparł Bible. – Zasada numer jeden: nikt nie ma prawa podnieść na ciebie ręki.

Andreę ucieszyło to wsparcie, z tym że musiała coś jeszcze dodać:

– Będzie trudniej, kiedy zaczniemy go pytać o Alice Poulsen.

– Jak dla mnie, to nawet nie jest częścią tego równania. Musimy... – Urwał, spoglądając na dom. – Partnerko, nie wiem, jak ty, ale ja żałuję, że tak się wystroiłem na tę okazję.

– Ja też. – Bible przynajmniej miał na sobie służbowy T-shirt i szorty do biegania, natomiast jej lawendowa koszulka od pizamy ozdobiona była kołnierzykiem z literkami w wesołych kształtach jak z kreskówki.

– Nie będę tkwić w domu cały dzień! – krzyknął Wexler, otwierając siatkowe drzwi.

– Robi się coraz ciekawiej – skwitował Bible.

Gdy Andrea ruszyła za nim w stronę domu, zobaczyła dwie kobiety wychodzące ze stodoły. Szły w kierunku baraku, kroczyły powoli, jakby z namysłem. Miały na sobie długie żółte sukienki bez rękawów, takie same jak ta, którą znaleziono pod głową Alice Poulsen. Zresztą podobieństw było więcej: bosa stopy, włosy w strąkach sięgające pasa, wychudzone ciała, ręce i nogi wyglądały jak patyki wystające spod sukienki... Można by je wziąć za bliźniacze siostry Alice Poulsen.

Miały na lewych kostkach ciasne srebrzyste obręcze.

– Oliver? – Bible przytrzymał dla niej drzwi.

W środku zobaczyła Deana Wexlera i komendanta Stiltona. Nie patrzyli na siebie, ale wrogość między nimi była wręcz namacalna. To oczywiste, że jątrzyły

się między nimi jakieś zaszłości. Ludzie często opowiadają o urokliwych małych miasteczkach, zapewne nie wiedząc, że krwawe właśnie rozgrywają się tam prawie za każdym rogiem.

Andrea chwyciła siatkowe drzwi, zanim się zamknęły. Spodziewała się przygnębiająco brudnego domu, ale ujrzała zaskakująco jasne i nowoczesne wnętrze. Otwarta przestrzeń łącząca salon i kuchnię była pomalowana na różne odcienie szarości i bieli. Skórzana sofa i pasujący do niej klubowy fotel były czarne. Wartość stalowych sprzętów kuchennych marki Sub-Zero Wolf pewnie była równa jej rocznym zarobkom. Z tym że stonowana kolorystyka nie dotyczyła podłogi, bo tam królowała feeria barw. Każda szeroka deska miała inny kolor z dwunastu odcieni widniejących na kole barw. Motyw zajęcy, lisów i ptaków tworzył powtarzalny wzór.

Wszyscy w tym przeklętym miasteczku byli artystami.

– Panie Wexler – zaczął Bible. – Dziękuję, że zechciał pan z nami porozmawiać.

Wexler skrzyżował ramiona.

– Ta suka powiedziała, co mi zrobiła?

– Moja partnerka poinformowała mnie, że dokonał pan napaści na funkcjonariusza federalnego – odparł Bible. – Mam pana aresztować czy usiądzie pan i porozmawia z nami, jak się umówiliśmy?

Zapadła cisza, w której Wexler rozważał, co wybrać, lecz nagłe pojawienie się jakiejś kobiety wybawiło go od konieczności szybkiego podjęcia decyzji. Było oczywiste, że ta kobieta wcześniej ich nie słyszała. Właśnie upinała długie włosy i zamarła na widok obcych w salonie.

Andree przestraszył jej wygląd.

Była starsza niż tamte, bliżej trzydziestki. Taka sama żółta sukienka, tak samo długie ciemne włosy, taka sama łamiąca serce chudość. Pod jej skórą było widać kości czaszki, a oczy wyglądały jak dwie kule wciśnięte pod zasinione powieki. Obręcz na kostce była tak ciasna, że obtarła skórę do żywego mięsa.

– Dean? – odezwała się pytającym i pełnym lęku głosem.

– Wszystko w porządku, Star. – Wexler złagodził nieco swój opryskliwy ton. – Nie przerywaj sobie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Star o nic nie spytała, nie spojrzała na nikogo i nie odezwała się ani słowem, gdy powoli poszła do kuchni. Ruchem robota uniosła rękę i otworzyła górną szafkę. Andrea zauważyła, że po każdym ruchu robi krótką przerwę. Wyjmuje mąkę. Stop. Kładzie ją na blacie. Stop. Wyjmuje cukier kryształ. Stop. Odstawia na blat. Stop. Potem drożdże. Stop.

– Dean? – Stilton odpiął kieszonkę w koszuli i wyjął z niej mały kołonoatnik oraz długopis. – Zaczniemy wreszcie czy nie?

– Siadaj – powiedział Wexler. – Miejmy to już za sobą.

W salonie stały tylko sofa i fotel. Bible i Stilton byli postawni, a Wexler wyraźnie zamierzał zająć fotel. Andrea oszczędziła im testu na szarmanckość i przeszła do części kuchennej, gdzie usiadła na jedynym skórzanym stołku. Słyszała, jak Star krząta się za jej plecami, ale nie zwracała na nią uwagi, nawet nie odwróciła się do niej choćby na moment. Spojrzenie Wexlera wyjawiało jej, że właśnie tego chciał.

– Dobra. – Bible skinął Stiltonowi, gdy już zasiedli na obu końcach kanapy. Musieli wcześniej ustalić, który z nich przejmie pałeczkę. – Komendancie?

– Dean, opowiedz o tej nieszczęsnej dziewczynie na polu – odezwał się Stilton. Andrea usłyszała za sobą szcęk szkła na kontuarze.

– Powiedziałem już wszystko, co wiem. Chociaż właściwie nie wiem, bo jak mówiłem, nie pamiętam, żebym ją kiedykolwiek spotkał.

– Alice Poulsen – podsunął Bible.

Star przestała się ruszać. Andrea wyczuła za sobą narastające napięcie, ale nadal się nie odwracała.

– Tak nazywała się ofiara – ciągnął Bible. – Alice Poulsen.

– Ofiara? – Wexler wrócił do pogardliwego prychnania. – Ona się zabiła. To nie ma nic wspólnego ze mną.

– A jej stan? – Bible musiał dostrzec, że tak samo wygląda Star. – Co powiesz o tym?

– Jaki stan? Z tego, co zauważyłem, była piękną młodą kobietą. – Wexler wyszczerzył zęby. – Są dorosłe i robią, co chcą, a ja nawet nie jestem ich pracodawcą. Nie mam pojęcia, co robią wolontariusze w wolnym czasie.

Bible skorygował kierunek pytań.

– Jak działa system pozyskiwania wolontariuszy? Przez stronę internetową czy jakoś inaczej?

Wexler wyraźnie bił się z myślami, czy odpowiedzieć, czy nie, w końcu kiwnął głową.

– Przez aplikacje na stronie internetowej. Większość to cudzoziemcy, bo amerykańska generacja X, Y, Z, czy jak ich tam zwa, jest zbyt leniwa na taką pracę.

– Rozumiem. Musiało być trudno zaczynać od zera – powiedział Bible.

– Odziedziczyłem pewną sumę po dalekim krewnym i za te pieniądze kupiłem ziemię. – Wexler potarł usta palcami. Raz po raz nerwowo szukał wzrokiem Star. – Prawdę mówiąc, to ja zapoczątkowałem cały organiczno-hydroponiczny biznes w Delaware. Od początku wykorzystywaliśmy działanie drobnoustrojów do wytwarzania składników odżywczych. Nikt inny tego nie robił, nawet na Zachodnim Wybrzeżu.

– Hydroponiczny. – Bible sprawiał wrażenie, jakby smakował to słowo na języku, próbując w ten sposób osłabić czujność Wexlera. – Myślałem, że chodzi o uprawę w wodzie i...

– Tak, na początku. Dzięki globalnemu ociepleniu możemy uprawiać pola, a minie jeszcze dziesięć lat i być może zaczniemy tu uprawiać pomarańcze. – Chwycił podłokietniki fotela. Przestał popatrywać na Star. – Kiedy zaczynałem, całe miasto uważało mnie za świra. Ludzie mówili, że z bobem mi się nie uda, że nie znajdę chętnych do pracy. Dwadzieścia lat trwało, zanim to miejsce zaczęło przynosić prawdziwe zyski, no i proszę, tylko się rozejrzyjcie.



Andrea zauważyła, że opryskliwość i pomruki zniknęły. Dean Wexler był o wiele rozmowniejszy, kiedy chełpił się swoją zaradnością i realizacją dobrze przemyślanego planu.

– Alice – odezwał się Bible. – Myślisz, że przyjechała z Danii?

– Możliwe, ale mówiłem już, że nie wiem. Europa zawsze była daleko przed nami w kwestiach środowiska, a już szczególnie kraje skandynawskie. – Wexler pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Zacząłem w latach osiemdziesiątych, choć równie dobrze mogła to być epoka kamienia łupanego. Carter, choć miał swoje wady, to jednak rozumiał, że środowisko naturalne jest zagrożone. Prosił Amerykanów, żeby trochę się poświęcili dla dobra wspólnego, a oni jak zwykle wybrali kolorowe telewizory i mikrofalówki.

– Widzę, że tu nie ma telewizora – zauważył Bible.

– Bezużyteczna papka dla mas.

– Święta racja. – Bible klepnął się w kolana. Był w tym świetny. – Przejdźmy do bobu. Myślałem, że jest w nim jakaś toksyna.

– Tak, to fitohemaglutynina, która występuje w niektórych roślinach strączkowych. – Wexler urwał, ale tylko po to, by nabrać powietrza. – Jej stężenie jest niewielkie. Trzeba gotować ziarna przez dziesięć minut, a potem cały proces robi się bardzo ciekawy.

Andrea czekała, aż Wexler się rozkręci, i dyskretnie wyjęła iPhone'a, by zrobić zdjęcie Star. Gdzieś tam są jej rodzice i na pewno chcą wiedzieć, czy ich córka nadal żyje.

Wexler perorował dalej:

– W dzikim stanie są wielkości paznokcia, czyli za małe na rynek konsumencki.

Andrea zastanawiała się, jak namierzyć rodziców Star, a także czy w ogóle ma to sens. Przebywała w jednym pomieszczeniu wraz z trzema przedstawicielami organów ścigania i gdyby potrzebowała pomocy, wystarczy, że otworzy usta.

Chyba że zbyt się bała.

– Fawizm, inaczej choroba bobowa – ciągnął Wexler – to wrodzona wada metaboliczna, niedobór pewnego enzymu. Wtedy zjedzenie bobu może spowodować szybsze obumieranie czerwonych krwinek, co jest bardzo groźne, zwłaszcza u noworodków.

Andrea zgadywała, że Wexler był w oczach uczniów typem supernauczyciela, ale dorosłych wprowadzał w osłupienie.

Gdy odwróciła głowę, okazało się, że Star otwarcie się w nią wpatruje. Jej oczy wyglądały jak świecące kryształowe kule w zapadniętej twarzy, a usta były rozchylone. Jej mdląco-słodki oddech pachniał syropem na kaszel i rozkładem.

Spoglądała na telefon Andrei.

– Star, przynieś mi szklanę wody – polecił Wexler.

Zaczęła wykonywać mechaniczne ruchy, jakby działała według podprogramu. Podeszła do szafki. Stop. Wyjęła szklanę. Stop. Podeszła do zlewu.

Andrea odwróciła się do niej plecami, na co Wexler najwyraźniej czekał.

– Przejdźmy do sedna – zwrócił się do Bible’a. – Mam sporo pracy.

– Jasne. Proszę powiedzieć, jak wygląda rekrutacja wolontariuszy.

– To dość proste, kandydaci piszą esej. Muszą interesować się uprawami organicznymi, preferowani są ci, którzy mają jakieś doświadczenie w tej dziedzinie. Może już się zorientowaliście, że cieszymy się doskonałą międzynarodową reputacją. Sama śmietanka stara się do nas dostać.

– Pewnie trudno odsiać kandydatów i wybrać kilkanaście osób raz w roku.

Wexler zorientował się, dokąd zmierzają pytania Bible’a.

– Bernard, zarządca farmy, przegląda aplikacje. To on wybiera wolontariuszy.

– Tylko kobiety? – spytał Bible.

– To znaczy?

– Zgłaszają się tylko kobiety czy Bernard odrzuca kandydaty mężczyzn?

– Jego spytaj. – Na twarz Wexlera wrócił triumfalny uśmiezek. Wszystkie zasługi przypisywał sobie, ale żadnej winy. – Od trzydziestu pięciu lat za nabór odpowiada Nardo. Na samym początku wspólnie ustaliliśmy warunki, szybko

przejął tę działkę i już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz czytałem czyjś wniosek, nie mówiąc o rozmowie kwalifikacyjnej.

– Nardo przeprowadza rozmowy kwalifikacyjne? Jak? Leci do Europy i...

– Nie, nie, wszystko odbywa się zdalnie przez FaceTime'a albo Zooma. To wszystko, jeśli chodzi o mnie, nie znam szczegółów, nie wiem, gdzie są nasze reklamy, jakie pytania zadają, czemu niektórzy zostają na następny rok, a inni wracają do domu. – Wexler podniósł wzrok na Star. Stała przy nim ze szklanką wody. Wskazał stolik kawowy i czekał, aż Star postawi szklankę na podkładce. – Kiedy Nardo już wybierze nielicznych szczęśliwców, przesyła im szczegółowe informacje, a oni rezerwują bilety i przylatują. Nawet się z nimi nie stykam.

Star wróciła do kuchni. Na zapadniętym policzku miała ślady mąki, ledwie dostrzegalne z powodu bladości. Andrea słyszała szelest jej bosych stóp na drewnianej podłodze. Star poruszała się jak duch. I znowu jej spojrzenie powędrowało do telefonu Andrei.

– Wolontariusze muszą płacić za przyjazd?

– Oczywiście. Nie jesteśmy ich pracodawcami, ale dzięki nam zdobywają cenne umiejętności praktyczne, które mogą im się przydać po powrocie na uniwersytet.

Andrea oparła się o kontuar, odblokowała telefon, położyła go na blacie do góry wyświetlaczem i pchnęła łokciem, żeby Star mogła go wziąć.

– Pracują tylko przy uprawie? – dociekał Bible. – Czy w przetwórni przy drodze też?

– Tam przetwarza się bób – wyjaśnił Wexler. – Prawie cały proces jest zautomatyzowany. Prawie, bo na przykład pakowanie czy oklejanie pudeł trzeba zrobić ręcznie. Również rejestrowanie w systemie do wysyłki i ładowanie na furgonetki.

– Cenne umiejętności praktyczne – zacytował jego słowa Bible.

– Właśnie – odparł Wexler, nie wyłapując sarkazmu. – Dajemy im cenne umiejętności, zanim wypuścimy ich z powrotem do świata. Każdy może siedzieć za

biurkiem i czytać podręczniki, ale to za mało. Na co dzień stykałem się z tym problemem, gdy pracowałem w szkole. Po co zmuszać kogoś do czytania o czymś, skoro może mieć bezpośredni kontakt z glebą i zrozumieć ziemię w metafizyczny sposób?

Andrea usłyszała za sobą skrzypienie wałka do ciasta i kuchnię wypełnił zapach drożdży. Zerknęła na telefon. Leżał dokładnie tam, gdzie go zostawiła, a wyświetlacz był czarny. Telefon został zaprogramowany tak, żeby blokował się po trzydziestu sekundach.

– Zabawnie to zabrzmiało: zanim wypuścimy ich z powrotem do świata. Czy to znaczy, że przed ich powrotem rozcinacie te bransoletki na nodze?

– Powiedziałem wszystko, co wiem – odparł Wexler. – Ser, kiedy odzyskam dostęp do pola? Mamy pracę do wykonania.

Stilton wyraźnie nie lubił brzmienia swojej ksywki w ustach Wexlera.

– Kiedy skończę – odburknął.

– Co z rodzicami Alice? – spytał Bible. – Zakładam, że pan ich zawiadomi.

– Nie wiedziałbym jak.

– A Nardo?

– Tego nie wiem.

Andrea rozważała, czy znowu odblokować telefon. A może Star próbowała jej przekazać inną wiadomość? Andrea spojrzała na swoje dłonie i na szorty. Co Star próbowała zasygnalizować?

– W tej sprawie możemy was wyřęczyć – stwierdził Bible. – Warto by sprawdzić, czy w rzeczach osobistych Alice Poulsen są jakieś listy czy telefon. W telefonie ludzie mają mnóstwo różnych informacji.

– Nie potrzebujecie do tego nakazu? – Kąciki ust Wexlera wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu. – Hm, to chyba nie najlepszy pomysł prosić gliniarza o poradę prawną.

– Wolę, żeby mówić o mnie per agent albo funkcjonariusz – oznajmił Bible. – Gliniarze to generalnie ludzie tacy jak komendant Stilton. Zajmują się sprawami na

poziomie stanu, na przykład mandatami czy pijakami za kierownicą. Ja działałam na poziomie federalnym, zajmuję się roszczeniami płacowymi, znowami w celu czerpania korzyści z pracy przymusowej, przemocą seksualną i handlem ludźmi.

Zapadła taka cisza, że Andrea słyszała tykanie nagrzewającego się piekarnika.

Zachowała spokój, gdy coś małego i twardego dotknęło jej łokcia. Odczekała, aż wałek znowu zaskrzypi, i spojrzała w dół. Star odsunęła jej iPhone'a.

– Czy panna Poulsen ma kwatery w baraku? – spytał Bible. – Możemy zajrzeć tam i...

– Nie bez nakazu. – Nardo stał po drugiej stronie siatkowych drzwi. Nowy papieros zwisał mu z ust. – Nie ma bezpośredniego zagrożenia, przecież dziewczyna już nie żyje, a wy nie możecie wejść do żadnego z tych budynków bez oczywistej zgody. I mamy uzasadnione oczekiwania, że nasze prawa wynikające z Czwartej Poprawki będą respektowane.

Bible parsknął śmiechem.

– Mówisz jak ktoś, kto zna wystarczająco wielu prawników, żeby próbować mówić jak oni.

– Słusznie. – Nardo otworzył siatkowe drzwi i zatrzymał się w progu. – Dean, potrzebuję twojej pomocy w stodole. A wy, psy, albo trzymacie się terenu wokół ciała, albo opuszczacie teren farmy.

Wexler stęknął, podnosząc się z fotela, i dodał:

– To znaczy natychmiast.

Stilton i Bible wstali z kanapy. Andrea odwróciła się do Star, ale akurat wyrabiała ciasto na chleb. Wysmarowana tłuszczem forma już stała na płycie kuchennej.

– Ładnie pachnie – zagadnęła Andrea. – Moja babcia piekła takie chleby.

Star nie podniosła wzroku znad ciasta. Może wyczuła, że Andrea kłamie, a może bała się, że Wexler albo Nardo ukarzą ją za to, że odzywa się nieproszona. Odkąd powiedziała „Dean”, wchodząc do salonu, nie odezwała się już ani słowem.

– Wypad, chłopaki. – Nardo przytrzymał drzwi, gdy przedstawiciele organów ścigania wychodzili.

Andrea cieszyła się, że wreszcie zaczerpnie świeżego powietrza, bo w domu panowała duchota. Bible nie ruszył w stronę pola, Andrea też nie. Zajął miejsce w radiowozie komendanta, a ona usiadła na tylnym siedzeniu. Zza przegrody z siatki drucianej widziała, jak Stilton obchodzi wóz.

– Co się zadziało między tobą a Star? – spytał Bible.

– Ciągłe popatrywała na...

Drzwi się otworzyły i Stilton wsiadł do radiowozu.

Andrea spojrzała na telefon na wypadek, gdyby Star jakimś cudem zdołała coś z nim zrobić, kiedy wyświetlacz był odblokowany. Sprawdziła maile, wiadomości, esemesy, notatki, nieodebrane połączenia, kalendarz. Trzydzieści sekund to niezbyt długo. Zanim wzięła go do ręki, zastanowiła się, w którym miejscu leżał. Może Star odsunęła go od siebie w niemych przekazie „odpieprz się”?

Stilton uruchomił silnik i odwrócił się do Bible’a.

– Mówiłem ci.

– Tak, komendancie. To była strata czasu – odparł Bible zgodnym tonem, ale Andrea wiedziała swoje. – A teraz oświeć mnie, co to za historia z wami trzema? Wyczułem napięcie między tobą a nimi.

– Chodziliśmy razem do liceum. – Najpewniej Stilton na tym chciał skończyć wyjaśnienie, jednak zmienił zdanie. – To źli ludzie.

– Trafna diagnoza.

– Kłamią i oszukują, niestety są zbyt sprytni, żeby dać się złapać. Nardo uczył się od ojca. Facet siedział pięć lat w więzieniu federalnym.

Andrea usłyszała w głowie dzwonek. W trakcie jednej z bezcelowych sesji internetowych poszukiwań trafiła na Reginalda Fontaine’a z Delaware. Nie było wzmianki o rodzinie, ale facet był aresztowany w związku z aferą w kasie oszczędnościowo-pożyczkowej. Wylądował na pięć lat w więzieniu zwanym Club

Fed. Mniej więcej w tym samym czasie Bernard Fontaine został podwładnym swojego byłego nauczyciela wuefu w królestwie bobu.

– Komendancie, będę z panem szczery. Coś mi mówi, że pominął pan niektóre informacje... te szczegółowe informacje o hipisowskiej farmie. – Gdy Stilton w milczeniu skręcił za kurnikiem, Bible mówił dalej: – Widzieliśmy kobiety w uniformach, bo tak chyba powinienem to nazwać. Wszystkie mają długie włosy. I wszystkie... wybaczcie, że to powiem, bo moja żona oduczyła mnie komentowania kobiecych sylwetek... otóż wyglądają, jakby ominęły więcej niż kilka posiłków.

– Racja – powiedział Stilton.

– Wyglądają na zagłodzone.

– Racja – powtórzył Stilton.

– Ma pan swoją teorię?

– Taką samą jak pan. Mają tu jakąś sektę. Ale wie pan równie dobrze jak ja, agencie Bible, że przynależność do sekty nie jest sprzeczna z prawem.

Andrea wzdrygnęła się na słowo „seкта” i zaczęła dzwonić zębami, więc mocno zacisnęła szczęki. No tak, sekta, oczywiście... Wszystkie znaki na to wskazywały. Zagubione i zdesperowane młode kobiety szukające sensu życia i dwóch obleśnych starszych mężczyzn, którzy ochoczo wskażą im sens w zamian za coś.

– Cóż, muszę się z panem zgodzić, komendancie. Sekta to właściwe słowo na opisanie tego zjawiska.

Andrea odblokowała telefon, otworzyła zdjęcia i znalazła zbliżenia ciała Alice Poulsen. Wystające kości, odleżyny, spierzchnięte i popękane usta, boleśnie ciasna bransoleta na kostce, która wrzyna się w ciało...

Sekta.

Alice postanowiła nosić żółtą sukienkę i zapuścić włosy. Zgodziła się na bransoletę wokół kostki. I zagłodziła się prawie do zniknięcia.

A potem poszła w pole, połknęła garść tabletek i umarła.

– Wydało mi się, że zna pan tę dziewczynę w domu – stwierdził Bible. – Star, tak?

Andrea podniosła głowę znad zdjęć. Ten szczegół umknął jej uwadze.

– Star Bonaire – dopowiedział Stilton. – Jej matka od lat próbuje ją stamtąd wyciągnąć.

– I?

– A wygląda, że się udało? – Stilton w końcu stracił cierpliwość. – Co robić, agencie Bible? Może i wyglądają jak dziewczyny, ale są dorosłe. Nie można tam wpaść i porwać dorosłych kobiet. One chcą tam być.

– Gdzie mieszka matka Star? – spytał Bible.

– Parę kilometrów od centrum. Trudna z nią sprawa, bo jej odbiło – uprzedził Stilton. – W zeszłym roku próbowała uprowadzić córkę. Zajechała priusem pod barak i wywlekła ją stamtąd za ramię, a w motelu czekał na Star specjalista pomagający takim osobom porzucić wiarę i system wartości wpojony im w sekcie.

– I? – spytał Bible.

– I niedługo potem wzywają mnie na farmę, żebym aresztował matkę za wtargnięcie i próbę porwania. – Stilton potrząsnął głową. – Skończyło się na zasądzonych pracach społecznych. Miała szczęście, że nie wylądowała w więzieniu. Za to wniesli o sądowy zakaz zbliżania się, więc matka musi omijać córkę szerokim łukiem.

– A niech mnie – powiedział Bible. – Cóż, nie udało się jej, ale twarda sztuka z tej matki.

– Raczej szajbnięta. Jak z nią pogadasz, to od razu rozumiesz, czemu jej córka wylądowała w takim miejscu.

Andrea nie była przekonana, czy interwencja matki była zwykłym przejawem szajby. Gdyby ją uwięzili na takiej farmie, Laura spróbowałaby tego samego, tyle że z powodzeniem.

– Czy inni rodzice próbowali odzyskać dzieci? – spytał Bible.



– Nie słyszałem o takich przypadkach. Zresztą otrzymałem jasny przekaz, że nikt się do mnie z tym nie zwróci. – Gniew Stiltona przeszedł w użalanie się nad sobą. – Wierz mi, agencie Bible, Wexler ma wielu prawników na telefon, a pan nie chciałby zadrzeć z tymi ludźmi. Ja na pewno nie, za cholere. Mogą doprowadzić nasze miasto do bankructwa.

Andrea nie mogła już dłużej słuchać tych jego żalonych tłumaczeń i wróciła do fotografii Alice Poulsen. Ona też miała matkę. Jak zareaguje na wieść, że jej córkę ktoś doprowadził do samobójstwa? Nikt, kto widział ciało Alice, nie miał cienia wątpliwości, że dziewczyna wybrała jedyną dostępną formę ucieczki. Każde zdjęcie dawało wgląd w jej cierpienie i udrękę. Co nią kierowało, że tak się głodziła? Alice pracowała na farmie i wokół było pełno jedzenia, więc niedożywienie wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Andrea nadal torturowała się zdjęciami, przewinęła następne i kolejne...

Nagle znieruchomiała.

Star nie potrzebowała odblokowanego telefonu. Na wyświetlaczu zablokowanego iPhone'a były dwie aplikacje dostępne bez hasła. Jedna do latarki, a druga do aparatu fotograficznego.

Andrea powiększyła zdjęcie, które Star zrobiła telefonem. Z tym że najpierw rozsypała mąkę na czarnym blacie kuchennym i palcem napisała jedno słowo: POMOCY.

## 20 PAŹDZIERNIKA 1981

Emily odszukała hasło „orchitis” w jednym z tomów Encyclopedia Britannica, która zajmowała całą sekcję w szkolnej bibliotece:

Zapalenie jednego lub obu jąder, zwykle wywoływane przez wirusa lub bakterię; często prowadzi do niepłodności.

Potem zajrzała do notatek, które zrobiła po wyjściu z klasy pana Wexlera.

Mówi, że „nie jest pieprzonym ojcem”. Przyznał, że przyjechał po mnie na Imprezę. Mówił, że Nardo zadzwonił do niego, żeby zabrał mnie do domu. Powiedział, że kłóciłam się z Clayem przy basenie, kiedy przyjechał. Zagroził, że zrobi mi krzywdę, jeśli publicznie go oskarżę. Chwycił mnie za nadgarstek. Bardzo bolało.

Emily siedziała w bibliotece i wpatrywała się w linijki tekstu, próbując odgadnąć ich znaczenie. Jej ładny charakter pisma stał się miejscami prawie nieczytelny, ponieważ trzęsa się cała, przelewając treść rozmowy na papier. Z tym że jedno od razu stało się jasne. Ser miał rację, przeoczyła ważny szczegół.

Zapisała pytanie na dole kartki:

Może mówi prawdę w kwestii ojcostwa, ale to nie znaczy, że czegoś mi nie zrobił, prawda?

Przez resztę dnia pobytu w szkole dręczyło ją nie tylko wspomnienie rozmowy z Deanem, lecz także słowa użyte przez doktora Schroedera, te o luźności, jakiej można spodziewać się u mężatki. Pani Brickel powiedziała, że doktor kłamie, jednak była tylko pielęgniarką. Przecież lekarz wie lepiej, a zasady zakazują kłamstwa.

Włożyła notes do torby i idąc pustą ulicą, spojrzała w niebo. Nie miała pojęcia, która godzina ani ile czasu spędziła na zewnątrz. Od wczoraj odnosiła wrażenie, że

zaczyna tracić poczucie czasu. Rano wyszła z domu, a reszta dnia w szkole minęła jej jak we mgle. Plastyka, próba zespołu, chemia, angielski. Przed wuefem rozmawiała z Ricky, która jej powiedziała, że wreszcie wyleczyła się z Narda. Ten stan trwał do końca wuefu, bo kiedy tylko wyszły na hol, Ricky na widok Narda zapomniała, że obok niej stoi Emily.

Czy mogła jej powiedzieć, co się stało?

Czy w ogóle chciała o tym mówić?

Wiedziała, że pan Wexler będzie trzymał język za zębami, i wyczuła, że tego samego spodziewa się po niej. Odruchowo położyła dłoń na szyi, gdzie ją złapał. A tak naprawdę poddusił, bo nie mogła oddychać. Ciągle krzywiła się, przełykając ślinę, choć upłynęły już godziny od chwili tej konfrontacji.

Konfrontacji?

Naprawdę było aż tak źle?

Przed wyjściem ze szkoły Emily rzuciła okiem w lustro, które miała w szafce, i zobaczyła cienki czerwony znak z boku szyi, a nie odcisk dłoni, którego się spodziewała. Ciężko jej wspomnienie gniewu pana Wexlera. Nie takiego, z jakim mówił o Reaganiu, który według niego wykorzystywał próbę zamachu, żeby doszczętnie zniszczyć system bezpieczeństwa socjalnego. W tej swojej złości przypominał kogoś, kogo życie zawisło na włosku.

Dean Wexler zachowywał się, jakby podróże po świecie zrobiły z niego obrazoburcę, ale gdy odłożyć na bok jego postępowe poglądy polityczne, to okazuje się takim samym nienawistnikiem jak jej ojciec. Kobiety dzielił na atrakcyjne albo grube, inteligentne albo głupie, warte zachodu albo kompletnie bezużyteczne. Łatwo widzieć świat w czarno-białych barwach, kiedy ma się kontrolę nad wszystkim. Emily powinna być mądrzejsza i nie wierzyć, że Wexler jest kimś, kim nie był.

Wyjęła z torby swój detektywistyczny dziennik i odszukała stronę, którą zatytułowała ŚLEDZTWO COLUMBO, i po raz setny zajrzała do podsumowania dotychczasowych ustaleń.

Nardo zadzwonił do pana Wexlera, żeby ją zabrał. To miało sens, bo Nardo był kapitanem drużyny biegaczy, więc miał numer telefonu trenera. Wszyscy uczestnicy Imprezy byli na haju, ale pan Wexler nigdy by ich za to nie ukarał, nawet już nie wspominając o raporcie do dyrekcji. Miał samochód i mógł ją stamtąd zabrać, zwłaszcza jeśli kłóciła się z Clayem.

Domniemaną kłótnię z Clayem spowijała mgła niepamięci.

Chociaż w klice ciągle wybuchały kłótnie i konflikty, Emily rzadko była w ich centrum. Generalnie pełniła rolę rozjemczyni, specjalistki od wyciszania awantur, a już szczególnie wtedy, kiedy chodziło o Claya. Na palcach jednej ręki mogła policzyć sytuacje, kiedy mu się sprzeciwiła, i to tylko w bardzo ważnych kwestiach. Odmówiła, kiedy nadal chciał okradać samochody z rejestracją z innych stanów. Nalegała, żeby lepiej traktowali Sera albo przynajmniej go ignorowali. Wściekła się, kiedy wepchnął ją do basenu.

Usilnie starała się przywołać do świadomości obrazy z Imprezy. Czy Clay znowu wepchnął ją do basenu? Dobrze pływała, ale nie znosiła utraty kontroli nad własnym ciałem, nawet gdy trwała tylko mgnienie. Iść brzegiem basenu w jednej chwili, a w drugiej lecieć w kierunku lustra wody, było doświadczeniem przerażającym.

Ale coś z tym basenem się nie zgadzało, bo sukienka Ricky nie była mokra. Może włożyła ją do suszarki? A może wyjęła ją z suszarki i w pośpiechu wciągnęła ją na lewą stronę?

I co? Zapomniała włożyć bieliznę?

Nie miała na sobie majtek, choć stanik był na swoim miejscu.

Miała lepkie uda. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej docierało do niej, że miała na nich otarcia. Żołądek podszedł jej do gardła.

Znów zerknęła do zapisków, na pierwsze słowo, które napisała na górze strony:

Clay.

W tym momencie Columbo już zmierzałyby do domu rodziny Morrowów, ale ona nawet w szkole nie była w stanie rozmawiać z Clayem o niczym, a co dopiero

o czymś tak istotnym. Jeśli zamierzała skłonić kogoś do wyznań, powinna pójść za radą Sera i pogadać z tymi, którzy tam byli. Jeśli ich wersje będą się różnić, zyska pewność, że ktoś kłamie, a skoro kłamie, to znaczy, że oni coś ukrywają.

Wydawało się oczywiste, że powinna zacząć od Ricky, problem w tym, że Blake, mając ku temu solidne podstawy, często jej dokuczał, że nie ma filtra. Bo cokolwiek weszło do głowy Ricky, szybko wychodziło z jej ust. W zeszłym tygodniu o tej porze Emily powiedziałyby, że Ricky jest jej najlepszą przyjaciółką, ale teraz przeczuwała, że „najlepsza przyjaciółka” zrobi wszystko, co w jej mocy, by chronić brata i Narda, choć może nie w tej kolejności.

Usłyszała za sobą klakson i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła Dużego Ala za kierownicą. Zegarek wskazywał prawie piątą. Al spóźnił się na popołudniowy szczyt w bistrze. Emily była tak pochłonięta własnymi myślami, że minęła dom rodziny Blakelych.

Zawróciła. Im bardziej zbliżała się do ciemnobrązowego dwupoziomowego domu należącego do rodziców Ricky i Blake’a, tym cięższe stawały się jej nogi. Duży Al wprowadził się tam po wypadku na łodzi, w którym zginęli jego syn i synowa, co wydawało się oczywiste, niestety nie był blisko związany z wnukami, więc ta zmiana była dla niego trudna. Emily ciągle zadziwiało i zasmucało to, że bardziej przypominają niechętnych sobie współlokatorów niż rodzinę.

Zupełnie jakby jej rodzina świeciła przykładem.

Dom Blakelych stał na stromym wzniesieniu, ale wędrówka pod górę nigdy nie sprawiała Emily trudności. Jednak dziś dotarła do garażu zdyszana. Potem skręciła, weszła na niemożliwie strome schody i musiała przystanąć na drugim podeście. Uświadomiła sobie, że przyciska rękę do krzyża jak staruszka. Albo jak młoda kobieta w ciąży. Musiała to sobie powiedzieć w myślach, bo jeszcze nie czuła związku z tym, co dzieje się w jej ciele. Przed diagnozą doktora Schroedera myślała, że ma jelitówkę albo czymś się struła, szukała też innych wymówek.

Teraz już nie miała wymówek.

Spojrzała na brzuch. Rosło w niej dziecko, ludzka istota. Co miała z tym zrobić?

– Em? – Ricky otworzyła siatkowe drzwi. Wyglądała koszmarnie, jakby dostosowała się do samopoczucia Emily. Łzy ciekły jej ciurkiem, z nosa zwisały gile, policzki pały.

Emily zawstydzila się, że w pierwszej chwili poczuła złość. Myśl o tym, że będzie musiała wysłuchać Ricky rozszlochanej z powodu jakiegoś głupstwa, którym Nardo zranił jej uczucia, podczas gdy jej życie właśnie legło w gruzach, była nie do zniesienia.

I bardzo egoistyczna.

– Ricky, co się stało? – spytała.

– Al... – Głos uwiązł Ricky w gardle. Złapała Emily za rękę i wciągnęła ją do domu. – Al właśnie nam powiedział... Boże, Em, co my teraz zrobimy?

Emily zaprowadziła ją na wyściełaną kanapę pod wykuszowym oknem i poprosiła:

– Wolniej, mów wolniej. Co się dzieje? Co się stało? – Wtedy osunęła się na Emily i cała się trzęsąc, położyła głowę na jej kolanach. – Rick, spróbuj się uspokoić. – Emily spojrzała w stronę kuchni, szukając wzrokiem Blake'a. – Będzie dobrze, naprawdę. Cokolwiek się stało, my...

– Nie będzie dobrze. – Ricky spojrzała na Emily. – Nie ma pieniędzy.

– Jakich pieniędzy?

– Tych z procesu. Miały być zdeponowane w funduszu powierniczym na nasze studia, ale Al je wydał.

Emily z niedowierzaniem pokręciła głową. Al był bezceremonialny, nieraz też bywał grubiański, jednak nigdy nie okradłby własnych wnuków.

– Utkniemy tu – wyszlochała Ricky. – Na zawsze.

– Nie wiem, jak... – Emily próbowała zrozumieć, co się stało. To nie miało sensu. Była córką sędzi i wiedziała, że fundusze powiernicze to bardzo uporządkowana struktura prawno-finansowa. Nie można ich ograbić ot tak sobie.

Musiała jednak przyznać, choć tylko przed samą sobą, że dom Blakelych nie wyglądał dobrze, natomiast Al jeździł furgonetką starszą od bliźniąt.

– Na co wydał te pieniądze? – spytała.

– Na bistro.

Emily odchyliła się na kanapie. Kilka lat temu bistro spłonęło prawie doszczętnie, jednak Al zdołał je odbudować. Teraz rozumiała, jak tego dokonał.

– Al powiedział nam, że bistro to nasza... nasza spuścizna. Myśli, że chcemy pracować w tym durnym miejscu, Em. Uważa, że nadajemy się tylko do serwowania koktajli tłustym i bogatym dupkom z Baltimore.

Emily przygryzła wargi. Może w zeszłym tygodniu podzieliłaby oburzenie Ricky, teraz jednak rozumiała, co znaczy brać za kogoś odpowiedzialność. Wszelkie decyzje, które podejmie do końca życia, przyniosą korzyść albo szkodę rosnącej w niej istocie. Bistro było opłacalnym interesem, nawet więcej niż tylko opłacalnym. College jest ważny, ale równie ważne są pieniądze na jedzenie i dach nad głową.

– Już za późno, żeby starać się o stypendium – powiedziała Ricky. – Nie dostaniemy finansowego wsparcia, bo Al za dużo zarabia, przynajmniej na papierze.

– Ja... – Emily nie wiedziała, co powiedzieć. Trochę ją przerażało, że skłania się ku racjom Ala. – Tak mi przykro, Ricky.

– Kocha ten głupi lokal bardziej niż nas.

– Może popracujesz przez rok i odłożysz pieniądze? – podsunęła Emily.

Ricky ciężko usiadła. Wręcz osłupiała ze zdumienia.

– Gdzie mam pracować, Em? Jaja sobie robisz?!

– Przepraszam. – Emily, jak najczęściej bywało, dla świętego spokoju przeprosiła przyjaciółkę. Ricky zasłużenie miała opinię osoby nieprzewidywalnej, a jej furia bywała spektakularna. – Chcesz być dziennikarką, możesz znaleźć staż w gazecie albo...

– Zamknij się! – wrzasnęła Ricky. – Może jeszcze tego nie wiesz, ale jesteś gorsza od Ala!

– Przecież...

– Chcesz, żebym podawała kawę bandzie marudnych staruchów, którzy patrzą na mnie jak na gówniarę? – wciekała się Ricky. – Emily, ja muszę, po prostu muszę skończyć studia dziennikarskie! Nikt nie szanuje gówniary na posyłki, dlatego muszę zdobyć wykształcenie.

Emily nie wiedziała, czego uczą na studiach dziennikarskich, była jednak pewna, że zdobywanie doświadczenia w prawdziwej redakcji to całkiem niezły pomysł.

– Mogłabyś stopniowo budować sobie pozycję i...

– Budować sobie pozycję?! – piskliwie zajazgotała Ricky. – Moi rodzice zginęli, Emily! Nie żyją, bo obsługa czarterowa złamała prawo.

– Wiem o tym, Ricky, ale...

– Tu nie ma żadnego ale! – krzyknęła Ricky. – Jezu, Em, oni nie po to umarli, żebym teraz musiała wybierać, kto będzie mną pomiatał: stare pryki czy turyści.

– I tak będą tobą pomiatać! – krzyknęła Emily, zaskakując samą siebie taką reakcją. – Nie będą cię szanować, Ricky. Tak po prostu będzie. – Gdy zszokowana Ricky zamilkła, Emily, słysząc w głowie echo matczynej przestrogi, mówiła dalej: – A wiesz, dlaczego nikt nie będzie cię szanować? Bo jesteś dziewczyną z nadmorskiej miejsciny z dobrymi stopniami i wielkimi cyckami, a żadna z tych rzeczy nie wzbudza szacunku.

Szok Ricky nie słabł. Spojrzała na Emily, jakby nagle stała się kimś obcym, wręcz nieznanym.

– Za kogo ty się, kurwa, uważasz? – zareagowała wreszcie.

– Jestem twoją przyjaciółką – odparła Emily. – Chcę tylko powiedzieć, że przez to przejdiesz. To wymaga trochę wysiłku, ale...

– Wysiłku? – Ricky zaśmiała się jej w twarz. – Takiego wysiłku jak twój, córeczko sędzi? Dławisz się srebrną łyżeczką?



– Ja nie...

– Jesteś zepsutą pieprzoną suką. – Ricky skrzyżowała ramiona. – Wszystko tak cholernie łatwo ci przychodzi. Nie masz zielonego pojęcia o prawdziwym życiu.

Emily przełknęła ślinę.

– Jestem w ciąży. – Widziała, jak Ricky otwiera usta, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. – Też nie idę do college'u – dodała Emily. – Będę miała szczęście, jeśli skończę ostatnią klasę. – Wcześniej dużo o tym myślała, a teraz, kiedy wreszcie wypowiedziała to na głos, poczuła się tak, jakby usłyszała wyrok śmierci. – Nie odbędę stażu w Kongresie, pewnie nawet nie znajdę żadnej pracy, bo będę w domu zmieniać pieluchy i zajmować się dzieckiem. A nawet kiedy dziecko podrośnie i pójdzie do szkoły, kto zatrudni pannę z dzieckiem? – Ricky zamknęła usta i znów je otworzyła, a Emily spytała: – Pamiętasz Imprezę w zeszłym miesiącu? Ktoś mi to zrobił, wykorzystał mnie, i będę za to płacić przez resztę życia.

Ricky zaczęła potrząsać głową. Ten gest jako pierwsza reakcja na coś kłopotliwego czy stresującego był dla niej równie typowy jak dla Emily.

– Chłopcy by tego nie zrobili. Kłamiesz – oznajmiła.

– Więc kto? – spytała Emily. – Szczerze, Ricky, powiedz, kto inny mógł to zrobić?

– Nie chłopcy – z uporem powtórzyła Ricky, nadal potrząsając głową.

Emily mogła tylko powtórzyć pytanie:

– Więc kto inny?

– Kto inny? – Ricky przestała potrząsać głową i spojrzała Emily w oczy. – Ktokolwiek, Em. Dosłownie każdy.

Teraz to Emily zaniemówiła, natomiast Ricky miała coś jeszcze do powiedzenia:

– Nie wiesz, czy zaszłaś w ciążę na Imprezie. Mówisz tak, żeby któregoś złapać.

Emily była wstrząśnięta, że Ricky nie tylko mogła tak pomyśleć. Ona to powiedziała głośno i wyraźnie!

– Ja nigdy...

– Cały czas gadasz z innymi chłopakami. Ty i te twoje zepsute zabawki. Dwa razy pod rząd byłaś latem na obozie muzycznym z Melody, no i ten klub dyskusyjny oraz wystawy plastyczne. A wczoraj zniknęłaś na cały dzień. Z tego, co mi wiadomo, mogłaś się bzyknąć z połową miasta. Dziś rano widziałam cię z Serem, który zmył się jak przestraszony szczur.

– Myślisz, że Ser i ja...

– Taka jesteś wyniosła i napuszczona, ale kto wie, co wyprawiałaś, kiedy cię nie widzieliśmy?

– Nic – szepnęła Emily. – Nic nie zrobiłam.

Ricky wstała i zaczęła chodzić po pokoju, coraz bardziej się nakręcając.

– Myślisz, że wrobisz w to Narda albo Blake'a? A może Claya? O, to by ci się podobało, co? Clay ignorował cię przez dziesięć lat, więc wymyśliłaś, jak go usidlić.

– Przestań gadać, że chcę kogoś usidlić. – Emily też wstała. – Wiesz, że to nieprawda.

– Nie będę dla ciebie kłamać – oznajmiła Ricky. – Jeśli chcesz pociągnąć Claya za sobą, zrób to sama. Chłopcy też cię nie wesprą.

– Ja nie... – Emily musiała urwać, żeby przełknąć ślinę. – Ja nie chcę wyjść za Claya. Nie dlatego...

– Suka. – Ricky wyrzuciła z siebie tę oblegę jak splunięcie. I wtedy w jej oczach pojawił się błysk. Była pewna, że wreszcie zrozumiała. – Chcesz złapać Narda, tak?

– Co?!

– Zawsze idziesz na łatwiznę, Emily. Nieważne, kogo skrzywdzisz po drodze, byle było łatwo.

– Co?!

– Mówię, że jesteś łatwa! – Ricky była tak wściekła, że aż strzeliła śliną. – Założę się, że twój ojciec już zawarł z nimi układ. Bogaci zawsze pomogą wywinąć się swoim. No powiedz, Emily, ile kasy przeszło z rąk do rąk? Czy ceną było przystąpienie do Diners Club? Może twoja mama oddali sprawę? Jaką łapówkę dał twój tata, żeby zrujnować Nardowi życie?

– To nie tak! – Emily nie wierzyła własnym uszom. – Nic takiego się nie stanie. Moi rodzice nigdy nie...

– Ale z ciebie pieprzona Pollyanna! Wszystko widzisz w różowych kolorach! Jasne, że to zrobią! Płyniesz przez życie z rozświergotanymi ptaszętami na ramieniu, kompletnie nie zważając na ludzi, których twoi rodzice muszą wykiwać, żeby wszystko było łatwe i przyjemne dla ich ukochanej grzecznej córeczki! – Ricky wyglądała, jakby postradała zmysły. – Jak zareagowali na wieść, że już nie jesteś ich dziewiczym aniołkiem? – Emily otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, jednak Ricky była szybsza: – Niech zgadnę. Tatuś patrzył wilkiem i zrzędził, a mamusia obmyśliła plan.

Emily poczuła się zdradzona. Ricky domyśliła się prawdy nie dlatego, że była taka bystra, ale dlatego, że zwierzała się jej wiele razy na temat zachowania rodziców.

– Nie możesz pozbyć się problemu, co? Nie z mamusią, która jest na krótkiej liście Reagana, bo zepsułoby to jej plany, prawda? – Ricky zaśmiała się gorzko. – Pewnie wykorzystają cię jako przykład. Żeby jakaś biedna dziewczyna w ciąży mieszkająca w nędznej czynszówce wzięła przykład z prawych Vaughnów, których rozpustna córka znalazła się w tej samej sytuacji.

Te słowa bolały, ponieważ były bliskie prawdy.

– Dzielna Emily jest za życiem – powiedziała Ricky, naśladowując ton znajomych Franklina z Country Clubu. – Łatwo tak mówić, kiedy masz do dyspozycji nianię w domu za milion dolarów trzy kilometry od plaży.

– To nie fair – odezwała się w końcu Emily.

– Myślisz, że to, co spotyka mnie i Blake’a, jest fair? I przychodzisz z jeszcze gorszymi wieściami? – podsumowała Ricky. – Mam pomysł, Emily. To rozwiąże wszystkie problemy! Załatw sobie staż w firmie Pierdol Się!

Ostatnie słowa zabrzmiały w uszach Emily jak syrena. Widywała już Ricky podczas napadów wściekłości i wiedziała, jak bezduszna i okrutna potrafi być jej przyjaciółka. Ricky już tak miała, że gdy coś jej przestawało pasować, usuwała ludzi ze swojego życia jak raka. I właśnie robiła to z Emily.

– Ty głupia suko – dodała Ricky. – Wszystko zepsułaś.

– Ricky... – zaczęła Emily, ale przecież było dla niej oczywiste, że słowa, które właśnie usłyszała, są nieodwołalne. To był koniec. Klika przestała istnieć, a jej najlepsza przyjaciółka przestała być jej najlepszą przyjaciółką. Nie miała już nikogo. I nic.

Prócz tego, co w niej rośło.

– Wynoś się. – Ricky wskazała drzwi. – Wynoś się z mojego domu, głupia zdiro.

Emily dotknęła policzka. Spodziewała się poczuć łzy, lecz zamiast nich poczuła gorącą falę wstydu. Sama to sobie zrobiła. Ricky miała rację. Zrujnowała życie im wszystkim. Klika się rozpadła i pozostało jej już tylko jedno: nie pociągnąć ich za sobą na dno.

– Wyjdź! – rozdarła się Ricky.

Emily podbiegła do drzwi, chwiejnym krokiem zeszła po stromych schodach i przystanęła.

Blake siedział na dolnym schodku i palił papierosa. Spojrzał na Emily i oznajmił:

– Ożenię się z tobą. – Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała, a on dodał: – Nie byłoby chyba tak źle, co? – Wstał i spojrzał na nią. – Zawsze się dogadywaliśmy.

Nie mogła rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Żartował? Przyznawał się? To było kluczowe, by wiedzieć, w czym rzecz.

Blake dobrze ją rozszyfrował, jakby czytał jej w myślach.

– To nie ja, Emily – powiedział. – Nie, jeśli to się stało na Imprezie... ani nigdzie indziej. Raczej pamiętam, gdzie zawędrował mój fiut, jestem do niego przywiązany.

Patrzyła, jak ptak ląduje na jednym z drzew po drugiej stronie podjazdu, myśląc przy tym ze smutkiem, co straciła wraz ze swoją czystością. Elementarny szacunek. Wcześniej nikt nie zwracał się do niej tak wulgarnie, lecz teraz stało się to nagminne.

– Na Imprezie kompletnie się naprułem – ciągnął Blake – i odleciałem w łazience na górze. Nardo musiał wyłamać zamek, żeby wejść do mnie. Zsikałem się jak dzieciak, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć dlaczego, skoro był tam kibel.

Emily zacisnęła usta. Pomyślała o swoim śledztwie na wzór Columbo. Pan Wexler powiedział, że Blake i Nardo byli w domu, kiedy przyjechał. Blake mówił to samo. Jeśli ich wersje się zgadzały, prawdopodobnie obaj mówili prawdę.

Co oznaczało, że Clay jest jedynym chłopakiem, który został z nią sam.

– Chodź. – Blake wrzucił papierosa do puszki po kawie i kiwnął głową w stronę garażu. Emily czuła się kompletnie bezwolna i jak nakręcany automat poszła za nim. Na niewykończonych ścianach wisiały plakaty z gwiazdami rocka, pośrodku stał stół do ping-ponga, trochę dalej stara kanapa i gigantyczny zestaw hi-fi, który należał do rodziców Blake'a i Ricky. Klika spędziła w tym garażu mnóstwo czasu, paląc, pijąc, słuchając muzyki i dyskutując, jak zmienia świat.

Ale ona utknie w Longbill Beach na zawsze, podobnie jak Blake i Ricky, którzy z powodu decyzji finansowych Ala nie pojedą do college'u. Natomiast Nardo nie przetrwa nawet roku na Uniwersytecie Pensylwanii. Tylko Clay mógł się wyrwać z tego klaustrofobicznego miasteczka. Co wydawało się równie przesądzone, jak wschód słońca na wschodzie i zachód słońca na zachodzie.

– Nie mogę za ciebie wyjść. Nie jesteśmy zakochani. A jeśli ty nie jesteś...

– Nie jestem. – Blake usiadł na kanapie. – Wiesz, że nigdy nie myślałem o tobie w ten sposób.

Emily wiedziała, że jest odwrotnie. Dwa lata temu pocałował ją w zaułku w centrum, a czasami przyłapywała go, jak patrzy na nią w sposób, który ją krępował.

– Usiądź, dobrze? – Czekał, aż Emily przysiądzie obok niego na kanapie. – Pomyśl o tym, Em. To rozwiązanie dla nas obojga.

Pokręciła głową. Nie mogła o tym myśleć.

– Ty zyskasz szacunek, a ja... – Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – Twój rodzice pewnie zechcą, żeby ich zięć poszedł do college'u.

Emily poczuła, jak jeżą się włoski na jej karku. Ojciec Narda był bankierem, ale to Blake miał najbardziej transakcyjne podejście do życia. Był chodzącym kalkulatorem. Ja zrobię dla ciebie to, a ty w zamian zrobisz dla mnie tamto.

– A co ze mną? – spytała. – Zostanę w domu i będę piekła ciasteczka?

– To nie takie złe życie.

Parsknęła śmiechem. Nie tak planowała swoją przyszłość. Miała mieszkać w Foggy Bottom, odbyć staż u senatora, zostać prawniczką. A skoro już miała piec ciasteczka dla męża i dziecka, to między rozprawą w sądzie a przygotowaniem wniosku na następny dzień.

– Bądź rozsądna – ciągnął Blake. – Przecież możesz iść do college'u. Jasne, że możesz, ale prawdziwej kariery nie zrobisz. Nie da się jej pogodzić z moją przyszłą karierą, jaką twoi starzy zaplanują dla mnie.

Była porażona jego beznamiętnymi kalkulacjami.

– A jaka to kariera? – spytała.

– Polityczna, oczywiście. – Wzruszył ramionami. – Twoja mama dostanie nominację w administracji, więc czemu nie skorzystać i nie dotrzeć na jej plecach do lepszego życia dla nas obojga?

Emily spojrzała w ziemię. Blake na pewno myślał o tym już przedtem, i tylko wypatrywał okazji, by ruszyć z realizacją. Jej ciężar spadła mu jak manna z nieba.

– Zapominasz, że moi rodzice są republikanami – powiedziała.

– A jakie to ma znaczenie? – Znowu wzruszył ramionami, a kiedy na niego spojrzała, zrobił to powtórnie. – Poglądy polityczne to tylko punkt wyjścia w drodze ku wpływom i władzy.

Emily musiała się o coś oprzeć. Sens jego słów z trudem do niej docierał.

– Czyli jestem dla ciebie tym punktem wyjścia?

– Daruj sobie melodramatyzm.

– Blake, traktujesz ślub ze mną i rolę ojca mojego dziecka jako narzędzie potrzebne do zrobienia kariery politycznej.

– Pomijasz plusy tego rozwiązania. Oboje mamy przechłapanie i oboje pragniemy lepszego życia. Poza tym nie jesteś aż tak całkiem odpychająca.

– Jakie to romantyczne.

– Daj spokój, Emmie. – Pogłaskał ją po włosach. – To może się udać. Nikomu nie stanie się krzywda i wszyscy nadal będziemy mogli być przyjaciółmi.

To ostatnie słowo pobudziło ją do płaczu. Blake proponował rozwiązanie problemu, a cała ta sprawa pozostanie w kręgu kliki. Gniew Ricky minie, gdy brat logicznie wszystko jej uzasadni, Nardo pożartuje o wyjściu z opresji obronną ręką, a Clay się ulotni i rozpocznie nowe ekscytujące życie z dala od nich. Natomiast ona zostanie żoną chłopaka, którego nie kochała i nigdy nie pokocha. Chłopaka, który widział w niej tylko środek do celu.

– Emily. – Blake przysunął się do niej, a jego oddech łaskotał jej ucho. – No pomyśl, źle by było?

Zamknęła oczy, łzy popłynęły jej po policzkach. Ujrzała w wyobraźni najpierw przyszły rok, a potem kilka następnych lat. Mogła na powrót stać się porządną dziewczyną, którą wszyscy podziwiają. Blake dostanie wymarzony college, szansę na karierę i polityczną przyszłość. Czyli będzie tak, jak to przewidziała Ricky: pieniądze rodziny Vaughnów staną się jej kołem ratunkowym.

Łatwe.

– Emmie. – Blake musnął wargami jej ucho, wziął ją za rękę i położył sobie na tym ... a ona zamarła, czując pod dłonią sztywny kształt. Blake przesunął jej rękę i powiedział cicho: – Tak jest dobrze. – Wsadził język do jej ucha.

– Blake! – krzyknęła, odsuwając się gwałtownie. – Co ty wyprawiasz?

– Jezu. – Rozparł się wygodnie i rozstawił szeroko nogi, a przód jego spodni sterczał jak namiot. – Co z tobą?

– Raczej co z tobą? – odparowała. – Co to było?

– To chyba jasne co. – Sięgnął do kieszeni po papierosy. – Daj spokój, drugi raz nie zajdziesz.

Chwyciła się za szyję, czując w niej łomot serca.

– Powiem bez ogródek – stwierdził Blake, bawiąc się zapalniczką. – Kupuję krowę, ale oczekuję czegoś więcej niż porcji mleka.

Patrzyła, jak Blake zapala papierosa. Podarowała mu zapalniczkę marki Zippo na szesnaste urodziny. Dodatkowo zapłaciła za wygrawerowanie jego inicjałów, żeby Ricky mu jej nie zwędziła.

– Jesteś potworem.

– Raczej twoim drugim wyborem. – Na widok jej niepewnej miny roześmiał się. – Nie bądź głupia, Emily. Najlepszym wyjściem jest spuścić to w toalecie.



Andrea, siedząc w motelu na krawędzi łóżka, przypatrywała się zdjęciu, które zrobiła Star Bonaire. W rozsypanej na blacie mące napisała palcem jedno słowo: POMOCY.

Czekała, aż zostanie z Bible'em sama, żeby pokazać mu zdjęcie. Nie powiedział wiele, kazał jej tylko wziąć prysznic i czekać w gotowości na jego telefon. Od tego momentu minęła ponad godzina. Wzięła więc prysznic i była gotowa, a Bible ciągle nie dzwonił.

POMOCY

Jak bardzo przerażona musi być ta kobieta, skoro zrobiła coś takiego.

Wróciła do zdjęć Alice Poulsen. Żal ścisnął jej serce na widok skutków głodzenia. W anoreksji chodziło o kontrolę, ale do pewnego stopnia była też samobójstwem. Anorektyk dosłownie brał swoje życie w swoje ręce. Alice Poulsen poszła w pole i wiedziała, że stamtąd nie wróci. Ile odwagi trzeba mieć w sobie, żeby zdobyć się na taki czyn? I jak wiele desperacji?

Taką samą desperacją musiała mieć w sobie Star Bonaire, kiedy fotografowała swój krzyk o pomoc.

Nie była w stanie dłużej oglądać tych zdjęć. Rzuciła telefon na stolik i skierowała bezsilny wzrok na czarny ekran telewizora, który wisiał naprzeciw łóżka. Zastony były zaciągnięte, światła zgaszone, lewy nadgarstek bolał w miejscu, gdzie złapał ją Wexler. W przebłyskach pamięci widziała pojedyncze sceny: twarz Wexlera wciśnięta w kierownicę; Nardo zapalający papierosa; Star poruszająca się po kuchni niczym duch; dwie kobiety wychodzące ze stodoły. Żółte sukienki. Długie włosy. Bose stopy. Porażająco chude ręce i nogi. Bransolety na kostkach.

Krzywdzone. Oznakowane. Upodlone.

Sekta. Sekta. Sekta.

Ale niestety Stilton miał rację. Żadne prawo stanowe czy federalne nie zakazywało przynależności do sekty, dlatego nic nie można zrobić, żeby uratować te kobiety. Pani Bonaire już raz podjęła ekstremalną próbę uratowania Star i skończyła w areszcie z sądowym zakazem zbliżania się do własnego dziecka.

Andrea wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Czuła się cholernie bezradna. Przeszła szkolenie, ale żadnej z nabytych umiejętności nie mogła wykorzystać do pomocy ani Star Bonaire, ani nikomu innemu. Spojrzała na telefon. Chciała, żeby Bible wreszcie zadzwonił. Pewnie znalazł się w takim samym ślepych zaułku co ona. Przeniosła wzrok na notes i długopis, które położyła na stole, i z wielką determinacją zaczęła przeglądać internet z mocnym postanowieniem, że wytropi wszystkie brudy Magicznego Bobu Deana.

Godzinę później notes nadal był pusty.

W pamięci odtworzyła wszystko, czego zdołała się dowiedzieć o całym przedsięwzięciu. Informacje były skąpe. Firma Magiczny Bób Deana została zarejestrowana w Delaware w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku. Andrea dotarła do statutu spółki, w którym Dean Wexler widnieje jako prezes, zaś Bernard Fontaine jako wiceprezes. Interesujące, skoro w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku Nardo miał zaledwie dziewiętnaście lat, a mniej więcej w tym samym czasie jego ojciec został aresztowany za oszustwo bankowe. Niestety żadna z tych informacji nie posuwała śledztwa do przodu.

Równie interesująca, choć równie bezużyteczna była informacja, że Bernard Fontaine pełnił funkcję sekretarza BFL Trust, organizacji dobroczynnej założonej w Delaware jesienią w dwa tysiące trzecim roku. Urząd skarbowy umieścił ją na liście organizacji non-profit działających na podstawie zapisu 501(c)3, a więc zwolnionych z podatku, choć Charity Navigator, organizacja ratingowa gromadząca dane i oceniająca wykorzystanie pieniędzy darczyńców, nie miała żadnych informacji o BFL Trust.

Wpisanie w Google'a hasła „Magiczny Bób Deana+sekta” przyniosło lawinę wyników w postaci fanpage'ów administrowanych przez maniaków zdrowego trybu życia i smakoszy bobu, ale na żadnej stronie – literalnie żadnej – nie było wzmianki, że kobiety pracujące przy bobie głodują. Na stronach o stażach, stronach z ogłoszeniami w college'ach, stronach na Facebooku poświęconych szukaniu interesującej pracy na lato, wszyscy pisali o Deanie w samych superlatywach. Nawet jednogwiazdkowe recenzje na Amazonie ginęły w zalewie pochlebnych opinii.

W ani jednym wpisie nie wymieniono Deana Wexlera z imienia i nazwiska.

Ani Narda Fontaine'a.

Stilton powiedział, że Wexler ma gorącą linię z wieloma prawnikami, czemu trudno się dziwić. Jest też oczywiste, że podejrzana sekta pilnuje, żeby negatywne komentarze znajdowały się na szarym końcu w wynikach wyszukiwania. Poza tym Dean miał około dwudziestu wolontariuszek, z których każda mogła siedzieć z laptopem i cały dzień czyścić internet z negatywnych wpisów.

Te kobiety nie robiły sobie przerwy na lunch.

Jedną z nielicznych witryn, z których nie można było zniknąć ani się wykupić, była PACER, czyli Public Access to Court Electronic Records, dostarczająca publicznie dostępną bazę aktów prawnych, wniosków i transkrypcji. Na szczęście Andrea знаła dane logowania Gordona. To nie desperacja zaprowadziła ją na tę stronę, tylko przecucie. Będąc na farmie, zwróciła uwagę, że Wexler nazywał przebywające tam kobiety wolontariuszkami zamiast stażystkami czy praktykantkami. Sprawa sądowa sprzed dwudziestu lat przyniosła wyjaśnienie tej zagadki.

W dwa tysiące drugim roku Departament Sprawiedliwości wniósł pozew przeciwko Magicznemu Bobowi Deana na mocy Ustawy o Sprawiedliwych Standardach Pracy za niezaliczenie tak zwanego Testu Głównego Beneficjenta. Istniało siedem kryteriów oceny legalności bezpłatnego stażu, większość dotyczyła przydatności w toku dalszej nauki, przyznawania punktów na studia

i przestrzegania akademickiego kalendarza. Innymi słowy, staż miał przynieść korzyść stażyście, a nie sponsorowi.

Jeśli mieli być wyzyskiwani, musieli zgłosić się na ochotnika.

Po celnym strzale z PACER wszystko poszło już z górki. Andrea musiała zrobić sobie przerwę, kiedy w motelowym pokoju zaczęła czuć się jak w więziennej celi. W automacie kupiła kanapkę z pastą jajeczną, a po powrocie do pokoju straciła pół godziny na przewijanie rejestru małżeństw, rozwodów i zgonów hrabstwa Sussex.

Znalazła akt małżeństwa Ricky i Narda oraz orzeczenie rozwodu, ale żadnych rezultatów, kiedy szukała aktu zgonu Erica Blakely'ego. Obawiała się, że jeśli dłużej poczeka na Bible'a, skończy na przeszukiwaniu rejestru szczepień zwierząt domowych przeciwko wściekliźnie.

Gdy telefon zasygnalizował nową wiadomość, sięgnęła po niego z ociąganiem. Znowu napisał do niej Mike. Tym razem rozpoznała zwierzę na zdjęciu. To był dikdik, najmniejsza antylopa mierząca zaledwie trzydzieści kilka centymetrów w kłębie.

Nie miała weny, żeby wymyślić błyskotliwą odpowiedź na fotkę dikdika.

Zamiast tego zawisła kciukiem nad przyciskiem połączenia. Mike bywał świetnym słuchaczem, kiedy przestawał opowiadać te swoje głodne kawałki. Był też dorosłym facetem, którego rzuciła dokładnie rok i osiem miesięcy temu. Jedyne, co mogła zrobić, to zachować się jak dorosła i podtrzymać swoją decyzję bez względu na to, jak bardzo pragnęła usłyszeć jego głos.

Zamykała wiadomość, gdy zadzwonił telefon.

Zacisnęła powieki. Tylko tego jej brakowało. Ale odebrać musiała.

– Cześć, mammo.

– Skarbie – odezwała się Laura – nie zajmę ci dużo czasu, bo wiem, jak bardzo jesteś zajęta. I właśnie dlatego pomyślałam, że pomogę ci znaleźć miejsce.

– Jakie miejsce?

– Musisz gdzieś mieszkać, kochanie. Poszukam mieszkań w internecie i umówię cię, żebyś je sobie obejrzała.

Andrea zmeła w ustach przekleństwo. Przydałaby jej się taka pomoc, gdyby nie to, że potrzebowała mieszkania w Baltimore, a nie w Portlandzie w stanie Oregon.

– Najgorsze to podjąć pochopną decyzję, a potem żałować – ciągnęła Laura. – Podaj mi preferowaną lokalizację, a coś ci tam znajdę. Lepiej skorzystać z usług lokalnego agenta nieruchomości, dzięki temu masz jakąś ochronę.

– Sama nie wiem. – Andrea desperacko pragnęła skończyć tę rozmowę. – Laurelhurst?

– Laurelhurst? Gdzie o tym słyszałaś? Inni agenci tam mieszkają?

Andrea wiedziała o tym, bo czytała w „Rolling Stone”, że w jednym z tamtejszych barów grywały dziewczyny z kapeli Sleater-Kinney.

– Ktoś wspominał o tym w biurze. Mówili, że to przyjemne miejsce.

– Boże, mam nadzieję. Powinnaś zobaczyć te ceny. – Najpewniej Laura siedziała przed komputerem stacjonarnym w swoim gabinecie. Nawet przez telefon słychać było stukanie w klawiaturę. – O, jest coś... och nie, piszą, że musisz mieć zwierzątko domowe. Jaki właściciel chce, żeby lokator miał zwierzę? Nie rozumiem Portlandu. O, jest inne, choć jest pewien...

Andrea słuchała potoku słów matki, która opisywała mieszkanie z jedną sypialnią w piwnicy, bez wątpienia kawalerkę, chyba z wikańskim ołtarzykiem w łazience, ale i tak zbyt drogą.

– Laurelhurst ciągnie się od północnego wschodu Portlandu na południowy wschód. O, w jednym z parków stoi pomnik Joanny d’Arc. Strasznie drogie te oferty, skarbie, a ty nie będziesz mogła wpaść do mnie po sąsiedzku i zwędzić mi masła orzechowego ze spiżarni.

Andrea przysiadła na krawędzi łóżka, gdy Laura zaczęła szukać tańszych okolic.

– Concordia? Hosford-Abernethy? Buckman Neighborhood?

Andrea podparła głowę ręką. Najgorsza dzielnica, w jakiej kiedykolwiek mieszkała, nazywała się „dorosłość”.

Musiała to zakończyć.

– Mamo, muszę już iść.

– Dobrze, ale...

– Zadzwoń później. Kocham cię.

Rozłączyła się, padła na łóżko i wlepiała wzrok w barankowy sufit. Plama po zalaniu przybrała kształt brązowawej chmury. Czuła odrazę do samej siebie, że ciągnie tę idiotyczną komedię z Portlandem. Przez dwa lata karała matkę za to, że okazała się cholernie dobrą kłamczuchą, lecz właśnie wyszło na jaw, że jabłko padło bardzo blisko jabłoni.

– Oliver! – Bible zabębnił w jej drzwi. – To ja, partnerko. Jesteś ubrana?

– Nareszcie. – Andrea dźwignęła się z łóżka i otworzyła drzwi.

Bible przebrał się w dżinsy i T-shirt z logo USMS, taki sam, jaki włożyła Andrea. Oboje mieli broń przy pasku. Z tego powodu filigranowa kobieta w granatowym kostiumie w prążki i na bardzo wysokich obcasach, która stała za plecami Bible'a, wydawała się jeszcze bardziej nie na swoim miejscu.

– Muszę się do czegoś przyznać – zaczął Bible. – Postanowiłem przyprowadzić szefową. Zastępczyni szefa policji Cecelia Compton, a to agentka Andrea Oliver.

– Yyy... – Andrea zaczęła chować T-shirt w spodnie. – Pani komendant, myślałam, że jest pani w Baltimore...

– Mój mąż pracuje w tym rejonie. Mogę wejść? – Compton nie czekała na zaproszenie, tylko weszła do pokoju.

Rozejrzała się, patrząc na te wszystkie rzeczy, których Andrea nie chciała nikomu pokazywać, a co dopiero szefowej. Ubranie do biegania rzucone obok minilodówki, plecak na łóżku... Dzięki Bogu umysł miała tak zaprzątnięty sprawą Alice Poulsen i Star Bonaire, że nawet nie wyjęła akt sprawy Emily Vaughn.

– No dobrze. – Compton przysiadła na krawędzi biurka, na którym leżała niedojedzona kanapka z pastą jajeczną. – Bible opowiedział mi o farmie. Jakie są twoje wrażenia?

Andrea nie była na to przygotowana. Fakt, że Cecelia Compton należała do tych budzących respekt, pozbieranych i ogarniętych kobiet, tylko pogarszał sprawę.

– Oliver, najpierw odetchnij głęboko – doradził Bible, opierając się plecami o drzwi – a potem zacznij od Star.

– Star – powtórzyła Andrea. – Była chuda jak pozostałe, ale starsza, chyba przed trzydziestką. Bosa, długie włosy, w takiej samej żółtej sukience jak inne.

– Myślisz, że jest tam od dawna?

– Komendant Stilton sugerował, że co najmniej od dwóch lat. Można coś wywnioskować z faktu, że była w domu, a nie pracowała fizycznie na terenie farmy, i zwróciła się do Wexlera po imieniu. Stilton mówi, że jej matka mieszka w tym mieście.

– Słyszałam o matce. Nie można jej winić za porwanie, choć kiepsko jej to poszło – stwierdziła Compton. – Co z Alice Poulsen? Czy według ciebie to wygląda na samobójstwo?

Andrea nie czuła się wystarczająco kompetentna, żeby odpowiedzieć na to pytanie, więc przytomnie postawiła na szczerość.

– Pani komendant, do tej pory jako śledcza oglądałam tylko dwa ciała. Oba leżały w kostnicy w Glynco. Odpowiadając na pani pytanie w oparciu o moje skromne doświadczenie, to tak, wygląda na to, że Alice Poulsen popełniła samobójstwo.

Compton wyraźnie czekała na więcej, a gdy cisza się przeciągała, rzuciła:

– Mów dalej.

Andrea szybko zebrała myśli.

– Miała na nadgarstkach dość świeże blizny, co wskazuje, że już próbowała się zabić, a komendant Stilton to potwierdził. Na miejscu leżała pusta fiolka po tabletkach, wokół ust miała zaschniętą pianę, w oczach nie było wybroczyn świadczących o uduszeniu, a na jej ciele nie było śladów walki ani więzów. Były zasinienia, zwłaszcza wokół nadgarstka, ale nie wyglądały jak ślady po ataku.

– Dokładna analiza – stwierdziła Compton. – Mogę zobaczyć zdjęcia?

Andrea odblokowała iPhone'a i podała go szefowej.

Compton uważnie oglądała każde zdjęcie. Powiększała i oddalała, wracała do poprzednich, porównywała. Przyjrzała się też dokładnie zdjęciu Star Bonaire z prośbą o pomoc. Milczała, póki nie skończyła oględzin.

– Alice Poulsen jest obywatelką Danii. Departament Stanu nawiąże kontakt z ambasadą, a ja jestem tu, żeby pomóc miejscowym. Duńczycy nie mogą odnieść wrażenia, że nie traktujemy tej sprawy poważnie. – Oddała telefon Andrei. – Oczywiście zleciliśmy sekcję zwłok, jednak na razie mając tylko to, co zobaczyłam na zdjęciach, muszę powiedzieć, że podzielam twoją opinię.

– A ostatnie zdjęcie? – spytała Andrea. – Star Bonaire prosi o pomoc.

– Kiedyś już prosiła – odparła Compton. – Przed przyjazdem tutaj rozmawiałam z komendantem Stiltonem. Był ze mną szczery.

Andrea poczuła, że zaciska zęby. Wątpiła, żeby Stilton zwracał się do Cecelii Compton per „skarbie”.

– Dwa lata temu Star Bonaire potajemnie wsunęła dostawcy liścik w magazynie i napisała to samo co dzisiaj: POMOCY. Stilton wybrał się tam, żeby z nią porozmawiać, i zastał ją samą, a ona zaprzeczyła, żeby coś takiego napisała. Nie pozostało mu nic innego, jak odjechać.

Andrea potrząsnęła głową. Zawsze można zrobić coś więcej.

– Coś podobnego wydarzyło się jeszcze raz – ciągnęła Compton. – Star zadzwoniła do matki w środku nocy i poprosiła o pomoc. Stilton znowu pojechał na farmę, ale Star wyparła się telefonu.

Andrea nie przestawała kręcić głową. Przekonała się na własnej skórze, jak Jack Stilton rozmawia z kobietami. Był nieodpowiednim człowiekiem do tego zadania.

– Ej, partnerko. – Bible wyczuł jej frustrację. – Podać komuś liścik, a potem wyprzeć się tego, to nie jest złamanie prawa. Tak samo jak nie złamiemy prawa, gdy jednego dnia zadzwonimy do mamy, a następnego dnia pošlemy ją do diabła.

Andrea nie zamierzała dać za wygraną:



– Ona nie prosiła o pomoc matki, ona o pomoc poprosiła mnie. Użyła mojego telefonu, żeby zrobić zdjęcie.

– Jak to sobie wyobrażasz? – spytał Bible. – Wracamy na farmę, domagamy się rozmowy ze Star... I co dalej?

– Rozmawiamy ze Star.

– Okej, wszystko się zgadza, tylko co zrobimy, jeśli wyprze się tego zdjęcia?

Andrea otworzyła usta. I zamknęła je bez słowa.

– I co, jeśli Bernard Fontaine wyskoczy ze swoją prawniczą pseudowiedzą z Google'a i każe nam się wynosić? Albo naślą na nas prawników za nękanie? – Bible uniósł ręce. – Jesteśmy gliniarzami, Oliver, więc musimy przestrzegać konstytucyjnych zasad.

– Gdyby udało mi się dorwać Star samą...

– Jak? – spytał. – Nie wpadniemy na nią na zakupach w markecie. Stilton mówi, że ona jedyna opuszcza teren farmy, ale zawsze jest z nią Nardo albo Dean. I nie zapominaj, że matka już próbowała ją stamtąd wydostać, przez co wylądowała w czarnej dupie. Tylko szczęście i prawne kruczki uratowały ją przed odsiadką.

Andrea nie przyjmowała do wiadomości tych argumentów. Po pierwsze, byli agentami USMS, po drugie, musiały być jakieś inne sposoby.

– Agentko Oliver. – Compton wyjęła z torebki telefon. – Proszę powiedzieć, jak zgodnie z prawem możemy pomóc Star Bonaire, a natychmiast to zrobimy.

Poczuła, że mózg wiruje jej w czaszce. Już próbowała znaleźć rozwiązanie, jednak to oni mieli większe doświadczenie i to oni powinni coś zaproponować.

– Oliver? – ponaglił ją Bible.

Jedyne, co jej zostało, to powiedzieć prawdę:

– Śmierdząca sprawa.

– Owszem, partnerko, śmierdząca jak cholera. – Bible westchnął ciężko. – W takich przypadkach zwykle proszę moją żonę Cussy o pomoc. To bardzo bystra kobieta i doskonale rozumie zakulisową politykę w tego typu sytuacjach.

– Wal się, Leonardzie. – Compton prychnęła z irytacją.

– Cussy...

– Pieprz się. – Compton skrzyżowała ramiona. – Nie cofnę ani jednego słowa.

Twoja żona zgadza się z twoją szefową.

Andrea usiadła na łóżku i spytała zdumiona:

– Jesteście małżeństwem?

– Oddzielamy życie osobiste od pracy – powiedziała Compton. – Leonardzie, ledwie zacząłeś pracować z tą kobietą, a już uczysz ją łamania zasad?

– Brzmisz jak moja szefowa.

– Wal się. – Compton schyliła się i zdjęła szpilki. – W tej chwili strasznie komplikujesz życie nam obojgu.

– Przepraszam za to, kochanie. – Uspokajająco machnął ręką. – Po prostu powiedz mi, co byś zrobiła na moim miejscu?

– Hm, po pierwsze, przeniosłabym się jak najdalej od tej dziewczyny. Czeka ją świetna kariera, jeśli jej tego nie spieprzysz.

Andrea próbowała stopić się z deseniem na narzucie.

– Słuszna uwaga – odparł Bible. – Doceniam. A potem co byś zrobiła?

Compton spojrzała na zegarek.

– Masz dwie i pół godziny do rozpoczęcia zmiany u Vaughnów. Zapomniałeś, że wykonujesz tu konkretne zadanie, agencie? Esther otrzymała groźby śmierci. Nie wysłałam cię tu na wakacje na plaży.

– Zrozumiano, szefowo. – Bible się uśmiechnął. – Ale ja pytam moją żonę.

– Kurwa. – Compton płynnie weszła w tę rolę. – Dobra, niech ci będzie, dupku. Potrzebujesz kogoś, kto uzna, że warto podzielić się z tobą informacjami. Kogoś, kto jest w środku i kto ich tak bardzo zaniepokoi, że spowoduje do błędu.

– Rozumiem – odparł Bible. – Problem w tym, że jak dotąd żadna z tych dziewczyn nawet słówka nie pisnęła, a moja szefowa właśnie jasno dała do zrozumienia, żeby trzymać się z daleka od Star Bonaire.

– Nie potrzebujemy kogoś z samego środka, raczej potrzebujemy kogoś, kto odszedł z tej grupy i ma ochotę mówić.

– Tak, tak... – Bible zadumał się na moment. – Problem w tym, że nie dałbym złamanego centa na to, że trzymają listę byłych wolontariuszek.

– Wiem, kto mógłby coś powiedzieć. – Andrea była równie zdumiona jak oni, że te słowa padły z jej ust. I że dwadzieścia minut przewijania rejestrów publicznych hrabstwa Sussex przyniesie owoce. – Właścicielka bistra, Ricky Fontaine, była żona Bernarda Fontaine’a. Zakładam, że rozwód był burzliwy.

– I? – rzuciła Compton.

– I... – Andrea zastanawiała się, czy Compton i Bible widzą żarówkę zapalającą się nad jej głową. Nardo powiedział, że Ricky to jego była żona, a w rejestrze znalazła datę finalizacji ich rozvodu. Był to czwarty sierpnia dwa tysiące drugiego roku, i był to ważny czas w historii farmy. Spojrzała na Compton i powiedziała: – Nie wiem, czy te sprawy się wiążą, ale w dwa tysiące drugim roku, mniej więcej w czasie rozvodu Fontaine’ów, Departament Sprawiedliwości oskarżył farmę o naruszenie zasad korzystania z pracy stażystów. Z akt sprawy wynika, że dostali cynk od anonimowej kobiety, która dzwoniła z publicznego telefonu zlokalizowanego przy Beach Street w Longbill Beach w Delaware.

Bible milczał, bardzo wymownie zaciskając szczęki.

– A niech mnie – powiedziała Compton. – Bible, rozmawiaj więcej ze swoją partnerką i nie wciągaj w to swojej żony. Kobieta wzgardzona to najłatwiejsza rola w sztuce. Co porabia teraz ta Ricky?

Bible skierował całą uwagę na Andree i spytał:

– Skąd to wszystko wiesz?

– A skąd ktoś o czymś wie? – odparła, wzruszając ramionami.

– Świetnie, Bible, ona mówi jak ty. – Compton skończyła z przycinkami pod adresem męża i spojrzała na Andree. – Opowiedz mi o Ricky. Jak sądzisz, zdołasz ją skłonić, żeby wystawiła swojego eks?

Andrea odruchowo posłała Bible’owi paniczne spojrzenie. To już nie była głęboka woda. To był środek oceanu.

– Nie wiem, czy to akurat Ricky wtedy dzwoniła. Kiedy czytałam o tym w PACER, pomyślałam, że to jedna z dziewczyn z farmy mogła dać cynk. Tak czy siak, może Bible powinien...

– Ty proponujesz, ty wykonujesz. – Bible zerknął na zegarek. – Pora lunchu zaraz minie, w bistrze powinno być luźniej. Zadzwoń i upewnij się, że Ricky tam jest.

Andrea nawet nie miała szansy się wykręcić.

Drzwi jej pokoju zadrżały od dwóch mocnych uderzeń.

– Spodziewasz się kogoś? – Bible położył dłoń na rękojeści pistoletu.

– Nie. – Jej dłoń też powędrowała ku broni.

– Pewnie pokojówka. – Compton, który która weszła w rolę szefowej, spojrzała na Bible'a i otworzyła drzwi.

Andrea z największym trudem powstrzymała paskudne przekleństwo, gdy zobaczyła, kto dobijał się do drzwi.

– Cześć, skarbie! – Mike posłał jej swój szeroki głupkowaty uśmiech. – Niespodzianka!

Andrea czekała, aż znajdą się za motelem. Wtedy stanęła, w geście desperacji uniosła ręce i wykrzyczała:

– Co ty tu robisz, do cholery?!

– Prrr! – odparł Mike, jakby uspokajał narowistego konia. – A może byśmy tak...

– Nawet nie próbuj mnie pacyfikować! Nie jestem twoją dziewczyną. A ty nie jesteś moim narzeczonym!

– Narzeczonym? – zaśmiał się Mike. – Kto ci to powiedział?

– Bible, Compton, Harri, Krump... – Znowu zamachała rękami. – Co jest grane, Mike?

– Skarbie, oni robią sobie jaja – odparł szczerze ubawiony. – Nigdy nie mówiłem, że jesteśmy zaręczeni. To oni powtarzali te plotki? Cóż, w każdej plotce jest ziarno prawdy. – Roześmiał się całą gębą.

– Do cholery, przestań rzeć jak stara kobyła! – Uświadomiła sobie, że tupnęła nogą zupełnie jak matka. – To nie jest śmieszne. Ja nie żartuję.

– Posłuchaj...

– Tylko nie „posłuchaj”, dupku. Co ty tu robisz? Najpierw nękaś mnie wiadomościami, potem stajesz w moich drzwiach, na dodatek przy mojej szefowej... To nie fair. Ja mam robotę do wykonania!

– Racja. Wyrzuć to z siebie. – Jego głos stał się wręcz kojący. Innymi słowy, stosował regułę termometru. – Może jeszcze pamiętasz, że też mam swoją robotę? Jestem inspektorem w programie ochrony świadków, a to znaczy, że mam szacować ryzyko i zapobiegać niebezpieczeństwu grożącemu świadkom pozostającym pod moją opieką.

– Znam zakres twoich obowiązków, Mike. Spędziłam cztery miesiące życia, by się tego wykuć na blachę.

– Więc sama sobie odpowiedz na swoje pytania. – Termometr Mike’a się stłukł. – Czemu do ciebie pisałem? Żeby przyciągnąć twoją uwagę. Czemu rozpowiedziałem, że jesteśmy razem? Żeby mieli na ciebie oko. Czemu wylądowałem pod twoimi drzwiami? Bo mam pod opieką wybuchową kobietę, której eks jest psychopatą, a jej córka wylądowała w jego rodzinnym mieście i wsadza kij w każde mrowisko, które napotka. – Andrea zacisnęła usta, tylko jej oczy mówiły co nieco. – Jak oceniasz poziom zagrożenia dla świadka, agentko? Masz za sobą czteromiesięczne szkolenie. Powiedz, czy moja świadek jest bezpieczna?

– Jasne, że tak. – Andrea nie przypomniała mu, że Laura nigdy przedtem nie potrzebowała jego pomocy. – Wszystko z nią dobrze. Myśli, że jestem w Oregonie.

– O, to zmienia postać rzeczy – stwierdził Mike. – Bałem się, że jakiś miejscowy dureń powiadomi Clayтона Morrowa, że jesteś w mieście i rozpytujesz, lecz jakże się pomyliłem. Jest świetnie, nieprawdaż? Laura sądzi, że przebywasz w Oregonie, więc wszystko w porządku.

– On siedzi w więzieniu federalnym – przypomniała mu Andrea. – Miałeś monitorować jego korespondencję.

– Przykro mi to mówić, skarbie, ale skazani cały czas mają dostęp do komórek. Zmieniają identyfikator dzwoniącego, kontaktują się ze świadkami i dilerami dragów, a czasem nasyłają zbirów na ludzi, których chcą uciszyć na zawsze. – I powtórzył pytanie: – Czy moja świadek jest bezpieczna?

Gniew Andrei przeszedł w dojmujący niepokój. Jej ojciec był bardzo groźnym człowiekiem.

– Czemu nie powiedziałaś mi tego dwa dni temu? To ty zaaranżowałaś spotkanie z Jasperem. Czego się spodziewałaś?

– Nie takiego bajzlu – odparował Mike. – Jasper powiedział, że wyśle cię do Baltimore, żebyś była blisko centrum wydarzeń. Compton jest gwiazdą, Bible jest legendą, ale nie wiedziałem, że jesteś w Longbill, dopóki Mitt Harri nie skontaktował się ze mną przez Slacka dziś rano o dziesiątej.

Andrea nie zapytała, dlaczego Mitt Harri rozmawiał o niej z Mikiem. Przypominali grono rozplotkowanych licealistek.

– Pomyślałaś, że Jasper próbuje mi pomóc?

– Czemu nie? To twój wujek.

Jej wujek był obłudnym sukinsynem, jednak gdy chodziło o więzy rodzinne, Mike wykazywał zdumiewające zaślepienie.

– Czego ode mnie chcesz? Przyjechałaś tu z konkretnym zamiarem.

– Wyjedź stąd. Przenieś się na Zachód, jak chciałaś. Compton nie będzie zadawać pytań. Wie, że pracuję w WitSec, więc szybko złoży w całość wszystkie kawałki.

– Żartujesz? – Andrea nie wierzyła własnym uszom. – Ty mi każesz stąd uciekać.

– Andy...

– Posłuchaj mnie, dobrze? Bo naprawdę musisz to usłyszeć, okej? Nie jestem tą samą bezradną dziewczynką, jaką byłam dwa lata temu. Jestem córką Laury Oliver,

nie uciekam przed trudnościami i nie musisz mnie ratować.

Wyglądał jak człowiek, który nie wie, od czego zacząć, ale jakoś zacząć musi.

– Bezradna dziewczynka?

– Właśnie – odparła Andrea. – Nie jestem tą samą osobą. Im szybciej to pojmiesz, tym będzie lepiej dla nas obojga.

Mike wyraźnie się zmieszał.

– Andreo, nie przyjechałem, żeby cię ratować. Twoja mama zębami rozerwie świat na strzępy, jeśli Clayton Morrow zbliży się do ciebie.

Pokręciła głową, chociaż wiedziała, że Mike nie przesadza.

– On mnie nie skrzywdzi – stwierdziła cicho.

– To nie Hannibal Lecter, agentko Clarice – nawiązał do Milczenia owiec. – On nie ma żadnych zasad.

Nie miała celnej riposty na ten argument. Nagle poczuła śmiertelne znużenie. Po kroku naprzód następowały dwa kroki w tył. Nie mogła pomóc Star, nie mogła odnaleźć zabójcy Emily Vaughn. Jeśli Compton wyśle ją, żeby wyciągnęła od Ricky informacje na temat farmy, z tym pewnie też sobie nie poradzi.

– Andy.

Potrząsnęła głową, walcząc z napływającymi łzami, bo przekreśliłyby wszystko, co przed chwilą powiedziała. Dwa ostatnie lata poszłyby na marne. Porzucenie Mike'a też.

– Kochanie, powiedz coś.

– Nie. Nie mogę tego zrobić. Muszę wykonać zadanie.

Wyciągnął do niej rękę.

Drgnęła, gdy dotknął jej nadgarstka.

– Andy?

Odwróciła się od niego, w myślach miotając stekiem przekleństw. Pierdolona robota. Pierdolona farma. Pierdolony Wexler. Powinna zaserwować mu cios w jego pierdolone gardło, złamać pierdoloną kość gnykową i posłać do pierdolonego szpitala.

– Andreo. – Mike stanął przed nią wyprostowany, pięści miał zaciśnięte. – Ktoś cię skrzywdził?

Nie zapanowała nad sobą i przycisnęła czoło do jego piersi. Ulga przyszła natychmiast, gdy zrzuciła z siebie część dźwiganego ciężaru. Delikatnie otoczyła dłońmi tył jej głowy. Czuła, jak wali mu serce. Czekał na jej znak, że może ją objąć.

Nie pozwoliła sobie na to, by wysłać mu ten znak.

– W porządku. Naprawdę. – Podniosła głowę. – Zareagowałam jak należy. Nie musisz mnie ratować.

Oderwał od niej rękę.

– Czemu ciągle to powtarzasz?

– Bo chcę, żeby to była prawda. – Znowu poczuła w oczach łzy, więc wytarła je pięścią, wściekła, że ciało jej nie słucha. – Nie jestem jak twoje apodyktyczne starsze siostry, które oczekują, żebyś wyciągał je z kłopotów, ani jak twoja mama, która chce, żebyś koło niej skakał. Mam trzydzieści trzy lata, do cholery. Umiem o siebie zadbać.

– Oczywiście. – Mike cofnął się o krok. Jej obraźliwe słowa odniosły skutek. Zrobił jeszcze jeden krok, potem następny i skrzyżował ramiona. – Rozumiem. Wszystko jasne.

Andrea miała na końcu języka przeprosiny, ale się powstrzymała. Niby mogła mu powiedzieć wszystko, jednak z tymi siostrami i matką przekroczyła granicę.

Pozostało tylko przekręcić nóż w ranie.

– Do zobaczenia.

– Masz to jak w banku.

Odeszła, czując na plecach jego palące spojrzenie, póki nie skręciła za róg. Nie umiała sobie wyobrazić, co Mike teraz o niej myśli, ale gdy spróbowała sama na siebie spojrzeć, doszła do wniosku, że zaczyna przypominać swoją matkę.

Mimo wszystkich „skarbów” i „kocham cię” Laura potrafiła być zimną suką. Co nie dziwiło, zważywszy na jej dzieciństwo, a zwłaszcza piętno, które odcisnął



na niej Clayton Morrow. Przez lata Andrea obserwowała, jak matka włącza i wyłącza chłód jak promień mrozący: jednego dnia świętuje Boże Narodzenie z rodziną, następnego dnia oznajmia Gordonowi, że to koniec. To była jej samoobrona. Kiedy ludzie zanadto się zbliżali, szybko ich odpychała. Jeśli miała naśladować żelazną determinację matki, musiała pogodzić się ze szkodami, które po drodze wyrządza. Dwa lata walki o to, by stać się silniejszą osobą, nie zmieniły fundamentalnej prawdy.

„Gdziekolwiek pójdziesz, przed sobą nie uciekniesz”.

Wynajęty samochód Mike’a stał przed wejściem do jej pokoju. Wiedziała, że to jego, bo Mike tak często jeździł wynajętymi autami, że zawsze wieszał na lusterku wstecznym zajęczą łapkę, by rozpoznać swój wóz.

– W porządku? – Bible opierał się o swojego SUV-a.

Andrea zobaczyła, że zabrał z pokoju jej plecak.

– W porządku. – Chwyciła plecak i wsiadła do explorera. Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby nie obejrzeć się na Mike’a.

– Dzwoniłem do bistra – oznajmił Bible oficjalnym tonem, ruszając z miejsca parkingowego. – Ricky jest w domu, ale mieszka rzut beretem od lokalu. Lepiej rozmawiać z kimś w jego domowym zaciszu, będzie czuła się bezpieczniej. Ja bym zagaił mniej więcej tak: „Szanowna pani, próbuję pani pomóc. Proszę powiedzieć, co pani wie o swoim byłym, żebyśmy mogli go zamknąć i wyrzucić klucz”.

Wątpiła, żeby to okazało się aż takie proste, mimo to odpowiedziała:

– Bułka z masłem.

– I serkiem... Doskonale, partnerko. Wiem, że świetnie sobie z tym poradzisz.

Doceniła tę opinię, choć sama nie była o tym przekonana. Mike nią wstrząsnął, więc czuła się nie w formie.

Na dodatek ją okłamał.

Powiedział jej, że Mitt Harri wysłał mu wiadomość przez Slacka dzisiaj o dziesiątej rano. I że dopiero od niego dowiedział się, że ona jest w Longbill Beach. Znacznik czasu przy wiadomości z gnu wskazywał ósmą trzydzieści dwa

dziś rano, a to znaczyło, że Mike nie kontaktował się z nią w celach służbowych. Kontaktował się z nią, bo tego chciał. Fotkę dikdika wysłał, kiedy był piętnaście minut drogi od motelu.

Nie zgadzał się też czas plotek o ich związku. Andrea знаła Bible'a zaledwie od pięciu minut, gdy pogratulował jej zaręczyn. Wczoraj po południu Mike nie miał powodu, żeby martwić się o Clayтона Morrowa. O tej porze był jeszcze przekonany, że ona jest w Baltimore. Nie puścił tej pogłoski, żeby oznakować ją niczym hydrant przeciwpożarowy albo utrudnić jej życie. Chciał po prostu, żeby miała jego imię na ustach.

Zraniła go.

Dlaczego go zraniła?

– Wiesz – odezwał się Bible – mój syn jest mniej więcej w wieku Mike'a.

Andrea uznała to za wstęp, chociaż zdziwiła się, że wybrał akurat ten moment, by powiedzieć jej coś więcej o swoim życiu osobistym.

– Nie wiedziałam, że masz syna.

– A także córkę. Jest lekarką w Bethesda. Inteligentna jak jej mama. – Bible'a rozpieęła duma. – Mój syn, hm, nie zrozum mnie źle, to dobry chłopak. Zdobył pełne stypendium do West Point, a skończył prawo w Georgetown.

Andrea wyczuła nadchodzące „ale”.

– Cussy i ja nie mówimy tego wszystkim, ale na drugim roku studiów przyszedł do nas i oznajmił, że chce zostać adwokatem w sprawach karnych.

Andrea zmusiła się do uśmiechu. Gliniarze gardzili obrońcami przestępców... dopóki któregoś z nich nie potrzebowali.

– Nie martw się. Umiem dotrzymywać tajemnicy.

– Już się zorientowałem. – Jak zwykle słowa Bible'a miały podwójne znaczenie. Stwarzał jej okazję, by mogła wyjaśnić, skąd tyle wie o Deanie Wexlerze, Nardzie Fontainie i Ricky Fontaine.

Nie mogła tego zdradzić. W tej chwili Alice Poulsen i Star Bonaire były ważniejsze. Gdyby w takim momencie całkiem ją pochłonęła sprawa Emily

Vaughn, straciłaby szansę przekonania Ricky Fontaine, żeby wystawiła swojego byłego męża, a przecież Compton dała jasno do zrozumienia, że tylko tak położą kres szaleństwu na farmie.

– Ja sam zaczynałem w wydziale narkotykowym – ciągnął Bible. – Mike ci nie mówił?

Andrea domyślała się, że opowiadając o sobie, Bible chce ją skłonić do większej otwartości. Spojrzała w okno, nie podejmując gry.

– Mike nic mi nie powiedział.

– No tak, goście z WitSec są trochę pokręcani, nie? – Bible odchrząknął i mówił dalej: – Stało się tak, że pewnego dnia siedzę za biurkiem i dzwoni do mnie szef wszystkich szefów z Waszyngtonu. Mówi, że DEA potrzebuje nowej twarzy w El Paso, żeby jeździć ciężarówką w tę i z powrotem przez granicę. Takie hokus-pokus: wkładasz heroinę, wyjmujesz forszę i o to w tym wszystkim chodzi.

Andrea wiedziała, że agenci często dołączają do różnych jednostek do zadań specjalnych. Z wojskowymi tatuażami i silnym teksańskim akcentem Bible z łatwością mógł się wtopić w tamtejsze tło.

– Więc melduję się w El Paso i próbujemy dorwać narcos przywożących kokę z Sinaloa. Byłaś tam kiedyś? – Czekał, aż Andrea przecząco potrząśnie głową. – Cholernie piękna kraina, Sierra Madre, Baja California Sur... Porządni ludzie, przyjaźni, a jedzenie...

Cmoknął dwa palce jak szef kuchni, gdy zwolnił, żeby wejść w zakręt. Beach Road zniknęła w lusterku wstecznym. W tej części miasta nie było gargantuicznych rezydencji. Tu w małych domkach mieszkali pracownicy niższego szczebla, a przed małymi domkami stały stare samochody.

– Wracając do tematu – ciągnął Bible – dostaję oficjalne zaproszenie do Culiacán, a to wielka sprawa. Rozgrywam to spokojnie, czyli popijam piwko i uwiarygodniam swoją legendę złego gościa, dając jasno do zrozumienia, że jestem chętny.

Andrea wyczuła nagłą zmianę nastroju.

Bible nie sprzedawał jej bajeczki. Właśnie opowiadał, jak infiltrował wyższe szczeble meksykańskiego kartelu narkotykowego. Zerknęła kątem oka na jego twarz poznaną długimi cienkimi bliznami. Nie zauważyła tego wcześniej, ale te blizny biegły niżej na szyję i niknęły pod kołnierzykiem koszuli.

Odwróciła się do niego, dając do zrozumienia, że czuje wagę opowieści, którą z pewnością nie dzielił się, z kim popadnie.

Skinął głową, doceniając jej gest, i odetchnął głęboko.

– Mija parę miesięcy i zaczynam pracować z informatorem z wewnątrz. A przynajmniej zdaje mi się, że z nim pracuję. Powiedzmy, że gość nie był moim amigo, i robi się syf. A w następnej chwili siedzę przywiązany do krzesła, a oni grają w przypinanie ogona agentowi.

Andrea nie mogła oderwać wzroku od jego blizn.

– Tak, są wszędzie. – Bible potarł twarz. Dotąd nigdy przy niej nie był tak niepewny siebie, tak wdeptany w glebę. Nawet ton jego głosu się zmienił. – Faceta, który mnie dorwał, nazywali el Cirujano. Znasz hiszpański? – Gdy zaprzeczyła ruchem głowy, wyjaśnił: – To Chirurg, chociaż nie sądzę, żeby takiego nacinania ludzi nauczył się na studiach medycznych.

Serce podeszło Andrei do gardła. Znała ten strach, ale szczęśliwie los oszczędził jej aż tak niewyobrażalnego bólu.

– Torturował cię?

– O nie. Torturujesz, kiedy chcesz wydobyć od kogoś informacje. Ja od razu im wszystko powiedziałem, tyle że ten gość bardzo chciał, żebym sobie pocierpiał. – Andrea milczała, bo nie wiedziała, co powiedzieć, a Bible dodał: – To było sześć lat temu. Wiem, że na to nie wyglądam, ale byłem wtedy jeszcze całkiem młody i nadal chciałem być agentem, jednak moja żona Cussy tupnęła nogą. Chciała, żebym odszedł na emeryturę. Wyobrażasz sobie mnie, jak łowię ryby na nabrzeżu do końca życia? Jak wyplatom makramy? Uczę się jakiegoś rzemiosła? – Wciąż nie mogła wydobyć głosu, więc tylko pokręciła głową, słuchając Bible'a: – Właśnie,

psia mać. Ale potem sędzia Vaughn przyszła do szpitala. Wspominałem, że pół roku byłem na odwyku?

Andrea znowu pokręciła głową. Znając kulisy pracy Laury, wiedziała, jak wygląda odwyk. Nie trzyma się człowieka przez pół roku, jeśli naprawę nie potrzebuje fachowej pomocy.

– Sędzia Esther Vaughn wkracza do mojego pokoju w szpitalu jak właścicielka całego przybytku. Przyznaję bez wstydu, że potwornie się nad sobą uzalałem. A ta kobieta dumnym krokiem podchodzi do mojego łóżka i nie mówi: „Dzień dobry” albo „Miło pana poznać”, albo „Och, sra pan do worka”. Nic z tych rzeczy. Ona mówi: „Nie podoba mi się agent, którego wyznaczyleś do mojej sali sądowej. Kiedy pan zacznie?”.

– Znała cię? – spytała Andrea, która wreszcie odzyskała głos.

– Nigdy w życiu jej nie spotkałem. Raz, może dwa razy skinąłem jej głową w holu.

Wiedziała, że agenci USMS strzegą sądu federalnego.

– Czy twoja żona... to znaczy szefowa...

– Nie, sędzia działała na własną rękę. Wierz mi, nikt nie dyktuje Esther Vaughn, co ma robić. – Bible wzruszył ramionami, ale najwyraźniej to spotkanie wywarło na niego wpływ. – Minęły jeszcze dwa miesiące, zanim stanąłem na nogi, a cztery następne lata przesiedziałem na sali sądowej. Niektórzy sędziowie lubią mieć pod ręką agentów USMS, zwłaszcza ci starej daty. Dożywotnie powołanie. Mają tendencję do wkurzania ludzi.

Za każdym razem, kiedy Andrei wydawało się, że już ma w głowie prawdziwy obraz Esther Vaughn, ktoś psuł jej tę układankę.

– Z Esther jest źle – powiedział Bible. – Ma nawrót raka gardła i tym razem się nie wylize. Ta kobieta ma już dość walki.

Pomyślała o Judith i Guinevere. One stracą kogoś jeszcze.

– Esther Vaughn uratowała mi życie. Nim umrze, chcę odnaleźć zabójcę jej córki – dodał Bible. – Dlatego tyle wiem o tej sprawie.

Postanowiła nieco boczyć z tematu:

– Czy sędzia wie, że przyglądasz się właśnie tej sprawie?

– Sprawy zawodowe pozostają zawodowymi, a prywatne prywatnymi. Sędzia wie, jaką ma władzę, ale nigdy jej nie używa dla osobistych korzyści, nie prosi o osobiste przysługi. Bardzo dba o pozory.

Andrea zadała sobie w duchu pytanie, czy to raczej nie kwestia dumy.

– Przesłuchiwałeś podejrzanych albo...

– Jeszcze nie, to dopiero przede mną. Nie pukasz do drzwi, póki nie wiesz, co jest po drugiej stronie. – Urwał na chwilę. – To jest ten moment, w którym ty wyjaśniasz, dlaczego ja grzebię w tym od dwóch dni, a ty już wiesz o sprawie tyle co ja.

Do Andrei dotarło, że dała się wciągnąć, i właśnie na tym zależało Bible'owi. Rozpaczliwie pragnęła powiedzieć mu prawdę, niestety nie mogła. Mike zażartował z jej czterech miesięcy w Glynco, ale pierwszą zasadą programu ochrony świadków jest to, że nigdy o tym nie rozmawiasz. Nawet z innym agentem. Nawet jeśli ten agent po upływie doby znajomości wydał ci się najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego spotkałeś w życiu.

– Skąd to przekonanie, że wiem cokolwiek? – spytała, nienawidząc się w duchu.

– Popracuj nad swoją mimiką, partnerko. Wyglądałaś jak zła wilczyca, która nagle wpadła na trop, kiedy na farmie dotarło do ciebie, że rozmawiasz z Deanem Wexlerem i Nardem Fontaine'em. – Zawiesił głos. – A potem ni z tego, ni z owego rzucasz datę rozwodu Ricky Fontaine ze szczegółami ze sprawy sądowej sprzed dwudziestu lat, o której nikt nie słyszał?

Andrei zaschło w gardle, ale jeśli jej twarz nie umiała kłamać, to jednak usta umiały:

– Znalazłam to w internecie, znaczy się o zabójstwie Emily. Mój lot się opóźnił, więc miałam mnóstwo czasu do dyspozycji.

– I Mike pod drzwiami twojego pokoju w motelu nie ma z tym nic wspólnego?

Miał z tym zbyt wiele wspólnego, jednak instynktownie odsunęła to od siebie.

– Moja relacja z tym facetem jest skomplikowana.

– Tak mówią moje dzieci, kiedy nie chcą o czymś gadać ze starym ojcem i matką.

Odpowiedziała wymownym milczeniem.

– No dobrze – odezwał się w końcu Bible znanym już Andrei tonem, który oznajmiał, że wcale nie jest dobrze. Podjechał do krawężnika i zaciągnął hamulec.

– Jesteśmy na miejscu.

Spojrzała w górę. Dwupoziomowy dom stał na wysokim wzniesieniu, a schody wiodące na werandę od frontu pięły się zygzakowato ze względu na stromiznę. Drzwi garażu były otwarte, w obu wnękach stały regały zavalone kartonami. Ricky najwyraźniej traktowała garaż jako dodatkową powierzchnię magazynową bistra. Wokół starej pralki i suszarki leżały stosy brudnych fartuchów i ścierek barowych.

– Zostanę w aucie – oznajmił Bible. – Zanim tam pójdziesz, przypomnę ci zasadę agenta numer pięć: z jednym tyłkiem nie można jechać na dwóch koniach jednocześnie.

To przypominało raczej jedną z sentencji kreskówkowego Kuraka Leghorna, ale przekaz był oczywisty: Bible dawał jej do zrozumienia, żeby wyrzuciła z głowy Emily Vaughn.

– Ricky musi dać nam jakieś przydatne informacje o Wexlerze, Nardzie i farmie. Tak pomożemy Star Bonaire.

– Słusznie.

Otworzyła drzwi auta i potarła obolały nadgarstek, gdy zaczęła stromą wspinaczkę do domu Ricky. Na skórze wykwitał siniec. Nie miała pojęcia, czemu tak się tym przejmuje. Kiedy w Glynco oberwała w nerkę, sikała krwią, miała też podbite oko i rozciętą wargę, co potraktowała jak honorowe odznaki.

Wiedziała, że tym, co robi różnicę w przypadku nadgarstka, jest Dean Wexler. Chciał, żeby ją zabolalo, chciał pokazać, gdzie jest jej miejsce, jak to zrobił ze Star, Alice i resztą kobiet na farmie.

Chociaż agenci USMS w zasadzie nie prowadzili dochodzeń, miała za sobą kilkanaście godzin szkolenia o technikach prowadzenia przesłuchań, zadawania pytań i zdobywania informacji. Ricky Fontaine nie była podejrzaną, ale zapewne można ją było uznać za świadka różnych wydarzeń na farmie, mogła też znać kobiety, które stamtąd uciekły. Z jednej strony Andrea musiała nawiązać z Ricky nic porozumienia, żeby się przed nią otworzyła, jednak z drugiej powinna wykazać się profesjonalizmem. Ricky musiała poczuć, że każda przekazana przez nią informacja zostanie dokładnie sprawdzona, a jeśli dojdzie do ujawnienia naruszeń prawa, to organy ścigania podejmą stosowne kroki.

Puściła nadgarstek, gdy na podjeździe mijiała zieloną hondę civic, i zajrzała przez szybę. W aucie panował nieład, papiery i śmieci leżały wszędzie. Spojrzała na dom, w którym, jak przypuszczała, wychowali się i dorastali Eric oraz Erica Blakely. Nie mogła powstrzymać się od pytania, czy Clayton Morrow kiedykolwiek wspinał się po tych stromych betonowych schodach. Czy szła po tych samych stopniach, po których czterdzieści lat temu wspinał się jej ojciec?

– Witaj, kochana. Sorki za schody. Są zabójcze dla łydek. – Ricky pchnęła siatkowe drzwi. Była w szortach i T-shircie. Nie miała niczego na kostkach, ale do srebrnych i czarnych bransoletek na przegubach dołożyła kilka kolorowych, żeby przełamać monochromatyzm.

Andrea zakręciła na drugim poziomie schodów i weszła na trzeci, a na widok Ricky pomyślała, że jej matczyna energia z ich pierwszego spotkania gdzieś uleciała. To była transformacja odwrotna niż w przypadku Esther Vaughn. Kobieta, którą Andrea miała przed oczami, była kompletnie pozbawiona energii, co w sumie nie dziwiło, ponieważ bistro działało siedem dni w tygodniu od szóstej rano do północy.

– Zadzwonili z bistra, że mnie szukasz – powiedziała Ricky. – Napijesz się czegoś?

– Tak, chętnie. – Instruktorzy nauczyli ją, że najprościej uspokoić kogoś, pozwalając mu sobie usłużyć. – Dzięki, że zechciała pani ze mną rozmawiać. Postaram się streszczać.



– Będę się krzątać i rozmawiać. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Czas na suszenie mam ściśle określony. Jeśli nie zrobię prania o określonej porze, to nigdy go nie zrobię. Tędy.

Ricky poprowadziła ją przez salon. Czyste ręczniki i fartuchy leżały w trzech koszach na podłodze. Sofa i krzesła wyglądały na nowe, ale brązowy dywan musiał należeć do oryginalnego wystroju. Obrazy na pastelowych ścianach pochodziły pewnie z pchlego targu jako pasujące rozmiarem do kanapy. Na konsoli obok holu Andrea zobaczyła zbiór fotografii w ramkach, a pod drewnianym blatem mieściły się dwie wąskie szuflady. Ricky upchnęła w wolnej przestrzeni dużych rozmiarów książki, używając jako półki krzyżowego wzmocnienia między patykowatymi nóżkami mebla. Andrea nie miała szans przyjrzeć się im bliżej, bo Ricky już wchodziła na górę po schodach.

Poczuła w kuchni woń stęchlizny, pewnie z powodu zagrzenia. Owalny stół był zasłany pożółkłymi rachunkami i dokumentami, które mogły tu leżeć od narodzin Andrei. Smutny skrawek wolnej przestrzeni między papierami znaczył miejsce, przy którym Ricky samotnie jadała posiłki.

Andrea wywnioskowała, że w pewnym etapie swojego życia Ricky zainteresowała się wnętrzarstwem. Nad zlewem wisiała błękitna lampa, blaty były zrobione z czarnego kwarcu, szafki zostały pomalowane na jasnoniebiesko, a wszystkie sprzęty były białe. Wyjątek stanowiła czarna lodówka. Na jej drzwiach wisiały pocztówki, samoprzylepne karteczki-przypominajki, fotografie i inne bzdury, jakie zwykle można zobaczyć w tym miejscu.

– Nie starzej się, kochana. – Ricky odkręciła fiolkę z lekarstwem.

Andrea poznała czerwoną buteleczkę ClearRx z Targetu. Ricky łyknęła dwie tabletki. Na blacie stał co najmniej tuzin buteleczek z innymi lekami.

– Na ciśnienie, cholesterol, przeciwzapalne, gównno na tarczycę, na zgagę, na ból pleców, na oszukanie nerwów. Pepsi może być?

Andrea dopiero po chwili zorientowała się, że Ricky pyta o napój.

– Tak, dziękuję.

Gdy Ricky otworzyła lodówkę, Andrea zwróciła uwagę na wyblakłą polaroidową fotografię nastoletniego chłopaka w krótkich spodniach i z wystrzępioną fryzurą modną w latach siedemdziesiątych. Był bez koszulki, jego chudy tułów i niezgrabne łokcie świadczyły, że znalazł się u progu dojrzewania.

Eric Blakely.

Andrea przypomniała sobie, co Nardo powiedział na farmie o bracie Ricky:

„Zimny z niego trup, biedaczysko”.

– Dobrze. – Ricky wrzuciła do szklanki kostki lodu, otworzyła puszkę z pepsi i zręcznym ruchem nalała ją do szklanki. – Domyślam się, że jesteś tu z powodu sędzi.

Andrea zdawała sobie sprawę, że musi poćwiczyć swoją pokerową minę. Starła się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Dlaczego pani tak uważa?

Ricky wyjęła z ust gumę do żucia i zawinęła ją w serwetkę.

– Judith nie pisnęła słowa, ale w mieście się mówi, że sędzia ma nawrót raka, i tym razem to poważna sprawa. Biedaczka pewnie nie dożyje końca roku. Na jej miejscu chciałabym dowiedzieć się przed śmiercią, co spotkało Emily.

Andrea pociągnęła łyk pepsi, rozważając, jak to rozegrać. Obiecała sobie stanowczo, że nie będzie rozmawiać o Emily, wiedziała jednak również, że okazanie empatii świadkowi to najszybsza metoda zbudowania zaufania.

– Myślę, że poznanie prawdy przyniosłoby sędzi spokój – stwierdziła.

Ricky skinęła głową, jakby potrzebowała tylko potwierdzenia, i powiedziała:

– Chodź ze mną.

Odstawiła szklankę i poszła za gospodynią schodami w dół.

Ricky stanęła przed konsolą i wzięła jedno z oprawionych zdjęć.

Andrea je rozpoznała. Wczoraj wieczorem widziała jego kopię w kolażu Judith. Tyle że to zdjęcie było złożone w harmonijkę, żeby wyciąć Emily z grupy.

– Przepraszam. Ciągle trudno mi patrzeć na jej twarz. Wszystko wraca. – Ricky odwróciła ramkę, wyjęła zdjęcie, rozłożyła je i pokazała Andrei. – Ładna była,

prawda?

Andrea pokiwała głową, próbując udawać, że pierwszy raz widzi to zdjęcie, i jakby od niechcenia wskazała Narda.

– Kto to? – spytała.

– Mój ekspalant – mruknęła Ricky, ale w jej głosie nie było goryczy. Wskazała Clay'a. – To Clayton Morrow. Jesteś policjantką, więc pewnie wiesz o nim więcej niż ja. To oczywiście ja, zanim jeszcze opadły mi cycki i posiwiały włosy. A to mój brat Eric. Nazywaliśmy go Blake.

Andrea zobaczyła swoją szansę.

– Nazywaliście?

Ricky starannie złożyła zdjęcie.

– Umarł dwa tygodnie po śmierci Emily.

Andrea obserwowała, jak Ricky składa ramkę. Na konsoli stało więcej fotografii tworzących coś w rodzaju sanktuarium młodości Ricky: Clay i Nardo z papierosami na przednim siedzeniu kabrioletu. Blake i Nardo przebrani za gangsterów z epoki Ala Capone. Blake i Ricky w pasujących smokingach. Gdyby nie wiedziała, że Emily Vaughn należała do tej zżytej grupy, na żadnym ze zdjęć nie zauważyłaby jej braku.

– Mniej więcej tydzień po ataku na Emily – zaczęła Ricky – Clay powiedział nam, że ma już wystarczająco dużo punktów, żeby wcześniej skończyć naukę. Chciał jechać do Nowego Meksyku i znaleźć pracę przed rozpoczęciem studiów w college'u.

Andrea przeniosła wzrok na książki na dole konsoli. Kroniki szkolne. Szkoła podstawowa Doziera. Gimnazjum Milтона Juniora. Liceum w Longbill Beach.

– Blake zaproponował Clayowi, że pojedzie z nim jako drugi kierowca. W tamtych czasach przejechać ponad trzy tysiące kilometrów to było coś innego niż dzisiaj, na przykład żadnych telefonów komórkowych w razie awarii, a ceny za połączenia zamiejscowe były astronomiczne. Wtedy nie mieliśmy nawet stacjonarnego telefonu na własność, tylko wynajmowaliśmy go z C&P. – Ostrożnie

odstawiła zdjęcie grupowe na swoje miejsce wśród innych fotografii i musnęła placem wizerunek brata. – Nie mogę go winić, że chciał uciec – powiedziała cicho. – Między nami w grupie panowało wtedy straszne napięcie, nawet między mną a Blakiem. Był moim bratem bliźniakiem, wiesz?

Andrea potrząsnęła głową, chociaż to wiedziała, a potem spytała:

– Czy Emily zdradziła pani, kto jest ojcem jej dziecka?

– Nie. – W głosie Ricky pojawił się żal. – Pod koniec Emily w ogóle ze mną nie rozmawiała. Nie miałam pojęcia, kto jest ojcem.

Przywołała słowa Wexlera, które usłyszała od niego w furgonetce. Emily została zgwałcona na imprezie i Andrea musiała założyć, że Ricky też tam była. Eric też. I Nardo. I Clay. Może też Jack Stilton i Dean Wexler. Istnieje syndrom zwany w psychiatrii folie à plusieurs, czyli psychoza urojeniowa, kiedy grupa ludzi dopuszcza się wspólnie aktów zła, jakich żadne z osobna nigdy by nie popełniło. Andrea bez trudu wyobraziła sobie, że jej ojciec zgromadził wokół siebie tak odmiennych ludzi i pozwolił im uwolnić całe zło, które w nich drzemało. Potem wyjechał z miasta, a jego miejsce zajął Dean Wexler.

Spróbowała podejść Ricky z innej strony.

– Na pewno w tamtych czasach snuła pani domysły, kto mógł zabić Emily?

Ricky najpierw tylko wzruszyła ramionami, ale po chwili odpowiedziała:

– Od początku gliniarze skupili się na Clayu, dlatego tak bardzo chciał wyjechać z miasta. A Blake, no cóż... Też miał swoje powody, by stąd wyjechać. Z dziadkiem źle nam się układało, bo wybuchła awantura o pieniądze... W ogóle to był kiepski czas dla nas obojga, niewiele rozmawialiśmy.

Andrea chrząknęła. Wiedziała, że musi działać ostrożnie. Ricky nie stworzyłaby ołtarzyka ku czci jej przyjacielskiego kręgu, gdyby uważała ich za strasznych ludzi.

– Dlaczego policja skupiła się na Clayu?

– Stilton nim gardził – odparła Ricky – to znaczy obaj Stiltonowie. Clay był inny, błyskotliwy, sarkastyczny, przystojny, a ich małe mózdzki tego nie

pojmowały. Dlatego tak go nienawidzili.

Andrea nie przypominała jej, że Clayton Morrow był też psychopata i odsiadującym wyrok przestępcą.

– Nie powinnam tego mówić, ale my wszyscy go kochaliśmy, oczywiście każdy na swój sposób. Emily go uwielbiała, Nardo chciał być taki jak on, Blake uważał, że Clay jest najlepszy na świecie. Byliśmy wyjątkową małą kliką. – Zerknęła na fotografię Claya i jej brata. – Wędrowali po Sandia Mountains w pobliżu Albuquerque i poszli popływać niedaleko Tijeras. Blake zanurkował przy wodospadach i już nie wypłynął. Nigdy nie był dobrym pływakiem. Znaleźli jego ciało dwa dni później.

To przynajmniej wyjaśniało, dlaczego aktu zgonu Erica Blakely'ego nie ma w rejestrze hrabstwa Sussex. Zmarł w innym stanie.

Ricky odwróciła się od zdjęcia, skrzyżowała ramiona i powiedziała:

– To Clay musiał go zabić, tak? Takie wyjaśnienie ma sens.

Andrea pomyślała, że dla niej miałoby jeszcze więcej sensu, gdyby nie przekonała się na własne oczy, do jakiego okrucieństwa są zdolni Nardo Fontaine i Dean Wexler.

– Okropnie potraktowałam Emily, kiedy mi powiedziała o ciąży. – Spojrzenie Ricky powędrowało w stronę kanapy pod oknem. – Siedziałyśmy w tym pokoju, a ja powiedziałam jej tyle strasznych rzeczy. Nie wiem, czemu tak się wściekłam. Ale wiesz, chyba przeczuwałam, że to już koniec. No, koniec naszej małej kliky. Nic już miało nie być takie samo... i nie było.

Andrea odczekała, aż Ricky się uspokoi, i delikatnie znów próbowała przejąć kontrolę.

– Mówi pani o Emily inaczej niż Dean Wexler. On odmalował zupełnie inny obraz.

– Dean? – Ricky nie kryła zaskoczenia. – Czemu miałby w ogóle mówić o Emily?

– No cóż... – Andrea wzruszyła ramionami. – Powiedział, że miała problem z narkotykami i alkoholem.

– To nieprawda. Emily nawet nie paliła! – oburzyła się Ricky. – Jeśli rozmawiałś z Deanem, to z Nardem też. Co powiedział o niej?

– Nawet nie wspomniał o Emily. Agent Bible i ja pojechaliśmy na farmę z powodu ciała znalezione w polu, ale to już pani wie, prawda? To pani powiedziała Bible’owi o tej dziewczynie.

Ricky przyciągnęła brodę do klatki piersiowej.

– Mówiłam już wcześniej, że Ser to bezużyteczny pijaczyna. Czasem się zastanawiam, czy Dean coś na niego ma. Na farmie dzieje się jakieś wariactwo, trwa to od lat, od dekad, a Ser trzęsie portkami i odwraca głowę.

– Jakie wariactwo?

– Wolontariuszki? – Irytacja Ricky narastała. – Chcesz poznać tę historię, to przejrzyj akta sprawy sprzed dwudziestu lat. Oni wyzyskują te dziewczyny.

– Czytałam te akta. – Andrea mówiła spokojnym głosem, w przeciwieństwie do Ricky. – Anonimowa osoba powiadomiła federalnych, dzwoniła z telefonu publicznego przy Beach Road.

Na twarzy Ricky odmalowało się poczucie winy. Wyjęła telefon z tylnej kieszeni i sprawdziła minutnik. Pokazywał jeszcze cztery minuty.

– Suszarka zaraz się wyłączy.

Andrea nie chciała pozwolić jej odejść.

– Ta dziewczyna w polu prawdopodobnie się zabiła.

– Słyszałam.

– Była wychudzona, zagłodzona prawie na śmierć. – Andrea patrzyła, jak Ricky znowu zerka na minutnik. – Wszystkie kobiety na farmie są zagłodzone, wyglądają, jakby żyły w obozie koncentracyjnym.

– Modłę się za nie. – Ricky przetarła wyświetlacz brzegiem T-shirtu. – Modłę się za ich rodziców, ale co z moich modlitw, skoro Dean ma na usługach armię prawników. Nic z niego nie wyciągną, on zawsze wygrywa.

– Zna pani jakieś dziewczyny, które już tam nie mieszkają? – Andrea czuła, że traci Ricky. – Może one zechcą mówić.

– Ledwie wystarcza mi czasu na pranie. Naprawdę uważasz, że mogłabym utrzymywać kontakt z kimś z tamtego okresu mojego życia?

Jednak Andrea nadal próbowała:

– Jeśli ma pani jakieś informacje, możemy zrobić z tego anonimowe powiadomienie albo...

– Skarbie, wyciągnij wosk z uszu, dobrze? Nikogo nie znam. Od dwudziestu lat nawet nie zbliżam się do farmy. – Ricky wreszcie wypolerowała wyświetlacz telefonu w stopniu ją satysfakcjonującym. – Mam stały zakaz zbliżania się, co znaczy, że jeśli podejść do Narda na mniej niż sześć metrów, to mnie aresztują. W trakcie rozwodu Dean tak mnie sekował, że omal nie straciłam bistra. Bogu dzięki, że dom należy do funduszu powierniczego, inaczej zostałabym bezdomna.

Andrea zobaczyła jej strach.

– Dean pomógł Nardowi sfinansować rozwód?

– Dean pomaga Nardowi we wszystkim. Nardo nie płaci za mieszkanie na farmie, nie dostaje nawet wypłaty, przez co nieźle mnie wydymali w trakcie rozwodu. – Andrea wyczuła, że Ricky mówi z większą goryczą o Wexlerze niż o byłym mężu. – Farma to żyła złota, a Dean za zarobione pieniądze tylko kupuje ludzi albo robi ich w chuja. Rządzi jak dyktator, nikt mu nie nakaże, że coś ma zrobić albo czegoś nie zrobić. – Andrea widziała, jak Ricky zaczyna się nakręcać. – To, co robi tym dziewczynom... Przysięgam ci na moje życie, że za moich czasów na farmie tego nie było. Nardo to chory pojeb, ale nie aż tak chory. Owszem, widziałam wyzysk w pracy, lecz to wszystko, nigdy nic więcej. Miałam nadzieję, że dali sobie z tym spokój, kiedy Dean wynegocjował ugodę z rządem. – Ricky wytarła oczy rękawem i zaczęła płakać. – Powiedziałam, że jestem tchórzem przez to, jak potraktowałam Emily, ale gdybym zobaczyła coś tak... odrażającego? Złego...? Różnie można nazwać to, co tam wyprawiają, ale widząc coś takiego, nie trzymałabym języka za zębami.

- Wierzę pani – powiedziała Andrea tylko dlatego, że Ricky tego potrzebowała.
- Jako kobieta jestem oburzona, lecz jako agentka potrzebuję prawnego uzasadnienia, żeby rozpocząć dochodzenie.

Ricky znowu otarła oczy.

- Jezuu, żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Andrea czuła, jak bezsilna jest Ricky.

- Słyszałam, że matka jednej z tych dziewczyn próbowała ją ratować.
- Stuknięta suka chciała porwać własną córkę... – Ricky zdobyła się na wymuszony śmiech. – Nie wiem, co sama bym zrobiła, gdyby moje dziecko żyło w takim miejscu. Nie żebym w ogóle miała dzieci. Nie mam, Bogu dzięki. Wysłałam za tego dupka tylko dlatego, że miał pieniądze, ale rok później jego ojciec stracił wszystko, a Nardo przystał do Sekty Deana. Jezuu, co za mój pieprzony pech, że związałam się z tym gnojem. Życiowy pech. – Jej telefon rozbrzmiał głosem Madonny śpiewającej Holiday. Nie ruszając się z miejsca, wyłączyła alarm i znów otarła łzy. Rozważała możliwości, próbowała zdecydować, ile może powiedzieć, nie mówiąc zbyt wiele. – Nigdy wcześniej o tym nie myślałam – podjęła w końcu.
- Pewnie dlatego, że spytałaś o Emily, a potem zaczęłyśmy rozmawiać o Deanie i...

Andrea usłyszała cykanie suszarki oznajmiające koniec cyklu. Ricky też musiała słyszeć ten dźwięk, wciąż jednak pochłaniało ją szacowanie ryzyka. Dwadzieścia lat po rozwodzie nadal obawiała się tego, co Dean Wexler może jej zrobić. Raczej nie bała się panicznie, w każdym razie miała to pod kontrolą, lecz było oczywiste, że mocno się obawiała.

Wytarła oczy, odchrząknęła i wyznała:

- Wcześniej tak tego nie widziałam, ale całe to zło, które dzieje się na farmie, jest takim samym złem, jakie spotkało Emily Vaughn czterdzieści lat temu.



## 21 PAŹDZIERNIKA 1981

Emily usiadła na podłodze na tyłach szkolnej biblioteki z głową wspartą o kolana. Nie mogła przestać płakać. Czuła bolesne pulsowanie w głowie, w nocy nie spała, miała skurcze w łydkach, żołądek wyprawiał dzikie harce. Jej myśli biegały między Ricky, która mówi, że to koniec ich przyjaźni, a Blakiem, który kładzie sobie jej rękę na tym.

Czy te bliźnięta zawsze były tak okrutne, czy to ona była aż tak głupia?

Znalazła chusteczkę w torbie i wydmuchała nos. Gdzieś z przodu biblioteki rozbrzmiał śmiech, więc skuliła się pod ścianą. Nie chciała, żeby ktoś ją tu nakrył, bo urwała się z chemii. Nigdy nie opuszczała lekcji, aż do teraz, kiedy całe jej życie stanęło na głowie.

Nie mogła znieść spojrzeń koleżanek i kolegów z klasy. Gapili się na nią wszędzie, w holu, w pracowni chemicznej, po kryjomu i całkiem jawnie. Niektórzy pokazywali ją palcami i chichotali, inni patrzyli na nią jak na najbardziej odrażające stworzenie, jakie w życiu widzieli. Ricky miała długi język, ale Emily wiedziała, że to Blake puścił plotki o jej ciąży, bo większość z tych, którzy wytykali ją palcami, obśmiewali i obrzucali wrogimi spojrzeniami, to byli chłopcy. Chociaż słowo „plotka” w kontekście jej ciąży nie miało uzasadnienia, bo plotka dotyczy niepewnych lub wymyślonych zdarzeń, a tu o niepewności czy zmyśleniu nie było mowy.

Bez względu na źródło tej pikantnej plotki – może to był Blake, Ricky, a nawet Dean Wexler – Clay wiedział o jej ciąży. Przekonała się o tym dziś rano, kiedy mijiała sklepy w centrum. Clay był sam i dopalał papierosa, stojąc przy przejściu przez ulicę w kierunku szkoły. Ich oczy się spotkały, nie miała wątpliwości, że ją widzi, i mimo dzielącej ich odległości zobaczyła na jego wargach przelotny

uśmiech. Zaczęła do niego machać, ale jego uśmiech zniknął. Clay rzucił niedopałek do ścieku, odwrócił się na pięcie jak żołnierz na placu apelowym i odszedł w przeciwnym kierunku.

To tyle, jeśli chodziło o Claytona Morrowa, który pozował na buntownika i gardził normami wyzutego z religii współczesnego amerykańskiego społeczeństwa. Równie dobrze mógł zamienić swojego papierosa marki Marlboro na widły. A może uciekał przed własnym błędem.

Clay?

To było pierwsze słowo, które napisała w notatkach na wzór porucznika Columbo. Im więcej rozmawiała z ludźmi, tym większego nabierała przekonania, że to mógł być on.

To byłoby aż tak złe?

Zawsze go lubiła, a także śniła o nim zawstydzająco gorące sny. Czasem, gdy był blisko niej albo spojrzął na nią w ten specyficzny sposób, czuła w sobie przypływ czegoś, co można było nazwać tylko pragnieniem. Clay powiedział jej, że nic między nimi nie będzie, a ona przyjęła to do wiadomości, ale może w wieczór Imprezy zaczęła się do niego kleić, a on był tak nawalony, że wbrew sobie uległ. Ojciec powiedział, że nastoletni chłopcy mają kłopot z samokontrolą. Emily myślała o sobie jak o ofierze, jednak przemknęło jej przez głowę, że to może ona była agresorką?

Tylko czy to możliwe?

Czuła, jakby miała poobcieraną skórę. Siniec na szyi, tam, gdzie chwycił ją Dean Wexler, zaczął przybierać wściekły ciemnoniebieski odcień. Odetchnęła głęboko i wygrzebała z torebki notatki ze Śledztwa Columbo.

Notatki, które zrobiła po wczorajszych spotkaniach z Ricky i Blakiem, nosiły ślady łez, Nic dziwnego, skoro obie te interakcje były, każda na swój sposób, obrzydliwe. Wzdrygnęła się, gdy wspomniała, jak Blake przesunął jej rękę po swoim kolanie w górę, i jego obslizgły język w jej uchu. Dotknęła ucha, jakby ten odrażający jęczor wciąż tam tkwił.

Zamknęła notatnik, bo na pamięć znała treść zapisków. Dean Wexler powiedział, że Nardo i Blake byli w domu tamtej nocy. Blake też powiedział, że on i Nardo byli w domu. Posługując się logiką Columbo, którą przybliżył jej Ser, miała dwóch ludzi mówiących to samo, co oznaczało, że obaj mówią prawdę, mogła więc wyeliminować Deana i Blake'a.

Czy na pewno?

Tego nie wiedziała. Dean i Blake mogli mówić to samo, jeśli wcześniej uzgodnili wspólną wersję, a szukanie potwierdzenia u Narda nie miało sensu. Prawdę mówiąc, tylko jego reakcja na ciężę zupełnie jej nie zdziwiła.

Wczoraj Ricky złorzeczyła, że Esther i Franklin Vaughn, para zamożnych arogantów, zawsze wykupią się z kłopotów, ale tym razem rodzeństwo Fontaine'ów pobiło jej rodziców na głowę. W dostarczonym dziś rano przed śniadaniem liście Gerald Fontaine oficjalnie powiadomił Vaughnów, że Emily nie wolno rozmawiać z Bernardem Fontaine'em, a także rozpowszechniać o nim kłamliwych oszczerstw, w przeciwnym wypadku czeka ich kosztowny proces o zniesławienie. Owca

– Żałosny bufon – stwierdziła Esther, gdy przeczytała list. – Zniesławienie dotyczy enuncjacji pisanych lub drukowanych, które są albo nieprawdziwe, albo oszczercze. Ustne zniesławienie to pomówienie.

Matka triumfowała, gdyż zdobyła punkt za retorykę, ale to Emily miała za to płacić.

– Em?

Podniosła wzrok. Ser opierał się ramieniem o jedną w długich półek. Emily ukryła się w dziale „Odniesienia biblijne”, bo wiedziała, że nikt przypadkowy tu na nią nie wpadnie.

Oprócz tych, którzy wiedzieli, że Emily zawsze chowa się w „Odniesieniach biblijnych”.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Pokręciła głową i jednocześnie wzruszyła ramionami, jednak odpowiedź, która wyszła z jej ust, była najświętszą prawdą:

– Nie, nic nie jest w porządku.

Ser najpierw zerknął przez ramię, potem usiadł obok niej pod ścianą, a ich kolana prawie się zetknęły.

– Zdarzyło się coś nowego?

Zaśmiała się, a potem zaczęła płakać. Znowu ukryła twarz w dłoniach.

– Och, Em. – Ser otoczył ją ramieniem. – Tak mi przykro.

Oparła się o niego. Pachniał wodą marki Old Spice i camelami.

– Będzie dobrze. – Pogłaskał ją po ramieniu, obejmując mocniej. – Czy twoi... czy twoi rodzice pozwolą ci... no wiesz?

Potrząsnęła głową. Jej rodzice już zdecydowali, co się stanie.

– Rozumiem. – Jego klatka piersiowa uniosła się, gdy westchnął ciężko. – Mógłbym... to znaczy gdybyś chciała, to mógłbym...

– Dzięki, ale nie. – Emily spojrzała w jego wielkie cięte oczy. – Blake już mi proponował, żebym za niego wyszła.

– O Jezu. – Ser oderwał się od niej. – Nie, Emily, nie o to mi chodziło. Chciałem zaproponować, że pobiję tego, kto ci to zrobił.

Emily nie wiedziała, czy wierzyć mu na słowo, ostatecznie uznała jednak, że tak, powinna mu uwierzyć.

– Tego tylko mi brakuje, żeby cię zawiesili.

– Nie wyjdiesz za Blake'a, prawda? – Ser był szczerze zaniepokojony. – Em, on jest najgorszy z nich wszystkich.

Emily omal nie parsknęła śmiechem.

– Niby czemu?

– Jest przebiegły. Nie jak Nardo, który jest po prostu wredny, i nie jak zblazowany Clay. Kiedy Blake czuje do kogoś złość czy niechęć, to nie ma przebacz.

Teraz to ona zaniepokoiła się o niego.

– Blake jakoś ci dopiekł? – spytała, a gdy Ser pokręcił głową, wcale mu nie uwierzyła.

– Em, właściwie to możesz coś dla mnie zrobić, jeśli zechcesz. Wiem, że nie mam prawa prosić... – Zawiesił głos.

– O co chodzi? – Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek o coś ją prosił.

– Przestań mnie nazywać Ser, dobrze? – I dodał na widok jej miny: – Nie przeszkadza mi, kiedy ty tak do mnie mówisz, ale oni tak mnie nazywają, więc...

– Dobrze, Jack. – To imię brzmiało zabawnie. Znała go, odkąd zjadł jedną z jej kredek w przedszkolu. – Miło cię poznać, Jack.

Nie uśmiechnął się, tylko oznajmił z powagą:

– Em, nie jesteś sama, ja tu jestem. Twoi rodzice pewnie są wściekli, ale przejdzie im, a ludzie w szkole... Przecież wiesz, że to banda wyrzutków. Zależy ci na ich opinii? Za rok o tej porze będziesz już daleko od tego wariatkova, no nie? Więc czym się zajmujesz?

Musiała przełknąć, żeby słowa przeszły jej przez gardło, lecz jednak przeszły:

– Powiedz, co mówią.

– Że z ciebie bardzo niegrzeczna dziewczynka.

Emily i Jack drgnęli, gdy w ich rozmowę wdarły się pełne sarkazmu słowa uzupełnione pytaniem:

– Co porabiacie, gołąbeczki, w tym kąciku? – Nardo stał oparty o regał. – To tu zmajstrowaliście swój nieślubny owoc miłości?

– Odpierdol się. – Jack dźwignął się z podłogi. Zacisnął pięści. Był lepiej zbudowany od Narda, który jednak był zdecydowanie bardziej brutalny. Jack odszedł, nie oglądając się nawet na Emily.

– Histeryk z tego naszego Sera – rzucił Nardo.

– Chce, żeby mówić do niego Jack.

– A ja chcę, żeby mówili mi Sir Ruchacz Prześwietny. – Nardo klapnął energicznie na podłogę. – Niestety nie zawsze możemy dostać to, czego chcemy.

Jedyną pociechą w tej drodze przez mękę było dla Emily to, że już nigdy nie będzie musiała udawać głuchej na jego złośliwości.

– Twoi rodzice wyrazili się jasno – odparła. – Zakazali mi odzywać się do ciebie.

– A gdzie zabawa, Emmie-Em? – Nardo kopniakiem strącił książki z dolnej półki. – Słyszę, że szukasz piekarza, który wsadził rogała do twojego pieca.

Emily wytarła oczy. Nie dbała już o swoje śledztwo w stylu Columbo, tylko desperacko pragnęła, żeby Nardo wreszcie sobie poszedł.

– To bez znaczenia.

– Serio? – spytał Nardo. – Mogłaś trafić gorzej niż Blake.

– Co? – Nie złapała sensu jego słów.

– Od zawsze marzył, żeby ożenić się z bogatą dziewczyną, która da się kontrolować. – Nardo zaśmiał się złowrogo. – Jak twój ojciec z twoją matką, zgadza się?

Emily znowu wytarła oczy. Nie mogła znieść, że Nardo widzi ją, jak płacze.

– To nie jest śmieszne.

– Daj spokój, mała. Wiesz, że tylko się z tobą drocę. – Nardo umilkł, czekając, aż Emily powie, że wszystko jest w porządku.

Nie zrobiła tego.

Bo to nie było w porządku.

– Będziesz gruba i staniesz się obrzydliwa – powiedział. – Dean mówi, że to najgorsze. Będziesz wyglądać jak balon.

Emily wybiegała myślami tylko kilka godzin do przodu. Położyła dłoń na brzuchu. Nie była piękna, ale zawsze nieźle się prezentowała. Co powiedzą mężczyźni na jej widok za osiem miesięcy? Albo za rok, kiedy będzie chodzić z płaczącym niemowlęciem na ręku?

– Lepiej od razu zaplanuj głodówkę, gdy tylko wyciśniesz to z siebie – podsunął Nardo. – Na szczęście masz dobrą figurę. Spójrz na Ricky. Jeśli kiedyś zajdzie w ciążę, zamieni się w wieloryba i tak jej zostanie na resztę życia. To samo spotkało moją ciotkę Pauline. Obrzydzenie bierze, kiedy się na nią patrzy.

Emily uważała, że Nardo nie ma prawa tak mówić. Był pulchny, żeby nie powiedzieć gruby, jednak chłopcom uchodziło to na sucho.

– Czego chcesz, Nardo?

– Po prostu rozmawiam z tobą. – Zepchnął z półki następną książkę. – Ricky zmieni zdanie, zobaczysz. Konkuruje z Blakiem w sztuce biadolenia, ale w końcu za tobą zateśkni. Nie jest taka ja ty, nie ma innych przyjaciółek.

Emily nigdy nie słyszała tego w tak lakonicznym ujęciu, i nie dało się zaprzeczyć, że Nardo miał rację. Pytanie, czy ona chciała znów przyjaźnić się z Ricky? Jak mogła puścić w niepamięć te wszystkie straszne rzeczy, które od niej usłyszała? Nie była w stanie znowu jej zaufać.

– Niestety mamusia i tatuś jasno dali mi do zrozumienia, że nie mogę zachować się jak rycerz i uratować twojego honoru. – Nardo zachichotał rubasznie. – Wyobrażasz sobie, że się pobieramy? Ricky poderżnie nam gardła, zanim ruszymy w podróż poślubną.

Emily coś mruknęła do siebie. Miała serdecznie dość bezużytecznych chłopaków gadających o małżeństwie.

– Nie twierdzą, że tego nie rozważałem. – Nardo przewrócił kolejną książkę. – Ty i ja. Są gorsze rzeczy, no nie? Chociaż teraz to nie wchodzi w rachubę. Wybrakowany towar i tak dalej.

Kolejna książka wylądowała na ziemi. Nardo próbował zachowywać się normalnie, ale jak zawsze miał jakiś ukryty cel.

– Jesteś pewna, że to się stało na Imprezie?

Emily zeszywniała.

– Tak.

– I nie pamiętasz, jak to się stało? I z kim?

Emily nie mogła przełknąć śliny przez ściśnięte gardło. Ricky już wszystko mu powiedziała.

– Nie, nie pamiętam.

– Jezu. Ja sam niewiele pamiętam z tamtej nocy, więc ci oszczędzę gadania.

Emily spojrzała na niego pierwszy raz, odkąd się zjawiał. Zwyczajowy grymas na jego wargach zniknął, a on rzadko zrzucał maskę dupka. Takim widziała go Ricky, kiedy myślała, jak bardzo go kocha. I to był ten sam chłopak, którego widziała Emily, kiedy myślała o Nardzie Fontainie jak o jednym z jej najbliższych przyjaciół.

– Wszystko jest czarną dziurą? – spytała.

– Prawie wszystko. Za to Blake kompletnie odleciał. Tyle wiem. – Nardo podniósł jedną z książek, które zwałił na podłogę, i zaczął skubać kciukiem jej róg. – Leżałem na kanapie twarzą w dół i patrzyłem na dwa kłęby kurzu tańczące pierwszą scenę z Dziadka do orzechów, gdy usłyszałem, że na górze ktoś beczy jak owca. To był Blake, dasz wiarę?

Emily potrząsnęła głową. Sama już nie wiedziała, w co wierzyć.

– Lezę na górę, a on zatrzasnął się w łazience moich rodziców. Akurat tam, a ja musiałem wyłamać zamek, żeby go stamtąd wyciągnąć. – Odwrócił książkę i przyjrzał się jej grzbietowi. – Klęczał z rękami w takiej pozycji, jakby trzymał kutasa, z tym że spodnie miał zapięte. Był metr od kibla. Nie mam pojęcia, co miał w głowie, ale na litość boską, co za idiota z niego. Pierwszy odlot po kwasie i wizja, że sika? Cały przód dzinsów miał mokry. I nawet nie pytaj o to beczenie. Co za głupek.

Emily zobaczyła, że Nardo szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu.

– Przynajmniej ja widziałem prawdziwego jednoroźca – dodał. – A ty?

Emily znowu spróbowała przełknąć ślinę.

– Naprawdę nie pamiętam.

– Nic a nic? – uparcie dopytywał. – Nie pamiętasz nawet, jak przyjechałaś?

– Pamiętam, jak podchodzę do drzwi twojego domu – przyznała Emily. – Pamiętam też, jak biorę kwas od Claya. A potem pan Wexler odwozi mnie do domu.

– A tak. – Nardo przewrócił oczami. – To pamiętam. Histeryzowałaś z jakiegoś powodu, a ja nie mogłem cię odwieźć, bo ledwie widziałem własną dłoń, a Blake



był obszczany. Musiałem przekupić starego skurwiela resztą kwasu, żeby po ciebie przyjechał.

Emily wsłuchiwała się w intonację jego głosu. Była wystudiowana, pozbawiona zwyczajowej zjadliwości.

– A Clay?

– Chuj go wie. – Nardo wzruszył ramionami. – Wrzeszczałaś na niego, potem pobiegłaś do domu. Byłaś wściekła, bałem się, że potłuczesz porcelanę matki. I wypiąłaś zdecydowanie za dużo szkockiej mojego ojca. Strasznie by się wkurzyli po powrocie do domu.

Emily nigdy nie widziała rodziców Narda wkurzonych z jakiegokolwiek powodu.

– To nie Dean ci to zmajstrował. Jaja mu się przegrzały, kiedy był dzieckiem. Nie zapyliłby cię, nawet gdyby chciał.

Emily spojrzała na swoje dłonie. Tą informacją Dean Wexler nie dzielił się z kim popadnie. A to znaczyło, że już rozmawiał z Nardem.

– Myślisz... – Nardo rzucił książkę na podłogę. – Myślisz, że to mógł być Clay?

– Ja... – Emily przerwała. W myślach przebiegła listę pytań, które zadał jej Nardo. Urabiał ją jak Columbo, brakowało tylko kwestii „jeszcze jedno”.

Chrząknęła, próbując ukryć drżenie w głosie. To nie tylko Dean i Nardo. Wszyscy opracowali strategię: Blake, Ricky, Clay, Nardo i Dean. Wszyscy w tym siedzieli. I wszyscy uznali, że Nardo jest ich największą nadzieją na zamknięcie sprawy.

– A ty uważasz, że to Clay? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Ja uważam, że... – Nardo znów wzruszył ramionami. – Nie chcę zranić twoich uczuć, stara, ale Clay jasno się wyraził, że nie patrzy na ciebie w ten sposób. Pod wpływem kwasu człowiek nie robi rzeczy, jakich nie zrobiłby na trzeźwo. Poza tym, tak zupełnie szczerze, to on ma większy wybór pod ręką, co nie? Nie musi łowić rybek w małym stawie.

Emily nie odrywała wzroku od swoich dłoni.

– Daj spokój, stara, chyba nie uprawiasz myślenia życzeniowego, co? – Nardo czekał, aż Emily podniesie wzrok. – Taka insynuacja może zrujnować Clayowi życie.

Znowu krążyli wokół Claya. Emily zachodziła w głowę, dlaczego nikogo nie obchodzi jej zrujnowane życie. Nawet Ricky skupiała się wyłącznie na chłopakach, na tym, jaki wpływ na nich będzie miała jej ciąża, jak to może zniszczyć im życie.

– Uważaj – powiedział Nardo. – Sama mówiłaś, że nie wiesz, kto to zrobił. Może to się stało kiedy indziej, nie tamtej nocy, kto wie? Masz znajomych poza kliką, z zespołu, z klubu dyskusyjnego i innych.

Emily pożyczyła frazę od Blake'a:

– Wiem, gdzie była moja vagina, Nardo. Jestem do niej bardzo przywiązana. Nie zdołał ukryć zaskoczenia jej ordynarną odzywką.

A ona postanowiła mówić wprost:

– Twierdzisz, że byłeś w łazience z Blakiem. Pan Wexler jest bezpłodny. Kto jeszcze to może być?

– A Ser?

Zaśmiała się pierwszy raz od paru dni.

– Nie mówisz serio.

– Jasne, że mówię serio.

– Jego tam nawet nie było.

– Stał przed tobą, kiedy weszłaś do domu – oznajmił Nardo. – Jezu, Emily, jak myślisz, kto sprzedał nam kwas?

Andrea patrzyła, jak za Ricky Fontaine zamykają się drzwi siatkowe. Jedyna droga do pralni w garażu wiodła po zewnętrznych schodach. Sandały Ricky tupwały po betonie, gdy schodziła zygzakiem po kolejnych kondygnacjach stopni, żeby wyjąć ręczniki z suszarki.

„Całe to zło, które dzieje się na farmie, jest takim samym złem, jakie spotkało Emily Vaughn czterdzieści lat temu”.

Jako tekst rzucony na pożegnanie, te słowa robiły wielkie wrażenie, jednak przy bliższej analizie traciły moc. Emily Vaughn wcale nie została zagłodzona na śmierć. W noc ataku była w siódmym miesiącu ciąży. Miała na sobie turkusową albo morską balową sukienkę – w swoich zeznaniach świadkowie różnie nazywali ten kolor – a nie workowatą żółtą kieckę do ziemi. Miała trwałą, jej włosy sięgały do ramion, a nie do pasa. Była bosa, ale może tu doszły do głosu południowe korzenie Andrei, bo zakładała, że wielu ludzi na farmach biega na bosaka.

Co zatem łączyło oba przypadki?

Cofnęła się myślami do początku rozmowy. To Ricky powiedziała Bible’owi o trupie na farmie, lecz gdy agentka USMS zapukała do jej drzwi, Ricky chciała rozmawiać tylko o Emily Vaughn. To samo zrobił Wexler w furgonetce, ale on był tak oczywistym dupkiem, że Andrea przejrzała go na wskroś.

– Cholera – mruknęła pod nosem.

Podeszła do siatkowych drzwi. Ricky była na pierwszym podejście schodów, a Bible nadal siedział w SUV-ie na ulicy. Znalazła jego numer w telefonie.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Tak?

– Daj znać, kiedy będzie wracać.

– Dobra.

Andrea wsunęła telefon do kieszeni. Nerwy miała napięte jak postronki. Ricky zaprosiła ją do domu, a to znaczyło, że pozwoliła jej wejść do środka, czyli zrezygnowała z praw wynikających z Czwartej Poprawki.

Dom był grą fair.

Idąc w stronę konsoli, znowu wyjęła telefon z kieszeni i sfotografowała zdjęcia w ramkach. Potem kucnęła i odszukała szkolną kronikę rocznika tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden/osiemdziesiąt dwa z liceum w Longbill Beach. Drukarz zostawił kilka pierwszych stron czystych, by uczniowie mogli się wpisać. Ricky nie miała wielu przyjaciół, ale Andrea sumiennie sfotografowała wszystko, co napisali. Przeważały B.W.K., czyli Bądźmy w kontakcie, było też kilka Żegnaj, Longbill!

Wzrok Andrei spoczął na zamkniętych szufladach i serce zabiło jej mocniej. Zgodnie ze swoim zakresem uprawnień mogła podjąć takie działania, na które rozsądna osoba wyraziłaby zgodę. Czy w przypadku Ricky rozsądne było założenie, że Andrea otworzyłaby szuflady? No cóż, bez zahamowań mówiła o grupie, zdjęciach, Emily Vaughn, a także o swoim bracie.

Taka argumentacja z pewnością była naciągana, tak czy inaczej, można ją było uznać za usprawiedliwioną.

Musiała się mocno wysilić, by otworzyć lewą szufladę. Znalazła w niej kawałki papieru, stare rachunki, fotkę Ricky i Blake'a zdmuchujących świece na urodzinowym torcie, a także fotkę Narda i Claya przy kontuarze w bistrze. Andrea utrwałała tyle, ile mogła, sprawdzając czas. Nie miała pojęcia, o której Ricky zeszła po schodach, ale rozładowanie suszarki, załadowanie jej ręcznikami, napełnienie pralki i powrót na górę nie trwały w nieskończoność.

Pociły się jej ręce, kiedy szarpnęła prawą szufladę.

Tu było więcej wspomnień: zdjęcia ślubne Ricky i Narda, srebrna zapalniczka marki Zippo z inicjałami EAB, akt zgonu Erica Alana Blakely'ego z Nowego Meksyku, polisa pogrzebowa Ala Blakely'ego, rachunek w wysokości dwustu

dolarów z domu pogrzebowego w Longbill Beach z „prochami” w opisie, a także rachunek ze sklepu Maggie’s Formal Wear odznaczony jako ZAPŁACONY czerwonym wyblakłym tuszem i podpisem sprzedawczyni. Sięgnęła głębiej, trafiła na płaską metalową kasetkę nieco większą od jej dłoni i wyjęła ją.

Nie miała pojęcia, na co patrzy.

Metalowa kasetka miała wymiary mniej więcej dziesięć na piętnaście centymetrów i była pomalowana na brązowo. Andrea pomyślała, że służy do przechowywania niedużych cygar, ale w wieczku znajdowało się okienko przypominające termometr. Tyle że zamiast cyfr widniały tam pary liter alfabetu. Srebrny metalowy wskaźnik przesuwiał się w górę i w dół okienka.

Andrea nadal nie miała pojęcia, do czego to służy. Odwróciła kasetkę, próbując znaleźć zapięcie, klamrę, przycisk, logo, numer seryjny.

Zadzwoił telefon.

– Wraca schodami na górę – rzucił Bible.

– Cholera. – Andrea zrobiła trzy szybkie zdjęcia kasetki z trzech różnych kątów i odłożyła ją do szuflady, którą musiała dopchnąć biodrem, żeby się zamknęła. Potem przebiegła przez pokój, żeby powitać Ricky pod drzwiami wejściowymi.

– Pomogę. – Wyciągnęła rękę, żeby wziąć od niej kosz, jednak Ricky odsunęła się od niej.

– Nie trzeba, słońce. – Znowu ciamkała gumę do żucia. I zachowywała się inaczej. Andrea pomyślała, że być może Ricky zadzwoniła do kogoś z garażu lub uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. – Przepraszam, ale muszę cię prosić, żebyś wyszła. Już jestem spóźniona do pracy.

Andrea nie zamierzała wyjść.

– Powiedziała pani o farmie, że dzieje się tam to samo, co spotkało Emily. Co pani miała na myśli? – spytała.

– Och, sama nie wiem. – Ricky rzuciła ręczniki na kanapę i zaczęła je składać do wtóru strzałów balonów z gumy do żucia i pobrzękiwania srebrnych bransoletek. – Szczerze mówiąc, trafiłaś na kiepski moment. To oczywiste, że nie

mogę znieść Deana i Narda. Nie jestem wiarygodnym świadkiem, zwłaszcza w świetle zakazu zbliżania.

Andrea obserwowała jej wprawne ruchy, odnotowała też, że mówi szybciej niż przedtem. Może do nikogo nie dzwoniła? Może dwie tabletki, które połknęła na sucho w kuchni, w końcu zaczęły działać?

– Szkoda, że nie mogę bardziej pomóc. – Strzepnęła ręcznik i złożyła go na trzy części. – To, co mówiłaś o Esther... Tak, miałaś rację, potrzebuje spokoju. Mogę powtórzyć to, co powiedziałam Bobowi Stiltonowi czterdzieści lat temu. Widziałam, że Clay tańczył z jedną z czirliderek przez większość wieczoru. Nawet już nie pamiętam jej imienia.

Andrea udała, że nie wyczytała w zeznaniach Ricky czegoś odwrotnego. Najlepsza przyjaciółka Emily Vaughn twierdziła, że nie uczestniczyła w balu.

– Kto to mógł być? – spytała.

– To znaczy... – Ricky złapała następny ręcznik ze stosu. – Ludzie zrobią wszystko, żeby chronić swoje dzieci, tak?

Andrea poczuła, że w jej głowie zapala się lampka ostrzegawcza.

– Tak.

– Nie łapiesz, prawda? – Ricky strzepnęła kolejny ręcznik. – Emily nie umiała być wredna dla ludzi, nawet jeśli na to zasługiwali. Clay nazywał ich jej kolekcją zepsutych zabawek, a Ser był najbardziej zepsuty z nich wszystkich. Ciągłe się koło niej kręcił jak taki mały smutny szczeniaczek. A ona była dla niego miła, ale nie tak.

Andrea chciała się upewnić, że dobrze rozumie słowa Ricky.

– Twierdzi pani, że to Jack Stilton, obecny szef policji, zabił Emily Vaughn?

– Mówię tylko, że to mogłoby wyjaśnić, czemu nikogo nigdy nie oskarżono. Stary chronił swojego syna. – Podniosła wzrok znad ręczników. – Och, nie słuchaj mnie, słońce. Oglądam za dużo programów kryminalnych w telewizji.

Andrea uznała, że tyle jej wystarczy.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas. Proszę dać znać, jeśli coś jeszcze przyjdzie pani do głowy.

Ricky przerwała na chwilę żucie gumy.

– Jasne.

Andrea wyszła. Schodząc po schodach, koniuszkiem języka wyczuła fałd skóry po wewnętrznej stronie policzka. Próbowwała analizować i usystematyzować to wszystko, co się właśnie stało. Mogłaby z tym trochę poczekać, ale wiedziała, że Bible będzie zadawał pytania.

Odczekał, aż Andrea wsiądzie do auta i zapnie pasy, i oczywiście zapytał:

– Co masz?

– Syf, kiła i mogiła, tyle ci powiem.

Bible ruszył spod krawężnika.

– Aż tak źle? Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że coś schrzaniłaś.

Ewidentnie zawiodła go wyobraźnia.

– Ricky uważa, że to Stilton zabił Emily Vaughn.

Zaskoczony Bible parsknął śmiechem.

– Młody czy stary?

– Młody, a stary to zatuszował.

– To ci dopiero. – Bible nie wyglądał na przekonanego. – Ale coś mi się wydaje, że siedzisz jednym tyłkiem na dwóch koniach.

Andrea wyczuła przytyk w jego głosie, niemniej podchwyciła metaforę.

– Ricky od razu chwyciła za wodze i nim zdążyłam napić się pepsi, niemal natychmiast przywołała Emily Vaughn, a Dean Wexler zrobił to samo w furgonetce. Zupełnie jakby oboje czytali te same skrypty. Zaczynają od sędzi, przechodzą do Emily, a potem się rozpędzają.

Bible zmarszczył czoło.

– Bardziej konkretnie opowiedz mi o Ricky.

Andrea chwilę się zastanawiała, a potem spróbowała wypunktować najważniejsze kwestie:

– Powiedziała o bracie, który utonął w Nowym Meksyku dwa tygodnie po śmierci Emily. Przyznała, że była kiepską przyjaciółką Emily. A kiedy docisnęłam ją w sprawie farmy, obsmarowała Deana Wexlera.

– A Nardo?

– Ricky twierdzi, że nie jest uwikłany w sprawki Deana, ale sama już nie wiem. Przecież Nardo musi zdawać sobie sprawę, co się tam dzieje. To sadysta, może lubi patrzeć? – Wiedziała, że będzie musiała to wszystko zapisać, żeby ułożyć sobie w głowie. – Ricky mówi, że kiedy mieszkała na farmie, żadnej sekty tam nie było.

– Wierzysz jej?

– Nie wiem. – Powinna sobie wytatuować te słowa na czole. – Myślę, że ona się ich boi, z tym że Wexlera o wiele bardziej niż Narda.

– To ma sens. On rządzi i kontroluje kasę – stwierdził Bible. – Mów dalej.

– Dean doprowadził do tego, że Ricky ma stały zakaz zbliżania. Możemy to sprawdzić?

– To zadanie dla Leety. – Bible wstukał coś w telefonie. – Czy „stały zakaz” zapalił ci w głowie lampkę ostrzegawczą?

– Tak, oczywiście. Zakaz tymczasowy sędzia zwykle wydaje na podstawie oświadczenia pod przysięgą, a sam zakaz wygasa po paru miesiącach albo latach. Wydanie stałego zakazu zbliżania się wymaga przesłuchania w sądzie, gdzie trzeba przedstawić oświadczenie o niebezpieczeństwie, okazać dowody znęcania się i przemocy, a także dostarczyć sędziemu szczegółów, które przekonają go do wydania stałego zakazu.

– Zgadza się – powiedział Bible. – Co jeszcze?

– Najdziwniejsze były słowa Ricky, że to samo gówno, które dzieje się na farmie, spotkało Emily czterdzieści lat temu.

Bible zadumał się nad tymi słowami.

– Nie widzę w tym sensu. Docisnęłaś ją, żeby to wyjaśniła?

– Próbowałam, niestety włączył się brzęczyk sygnalizujący koniec cyklu suszenia. Kiedy Ricky wróciła na górę, nie chciała kontynuować tematu, innymi



słowy, spławiła mnie.

– No tak... A co przyniosło obejście Czwartej Poprawki?

Wyjęła iPhone'a. Chciała uporządkować zdjęcia w albumy, żeby przez pomyłkę nie wysłać fotek z wakacji do chmury USMS. Zaczęła przewijać zdjęcia, mówiąc przy tym:

– Ricky ma stos kronik szkolnych, począwszy od podstawówki, i mnóstwo zdjęć grupowych, ale Emily została z nich usunięta. Zapalniczka marki Zippo, akt zgonu Erica Blakely'ego z Nowego Meksyku z datą dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, akt zgonu Ala Blakely'ego z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Domyślałam się, że to Duży Al. I jego polisa pogrzebowa.

– Aha – mruknął Bible.

Znalazła zdjęcie metalowej kasetki i pokazała je.

– To mała cygarnica albo pudełko na wizytówki, albo...

Bible parsknął śmiechem.

– To kieszonkowy katalog.

– Nie mam pojęcia, co to jest.

– Pochodzi z epoki kamiennej, kiedy ludzie nie nosili jeszcze całego swojego życia w kieszeni. – Wskazał okienko z literami. – Ten mały suwak ustawiasz w jednej linii z wybraną parą liter; na przykład szukasz „Bible”, ustawiasz go na A-B, szukasz Oliver, przesuwasz na...

– O-P – dopowiedziała Andrea. – To książka adresowa.

– Właśnie, partnerko. Jeśli chcę odszukać twój numer, przesuwam wskaźnik na O-P, wciskam guzik na dole kasetki, a góra odskakuje i pokazuje wszystkie strony na O-P.

Andrea przybliżyła zdjęcie dolnej krawędzi. Przycisk wyglądał jak odprysk na powierzchni kasetki.

– Jak to wcisnąć?

– Paznokciem kciuka. Jeden nieuważny ruch i skończy się siniakiem pod paznokciem. Bardzo niewygodne – powiedział Bible. – Wy, młodzi, nawet nie wiecie, jak wam dobrze.

Jej życie byłoby tysiąc razy mniej stresujące bez telefonu.

– Książka adresowa musiała należeć do brata albo dziadka Ricky. Wszystko inne w tej szufladzie ma związek albo z bratem, albo z dziadkiem.

– Szuflada? – Bible wypowiedział to słowo innym tonem. – Miałaś konkretny powód, żeby do niej zajrzeć?

– Mam uzasadnienie – wyjaśniła, ale i tak się zaczerwieniła.

– Partnerko, uwaga na przyszłość: uzasadnienie to dla mnie za mało. Ja potrzebuję działania zgodnego z prawem. Nie czynisz dobrze, czyniąc źle. – Owszem, powiedział to spokojnie i przyjacielskim tonem, mimo to reprimenda była stanowcza. – Rozumiesz?

Andrea zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Rozumiem.

– Dobrze, lekcja zaliczona. Możesz to odłożyć.

Wyłączyła telefon. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chce zaimponować Bible'owi, póki go nie rozczarowała.

– Wszystko na nic. Nie zdobyłam żadnej informacji, która pomogłaby Star Bonaire i reszcie dziewczyn na farmie. Ricky mnie ograła. Przepraszam.

– Kobieto, przestań krytykować moją partnerkę. – Bible zjechał na bok i stanął przy krawężniku. Odpiął pas bezpieczeństwa i zwrócił twarz ku Andrei. – Coś ci powiem, moja partnerko. Na długiej i nie wątpię, że pełnej sukcesów drodze kariery w organach ścigania napotkasz dwa typy ludzi: takich, którzy chcą mówić, i takich, którzy nie chcą.

– Rozumiem – odparła, myśląc przy tym, że najwyraźniej potrzebuje więcej szkolenia.

– Mając do czynienia z jednymi i drugimi, musisz zadać sobie pytanie: dlaczego? Jeśli ktoś milczy, to nie zawsze znaczy, że jest zły. Może widział

nagrania z ludźmi podobnymi do ciebie, którzy męczą ludzi podobnych do niego. A może chce po prostu pilnować swoich spraw i trzymać gębę na kłódkę. I w porządku, bo nierozmawianie z policją jest niezbywalnym prawem każdego amerykańskiego obywatela. Wczytałaś się w swoją umowę o pracę? Każda jednostka organów ścigania ma to na piśmie. Nie można przesłuchać funkcjonariusza pod nieobecność prawnika. Jest w tym swoista ironia, jednak wszyscy powinni być traktowani tak samo.

Andrea przygryzła wewnątrz policzka.

– Nie mam wątpliwości, że Ricky chciała ze mną rozmawiać.

– To inny typ. Czasem chcą być pomocni. Czasem nic nie wiedzą, ale chcą być w centrum wydarzeń. A czasami chcą zasugerować ci kierunek myślenia korzystniejszy dla nich. Lub też są winni i po prostu chcą wybadać, co wiesz. A może są jak mikser, pasjami uwielbiają mieszać.

– Ricky pasuje do każdej z tych kategorii – stwierdziła Andrea. – Nie wiem, czym się kieruje, coś jednak mi zaświtało. Otóż pod koniec naszej rozmowy odniosłam nieprzeparte wrażenie, że ona coś ukrywa.

Teraz to Bible trzymał telefon w dłoniach. Wystukał coś, mrużąc oczy, i szybko znalazł to, czego szukał, po czym podał telefon Andrei.

Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie spodziewała się zeskanowanego listu. Rozmiar czcionki: dwanaście punktów. Times Roman. Czarne litery na białym tle. Jedno zdanie, same wielkie litery:

CHCESZ, ŻEBY ŚWIAT SIĘ DOWIEDZIAŁ, ŻE TWÓJ MAŻ  
MALTRETOWAŁ CIEBIE I TWOJĄ CÓRKĘ, A TY NIE KIWNEŁAŚ PALCEM,  
ŻEBY JĄ CHRONIĆ?

Andrea spojrzała pytająco na Bible'a.

– Czytaj dalej.

Andrea przeszła do następnego skanu:

POŚWIĘCIŁAŚ SVOJE DZIECKO DLA KARIERY! ZASŁUGUJESZ NA  
SWÓJ NOWOTWOROWY WYROK ŚMIERCI!

Andrea znowu rzuciła spojrzenie Bible'owi.

– To te groźby, które dostała sędzia?

– Tak.

Andrea zmrużyła oczy.

– W takim razie z pierwszego wynika, że Franklin Vaughn znęcał się nad żoną i córką.

– Owszem. Czytaj dalej.

Andrea przeszła do następnej strony.

**UMIERASZ NA RAKA, TWÓJ MAŻ JEST WARZYWEM, A TY MARTWISZ SIĘ TYLKO O SWOJĄ TAK ZWANĄ SPUŚCIZNĘ!**

Andrea przypomniała sobie słowa Bible'a, że „pewne szczegóły” z życia sędzi każą traktować nadesłane groźby poważnie.

– Ricky powiedziała, że choroba sędzi jest tajemnicą poliszynela. Wszyscy wiedzą, że jest nieuleczalna.

– Czytaj dalej.

Andrea załadowała następny skan:

**UMRZESZ, TY AROGANCKA, NĘDZNA, BEZWARTOŚCIOWA SUKO! KAŻDY SIĘ DOWIE, JAKA Z CIEBIE OSZUSTKA. SPRAWIĘ, ŻE BĘDZIESZ CIERPIAŁA!**

A potem kolejny.

**ZASŁUGUJESZ NA POWOLNĄ, BOLESNĄ I PRZERAŻAJĄCĄ ŚMIERĆ ZA TO, CO ZROBIŁAŚ! NIKOGO NIE OBEJDZIE, ŻE BĘDZIESZ GNIĆ W GROBIE! NIEDŁUGO CIĘ ZABIJĘ. UWAŻAJ NA SIEBIE!**

– Wydział Bezpieczeństwa Sądów sprawdza wszelką pocztę, którą otrzymuje każdy sędzia w sądzie – odezwał się Bible. – Ten pierwszy nie był groźny, więc po prostu włączyli go do ewidencji. Kiedy następnego dnia przyszedł drugi, w którym pojawiła się wzmianka o raku, rozmawiali z nią o tym i zaproponowali ochronę, ale stwierdziła, że to nic takiego. Trzeciego dnia przyszedł trzeci list, czwartego następny, a sędzia też je zlekceważyła. Jej prawo. Nie możemy wymusić na niej

zgody na ochronę. Wkroczyłem do akcji dopiero wtedy, gdy na adres prywatnej rezydencji w Baltimore dostała piąty list z martwym szczurem.

– To wygląda jak mania – stwierdziła Andrea. – Przysyłać listy jeden po drugim.

– Właśnie.

– Esther prosiła o ciebie?

– Nie musiała. Szefowa od samego początku na bieżąco informowała mnie o listach, a moja żona Cussy ma oko na sędzię z wdzięczności za to, co zrobiła dla mnie parę lat temu.

Andrea w końcu rozgryzła ten kod.

– I obie, twoja szefowa i twoja żona, zgodziły się, że powinieneś zająć się ochroną, póki autor gróźb nie zostanie namierzony i zneutralizowany?

– Widzisz, mówiłem, że jesteś bystra.

Andrea nie chciała pucharu za uczestnictwo.

– Czy sędzia przyznała, że jej mąż znęcał się nad nią i Emily?

– Sędzia nie odpowiada na pytania, na które nie chce odpowiedzieć.

To brzmiało jak kwestia wyjęta z ust Esther Vaughn, jednak trudno było stwierdzić, czy milczenie sędzi jest potwierdzeniem faktu, czy zaprzeczeniem.

Takie skutki przynosiła władczość.

Andrea jeszcze raz przejrzała skany i ponownie przeczytała wszystkie listy. Jeśli chodzi o groźby śmierci, były dość banalne. Andrea doświadczyła więcej jadu, kiedy mimochodem wdała się w dyskusję o malarstwie Philipa Gustona na facebookowej stronie SCAD. Nie znała ani jednej kobiety, której za samo wyrażenie opinii nie grożono by w internecie brutalnym gwałtem.

Telefon zawibrował. Bible dostał maila.

Andrea odruchowo spojrzała na powiadomienie.

– Jest odpowiedź Leety na twoje pytanie o zakaz zbliżania się Ricky.

– Przeczytaj.

Otworzyła maila, potem załącznik, w którym znalazła się treść orzeczenia przeciwko Ricky Jo Blakely Fontaine.

STRONA PRZECIWNA ZOSTAJE NINIEJSZYM POINFORMOWANA, ŻE WSZELKIE UMYŚLNE NARUSZENIE STAŁEGO ZAKAZU ZBLIŻANIA SIĘ JEST NARUSZENIEM PRAWA, KTÓRE BĘDZIE SKUTKOWAĆ NATYCHMIASTOWYM ARESZTOWANIEM.

– A niech mnie – mruknęła Andrea, myśląc przy tym, że już jaśniej się nie dało. Pominęła standardową treść samego dokumentu i odnalazła wniosek powoda o zakaz zbliżania. Przewinęła go, docierając do samego sedna skargi Bernarda Fontaine’a, i przeczytała ją na głos: – W ostatniej dekadzie moja była żona Ricky Jo Blakely (Fontaine) wielokrotnie pojawiała się w moim domu oraz w domu mojego partnera biznesowego Deana Wexlera i słownie mi groziła. Ostatnim razem była pijana i zwymiotowała na progu domu (zdjęcie w załączeniu). W ciągu ostatnich sześciu miesięcy jej ataki się nasiliły. Przebiła wszystkie opony w moim aucie (zdjęcie w załączeniu), rzuciła kamieniem w okno mojej sypialni (zdjęcie w załączeniu), groziła niektórym pracownikom w moim miejscu pracy (oświadczenia pod przysięgą w załączeniu). Pisała anonimowe listy do różnych agencji rządowych, informując, że mój partner biznesowy (Wexler) i ja działamy poza prawem (kopie w załączeniu). Zeszłego wieczoru zjawiała się w moim miejscu pracy i wymachując bronią (nożem), groziła, że mnie zabije. Wezwano do niej policję (raport w załączeniu). Podczas aresztowania słownie groziła, że zabije mnie i Deana Wexlera. Obecnie siedzi w więzieniu, ale obawiam się o swoje życie, kiedy wyjdzie.

– To spełnia wszystkie warunki stałego zakazu – stwierdził Bible. – Wygląda na to, że nasza Ricky Jo ma swoją ciemną stronę. Kiedy to się działo?

– O cholera, cztery lata temu. – Andrea omal nie upuściła telefonu na widok daty. To nie była zwykła rozróżba. To była masakra.

W domu Ricky sprawiała wrażenie, że rozwód ją zniszczył i że boi się Narda oraz Wexlera. Tyle że nikt nie przecina opon i nie rzyga pod drzwiami szesnaście lat po rozwodzie, jeśli się boi. Takie rzeczy robi się, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Spojrzała na Bible'a, który wyraźnie czekał, aż ona rozgryzie coś, co nie miało nic wspólnego ze stałym zakazem zbliżania się dla Ricky.

– Mówiłam o Ricky, a ty pokazałeś mi groźby śmierci pod adresem sędzi.

– Tak było.

– Uważasz, że to Ricky napisała te groźby – zaczęła spekulować.

– Znowu w punkt, partnerko – odparł usatysfakcjonowany.

– Cholera – szepnęła Andrea, ponieważ wcale nie była tego aż tak pewna. Choć z drugiej strony to wyjaśniałoby brak słownej przemocy seksualnej w tych groźbach, a także szczura. Wzdłuż całej promenady były pułapki, więc Ricky nie musiała daleko szukać, by znaleźć szczurze truchło. Nie mówiąc już nawet o tym, że ostemplowane listy zostały wrzucone do niebieskiej skrzynki na końcu Beach Road.

– Dlaczego? – spytała Bible'a. – Co sędzia zrobiła Ricky?

– Mniej więcej pięćdziesiąt lat temu bistro się spaliło.

Andrea przypomniała sobie, że czytała o strasznym pożarze na stronie RJ's Eats, ale nie widziała związku, chyba że to Esther Vaughn była podpalaczką.

– I co?

– Duży Al wychowywał Ricky i Erica po śmierci ich rodziców w wypadku na łodzi. – Bible bacznie przyglądał się Andrei, czekając na jej reakcję. – Doszło do ugody z operatorem łodzi, który wpłacił dwieście tysięcy dolarów na fundusz powierniczy, żeby zabezpieczyć przyszłość dzieci, a Duży Al został powiernikiem tych środków. Dzieci wiedziały o pieniądzach i były pewne, że mają na studia albo na nowe auto i zadatek na dom. Wtedy za taką kwotę, nawet podzieloną przez dwa, można było sporo kupić.

Dwa i pół roku studiów artystycznych w SCAD kosztowało Andree prawie całą tę kwotę.

– I wtedy spaliło się bistro.

– Właśnie. Duży Al jako powiernik uznał, że dla dobra dzieci pieniądze z funduszu przeznaczy na odbudowę bistra, które od lat należało do rodziny. Duży

Al złożył wniosek w sądzie, który dał się przekonać, i pieniądze poszły na bistro.

– Wniosek do jakiego sądu? – dopytywała Andrea.

– Sąd Kanclerski stanu Delaware rozstrzyga sprawy dotyczące praw obywatelskich, nieruchomości, opieki, funduszy, tego rodzaju kwestie. W tamtym czasie Esther była kanclerzem i zaakceptowała wniosek Dużego Ala o wykorzystanie pieniędzy z funduszu na odbudowę bistra. Powiedziała nawet coś takiego, że edukacja w college’u jest ważna i potrzebna, ale bistro zapewni obojgu dzieciom źródło utrzymania do końca życia.

Andrea próbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby decyzja jednej osoby zaważyła na całym jej dorosłym życiu. Prawdę powiedziawszy, to nie wymagało bujnej wyobraźni.

– Przypuszczam, że brak na to dowodów. W przeciwnym wypadku Ricky zostałaby aresztowana. Czy ktoś ją przesłuchiwał? – spytała.

– Nie idziesz prosto na grzechotnika, tylko łapiesz skubańca za ogon.

Andrea słyszała już tę frazę. Najlepsza metoda złamania podejrzanego to zaskoczenie go informacją, której według niego nie mamy. To zadanie dla inspektora z wydziału bezpieczeństwa sądów. Andrea i Bible byli opiekunami, nie śledczymi.

– Czy sędzia wie, że Ricky napisała te groźby? – spytała.

– Owszem – odparł Bible – jednak to tylko teoria, a nie fakt dowiedziony. Agenci dbają o bezpieczeństwo Vaughnów na wypadek znikomej szansy, że się myślę. Wiem, że trudno w to uwierzyć, partnerko, ale kiedyś już się pomyliłem.

– Zaraz, zaraz. – Andrea wychwyciła w jego wyjaśnieniu lukę. – Wczoraj wieczorem przedstawiłeś profil osoby, która grozi sędzi. Według ciebie to biały mężczyzna w średnim wieku o skłonnościach samobójczych.

– To prawda, co czyni z Ricky wartość odstającą. Zasada numer...

– Och, daj spokój.

– Dobra, przyłapałaś mnie. – Jego pełen samozadowolenia uśmiezek przypominał jej Mike’a. – Mogłem ci powiedzieć, że Ricky jest na moim radarze



od samego początku, ale pogrywałem z tobą, partnerko. Ty coś ukrywasz i ja coś ukrywam, a przecież musimy zbudować zaufanie, czyż nie tak? Zgadza się?

Andrea siłą woli rozluźniła zaciśnięte szczęki i odparła:

– Zgadza się.

– Świetnie – powiedział Bible. – Jest coś jeszcze, co powinnaś wiedzieć. Ricky jest wartością odstającą tylko z powodu płci. Z tego, co wiem, próbowała popełnić samobójstwo co najmniej trzy razy. – Andrea otworzyła usta ze zdumienia, a on mówił dalej: – Pierwszy raz w wieku dwudziestu paru lat. To był celowy wypadek samochodowy, a ona jechała sama. Drugi raz przedawkowała na środku ulicy w dniu czterdziestych urodzin. Zrobiła to widowiskowo, zatrzymała cały ruch uliczny. Trzeci raz działo się to w areszcie. Próbowła powiesić się w celi na komendzie Stiltona, kiedy Dean wezwał policję, żeby ją aresztowała za naruszenie zakazu zbliżania.

– Pytałeś Stiltona o samobójstwa, a on słowem nie wspomniał o Ricky.

– Tak, co znaczy, że kłamał. Pierwsze dwie próby mogły wypaść mu z głowy, ale ostatnia nie dość, że zdarzyła się cztery lata temu, to jeszcze pod dachem jego komisariatu.

Andrea potrzebowała chwili, żeby to sobie przemyśleć. Istniała oczywista przyczyna, dla której Stilton próbował trzymać na dystans dwoje agentów USMS.

– Zaśmiałaś się, kiedy ci powiedziałam, że według Ricky to Jack Stilton zabił Emily.

– Nie twierdzę, że Jacka nie ma na mojej liście, jednak są lepsi podejrzani od niego.

Clayton Morrow. Jack Stilton. Bernard Fontaine. Eric Blakely. Dean Wexler.

– To głupie pytanie – zastrzegła Andrea – ale czy strata pieniędzy z funduszu powierniczego może być wystarczającym powodem do ataku? Ricky ciągle jest wkurzona z tego powodu. Ona i jej brat mogli obwiniać sędziego, że zrujnowała im życie.

– Czy z zeznań świadków nie wynika, że Eric był w sali gimnastycznej w porze ataku? – spytał Bible. – A nikt nie widział tam Ricky.

– Świadkowie nie zawsze są wiarygodni. Wszyscy z przyjacielskiego kręgu Emily mają jakieś alibi, problem w tym, że nie wszyscy mówią prawdę.

– To prawda. Ludzie generalnie mówią to, co myślą, że chcesz usłyszeć.

– Chyba sama odpowiedziałam sobie na moje głupie pytanie. Nie chodziło o sędzie i fundusz powierniczy. Ktokolwiek zabił Emily, nie był wściekły na Esther, tylko był wściekły na Emily. Miała zmasakrowaną twarz, złamane dwa kręgi szyjne, została rozebrana i wrzucona do pojemnika na śmieci. Czemu robić takie rzeczy, zamiast wrzucić ją do oceanu piętnaście metrów dalej? – spytała, choć znała już odpowiedź.

– Bo to była sprawa osobista – potwierdził Bible. – A zabójca nie miał wprawy w zabijaniu.

– Czyli wracamy do motywu, który od samego początku najpoważniej brano pod uwagę: Emily zamierzała ujawnić nazwisko ojca swojego dziecka, a on ją uciszył.

– Właśnie – zgodził się z nią Bible. – Czterdzieści lat temu Wexler sam wykluczył się z gry, gdy wyznał, że jest bezpłodny.

Andrea wiedziała o tym z lektury akt.

– Bob Stilton uwierzył mu na słowo, bo nie było żadnej dokumentacji medycznej ani oświadczenia lekarza w...

– Aktach? – Bible znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu, bo wy dobył od niej przyznanie, że czytała akta ze śledztwa w sprawie Emily Vaughn. – Masz mi coś jeszcze do powiedzenia, partnerko?

Miała jeszcze jedną informację, która jednak nie pochodziła z akt Emily.

– Dean Wexler powiedział mi, że Emily została odurzona na imprezie i właśnie wtedy zaszła w ciążę. Mówił, że nigdy nie odkryła, kto jest ojcem.

Bible nie był tym zaskoczony, ale rozmawiał z wieloma osobami, w tym z matką Emily.

– Zgaduję, że masz teorię, co zdarzyło się tamtego wieczoru.

Słusznie zgadywał, miała teorię.

– Emily Vaughn została zaatakowana między osiemnastą a osiemnastą trzydzieści siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Słońce zaszło około dziewiętnastej czterdzieści dwie. – Bible zaczął kiwać głową, jakby to właśnie chciał usłyszeć, a ona mówiła dalej: – Brutalność ataku wskazuje na napastnika znanego ofierze. Broń już była w zaułku, więc musiało do tego dojść pod wpływem chwili. Na palecie znaleziono czarne nitki, choć to marny dowód, skoro tego wieczoru wszyscy chłopcy byli ubrani na czarno. Po ataku napastnik prawdopodobnie ukrył Emily za stertą worków ze śmieciami, odczekał, aż się ściemni, i przeniósł ciało.

– Co jeszcze?

– Chodzi o zeznania świadków. Stilton powiedział, że wyszedł z balu wcześniej i oglądał telewizję z matką. Clay tańczył z czirliderką, świadkowie go widzieli, ale są w tym luki czasowe. Z Nardem to samo, to znaczy ludzie go widzieli, a potem nie widzieli, podobnie było z Deanem Wexlerem, który miał pilnować uczniów. Najpierw go widzieli, potem już nie. Eric był na balu, świadkowie widzieli, jak kłóci się z Emily krótko przed atakiem, a potem widzieli, jak odchodzi. W zeznaniu twierdzi, że wyszedł z balu wcześniej i resztę wieczoru spędził z siostrą, oglądając filmy. – Musiała przerwać, żeby nabrać powietrza. Miała do przekazania nowy szczegół. – W swoim zeznaniu Ricky potwierdziła wersję Erica, wszystko się jednak posypało, gdy teraz z nią rozmawiałam. Otóż powiedziała, że Clay nie mógł zabić Emily, bo na balu widziała, jak tańczył cały wieczór z czirliderką.

– Kanapka przed i po. – Na pokerowej twarzy Bible'a pojawiły się rysy. – Wróc myślami do domu Ricky. Jak się zachowywała, kiedy przyszłaś? Jaka była, kiedy wychodziłaś? Przeanalizuj to dokładniej. Była nerwowa? Patrzyła ci w oczy, a może...

– Kiedy otworzyła drzwi, wyglądała na wyczerpaną, jakby całą noc nie spała, a po powrocie z garażu zachowywała się jak maniaczka, i tak było do końca. –

Andrea precyzowała w myślach prawdopodobne wyjaśnienie. – Po moim przyjeździe Ricky łyknęła na sucho dwie tabletki z jednej z fiolek i wydaje mi się, że kiedy wróciła z garażu, lek już działał. I wyszła poza schemat. Niechcący umieściła się w pobliżu miejsca zbrodni, a przecież jej tam nie było. Co gorsza, oczyściła Claya Morrowa.

– Dlaczego „co gorsza”?

– Bo... – Andrea wzruszyła ramionami. Chociaż raz jej osobisty związek z Clayem nie miał znaczenia. – To niezbyt mądre. Całe miasto uważa, że to Clay zabił Emily, więc po co zapewniać mu alibi? Jeśli próbujesz zrobić kogoś w morderstwo, wrabiaj kogoś, kto już siedzi.

Bible nie odpowiedział. Patrzył przez okno i w zamyśleniu drapał się po brodzie.

Andrea westchnęła ciężko. Ucisk w piersiach minął. Pozwalając sobie na rozmowę o Emily Vaughn, przy okazji zrzuciła z barków ciężar. Chociaż ulga była marnym pocieszeniem, skoro wcale nie znalazła się bliżej wyjaśnienia, czy Clay Morrow już był sadystycznym mordercą, zanim poznał Laure, czy to przyszło potem.

– Partnerko, powiem ci coś, czego często nie usłyszysz – odezwał się Bible. – Pomyliłem się. Mamy tu sytuację „dwa tyłki, jeden koń”.

Andrea parsknęła śmiechem.

– Zgodzę się być jednym z tyłków, jeśli skończysz z tą końską metaforą.

– Niech ci będzie – powiedział Bible. – Mamy Stiltona, Narda, Deana i Ricky. Co ich łączy? Bezpośredni lub pośredni związek z działaniami na farmie i zabójstwem Emily Vaughn.

Andrea kiwnęła głową, ponieważ wszyscy wymienieni w jakiś sposób byli z sobą powiązani.

– Słyszałaś o obronie SODDI? – spytał Bible.

– Tak. Jakiś Inny Koleś To Zrobił[8] – odparła Andrea. Większość przestępców chętnie wystawia innych przestępców, zwłaszcza jeśli pójdzie na układ uchroni ich

przed odsiadką. – Ale jak to ma nam pomóc? Nic na nich nie mamy. Grózb śmierci nie możesz przypisać Ricky, no i nie mamy nikogo na farmie, kto mógłby donieść na Narda albo Wexlera. Eric Blakely nie żyje, a Clay Morrow będzie leciał z nami w kulki, bo jest znudzony i ma czas, żeby z każdym pogrywać. Stilton może powiedzieć, że zapomniał o próbach samobójczych Ricky albo że wstydził się przyznać, bo prawie umarła, kiedy była pod jego nadzorem. I dobrze, bo powinien się wstydzić.

Bible odczekał chwilę, by się upewnić, że Andrea skończyła, i zaczął swoje:

– Ricky była tak roztrzęsiona, że musiała łyknąć tabletki, kiedy stanęłaś w jej drzwiach, Wexler próbował cię zastraszyć, Nardo powołał się na prawo do zachowania milczenia, a potem chciał cię wyciągnąć na pogawędkę. Natomiast jeśli chodzi o Stiltona, to albo jest najgorszym gliniarzem na świecie, albo próbuje trzymać nas z dala od farmy, bo się boi, że coś znajdziemy.

W aucie znowu zapadła cisza, jednak tym razem to Andrea potrzebowała chwili do namysłu.

– Oni wszyscy panikują – stwierdziła po chwili. – Stilton nie powiadomił cię o samobójstwie Alice Poulsen. Zrobiła to Ricky w bistrze, ale dopiero po jakimś czasie, czyli wtedy, kiedy ona, Nardo i Wexler mogli już uzgodnić swoje wersje.

– Zagnaliśmy ich tam, gdzie chcieliśmy – powiedział Bible. – To żadne odkrycie, partnerko, i przekonałem się o tym wiele razy, że ogarnięci paniką ludzie popełniają mnóstwo błędów, których w innej sytuacji by nie popełnili. Wtedy masz jedno do zrobienia: zwiększasz presję.

Słowo „presja” brzmiało jak coś, co dzieje się bardzo powoli.

Andrea czuła, jakby w każdej sekundzie od chwili opuszczenia Glynco próbowała surfować na fali, której nie może dogonić. Chociaż dobrze się omawiało z Bible’em sprawę Emily Vaughn, to nadal brakowało im konkluzji. Na dodatek Alice Poulsen nie żyła, a Star Bonaire przypominała żywego trupa, który tak naprawdę już kopał sobie grób.

Andrea nie знаła jeszcze definitywnej odpowiedzi na pytanie o powód, dla którego dołączyła do USMS, ale na pewno nie po to przeszła ponad cztery miesiące piekielnie wyczerpującego szkolenia, żeby spokojnie siedzieć na tyłku, kiedy zdesperowana młoda kobieta błagała ją o pomoc.

– Co możemy zrobić? – spytała.

– A jak myślisz, partnerko? Jest kwadrans po piątej.

Andrea przełknęła rozczarowanie. Nadchodziła pora, kiedy mieli zluzować Mitta Harriego i Bryana Krumpa. Obaj patrolowali posiadłość Vaughnów od szóstej rano. Ona i Bible mieli zameldować się na służbie za czterdzieści pięć minut.

– Trzecia zasada agenta: zawsze rób swoje – powiedział Bible.

Andrea oparła się o ścianę, czekając, aż wywołają ją do odbioru zamówienia w McDonalddie. Zgodzili się z Bible'em, że dziś wieczorem bistro nie jest najlepszym miejscem na kolację. Bible wybrał restaurację z fast foodem tuż za miastem. A kiedy zajechali na parking, uśmiechnął się do Andrei, bo adres wskazywał, że czterdzieści lat temu mieścił się tu Skeeter's Grill, gdzie w kontenerze na śmieci znaleziono ciało Emily Vaughn.

Andrea patrzyła w telefon i bezmyślnie przewijała Instagram, ponieważ nic innego nie mogła robić. Miniona doba przywaliła ją niczym tony cegieł. Cztery godziny snu to zdecydowanie za mało dla dorosłej kobiety. Każdy nerw w ciele miała naprężony, była kompletnie wyczerpana emocjonalnie. Gdyby teraz zajrzała do akt sprawy Emily Vaughn, mózg by jej eksplodował. Gdyby jeszcze przez chwilę myślała o Alice Poulsen i Star Bonaire, serce by jej pękło.

Żeby się dobić, otworzyła wiadomości od Mike'a i przejrzała jego próby zwrócenia na siebie uwagi. Fotki gnu, dikdików. Mógł sobie wmawiać, że wsiadł w pierwszy samolot do Delaware z powodu pracy, ale mógł przecież zadzwonić. A on chciał zobaczyć Andreę osobiście. Chciał się upewnić, że jest bezpieczna. A ona kopnęła go w zęby za jego starania.

Wpatrywała się w migający kursor w panelu wiadomości. Mike pewnie siedział już w samolocie powrotnym do Atlanty. Powinna go przeprosić. Musiała go przeprosić. Zachowała się okropnie.

Czemu zachowała się tak okropnie?

Na wyświetlaczu pojawiło się powiadomienie. Laura przysłała jej link do statystyk przestępczości na terenie metropolitalnym Portlandu z podziałem na dzielnice. Dodała tekst.

Pokopię głębiej, kiedy dasz mi znać, w jakiej okolicy chcesz mieszkać.

Andrea wyłączyła telefon. Chciała zamieszkać w podwodnym domku z ananasa jak SpongeBob Kanciastoporty.

– Trzydzieści sześć!

Andrea podskoczyła, jakby wygrała w bingo, i porwała z lady torby oraz napoje. Kiedy otworzyła drzwi SUV-a, Bible rozmawiał przez telefon.

– Rozumiem, szefowo. – Puścił oko do Andrei. – Jedziemy teraz do domu sędzi. Trochę jesteśmy spóźnieni. Nie myśl, że będę miał czas na telefon do żony.

– Mam nadzieję, że ona to zrozumie. – Compton się rozłączyła.

Bible ruszył z parkingu.

– Szefowa doszła do wniosku, że nasza kampania wywierania presji zniesie większe ciśnienie.

Andrea nie miała już siły na kolejne zagadki. Wstawiła obie cole do uchwytów na napoje i otworzyła torbę ze swoją porcją Happy Meal.

– Powiedziała, że biuro prasowe udzieli wywiadu parze reporterów z jednej z największych duńskich gazet. Czyta ją ponad połowa populacji Danii. To jakieś dwieście osób i trochę społecznie zaangażowanych jeży, jednak ważne jest to, że ta historia gdzie indziej może wzbudzić zainteresowanie.

Andrea w milczeniu przeżuwała frytki.

– Reporterzy powinni dotrzeć do Longbill Beach późnym popołudniem. Nie wiem, jak ty, partnerko, ale ja sądzę, że Ricky spoci się na widok reporterów łażących po mieście. A Deanowi Wexlerowi za cholerę nie spodoba się para

wścibskich Duńczyków, którzy zapukają do jego drzwi i zapytają, czemu źle się dzieje w stanie Delaware.

Andrea doceniła nawiązanie do Hamleta, jednak nie podzielała jego nadziei.

– Europejskie prawa przeciwko zniesławieniu są ostrzejsze niż nasze. Zderzą się z tą samą ścianą co my. Dziewczyny na farmie nie chcą mówić. Nikt nie chce mówić.

– Zasada numer szesnaście: śpiesz się powoli.

Bible uśmiechał się, odwijając cheeseburgera, ale wczuł się w jej nastrój. Gdy włączył radio, z głośników popłynął łagodny yacht rock. Bible prowadził jedną ręką, gryząc małe kęsy burgera trzymanego w drugiej ręce.

Andrea dojadła frytki. Źle się czuła z powodu swojego ponurego nastroju w obliczu niezmaconego optymizmu Bible'a. Wziąwszy pod uwagę, że przetrwał nieopisane tortury z rąk zbira z meksykańskiego kartelu narkotykowego, powinna go podziwiać, że dał radę wstać rano z łóżka, a co dopiero rzucać żarty o Duńczykach i jezach. W tej chwili cieszyło ją, że słyszy, jak Bible przeżuwa burgera, a w tle leci Rosanna grupy Toto. Zostało ledwie kilka godzin światła słonecznego w tym najdłuższym dniu jej życia. Czekają ją dwanaście godzin patrolowania posiadłości Vaughnów z powodu groźby, która właściwie już nie była anonimowa.

By dłużej nie kręcić magiczną tarczą swoich myśli od Mike'a do Emily, do Alice, do Star, do Ricky, do Claya, do Jacka, do Narda, do Blake'a i do Deana, spojrzała przez okno. Znaleźli się w innej części miasteczka, ani zamożnej, ani biednej. Zasadniczo Longbill Beach przypominało wielki okrąg z państwowym lasem pośrodku. Dom Ricky, śródmieście, posiadłość Vaughnów i farma stanowiły szprychy tego koła. Przejście z jednego końca na drugi zajęłoby pewnie dwadzieścia minut.

– Ej, partnerko. – Bible ściszył radio. – Muszę coś wyznać.

Jak dotąd jego wyznania bardziej przypominały szokujące rewelacje.

– Według mnie to słowo znaczy co innego, niż ci się wydaje.



Bible zaśmiał się dobrodusznie.

– Nie mów szefowej, ale uzgodniłem z Harrim i Krumpem, że przyjedziemy później. Jesteśmy ledwie trzy minuty od domu sędzi w linii prostej. Pomyślałem, że nie będziesz protestować, jeśli zrobimy sobie następny przystanek.

Bible nie czekał na jej odpowiedź, tylko zwolnił i zjechał na pobocze.

Andrea spojrzała na nieduży dom, przed którym się zatrzymali. Zobaczyła szare płyty z eternitu, czarne listwy, skrzynkę pocztową oklejoną muszelkami, zaadaptowane poddasze z lukarną w dachu krytym gontem. Ogród był zarośnięty, ale nie chwastami. Naturalny, wymagający niewiele wody, przypominał Andrei ogród Laury.

– To tu dorastała Star Bonaire – wyjaśnił Bible. – Teraz mieszka tu jej mama. Pomyślałem, że wpadniemy na pogawędkę i przekonamy się, czy Melody Brickel wie coś o sytuacji córki na farmie.

Andrea wychwyciła jego przebiegłe spojrzenie, które jej rzucił, zanim otworzył drzwi. Wiedział, że Andrea rozpozna to nazwisko. Powinna być zaskoczona, jednak to, że Melody Brickel jest matką Star Bonaire, miało nawet sens.

Rozejrzała się po ulicy, zanim poszła chodnikiem za Bible'em. Domy były tu schludniejsze i bardziej oddalone od siebie niż w sąsiedztwie Ricky. Na podjeździe stała żółta toyota prius. Długi kabel podłączony jednym końcem do auta wił się po ziemi i sięgał wtyczki w wiacie garażowej. Przed domem był zbiornik na deszczówkę spływającą z rynien, a panele słoneczne prezentowały się dumnie na spadzistym dachu. Doświadczenie nabyte przez Andree, która swoje przeżyła w małym miasteczku, podpowiadało jej, że same miedziane łańcuchy deszczowe utwierdzały miejscowych w przekonaniu, że Melody jest stuknięta.

– Domyślam się, że Star odziedziczyła zamiłowanie do roślin po mamie.

Andrea wątpiła, by to cieszyło Melody. Stanęła u dołu schodów i puściła Bible'a przodem. Nie podejrzewała, żeby Melody chciała ich przywitać karabinem AR-15, ale lepiej dmuchać na zimne. Czasem szurnięta jęzda okazywała się naprawdę szurnięta.

Bible delikatnie zapukał do drzwi dwa razy. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

Starsza kobieta o krótkich, ciemnych i rozczochranych włosach patrzyła na nich zza siatkowych drzwi. Najpewniej miała tyle samo lat co Ricky, choć mogła uchodzić za dziesięć lat młodszą. Była szczupła i wysportowana. Czarny top opinał rzeźbione ramiona i mocne plecy. Na grzbiecie prawej dłoni miała kolorowy tatuaż przedstawiający motyla. W lewej brwi tkwił mały okrągły srebrny kolczyk.

– Melody Brickel? – spytał Bible.

– We własnej osobie. – Rzuciła okiem na T-shirt Bible'a. – USMS? Jeśli M oznacza mormonów, to trafiliście pod zły adres.

– United States Marshals Service. – Bible posłał jej jeden ze swoich najmiłszych uśmiechów. – Agent Bible, a to agentka Oliver.

– Cóż. – Melody skrzyżowała ramiona na piersiach, zerkając na Andreę. – Zanim mnie zabierzecie, pozwólcie, że najpierw nakarmię koty. Wiem, że złamałam zakaz zbliżania. Nie będę okłamywać oficera policji.

– Jakie ma pani koty? – spytał nieoczekiwanie Bible.

Melody zmrużyła oczy i dopiero po chwili odpowiedziała:

– Małego puszystego trikolora i bardzo gadatliwego syjamskiego.

– Ja mam syjamkę o imieniu Hedy – oznajmił Bible. – Moja żona nazywa ją moją dziewczyną, bo bardzo ją kocham.

Melody spojrzała na Andreę i znów na Bible'a.

– Proszę wybaczyć, ale myślałam, że agenci USMS ochraniają samoloty i ścigają zbiegów.

– Jest w tym tylko część prawdy. Federalni agenci powietrzni należą do Agencji Bezpieczeństwa Transportu w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, natomiast Agenci USMS podlegają Departamentowi Sprawiedliwości. Namierzanie zbiegów to tylko jedna z wielu usług, jakie oferujemy. – Bible znowu się uśmiechnął. – Też proszę mi coś wybaczyć. Otóż na samym wstępie powinienem zapewnić panią, że przyjechaliliśmy tu tylko porozmawiać, w żadnym innym celu.

Melody nie wyglądała na rozbawioną.

– Zdaniem mojego prawnika nie powinnam rozmawiać z policją, zanim do niego nie zadzwonię.

– Dobra rada.

– Widać, że nigdy nie musiał pan płacić rachunku za usługi prawne. – Melody otworzyła drzwi. – Wejdźcie, miejmy to jak najszybciej za sobą.

Podobnie jak w przypadku domu Wexlera na farmie, Andreę zaskoczył wystrój wnętrza. Sądząc po zarośniętym ogrodzie i zbiorniku na deszczówkę, spodziewała się, że Melody Brickel preferuje patchworkowe narzuty i łapacze snów. Zamiast tego zobaczyła wielkie kwiatowe wzory z lat siedemdziesiątych i kilka starych plakatów z Eurythmics i Go-Go's, które dopełniały tę eksplozję barw.

– To dom mojej matki – wyjaśniła Melody. – Wróciłam tu cztery lata temu, kiedy się dowiedziałam, że Star postradała rozum. Chodźmy na tyły, tam jest wygodniej.

Bible przepuścił Andreę, która pierwsza ruszyła przez salon za Melody, zerkając na jej lewą kostkę. Miała na sobie spodnie rybaczkki i żadnej srebrnej obręczy.

– To Star. Moja Star. – Stała przed fotografiami wypełniającymi krótki korytarz. – Wiem, co sobie myślicie, ale nazwałam ją tak na cześć Ringo Starra. Drugiego R w imieniu pozbyła się w gimnazjum. Przysięgam, że wcale jej tak nie wychowywałam, żeby dołączyła do sekty.

Andrea nie zareagowała na słowo „sekta”, tylko nachyliła się ku fotografiom. Ledwie rozpoznała na nich młodą dziewczynę, która robiła wszystko, co zwykle robią młode dziewczyny na zdjęciach. Star, która teraz wyglądała jak zjawą, w niczym nie przypominała pełnej życia, energicznej i zdrowej nastolatki, która szeroko uśmiecha się do obiektywu.

Melody zwerbalizowała myśli Bible'a i Andrei.

– Ona umrze, jeśli tam zostanie.

Andrea poszła za Melody do kuchni, wprowadzie równie zagraconej, jak kuchnia Ricky, jednak pełnej ciepła i przytulności. Wielki garnek na kuchni, woń drożdży w powietrzu, bochenek chleba w piekarniku... Wszystko to sprawiało, że wspomnienie Star szykującej ciasto na chleb stało się jeszcze bardziej gorzkie.

Bible zwrócił się do Melody:

– Proszę mi coś powiedzieć, ale nie pytam jako agent, tylko z czystej ciekawości. Dlaczego pani złamała zakaz zbliżania?

– Usłyszałam o martwej dziewczynie w polu i musiałam wiedzieć, czy to Star, czy nie. – Melody urwała, żeby zamieszać w garnku na kuchni. – A teraz niech pan mi powie, panie Bible, nie jako agent, ale człowiek. Czy ta dziewczyna się zabiła, czy umarła sama z siebie?

– Co to znaczy: sama z siebie? – spytał Bible.

– One popełniają powolne samobójstwo – stwierdziła Melody. – Z tego, co wiem, dwie już zagłodziły się na śmierć. W sensie dosłownym, po prostu ich ciała się poddały i dziewczyny umarły.

– Kiedy to było?

Melody odłożyła łyżkę.

– Jedna trzy lata temu, druga w maju. Nie podam wam ich imion, bo i tak już nic z tym nie zrobicie, dołożylibyście tylko cierpienia ich zrozpaczonym rodzicom.

Bible w milczeniu pokiwał głową, a pytanie zadał dopiero po chwili namysłu:

– Skąd pani wie o tych zgonach?

– Należę do grupy rodziców i członków rodzin, którzy stracili swoje dzieci z powodu Deana Wexlera. Mieliśmy stronę internetową, niestety musieliśmy ją zamknąć, a nasza strona na Facebooku ciągle jest hakowana. Znaleźli nas nawet w darknecie, ujawnili nasze dane, grozili śmiercią. Każdy cent generowany przez to przekłete miejsce służy ochronie Deana Wexlera.

Ból Melody był tak dojmujący, że Andrea czuła się kompletnie bezsilna.

– A co z Nardem?

– On zawsze był tylko chorym oportunistą. To Dean jest tam Charlesem Mansonem. – Melody znowu zakryła garnek pokrywką. – Jeśli jest jakaś sprawiedliwość na świecie, to czeka go długa i bolesna śmierć.

– W życiu zwykle płaci się za swój charakter – stwierdził Bible. – A może przypadkiem zna pani nazwisko jakichś dziewczyn, które się stamtąd wyrwały? Może zechciałyby...

– Nie ma szans – odparła Melody. – Panie Bible, nie mam już emerytury. Powoli zmierzam ku opiece społecznej, uczę gry na flecie pikolo w przedszkolach, bo każdego zarobionego centa wydałam na prawników, którzy nie pomogli mi wyciągnąć stamtąd mojej córki. Uważam, że każda dziewczyna, która miała siłę i odwagę wyzwolić się spod wpływu Deana Wexlera, powinna być pozostawiona w spokoju.

– Rozumiem panią – powiedział Bible. – Ale wracając do tych nieżyjących dziewczyn, to zastanawiam się, dlaczego nikt nie poszedł z tym do gazet.

– Myśli pan o „New York Timesie”? „Washington Post”? „Baltimore Sun”? – Melody zaśmiała się smutno. – Powolne i celowe głodzenie się na śmierć nie jest sexy w porównaniu ze światową pandemią, chorymi teoriami spiskowymi na temat wyborów, społecznymi niepokojami na świecie i masowymi strzelaninami raz w tygodniu. Nieliczni dziennikarze, którzy zareagowali na moje telefony, powiedzieli, że muszę dać im trochę czasu.

– Rozumiem.

– Panie Bible, pan wybaczy, ale raczej pan nie rozumie. To właśnie czas zabije moją córkę. – Melody oparła ręce na biodrach. – Kiedy Star wplątała się w to szaleństwo, rozmawiałam ze specjalistką od zaburzeń odżywiania o tym, czego się spodziewać. Moja matka była pielęgniarką, potrzebowałam konkretnej wiedzy. Jadłowstręt psychiczny ma najwyższy odsetek śmiertelności wśród wszystkich zaburzeń zdrowia psychicznego. Zazwyczaj poddaje się serce, bo w organizmie jest za mało potasu i wapnia, żeby wygenerować impulsy konieczne do utrzymania normalnego rytmu serca.

Andrea przypomniała sobie ruchy Star w kuchni. Długie przerwy między jednym a drugim. Star była tak niedożywiona, że najmniejszy wydatek energii ją wyczerpywał.

– Jeśli serce się nie zatrzyma – ciągnęła Melody – dopada je osteopenia z powodu utraty wapnia. Kości stają się podatne na złamania, a te złamania się nie leczą. Infekcje wiążą się z zagrożeniem życia, ponieważ system odpornościowy jest upośledzony. Problemy neurologiczne obejmują wiele objawów, od napadów drgawek po deficyty poznawcze wywołane zmianami strukturalnymi w mózgu. Nie zapominajmy o anemii, zaburzeniach żołądkowo-jelitowych, niewydolności narządów, wahaniach hormonalnych, niepłodności, chociaż uważam, że to akurat bardzo wygodne dla Deana i Narda.

– Dlaczego? – spytał Bible.

– Panie Bible, nie jestem rozgorączkowaną histeryczką, jaką zrobił ze mnie Jack Stilton. Po co mieliby głodzić i dręczyć moją córkę, gdyby jej nie posuwali?

Dała im czas na przetrawienie jej słów, kiedy poprowadziła ich dalej na przeszkloną werandę za kuchnią.

I znowu wystrój zaskoczył Andreę. Cała ściana była zajęta bogatą kolekcją płyt winylowych, a w kącie stała profesjonalna perkusja, co wyjaśniało powinowactwo z Ringo Starrem. Oprawione plakaty na ścianie były oryginalne. Andrea rozpoznała festiwale. Bonnaroo. Burning Man. Coachella. Lilith Fair. Lollapalooza. Na nazwach zespołów widniały autografy ich członków.

– Teraz pracuję głównie jako perkusistka studyjna, ale przez trzydzieści lat ja i mój mąż jeździliśmy z koncertami – wyjaśniła Melody. – Moja matka zajmowała się Star, gdy my ruszaliśmy w trasę, z tym że nigdy nie zostawiałam jej na dłużej niż dwa tygodnie. Były bardzo żyte, a potem, cztery i pół roku temu, moja matka umarła. Myślę, że to pchnęło Star ku poszukiwaniu sensu życia, bo czuła się zagubiona. Jestem jej matką, a nie mogłam dać jej tego, czego potrzebowała. Na farmie dostała coś, w co uwierzyła.

Bible usiadł na futonie, tak niskim, że kolana miał na wysokości klatki piersiowej.

– Pani mąż nadal jeździ w trasy?

– Denny zmarł rok przed odejściem mojej matki. Kiedy teraz o tym myślę, to widzę, że właśnie wtedy Star zaczęła się staczać, na przykład eksperymentowała z narkotykami. Choć nie było w tym nic dziwnego, sama eksperymentowałam z prochami i było świetnie. Ale Star nie umiała przestać. – Melody usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Tłustawy trikolor pojawił się znikąd i umościł się na jej kolanach. – Pomijając Deana Wexlera, ucieszyłam się, kiedy zaczęła pracować jako wolontariuszka na farmie. Przestała ćpać, znowu była moją kochaną dziewczynką. Zabawne, jak łatwo zobaczyć wszystkie swoje błędy po fakcie.

Bible wprawnie odwrócił jej uwagę od samooskarżania:

– Jak to było? Znaczą się wtedy, kiedy jeździliście w trasy koncertowe?

– Zajebicie. – Zaśmiała się serdecznie. – Nie byliśmy świetni, ale wystarczająco dobrzy, żeby zarobić na życie, a nie wszyscy mogą to o sobie powiedzieć. Występowałam jako Melody Bricks, to skrót od Brickel, żeby mnie nie mylili z Edie Brickell. Oto ja w kącie, żeby zacytować R.E.M.

Andrea była zaskoczona. Powędrowała spojrzeniem ku kolekcji winyli ułożonych w porządku alfabetycznym. Z okładki Melody Bricks Experience pod literą B spoglądała młodsza wersja Melody i krzyczała do mikrofonu zza perkusji. Andrea przeczytała niektóre tytuły. Everything Gone. Misery Loves Comity. Absent in Absentia. Było to bardzo nowofalowe.

– Tam jest podpisany album Missundaztood – zwróciła się do niej Melody. – Spotkałam Pink w trakcie Party Tour, to była jej pierwsza trasa koncertowa. Niech się pani nie krępuje, można spokojnie pomyszkować.

Andrea nie przyjechała tu dla kolekcji płyt, ale Bible nadał rozmowie z Melody powolne tempo, którego nie chciała zakłócić.

– Poczekajcie, zanim przejdziemy do trudnej części. – Melody wstała, żeby uchylić okna, i lekki powiew wypełnił pomieszczenie. – Menopauza nie jest dla

mięczaków.

– Coś o tym wiem. – Bible zachichotał. – Moja żona Cussy... nie wiem, jak ona sobie radzi.

Melody znowu usiadła na podłodze.

– Wprawdzie zabawnie się z panem rozmawia o kotach i menopauzie, panie Bible, ale przejdźmy już do rzeczy.

– Moja partnerka i ja byliśmy na farmie dziś rano. – Bible urwał na chwilę. – Widzieliśmy pani córkę.

Andrea odwróciła głowę od płyt.

Do oczu Melody napłynęły łzy.

– Czy ona... – Głos uwiązł jej w gardle. – Czy wszystko z nią w porządku?

– Żyje – odparł Bible. – Nie rozmawiałem z nią, a z tego... – Jego telefon nagle się rozdzwonił, więc spojrzał na identyfikator rozmówcy.

– Panie Bible, proszę nie odbierać – odezwała się Melody.

– To tylko moja szefowa. Może zaczekać. – Wyciszył sygnał. – Oliver, pokaż zdjęcie, które zrobiła Star twoim telefonem.

– Co? – Melody podniosła się z podłogi. – Skąd Star miała pani telefon?

– Specjalnie położyłam go na kontuarze w kuchni. – Andrea wetknęła pod pachę oglądaną płytę, żeby wyjąć iPhone'a. – Do zrobienia zdjęcia nie trzeba hasła.

– Tak – powiedziała Melody. – Przycisk aparatu jest na ekranie blokady. Może się pani pośpieszyć?

Andrea wpisała kod i przewinęła zdjęcia w poszukiwaniu tego właściwego.

Melody delikatnie wzięła od niej telefon. Ręce jej drżały, gdy powiększała słowo, które Star napisała w mące: POMOCY.

Melody przełknęła ślinę. Nie ocierała łez, które popłynęły strumieniem z jej oczu. Andrea pomyślała, że po tylu przejściach w ciągu ostatnich czterech lat nieszczęsna matka już nie walczyła ze łzami.

– Nic jej nie było? – spytała. – Czy... czy coś mówiła albo...?

Andrea spojrzała na Bible'a.



– Nie, proszę pani, nie rozmawialiśmy. Jest bardzo chuda, ale chodziła po kuchni. Mąka była na blacie, bo Star piekła chleb.

Zalana łzami Melody wpatrywała się w najświeższy dowód życia swojej córki.

– Kiedyś już zrobiła coś podobnego, to znaczy przekazała liścik przez dostawcę. Kilka miesięcy temu zadzwoniła do mnie w środku nocy i powiedziała, że chce wracać do domu.

– Co pani zrobiła? – spytała Andrea.

– Zwróciłam się do Jacka. Trzeba mu oddać, że pojechał tam dwa razy i próbował narobić smrodu, niestety Star nie chciała współpracować. Nigdy nie współpracuje. Myślę, że ona lubi... przyciągać uwagę. Moja terapeutka twierdzi, że musi czerpać z tego swoistą satysfakcję. Ludzie nie robią czegoś, jeśli nie dostają za to nagrody, nawet jeśli ponoszą negatywne konsekwencje. W tym, co znajome, znajdują pocieszenie.

– A co z... – Andrea nie wiedziała, jak sformułować to pytanie, postawiła więc na szczerość. – Porwała ją pani i chciała zabrać do specjalisty, który pomaga takim osobom porzucić wiarę i system wartości narzucone w sekcie.

– Tak. – Melody uśmiechnęła się słabo, wyjęła płytę spod pachy Andrei i wykorzystwała ją do zmiany tematu. – Koncert w Monterey. Stéphane Grappelli gra Daphne. Lubi pani jazz?

– Nie. – Andrea pokręciła głową. – Ale mój ojciec go uwielbia.

– Panie wybaczą. – Bible spojrział na swój prywatny telefon. – To moja żona, nie mogę jej zignorować. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, odbiorę na zewnątrz.

– Proszę bardzo. – Melody umieściła album na górnej półce, kiedy Bible wyszedł przez kuchnię. Znowu spojrziała na napis w mące i zanim Andrea zdążyła ją powstrzymać, przewinęła ekran do poprzedniej fotografii.

Twarz Alice Poulsen wypełniła cały ekran.

Ukazały się szkliste oczy, zapadnięte policzki, zaschnięta piana wokół bladoniebieskich ust.

Nie było okrzyku przerażenia.

Melody przesunęła palec po wyświetlaczu raz, potem drugi, i z kamienną twarzą oglądała zaognione odleżyny na łopatkach Alice Poulsen, sterczące żebra, łamliwe paznokcie, lekkie zasinienia wokół nadgarstków.

– Wie pani, że posiniaczony albo zwichnięty nadgarstek to jedna z najczęstszych oznak przemocy domowej? – zapytała Melody.

Andrea zapragnęła ponownie pomacać swój nadgarstek.

– Wiem to od mojej terapeutki – ciągnęła Melody. – W niewielkim miejscu skupia się wiele nerwów, więzadeł i kości. Wystarczy złapać i mocno ścisnąć, a człowiek zrobi wszystko, czego od niego chcą.

Andrea знаła kwestię podatności na ból, ale nigdy nie myślała o niej w kontekście przemocy domowej.

– Tak się zaczęło ze Star. Przyszła do domu z bandażem wokół nadgarstka. Była wtedy mocno uzależniona. Nie chciałam wiedzieć, co się stało, byłam pochłonięta sprawami spadkowymi i zastanawiałam się, co zrobić ze swoim życiem.

Andrea nie próbowała podsuwać jej usprawiedliwień, ponieważ wiedziała, że Melody i tak ich nie zaakceptuje.

– Dean to zwierzę. Każdy mężczyzna, który znęca się nad kobietą, jest zwierzęciem. Instynkt im podpowiada, żeby to stopniować. Najpierw złapać za przegub i sprawdzić, czy ujdzie mu to na sucho. Potem chwycić za ramię albo za rękę. I niewiele czasu musi minąć, gdy zaciskają ręce na szyi. Doskonale wiedzą, która nie piśnie ani słowa i będzie to znosić. – Znowu utkwiała wzrok w telefonie. Znalazła pierwsze zdjęcie, które Andrea zrobiła nagiej Alice Poulsen leżącej w polu. Łzy Melody jeszcze nie obeschły, a teraz płynęły strumieniem po twarzy i kapały jak grochy na kołnierzyk koszuli. – Pewnego dnia to będzie Star, a ja nic na to nie mogę poradzić.

Gdy Andrea chciała łagodnie wyjąć telefon z jej rąk, Melody nagle krzyknęła. Ale nie był to okrzyk przerażenia, lecz zaskoczenia. Ostatni raz przesunęła palec po

ekranie i odkryła zdjęcie z tytułami piosenek z kasety składanki, które wykorzystwała Judith w swoim kolażu.

– Boże, całkiem o tym zapomniałam! – Wytarła oczy. – Gdzie to pani znalazła?

Andrea instynktownie postanowiła chronić Judith, dlatego odparła:

– W pudle z rzeczami Emily w domu Vaughnów.

– No jasne. – Melody przyjęła to wyjaśnienie bez zastrzeżeń. – Zabronili mi spotykać się z Emily, więc co jakiś czas podrzucałam jej do skrzynki pocztowej takie kasety składanki. Ta była ostatnia, jaką dla niej nagrałam, zanim została zamordowana. Niech pani spojrzy na to idiotyczne pismo. Próbowałam ukryć, że to ja, na wypadek gdyby mama odkryła, że jej nie posłuchałam.

Andrea udała, że czyta tekst, chociaż znała go już na pamięć.

– Dobrze znała pani Emily?

– Nie tak dobrze, jak bym chciała. Była niezwykłą dziewczyną, jednak bliższy kontakt z nią był utrudniony, bo miała swoją grupę, a nas łączyła tylko miłość do muzyki. Co za tragedia, że ona odeszła, a Dean Wexler ciągle chodzi po ziemi.

– Słyszałam sporo o tym, że Emily ćpała – sondowała Andrea.

– Bzdura. – Melody w końcu oddała jej telefon. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, żadna z nas nie powiedziała stanowczego NIE narkotekom, ale Emily nigdy nie poszła w twarde prochy. Mierzi mnie, że mówię jak moja matka, lecz nie mogę tego pominąć. Otóż Emily obracała się w złym towarzystwie.

Andrea podzielała tę opinię.

– Ma pani teorię, kto mógł ją zabić?

– Mhm. – Melody głośno odetchnęła. – Wszyscy uważają, że to Clay. Wystarczy spojrzeć, co nawyczyniał, gdy już stąd wyjechał. Jeśli to nie jest schemat zachowania, to nie wiem, co nim jest.

– Ricky Fontaine ma inną teorię. – Andrea zauważyła, że Melody uniosła brwi, gdy padło imię Ricky. – Ona uważa, że to robota Jacka Stiltona.

– O w mordę! – Donośny wybuch śmiechu Melody wypełnił całą werandę. – Ricky to załgana pinda, a oni już od przedszkola nienawidzili Jacka. Szczególnie

Nardo czerpał jakąś chorą satysfakcję z dręczenia chłopaka. Emily go za to nienawidziła i zawsze brała stronę Jacka. Wykluczone, żeby Jack kiedykolwiek chciał ją skrzywdzić.

Andrea pomyślała o zakazie zbliżania i powiedziała:

– Ricky potrafi być pamiętliwa i mściwa.

– To niedopowiedzenie roku. Ważne też jest to, że Ricky Blakely od zawsze zależało tylko i wyłącznie na Nardzie Fontainie. Ma obsesję na jego punkcie, a on korzysta z każdej okazji, żeby z nią pogrywać. – Melody znowu wzięła się pod boki. – Przynajmniej raz w tygodniu Nardo zjawia się o późnej porze w tym cholernym bistrze i ciągnie z sobą Star, żeby mieć widownię. To naprawdę obrzydliwe, ale jak powiedziałam, oni muszą coś z tego mieć. W tym, co znajome, można znaleźć pocieszenie.

Po raz pierwszy Andrea zwątpiła w szczerość Melody.

– Ricky ma stały zakaz zbliżania. Nie może zbliżać się do Narda na sześć metrów.

– Mam zakaz wstępu na teren farmy, a byłam tam dziś rano – skwitowała Melody. – Prawo nic nie znaczy, jeśli nikt nie zamierza go egzekwować.

Andrea nie mogła stwierdzić z całą stanowczością, że Melody jest w błędzie.

– Czy mogę spytać o coś innego? Ciekawi mnie pani zdanie w pewnej sprawie.

– Jestem w cugu, proszę pytać.

– Ricky Fontaine powiedziała, że całe to zło, które dzieje się na farmie, jest takim samym złem, jakie spotkało Emily Vaughn czterdzieści lat temu.

– Hm... – Czyli żadne „niemożliwe” ani „Ricky bredzi” albo kolejne „o w mordę”. – Może, kto wie? – dodała Melody po chwili.

Andrea poczuła nagłe drżenie serca. Melody znała Emily i całą grupę, a także doskonale wiedziała, co dzieje się na farmie.

– No dobrze... – Melody umilkła na moment, żeby zebrać myśli. – Przed śmiercią matka coś mi powiedziała. Nie powinnam o tym wiedzieć, bo to tajemnica lekarska, ale to już bez znaczenia.

– Tak...? – Andrea wstrzymała oddech.

– Trochę wiem od mamy, trochę usłyszałam w szkole, trochę od samej Emily. Ona została odurzona i zgwałcona na imprezie, i kompletnie nic z tego wieczoru nie pamiętała. Tak bardzo nic, że według mnie nawet nie ustaliła, kto ją zgwałcił. To nie była taka impreza, jak pani sobie wyobraża. Żaden wielki spęd, tylko Emily i klika, to znaczy Nardo, Blake, Ricky i Clay.

– Klika? – Andrea pamiętała, że Ricky też użyła tego słowa.

– Tak, klika. Uważali, że są tacy niezwykli, tacy tajemniczy. – Melody przewróciła oczami. – A najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że tak naprawdę byli żałośni. I mówię to jako osoba, która sama była godna politowania. Emily i ja grałyśmy w szkolnym zespole, nosiłyśmy tęczowe szelki z Mork & Mindy i aparaty ortodontyczne.

Andrea omal nie parsknęła śmiechem. Tego sobie nie wyobrażała.

– Na zdjęciach widać, że Emily była bardzo ładna.

– Nieważne, jaka jesteś ładna, jeśli o tym nie wiesz – stwierdziła sentencjonalnie Melody. – Ricky wzbudzała powszechną niechęć, była wybuchowa, gwałtowna i afektowana nawet jak na nastolatkę. Blake zawsze kalkulował i w każdej rozmowie szukał okazji, żeby tego drugiego wykorzystać. I jeszcze Nardo. Dzieci wybierały inną drogę do klasy, żeby się na niego nie natknąć. Ma to w genach, był i jest niewiarygodnie okrutny.

Andrea dotąd nie słyszała, żeby ktoś opisywał ich tak precyzyjnie.

– A Clay?

– On ich wszystkich połączył. Sprawił, że poczuli się wyjątkowi, każdy z nich stał się niezastąpionym ogniwem kliki. Bez niego byliby nikim, ale w zamian żądał od nich bezwzględного oddania. A to oznaczało włamania do samochodów, narkotyki, w ogóle to wszystko, czego Clay tylko sobie od nich zażyczył. – Wzruszeniem ramion skwitowała wyczyny grupy. – I tylko Clay był naprawdę popularny. Wszyscy go uwielbiali, miał niesamowitą zdolność wyczuwania, czego ludziom brakuje, i wypełniał im tę pustkę. Był bardzo skutecznym kameleonem.

Andrea wiedziała, że nadal nim jest.

– Co z Deanem Wexlerem?

– Był wstrętnym nauczycielem wuefu, który ciągle niby przypadkiem wchodził do szatni dziewczyn, kiedy się przebierały. Dziś widzę w nim tanią podróbkę Claya Morrowa. Niby powinno być odwrotnie, bo Dean jest starszy, ale to Clay wywierał zły wpływ na wszystkich, Dean też mu się nie oparł. – Ton głosu Melody się zmienił na wspomnienie dręczyciela jej córki. – Clay miał chociaż wdzięk, a Dean jest prymitywem, zależy mu tylko na kontroli. To upiór z czeluści piekieł.

– Możemy wrócić do pani wcześniejszych słów? – Andrea delikatnie odwiodła Melody od Wexlera. – Jak zareagowała Emily, kiedy się zorientowała, że została zgwałcona? Musiała być zdruzgotana.

– Była zdruzgotana. Moja matka była przy tym, kiedy Emily dowiedziała się, że jest w ciąży. Powiedziała, że to był jeden z najbardziej bolesnych momentów w jej życiu. Emily była w szoku, choć w tamtej chwili nie tyle z powodu samej ciąży, ile zdrady, która straszliwie zaboląła, ten ból przeniknął ją całą. Klika była jej życiem i to, że ktoś z kliki dopuścił się czegoś tak potwornego, wydawało się niewyobrażalne. Wręcz obsesyjnie chciała odkryć, kto jej to zrobił, nazywała to swoim „Śledztwem Columbo”.

– Od telewizyjnego detektywa?

– Tak, detektywa grał Peter Falk, zresztą świetny aktor – odparła Melody. – Emily prowadziła to swoje śledztwo z wielką powagą i bardzo metodycznie. Już mówiłam, że taka właśnie była, a nieraz przypominała maniaczkę. Przeprowadziła rozmowy według ustalonego wzorca i wszystko dokładnie spisała. Widziałam ją w klasie albo w holu, jak ślęczy nad notatkami i próbuje ustalić, czy coś przeoczyła. Sądzę, że to było coś w rodzaju pamiętnika, wszędzie z tym chodziła. Było mi jej żal, bardzo żal, i myślę, że zginęła przez to rozpytywanie.

Andrea zastanawiała się, czy fragmenty prywatnego śledztwa Emily znalazły się w kolażu nastoletniej Judith. Te oderwane cytaty pasowały jako wyznania afirmatywne dla nastolatki z obsesją:

Nie rezygnuj, próbuj to rozgryźć!

Odkryjesz prawdę!

– Kogo Emily przepytала?

– Łatwo się domyślić. – Melody wzruszyła ramionami. – Najpewniej tych samych, których przesłuchał ojciec Jacka.

Clayton Morrow. Jack Stilton. Bernard Fontaine. Eric Blakely. Dean Wexler.

– Jak to, co spotkało Emily na imprezie, łączy się z tym, co dzieje się na farmie? Czy Dean odurza te dziewczyny? – zapytała Andrea.

– Ich nie trzeba odurzać, i tak zrobią wszystko, czego Dean od nich zechce. – Melody znowu wzruszyła ramionami. – Sprytne, nie? Instynktownie wybierają dziewczyny, które są podatne na manipulację. Nardo je przeświewa. Pamiętam, jak Star ekscytowała się rozmowami kwalifikacyjnymi. Pluję sobie w brodę, że nie zauważyłam u niej nadmiernego spadku wagi, ale przecież kobiecie się nie mówi, że jest za chuda, prawda?

Andrea potrząsnęła głową, chociaż wiedziała, że Melody nie szuka u niej potwierdzenia.

– Przestałam ją widywać, kiedy przeniosła się na farmę. Dean separuje je od rodzin, to należy do wzorca. Najpierw nie ma odwiedzin, zostają tylko telefony, które stają się coraz rzadsze, potem maile od czasu do czasu, aż wreszcie zapada cisza. Wszyscy rodzice, z którymi rozmawiam, opowiadają tę samą historię. Patrząc wstecz, to samo zrobił Clay ze swoją kliką, wszyscy z tej grupy byli kompletnie izolowani. Wszyscy prócz Emily, ale jej życie bardzo się przez niego zawężyło.

Andrea musiała o to spytać i uznała, że nastał ten moment:

– Wie pani o bransoletach, które dziewczyny z farmy noszą na kostkach?

– Tak. – Melody nabrała powietrza. Temat bransolet musiał być dla niej wyjątkowo trudny. – Widziałam ją kilka dni po tym, jak Star przestała się odzywać. Pojechałam tam, załomotałam w drzwi i zażądałam widzenia z córką. Była bardzo dumna z powodu tej bransolety, jakby przeszła inicjację do czegoś wyjątkowego.

Wyglądało to tak, jakby trzeba było na tę bransoletę zasłużyć. Jakby Dean ciągle stawiał najlepsze oceny swoim ulubionym uczniom. Nie rozumiem tego.

Andrea też tego nie rozumiała.

– Mówiła pani, że zachowywał się wstrętne? A skąd się wzięła sprawa wagi?

– Odkąd go pamiętam, pasjonował się zdrowym jedzeniem, ultramaratonem i tym wszystkim, co w latach osiemdziesiątych ludzie uważali za wariactwo. Pamiętam, że był wyjątkowo okrutny wobec pewnej uczennicy z nadwagą, choć oczywiście wszyscy byli dla niej podli. Dzieci w grupie bywają z natury sadystyczne, ale on ją sobie upatrył. Zostawiał na jej ławce plany diet, mlaskał, kiedy przechodziła. – Melody pokręciła głową z odrazą. – W każdym razie łatwo wytyczyć prostą linię od tamtego Deana do obecnego Deana, tego fetyszysty anoreksji. Poza tym seks to seks. Połączenie obu tych spraw ma sens.

– A Star? – zapytała Andrea. – Co ona z tego miała?

– Raz ją o to spytałam, kiedy jeszcze ze mną rozmawiała. Zaserwowała mi brednie o miłości – odpowiedziała Melody. – Od specjalistki zaburzeń odżywiania wiem, że w przypadku anoreksji głód może uzależniać i działa na organizm jak środek halucynogeny. Najpierw człowiek popada w trans podobny do snu i w tym stanie jest bardzo podatny na sugestię. Aż w końcu mózg przestaje działać, żeby oszczędzać energię. Człowiek traci...

Melody zasłoniła dłonią usta. Jej oczy znowu nabiegły łzami. Było jasne, że myśli o własnej córce.

– Proszę się nie śpieszyć – powiedziała Andrea.

Minęło kilkanaście sekund, zanim Melody powoli opuściła rękę.

– Człowiek traci świadomość. Tak się dzieje, kiedy nie dostarcza ciała pożywienia. Mdleje, traci czucie...

Andrea powtórzyła słowa Ricky:

– Całe zło, które dzieje się na farmie, jest takim samym złem, jakie spotkało Emily Vaughn czterdzieści lat temu.



– Tak, można powiedzieć, że Emily była nieprzytomna, gdy została zgwałcona – powiedziała Melody. – Kiedy zorientowałam się, co dzieje się ze Star, myślałam tylko o jednym: co za pokręcony skurwysyn może chcieć seksu z kobietą, która tak naprawdę jest w śpiączce.

Clayton Morrow. Jack Stilton. Bernard Fontaine. Eric Blakely. Dean Wexler.

– To bardzo bliskie nekrofilii, prawda? Kobieta nie ma pojęcia, co robi mężczyzna, cały czas jest kompletnie odrętwiała, nie może kazać mu przestać albo prosić, żeby kontynuował, jeśli jej dobrze. Jest bezwolną kolekcją otworów ciała, równie dobrze mogłaby być manekinem. Jakiego sadystę to rajcuje?

Andrea spojrzała na swoją lewą dłoń. Siniec stał się widoczny, a wokół nadgarstka pojawiła się ciemna obwódka, czyli ślad po kciuku i palcach Deana Wexlera.

– Oliver! – Podskoczyły, kiedy Bible gwałtownie otworzył frontowe drzwi. – Potrzebuję cię! – zawołał.

Popłoch w jego głosie wywołał reakcję łańcuchową w ciele Andrei.

W akademii spędzili długie godziny na rozmowach o adrenalinie, zwanej też epinefryną, która może albo uratować, albo zabić. Wyrzut hormonu do układu krwionośnego wywoływał reakcję „uciekaj albo walcz”, wyostrzał zmysły, pobudzał system nerwowy. Na poziomie mikroskopijnym drogi oddechowe się rozszerzały, a naczynia krwionośne kurczyły, przekierowując energię ku płucom i głównym grupom mięśni.

Andrea była nieświadoma tego, co wyczynia jej organizm, gdy skoczyła do drzwi. Była już na zewnątrz, kiedy dotarło do niej, że w ogóle się rusza. Odbiła się od górnego schodka i wylądowała twardo na chodniku. Bible już siedział w SUV-ie, okno było opuszczone.

– Patrz! – Wskazał pióropusz czarnego dymu w oddali. – To dom sędzi! Zgłoś to!

Bible był tak spanikowany, że nawet nie czekał, aż Andrea wsiądzie do auta. Odjechał, kiedy ona wybierała numer alarmowy. W zapadającym zmierzchu niebo

stało się opalizujące. Andrea ledwie widziała, jak Bible bierze ostry zakręt w lewo na końcu ulicy. Nie pobiegła za nim. Mówił jej, że dom sędzi stoi trzy minuty w linii prostej stąd, a słup dymu był idealnym drogowskazem.

Wbiegła do ogrodu naprzeciwko domu Melody, a gdy przeskakiwała ogrodzenie z siatki drucianej, wreszcie zgłosiła się operatorka numeru alarmowego.

– Pożar u...

– Sędzi Vaughn – dokończyła operatorka. – Służby już powiadomione.

Wsadziła telefon do kieszeni, wspięła się na drewniany płot, wylądowała na kuble na śmieci, stoczyła się na ziemię i poczuła woń gęstego gryzącego dymu. Ciemny kolor zdradzał, że płonie drewno, a więc na pewno meble, a także regipsy. Przyśpieszyła. Szczypały ją oczy i paliły płuca, bo wiatr zmienił kierunek i dym leciał prosto na nią.

Przecięła szpaler drzew, znalazła się na ulicy naprzeciwko posiadłości sędzi i zobaczyła, że płomienie buchają za domem. Poprzedniej nocy wielokrotnie obchodziła całą posiadłość i w myślach odtworzyła wnętrze domu. Dwa skrzydła, północne i południowe. Główna część z biblioteką, gabinetem, oficjalnym salonem i jadalnią. Kuchnia na tyłach obok garażu. Nigdy nie wchodziła na piętro, ale wiedziała, że sędzia i jej mąż śpią w północnym skrzydle. Robiąc obchód, widziała światła w ich sypialni. Balkon wychodził na pracownię Judith.

– Cholera! – Jeszcze bardziej przyśpieszyła. – Pracownia!

Czyli terpentyna, klej w sprayu, farby, bejca, kwasy, płótna, drewno i mnóstwo innych rzeczy, które albo się zapalą, albo eksplodują i zniszczą cały dom.

SUV Bible'a właśnie zajechał na podjazd, więc zabębniła pięścią w bok auta i wrzasnęła:

– Pracownia!

– Leć! – odkrzyknął Bible.

Widziała, jak zatrzymuje się przed garażem i wyskakuje z auta.

Z garażu coś się wyłoniło. To Harri i Krump nieśli Franklina Vaughna, a sędzia szła za nimi, przyciskając do piersi wielką teczkę. Musiała być bardzo ciężka,

skoro Esther Vaughn potknęła się i niemal runęła na ziemię. Na szczęście Bible zdołał ją złapać, a potem poprowadził jak najdalej od płomieni.

Andrea dopadła rogu domu i zobaczyła, jak Guinevere wbiega do garażu. Zawahała się, ale Bible pobiegł za dziewczyną. Jeśli pracownia stanie w ogniu, wszystko i tak przestanie się liczyć, bo dom wyleci w powietrze, zanim ludzie zdążą oddalić się na bezpieczną odległość.

Poślizgnęła się, skręcając za róg. Buzujący ogień rozświetlał teren za domem, czyli angielski ogród, basen i pracownię. Andrea zakasłała, dusząc się gęstym dymem, gdy ogień ogarnął sypialnię sędzi. Czerwone jęzory buchały z okien, pochłaniając drewno i sięgając ku pracowni niczym dłonie chaotycznie szukające czegoś po omacku.

Potknęła się i upadła na twarz, a jej nos chrupnął po zderzeniu z kamienną ścieżką. Zobaczyła gwiazdy. Potem zmrużyła oczy i odwróciła się, by sprawdzić, o co się potknęła.

Zobaczyła terpentynę, puszki z farbą i werniks. Czyli Judith ją ubiegła. Latała w tę i z powrotem, wynosząc łatwopalne substancje i wrzucając je do basenu.

Andrea dźwignęła się z ziemi, pobiegła do pracowni i zaczęła chwytać wszystko, co wyglądało groźnie, na przykład spraye czy pojemniki z płynnym klejem. W drodze do basenu minęła się z Judith i na chwilę skrzyżowały spojrzenia. Obie wiedziały, jak śmiertelnie niebezpieczne są te chemikalia. Pierwszy wykład w akademii sztuk pięknych zawsze traktował o groźbie zatrucia czy spłonięcia żywcem w kontakcie z tymi substancjami.

Andrea wrzuciła do basenu naręcze puszek i wróciła po następne. Dym w jej piersiach gęstniał, a odruch „uciekaj albo walcz” kazał jej uciekać. W oddali czekało świeże powietrze. Mogła się położyć i zatamować krew spływającą do gardła. Mogła zamknąć oczy i odpocząć.

Potrząsnęła głową najmocniej, jak zdołała, żeby rozjaśnić myśli, i puściła się pędem do pracowni. Judith wlokła za sobą dwudziestolitrowe wiadro. Andrea rozpoznała znaczki na etykiecie. Sam kwas siarkowy nie był palny, ale

w niesprzyjających okolicznościach mógł przejść w łatwopalny wodór, który wywołał katastrofę sterowca Hindenburg.

Gdy złapała uchwyt, rozgrzany metal wżarł się w skórę. Wiadro było prawie pełne, a gdy próbowały je podnieść, Andrea stęknęła, bo metalowy kabłąk wrzynał się w palce jak brzytwa. Jej płuca nie mogły już bardziej się rozszerzyć, a wzrok się mącił.

– Podnieś! – krzyknęła Judith.

I Andrea podniosła, a potem na trzęsących się nogach zaczęła ciągnąć wiadro z kwasem po trawniku. Usłyszała za plecami donośny trzask, ziemia zadrżała, podpory balkonu zaczęły spadać. Za chwilę piętro osunie się na pracownię.

– Uciekaj! – krzyknęła, walcząc z porażająco ciężkim wiadrem.

Nagle ciężar zniknął.

Przez chwilę czuła lekkość, gdy podmuch wyrzucił ją w powietrze, a potem zimną falę, gdy wylądowała pod wodą. Upadła bokiem, uderzając barkiem o dno basenu, a krew napłynęła jej do ust, bo przygryzła wargę. Judith unosiła się bezwładnie obok niej z rękami nad głową, natomiast wiadro miękko osiadło na dnie. Andrea odwróciła się i spojrzała w górę, w kierunku powierzchni wody, i zobaczyła szalejące płomienie. Potem spadły kawałki poskręcane metalu, a po nich deszcz błyszczących okruchów szkła.

I nastąpiła ciemność.

[8] SODDI, skrót od angielskiego Some Other Dude Did It (Jakiś inny koleś to zrobił). (Przyp. tłum.).

## 21 PAŹDZIERNIKA 1981

Emily wędrowała w stronę domu. Było jej gorąco, lepiła się od potu, bała się, że pęcherz zaraz jej pęknie. Dzisiaj przeżywała najdłuższy dzień swojego życia. Odkąd wyszła z kryjówki na tyłach biblioteki, każda minuta wydawała się godziną. Każda godzina wydawała się całym dniem. W porze lunchu próbowała coś zjeść, ale wszystko miało metaliczny posmak. Przed czwartą lekcją była już tak wykończona, że ledwie powłóczyła nogami. Na piątej lekcji obudziło ją donośne klaskanie nauczyciela.

Powiedziała, że źle się czuje, a nauczyciel przyjął to wyjaśnienie do wiadomości i pozwolił jej wyjść dwadzieścia minut przed końcowym dzwonkiem. Z perspektywy czasu wyjście na pusty korytarz było najlepszym rozwiązaniem ze wszystkich możliwych. Z upływem dnia chichoty i ukradkowe spojrzenia ustępowały miejsca jawnej wrogości, która rozlała się na całą szkołę. Nawet nauczyciel matematyki zaczął patrzeć na nią z góry.

Dlaczego?

Jeszcze kilka dni temu Emily mogła o sobie powiedzieć, że przez prawie osiemnaście lat swojego życia była grzeczną panią, ulubienicą nauczycieli, świetną uczennicą, przyjacielsko usposobioną dziewczyną z sąsiedztwa, która zawsze pożyczy notatki z lekcji albo posiedzi na parkingu ze szlochającą koleżanką, która właśnie rozstała się z chłopakiem.

Lecz oto przemieniła się w pariasa.

Trwała przy niej tylko Melody Brickel, ale Emily nie była pewna, co o tym myśleć.

Przez lata były kimś w rodzaju peryferyjnych przyjaciółek, zawsze uśmiechały się do siebie na korytarzu, rozmawiały o muzyce, śmiały się z głupich żartów na

próbach zespołu. Kilka razy dzieliły nawet pokój na obozie muzycznym, chociaż kiedy autobus przywiózł ich z powrotem do domu, Emily natychmiast zapragnęła powrócić na łono kliki.

Teraz Melody napisała do niej list. Emily nie musiała wyjmować go z torby, żeby wiedzieć, co w nim jest. Przez cały dzień czytała go raz po raz, chowając się nawet w kabinie w łazience, żeby w spokoju analizować każde słowo.

Cześć!

Bardzo mi przykro z powodu tego, co Cię spotkało. To BARDZO niesprawiedliwe. Powinnaś wiedzieć, że NADAL jestem Twoją przyjaciółką, chociaż nie mogę już z Tobą rozmawiać. Przynajmniej na razie. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Moja mama martwi się o mnie w związku z naszymi kontaktami. Wcale NIE UWAŻA, że zrobiłaś coś złego. Chce, żebym powiedziała Ci WYRAŹNIE, że to, co Cię spotkało, TO NIE TWOJA WINA. Ktoś Cię wykorzystał! Mama martwi się, że mogę zostać przez kogoś zraniona, gdy skojarzy mnie z Tobą. Bo ludzie SĄ WREDNI, a ja i tak już jestem obiektem kpin i nękania, bo wszyscy mają mnie za dziwoląga. Zawsze uważałam, że bycie dziwolągiem nas łączy. Ale TY nie jesteś dziwna z tego powodu, że nigdzie nie pasujesz (jak JA). Twoja dziwaczność ma swoje źródło w Twojej MIŁOŚCI I AKCEPTACJI dla wszystkich ludzi. Nikt inny w szkole nie jest tak MIŁY dla innych bez względu na to, kim są, gdzie mieszkają, czy są bystrzy czy wręcz przeciwnie i tak dalej. Masz w sobie prawdziwą ŻYCZLIWOŚĆ. NIE ZASŁUGUJESZ na to, co ludzie o Tobie mówią. Może kiedy to wszystko się skończy, znowu będziemy przyjaciółkami. Nadal chcę zostać światowej sławy muzykiem, a Ty będziesz prawniczką, która pomaga ludziom, i wszystko znowu będzie super. A póki tak się nie stanie, wiedz, że KOCHAM CIĘ i bardzo MI PRZYKRO!!! Nie dawaj za wygraną! ODKRYJESZ PRAWDĘ!!!

Twoja przyjaciółka

PS Przepraszam za wygląd tego listu, ale kiedy go pisałam, PŁAKAŁAM CAŁY CZAS.

Kartka papieru była pomarszczona tam, gdzie padły i wyschły łzy Melody. Zakreśliła je dookoła niczym miejsce zbrodni, jakby chciała udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że jest zrozpaczona.

Co Emily miała począć z tym listem? Co miała o tym myśleć? Nie mogła zwyczajnie podejść do Melody i zapytać.

... NADAL jestem Twoją przyjaciółką, chociaż nie mogę już z Tobą rozmawiać.

List był owinięty wokół kasety i zabezpieczony zieloną gumką. Melody przegrała dla Emily album Go-Go's i wiecznym piórem oraz flamastrami wykonała udaną kopię oryginalnej okładki. Swoje pismo zastąpiła modną, nowoczesną czcionką.

Nie dawaj za wygraną! ODKRYJESZ PRAWDĘ!!!

Nawiązała do prywatnego śledztwa Emily wzorowanego na Columbo. Widziała, jak Emily gorączkowo wertuje kartki, starając się złożyć tę układankę w całość. W chwili słabości Emily wyznała, że próbuje odkryć, kto wykorzystał ją na imprezie, a nawet pokazała Melody niektóre wpisy.

– Ktoś cię wykorzystał – powtórzyła zdanie z listu Melody. Co za fraza. Jakby Emily była kuponem z promocją dwa w cenie jednego albo stekiem za połowę ceny, z którego ktoś skorzystał.

Nie ktoś.

Clay, Nardo, Blake. Może Dean. Może Jack.

Obok niej wolno przejechał samochód.

Emily odwróciła wzrok, by nie widzieć wpatrzonych w nią twarzy. Gardło ją paliło od przetykanych łez. Naprawdę była teraz pariasem. Straciła klikę, została jej tylko jedna przyjaciółka, z którą nie mogła już rozmawiać. Cała szkoła zwróciła się przeciwko niej. A Ser...

Jack.

Łzy znowu popłynęły ciurkiem. Nardo powiedział, że Jack był na Imprezie i stał przed nią, kiedy weszła do domu.

Zacisnęła powieki. Próbowwała cofnąć się pamięcią do tego momentu. Przeszła próg domu Narda. Wyciągnęła język, żeby Clay położył na nim działkę kwasu. Zobaczyła salon Fontaine'ów, ciężkie zasłony w ogromnych oknach, półkolistą segmentową kanapę wokół wielkiego ekranu projekcyjnego.

Nie była w stanie przywołać żadnego wspomnienia Jacka u Narda.

Nigdy.

Otworzyła oczy i spojrzała w piękne bezchmurne niebo.

Jack sprzedawał skręty. O tym wiedziała. W kieszeni kurtki nosił torebkę z towarem. Było powszechnie wiadomo, że to Jack zaopatruje potrzebujących. Wszyscy mówili, że kradnie trawkę z magazynu dowodów na komisariacie, ale Emily wiedziała, że Jack ma zioło od kuzyna z Marylandu i sam robi skręty. Nie wiedziała natomiast, czy Jack rozprowadza twarde narkotyki.

Znowu cofnęła się pamięcią do tamtego wieczoru.

Wchodzi do domu Narda. Wyciąga język. Clay wywija torebką z tabletkami kwasu jak dyrygent skupiający na sobie uwagę orkiestry.

Jacka tam nie było. Nie chodziło o problem z pamięcią ani czarną dziurę po zażyciu LSD, po prostu tak podpowiadał zdrowy rozsądek. Nardo nienawidził Jacka, w ogóle wszyscy chłopcy go nienawidzili, a już zwłaszcza Clay. Wyłazili ze skóry, prześcigając się w nękaniu Jacka. Podstawiali mu nogę na korytarzu, wytręcali z rąk tacę z lunchem, kradli ubrania z szafki w sali gimnastycznej. A on wyłaził ze skóry, żeby unikać ich za wszelką cenę. Bez względu na to, ile pieniędzy oferowałby Nardo, Emily nie wyobrażała sobie, żeby Jack do niego poszedł.

Pomyślała o rozmowie z Jackiem na temat porucznika Columbo. Jedno jego zdanie nabrało teraz szczególnego znaczenia:

„Czasem kłamią, żeby skierować podejrzenie na kogoś innego”.

Nardo był notorycznym kłamcą. Okłamywał rodziców, dokąd idzie. Okłamywał Claya, że nie ma papierosów. Okłamał Blake'a, że nie oblał egzaminu z historii. Cały czas okłamywał Ricky, nie mówiąc jej jasno i wyraźnie, że nic do niej nie



czuje i nic między nimi nie będzie. Dla niego to była gra. Mówił ludziom to, co chciał, żeby wiedzieli, zamiast powiedzieć im prawdę.

Dlaczego wierzyła, że Nardo mówi prawdę o obecności Jacka na Imprezie?

A jeśli Nardo kłamał o Imprezie, to kłamał dla samego kłamania, czy kłamał, żeby kryć własny tyłek?

Najlepsza osoba, z którą można było o tym porozmawiać, najpewniej okaże się najgorszą osobą, ale Emily była już prawie w domu, a Jack pewnie siedział w szopie. Ostatnio sytuacja w jego rodzinnym domu jeszcze się pogorszyła. Idąc długim podjazdem, układała w myślach pytania do Jacka. To on powiedział jej, jak stosować strategię Columbo, więc pewnie na niego by nie zadziałała. Nie mogła zastosować chwytu „jeszcze jedno”. Musiała być z nim szczerą i mieć nadzieję, że w zamian on też będzie z nią szczerą.

Ćwiczyła tę frazę, próbując mówić wyważonym tonem, z lekką intonacją, niemal szeptem:

– Czy ty mi to zrobiłeś?

Zamknęła oczy i powtórzyła pytanie, uważnie wsłuchując się w swój głos. Nie chciała, żeby brzmiał oskarżycielsko. Nie była zła. Szczerze powiedziawszy, pewnie poczułaby ulgę na wieść, że to Ser, bo miałoby to jakiś sens, że akurat on wykorzystał sytuację. Ser był straszliwie samotny, miał niewielu kumpli, o ile w ogóle, a z tego, co wiedziała, nigdy jeszcze nie był na randce. Gdyby nie jego trawkowy biznesik, pewnie nikt z jego rówieśników nie odezwałby się do niego słowem.

Emily pokręciła głową. Jeśli hipotetycznie założyć, że Jack był na Imprezie, to ani chłopcy, ani nawet Ricky nie pozwoliliby mu jej wykorzystać.

Tyle że według Deana Ricky leżała nieprzytomna na trawniku, a Blake i Nardo niezależnie od siebie potwierdzili, że obaj byli w łazience na górze. Wszyscy zgodnie też mówili, że Clay i ona stali przy basenie i się kłócili. Czyżby o Jacka?

Tyle razy kłócili się o niego.

Emily wykrzyczała coś gardłowo. Te niekończące się domysły bardzo ją wyczerpywały, mózg znowu wirował jak na karuzeli i zamiast domu widziała unoszące się i opadające plastikowe konie na słupkach. Metaliczna muzyka zagłuszała ryk oceanu w oddali, z oczu popłynęły łzy, karuzela przyśpieszyła. Świat stracił kontury, był dziwnie zamazany, a powieki stały się ciężkie. Jej mózg w końcu się wyłączył.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. W jednej chwili wlokła się wzdłuż domu, w następnej siedziała na drewnianej ławeczce w angielskim ogrodzie jej matki. Latem kwiaty i inne rośliny wręcz wylewały się na ścieżkę. Nawłoc, rudbekie, trojeść, niebieska lobelia... Inspiracją dla stylu tego ogrodu był osiemnastowieczny bunt przeciwko symetrii i formalizmowi klasycznych ogrodów.

Fakt, że Esther pozwoliła na ten swobodny bezład roślin, a wręcz kultywowała go na swoim skrawku ziemi, zawsze wydawał się jej aberracją. Mając na uwadze rygorystyczny i surowy charakter matki, bardziej pasowałyby do niej starannie przycięte bukszpany oraz prostoliniowe wzory. Ogród zawsze budził w Emily smutek, nieustannie bowiem przypominał, że istnieje taka część jej matki, której ona nigdy nie pozna.

– Emily?

Clay wydał się zaskoczony jej widokiem, chociaż to on był tu intruzem.

– Co ty tu robisz? – rzuciła.

– Ja... – Spojrzał w stronę szopy. – Potrzebowałem czegoś, żeby się wyluzować.

Emily zasznurowała usta. Przyszedł po trawkę, a natknął się na ostatnią osobę na świecie, którą chciał zobaczyć.

Ale człowieka mogą spotkać jeszcze gorsze rzeczy, prawda?

– Jacka tu nie ma – powiedziała, chociaż nie miała pojęcia, czy faktycznie tak jest. – Mogę mu przekazać, że wpadłeś.

– Nie trzeba. Później go złapię. – Zamiast odejść, Clay wsadził ręce do kieszeni i obejrzał się w stronę szopy z nieskrywaną tęsknotą w oczach. – To były trudne

dni.

– Przykro mi, że było ci trudno – odburknęła zjadliwie.

Jęknął głośno, gdy usiadł obok niej na ławce.

– Nie zapytasz mnie o to?

Emily nie uznała za konieczne, by odpowiedzieć, i tylko potrząsnęła głową. W końcu do niej dotarło, że wypytywanie nie ma sensu. I tak nikt nie był z nią szczery.

– To nie ja – niepotrzebnie dodał Clay. – Wiesz, że ja...

– Nie patrzę na ciebie w ten sposób – dokończyła za niego. – Tak, wiem. Wszyscy twoi sługusi powtarzali ten tekst.

Clay znowu westchnął i kopnął żwir, zostawiając na ziemi brudny ślad. Emily pomyślała, że po jego odejściu będzie musiała grabiami wyrównać to miejsce. Nic zaskakującego. Od zawsze ona i reszta kliki zacierali ślady błędów i głupich uczynków Claya.

– Co teraz zrobisz? – spytał.

Wzruszyła ramionami. Nikt jej o to nie pytał. Decyzje podejmowali rodzice, ona była tylko wykonawczynią.

– Czujesz to? – spytał, patrząc na jej brzuch.

Odruchowo przyłożyła do niego otwartą dłoń.

– Nie. – Oderwała rękę, czując duży dyskomfort, a może nawet obrzydzenie na myśl, że coś miałyby się ruszać gdzieś w niej, w środku. Nawet nie wiedziała, jak wygląda sześciotygodniowy płód. Nadal był zygotą? Nauczyła się wystarczająco dużo o ciąży, żeby zaliczyć przedmiot „zdrowie człowieka”, ale wtedy szczegóły wydawały się jej bardzo tajemnicze. Wyobrażała sobie zlepek komórek w bańce płynu, który czeka na zastrzyk hormonów decydujących o tym, czy przekształcą się w nerkę, czy w serce.

– Słyszałem, że ktoś ci zaproponował ślub.

Emily poczuła, że jej mózg znów się wycofuje w rejony niosącej spokój karuzeli, jednak zmusiła się, by pozostać w teraźniejszości, i spytała:

– Oni cię przysłali?

– Kto?

– Klika. – Zwykle doceniała jego fałszywą skromność, ale teraz wydała się jej irytująca. – Ricky, Blake, Nardo. Boją się, że zrujną ci życie?

Clay wbił wzrok w ziemię i zrobił stopą jeszcze większą bruzdę w żwirze.

– Przepraszam, Emily. Wiem, że nie tego chciałaś.

Roześmiałyby się głośno, gdyby miała na to siłę, i znów tylko milczała.

– Czy... – Głos uwiązał Clayowi w gardle. – Czy wskażesz kogoś?

– Wskazać kogoś? – powtórzyła, bo zabrzmiało to jak kwestia senatora McCarthy'ego z czasów jego bezprecedensowej nagonki na ludzi władzy i showbiznesu. – Niby kogo mam wskazać?

Clay wzruszył ramionami, choć przecież znał listę: Nardo, Blake, Dean, Jack. Nie mówiąc o nim, bo nawet jeśli powtarzał, że nie jest nią zainteresowany, to jednak był na Imprezie i kłócił się z nią.

Nagle poczuła w sobie iskrę Columbo. Może jeszcze nie do końca się poddała?

– Clay, przepraszam, że kłóciłam się z tobą na Imprezie. To nie była... no, to nie była twoja wina.

Wykrzywił usta.

– Myślałem, że nic nie pamiętasz.

– Pamiętam, że na ciebie wrzeszczałam – skłamała, a potem spróbowała pójść za ciosem: – Nie powinnam mówić takich rzeczy.

– Może. – Znów wzruszył ramionami. – Wiem, że bywam egoistą, Em. Pewnie dlatego, że jestem jedynakiem.

To, że z taką swobodą deprecjonował istnienie swojego rodzeństwa, nawet jeśli nie wychowywali się razem, Emily uważała za przejaw bezduszości.

– Mogę powiedzieć, że postaram się poprawić, ale masz rację, raczej mi się nie uda. Może powinienem zaakceptować to, kim jestem. Wydaje się, że ty to akceptujesz.

Nagle do Emily wróciło echo wspomnienia. Stali przy basenie Narda, a ona wrzeszczała na Claya, że zawsze obiecuje poprawę, a potem i tak nigdy nie dotrzymuje słowa. Wiecznie powtarzał te same błędy i oczekiwał, że to inni się zmieniają.

– Przynajmniej nie jestem aż tak zły jak Blake, co nie? – dodał.

Nie wiedziała, jak się odnieść do tych słów. Czy Clay mówił o tym, co wczoraj zrobił Blake, czy tylko ogólnie? Obie interpretacje łatwo dałoby się uzasadnić. Wczoraj Blake zachował się nikczemnie, tyle że on, tak samo jak Clay, nigdy się nie zmieni. Jego rozbuchane ego ani dziś, ani kiedykolwiek w przyszłości nie pozwoli mu przyznać, że się mylił.

– Powinnaś o tym wiedzieć – powiedział Clay. – Blake opowiada na lewo i prawo, że lubisz ćpać i imprezować.

Głęboko odetchnęła i na moment przytrzymała powietrze w płucach, choć ta informacja wcale jej nie zaskoczyła. Poziom okrucieństwa prezentowany przez Blake'a był niewyobrażalnie wysoki, co tego ranka zdiagnozował Jack. Nardo był wredny, Clay łatwo się nudził, ale kiedy Blake czuł do kogoś antypatię, to była to antypatia przez wielkie A. Nie mówiąc już o Ricky, która po części była Złą Czarownicą, a po części „latającą małpą”, jak zwano klakierów w otoczeniu narcyza.

– Nardo mi powiedział, że Jack, to znaczy Ser, był na Imprezie.

Odwrócił się do Emily i spojrzał jej w oczy. Jego niebieskie tęczy wydały się wybielone słońcem, dostrzegła też meszek na brodzie. Choć Clay był niesamowicie przystojny, to już nie czuła takiego samego podniecenia co wcześniej.

– Byłaś naćpana – powiedział.

Nigdy temu nie zaprzeczała, więc nie rozumiała, skąd ta złość w jego głosie. Tak czy inaczej, teraz też nie zamierzała zaprzeczać, więc kolejny już raz po prostu milczała.

– Kompletnie ujebana – dodał po chwili. – Nawet nie pamiętałaś, jak trafiłaś do domu. Gdyby nie babcia, to nawet tego byś nie wiedziała.

– I co w związku z tym? – spytała, zastanawiając się, w jakim kierunku Clay zmierza.

– To znaczy, że w ostatecznym rozrachunku Blake nie mija się z prawdą. – Spojrzał w dół, przyglądając się, jak czubek jego trampka zanurza się w ziemi. – Imprezujesz i bierzesz prochy, czyli weszłaś do gry, a teraz musisz pogodzić się z przegraną. Miej trochę godności.

Emily zaskoczyło tylko to, że ciągle ją to szokowało. Wszyscy zwrócili się przeciwko niej w podobny sposób. Najpierw zrobił to Dean, potem kolejno Ricky, Blake i Nardo, a teraz Clay. Wszyscy działali według tego samego skryptu: Życzliwość. Nadskakiwanie. Wściekłość. Pogarda.

Clay wstał. Ciągle trzymał ręce w kieszeniach.

– Emily, więcej już nie rozmawiaj ze mną.

Ona też wstała.

– Po co miałabym z tobą rozmawiać, skoro kłamiesz?

Złapał ją za ręce i przyciągnął do siebie. Zebrała się w sobie, spodziewając się groźby, ostrzeżenia, w ogóle czegokolwiek, ale absolutnie nie tego, co nastąpiło.

Clay ją pocałował.

Smakował nikotyną i przetrawionym piwem, a ona poczuła na sobie szorstkość jego skóry. Wsunął język w jej usta, a ich ciała praktycznie zlały się w jedno. To był jej pierwszy prawdziwy pocałunek. A przynajmniej pierwszy, który będzie pamiętać.

Nic nie poczuła.

Clay odepchnął ją od siebie i wytarł usta wierzchem dłoni.

– Żegnaj, Emily.

Odprowadziła go wzrokiem. Odchodził zgarbiony, szurając nogami.

Delikatnie dotknęła warg opuszkami palców. Spodziewała się, że przy pocałunku czuje się „coś”, a ona nawet nie zadrżała i serce nie zabiło choć trochę

mocniej. Czuła tę samą bierną obojętność, jak wtedy, gdy przed dwoma laty podpity Blake próbował ją pocałować w zaułku.

Patrzyła, jak Clay skręca za róg domu. Ciągle miał przygarbione plecy. Wyglądał jak człowiek dźwigający brzemień winy, tyle że nie wiadomo jakiej.

Ogarnął ją pusty śmiech. Gdyby tylko mogła odzyskać czas, który w ostatniej dekadzie zmarnowała na obsesyjne myślenie o samopoczuciu Clayтона Morrowa.

Stopą wyrównała wyżłobienia pozostawione przez niego w żwirze, spojrzała na dom i dostrzegła ojca wracającego do sypialni. Siedział na balkonie, który wychodził na szopę i ogród, i nie wiedziała, jak długo tam był i co zobaczył. Śledziła jego ruchy za oknami, widziała, jak podchodzi do kredensu i nalewa sobie drinka.

Spojrzała w dół, gdyż nieświadomie znów położyła dłoń na brzuchu. Uważała, że jest w tym zupełnie sama, ale prócz niej ktoś jeszcze odbywał mozolną podróż. A ściślej rzecz ujmując, w niej. Wprawdzie nie czuła żadnego przywiązania do tego zlepku komórek, jednak miała poczucie obowiązku. Właśnie o tym napisała Melody w liście:

Twoja dziwaczność ma swoje źródło w Twojej MIŁOŚCI I AKCEPTACJI dla wszystkich ludzi.

Emily nie kochała tych komórek, przynajmniej na razie, ale pogodziła się z ich zaistnieniem. Clay częściowo miał rację, gdy powiedział, że ciąża Emily to jej problem. Bo to ona będzie z tym żyła do końca swoich dni. Znowu przysiadła na ławce i spojrzała przed siebie na leżący odłogiem ogród.

Chrząknęła.

– Będę... – urwała.

Głos jej się załamał.

Znowu poczuła się dziwnie, gdy tak mówiła do siebie. Musiała jednak usłyszeć te słowa, tak samo jak musiała je wypowiedzieć. Szczerze mówiąc, to była lista życzeń, wyliczanie wszystkich cennych rzeczy, które straciła zaledwie w kilka dni.

A zarazem obietnica podarowania tych wszystkich utraconych rzeczy jej przyszłemu dziecku.

Znowu chrząknęła. Tym razem obietnica popłynęła z jej ust swobodnie i głośno, ponieważ miała dla niej znaczenie:

– Ochronię cię. Nikt nigdy cię nie skrzywdzi. Dam ci poczucie bezpieczeństwa.

Pierwszy raz od wielu dni poczuła, że napięcie w jej ciele wreszcie zelżało.

Za sobą usłyszała trzask zamykanych drzwi balkonowych.



Słona woda miała kojący odcień lazuru. Andrea płynęła głową w dół, czuła się lekka i wolna. Mogła pozostać na dole w tym błogim stanie rozleniwienia, ale coś jej powiedziało, żeby tego nie robiła. Odepchnęła się stopami, pomachała rękami i przecięła powierzchnię wody, a słońce pocałowało jej ramiona. Przetarła oczy. Fale pluskały pod jej brodą. Odwróciła się i spojrzała w stronę plaży. Laura siedziała pod wielkim parasolem w barwach tęczy i obserwowała pływającą córkę. Nie miała na sobie topu, ukazała więc światu blizny po mastektomii.

Mężczyzna w ciemnej bluzie z kapturem podkradał się do niej.

– Mamo! – wrzasnęła Andrea i się ocknęła.

Omiotła wzrokiem pokój. Nie pływała w oceanie, tylko leżała na szpitalnym łóżku z kroplówką w żyłę. Choć maska tlenowa okrywała jej twarz oraz nos, i tak czuła, że brakuje jej powietrza. Panika wezbrała w niej jak potężna fala.

– Hej. – Mike pewnym ruchem położył dłoń na jej ramieniu i poprawił maskę na twarzy. – Wszystko w porządku. Po prostu oddychaj.

Na widok Mike'a panika powoli ustąpiła, a troska w jego oczach przyprawiła Andreeę o żywsze bicie serca.

– Zrobiłaś coś z włosami? – spytał.

Nie była w stanie się roześmiać. Wracała pamięć z minionej godziny: ogień, jazda w karetce, seria badań, kompletny brak informacji. Lekarz powiedział, że Andrea potrzebuje płynów, a nie leku przeciwbólowego, na co ostro zaprotestowała. Jej nos pulsował bólem, miała wrażenie, że ktoś mocno oplótł liną jej klatkę piersiową, czoło szczypało, wargi paskudnie spuchła.

Gdy podniosła rękę, żeby jej dotknąć, zakasłała tak mocno, że oczy zaszkły jej łzami, a maskę wypełniła obrzydliwa wydzielina. Gdy próbowała odsunąć maskę od twarzy, Mike zdjął ją z jej głowy. Wtedy Andrea przewróciła się na bok, a napad kaszlu był tak straszny, jakby płuca chciały wyskoczyć gardłem. Próbowała zasłonić usta, ale przeszkadzała w tym kroplówka, do tego stopy zaplątały się w prześcieradło, a pulsoksymetr podpięty do palca odskoczył z trzaskiem.

Mike klęknął przy niej i zaczął gładzić ją po plecach.

– Chcesz wody?

Andrea kiwnęła głową, a potem patrzyła, jak sięga po duży dzbanek stojący obok umywalki. Oczy ciągle ją szczypały od dymu. Wyciągnęła chusteczkę z pudełka i wydmuchała nos tak mocno, że aż strzeliło jej w uszach. To, co zobaczyła, przypominało sadzę z kominka. Wzięła następną chusteczkę i wydmuchiwała tak długo, aż znowu usłyszała w uszach trzask.

– Z mamą wszystko dobrze? – zapytała.

– O ile wiem, to tak. – Mike przytrzymał słomkę, żeby Andrea mogła powoli sączyć wodę z kubka. Jej paznokcie miały czarne obwódki, bo dym i sadza wżarły się w jej skórę. Pielęgniarka dała jej dwa kitle chirurgiczne, ale już kompletnie je powalała.

– Chcesz, żebym zadzwonił do Laury? – spytał Mike.

– Boże, nie. – Andrea zrezygnowała z wody, bo przełykanie za bardzo bolało. – Pożar. Czy ktoś...

– Wszyscy wyszli cało, tylko Bible oparzył sobie rękę. Córka Judith wbiegła do domu, żeby ratować papugę, a efekt tej akcji był taki, że Bible uratował je obie. – Mike przysiadł na krawędzi łóżka. – Jesteś dobra w ptasich żartach. Później możesz mu podokuczać z tego powodu.

Andrea poczuła rumieniec wstydu. Mike odwoływał się do ich rozmowy w Glynco. Zapytał ją, czemu go rzuciła, a ona zasłoniła się ptasim kalamburem.

– Syd. – Tylko tyle była w stanie teraz powiedzieć. – Papuga ma na imię Syd.

Mike westchnął ciężko, wstał z łóżka i podszedł do umywalki, żeby zmyć z dłoni sadzę.

– Komendant straży pożarnej już wykluczył podpalenie. Okazuje się, że sędzia nigdy nie wymieniała elektryki, więc w skrzynce nadal były bezpieczniki starego typu. Na górze stała aparatura medyczna jej męża, a oni użyli jednego przedłużacza za dużo.

– Jankeskie skąpstwo. – Potarła oczy i spytała: – Pomożesz mi usiąść?

Położył dłonie na jej ramionach, ale i tak pokój kołysał się na boki jak szalony, dlatego Andrea omal nie spadła z łóżka.

– Ej, powoli. – W jego oczach znów pojawiła się troska, zaraz jednak zasnuł je cień i Mike podniósł ręce w geście poddania. – Przepraszam, wiem, że sama potrafisz zadbać o siebie.

Poczuła, jakby ktoś położył głaz na jej piersi.

– Mike, ja...

– Udało ci się zaimponować szefowej. – Ton jego głosu uległ zmianie. – Wbiegłaś do płonącego budynku i nie dopuściłaś do wybuchu, który zrównałby z ziemią całe sąsiedztwo, czyli raz na zawsze uciszyłaś plotki o bezradnej małej dziewczynce.

On naprawdę zapamiętał każde głupstwo, które palnęła w durnej gadaninie.

Znowu podszedł do umywalki, wyciągnął garść ręczników papierowych z podajnika i zmoczył je pod kranem, po czym oznajmił:

– Wyjęli ci z czoła odłamek szkła i dodali cztery szwy.

Dotknęła sztywnych nici spinających jej skórę. Ledwie coś mgliście pamiętała, że była szyta.

– Czemu czuję, jakbym miała w nosie rój pszczoł?

– Nie jest złamany. Może walnęłaś w coś, gdy wpadłaś do basenu?

W jej pamięci upadek do wody wyglądał tak, jakby przytrafił się innej osobie.

– Nie ruszaj się. – Zwilżonymi ręcznikami Mike delikatnie otarł jej twarz. – W tej chwili wolałabyś nie wrzucać swoich fotek do mediów społecznościowych.

Przymknęła oczy. W zetknięciu ze skórą ręcznik wydał się ciepły. Mike ostrożnie wycierał jej czoło, potem lewą stronę twarzy. Czuła, jak napięcie stopniowo w niej ustępuje. I miała przemożną chęć, żeby znowu ukryć twarz na piersi Mike'a.

– Mąż sędzi – powiedział. – Niedobrze z nim. – Gdy otworzyła oczy i spojrzała na niego, dodał: – Trzeba zacząć od tego, że już był z złym stanie. – Delikatnie przetarł drugą stronę jej twarzy. – W porządku, nie boli?

– Nie – odparła niezgodnie z prawdą, by za bardzo nie marudzić.

Mike przyłożył wilgotne ręczniki przy jej ustach. Rozcięta dolna warga bolała, ale Andrea uznała, że zasłużyła na ten ból.

– Jest różnica między tym, czy potrzebujemy ratunku, a tym, czy prosimy o pomoc kogoś, komu na nas zależy.

Zabrakło jej słów, żeby odpowiedzieć.

Mike złożył ręcznik, szukając czystego kawałka.

– Jak ci idzie z Bible'em? – spytał.

– To... – Andrea zanosła się chrapliwym kaszlem. – To legenda.

Przesunął się ku jej szyi, jakby szczotkował kota, i spytał:

– Mówił ci, że był moim pierwszym partnerem, kiedy dołączyłem do WitSec?

Nie była zaskoczona, że Bible nie podzielił się z nią tą informacją, natomiast zaskoczyło ją, że w ogóle był w WitSec.

– Czy on wie o...?

– Nic mu nie powiedziałem o twoim statusie – odparł Mike. – Ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby sam to rozgryzł. Jest piekielnie inteligentny.

Bible był więcej niż piekielnie inteligentny.

– Cholerny magik z niego – podsumowała.

Mike uśmiechnął się z przymusem. Nie chciał rozmawiać o Sumie Bible'u, za to o czymś innym jak najbardziej.

– Gwoli ścisłości, tylko jedną z moich sióstr wciąż trzeba ratować z opresji. A wokół mojej mamy skaczą, bo przez całe życie ciężko harowała i zasłużyła na

takie traktowanie.

– Nie powinnam tego mówić. – Z trudem wytrzymała jego spojrzenie. – Ani jednego słowa.

– Ale tak myślisz?

– Nie, nie... Uwielbiam twoją mamę, a twoje siostry są super.

Patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę, zanim Mike znowu podszedł do umywalki i zmoczył kolejną porcję papierowych ręczników.

– Nigdy cię nie ratowałem. Gdyby tak dobrze zastanowić się nad tym, co zaszło dwa lata temu, to ty mną dyrygowałaś, a ja okazałem się strasznym naiwniakiem.

Zaprzeczyła ruchem głowy, ponieważ pamiętała przede wszystkim poczucie kompletnego zagubienia. Tylko jak miała o tym opowiedzieć?

– Przeżyłaś traumę, Andy. Każdy na twoim miejscu by się poddał. Podziwiam cię, że wyszłaś z tego cało.

Poczuła wzbierające łzy. Rozpaczliwie pragnęła, żeby to była prawda.

Mike wrócił do łóżka i zaczął obmywać jej ręce, chociaż już je umyła.

– Szybko zrozumiałem, dlaczego mnie rzuciłaś. Wszystko potoczyło się źle, a ty potrzebowałaś czasu, żeby odkryć, kim jesteś, a także zdecydować, co dalej zrobić ze swoim życiem. Wiedziałem, że muszę dać ci ten czas, i wiedziałem, że warto na ciebie czekać. Ale ty nigdy nie wróciłaś.

Przygryzła wargę do krwi. Znów nie znalazła słów, by odpowiedzieć.

– Te plotki, o których mówił Bible... – Wziął ją delikatnie za ręce. Był zdenerwowany, nigdy nie widziała, by aż tak bardzo coś go ruszyło. – Posypałem się, kiedy zniknęłaś. Wszyscy nabijali się ze mnie, że ciągle myślę o dziewczynie, lecz co poradzisz, skoro prawda jest taka, że złamałaś mi serce.

Przygryzła wargę jeszcze mocniej. Popełniła duży, wielki, fatalny błąd.

– Nie usychałem z tęsknoty, nic z tych rzeczy. – Próbował pokryć zranione uczucia jednym ze swoich szerokich uśmiechów, ale gdzieś znikła typowa dla niego pewność siebie. – Owszem, machnąłem jakiś wiersz, i tyle tego. Nie

włóczyłem się bez celu, nie przeklinałem złego losu, nie lamentowałem z twoim imieniem na ustach.

Andrea zaśmiała się, by w ten sposób upuścić trochę żalu wzbierającego w jej piersi.

Mike wzruszył ramionami.

– Pozostało mi tylko rzucić się w wir niezobowiązującego seksu.

Tym razem Andrea szczerze się zaśmiała.

– Nie zrozum mnie źle, byłem wdzięczny losowi za ten seks. I wiele się nauczyłem. – Jego figlarny ton powrócił. – Stewardesa, która wciągnęła mnie w prowadzenie dziennika. Baletnica, która pracowała nad moim tańcem interpretacyjnym. Czułe chwile z matką cierpiącą po wyfrunięciu dzieci z rodzinnego gniazda, co akurat zdarzyło się na końcu ulicy mojej babci. I supermodelki. Mnóstwo supermodelek.

Andrea splótła palce z jego palcami. Była pewna, że Mike słyszy łomotanie jej serca.

– Dziwne – powiedziała. – Właśnie tak radziłam sobie bez ciebie.

– Hm... – Mike uniósł brwi. – Supermodele czy supermodelki?

Wzruszyła ramionami.

– W trakcie orgii idziesz, gdzie cię potrzebują.

– Jasne. Nie chcesz być nieuprzejma.

Pocałowała go.

Otoczyła ramionami.

Oplotła nogami w pasie.

Wszystko w nim było znajome i nowe jednocześnie. Jego broda była tak zmysłowa, jak sobie wyobrażała, a wargi smakowały jak miód.

– Mike... – Nie mogła złapać tchu, gdy w końcu oderwała się od niego. – Przepraszam. Ale ze mnie idiotka. Bardzo cię przepraszam.

Ktoś nagle rozsunął zasłonę.

– Czas już na was. Potrzebujemy łóżka. – Pielęgniarka nie przejęła się tym, że rujnuje im moment intymności, i bezceremonialnie usunęła kroplówkę z żyły Andrei. – Jeśli chrypa i napady kaszlu się nasilą, nastąpią zaburzenia świadomości albo trudności w oddychaniu, niech pani natychmiast dzwoni pod dziewięćset jedenaście. To pani mąż, partner?

– To skomplikowane. – Mike wziął na siebie odpowiedź na to pytanie.

– Ona ma lekkie wstrząśnienie mózgu. – Pielęgniarka zajrzała w dokumenty. – Ktoś musi to za nią podpisać.

– Ja to zrobię – powiedział Mike.

– Ćwiczenia oddechowe. Co godzinę w ciągu dnia. – Odhaczyła rubrykę w dokumentach. – Nie palić i nie pić przez siedemdziesiąt dwie godziny. Zażywać pastylki albo spray na ból gardła, w razie potrzeby tylenol. I żadnych forsownych ćwiczeń.

– Może pracować? – To pytanie zadała komendant Cecelia Compton. Wciąż miała na sobie granatowy kostium. – Czy raczej powinna iść na urlop?

– Praca za biurkiem jest dozwolona, ale nic innego. – Pielęgniarka wyjęła z kieszeni fartucha tabletki na kaszel i podała je Andrei. – Tylenol za sześć godzin. Nie przekraczać czterech tysięcy miligramów w ciągu doby.

Andrea zażyłaby nawet heroinę, byle tylko gardło przestało ją boleć. Odwinęła jedną z pastylek.

– Dziękuję.

– Oliver – odezwała się Compton – możesz iść ze mną?

Mike pomógł Andrei wstać z łóżka. Trzymała się jego ramienia, póki nie musiała go puścić. I zaczęła truchtać o własnych siłach, żeby nadążyć za Compton.

– Cieszę się, że Mike jest w mieście. – Pani komendant energicznie wymachiwała rękami. – Leonard pracował z nim kilka lat temu. Mike to porządny gość. Nigdy nie wierzyłam w te plotki, przecież żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie złamałaby mu serca.

Andrea intensywnie ssała pastylkę na kaszel.

– Zrobimy tak. – Compton przeszła w tryb szefowej. – Przez idiotyczną akcję ratowania papugi Bible wylądował na liście kontuzjowanych zawodników. Nieważne, co mówi pielęgniarka, oboje macie zwolnienie lekarskie do końca tego tygodnia. Wyśpij się, pospaceruj po plaży. Inna ekipa przejmie ochronę sędzi i jej rodziny.

Andrea powinna już dawno przywyknąć do rozczarowań, ale myśl o siedzeniu w motelu, podczas gdy Dean Wexler radośnie prowadził swoje chore interesy, była niczym uderzenie obuchem w głowę.

Compton wyczuła jej nastrój.

– Bible napomknął o twoich rozmowach z Ricky Fontaine i Melody Brickel. Szkoda, że nie wypaliło. W końcu nastąpi przełom. Zawsze tak jest.

Żaden przełom nie nastąpił w ciągu dwudziestu lat. Czterdziestu, jeśli liczyć Emily Vaughn. Andrea nie była gotowa się poddać. Nie po to została agentką USMS, żeby źli ludzie nadal mogli robić złe rzeczy.

– Pani komendant, ja...

– Czekaj. – Compton załomotała do drzwi męskiej toalety, a potem zwróciła się do Andrei: – Jesteś gotowa zostać tu ciut dłużej?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi toalety otworzyły się szeroko. W przeciwieństwie do Andrei, Leonard Bible wyglądał całkiem nieźle. Jediną oznaką, że wtargnął do płonącego domu, był śnieżnobiały bandaż na prawej ręce.

Podniósł ją, żeby Andrea przyjrzała się jej z bliska.

– Ptasi mózdzek – powiedział.

– Cicho – rzuciła Compton.

Bible puścił oko do Andrei.

– Szkoda, że nie ma tu mojej żony, która mogłaby powiedzieć mojej szefowej, żeby przestała miażdżyć mi jaja.

– Cóż, twoja żona ani myśli całować cię po nich, żeby poprawić im samopoczucie. – Compton odetchnęła głęboko i wracając do roli szefowej, powiedziała do Andrei: – Sędzia prosiła o rozmowę z tobą. Chyba chce ci



podziękować, ale nie przedłużaj tego spotkania. Doktor Vaughn stoi nad grobem, najpewniej nie przeżyje tej nocy.

– Dobrze, będę się streszczać.

Compton niepotrzebnie wskazała jej kierunek, bo łatwo było dostrzec szpitalny pokój Franklina Vaughna. Pod drzwiami stali dwaj agenci z tak rozbudowaną muskulaturą górnej części ciała, że przypominali balony na ogrzane powietrze. Jakimś sposobem poznali Andreę. Jeden z nich skinął jej lekko, drugi otworzył drzwi.

Spodziewała się usłyszeć szmer i pikanie aparatury medycznej, ale w pokoju panowała cisza. Jedyne światło świeciło się nad lustrem w łazience. Ktoś zostawił uchylone drzwi, żeby rozproszyć ciemność.

Sędzia Esther Vaughn siedziała na drewnianym krześle naprzeciw łóżka męża, a wielka aktówka, którą ocaliła z pożaru, stała u jej stóp. Cała uwaga sędzi była skupiona na mężu. Franklin Vaughn nie miał żadnych rurek ani podpiętych kroplówek, ani nawet kaniuli intubacyjnej. Było jasne, że otrzymuje opiekę paliatywną.

Andrea językiem przesunęła pastylkę od kaszlu ku policzkowi i powiedziała cicho:

– Pani sędzio...

Jej ramiona drgnęły, jakby Andrea wykrzyczała to słowo, jednak nie odwróciła się do niej, tylko odparła:

– Proszę usiąść, agentko.

Andrea się zawahała. Po drugiej stronie łóżka stało wielkie tapicerowane krzesło, jakie spotykało się prawie w każdym pokoju szpitalnym w całym kraju. Przesiedziała na takim krześle nieskończenie długie godziny, kiedy jej matka dochodziła do siebie po wielu operacjach z powodu raka piersi.

Obeszła łóżko, ale nie usiadła na krześle ani nie spojrzała na Franklina Vaughna.

– Wiem od komendant Compton, że chce pani ze mną porozmawiać – oznajmiła.

Esther powoli przechyliła brodę. Przyjrzała się Andrei, jej skórze pokrytej sadzą i brudnym smugom po szorowaniu.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, pani sędzio. – Andrea czuła, że jej gardło zaciska się od tłumionego kaszlu. – Przykro mi, że doktor Vaughn jest w złym stanie. Czy potrzebuje pani czegoś?

Sędzia milczała. Andrea wsłuchiwała się w płytki oddech Franklina Vaughna i odruchowo zaczęła liczyć jego oddechy. Cofnęła się wspomnieniem do szpitalnego pokoju swojej matki. Całymi dniami pilnowała każdego wdechu Laury, zapisywała każdy podany lek, każde wykonane badanie, podskakiwała za każdym razem, gdy Laura się poruszyła, bojąc się, że jeśli straci czujność, jej matka umrze.

Zamrugła. Nie wiedziała, czy zbiera jej się na łzy z powodu tych wspomnień, czy ognia.

– Pani sędzio, jeśli pani niczego więcej nie potrzebuje, to ja już...

– Myślałam o przyjściu na świat Judith – zaczęła Esther. – Narodziny dziecka powinny być świętem, zgodzisz się ze mną?

Andrea zacisnęła wargi. Sędzia znowu spoglądała na męża. Wyciągnęła rękę, ale tylko po to, żeby chwycić się ramy łóżka.

– Lekarze przyszli spytać nas o decyzję. Franklin i ja wiele razy kłóciliśmy się o to, czy pozwolić Emily odejść, kiedy dziecko będzie już bezpieczne – ciągnęła Esther. – Ja chciałam wyłączyć urządzenia. Franklin mówił, że nie możemy. Świat nas obserwował... to znaczy nasz świat nas obserwował. Ale Emily zdecydowała za nas. W macicy wywiązała się poporodowa infekcja bakteryjna zwana też gorączką połogową. Infekcja przeszła w sepsę... i wszystko poszło bardzo szybko.

Andrea patrzyła, jak palce Esther zaciskają się na poręczy.

– Kiedy w zeszłym roku Franklin dostał udaru, lekarze przyszli do mnie po decyzję. – Głos Esther stwardniał. – Wróciło do mnie żywe wspomnienie.

Rozmawialiśmy w gabinecie, a Franklin był zły, upierał się, że powinniśmy utrzymać ją przy życiu. Zapytałam go wtedy, czego chciałby dla siebie, gdyby był na miejscu Emily. Zbladł jak ściana i powiedział: „Obiecuj mi, Esther, że nigdy nie pozwolisz mi wegetować”.

Widziała, jak jej ręka powoli opada. Sędzia skurczyła się w sobie, wbiła wzrok w podłogę.

– Złamałam obietnicę. Wymogłam na lekarzach, żeby podjęli nadzwyczajne środki. Pozwoliłam mu wegetować. Wtedy powtarzałam sobie: Franklin nadal żyje, tak? Jego serce nadal bije. Nadal oddycha. Tylko Bóg może odebrać życie.

Zobaczyła, jak sędzia ściska rękami kolana.

– Tak naprawdę chciałam, żeby cierpiał. – Esther urwała, jakby ten wstęp kosztował ją zbyt wiele. – Powinnam bronić Emily, gdy żyła, bronić przed jego gniewem. Przed jego pięściami. Wmawiałam sobie, że dla niej nie jest aż tak zły. Skoro ja mogę to znieść, to ona też może. Dopiero gdy odeszła, uświadomiłam sobie, jak bardzo ją zawiodłam. Była moją córką, a ja nic nie zrobiłam, żeby ją chronić.

Andrea przypomniała sobie treść pierwszego listu do sędzi:

CHCESZ, ŻEBY ŚWIAT SIĘ DOWIEDZIAŁ, ŻE TWÓJ MAŻ MALTRETOWAŁ CIEBIE I TWOJĄ CÓRKĘ, A TY NIE KIWNEŁAŚ PALCEM, ŻEBY JĄ CHRONIĆ?

– Powtarzałam sobie, że moja kariera go kastruje – powiedziała Esther. – Jakie znaczenie ma siniak? Albo policzek? Moja ambicja i zawodowe sukcesy były dla niego zniewagą, bo przecież Franklin nie zrobił kariery. Dlatego w domu chciał utwierdzić swój autorytet. Mój ból był niewielką ceną, ale nie miałam prawa wciągać Emily w mój pakt z diabłem. Ani wykorzystywać jej tragedii jako maczugi przeciwko moim krytykom.

Andrea usłyszała w głowie echo słów drugiego listu:

POŚWIĘCIŁAŚ SWOJE DZIECKO DLA KARIERY! ZASŁUGUJESZ NA SWÓJ NOWOTWOROWY WYROK ŚMIERCI!

– Zbuntowałam się przy Judith. Powiedziałam Franklinowi, że odejdę, jeśli kiedykolwiek podniesie na nią rękę, a on bez mrugnięcia okiem zgodził się na mój warunek. – Zmarszczyła czoło, jakby nadal nie rozumiała powodu jego szybkiej kapitulacji. – Dlaczego nie zrobiłam tego dla Emily? Dlaczego nie zrobiłam tego dla siebie?

Andrea przygryzła wewnętrzną stronę policzka.

– Po napaści na Emily Reagan zasugerował, żebym wycofała swoje nazwisko. Byłam wściekła, nie mogłam wyrzec się wszystkiego, na co pracowałam. Czułam, że jeśli się wycofam, Reagan dwa razy się zastanowi, czy nominować inną kobietę. Każdy prezydent by tak zrobił, a ja chciałam zostawić po sobie sądową spuściznę. – Esther utkwiała wzrok w mężu. – Tyle złości, tyle determinacji, lecz i tak oboje jesteśmy tylko kruchymi, śmiertelnymi istotami.

UMIERASZ NA RAKA, TWÓJ MAŻ JEST WARZYWEM, A TY MARTWISZ SIĘ TYLKO O SWOJĄ TAK ZWANĄ SPUŚCIZNĘ!

– Za długo wmawiałam sobie, że zbudowałam życie na filarach siły, szczerości i uczciwości, ale to nieprawda. – Ton Esther nigdy nie był tak ostry jak teraz, gdy krytykowała siebie. – W miesiącach poprzedzających atak Emily całkiem wyzbyła się zakłamania. Rozumiała świat lepiej niż ja. Oceniała mnie trafniej niż ktokolwiek inny. Im bliżej mi do śmierci, tym lepiej rozumiem jej bezkompromisowość. Zaślepiła mnie własna arogancja. Byłam hipokrytką, byłam oszustką.

UMRZESZ, TY AROGANCKA, NĘDZNA, BEZWARTOŚCIOWA SUKO! KAŻDY SIĘ DOWIE, JAKA Z CIEBIE OSZUSTKA. SPRAWIĘ, ŻE BĘDZIESZ CIERPIAŁA!

– Nigdy nie mówiłam tego na głos, nawet Judith. Nie bardzo wiem, czemu mówię to tobie.

Andrea ledwie słyszała jej głos. Sędzia znów skurczyła się w sobie, plecy miała zgarbione, dłońmi ścisnęła kolana, wzrok wbiła w podłogę. W pokoju zapanował

nastrój przygnębienia. Mężowi sędzi zostało kilka godzin życia, Esther miała przed sobą kilka miesięcy. I wyznała obcej osobie więcej niż samej sobie.

Powinna współczuć tej starej kobiecie, tymczasem wróciła pamięcią do zeznania Ricky Blakely z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Kreskówkowa kursywa. Duże kółeczka nad literą i. Kiedy Ricky zapisywała swoje długie, pokrętne zdania, była nastolatką, a jeśli Andrea nauczyła się czegoś w życiu, to tego, że ludzie nie zmieniają się aż tak bardzo po ukończeniu liceum.

Wiele rzeczy zastanawiało ją w tych pogroźkach. Brak przekleństw, brak gróźb natury seksualnej, poprawna interpunkcja, a także składnia, oraz wyszukane słownictwo. To rozumiała, że ktoś piszący groźby śmierci próbuje ukryć swoją tożsamość, ale trudno ukryć fakt, że jest się pryncypialnym, władczym, inteligentnym, a nade wszystko nieugiętym.

– Pani sędzio – zaczęła Andrea – dlaczego napisała pani do siebie groźby śmierci?

Esther otworzyła usta, choć nie była to oznaka zdziwienia. Andrea rozpoznała w tym mechanizm radzenia sobie ze stresem. Odetchnąć głęboko, uspokoić trzepoczące serce i skupić się na czymkolwiek prócz czynnika wywołującego stres.

Kiedy Esther spojrzała na Andreę, nie zamierzała odpowiedzieć na jej pytanie, ale zadać swoje:

– Dlaczego się mnie nie boisz?

– Sama nie wiem – przyznała Andrea. – Kiedy o pani myślę, to się obawiam, gdy jednak na panią patrzę, to uświadamiam sobie, że jest pani zagubioną starszą kobietą, której córka została zamordowana, i którą bił mąż.

Esther opuściła brodę, ale ledwie zauważalnie.

– Leonard wie?

– Nadal uważa, że Ricky napisała te listy.

Esther spojrzała na aktówkę leżącą u jej stóp. Dom sędzi strawił ogień, a ona wyniosła z niego tylko tę aktówkę.

– Nie powinnam naginać systemu. Teraz widzę, ile egoizmu było w moim zachowaniu. Przepraszam.

Andrea nie czekała na przeprosiny, ona potrzebowała wyjaśnienia. Kariera zawodowa sędzi trwała niemal tak długo, jak długo istniała USMS, Esther Vaughn doskonale znała zasady działania Bezpieczeństwa Sądowego. Kiedy sędzia dostawał wiarygodne groźby śmierci, priorytetem było zapewnienie mu bezpieczeństwa. Esther z pewnością czuła się na tyle zagrożona, żeby potrzebować ochrony, ale bała się wyjawić powód. Andrea czuła, że brakujący kawałek układanki wkrótce trafi na swoje miejsce.

– Przed kim chciała się pani chronić? – spytała.

Wątle ramiona Esther uniosły się, gdy zaczerpnęła powietrza. Wypuściła je z płuc, wyrzucając z siebie nazwisko jak nazwę paskudnej choroby:

– Przed Deanem Wexlerem.

Andrea musiała przytrzymać się oparcia tapicerowanego krzesła. Wszystkie okropne rzeczy, które przytrafiły się kobietom w tym mieście, zawsze prowadziły do Deana Wexlera.

– Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć. – Głos Esther zadrżał przy ostatnich słowach. – Pierwszy List Świętego Piotra Apostoła, 5:8 – dodała[9].

Andrea kurczowo trzymała się oparcia. Przychodził jej do głowy tylko jeden powód, dla którego Dean Wexler budził strach w Esther Vaughn, ale nie była w stanie powiedzieć tego na głos.

– Chcę to usłyszeć od pani – zwróciła się do sędzi.

I znowu Esther musiała odetchnąć głęboko, by zebrać się w sobie.

– W pierwszym roku życia Judith ustawiłam w ogrodzie kojec dla niej, żebyśmy mogły razem spędzać czas. Byłam w szopie na narzędzia, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że jej nie słyszę. Wybiegłam z szopy i zobaczyłam, że Dean Wexler trzyma ją na rękach. – W oczach sędzi zalśniły łzy. To wspomnienie wyraźnie ją prześladowało. – Judith nie miała pojęcia, że trzyma ją obcy, była

ufnym i radosnym dzieckiem. Tyle że ja widziałam wyraz twarzy Wexlera. Chciał zrobić jej krzywdę. Trzymał ją za ramię, jakby chciał je wykręcić. Ta wrogość w jego oczach, czyste zło... – Esther umilkła, ponieważ emocje wzięły górę. – Nigdy przedtem tak nie krzyczałam, nawet kiedy usłyszałam o napaści na Emily. Nawet kiedy Franklin... – Słowa uwięzły jej w gardle, jednak Andrea i tak wiedziała, że sędzia mówi o przemocy fizycznej. – Przez całe życie uważałam się za silną i nieprzeniknioną. Twardniejesz w słabszych miejscach i żyjesz dalej, ale widok tego demona z moją Judith na rękach kompletnie mnie załamał. Klęczałam przed nim i błagałam, żeby oddał mi Judith, kiedy z domu wyszedł Franklin. – Andrea obserwowała, jak sędzia próbuje zapanować nad sobą. Jej dłonie zaczęły drżeć, łzy popłynęły z oczu. – Pobiełam z Judith do domu, a serce mi płonęło. Do powrotu Franklina ukrywałam się z nią w garderobie na górze. – Esther urwała, zmagając się z obrazami z przeszłości. – Wtedy Franklin mi powiedział, że Dean Wexler jest ojcem Judith.

Andrea poczuła, że świat znowu kołysze się na boki, choć gdzieś tam w głębi spodziewała się takiej informacji. I spadł na nią nawał myśli. Skoro Dean jest ojcem Judith, to znaczy, że skłamał w kwestii niepłodności, a jeśli kłamał o tym, to co jeszcze ukrywał?

– Franklin oznajmił, że musimy zapłacić Wexlerowi, żeby dał nam spokój. Zawarli układ, załatwić miał to Franklin. – Esther złączyła dłonie, żeby przestały się trząść. – Powinnam natychmiast wezwać policję. Teraz widzę to wyraźnie, ale wtedy nic nie zrobiłam.

Andrea mogła tylko zadać jedno proste pytanie.

– Dlaczego?

– Panicznie się bałam, że Wexler znajdzie sposób, by odebrać nam Judith. Nigdy nie zdołasz sobie wyobrazić tego nienawistnego wyrazu na jego twarzy, gdy tamtego dnia był w moim ogrodzie. Do dziś wierzę, że on jest uosobieniem zła. – Dotknęła palcami krzyżyka na szyi, jakby był jej talizmanem. – Wexler mógł wnieść sprawę o prawa rodzicielskie, mógł nam odebrać Judith albo dostać zgodę

sądu na odwiedzin. Albo mieć coś do powiedzenia w kwestii jej wychowania. Zapłacenie mu, żeby trzymał się od nas z daleka, było dla nas najbardziej dogodne.

– Pani sędzio, czegoś nie rozumiem. Gdyby Wexler chciał walczyć o prawa rodzicielskie, musiałyby przyznać się do gwałtu na nieletniej – zauważyła Andrea.

– Musisz na to spojrzeć w kontekście tamtych czasów. Konstytucyjność przepisów o gwałtach ustawowych Sąd Najwyższy utrzymał w mocy dopiero w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. W stanie Delaware do lat siedemdziesiątych wiek zgody wynosił siedem lat, a prawa chroniące ofiary gwałtu weszły w życie kilka lat wcześniej. Kiedy pierwszy raz zasiadłam w sądzie, twierdzenie kobiety, że padła ofiarą napaści seksualnej, musiało być potwierdzone przez naocznego świadka, by zostało uznane za wiarygodne.

Andrea nie mogła zostawić tego bez komentarza.

– Pani wybaczy, pani sędzio, ale od tego czasu niewiele się zmieniło. Zgwałcona i zamordowana biała kobieta pozostaje zgwałconą i zamordowaną białą kobietą.

– To tekst do brukowców, nie do sądu. – Esther urwała, obejmując palcami krzyżyk. – Jak przejdziesz od punktu A do punktu B? Dean przyznał się do seksu, nie do zabójstwa, poza tym zawsze mógł wycofać zeznania. Ze względu na moją pozycję społeczną i pikantne szczegóły każdy prokurator nieufnie podszedłby do takiej trefnej sprawy bez dowodów potwierdzających. Oczywiście Franklin i ja wynajęliśmy prywatnego detektywa, niestety nie wpadł na trop zabójcy Emily. Zderzyliśmy się z tym samym problemem co zawsze, czyli z brakiem wystarczających dowodów.

– Policja znajduje informatorów w bliskim kręgu podejrzanych – zasugerowała ostrożnie Andrea.

– Zapłacić komuś albo namówić, żeby potwierdził winę Deana? – Esther nie wydawała się oburzona tą sugestią, co znaczyło, że sama rozważała taką możliwość. – A gdyby ten człowiek wszystkiego się wyparł? Gdyby zaczęli nas szantażować? Lepszy diabeł znany niż nieznan, a Wexler był wcieleniem diabła.



Andrea wiedziała, że Esther prawdopodobnie podjęła najlepszą decyzję ze wszystkich złych decyzji, które wchodziły w rachubę. Wiedziała też o czymś innym, co wydarzyło się mniej więcej w tym samym czasie.

– Wexler nam powiedział, że odziedziczył pieniądze po zmarłej krewnej i za nie kupił farmę.

Esther zaczęła powoli kiwać głową.

– Ta nieruchomość należała do matki Franklina. Po jej śmierci miała przejść na Emily, potem na Judith.

Andrea patrzyła, jak Esther wyciąga chusteczkę z rękawa sukienki. Otarła łzy i mówiła dalej.

– Franklin przeniósł ziemię na spółkę, która po cenie nominalnej sprzedała ziemię fasadowej korporacji. Ta z kolei dokonała transferów niepublicznych na rzecz trustu kontrolowanego przez Deana Wexlera. – Esther spojrzała na Andree i wyjaśniła to prostymi słowami: – Oszustwo podatkowe, uchylanie się od płacenia podatków, malwersacja, fałszerstwo, może pranie brudnych pieniędzy, ale musiałabym zajrzeć do ustawy z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

Andrea wiedziała, że Wexler na tym nie poprzestał.

– Czy miała pani coś wspólnego ze sprawą w sądzie pracy?

– Tak, miałam... Franklin powiedział, że będę musiała wyświadczyć pewne przysługi. Właśnie tak to formułował: musisz wyświadczyć przysługę. Nigdy go o to nie pytałam, tylko robiłam, co mi dyktował, bo chciałam chronić Judith.

W tym momencie Andrea postanowiła wytknąć słaby punkt w relacji sędzi:

– Z akt sporządzonych przez Boba Stiltona wynika, że Wexler nie mógł być ojcem. Twierdził, że w dzieciństwie przeszedł chorobę, która wywołała u niego bezpłodność.

– Nie ma na to dowodu. – Esther też musiała znać te akta. – Franklin powiedział, że musimy uwierzyć Wexlerowi na słowo, bo ryzyko było zbyt duże.

Tak desperacko chciałam chronić Judith, że nie zadawałam pytań, a kiedy zaczęłam się nad tym zastanawiać, było już za późno.

– Nigdy nie poprosiła pani Wexlera o próbkę DNA?

– Po co? Kto raz ulegnie szantażowi, musi to robić już zawsze, bo wpada w bagno. W naszym przypadku to Franklin i ja złamaliśmy prawo przy transakcji sprzedaży ziemi, a Dean miał na to dowód. Natomiast my nie mieliśmy dowodu, że zamordował naszą córkę. – Ciężkie westchnienie Esther wyjawiało, jak bardzo jest wyczerpana. Przeżyła dekady, waląc głową w mur, w który Andrea waliła dopiero od kilku dni. – Powiedziałam sobie, że groźba jest zbyt osobista, by zrywać nasz pakt. Wexler zawsze mógł znaleźć dojście do Judith, a po narodzinach Guinevere stawka była jeszcze wyższa.

Andrea spojrzała na swój spuchnięty lewy nadgarstek.

– Czy pani wie, co Dean robi kobietom na farmie?

– Przez lata wolałam nie wiedzieć. Emily nazywała to moim „darem świadomego niewidzenia”.

Andrea chciała zachować się taktownie, ale wtedy pomyślała o Star Bonaire i Alice Poulsen.

– Pani sędzio, jak na kogoś, kto twierdzi, że wolał nie wiedzieć, zna pani zadziwiająco dużo szczegółów.

Esther spojrzała na męża, którego oddech stał się chrypliwy, a przerwy między kolejnymi oddechami stopniowo się wydłużały.

– Po udarze Franklina bufor zniknął i Wexler zwrócił się bezpośrednio do mnie. I wreszcie usłyszał, że to koniec. Wiedziałam, że mój rak jest nieoperowalny, a czas, który mi pozostał, chciałam spędzić z Judith i Guinevere.

Andrea widziała, jak Dean Wexler traktuje kobiety, które mu się przeciwstawiły.

– Co wtedy zrobił?

– Nadszedł list zaadresowany do Guinevere. – Esther znowu sięgnęła ręką do szyi i złapała złoty krzyżyk. – Rozpoznałam adres zwrotny. Wexler przysłał

formularz aplikacyjny na wolontariat na farmie. W formularzu były już wstępnie wpisane nazwisko i adres Guinevere.

– To wszystko? – spytała Andrea. Nie sądziła, że Dean Wexler wykaże się taką subtelnością.

– W kopercie były zdjęcia Guinevere. Ktoś śledził ją w drodze ze szkoły do domu. Jedno zdjęcie zostało zrobione przez odsłonięte okna jej sypialni.

Andrea wyczuła rozpacz w jej głosie.

– Co pani zrobiła?

– Znowu spanikowałam – odparła Esther. – Po pierwszej historii niczego się nie nauczyłam. Zamiast ujawnić prawdę, nagięłam system. Jest tak, jak powiedziałas, sama napisałam te groźby, bo wiedziałam, że wtedy Służba Bezpieczeństwa Sądowego zadziała.

Andrea musiała delikatnie skorygować te słowa, ponieważ Esther nie przyjęła kilku pierwszych propozycji ochrony.

– Chciała pani Bible’a – powiedziała.

– Leonard to dobry człowiek – odparła Esther – a ja kawał życia przeżyłam w strachu przed złymi mężczyznami. Przed mężem. Przed Wexlerem. Przed własnymi ludźmi. Żyłam w ciągłym strachu przed stratą, ciągłą stratą. Emily widziała mój strach i nazwała to tchórzostwem. Oczywiście miała rację. Nie mam złudzeń, wiem, że za moje grzechy przyjdzie mi odpokutować po śmierci. Chciałam spędzić resztę danego mi czasu wśród ludzi, którzy mnie kochają.

– A co potem? – spytała Andrea, ponieważ było dla niej oczywiste, że sędzia ma plan.

Esther najpierw pokręciła głową, dopiero potem odpowiedziała:

– Powinnam przeprosić, że cię nie doceniłam. Leonard mówił, że masz w sobie błysk geniuszu.

Nie łyknęła tego komplementu. Zbyt wiele kobiet cierpiało z ręki Wexlera.

– Pani sędzio, co jest w tej aktówce?

[9] Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990. (Przyp. tłum.).

## 26 LISTOPADA 1981

Emily i Bunia siedziały przy kuchennym stole i łuskały pestki dyni na coroczne rodzinne spotkanie Vaughnów z okazji Święta Dziękczynienia. Tyle że w tym roku zamiast pięćdziesięciu osób popijających koktajle w reprezentacyjnym salonie i następnych dwudziestu słoczonych w pokoiku z telewizorem, gdzie oglądało się mecze, w świętowaniu uczestniczyły tylko cztery osoby. A jedna z nich nie bardzo wiedziała, kim są pozostałe.

– Mój ojciec mnie nauczył, jak łuskać pestki. Uwielbiał nasiona dyni – powiedziała Bunia.

– Jaki był? – spytała Emily, chociaż znała na pamięć tę opowieść o pradziadku.

– Nie był zbyt wysoki. – Bunia zaczęła od opisu włosów swojego ojca, miękkich i cienkich ku jego utrapieniu, bo stylizował się na Clarka Gable'a. Kiedy przeszła do jego zamięłowania do strojów, Emily się wyłączyła, w zadumie przyglądając się wprawnym ruchom dłoni łuskających pestki. Esther już podpiekła je w piekarniku. Większość ludzi obierała je po jednej jak orzeszki ziemne, ale Bunia upierała się, że lepiej wysilić się teraz, żeby cieszyć się nimi później. Napełniły już prawie całą miskę.

– Tatuś mówił, żeby robić to tak. – Bunia zademonstrowała, jak delikatnie ścisnąć łupinę, aż się otworzy. Pestka w środku była zielona. – Teraz nie wolno ich jeść. Wszystkie wrzucimy do miski, zjemy we właściwym czasie.

– To dobry pomysł. – Gdy Emily wyciągnęła rękę po następną garść pestek, poczuła tak ostry skurcz w plecach, że aż krzyknęła. Miała ochotę zgiąć się wpół, ale zamiast tego odchyliła się, żeby rozciągnąć mięsień.

– Och, dobrze się czujesz, skarbie? – spytała Bunia.

Emily nie czuła się dobrze i tym razem zasyczała z bólu. Nie wiedziała, czy naciągnięty mięsień to efekt ciąży, dźwigania ciężkiej torby z książkami czy bezsenności z powodu sytuacji w szkole.

– Trochę za wcześnie na skurcze. – Esther wyszła ze spiżarni, odstawiła puszkę kiszzonej kapusty na stół i zaczęła ugniatać pięścią plecy Emily. – Przetrzymaj to.

Ale ona nie chciała niczego przetrzymywać. Chciała, żeby to się wreszcie skończyło.

– Lepiej? – spytała Esther.

Emily kiwnęła głową, bo skurcz zelżał. Oparła się o biodro matki i zamknęła oczy. Esther przysunęła się do córki i odgarnęła jej włosy do tyłu. To było dla nich coś nowego. Zwykle to Bunia ocierała łzy Emily albo całowała zdarte do krwi kolano, natomiast Esther czuwała nad rozwojem jej słownictwa i przygotowywała do debat w klubie dyskusyjnym. Zupełnie jakby ciąża Emily obudziła w Esther matczyną stronę jej natury, która dotąd spoczywała w uśpieniu. Albo to demencja Buni otworzyła przestrzeń, której Esther nigdy nie czuła się zobowiązana wypełnić.

– Skarbie – powiedziała Bunia do wnuczki – jesteś trochę za młoda na ciążę.

– To prawda. – Emily roześmiała się.

Bunia zrobiła zakłopotaną minę, ale zawtórowała jej śmiechem.

Esther przycisnęła wargi do czubka głowy Emily.

– No dobrze, pójdę przyszykować kolację. Twój ojciec niedługo wraca z klubu.

Emily obserwowała matkę, gdy ta krzątała się po kuchni. Ściślej rzecz ujmując, Esther nie szykowała kolacji, tylko podgrzewała to, co przygotowała kucharka, która preferowała dania z Marylandu. Tego dnia były to ciasteczka krabowe, gotowana kukurydza, farsz z małży i ostryg, sos żurawinowy, fasolka szparagowa z pomidorami, pieczona szynka.

Pojawienie się szynki było oczywistą oznaką, że okoliczności uległy zmianie. Zwykle Emily brzydził widok tłustego różowego mięsa gotowanego we własnym sosie na wolnym ogniu. Jego kształt za bardzo przypominał prawdziwą świnię.

Szynka, którą Esther wyjęła z lodówki, była niezbyt duża, lecz i tak można by nią nakarmić więcej niż czworo ludzi.

Nikt nie mówił tego głośno, ale osobą, która ponosiła winę za odwołanie uroczystego spotkania rodzinnego, była Emily.

Następstwa jej grzechu pierwородnego sięgały dalej niż brak gości przy stole, mianowicie nominacja sędziowska Esther stała pod znakiem zapytania, a sama zainteresowana wisiała na telefonie, jeździła do Waszyngtonu i udowadniała całemu światu, że nadal zasługuje na tę dożywotnią funkcję. Presja była ogromna, choć Esther nigdy nie mówiła o tym otwarcie, za to toczyła poufne rozmowy z Franklinem, które urywały się, kiedy córka wchodziła do pokoju. Nocami słyszała ich ściszone głosy przez ścianę sypialni i wyobrażała sobie, jak Franklin chodzi w tę i z powrotem po skrzypiącej podłodze, a Esther obmyśla strategię przy biurku.

Ostatni tydzień był wyjątkowo trudny. Emily przeczytała felieton w „Wilmington News Journal” z pytaniem, czy sędziowskie ambicje Esther Vaughn nie przesłoniły jej obowiązków macierzyńskich. Franklin zostawił na stole w jadalni gazetę otwartą na tej stronie, żeby córka zapoznała się z tym tekstem.

Emily wstała od stołu. Nagle zebrało jej się na płacz, niestety w kuchni nie było chusteczek, więc musiała wydmuchać nos w papierowy ręcznik. Esther uśmiechnęła się, zdradzając tym uśmiechem, że wie, że jej córka płacze, ale nic na to nie może poradzić.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała Emily.

– Pudding jest w drugiej lodówce. Mogłabyś...

– Wielkie nieba! – wpadła jej w słowo Bunia, która od dobrej chwili uważnie się im przyglądała. – To ja pójdę do pokoju się zdrzemnąć.

Emily widziała, że babcia nie ma pojęcia, kto stoi po drugiej stronie kuchni, na szczęście tak długo mieszkała w tym domu, że rozpoznawała otoczenie. Powolnym krokiem wyszła na tylny korytarz, w roztargnieniu nucąc Yankee Doodle. Zanim dotarła do schodów, maszerowała już w rytm melodii.

Esther wymieniła z córką rozbawione spojrzenia. Od rana była w zdumiewająco dobrym nastroju, a Emily zadawała sobie pytanie, czy jej ciąża faktycznie zbliżyła je do siebie. Ale brak było jednoznacznej odpowiedzi. Czasem wyglądało to tak, jakby ich relacja matka – córka wkraczała na nowy etap, a potem Esther prawila jej kazania o termostacie nastawionym na zbyt wysoką temperaturę albo o mokrym ręczniku na podłodze.

– Pudding – przypomniała jej Esther.

– A, racja. – Emily wiedziała, że nie może usprawiedliwiać swojego roztargnienia ciążą. Prawda była taka, że świat „tu i teraz” stał się zbyt przygnębiający.

Garaż był zimny niczym zad niedźwiedzia polarnego, jak mawiała Bunia, ale Emily nie chciało się wracać po wierzchnie okrycie. Oczywiście z początku było jej gorąco, to się jednak zmieniło, gdy dobrnęła na drugi koniec garażu.

Wzdrygnęła się, gdy otworzyła drzwi lodówki. Naśladowując Bunię, zanuciła Yankee Doodle, ten muzyczny motyw, który irytował każdego dnia roku. Przypomniała sobie, jak w szóstej klasie za dodatkowe punkty przeczytała Małych mężczyzn Louisy May Alcott. Emil i Franz poszli do młyna i przynieśli do domu tyle mąki, że rodzinie wystarczyło na pudding i chleb kukurydziany na długie miesiące. Emily dostała od nauczycielki gwiazdkę za połączenie tej historii z piosenką.

Teraz nie dostawała od nauczycieli żadnych gwiazdek.

W szkole skazano ją na absolutny ostracyzm. Nawet woźni odwracali od niej wzrok, gdy przechodziła, jakby jej ciąża wytwarzała zabójcze pole siłowe. Im więcej obrzydliwych plotek krążyło, tym bardziej ludzie trzymali się od niej z daleka. Nauczyciele kręcili głowami z konsternacją, ktoś wyciął wielką dziurę w koszulce, którą nosiła na wuefie, w klasie ktoś wyrył słowo DZIWKĄ na jej ławce. Przed przerwą z okazji Święta Dziękczynienia jakiś idiota przykleił dużą podpaskę do drzwi jej szafki i pomazał czerwonym pisakiem, by wyglądało jak krew, a czarnym zrobił ramkę, żeby wyglądało jak pocztówka, a niżej napisał:

## CHCIAŁABYŚ TU BYĆ?

Emily podejrzewała Ricky o numer z podpaską, może nawet o pozostałe szykany, bo najbardziej bezlitosne nękanie zafundowała jej klika. Plotki rozsiewane przez Blake'a o upodobaniu Emily do alkoholu i prochów zaczęły żyć własnym życiem. Wychodziło na to, że nie tylko brała, ale i dilowała, była nie tylko pijaczką, ale i ćpunką. Ricky dołożyła własne kłamstwa. Opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, że na własne oczy widziała, jak Emily robi laskę różnym chłopakom za salą gimnastyczną. Oczywiście różni chłopcy nie omieszkali zadeklarować, że to właśnie oni są tymi szczęśliwcami. Jak można się było spodziewać, Nardo wykazał się jawnym okrucieństwem, rzucając obelgi pod jej adresem, kiedy tylko przechodził obok niej:

„Prostaczka” jednego dnia.

„Pieprzona cipa” następnego.

I „gruba suka”, kiedy Emily wyglądała na szczególnie przybitą.

Clay zupełnie ją ignorował, co bolało o wiele bardziej niż chamskie odzywki Narda. Dla Claya stała się ludzkim niebytem, w sensie egzystencjalnym czymś na poziomie publicznego aparatu telefonicznego wiszącego na ścianie w bistrze czy skrzynki pocztowej na ulicy.

No i byli też inni. Melody Brickel, gdy się mijaly, zawsze posyłała jej uśmiech, niestety te płynące z dobrego serca uśmiechy przypominały Emily, co straciła.

Dean Wexler zażądał, żeby przeniesiono ją z jego klasy, ale ponieważ półrocze już trwało, Emily spędzała czas w bibliotece, sama jak palec w salce do nauki.

I był jeszcze Ser, a właściwie Jack, jak powinna teraz o nim myśleć.

Jack starał się unikać jej w szkole, a po szkole zawsze był zajęty. Powiedział jej, że ojciec każe mu pracować na komisariacie, lecz brzmiało to nieprzekonująco, jak naprędce wymyślona wymówka. Jack wiele razy mówił, że tego lata nie pojedzie do stanowej akademii policyjnej i zaraz po ukończeniu szkoły zniknie z tego miasteczka.



Emily była pewna, że napięcie, które się między nimi pojawiło, spowodowała jej niewytłumaczalna ciąża. I nigdy nie spytała Jacka, czy był na Imprezie. Wmawiała sobie, że nie chce wpaść w sidła zastawione przez Narda, a tak naprawdę bała się usłyszeć odpowiedź Jacka.

Czy był u Narda?

Czy coś jej zrobił?

Uświadomiła sobie, że wpatruje się bezmyślnie w lodówkę. I że zapomniała, po co tu przyszła.

Piwo, bita śmietana, napoje gazowane, mleko?

Powinna porozmawiać z Jackiem. Nigdy nie mieli przed sobą sekretów, przynajmniej w ważnych sprawach. Wczoraj wieczorem widziała, jak wślizgiwał się do szopy, gdzie zostawiła mu poduszkę i czysty koc. Wiedziała, że w jego domu przerwy świąteczne to najgorszy czas. Matka otwiera butelkę zaraz po śniadaniu, a komendant dołącza do niej około południa. W porze obiadu albo wrzeszczą na siebie i okładają się piśćciami, albo zgodnie leżą na podłodze zalani w trupa.

– Pudding! – W końcu przypomniała sobie, po co odmraża tyłek w garażu.

Postawiła wiaderko bitej śmietany na misce z pokrywką i biodrem zamknęła drzwi lodówki, a potem przeszła przez puste miejsce, gdzie zwykle stało auto ojca. Zastanawiała się, czy faktycznie jest w klubie. Rano w Święto Dziękczynienia rozgrywali szybki turniej, żeby personel klubu później miał trochę wolnego. Wiedziała, że zapisał się na pole dziewięciodołkowe, ale wiedziała też, że gra do dziewięciu dołków nie trwa w nieskończoność.

– Zabłądziłaś? – Esther czekała na nią w drzwiach.

Emily podała jej pudding, mówiąc przy tym:

– Nie mogłam uwolnić się od tej głupiej piosenki.

Esther nabrała powietrza i zaśpiewała donośnie:

– Fath'r and I went down to camp along with Captain Goodin.

Emily do niej dołączyła:

– And there we saw the men and boys as thick as hasty pudding.

Zaczęły tupać i pomaszerowały do domu, drąc się wniebogłosy:

– And there was Captain Washington and gentle folks about him... they say he's grown so tarnal proud he will not ride without them!

Emily poczuła się oszołomiona, gdy matka ją objęła. Rzeczywiście była w doskonałym nastroju. Od lat nie śpiewały razem.

– Ojej. – Esther otarła łzy, które pociekły jej ze śmiechu. – Ale się ubawiłam.

Emily wyczuła w tym zarówno sporo prawdy, jak i szczyptę udawania.

– Jesteś dzisiaj bardzo szczęśliwa – zauważyła.

– Czemu miałabym się smucić? Spędzę cały dzień z rodziną. – Przez kilka sekund trzymała córkę za rękę, po czym dodała: – Usiądź. Resztą sama się zajmę.

Była wdzięczna za tę chwilę wytchnienia. Położyła stopy na pustym krześle Buni. Plecy już jej nie bolały, za to palce u stóp puchły i zaczynały przypominać bolesne kiełbaski.

– Powinnam zabrać się do pracy z angielskiego – powiedziała. – Od niej zależy połowa mojej oceny.

– Dzisiaj się o to nie martw. – Esther stała tyłem do Emily. Jej plecy nagle zeszywniały. Odwróciła się, skrzyżowała ręce na piersi. – Prawdę mówiąc, może w ogóle nie powinnaś się już o nic martwić. Chyba lepiej będzie, jeśli odejdziesz ze szkoły na własnych warunkach, zamiast czekać, aż stanie się to niemożliwe.

– Mamo... – Zatchnęła się na samą myśl o tym. – Nie mogę przerwać nauki. Jeśli dotrwam do nowego roku, będę miała wystarczająco dużo punktów, żeby skończyć szkołę.

– Zanim skończysz szkołę, będziesz miała dziecko, i chyba nie oczekujesz, że wejdiesz na scenę z resztą klasy.

Emily poczuła, jak gaśnie radość ostatnich paru chwil. Nie były rówieśnicami ani przyjaciółkami. Esther była jej matką, a matka właśnie wydała dekret.

– To niesprawiedliwe – zaoponowała. Skoro Esther mówiła jak dorosła, ona będzie brzmiała jak dziecko. – Mówisz, jakbym nie miała wyboru.

– Masz wybór. Możesz skupić się na tym, co ważne.

– Moja edukacja nie jest ważna?

– Oczywiście, że jest. A raczej będzie.

– Mamo, ja... – Emily dotąd nie wypowiedziała tych słów na głos, choć myślała o tym przez cały ostatni miesiąc. – Nadal mogę pójść do college’u. Możemy wynająć nianię i...

– Za co? – Esther uniosła rękę, bezwiednie gestykułując w kierunku rezydencji, która należała do rodziny Franklina od ponad pięćdziesięciu lat. – Kto zapłaci za tę nianię, Emily? Będziesz studiować i pracować? Czy niania zajmie się dzieckiem, kiedy będziesz się przygotowywać do zajęć albo pisać prace semestralne?

– Ja... – Emily zrozumiała, że powinna wcześniej dobrze zaplanować tę rozmowę. Należało pokazać rodzicom konkretne wyliczenia, wyjaśnić, jak drobna inwestycja uczyniona teraz zaprocentuje w przyszłości. – Nie mogę nie pójść do college’u.

– Ależ pójdziesz do college’u – odparła Esther. – W końcu pójdziesz. Dziecko podrośnie i zacznie szkołę, a po paru latach nauki, kiedy nie będzie z nim problemów, możesz...

– To co najmniej osiem lat! – Emily osłupiała ze zdumienia. – Mam iść do college’u przed trzydziestką?

– Nie ma w tym nic niezwykłego – odparła Esther, szkoda tylko, że nie podała ani jednego przykładu. – Moja droga, nie dasz rady zajmować się niemowlakiem, jednocześnie studiując w college’u, to po prostu niemożliwe.

Emily nie mogła uwierzyć w tę hipokryzję.

– Przecież ty zrobiłaś dokładnie to samo!

– Nie podnoś głosu – upomniwała ją Esther. – I przyjmij do wiadomości, że ze mną to zupełnie inna sprawa. Twoja babcia była z tobą w domu, kiedy ja studiowałam na Harvardzie. I miałam męża. Twój ojciec to zaaprobował, pozwolił, żebym robiła karierę poza domem.

– Pozwolił? – Emily parsknęła śmiechem. – Ciągłe mi powtarzasz, że kobiety mogą wszystko!

– Bo mogą, ale w granicach rozsądku.

– Mamo! – Zdesperowana zamachała rękami.

– Emily. – Esther doskonale panowała nad głosem. – Rozmawialiśmy z ojcem, że nie będziemy dyskutować o okolicznościach, które doprowadziły do twojego obecnego stanu.

– Jezu, mówisz jak prawnik.

Obie były zaskoczone, a Emily zasłoniła usta dłonią. Takie myśli bezustannie chodziły jej po głowie, choć do dziś nie miała odwagi ich wypowiedzieć.

Zamiast przywołać ją do porządku, Esther usiadła przy stole i oznajmiła:

– Emily, musisz zasłużyć na powrót, bo złamałaś zasadę, kardynalną zasadę, której kobietom nie wolno łamać. Drzwi, które były przed tobą otwarte, zatrzęsnęły się. Po prostu musisz ponieść konsekwencje za swoje czyny.

– Jakie czyny? Ja nie...

– Nie wracasz do szkoły – oznajmiła Esther. – W zeszłym tygodniu dyrektor Lampert zadzwonił do ojca i zapadła decyzja. Zostałaś skreślona z listy uczniów i nic nie możesz na to poradzić.

Emily zebrało się na płacz. Od urodzenia Esther wbijała jej do głowy, jak wielkie znaczenie ma edukacja, a ona spędzała długie godziny, ucząc się do każdego testu i ślęcząc nad każdą pracą pisemną, byle tylko matka była z niej dumna.

A teraz stwierdziła, że niepotrzebnie się trudziła.

– Emily, to jeszcze nie koniec świata – powiedziała Esther, chociaż definitywnie coś się skończyło. – Ojciec i ja przedyskutowaliśmy sprawę i uzgodniliśmy wspólne stanowisko.

– O, skoro ojciec tak uważa, to po prostu świetnie.

Esther zignorowała jej sarkazm i dalej mówiła swoje:

– Musisz poczekać na właściwy moment. Na razie zostaniesz w domu z dala od ciekawskich oczu, a kiedy przyjdzie czas, znajdziemy sposób, żeby wprowadzić cię na nowo w świat.

– Mam siedzieć w zamknięciu przez co najmniej osiem lat?

– Tylko proszę, nie dramatyzuj. Posiedzisz w domu do narodzin dziecka. Możesz chodzić po ogrodzie za domem, a kiedy w szkole są zajęcia, spacerować po ulicy. Powinnaś prowadzić zdrowy tryb życia.

Emily wychwyciła u matki dobrze przećwiczony ton głosu. Wyobraziła sobie rodziców, jak do późnej nocy omawiają ten „problem”. Franklin chodzi po pokoju ze szklaneczką szkockiej w dłoni, Esther robi listę rzeczy dozwolonych i zakazanych dla Emily, a żadne z nich ani przez chwilę nie zadaje sobie pytania, czego chce ich ciężarna córka.

W taki sam sposób zdecydowali w jej imieniu, że urodzi to dziecko.

Tak samo zdecydowali, że nie skończy szkoły, odłoży studia na później, odłoży swoje życie.

– A potem? – spytała, bo bardzo chciała wiedzieć, co ustalili.

Esther przyjęła to pytanie z ulgą, bo najwyraźniej uznała, że oznacza zgodę.

– Kiedy przyjdzie właściwy czas, ojciec i ja zaczniemy zabierać cię na przyjęcia. Na początek bardziej kameralne, tylko z osobami z naszego grona. Wybierzemy tych, którzy będą najbardziej otwarci na twoje ponowne wejście w świat. Kiedy dziecko podrośnie, może przyjmą cię na staż albo dostaniesz posadę sekretarki.

– Ale z ciebie hipokrytka!

– Słucham? – Esther sprawiała wrażenie bardziej rozbawionej niż dotkniętej.

Emily miała dość gryzienia się w język. Męczyło ją to, że nieustannie musiała się liczyć z cudzymi uczuciami, zwłaszcza gdy nikt, dosłownie nikt nie brał pod uwagę jej uczuć.

– Prawisz kazania o tym, jakie to ważne, żeby kobiety były silne, roztaczasz wokół siebie aurę niezwycięzonej i udajesz przed światem nieustraszoną, gdy to wszystko, co robisz, jest podyktowane strachem. Ty się boisz.

– Ja się boję? – Esther parsknęła śmiechem. – Młoda damo, nigdy niczego się nie bałam.

– Ile razy tata cię uderzył?

– Uważaj, co mówisz... – Wbiła w córkę stalowy wzrok.

– Bo co? – spytała Emily. – Tata znowu mnie stłucze? Wykręci Buni przegub, aż krzyknie z bólu? Zaciągnie cię za ramię na górę i stłucze szczotką do włosów?

Esther nie odwróciła oczu, ale patrzyła na Emily niewidzącym spojrzeniem. I nagle zabrakło jej słów.

– Strasznie boisz się tego, co ludzie o tobie pomyślą – ciągnęła Emily. – Dlatego ciągle jesteś z tatą. Dlatego chcesz mnie zamknąć w domu. Zmarnowałaś całe swoje życie, próbując postępować tak, jak oni chcą.

– Całe moje życie – powtórzyła Esther. – Proszę, wyjaśnij, kim są oni?

– Oni to wszyscy – powiedziała Emily. – Nie pozwoliłaś mi na aborcję, bo oni mogliby się dowiedzieć. Wykluczyłaś adopcję, bo oni mogliby wykorzystać to przeciwko tobie. Muszę odejść ze szkoły, bo oni powiedzieli, że tak trzeba. Zachowujesz się, jakbyś kontrolowała całe swoje życie i cały swój dorobek, drżąc ze strachu, że oni w każdej chwili mogą odebrać ci to wszystko.

Esther zacisnęła usta.

– Mów dalej – powiedziała po chwili. – Wyrzuć to z siebie. – Zachowywała się tak, jakby Emily potrzebowała worka treningowego, gdy tymczasem ona była śmiertelnie poważna.

– Mamo, ja nie ponoszę konsekwencji swoich czynów. Ja ponoszę konsekwencje twojego tchórzostwa.

Esther uniosła brew tak samo jak wtedy, gdy próbowała kogoś rozbawić.

– Jesteś hipokrytką. – Emily się powtarzała, ale teraz te słowa zabrzmiały dla niej jak objawienie. Nigdy przedtem nie mówiła do nikogo tak otwarcie. Czemu siedziała cicho przez tyle lat? Czemu bała się powiedzieć coś złego, zrobić coś złego, sprawić przykrość złym ludziom?

Co wtedy by zrobili?

Wstała i oparła pięści na stole.

– Masz zdumiewający dar świadomego niewidzenia. Masz się za inteligentną, za sprytną i wszechwiedząca, a zarazem nigdy nie dostrzegasz rzeczy, których nie chcesz widzieć.

– Czegóż takiego nie chcę widzieć?

– Że jesteś przerażona. Przez cały czas tylko dusisz w sobie ten strach.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Masz wokół ust zmarszczki od duszenia w sobie tego strachu, od zaciskania ust jak choćby w tej chwili.

Esther rozsznurowała wargi. Próbowwała zbyć to śmiechem, choć nie było się z czego śmiać.

– Cały czas dławisz się tym strachem – ciągnęła Emily. – Przy ojcu, przy znajomych, nawet przy mnie i Buni. Próbujesz go połknąć, ale on nie daje się połknąć. Ten strach zmienia twoje słowa w broń, kiedy tylko coś mówisz. A opowiadasz brednie, mamó. To wszystko ściema, bo przeraża cię, że ludzie mogą poznać prawdę o tobie.

– Jaką prawdę?

– Że jesteś tchórzem.

– Ja jestem tchórzem? – Esther odchyliła się na krześle. – Ja?

– A niby dlaczego to wszystko się dzieje? – zapytała Emily. – Dlaczego nie stajesz po mojej stronie? Dlaczego nie powiesz dyrektorowi Lampertowi, żeby się walił? Dlaczego nie jedziesz do Georgetown i nie zażadasz, żeby uznali ich list akceptacyjny? Dlaczego nie powiesz senatorowi, że zgłoszę się na staż? Dlaczego nie powiesz tacie, że musi...

– Nie masz pojęcia, co dla ciebie zrobiłam.

– To mi powiedz! – krzyknęła Emily. – W kółko wszystkim opowiadasz, że jesteś wzorem dla innych kobiet, a jakim wzorem chcesz być dla mnie, mamó? – Walnęła w stół tak mocno, że pestki dyni wysypały się z miski.

I patrzyła, jak matka zgarnia je na skraj stołu, żeby spadły do podstawionej dłoni. Nie powiedziała ani słowa, póki pestki nie wróciły na swoje miejsce.

– Moja droga, szczerze mówiąc, nie jesteś typem kobiety, dla której jestem wzorem. Bez względu na okoliczności, w jakich zaszłaś w ciążę, do ciąży doszło. Dopuściłaś do tego, bo z własnej woli naraziłaś się na niebezpieczną sytuację. Gdybyś była biedną dziewczyną z przyczepy w Alabamie, miałybyś inne wyjście.

Słowa Esther były tak podobne do tego, co Ricky wykrzyczała kilka tygodni temu, że Emily poczuła na barkach autentyczny ciężar.

– Przyznaję, że następne lata będą dla ciebie trudne – powiedziała Esther – ale przebrniesz przez ten fragment swojego życia, a pewnego dnia zrozumiesz, jaki dar otrzymałaś od ojca i ode mnie. Jeśli teraz się poświęcisz i mądrze wykorzystasz ten czas, w końcu wrócisz do swoich.

Emily wytarła usta, bo z wściekłości aż się opluła.

– A jeśli nie?

Esther wzruszyła ramionami, jakby to, co miała do powiedzenia, było oczywistością.

– Oni cię wykluczą.

Emily nie wyobrażała sobie, że może być bardziej wykluczona niż teraz.

– A gdyby... – Wykonała szeroki gest, próbując ubrać w słowa przekonujące alternatywne wyjście. – A gdyby grać według ich zasad, póki cię nie zatwierdzą? Tata ciągle mówi, że to dożywotnia funkcja. Kiedy już zasiądziesz w sądzie, jakie to będzie miało znaczenie?

Esther rzuciła Emily takie spojrzenie, jakby nie wierzyła, że ma przed sobą rodzoną córkę.

– Naprawdę uważasz, że moją największą ambicją jest dożywotnia funkcja sędzi federalnej?

Emily знаła odpowiedź, jednak w milczeniu nadal słuchała matki:

– Oglądałaś w telewizji przesłuchanie Sandy O'Connor. Jesse Helms prawie ją utracił z powodu jej poglądów na aborcję. – Esther zaczęła stukać palcem w stół. – Uważasz, że twoje życie jest trudne? Sandy nie mogła znaleźć pracy po ukończeniu



prawa na Columbii, musiała zrezygnować z pensji i siedzieć z sekretarkami, żeby wsadzić nogę w drzwi. A teraz zasiada w Sądzie Najwyższym.

– Ale... – Emily próbowała odeprzeć ten argument. – Ty możesz to zmienić, mammo. Nie widzisz, że...

– Z zewnątrz niczego nie zrobię.

– Przez lata nie będzie nowych nominacji, a nawet wtedy mogą minąć dekady, zanim nominację dostanie kobieta, nie mówiąc o zatwierdzeniu. Chodzi o to, co możesz zrobić teraz, mammo. – Emily próbowała wyciszyć błagalną nutę w głosie. – Możemy udać, że robimy to, co mówiłaś. Porzucę szkołę. Kiedy przesłuchania w Senacie się skończą i zostaniesz zaprzysiężona, zapiszę się do szkoły letniej, a potem...

– Już po wszystkim – oznajmiła Esther. – Ogłoszę to przy kolacji, nawet przygotowałam specjalny toast. Dziś rano osobiście zadzwonił do mnie Reagan, ty pierwsza się dowiadujesz, nawet twój ojciec jeszcze nie wie.

Emily poczuła się zaskoczona, ale właśnie to wydarzenie wyjaśniało radosny nastrój matki. Wcale nie cieszyła jej perspektywa świątecznej kolacji w rodzinnym gronie. Była uszczęśliwiona, bo dostała to, czego chciała.

Jak na razie.

– Reagan powiedział, że cała procedura potrwa dłużej, niż tego bym chciała, i nic się na to nie poradzi. Oficjalny komunikat zostanie wydany w marcu, przed przerwą wielkanocną, potem nastąpi weryfikacja, czekają mnie spotkania na Kapitolu, a Senat rozpatrzy moją kandydaturę pod koniec kwietnia. – Esther stała się wręcz wylewna. – Ronnie chce wprowadzić nowy standard, pokazać krajowi, że nie wynosi kobiet na wysokie stanowiska dla samego wyniesienia kobiet. On wynosi właściwą kobietę – dodała z naciskiem na „właściwą”.

– Jezu... – Emily już wiedziała, że poniosła całkowitą klęskę.

– Uważaj na język – upomniała ją Esther. – Emily, kiedy dziś rano dzwonił Ronnie, odwołał się do Pericope adulterae. Ewangelia według Świętego Jana 8:1–11. Wiesz, co to znaczy?

Emily nie miała już nic do dodania. Relacjonując rozmowę z prezydentem, matka przypominała trzpiotowatą nastolatkę i nic, co jej powiedziała w ciągu ostatnich dziesięciu minut, nie przebiło tej twardej skorupy. Córka rzuciła jej wyzwanie i nazwała hipokrytką, a matka zacytowała Jana Apostoła, jakby nic nie zaszło.

– Znasz ten fragment – ciągnęła Esther. – Faryzeusze przyprowadzili do Jezusa cudzołożnicę i powiedzieli Mu: „W Prawie Mojżesz nakazał nam takie kamienować. A Ty co mówisz?”[10].

Emily wróciła w myślach do przebiegu ich rozmowy, próbując ustalić moment, w którym Esther znowu wskoczyła na swojego wysokiego konia. Wyraźnie oczekiwała, że córka podejmie grę, którą ona prowadziła z Franklinem. Zignoruje siniaki, puści wrzaski w niepamięć, uda, że łkanie i błagania, jakie Emily słyszała zza ściany ich sypialni, to głos z telewizora, a nie jej matki.

– Faryzeusze chcieli poddać Jezusa próbie. Przekonać się, jak silne są jego zasady moralne. Wiesz, co odparł im Jezus? Wiesz?

Emily była zniesmaczona sama sobą, że zna odpowiedź. Poznała ją w szkółce niedzielnej, ale dopiero teraz zadała sobie pytanie, dlaczego faryzeusze byli gotowi ukamienować tę kobietę, natomiast nawet nie zaświtało im w głowie, że ukarany powinien być również mężczyzna, z którym została przyłapana.

– Znasz ten werset? – popędzała Esther, czekając na odpowiedź.

Emily wyrecytowała z pamięci.

– „Podniósł się i rzekł do nich: kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”[11].

– Właśnie. – Esther aprobująco skinęła głową. – Reagan rozumie, że dobrzy ludzie mogą czasem popełniać błędy. Sama wiesz, że rozwiódł się z pierwszą żoną, zanim poślubił Nancy.

Emily pokiwała głową razem z matką, jakby obchodziło ją życie prywatne Ronalda Reagana. Ona nie była cudzołożnicą, świadomie nie popełniła błędu.

– Ronnie powiedział, że twój ojciec i ja dajemy podziwu godzien przykład, okazując ci wsparcie w tym trudnym czasie. Stwierdził, że to dowód wielkiej siły charakteru.

– Och... – westchnęła Emily, jakby nagle wszystko stało się jasne. – Skoro sam Reagan twierdzi, że nie jesteś tchórzliwą hipokrytką, to do jasnej cholery, co może wiedzieć twoja nieletnia córka?

– Mówiłam, żebyś uważała na słowa. – Esther wstała od stołu. Rozmowa była skończona. – Postaw pestki przy barku w salonie. Ojciec niedługo wróci. Chcę, żeby kolacja była na stole, kiedy wyjdzie spod prysznic. Twoja babcia pewnie...

Głos Esther zacichł, gdy Emily poszła z miską pestek dyni do salonu. Nie powinna nawet próbować dyskusji z kobietą, której kariera została zbudowana na wygrywaniu sporów.

Tyle że w tym było coś więcej.

Emily nigdy nie mogła dotrzeć do swojej matki, głównie dlatego, że na drodze zawsze stawała sędzia. Esther była panią domu, ogrodniczką, odgrzewaczką jedzenia, mamą, synową, okazjonalną opiekunką na szkolnych wycieczkach. Sędzia była tą, której nadrzędna zasada brzmiała: emanuj siłą. Wszyscy opisywali ją jako onieśmielającą. Na przyjęciach rozprawiała jak naukowiec, a jej opinie traktowano jak prawdy objawione. Używała swojej inteligencji jak miecza, rządziła na sali rozpraw niczym królowa.

Potem wracała do domu, gdzie mąż spuszczał jej łomot.

Emily wrzuciła do ust garść pestek, które zachręściły między zębami. Zamiast iść do salonu, otworzyła drzwi na patio, a zimny powiew smagnął ją w twarz i rozwał włosy. Przycisnęła miskę z pestkami do piersi.

Mimo że w rodzinnej kuchni Syzyf niestrudzenie toczył po niej swój kamień, Emily uśmiechnęła się na myśl o spotkaniu z Jackiem. Po kolacji przyniesie mu tacę z jedzeniem. Kiedy nocował w szopie, żywił się głównie batonikami i suszoną wołowiną. Przynajmniej tak wynikało z opakowań, które Emily zbierała następnego dnia. Pestki dyni mogły na jakiś czas zapchać mu żołądek.

Wypaczone drzwi szopy nie domykały się do końca. Emily uznała, że przyniesie mu jedną z zapasowych kołder. Jack nigdy nie skarżył się na zimno, ale tegoroczny listopad był wyjątkowo chłodny. Poza tym szopa nie była ocieplana i nawet przy słabym wietrze pojedyncza szyba w oknie dzwoniła, jakby w pobliżu sunął po torach pociąg.

Zatrzymała się, nasłuchując pod drzwiami. Serce jej zamarło, gdy usłyszała tłumiony jęk. Zawsze kiedy czuła, że jest na świecie całkiem sama, powinna przypomnieć sobie, przez co przechodzi Jack. Esther była świętoszkowatą hipokrytką, Franklin był tyranem, ale ona przynajmniej nie spędzała Święta Dziękczynienia w zimnej szopie.

Pomyślała, że zostawi miskę z pestkami pod drzwiami, gdy znów usłyszała jęk. Serce jej się krajało. Już widziała płaczącego Jacka, i to niejednym razem. W szkole trzymał się na dystans, co ją bolało, choć nadal był jej przyjacielem.

Otworzyła drzwi.

W pierwszej chwili nie była pewna, co widzi, bo jej mózg nie potrafił odnaleźć sensu w tym, co ukazało się jej oczom.

Clay stał plecami do drzwi, a Jack opierał się dłońmi o stół warsztatowy. Najpierw pomyślała, że się biją, siłują się, mociują, szarpią, ale tak na niby, dla zabawy. Dopiero po chwili zauważyła, że Clay ma spuszczone do kostek spodnie. Jack jęknął znowu, a stół warsztatowy zatrzęsł się po energicznym pchnięciu Claya.

Chłopcy uprawiali seks.

[10] Ewangelia według św. Jana, 8:5; w: Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990. (Przyp. tłum.).

[11] Ewangelia według św. Jana, 8:7; ibid. (Przyp. tłum.).

Andrea powtórzyła pytanie.

– Co jest w aktówce?

Zamiast odpowiedzieć, sędzia spojrzała na Franklina Vaughna. Nie wykonała żadnego czułego gestu, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Mężczyźnie, który był jej mężem przez prawie pół wieku, zostało zaledwie kilka godzin życia, Esther też nie miała przed sobą wiele czasu.

– Gdy dowiedziałam się o raku – zaczęła w końcu – chciałam uporządkować swoje sprawy. Tak naprawdę musiałam, bo dotąd papierami zajmował się Franklin. Przypuszczałam, że nasze testamenty leżą w sejfie razem z dokumentami finansowymi. Miałam rację, ale nie sądziłam, że znajdę również to. – Schyliła się po aktówkę.

Andrea obeszła łóżko, żeby jej pomóc, jednak aktówka okazała się lżejsza, niż przypuszczała. Podniosła ją i położyła na kolanach sędzi.

– Dziękuję. – Esther wprowadziła kombinację cyfr, zamki kliknęły i aktówka się otworzyła.

Stanęła nad sędzią, żeby zajrzeć do środka. Były tam pliki papierów, kilka szarych kopert, stary model laptopa z nadal podłączonym kablem.

– Franklin o wiele lepiej radził sobie z techniką niż ja. – Esther podniosła na nią wzrok. – Nagrywał wszystkie rozmowy z Wexlerem. Ten chłopak Fontaine’ów też się na nich pojawia, i to parokrotnie. To nagrania głosowe wcześniejszych rozmów. Później Franklin w regale ukrył kamerę wideo, żeby również w obrazie utrwalić negocjacje. Jedno nagranie jest szczególnie obciążające. Utworzyli organizację charytatywną na rzecz zrównoważonego rolnictwa, wykorzystując Fontaine’a, żeby

ukryć ochronę służebności, która przyniosła Wexlerowi ponad trzy miliony dolarów na czysto. Ustawa federalna o przedawnieniu spisku i kontynuowaniu przestępstw stanowi, że okres przedawnienia zaczyna biec nie od dnia pierwotnego czynu, ale od dnia ostatniego czynu jawnego, czyli od momentu zaniechania, wycofania się lub osiągnięcia celów założonych przy wejściu w znowę. Sam szantaż trwał prawie przez cztery dekady. Przy oszustwie sztuka polega na tym, że należy udowodnić intencje, a nagranie wideo jest wystarczającym dowodem. Macie ich jak na widelcu.

Andrea powinna być zachwycona, a jednak czuła tylko gniew. Ta informacja była dostępna od kilku dekad.

– Czemu Franklin...? Przecież mógł...

– Tak, Franklin mógł to ujawnić lata temu. W świetle prawa ponosi winę, ale cała odpowiedzialność moralna spada na mnie. – Esther zacisnęła usta, próbując się pozbierać. – Powiedziałam sobie, że różnica paru miesięcy nie gra już roli, dzięki groźbom śmierci Judith i Guinevere będą miały całodobową ochronę. Bible poruszy niebo i ziemię, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, ja odejdę z tego świata na własnych warunkach, a Wexler i Fontaine zostaną zdemaskowani po mojej śmierci. Nikt inny nie ucierpi... – Przerwała na moment. – Tak przynajmniej sobie wmawiałam, ale myliłam się, prawda?

Andrea poczuła gulę w gardle.

– Alice Poulsen – powiedziała z trudem.

– Tak, Alice Poulsen. – Esther sięgnęła do aktówki, położyła rękę na grubej szarej kopercie i spojrzała Andrei w oczy. – Moje tchórzostwo kosztowało innych rodziców utratę dziecka. Nie zasługuję na łagodną śmierć. Na pewno nie...

Andrea patrzyła, jak sędzia wyjmuje kopertę. Na wierzchu widniał napis:

**PO MOJEJ ŚMIERCI ODDAĆ LEONARDOWI BIBLE'OWI.**

– Ta koperta zawiera kopie wszystkich dokumentów potwierdzających pierwotny transfer ziemi, służebność gruntu i utworzenie charytatywnego funduszu. W laptopie są wszystkie nagrania, audio i wideo, a także stosowne maile, przelewy

bankowe, numery kont i zeznania podatkowe. Znajdziesz daty, godziny, lokalizację, kroki, które podjęłam, kiedy zmusili mnie do ingerowania w kwestie prawne. A także dołączyłam streszczenie całej sprawy. Jest na wierzchu. Dean Wexler i Bernard Fontaine mogą zostać oskarżeni o unikanie podatków, oszustwo podatkowe, defraudację i wiele innych przestępstw. Wszystko jest tutaj.

Andrea była zbyt zdumiona, żeby wziąć od sędzi kopertę. Esther oferowała dosłownie wszystko, czego potrzebowali, żeby dopaść Wexlera i Narda.

– Póki wystarczy mi sił, deklaruję pełną współpracę z rządem. – Teraz, kiedy Esther zdecydowała się na ten krok, chciała mieć to wreszcie za sobą. Włożyła kopertę do aktówki i czekała, aż agentka Oliver weźmie ją od niej.

Wszystko zostało już powiedziane.

Ręce Andrei drżały, oblała się zimnym potem. I kurczowo przycisnęła aktówkę do piersi, która tym razem sprawiała wrażenie o wiele cięższej. W środku była niespokojna dusza Alice Poulsen, niepewna przyszłość Star Bonaire, niezasłużenie spokojna śmierć Esther Vaughn.

Agenci stojący pod drzwiami skinęli Andrei, gdy wychodziła z pokoju Franklina Vaughna. Dopiero gdy znalazła się na końcu korytarza, uświadomiła sobie, co trzyma w rękach.

Dowody przestępstw Wexlera i Narda.

Wystarczające, żeby posłać ich do więzienia. I zamknąć farmę.

W końcu poczuła radość, i to tak wielką, że zakręciło się jej w głowie. Adrenalina wszystko wyostrzyła. Andrea puściła się truchtem korytarzem i skręciła za róg, rozglądając się na boki w poszukiwaniu Bible'a. Dostrzegła go przy windach, gdzie rozmawiał z Mikiem. Stali oparci o wysoki kontuar przy stanowisku pielęgniarek. Bible trzymał się za zabandażowaną rękę, Compton stała parę kroków od nich i pisała coś w telefonie.

– Andy? – Mike zauważył ją pierwszy. – Co się stało?

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, aktówka prawie wyslizgnęła się jej z rąk. Ostatnie kroki dzielące ją od nich pokonała na chwiejnych nogach.

– Andy? – Mike wziął od niej aktówkę. – Dobrze się czujesz?

– Sędzia... – Musiała urwać, żeby złapać oddech. – Sędzia sama pisała do siebie te groźby.

Compton podniosła wzrok znad telefonu, a Bible zacisnął zęby. Wszyscy w ciszy czekali na dalsze słowa Andrei.

– Ona... – Znowu musiała przerwać. Zaczerpnęła powietrza i przycisnęła dłoń do serca, żeby spowolniło. – Wexler ją szantażował, i to od bardzo dawna, odkąd Judith skończyła roczek. Wexler powiedział, że to on jest ojcem, ale nie wiem, czy mu wierzyć, mógł skłamać. To nieważne, bo mamy ich. Ich, bo Nardo też w tym siedzi.

– Oliver, wprowadź mnie krótko w to wszystko. – Compton kucnęła na podłodze z aktówką, żeby przejrzeć jej zawartość. – Na co patrzę?

– Laptop. Franklin Vaughn nagrywał wszystko. Mamy wystarczająco dużo materiału, żeby posłać Wexlera i Fontaine'a za kraty przynajmniej za oszustwo. – Andrea też kucnęła i znalazła kopertę zaadresowaną do Bible'a. – Esther wszystko tu opisała. Zgodnie z tym, co mi powiedziała, przygotowała dla nas cały materiał, żeby wytoczyć im sprawę. Zamieszani są i Wexler, i Fontaine.

Compton w milczeniu wertowała kartki z wypunktowanymi informacjami, a gdy doczytała do końca, przez chwilę tylko kiwała głową.

– Ja pierdzielę – odezwała się wreszcie. – Tak naprawdę to ona napisała nam nakazy aresztowania. Leonardzie...

Wszyscy spojrzeli na Bible'a. Ciągłe miał zaciśnięte szczęki.

Compton wstała, dotknęła dłonią jego twarzy i powiedziała dziwnie ciepło:

– Skarbie, wyrzuć to do kosza. I wyjmij jutro, dobrze?

Bible skinął nieznacznie głową, ale poczucie zdrady go nie opuściło.

– Dała nam, ile trzeba?

– Tak. – Compton rozejrzała się za Mikiem, który podłączał laptop do kontaktu za stanowiskiem pielęgniarskim. – Mike, jesteś tymczasowo oddelegowany pod moją komendę, a łańcuch dowodowy startuje od teraz. Musimy to zrobić jak



należy, bez najmniejszej obsuwy. Przekaż nagrania wideo do Departamentu Sprawiedliwości, a ja muszę mieć nakaz przeszukania farmy i nakazy aresztowania Wexlera oraz Fontaine'a. Trzeba to zrobić dziś wieczorem. Mam w terenie agentów. Pracują w dwuosobowych zespołach i w każdej chwili mogą ich wezwać do przeszukania farmy. Musimy dopilnować, żeby Wexler i Fontaine nie nawiali, zanim ich zgarniemy. Tacy ludzie jak oni zawsze mają plan ucieczki. – Spojrzała na Bible'a. – Stiltonowi można ufać?

– Nie wiadomo – odparł bez chwili namysłu.

– Skoro tak, to Stilton siedzi na ławce rezerwowych, póki nie aresztujemy tych dwóch. Fontaine nosił ukrytą broń, musimy więc założyć, że obaj są uzbrojeni. Wezwę grupę uderzeniową z Baltimore. Nie chcemy, żeby dziewczyny stały się zakładniczkami. Priorytetem jest ich bezpieczeństwo, zgadza się? – Wyraźnie czekała na odpowiedź Bible'a.

– Tak – odparł.

– Czyli wszystko jasne. Karetki będą czekać na wypadek, gdyby któraś z dziewczyn chciała stamtąd odejść, i zawiozą je do szpitala Johnsa Hopkinsa. Mam nadzieję, że da się uwolnić je spod wpływu Wexlera. To samo z Fontaine'em. Jeśli Esther ma rację, czeka go długa odsiadka w więzieniu dla bardzo złych chłopców. Z tym że z pewnością pójdzie na układ i obciąży Wexlera. Przewieziemy go do Baltimore, damy czas, żeby skruszał. Bible, ty odpowiadasz za Fontaine'a. Daj mu dwadzieścia cztery godziny w celi, a zacznie śpiewać.

– Nie, szefowo – zaproponował Bible. – Ja chcę Wexlera, i to jeszcze dziś wieczorem.

– Dlaczego? – spytała Compton.

– Mamy tylko jedną szansę, żeby solidnie go wystraszyć – odparł Bible. – Wyciągniemy go z łóżka, wrzucimy do celi u Stiltona, przyprzemy do muru, aż się przyzna. To najszybszy sposób, żeby z tym skończyć.

– Albo inaczej: zamykamy go, on robi w gacie, prosi o prawnika, a my widzimy go na rozprawie za trzy lata – rzuciła Compton. – Mamy tylko jedną

szansę, żeby go dopaść. Jeśli damy Wexlerowi czas w drodze do Baltimore, może pomyśleć, że uda mu się wyplątać z tego straszego nieporozumienia. Tego chcemy, tak? Chcemy, żeby zaczął mówić, złożył wyjaśnienia.

– To psychopata – zauważył Bible. – Dasz mu czas, to ułoży plan.

– Rozumiem. – Compton zwróciła się do Mike'a: – Teraz jesteś w naszym zespole. Jak uważasz, przycisnąć Wexlera dziś wieczorem czy dać mu czas?

– Przeczucie mi mówi, że dziś wieczorem. Nie pytałaś o to, ale nie chcę układów z Fontaine'em. – Mike wzruszył ramionami. – Po co polować na Renfielda, skoro można wbić kołek w serce samego Drakuli?

Andrea w duchu mu potaknęła, choć z drugiej strony nie chciała, żeby Nardowi cokolwiek uszło na sucho. Porównanie go do Renfielda było aż nadto adekwatne. Był nie tylko pomocnikiem Deana, on wręcz stręczył ofiary swojemu złowrogiemu panu.

– Oliver. – Compton zwróciła się do Andrei. – Twoja opinia?

Mogła podzielić się tylko tym, o czym była przekonana:

– Nardo skorzysta z pomocy prawnika, bo robi tak zawsze. Nie poda nam Wexlera na tacy, dopóki nie poczuje się przyparty do muru, a może nawet wtedy tego nie zrobi. To nihilista.

– Dobrze, zdejmijcie Fontaine'a z tablicy – powiedziała Compton. – Jak najlepiej dobrać się do Wexlera?

– On popełnia błędy tylko wtedy, kiedy jest wściekły. – Andrea widziała, jak Wexler traci panowanie nad sobą, a po dziesięciu minutach pysznił się, jak to sam zapoczątkował ruch rolnictwa ekologicznego. – Jeśli da mu pani czas ochłonąć, wymyśli jakiś sposób, żeby się wywinąć.

– W takim razie mamy to – powiedziała Compton. – Bible, ty i Oliver zajmiecie się Wexlerem dziś wieczorem. Zgarniamy go na farmie i wieziemy na komisariat Stiltona, a Fontaine jedzie do Baltimore. Oliver, wracaj do motelu i weź prysznic. Kiedy Wexler będzie w areszcie, zajedziemy po ciebie w drodze na komisariat. Masz trzy godziny, ale po dwóch bądź gotowa.

Ale ona nie chciała siedzieć beczynnie przez dwie godziny.

– Pani komendant, ja...

– Masz słuchać poleceń – wpadła jej w słowo Compton. – Nie potrzebuję następnego mięśniaka, tylko tęgiej głowy. Miałś już do czynienia z Wexlerem, a on wie, że się go nie boisz. Kiedy cię zobaczy, nie możesz wyglądać, jakbyś dopiero co uciekła z pożaru i wskoczyła do basenu. Bible, pomóż jej obmyślić sposób na Wexlera, a potem się odezwij. Mike, znajdźmy spokojne miejsce, żeby obejrzeć te nagrania.

Mike zamknął laptopa. Wychodząc za Compton, skrzyżował spojrzenia z Andrea, która przeniosła ciężar ciała na czubki stóp, bo miała wrażenie, że jej ciało zwinięte jest w kłębek. Desperacko pragnęła iść za szefową i Mikiem, by zająć się czymś konkretnym, zamiast czekać nie wiadomo jak długo.

– Jaką strategię przyjmujemy? – spytała Bible'a. – Jak skłonimy Wexlera, żeby się przyznał?

– Kiedy masz do czynienia z psychopatą, niczego nie da się zaplanować. Oni zawsze potrafią zaskoczyć.

Do tej pory Andrea nie uważała Wexlera za psychopatę, choć przecież spełniał kryteria. Były to brak wyrzutów sumienia i poczucia wstydu, wielkie mniemanie o sobie, manipulowanie innymi, niska zdolność panowania nad sobą. Doskonale znała listę tych cech, ponieważ te same cechy wykazywał jej ojciec.

– Rozumiem, ale musimy mieć chociaż jakiś ogólny plan, jakiś zarys działania...

– Na to nie ma planu lekcji, partnerko. – Bible wzruszył ramionami, jakby to bagatelizował. – Po prostu grasz w klasy, rozumiesz? Rzucasz kamyk na konkretne pole i czekasz, aż Wexler tam wskoczy.

Nie chciała kolejnego kazania, potrzebowała konkretów.

– I co dalej? Pozwalamy mu opowiadać o bobie i liczymy, że rzuci mimochodem: „A tak przy okazji, popełniłem mnóstwo oszustw, w którym miejscu podpisać zeznanie?”.

– Byłoby super, niestety tak się nie stanie – odparł Bible. – My kierujemy rozmową, my go szturchamy przez cały czas, i prędzej czy później wyląduje na właściwym polu.

– Jakoś nie mam nastroju na metafory, Bible, bo to zbyt ważne. Za każdym razem, kiedy rzucałeś mnie na głęboką wodę, dawałam radę pływać, ale tym razem jest inaczej. Potrzebuję ogólnego zarysu, ukierunkowania.

– Rozumiem. Ułożmy scenariusz. Ja prowadzę przesłuchanie. W porządku?

– Tak. – Oczywiście spodziewała się tego.

– Wtedy stary Dean mówi: „Będę rozmawiał tylko z nią”. – Bible wycelował palec w klatkę piersiową Andrei. – Więc ja wstaję i zostawiam was w pokoju przesłuchań. Co dalej? – Gdy przygryzła wargę, Bible już nie czekał na jej odpowiedź. – Albo ustalamy, że ty prowadzisz przesłuchanie, a Dean mówi: „Nie gadam z tą dziewczyną. Gadam tylko z facetami”. A ty wstajesz i wychodzisz.

– Wtedy oboje...

– Przez następne dwie godziny układamy sobie wszystko – wpadł jej w słowo. – Tak się przygotowujemy. To jest strategia. Nie damy rady przewidzieć, co on powie, dlatego nastawimy się, że będzie chciał opowiadać o farmie, a okaże się, że chce rozmawiać o Emily. Nastawimy się, że będzie chciał rozmawiać o Emily, a on nam opowie, że mamusia go nie kochała, a tatuś zabił drozda.

– Czyli pozwalamy mu mówić, o czym chce?

– Właśnie. Słyszałaś szefową, prawda? Nam zależy, żeby mówił. Zacznie się nakręcać, my będziemy jego publicznością, aż w końcu popełni błąd. Musimy tylko pamiętać, co nas interesuje. A co nas interesuje?

– Jezu. – Andrea nie miała też nastroju na metodę sokratyczną, kiedy mistrz udaje niewiedzę i wyciąga od ucznia odpowiedzi. – Szantaż, trefna umowa o sprzedaży ziemi, sprawa w sądzie pracy, ochrona służebności, unikanie podatków, fałszywa organizacja charytatywna. No i Emily Vaughn.

– Wystarczy jeden punkt z tej listy. – Bible uniósł palec. – Dla nas najważniejsze, żeby przyznał się do jednej z tych złych rzeczy. Wtedy

przeprowadzamy go krok po kroku przez tę sprawę i docieramy do następnej złej rzeczy. I kolejnej. Rzuć kamyk, skacz na pole. Tak wygramy. Ale to wymaga czasu.

– Mam serdecznie dość i tego pośpiechu, i tego czekania.

– Taka jest natura bestii.

– Cholernie irytujące. – Frustracja Andrei przeszła w złość. – Wexler albo zgwałcił i zabił Emily Vaughn, albo wie, kto to zrobił, a potem przez czterdzieści lat zastraszal jej rodzinę. Trzyma za gardło Star Bonaire, doprowadził Melody Brickel na skraj bankructwa, Alice Poulsen zabiła się, żeby od niego uciec. A na farmie jest jeszcze tuzin takich żywych trupów. Wszystko, czego dotknie ten facet, więdnie i umiera, i zawsze uchodzi mu to na sucho.

Bible przyglądał się jej bacznie, po czym podsumował:

– Mówisz, jakby to była dla ciebie sprawa osobista.

– Żebyś wiedział, że jest.

Andrea była zbyt niecierpliwa, żeby czekać na podwózkę do motelu, więc krótki dystans ze szpitala pokonała pieszo objuczona torbą z napisem RZECZY OSOBISTE PACJENTA. Nie powinna zawracać sobie nimi głowy. Jej ubrań nie udało się uratować, a zalana wodą broń służbowa została odesłana do Baltimore. Nową mieli przysłać dopiero jutro rano. Jej służbowy smartfon z Androidem ciągle leżał w plecaku w SUV-ie Bible'a, a prywatny iPhone był tak zniszczony, że przez popękaną szybkę wyświetlacza wystawały wewnętrzne elementy. Nawet buty nadawały się do wyrzucenia. Nasiąknięte wodą skrzypiały przy każdym kroku.

Najdłuższy i najgorętszy prysznic na świecie sprawił, że w końcu poczuła się czysta, jednak nic nie mogło oczyścić jej umysłu z Deana Wexlera. Ciągle wracała do tego, co usłyszała od Esther Vaughn, z tym że chodziło nie o szantaż i oszustwo, ale o panikę, którą poczuła, gdy zobaczyła Wexlera trzymającego Judith na rękach. Na poziomie komórkowym Andrea rozumiała ten rodzaj przerażenia. Rozumiała też, jak to jest widzieć siebie jako jedną osobę, a po traumie stać się kimś zupełnie innym.

Jak Laura, jak Esther, jak Star i Alice, ona miała dwa różne życia: to sprzed spotkania z psychopatą i to po nim.

Podeszła do okna i zerknęła przez szparę w zasłonach. Droga była pusta, las za drogą spowijała całkowita ciemność. Grupy obserwacyjne powinny już być na miejscach. Sześciu agentów miało pilnować wszystkich dróg wiodących na farmę i z farmy, obserwować ruch na farmie, zlokalizować Wexlera i Narda. Grupa uderzeniowa powinna już jechać z Baltimore. Nakazy właśnie są wydawane, może już nawet podpisane. A ona nie miała nic do roboty, mogła tylko walczyć z chęcią wrywania sobie włosów, kiedy tak czekała, czekała, czekała.

Spojrzała na zegarek. Dwudziesta trzecia dziesięć. Miała co najmniej dziewięćdziesiąt minut, zanim znowu stanie twarzą w twarz z Wexlerem.

Przycisnęła czoło do chłodnej szyby. Bible powiedział, żeby niczego nie planowała, ale ona ułożyła plan. Nie miała naturalnej pewności siebie, którą emanował jej partner, nie mówiąc już o dekadach doświadczenia. Wyobraziła sobie ciasny pokój przesłuchań na tyłach komisariatu Stiltona i próbowała zobaczyć tam agentkę Oliver, która siedzi naprzeciwko Wexlera. I w jednej chwili porzuciła tę wizję, wracając w myślach do kuchni na farmie, gdzie Star gromadziła składniki na chleb. Potem usłyszała, jak Wexler brzęczy monotonię niczym telewizyjny ewangelista, i zobaczyła jego zadowoloną minę. A potem długa przerwa, zanim pozwolił Star postawić szklankę wody na stoliku.

Lubił poczucie kontroli. I lubił mieć świadków swojej kontroli.

To znaczyło, że w pokoju przesłuchań będzie chciał mieć i ją, i Bible'a, który weźmie na siebie prowadzenie rozmowy. A co powinna zrobić ona?

Podeszła do biurka. Notes nie był już czysty, bo zapisała w nim swoje obserwacje po krótkim sam na sam z Deanem Wexlerem. Bible miał swoją grę w klasy, ona miała swoje wyzwalacze. Dziś w nocy cel był jeden: Wexler musiał poczuć, że traci kontrolę, i wtedy popełni pierwszy błąd. Andrea widziała trzy sytuacje, w których Wexlerowi opadła maska. Wszystkie wydarzyły się w kabinie jego starej furgonetki.

Pierwszy raz, kiedy usłyszał nazwisko Emily Vaughn z ust Andrei. Bez ostrzeżenia wcisnął hamulec, a ona omal nie uderzyła głową w deskę rozdzielczą.

Powtórzył ten manewr, gdy Andrea wytknęła mu, że chociaż przestał pracować jako nauczyciel, ciągle znajduje sposób, by otaczać się wrażliwymi młodymi kobietami.

Trzeci incydent był bardziej bezpośredni i bardziej złożony. Wexler powiedział Andrei, że jego gównu jest większe od niej całej. A ona mu poradziła, żeby zgłosił się na kolonoskopię.

Wtedy Wexler wyszedł z siebie i chwycił ją za nadgarstek, żeby ucichła.

Postukała długopisem w notes. Wyzwalacze Wexlera łatwo było zdefiniować. Nie chciał słyszeć imienia Emily. Nie chciał być nazywany drapieżcą. I absolutnie nie tolerował ciętej riposty na swoje brednie.

Andrea nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzi ta wiedza. Czy to były pola w grze w klasy, czy raczej kamienie? Odłożyła długopis, znów stanęła przy oknie i zerknęła na opustoszałą drogę. Potem skrzyżowała ramiona, oparła się plecami o okno i zamknęła oczy.

Istniała cienka granica między szturchaniem ego Wexlera a prowokowaniem wybuchu wściekłości. Andrea nie obawiała się przemocy z jego strony. Wiedziała, że sobie poradzi, chociaż nie sądziła, żeby Bible dopuścił, by sprawy zaszły aż tak daleko. Problem polegał na tym, że jeśli przycisnie Wexlera za bardzo albo popchnie w złym kierunku, to wszystko zepsuje. Z drugiej strony, jeśli go nie przycisnie, Wexler uzna, że się go boi. Jeśli jego zachowanie miało o czymś świadczyć, to świadczyło o tym, że Dean Wexler lubi wzbudzać w kobietach strach.

Gdy otworzyła oczy, przekonała się, że według zegarka minęły dopiero dwie minuty. Miała jeszcze osiemdziesiąt osiem minut chodzenia po pokoju i wyglądania przez okno, za to nie miała strategii. Wiedziała, jak wkurzyć Wexlera, ale nie wiedziała, jak wyciągnąć od niego informacje. Melody Brickel stwierdziła, że Wexler to tania kopia Clayтона Morrowa, a ona знаła tylko jedną osobę na

świecie, która stawiała czoło Claytonowi Morrowowi, przetrwała i mogła o tym opowiedzieć.

Podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrała numer, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Matka odebrała po czwartym sygnale.

– Skarbie, wszystko w porządku? Która godzina?

– Wszystko dobrze, mamó. Przepraszam, że... – Uderzyła ją nagła myśl. – Wyświetlił ci się identyfikator dzwoniącego?

Laura długo zwlekała, zanim odparła:

– Wiem, że jesteś w Longbill Beach.

Andrea zakłęta pod nosem. Miała pomóc Bible'owi skłonić Wexlera do przyznania się do winy, ale była za mało sprytna, żeby wyłączyć w iPhone'ie usługę lokalizacji.

– Czyli przez cały czas kłamałaś, czy tak? – dodała matka.

– Tak samo jak ty, czy tak?

Była to celna riposta, na co Laura spytała niespokojnie:

– Skarbie, dobrze się czujesz?

Andrea podparła głowę ręką i poczuła pod palcami grube nici spinające krawędzie rany na jej czole. Do tego nos jej pulsował, a gardło piekło.

– Przykro mi, że cię okłamałam – znów dodała matka.

– A mnie wcale nie jest przykro, że cię okłamywałam. Nieźle się bawiłam, gdy słuchałam twego piskliwego głosu.

Znowu celna riposta.

– Czemu dzwonisz z pokoju w motelu? Co się dzieje?

– Nic. – Andrea stłumiła kaszel. – Nie martw się, ostatnio nie spadłam w dół z żadnego klifu.

– „Spadać w dół” to pleonazm.

Andrea otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Nie pierwszy raz Laura ją korygowała, a ostatnie dwa lata były pełne drobnych nieporozumień na tle



poprawności językowej. Andrea w końcu postanowiła wypuścić gołąbka pokoju i poprosiła:

– Mamo, potrzebuję twojej pomocy.

– Oczywiście, skarbie. Coś się stało?

– Nic się nie stało – uspokoiła ją Andrea. – Czy możesz... jeśli nie masz nic przeciwko temu... powiedzieć mi coś o nim?

Laura nie poprosiła o doprecyzowanie pytania. Clayton Morrow był Voldemortem ich życia.

– Co chcesz wiedzieć?

Andrea nie była pewna, od czego zacząć. W przeszłości zawsze zamykała się w sobie, kiedy tylko Laura poruszała temat jej ojca. Mogła przez to przebrnąć tylko w jeden sposób, a mianowicie wciąż od nowa przypominać sobie, że ponad czterdzieści lat temu Dean Wexler uczył się od Clayтона Morrowa.

– Co pamiętasz? To znaczy jak było, kiedy go poznałaś?

– Seks nie był świetny.

– Mamo...

– No dobrze, sformułuję to inaczej. Seks tak naprawdę się nie liczył, a prawdziwym afrodyzjakiem była jego uwaga. Nie ja jedna tkwiłam w tej niewoli. On w taki sam sposób działał na mężczyzn, na inne kobiety, a nawet na dzieci. Obserwuje ludzi, poznaje ich potrzeby i staje się tym jedynym człowiekiem na świecie, który może te potrzeby zaspokoić. A ci ludzie robią wszystko, czego od nich chce.

Andrea czuła, że Wexler działa według tego samego wzorca. Zaprzeczył, że ma kontakt z wolontariuszkami, ale Star całkiem sobie podporządkował. Ta młoda kobieta torturowała samą siebie i wpędzała się do grobu.

– Zważywszy na miejsce twojego pobytu – ciągnęła Laura – nigdy nie wierzyłam, że to twój ojciec zabił tę nieszczęsną nastolatkę. Nie wierzyłam, kiedy o tym usłyszałam, i nadal nie wierzę.

Andrea nie chciała odchodzić od głównego tematu, jednak nie zdołała się powstrzymać się od oczywistego w tej sytuacji pytania:

– Dlaczego nie wierzysz?

– Owszem, nie pochwalam drogi zawodowej, którą sobie wybrałaś, ale nadal jestem twoją matką. I jako matka starannie przejrzałam program szkolenia, który przysłałaś mi mailem, dlatego dowiedziałam się, że aż sześć kursów w Glynco dotyczyło różnych aspektów psychologii kryminalnej.

Andrea nie zdziwiła się, że Laura tak właśnie postąpiła.

– I? – ponagliła, niecierpliwie czekając na wnioski.

– Przyjrzyj się zarzutom postawionym twojemu ojcu, czyli tym przestępstwom, o których wiedział rząd. Spisek taki, spisek owaki. On nigdy nie ubrudził sobie rąk, akty przemocy były poniżej jego godności.

Dla Andrei było oczywiste, że jest to nieprawda.

– Widziałam blizny, które świadczą o czymś innym.

– Skarbie, to były lata osiemdziesiąte i wszyscy byli trochę brutalni.

Andrea nie zamierzała dalej tego komentować, więc milczała. Prawda była taka, że Laura zawsze bardzo lekko wspominała o przemocy, której doświadczyła z rąk Claya.

– Perwersja twojego ojca polegała na tym, że sam nie popełniał żadnych przestępstw – mówiła dalej. – On namawiał innych, żeby robili to dla niego, i to go podniecało.

Andrea przygryzła wargę. Była to kolejna cecha, którą Wexler naśladował. To Nardo Fontaine prześwietlał wszystkie potencjalne wolontariuszki, to jego nazwisko widniało w dokumentach fałszywej organizacji charytatywnej, która przyniosła Wexlerowi trzy miliony dolarów na czysto. Andrea z łatwością sobie wyobraziła, że to Nardo wyszedł z inicjatywą szantażu sędzi. I że to on z aparatem chodził po mieście za Guinevere, czerpiąc chorą satysfakcję z chaosu wywołanego przez te zdjęcia.

– Andy?

– Podstępem skłoniłaś go, żeby sam się obciążył. Mamo, jak to zrobiłaś? Jak udało ci się zmanipulować psychopatę, żeby powiedział prawdę?

Laura milczała tak długo, że Andrea nie była pewna, czy ciągle jest na linii. W końcu przerwała ciszę:

– Robisz to samo, co oni robią tobie, czyli utwierdzasz ich w przekonaniu, że w nich wierzysz.

– Tak, rozumiem. – Andrea wiedziała, że jej matka głęboko wierzyła w destrukcyjną filozofię Claytona Morrowa.

– Twój ojciec był... – Laura przez chwilę szukała właściwego słowa. – Był wiarygodny, to znaczy mówił rzeczy, które brzmiały jak prawda, choć niekoniecznie musiały układać się w spójną całość, niekoniecznie musiały odpowiadać rzeczywistości.

– Mogłaś się z nim nie zgadzać?

– Oczywiście, on uwielbiał debatować, ale nie da się prowadzić logicznej dyskusji z kimś, kto tworzy własne fakty. Zawsze były jakieś tylko jemu znane statystyki czy precedensy. Z tym że wszystko miał dobrze przemyślane i był sprytniejszy od innych, dlatego pod koniec rozmowy człowiek się wstydził, że dopiero teraz dał się przekonać do jego racji. Trzeba mieć w sobie nieskończone pokłady arogancji, żeby uważać wszystkich na świecie za kompletnych ignorantów, a siebie za jedyne, który zna prawdę.

Andrea wiedziała, o czym mowa, bo Wexler też taki był.

– Jak można kogoś takiego przekonać, że wierzysz w to, co mówi?

– Zaczynasz od sceptycyzmu, dając przy tym do zrozumienia, że jesteś otwarta na perswazję, a po jakimś czasie przyznajesz mu rację w niektórych kwestiach. Analizuj niektóre argumenty, ale w taki sposób, by ten ktoś uwierzył, że dajesz się przekonać jego geniuszowi. Najłatwiej zdobyć jego zaufanie, gdy jak papuga powtarza się to wszystko, co mówi. – Laura urwała jakby w obawie, że zdradziła za dużo. – Ludzie sądzą, że psychopaci są bardzo inteligentni, ty jednak zawsze

pamiętaj, że oni sięgają tylko po nisko wiszący owoc. Ja chciałam zostać przekonana. Potrzebowałam czegoś, w co mogę uwierzyć.

– Jak się od niego uwolniłaś?

– To znaczy? – spytała Laura. – Opowiadałam ci, jak...

– Nie fizycznie. – Andrea myślała o Star Bonaire. – Mentalnie, mamó. Jak uwolniłaś się od niego mentalnie?

– Dzięki tobie. Myślałam, że go kocham, lecz to było tylko złudzenie, bo tak naprawdę w ogóle nie znałam miłości. Poznałam ją dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy wzięłam cię w objęcia. Od tej chwili liczyłaś się tylko ty. Wiedziałam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była bezpieczna.

Andrea wiele razy słyszała od matki te słowa, ale dziś, zamiast przewrócić oczami albo wzruszyć ramionami, powiedziała:

– Wiem, co poświęciłaś, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo.

– Skarbie, niczego nie poświęciłam, za to zyskałam wszystko – zapewniła Laura. – Na pewno mnie nie potrzebujesz?

– Chciałam usłyszeć twój głos. – Andrea nie wiedziała, czy łzy cisnące się do oczu to efekt stresu, czy zmęczenia. – Usłyszałam go i już będę kończyć. Zadzwoń do ciebie w weekend. I... naprawdę cię kocham, mamó. Bardzo cię kocham, wiesz? Naprawdę cię kocham.

Laura milczała przez chwilę. Wiele czasu minęło, odkąd Andrea wypowiedziała te słowa, i to z głębi serca.

– Dobrze, moja piękna. Naprawdę zadzwonisz w ten weekend? Obiecujesz?

– Obiecuję.

Andrea odłożyła słuchawkę na widełki i wytarła oczy wierzchem dłoni. Kwestię, dlaczego płakała do telefonu podczas rozmowy z matką, odłożyła na później, bo jak najszybciej musiała przemyśleć jej słowa.

Może Wexler nie był jednak tanią kopią Claya Morrowa? Już bardziej przypominał wierną kopię. Sięgnęła po notes i przeczytała uwagi na temat

wyzwalaczy Wexlera. Powinna ich unikać czy użyć? Próbować go wkurzyć czy udać, że jest otwarta na jego argumenty?

A może powinna uznać, że Bible jest w tym o niebo lepszy. Nie sposób przewidzieć zachowań psychopaty, trzeba dać Wexlerowi wolną rękę, strategia przyjdzie sama, kiedy pozwoli mu mówić... I wszystko, co w takiej sytuacji będzie mogła zrobić, to przygotować się mentalnie na nieoczekiwane zwroty akcji.

Spojrzała na zegarek i paskudnie zakląła. Osiemdziesiąt minut. Jeszcze chwila w tym pokoju, a zacznie chodzić po ścianach. Na komisariat miała dziesięć minut piechotą i mogła zaczekać na schodach na przyjazd agentów z Wexlerem.

Napisała notkę, żeby powiesić ją na drzwiach. Miała na sobie jedyne czyste rzeczy, jakie jej zostały, czyli spodnie marki Cat & Jack dla aktywnych chłopców i czarny T-shirt znaleziony na dnie worka marynarskiego, a od mokrych trampek przemoczyły się skarpetki. Z przyzwyczajenia wsadziła do tylnej kieszeni uszkodzonego iPhone'a i przytrzasnęła notkę drzwiami, licząc, że jej treść, choć ogólnikowa, jednak jest wystarczająco zrozumiała:

JUŻ NA MIEJSCU

Neonowy napis powitalny motelu mrugał i migotał, gdy przechodziła przez jezdnię. Nie było tam chodnika, ale chciała znaleźć się w świetle latarni. Czowała w stłuczonym nosie gryzącą sól oceanu, oczy ją piekły, mokre włosy przykleiły się do karku. Odwróciła głowę, głęboko odetchnęła chłodnym powietrzem, wsadziła ręce do kieszeni spodni i ruszyła przez noc wzdłuż żółtej linii.

Gdy usłyszała nadjeżdżające auto, zerknęła w tył, a potem zeszła na zwirowe pobocze. Za plecami miała las. Znowu pomyślała o grupie obserwacyjnej, o grupie uderzeniowej z Baltimore, o nakazach aresztowania i nakazach przeszukania. I o wszystkich dziewczynach na farmie.

Szła dalej w stronę komisariatu, odtwarzając w myślach rozmowę z matką. Dwa lata temu nauczyła się, że psychopaci są niczym ogień, potrzebują tlenu, żeby płonąć. Może to był klucz do Wexlera. Andrea wiedziała, jak używać milczenia jako broni. Jeśli pozbawi Wexlera tlenu, on może się wypalić.

Minął ją następny samochód, więc znowu zeszła na pobocze. Patrzyła, jak bmw sunie w kierunku śródmieścia. Światła stopu się nie zapaliły. Auto dojechało do końca Beach Road, potem skręciło w lewo, oddalając się od morza. Chciała wrócić na jezdnię, ale coś mignęło w oddali.

Ośloniła oczy od świateł latarni i obejrzała się w stronę motelu. Nie przypominała sobie, żeby przechodziła obok starej nieutwardzonej drogi. Zobaczyła ją dopiero teraz, ponieważ jechał nią wolno jakiś pojazd. Słyszała cichy szum tłumika i trzaski pod kołami toczącymi się po leżących na ziemi gałęziach.

Z ciemności wyłonił się przód starej niebieskiej furgonetki.

Serce Andrei zamarło na widok forda.

Żwir na poboczu zachrząścił pod kołami, przednie światła były zgaszone. Andrea w gwałtownym odruchu przebiegła przez ulicę, żeby skryć się w ciemności.

Furgonetka toczyła się na jałowym biegu. Andrea nie widziała twarzy kierowcy, zauważyła tylko, że zwrócił głowę w lewo, potem w prawo, zanim wjechał powoli na asfalt. Miała tylko ułamek sekundy, żeby dostrzec wnętrze kabiny, gdy furgonetka skręcała w stronę śródmieścia. Światło ulicznych lamp padło na twarze ludzi siedzących w środku.

Kierowca i pasażerka.

Bernard Fontaine.

Star Bonaire.

## 26 LISTOPADA 1981

Miska wypadła z rąk Emily, pestki dyni posypały się na podłogę szopy.

Clay oderwał się od Jacka, jego penis opadł na dzinsy, kiedy naciągał je na biodra. Zatoczył się do tyłu i uderzył plecami w jedno z okien. Szkło pękło, a Emily słyszała, jak pęknięcie przechodzi na drugą szybę, potem na następną.

– Boże! – Jack klęczał na ziemi i ze wstydu ukrył twarz w dłoniach, kołysząc się w przód i w tył. – O Boże, o Boże, o Boże...

Clay nic nie mówił, a na jego twarzy malowały się przerażenie i wściekłość.

– Ja... – Emily zabrakło słów. Kręciło się jej w głowie od tego, co właśnie zobaczyła, a zarazem wiedziała, że nie powinno jej tu być, bo to była ich intymna chwila. – Przepraszam.

Odwróciła się i chciała wyjść, jednak Clay błyskawicznie skoczył ku drzwiom i zatrzasnął je, zanim do nich dotarła.

– Spójrz na mnie! – Złapał ją za ramiona i rzucił na drzwi. – Zabiję cię, jeśli komuś o tym powiesz!

Emily była zbyt roztrzęsiona, żeby odpowiedzieć. W pierwszej chwili nie rozumiała, co się dzieje, ale prawda powoli do niej docierała. Chłopcy, to znaczy Clay i Jack, uprawiali seks. Od kiedy to trwało? Czy się kochali? Trzeba kogoś kochać, żeby pozwolić mu na takie rzeczy. Dlaczego Clay traktował Jacka tak podle, skoro łączyło ich uczucie?

– Clay. – Jack położył mu rękę na ramieniu.

– Zabierz, kurwa, tę łapę! – Clay wyrwał mu się gwałtownie. – Jezu Chryste, ty zasrany pedale! Nigdy więcej mnie nie dotykaj!

Jack stał jak sparaliżowany z ręką ciągle uniesioną w powietrzu. Wyglądał na tak zranionego, że mniej by go bolało, gdyby Clay dźgnął go nożem.

– Clay... – Emily nie mogła znieść jego okrucieństwa. – Nie wolno ci...

– Zamknij się, Emily. – Clay wycelował palec w jej usta. – Powtarzam, morda w kubeł!

– Ona nie... – wychrypiął Jack i zaniósł się krótkim szlochem. – Ona nikomu nie powie.

– I lepiej, żeby tak było! – Clay odskoczył od Emily i zaczął chodzić po szopie, waląc pięścią w otwartą dłoń i stawiając ciężkie kroki na kamieniach. – Powiem wszystkim, że mnie prowokowała. Rozpowiem, że chciała mnie zrobić w małżeństwo i okłamać wszystkich, że to ja jestem ojcem.

Emily obserwowała Claya, który w tej szczególnej chwili chodził tak samo jak jej ojciec, gdy decydował o jej przyszłości.

– Clay... – zaczęła.

– Mówiłem, żebyś stuliła mordę! – Spiorunował ją wzrokiem i znowu wycelował w nią palec. – Zniszczę cię, Emily. Nie myśl, że nie.

– Więc to zrób! – Jej słowa niosły mocną treść, ale głos był słaby. Nie zrobiła temu człowiekowi nic złego, wręcz przeciwnie, przez całe lata zależało jej na nim, kochała go. – Powiedz, że próbowałam cię szantażować. Powiedz, że jestem dziwką. Powiedz, że ci obciągałam za salą gimnastyczną. To bardziej nie zszarga mojej reputacji, bo już jest zszargana.

– Emily... – szepnął Jack.

– Co, Jack? Wszyscy już gadają o mnie takie rzeczy. Dzięki Blake'owi i Ricky, dzięki Nardowi. – Przerwała na moment. – I dzięki tobie, Clay.

– Nigdy nie powtarzałem tych plotek – miał czelność zaprzeczyć z urażoną miną.

– Nawet jeśli tak, to ich nie powstrzymałeś. – Miała serdecznie dość tych tchórzy, którzy próbują się schować za pokręconym poczuciem moralności. – Mogłeś to wszystko zatrzymać, Clay, mogłeś naprawić sytuację.



– To? – Wzruszył ramionami i zamachał rękami. – O co ci chodzi?

– O to! – Dotknęła brzucha. – To dziecko. Mogłeś nadać ton w klice, mogłeś dać w szkole jasno do zrozumienia, że nie powinnam być wykluczona.

– Wykluczona? – powtórzył. – To niedorzeczne.

– Czyżby? – Czuła odrazę do siebie, że używa słów matki, ale doskonale tu pasowały. – Clay, to ty decydujesz, którzy ludzie są odpowiedni – powiedziała z naciskiem na ostatnie słowo. – Wszyscy patrzą na ciebie! Jeden gest, jedno słowo mogą oznaczać, kto jest swój, a kto nie. Mogłeś mnie ochronić. – Widziała, jak ucieka wzrokiem, zamiast z nią polemizować. – Jeszcze możesz to zrobić, teraz możesz. – Pierwszy raz od tygodni Emily ujrzała wyjście z tej sytuacji. Błagała matkę o pomoc, zapominając, że to Clay miał o wiele większe wpływy w tym ich małym świecie. – Ludzie w szkole myślą, że to złe, bo tak myślą, ale ty możesz zmienić te ich myśli i wyprostować moją sytuację.

– Naprawdę jesteś aż tak głupia?! – zawołał. – Wtedy ludzie pomyślą, że to ja jestem ojcem. Niby czemu miałbym się za tobą wstawić?

Emily na moment zatkało, jednak odpowiedziała na to pytanie:

– Bo jesteś moim przyjacielem!

Słowo „przyjaciel” zawisło w powietrzu, odbijając się echem od ścian małej szopy. Przyjaźnili się od niepamiętnych czasów, wszyscy w taki czy inny sposób byli w życiu każdego z pozostałych.

– Naprawdę? – Clay pokręcił głową z niedowierzaniem. – Już nie mogę być twoim przyjacielem, Emily, a ty na pewno doskonale to rozumiesz. Bo wszystko się zmieniło.

Chciała krzyczeć aż do zdarcia gardła. Dla niego nic się nie zmieniło. Nadal brylował, nadal miał klikę, nadal jechał do college’u na Zachód. I najważniejsze: nadal miał przyszłość.

– Emily, zrozum – ciągnął. – Moi rodzice myśleli, że to ja. Musiałem przysiąc na Biblię. Chcieli mnie zmusić do ślubu z tobą.

– Zmusić? – powtórzyła. To wprost nie do wytrzymania, ale znowu ktoś chciał decydować, nie licząc się z jej zdaniem. – Nie chcę za ciebie wyjść. Nie chcę wychodzić za nikogo.

– Bredzisz – warknął Clay. – Jeśli weźmiesz ślub, będzie po kłopotcie.

Zacisnęła usta, żeby nie roześmiać mu się w twarz. Dla niej nic się nie skończy, bo dziecko nadal będzie w niej rosło i zamiast stażu u senatora, nauki o makroekonomii i reformie prawa deliktów, będzie zmywać z włosów wymiociny i zmieniać pieluchy.

– Nie mogę ryzykować, że rodzice posądzą mnie o kłamstwo – ciągnął Clay. – Wydziedziczą mnie. Wiesz, jacy są religijni. Zniosą wiele moich numerów, jednak tego już nie. Postawili sprawę jasno. Zostanę z niczym.

Jego słowa zabrzmiały dramatycznie, jednak Emily się roześmiała.

– Boże, uchowaj, żebyś miał stracić takich kochających rodziców.

– Wal się, ty durna, przebiegła suko. – Gniew Claya zapłonął jak flara ostrzegawcza. – Nie zostanę w tej zasranej dziurze. Nie chcę spędzić reszty życia wśród tych pieprzonych burżuazyjnych skurwysynów, którzy nie czytają książek, nie rozmawiają o sztuce i nie rozumieją świata, w jakim żyjemy. I nigdy więcej nie chcę oglądać waszych jebanych twarzy.

Emily usłyszała szloch Jacka, a gdy zerknęła na niego, z żalną miną wpatrywał się w Claya. Jego rozpacz przeniknęła prosto do jej serca. Codziennie oboje tracili to samo ciągle i od nowa.

– Clay – odezwał się Jack. – Powiedziałeś, że mogę jechać z tobą. Powiedziałeś...

Emily nie zauważyłaby przemiany Claya, gdyby nie obserwowała go z tak bliska. Jego przystojna twarz wykrzywiła się w potwornym grymasie, oczy pociemniały z wściekłości. Podskoczył do Jacka i zdzielił go pięścią prosto w twarz.

– Pieprzony świr! – Clay trafił tak mocno, że Jack uderzył głową w ścianę, która pękła. Potem Clay uderzył znowu. I jeszcze raz. – Nie jesteś moją jebaną

dziewczyną!

Jack podniósł ręce, starając się osłonić przed gradem ciosów. Nie oddawał Clayowi, chociaż był mocniej zbudowany i silniejszy od niego. Nawet kiedy Clay ukruszył mu ząb i wybił palec, Jack ciągle przyjmował ciosy.

– Nie! – Emily zasłoniła usta dłońmi. Była przerażona tym wybuchem przemocy, ale nie miała jak go przerwać.

Clay okładał Jacka, aż obaj wyładowali na ziemi. Machał pięścią jak kafarem. Nawet kiedy stało się jasne, że Jack nie będzie się bronił, Clay nadal go tłukł. Dopiero gdy opadł z sił, z ociąganiem opuścił rękę.

Twarz miał powalaną krwią i był zlany potem. Dźwignął się z ziemi, zamiast jednak wyjść, kopnął Jacka w głowę.

– Nie! – znów krzyknęła Emily. – Przestań!

Jej głos był tak donośny, że wprowadził powietrze w drżenie.

Clay odwrócił głowę w jej stronę. Wzrok miał dziki.

– Przestań! – powtórzyła, a w jej głosie pojawił się strach.

Clay zastygł w bezruchu, bo nagle przypomniał sobie, gdzie jest. A mianowicie w szopie na terenie posiadłości Vaughnów, których ciężarna córka obserwowała tę scenę. Dotknął ręką twarzy. Nie wytarł krwi, ale rozsmarował ją niczym upiorny makijaż.

W końcu pokazał swoje ja.

Swoje prawdziwe ja.

Chłopiec, którego poznała w podstawówce, luzak rozprawiający o sztuce, książkach i świecie, był tylko przykrywką dla pokrytego krwią demona, który omal nie zatłukł swojego kochanka na śmierć.

Clay nawet nie próbował włożyć starej maski na twarz. Emily już go przejrzała, dokładnie wiedziała, kim jest. Ostatni raz wycelował palec w jej pierś.

– Powiedz komuś o tym, a zrobię ci to samo. – Odepchnął ją spod drzwi.

Zachwiała się i zatoczyła na ścianę. Clay trzasnął drzwiami z takim impetem, że popękane szyby wypadły z ram i roztrzaskały się na podłodze.

Ruszył w stronę domu. Umyje się, zanim pokaże się na oczy państwu Morrow, usiądzie przy stole i zje kolację przygotowaną przez matkę na Święto Dziękczynienia, obejrzy mecz z ojcem, a rodzicom nawet przez myśl nie przejdzie, że ukrywają u siebie przebiegłą sadystyczną bestię.

Jack z jękiem przewrócił się na plecy.

Emily podbiegła do niego, opadła na kolana i brzegiem bluzki wytarła krew z jego oczu.

– Och, Jack. Nic ci nie jest? Spójrz na mnie.

Przewrócił oczami. Dyszał ciężko, krew leciała mu z nosa i z ust, miał rozcięty łuk brwiowy i ukruszony przedni ząb. A mały palec lewej dłoni wisiał pod dziwnym kątem.

Emily chciała pomóc mu usiąść, ale nie dała rady, bo był za ciężki. Po chwili siedziała na ziemi z głową Jacka na kolanach. A on łkał tak rozpaczliwie, że ona też zaczęła płakać.

– Przepraszam – szepnął.

– Nic nie szkodzi. – Odgarnęła mu włosy za ucho, jak Bunia robiła to jej, gdy źle się czuła. – Wszystko będzie dobrze.

– My nie...

– Nie dbam o to, Jack. Jest mi przykro, że tak cię skrzywdził.

– To nie... – Jack znowu jęknął i podniósł się z trudem. Strużki krwi płynęły mu po twarzy zmieszane ze łzami. – Przepraszam, Emily. Nigdy nie chciałem, żebyś się dowiedziała, kim jestem.

Delikatnie wzięła go za zdrową rękę. Znała uczucie przemożnej samotności, gdy nikt nie zaspokaja potrzeby czułego dotyku.

– Jesteś moim przyjacielem, Jack. Tym jesteś.

– Nie jestem... – Wstrzymał oddech. – Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

– Jesteś moim przyjacielem – powtórzyła. – I kocham cię. Wszystko z tobą w porządku.

Wiedziała, że musi być dla niego silna. Otarła łzy i usłyszała dolatujący z garażu trzask drzwi auta ojca. Teraz weźmie prysznic i wleje w siebie kilka drinków, więc miała trochę czasu, zanim będą jej oczekiwać przy stole.

– Nikomu nie powiem – obiecała. – Nigdy bym nie powiedziała.

– Już za późno – szepnął. – Clay mnie nienawidzi. Słyszałaś, co mówił. Myślałem, że pojedę z nim do college’u, znajdę jakąś pracę...

Emily przyszło do głowy mnóstwo słów pocieszenia, ale wszystkie zabrzmiałyby fałszywie. Clay skończył i z Jackiem, i z nią. Powinna się cieszyć, że tylko odwrócił się do niej plecami i nie zrobił nic więcej. Wiele razy widziała, jak ojciec traci panowanie nad sobą, lecz czegoś takiego doświadczyła po raz pierwszy w życiu. Otóż na jej oczach ludzka istota przemieniła się w potwora.

– Nikomu nie powiem – upewniła go. – Nie żebyś miał się czegoś wstydić, ale jeśli...

– Nardo wie. – Jack oparł się plecami o drzwi i spojrzał w sufit. Nie starał się powstrzymać łez. – Widział mnie i Claya razem. On wie.

Emily otworzyła usta, chociaż naprawdę godne zdumienia było to, że Nardo jeszcze nie rozgłosił tego w całej szkole.

– Co?

– Ja... – Jack urwał, żeby przełknąć ślinę. – Spytałem Narda, czy to on jest ojcem.

Emily oparła głowę o ścianę i zapatrzyła się w sufit. Całymi godzinami przeglądała swoje notatki ze Śledztwa Columbo. Jack rozwiązał sprawę? Czemu jej nie powiedział?

– Przepraszam, Emily, ale Nardo... Nardo się nie przyznał. Kazał mi spadać i wtedy powiedział, że widział mnie i Claya razem, i jeśli nie przestanę zadawać pytań, to on...

Serce Emily tłukło się w piersi jak oszalałe. Wiedziała, do jakiej podłości jest zdolny Nardo. To, że zachował tak pikantny sekret dla siebie, nie miało sensu.

Jack pociągnął nosem.

– Już zdążyłem wszystkich wypytać, nawet Claya.

– Claya? Jego też... – Nie wiedziała, jak to powiedzieć inaczej niż wprost. – On woli chłopców.

– Z nim jest inaczej. – Jack potrząsnął głową. – Bo on dziewczyny też lubi. Nie jest taki jak ja i może uchodzić za normalnego. – Usłyszała w jego głosie samopotępienie. – Wszyscy zaprzeczyli, o ile to ma dla ciebie jakieś znaczenie. Wszyscy mieli dopracowane wersje wydarzeń.

– Wszyscy, czyli kto? – Emily nie bardzo rozumiała, co zrobił Jack. W zeszłym miesiącu pokazała mu swoje zapiski ze Śledztwa Columbo, jednak w ogóle ich nie skomentował. – Z kim rozmawiałaś?

– Z Nardem, Blakiem, Clayem, Ricky, Wexlerem. Z tymi samymi co ty. – Ze świstem wypuścił powietrze przez nos. – Przepraszam cię, Emily. Wiem, że prowadziłaś prywatne śledztwo, ale miałaś straszną obsesję na tym punkcie, co oczywiście zrozumiałe w twojej sytuacji, a mnie przyszło do głowy, że sam spróbuję to rozwikłać. Z chłodną głową, bez twoich emocji, no i nikt nie zwraca na mnie uwagi. W szkole jestem niewidoczny, czasem coś usłyszę, dlatego pomyślałem, że złożę wszystko do kupy, no i nic z tego nie wyszło. Zawiodłem cię.

– Nie zawiodłeś mnie, Jack. – Emily odetchnęła głęboko, po czym oznajmiła: – Nardo sugerował, że to ty.

– O tak, jasne... – Jack zaśmiał się gorzko. – Tylko weź pod uwagę źródło tej informacji.

– Powiedział, że sprzedałeś mu kwas, a on dał go wszystkim obecnym na Imprezie.

– Tak, sprzedałem. Miałem towar od kuzyna.

Emily uważnie spojrzała na niego. Jack nie unikał jej z powodu trudnej sytuacji, on coś ukrywał.

– Byłeś tam, Jack? Widziałeś coś?

– Nie, naprawdę. Powiedziałbym ci. – Też na nią spojrzał. – Nardo kazał mi wyjść, zanim przyszli pozostali, ale potem Clay był jak nie on, taki strasznie

rozstrojony. Powiedział mi, że na Imprezie wściekłaś się na niego. Zobaczył cię przez jedno z tych wielkich okien wychodzących na basen. Byłaś na zewnątrz i nie miałaś na sobie sukienki, a on cię zmusił, żebyś ją włożyła. Było bardzo chłodno, a ty zaczęłaś na niego wrzeszczeć.

– Z jakiego powodu?

– Nie wiedział, skąd ta wściekłość. Podobno zachowywałaś się jak histeryczka. Mógł zrobić tylko jedno, czyli odszukać Narda.

Wyobraziła sobie tę scenę. Nie odkopała jej w zakamarkach pamięci, była to projekcja tego, co mogło wydarzyć się naprawdę. Stoi nago przy basenie, Clay biegnie, żeby ją ubrać. Nie, to zbyt szarmanckie. Najpierw musiałby się dowiedzieć, co się stało, i zakpiłby z niej, że jest goła. A potem zirytowałby się z powodu jej zdenerwowania, tyle że miała prawo być wściekła i zdenerwowana, bo ktoś ją zgwałcił.

– Mówił, co było potem?

– Wszyscy byli zbyt nawaleni, żeby odwieźć cię do domu. – Jack przedramieniem wytarł krew z twarzy. – Więc Nardo zadzwonił do pana Wexlera, bo wiedział, że on ich nie wyda. Nic innego nie przyszło im do głowy, a tobie kompletnie odwaliło. Blake musiał dać ci dwie tabletki benzedryny, żebyś się uspokoiła, jednak nie pomogło, bo wciąż wydzierałaś się na Claya, kiedy Wexler i Nardo zaciągnęli cię do auta.

Emily odwróciła od niego wzrok. Wzięła nie tylko kwas, przyjaciele podali jej psychoaktywny lek przeciwlękowy i przeciwdrgawkowy, a potem przekazali ją w łapy okropnego Deana Wexlera, żeby został z nią sam w swoim aucie.

– Myślisz, że Clay mówił prawdę?

– Nie wiem, to kłamca. Oni wszyscy to kłamcy. – Jack znowu zaczął szlochać. – Przepraszam, Emily, powinienem wcześniej ci o tym powiedzieć. Wstydzilem się, nie wiedziałem, jak wyjaśnić, czemu Clay podzielił się ze mną informacjami, ale bez mówienia ci, kim jestem.

– Wiem, jak to jest, kiedy inni cię osądzają – odparła. – Dlatego ja nie mam zamiaru cię osądzać, Jack. To nie moja sprawa.

– Dzięki... – Nerwowo zaczerpnął haust powietrza. – I przepraszam, bardzo przepraszam.

– Nie masz powodu. – Nie mogła pozwolić, żeby zaczął nienawidzić samego siebie. Wiedziała, że ta czarna otchłań nie ma dna. – Jak Nardo dowiedział się o tobie i Clayu?

Jack najpierw wzruszył ramionami, nim odpowiedział:

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to moment, kiedy Clay i ja byliśmy w myśliwskiej furgonetce mojego ojca. Staliśmy na leśnej drodze na obrzeżach farmy, która odbija w bok niedaleko śródmieścia.

Emily знаła tę drogę. Stara farma należała do Buni, która utworzyła fundusz powierniczy, żeby pewnego dnia farma przeszła na ukochaną wnuczkę.

– Czy Clay wie, że Nardo cię widział?

– Tak... – Skinął głową. – O czym myślisz?

Emily żałowała, że nie ma przy sobie notatek ze Śledztwa Columbo, ale stale nosiła je w torebce, bo tylko tam rodzice nigdy by nie zajrzeli.

– Nie rozumiem, jakim cudem Nardo nie zdradził innym tego sekretu – zauważyła.

– Tak, rzeczywiście... – Jack aż otworzył usta ze zdziwienia. – Jest tylko jedno wytłumaczenie. Sądzisz, że Clay wie coś o Nardzie?

– Może. – Rzeczywiście brzmiało to sensownie, kłopot w tym, że wiele teorii w różnych momentach nagle nabierało sensu, by później go stracić. – Nardo nigdy nie wydałby Claya, bo bardzo się boi, że zostanie sam. Potrzebuje kogoś, na kim może się oprzeć, kto mu powie, co robić i kim być. A Clay nastawiłby przeciwko niemu całą szkołę. Nikt nie uwierzy, że on jest...

– Pedalem – dokończył Jack, i to słowo zabrzmiało obscenicznie w jego ustach.

– Masz rację, ludzie zwróciliby się przeciwko Nardowi, a sporo osób idzie na



Uniwersytet Pensylwanii, więc ten smród ciągnąłby się za nim aż do college'u. Bez względu na wszystko będzie trzymał głowę na kłódce.

Emily doszła do tego samego wniosku, ale borykała się z większymi problemami.

– Czuję się tak, jakby ktoś wrzucił mi koło do głowy, które kręci się i kręci, próbując wskazać właściwą osobę. Jak jakaś dziwaczna ruletka. Czasem to Clay, potem Nardo, potem Blake, a potem...

– Ja?

– Nigdy w to nie wierzyłam – odparła szybko. – Z wyjątkiem sytuacji, kiedy myślałam, że jesteś najlepszą osobą, na którą mogłoby paść.

– Kocham cię, Emily. Mógłbym się z tobą ożenić, jeśli tylko będziesz pamiętać, kim jestem. Bo tego nie zmienię. Wiem, co mówię, już próbowałem.

– Też cię kocham, Jack, ale zasługujesz na kogoś, kto pokocha cię tak, jak chcesz być kochany. – Zamilkła, a po chwili dodała cicho, w zadumie: – Oboje na to zasługujemy, Jack.

Ukrył twarz w dłoniach. Miał trudne życie. Emily od zawsze wiedziała, że jest samotny, jednak dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo.

Gdy zapadła cisza, Emily delikatnie ujęła jego dłonie i dodała:

– Jack, to nie twoja wina. Ja tylko chcę wiedzieć, kto mnie skrzywdził. Już mi nie zależy, żeby został ukarany, i nie chcę wychodzić za żadnego z nich. Szczerze mówiąc, to nie chcę ich nawet znać. Myśl, że któryś z tych palantów mógłby być obecny w moim życiu i decydować o mnie i o dziecku, budzi nie tylko przerażenie, ale i bezgraniczną odrazę.

– Też chcę się tego dowiedzieć. – Ponownie otarł łzy przedramieniem. – Co z twoim Śledztwem Columbo? Jest coś nowego?

– Przez chwilę myślałam, że to Blake – przyznała. – Jest interesowny, prawda? I manipuluje ludźmi jak pionkami na planszy. Szybko zaproponował wygodne dla siebie rozwiązanie: same korzyści, zero winy.

– Tak, tak... – Jack skinął głową. – Dlaczego go wykluczyłaś?

– Jest najmniej popularny spośród tych trzech chłopaków i nie sędzę, żeby Clay i Nardo chcieli go chronić. Jak już mówiłam, oni napędzają się nawzajem. Clay potrzebuje pochlebstw Narda, a Nardo potrzebuje fajności Claya, jeśli tak można to nazwać. Natomiast Blake jest oczywistym kozłem ofiarnym.

– Tak byłoby najłatwiej – zgodził się Jack. – To znaczy gdyby zrzucili winę na Blake’a, odwróciłyby to od nich uwagę.

Emily już doszła do tego samego wniosku, a potem zmieniła zdanie i koło znów zaczęło się kręcić.

– Czasem myślę, że to mógł być Nardo. Jest bezlitosny i egoistyczny, zawsze bierze, co chce, z tym że gdyby naprawdę to był on, to Clay by go wydał, żeby uciec od wszelkich podejrzeń. Bo on zawsze chroni siebie, prawda?

– Nardo widział mnie i Claya razem – przypomniał jej Jack. – Obaj mają na siebie haki.

– Z Nardem nie ma żadnej gwarancji, on nie umie zachować tajemnicy. Myślę, że jest to na granicy patologicznych zachowań. Dostrzega okazję, żeby komuś dopiec, i już strzyka trucizną, zanim zdąży przemyśleć sprawę i się powstrzymać. To coś w mózgu, co ostrzega przed konsekwencjami naszych decyzji, całkiem ma zepsute.

– Słuszna uwaga. To dlatego Clay kończy szkołę wcześniej i jedzie na Zachód najszybciej, jak tylko się da. Powiedział, że nie ma pewności, czy Nardo utrzyma język za zębami.

– A Clay? Mówisz, że dziewczyny też lubi. – Emily czuła, że się rumieni, ale dotarła do punktu, z którego nie było odwrotu. – Pomyślałam, że może... może go czymś sprowokowałam? Może się narzucałam? On uległ, a potem się wściekł.

– Emily... – Rzucił jej wymowne spojrzenie. – Nawet w ciąży nie ważysz pięćdziesięciu kilo, prawda? Więc Clay łatwo by się opędził przed tobą, gdybyś zachowała się nachalnie. Poza tym wcześniej miał wiele okazji.

Emily pomyślała, że Clay miał niezły ubaw z jej zauroczenia Jackiem.

– A Wexler? – podsunął. – To zboczeniec, w szkole gapi się na dziewczyny w obleśny sposób i zawsze szuka okazji, żeby zagadać do nich o seksie, robi to nawet w klasie.

Emily nie chciała myśleć o tym, jak w noc Imprezy jest w aucie Deana Wexlera. Była kompletnie otumaniona, więc mógł z nią zrobić dosłownie wszystko. A Nardo pewnie o tym wiedział, kiedy wpakował ją do auta.

– Pamiętaj, Dean mi powiedział, że nie może mieć dzieci.

– Bez urazy, ale taki tekst rzuci każdy facet, który nie lubi używać prezerwatyw.

– Chyba wiesz o prezerwatywach tyle samo co ja – skwitowała ze śmiechem.

Jack wbił wzrok w ziemię. Żart Emily trafił w czuły punkt.

– Mówiłem ci, że jestem niewidzialny. Słyszę, jak bez przerwy gadają w szatni o seksie i dziewczynach. Mówią bardzo nefajne rzeczy, a już Nardo w szczególności. Clayowi to pasuje i zawsze śmieje się z jego żartów, a Blake tylko czeka, żeby dolać oliwy do ognia.

Emily widziała to wiele razy. Im bardziej Clay prowokował Narda do złego, tym był szczęśliwszy. A Blake zawsze chętnie uczestniczył w dziele zniszczenia, na przemian podjudzając Narda i gardząc nim z powodu jego okrucieństwa. Przy tym uważała, że powinna dopisać Ricky do tej zdeprawowanej koterii. Bo gdy się nad tym głębiej zastanowić, to ona, i to na wiele sposobów, była z nich wszystkich najbardziej złośliwa i bezwzględna.

– Dlaczego nigdy nie widziałam, jacy z nich niegodziwcy? Bardzo ich kochałam, byli moimi najlepszymi przyjaciółmi, ufałam im bezgranicznie.

Jack spojrzał na nią z niepewnym wyrazem twarzy.

– Powiedz to – nalegała. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

Kiwnął głową, ponieważ powiedziała prawdę.

– Przykro mi, Emily, ale ludzie nie rozumieli, czemu ktoś tak miły jak ty trzyma z takimi jak oni.

Też nie rozumiała, a raczej nie chciała przyznać tego sama przed sobą. Clay sprawiał, że czuli się tacy wyjątkowi, tacy fajni.

– Czemu nigdy mi tego nie powiedziałeś?

– Czemu? – Wzruszył ramionami. – Przecież to oczywiste, jacy z nich okropni ludzie.

Niestety dostrzegła to dopiero post factum, co było podwójnie przygnębiające, bo zaledwie kilka tygodni temu Ricky zarzuciła jej, że jest Pollyanną.

Mimo to nadal czuła, że powinna ich bronić, przynajmniej choć trochę. Nie wszyscy byli tacy od początku, tylko Nardo zdradzał symptomy swojej późniejszej brutalności. Wiecznie ciągnął Emily za włosy albo strzelał ramiączkiem stanika Ricky. Natomiast Clay kiedyś był miły, a dawno temu Blake wykazywał się wrażliwością. Nawet Ricky była słodka, przejęła się Emily w trzeciej klasie, kiedy ktoś zniszczył jej pracę plastyczną. Chociaż patrząc wstecz, teraz doszła do wniosku, że najpewniej to Ricky zniszczyła jej pracę. Taka była z niej wredna suka.

– Emily, nie zostaniesz w tym sama, rozumiesz? Pomogę ci, jeśli będziesz mnie potrzebować. Przyjęli mnie do akademii policyjnej na semestr letni. Zgłosiłem się, żeby tata w końcu dał mi spokój, ale Clay nie chce, żebym z nim jechał, a ja nie mam innego wyjścia. Zostanę w Longbill i zacznę pracować dla ojca po skończeniu akademii.

Jej serce ścisnęło się z żalu. Jeśli ktoś naprawdę powinien stąd wyjechać, to właśnie Jack Stilton. Powinien zamieszkać w Baltimore albo innym dużym mieście, gdzie znajdzie podobnych sobie ludzi, którzy wiedą lepsze życie.

– Nie, Jack, nie idź na łatwiznę, walcz o swoje szczęście. Od podstawówki chciałeś się stąd wyrwać.

– Jakie mam inne wyjście? – spytał. – Słyszałaś Claya. On nie zmieni zdania, a ja mam marne stopnie. Ledwie skończę ten przeklęty ogólniak i nie mogę wstąpić do wojska, bo tam pytają wprost, kim jesteś, i co, miałbym powiedzieć im prawdę? To znaczy niby mogę, tylko że wtedy mógłbym skończyć w więzieniu. Albo

martwy, jeśli tata się dowie. W Longbill przynajmniej znam ludzi i wiem, z kim mam do czynienia. A oni sądzą, że mnie znają.

– Jack... – Nie chciała wybijać mu tego z głowy. Tkwił w pułapce jak ona. – Jeśli to wytrzymasz i zostaniesz gliniarzem, to obiecasz mi coś?

– Jasne. Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko.

– Chcę, żebyś się dowiedział, kto mi to zrobił. Nie dla mnie, bo ja nie chcę w swoim życiu żadnego z tych bezdusznych drani. Chcę, żebyś go dorwał przez wzgląd na dziewczyny, które będą następne.

Jack wyglądał na zaskoczonego, ale nie dlatego, że się z nią nie zgadzał.

– Masz rację. Przestępcy mają swój modus operandi, to znaczy działają według wzorca. Tak się ich łapie.

– Obiecay mi. – Głos Emily się załamał. Nie wyobrażała sobie innej dziewczyny, która przechodzi przez to samo, co ona. – Proszę, Jack, obiecay mi.

– Emily, wiesz, że...

– Nie, nie obiecuj tylko dlatego, że ja płaczę. Złóż obietnicę, bo to ważne. To, co on mi zrobił, jest ważne. Ja jestem ważna. – Emily klękała, złożyła ręce jak do modlitwy. Nagle ogarnął ją żal za tym wszystkim, co utraciła. – On mnie nie tylko zgwałcił, Jack. On wiedział, że tak naprawdę mnie tam nie ma. Potraktował mnie jak... zbiornik.

– Emily...

– Nie przekonuj mnie, że było inaczej. – Z trudem hamowała wybuch rozpacz. – On mi zrobił krzywdę nie tylko tamtej nocy. Na mojej duszy została skaza, zrobił ze mnie zero, przez niego jestem skończona. Życie, na które pracowałam i które tak starannie sobie zaplanowałam, bezpowrotnie straciłam. Wszystko dlatego, że moje aspiracje, moje pragnienia są niczym wobec jego zachcianek. Nie pozwól, żeby to spotkało inną dziewczynę. Nie pozwól, Jack.

– Nie pozwolę, Emily. Dowiem się, kto to zrobił, nawet jeśli to mnie zabije. – Jack też ukląkł i ostrożnie ujął jej dłonie. – Obiecuję.

Andrea trzymała się w cieniu, podążając za zdezelowaną furgonetką.

Nardo siedział za kierownicą, Star siedziała wtulona w drzwi po stronie pasażera, tworząc między sobą a Nardem jak największy dystans, ale on nic sobie z tego nie robił. Sunął wolno drogą z ręką zwieszoną niedbale przez okno i z papierosem w dłoni.

Zerknęła za siebie na ciemną drogę w nadziei, że dostrzeże czarnego SUV-a, co by znaczyło, że jedna z sześciu grup obserwacyjnych jedzie za furgonetką z farmy. Tyle że grupy obserwacyjne były rozlokowane przy wjazdach i wyjazdach, więc nikt nie pilnował starej nieutwardzonej drogi, która pewnie została wymazana z mapy już w ubiegłym stuleciu.

Odwróciła się z powrotem. Furgonetka nadal się poruszała. Na ulicy nie było telefonów publicznych, motel był dziesięć minut stąd. Tego obawiała się Compton: że tacy ludzie zawsze mają plan ucieczki. Andrea nie była zaskoczona, że Nardo próbuje wiać. Odszedł od Claya Morrowa, równie dobrze mógł odejść od Deana Wexlera.

Wybiegła z cienia i ruszyła w stronę komisariatu. Pokonała schody, dopadła drzwi i złapała za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zajrzała przez szybę do holu, lecz w środku nie paliło się ani jedno światło. Zastukała w szybę.

Nic.

– Cholera – mruknęła i zbiegła po schodach. Nakaz aresztowania powinien leżeć już przed sędzią i w każdej chwili Bernard Fontaine z osoby podejrzanej mógł stać się zbiegiem. Gdyby Andrea straciła go z oczu, więcej mogli go nie zobaczyć. Nardo uniknie kary, a Melody Brickel już nigdy nie ujrzy córki.

Przypomniała sobie, że telefon jest w bistrze.

Miała tam niecałe sto metrów. Biegając w kierunku różowej poświaty neonu, wyliczała w myślach wszystkie możliwe katastrofy.

Nie miała wsparcia, jej zamoczona broń była w drodze do Baltimore, a Nardo nosił ukrytą broń. Po jej zarysie Andrea stwierdziła, że jest nieduża, co zawęziło pole spekulacji do jednego z najpopularniejszych modeli kalibru dziewięć milimetrów, czyli pistoletu SIG Sauer P365. To znaczyło dziesięć naboii w magazynku i jeden w komorze. Nardo trzymał w kabinie Star, która w jednej chwili mogła zmienić się z pasażerki w zakładniczkę.

Andrea przypadła do ściany jakiegoś domu, gdy w furgonetce zapaliły się światła stopu. Zobaczyła, że Nardo zjeżdża na miejsce parkingowe kilka metrów od bistra. Silnik forda zgasł. Nardo zaciągnął hamulec ręczny, wyrzucił papierosa na chodnik, wysiadł z furgonetki i trzasnął drzwiami. Wyciągnął ręce w górę, a potem wygiął plecy i rozciągnął się, przez co biały T-shirt wylazł z bojówek.

Andrea wstrzymała oddech. Czekwała.

Star siedziała w furgonetce. Nie ruszyła się, póki Nardo nie udzielił pozwolenia ruchem nadgarstka. Wtedy otworzyła drzwi, zsunęła się z siedzenia i dotknęła stopami ziemi. Powłokła się półtora metra za Nardem, aż oboje zniknęli za drzwiami bistra.

Andrea dokonała szybkiej analizy sytuacji, ale nie po to, żeby snuć katastroficzne wizje, lecz by ocenić swój stan fizyczny. Jej odruch uciekaj albo walcz szalał, była zlana potem, serce jej waliło jak młot, adrenalina przyprawiała o zawrót głowy. Wspięła się na palce, mięśnie miała napięte i zaciśnięte pięści. Wstrzymywała oddech.

Otworzyła usta. Nabrała powietrza.

Zrobiła wydech, potem wdech, i powtórzyła cykl, aż zawroty głowy ustąpiły.

W myślach wyliczyła rzeczy, których nie zaobserwowała. Furgonetka nie jechała szybko. Nardo nie odwracał się i nie sprawdzał, czy ktoś ich śledzi. Nie

opuścił miasta. Star nie prowadziła, a on nie ukrył się na pace furgonetki. W ich zachowaniu nie było żadnej nerwowości.

Nagle to do niej dotarło. Nardo wcale nie ucieka, tylko przyjechał grać Ricky na nerwach. Melody Brickel powiedziała, że Nardo bywa w bistrze przynajmniej raz w tygodniu. I zawsze ciągnie z sobą Star, żeby mieć publiczność.

Andrea oderwała się od budynku i ostatni raz zerknęła przez ramię. Droga była pusta, nic nie nadjeżdżało. Idąc chodnikiem, trzymała luźno ręce wzdłuż tułowia. Po dziesięciu następnych krokach znalazła się przed bistro. Spojrzała przez okno obok zapalonych neonów. W środku było tylko troje ludzi. Usytuowani w trzech punktach, tworzyli trójkąt nierównoboczny.

Nardo siedział w półkolistym boksie. Ricky stała za kontuarem przy kasie. Star siedziała na stołku na drugim końcu i patrzyła wprost przed siebie na ścianę wyłożoną płytkami. Splecione dłonie trzymała przed sobą, przez co kanciaste łopatki sterczały niczym dwie płetwy rekina.

Andrea stanęła przed wejściem. Zajrzała do środka przez przeszklone drzwi. W rogu dostrzegła kamerę monitoringu, bar za kasą, długi korytarz prowadzący do łazienki, do kuchni i do wyjścia na promenadę oraz na brzeg Atlantyku. Złapała za klamkę. Ciało zareagowało na stres. Miała lepką skórę. Pot spływał jej po plecach i wsiąkał w pasek spodni. Wzrok miała tak wyostrozony, że bolały ją oczy.

Powtarzała sobie, że ci w środku nie będą tego wiedzieli. Liczyło się tylko to, jak będzie wyglądać, kiedy wejdzie do bistra.

Otworzyła drzwi.

– O w mordę – powiedziała Ricky.

Andrea wyglądała strasznie. Przeżyła pożar, omal nie złamała nosa, miała rozcięte czoło i wargę. Jeśli wyglądała na spoconą i roztrzęsioną, to miała cholernie ważny powód.

Nardo ryknął na cały lokal:

– Ho, ho, ho, Ricky Jo, przybywa glina we własnej osobie. Lepiej się pilnuj, żeby nie złamać zakazu.



Star milczała. Nawet się nie odwróciła.

– Ignoruj tego dupka. – Czubkiem noża trzymanego w ręce Ricky wskazała czerwoną linię wytyczoną taśmą na podłodze. – Sześć metrów.

Zakaz zbliżania. Nardo przyjeżdżał do bistra, ponieważ chciał, żeby Ricky złamała zakaz, a ona wytyczyła na ziemi linię, żeby tego uniknąć. Kamera monitoringu pilnowała ich obojga. Bez obecności Star jako obserwatorki ta gra straciłaby sens.

W tej chwili to i tak nie miało znaczenia, ponieważ Andrea potrzebowała telefonu.

Skierowała się w stronę kontuaru, rzucając okiem w stronę Narda. Siedział z ramionami rozłożonymi na oparciu boksu. Przed nim na stole stał wielki talerz spaghetti, a kiedy napotkał wzrok Andrei, uniósł kufel, jakby wznosił toast.

Ricky trzymała dla niego talerz z ciepłym jedzeniem. Wiedziała, że przyjedzie.

– W porządku, skarbie? – Ricky intensywnie żuła gumę i kroїła owoce, przygotowując je na poranne godziny szczytu w bistrze. Bransoletki na jej przegubie stukały o blat. Przypominała sekcję rytmiczną. Nóż stukał w deskę do krojenia, potem strzelała guma, po niej dźwięczały bransoletki i znowu nóż stukał w deskę.

– W porządku. – Andrea usiadła przy kontuarze w takiej pozycji, żeby mieć oko na Narda, a lustro za barem dawało jej pełny obraz wnętrza lokalu. Kasa znajdowała się po jej lewej stronie. Ricky stała za kontuarem po przekątnej, po prawej ręce Andrei. Star zajmowała miejsce na skraju jej pola widzenia. Nawet nie zauważyła wejścia Andrei. Na kontuarze przed nią nic nie stało. Odkąd Andrea znalazła się w środku, Star ani razu się nie poruszyła.

– Słyszałam o pożarze, słonko. – Ricky zerknęła raz po raz na Andreę, krojąc kantalupę. Ich rozmowa w jej domu nie skończyła się dobrze, więc Ricky zachowywała czujność. – Mogę zrobić ci kanapkę. Spaghetti się skończyło.

Andrea zauważyła napis przyklejony do kasy:

TELEFON WYŁĄCZNIE DLA PERSONELU

– Słonko? – ponagliła ją Ricky.

Andrea musiała przełknąć ślinę, żeby wydobyć z siebie głos.

– Nie, dzięki. Jest tequila?

– Widać, że jej potrzebujesz. – Ricky rzuciła nóż na kontuar i nie pytając o markę, sięgnęła po butelkę Milagro Silver stojącą na najniższej półce. – Czułam dym w swoim domu. Rany, ta rezydencja stała tu od wieków. Trudno uwierzyć, że już jej nie ma. Wszyscy wyszli cało?

– Tak. – Andrea zobaczyła, że pot z jej spoconych dłoni zostawia mokry ślad na kontuarze. Musiała zyskać przychyłność Ricky. – Raczej nie powinnam tego mówić... – Zawiesiła głos, a Ricky podniosła wzrok znad szklaneczki, którą napełniła równo z brzegiem. – Mąż sędzi...

– Franklin.

– Tak. – Andrea pochyliła się i zniżyła głos. – Już przedtem nie było z nim dobrze, ale po pożarze...

Ricky skinęła powoli głową na znak, że rozumie.

– Smutne, ile tragedii przeżyła ta rodzina przez lata. Co z Judith?

– Jest smutna. Może lepiej się poczuje, jeśli pani się do niej odezwie.

– Tak, oczywiście. Przygotuję coś do jedzenia. Ludzie zawsze potrzebują jedzenia.

– Sędzia na pewno będzie wdzięczna. – Andrea sięgnęła do tylnej kieszeni i wyjęła z niej telefon. Zrobiła minę, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że jest uszkodzony. – Ożeż, do dupy.

– Faktycznie. – Ricky postawiła szklaneczkę przed Andrea. – Wsadziłaś go do mikrofalówki?

– Pożar go uszkodził. – Andrea poczuła, że traci głos. Odchrząknęła. – Widzę ten napis, ale czy mogę skorzystać z telefonu?

– To znak dla turystów. – Ricky schyliła się, wyjęła spod kasy aparat telefoniczny i postawiła go na kontuarze.

Andrea patrzyła na staromodny telefon. Z tyłu obudowy wychodził kabel, słuchawka była połączona z aparatem sprężystym przewodem, klawisze numeryczne były umieszczone na bazie telefonu. Andrea planowała, że pójdzie ze słuchawką bezprzewodową na tył bistra, na korytarz, gdzie zapewni sobie prywatność, ale przewodowy telefon stacjonarny to uniemożliwił.

– W porządku, słonko? – Ricky stanęła z powrotem przy desce do krojenia i posłała Nardowi wymowne spojrzenie.

– Tak, miałam ciężki dzień. – Andrea spojrzała w lustro. Nardo ją obserwował, Ricky ją obserwowała, tylko Star pozostała nieporuszona.

Andrea podniosła słuchawkę.

– Zapomniałam powiedzieć, że to rozmowa zamiejscowa. Oczywiście mogę zapłacić gotówką.

– Super. – Ricky wzięła garść truskawek. – Tylko streszczaj się, słonko.

Andrea wybrała jedyny numer, jaki znała na pamięć. Odebrano niemal natychmiast.

– Kochanie? – Laura mówiła takim tonem, jakby jeszcze się nie położyła po ich ostatniej rozmowie. – Co się stało?

– Cześć, mamó. Przepraszam, że nie oddzwoniłam do ciebie po wyjściu ze szpitala.

– Co? – rzuciła Laura z paniką w głosie. – Kiedy byłeś w szpitalu?

– Nie, nie mogłam zasnąć. – Andrea widziała, że Ricky otwarcie przysłuchuje się jej rozmowie. – Zapomniałam spytać. Możesz zadzwonić do Mike’a w moim imieniu? Jego numer jest w moim durnym telefonie.

Ricky zrobiła minę do iPhone’a, jakby była uczestniczką rozmowy.

– Mike? – dopytywała Laura. – Mój Mike? Co Mike ma wspólnego ze szpitalem?

– Przekaż mu, że poszłam do bistra na drinka. – Andrea bawiła się szklaneczką, panując nad drżeniem dłoni. – W pracy dostałam wiadomość od sąsiada. Potrzebuje pomocy Mike’a. Renfield wybył.

– Rozumiem. – Głos Laury stał się lodowato spokojny. W czasach, kiedy była na bakier z prawem, porozumiewała się wyłącznie szyframi i kodami. – Zapisuję to. Mam zadzwonić do Mike’a i przekazać mu, że jesteś w bistrze, zgadza się?

– Jasne.

– Nie wiem, co znaczy ta druga część, ale przekażę mu dosłownie. „Dzwonił nasz sąsiad. Potrzebuje pomocy Mike’a. Renfield wybył”.

– Zgadza się. Dzięki, mamó. Kocham cię.

Odłożyła słuchawkę na widełki i pociągnęła łyk tequili. Wilgotne od potu palce ślizgały się na szkle.

Ricky zostawiła telefon na kontuarze. Wciąż krojąc owoce, nie spuszczała wzroku z Andrei.

– Twoja mama?

– Tak. – Andrea skinęła. – Mój kot uciekł. Wraca tylko wtedy, kiedy woła go mój chłopak.

– Szkoda, że ja nie mam czasu na domowe zwierzątko. – Ricky uśmiechała się, jednak nie zdołała ukryć napięcia w swoim głosie. – Trochę za późno na telefon, prawda?

Ricky znowu zerknęła na Narda. Jej ciekawość przerodziła się w podejrzliwość.

Andrea zdawała sobie sprawę, że Ricky widziała wybierany numer.

– Mama mieszkała w Georgii, ale w zeszłym roku przeniosła się do Portlandu.

– W Maine?

– W Oregonie. – Andrea stłumiła pokusę i nie spojrzała na Narda. Czuła, że jego wzrok wypala jej dziurę na plecach. – Trzy godziny różnicy czasu. Oglądała telewizję.

– Uwielbiam Oregon. – Ricky nie odpuszczała. – Która część?

– Laurelhurst – odparła Andrea. – To wschodnia część Portlandu. Mieszka w pobliżu parku z pomnikiem Joanny d’Arc. W kawiarni obok grają świetną muzykę na żywo.

Ricky wreszcie odrobinę się odprężyła.

– Brzmi przyjemnie.

– Jest przyjemnie. – Andrea dopiła tequilę i pozwoliła sobie spojrzeć w lustro na Narda.

Odsunął od siebie talerz, dopił piwo i z hukiem odstawił pusty kufel na stół.

– Obsługa?

Ricky zignorowała tę zaczepkę, ale ostrze noża uderzyło w deskę z wymownie donośnym łup, łup, łup!

– Ej, obsługa! – zawołał Nardo. – Zostało ci jeszcze trochę tej tequili?

Ricky rzuciła nóż na kontuar, jakby siłą woli powstrzymywała się przed dźgnięciem Narda, złapała butelkę i z trzaskiem postawiła szklaneczkę na barze.

Andrea zerknęła na Narda. Uśmiechał się ironicznie, a ona kalkulowała w myślach. Laura natychmiast zadzwoniła do Mike'a, a on na pewno odbierze, bo ludzie objęci programem ochrony świadków dzwonili wyłącznie w sytuacji zagrożenia życia.

Andrea jest w bistrze. Renfield wybył. Potrzebna twoja pomoc.

W szpitalu Mike użył imienia Renfielda, żeby scharakteryzować Narda, i z pewnością domyśli się, że coś jest nie tak, skoro Andrea prosi o pomoc.

Przeniosła wzrok na zegar na ścianie. Patrzyła, jak wskazówka sekundowa przesuwa się między cyframi. Dwie minuty dla Laury na powiadomienie Mike'a. Dwie kolejne minuty dla Mike'a na powiadomienie Compton. Cztery minuty dla Compton na zmobilizowanie oddziałów. Najbliżsi agenci znajdowali się na farmie, ale piętnaście minut jazdy można skrócić do dziesięciu z syrenami i kogutami.

W sumie osiemnaście minut, jeśli wszystko pójdzie tak, jak Andrea kalkulowała. Telefon do Laury zakończyła minutę przed północą. Najprędzej ktoś się tu zjawi siedemnaście minut po północy.

– Uwaga! – Ricky posłała tequilę przez całą długość kontuaru.

Szkło zatrzymało się tuż przy kościstym łokciu Star.

To była część gry, którą Ricky prowadziła z Nardem. Nie mogła przekroczyć czerwonej linii, a Star była nie tylko widownią, lecz także miała go obsługiwać.

– Rusz się, dziewczyno. – Nardo zastukał kłykciami w stół. – Żwawiej. Popraw mi nastrój.

Nieprawdopodobne, ale Ricky się zaśmiała. Obserwowała Star z niezdrową satysfakcją na twarzy. Dźwięk noża uderzającego w deskę do krojenia przeszedł w staccato, gdy Star wykonywała powolne mechaniczne czynności składające się na dostarczenie drinka Nardowi. Żółta sukienka poruszała się przy każdym ruchu jej kościstego ciała. Kroki brzmiały jak szept, gdy jej bose stopy sunęły po podłodze.

Andrea znowu spojrzała w lustro, tym razem po to, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Na ulicy była tylko niebieska furgonetka, żadnego innego pojazdu. Przeniosła wzrok na zegar. Upłynęła zaledwie minuta.

– Obsługa! – Nardo znowu zawołał do Ricky. – Gdzie mój deser, staruszko? Chyba muszę pogadać z kierownikiem. Jakość obsługi w tym lokalu jest skandaliczna.

Ricky przewróciła oczami i zadbała o to, żeby Andrea to zobaczyła, ale zrealizowała zamówienie. Wielkim nożem ukroiła kawałek ciasta czekoladowego, a potem demonstracyjnie postawiła talerz na kontuarze, żeby Star go zaniosała.

Andrea zacisnęła zęby, gdy Star niepewnym krokiem przemierzała salę, i wróciła do kalkulowania czasu. Laura do Mike’a. Mike do Compton. Compton do oddziału obserwacyjnego. Oczywiście nie wedrą się do budynku, bo zobaczą trzy potencjalne zakładniczki i założą, że Nardo jest uzbrojony. I tak samo jak Andrea uznają, że ma przy sobie SIG Sauera P365, co daje mu dziesięć okazji do zamordowania trzech zakładniczek.

Andrea nie mogła nic zrobić z sobą czy Ricky, ale Star znalazła się tuż obok. Wyciągnęła rękę po talerzyk z ciastem dla Narda i rozchyliła spierzchnięte usta. Andrea wyczuła w jej oddechu mdły lekarski zapach.

– Rozmawiałam z twoją matką – zagadnęła, a gdy Star milczała, dodała: – Tęskni za tobą. Chce cię zobaczyć.

– Słońce – Ricky odezwała się do Andrei – wiem, że próbujesz pomóc, ale...

Talerz wypadł z rąk Star, cienka porcelana rozpadła się na dwie części, ciasto potoczyło się po kontuarze.

– Szlag by to. – Ricky sięgnęła po ścierkę, żeby posprzątać.

– Co się stało? – zawołał Nardo.

– Twój przeklęty Szkieletor zbił talerzyk. To się stało. – Ricky odwróciła się, żeby zmoczyć ścierkę nad barowym zlewem. – Jezu, Nardo, czemu sobie nie pójdziesz?

Star spuściła głowę. W jej oczach zalśniły łzy, które nie spadły.

Andrea odezwała się do niej:

– Idź do holu. Wyjdź tylnymi drzwiami.

– Że co ma zrobić? Wyjść? – Nardo wstał od stołu. – Star, do nogi! Znasz swoje miejsce. Bądź grzeczną suczką.

Andrea nie mogła powstrzymać Star przed powrotem na miejsce przy drugim końcu kontuaru. Patrzyła, jak skrajnie wychudzona kobieta powoli okręca się na stołku, żeby znów wbić wzrok w okafelkowaną ścianę.

– Daj spokój, dziewczę z Południa. – Nardo wolnym krokiem przeszedł przez salę. – Ja tylko pożyczyłem sobie kochaną Star. Ona ma wrócić w jednym kawałku.

Andrea wstała. Nie miała zamiaru siedzieć, kiedy Nardo do niej podejście.

– Spokojnie, Robocopko. – Nardo pokazał jej swoje dłonie, ale nadal szedł w jej kierunku. – Star to najlepsza dziewczyna na farmie. Nie słyszałaś? Zdobyła trofeum.

Andrea nie zdążyła odpowiedzieć.

Dwie rzeczy wydarzyły się w krótkim odstępie czasu.

Ricky zaczęła się śmiać.

Jack Stilton wszedł do środka.

Miał na sobie dżinsy i sprany T-shirt z zespołem Bon Jovi rozciągnięty na piwnym brzuchu i włożony w spodnie. Broń miał w kaburze przy pasku. Nie służbową, był to rewolwer Ruger Blackhawk ze spustem pojedynczego działania z nabojami.454 Casull. Jeden celny strzał mógł roztrzaskać kulę do kręgli.

Serce Andrei zamarło, gdy Stilton nerwowo rozejrzył się dokoła.

Nie zjawił się tutaj, żeby ratować sytuację. Był zirytowany, że nie jest jedynym klientem w bistrze. I był pijany, Andrea wyczuła od niego alkohol z pięciu metrów.

– Patrzcie na tego pojeba z maślanymi oczami. – Nardo jedną ręką zgarnął ciasto z kontuaru. – Obsługa, spodziewam się zniżki.

Ricky zignorowała jego uwagę i zwróciła się do Stiltona:

– Czego chcesz, Ser?

– Drinka. – Powiedział to z intonacją pytającą i lekko bełkotliwie. Andrea widziała jego radiowóz na ulicy. Schlany Stilton był po służbie. Compton powiedziała, że zadzwoni do niego, kiedy Wexler i Nardo zostaną zatrzymani, ale najwyraźniej nie miał pojęcia, co się święci.

– W mordę, czy wy, palanty, nie umiecie czytać? – zirytowała się Ricky. – W oknie świeci się wielki neon z informacją, że zamykamy o północy. Przepraszam, słonko. O tobie nie mówiłam.

Andrea nie zarejestrowała przeprosin, tylko patrzyła, jak Nardo idzie w stronę Star. Zarys SIG Sauera był widoczny z tyłu koszuli. Stękając, wdrapał się na stołek obok niej przy barze i wgryzł się w ciasto trzymane w obu rękach.

Ricky cmoknęła z obrzydzeniem, a potem powiedziała do Stiltona:

– Pośpiesz się, Ser. Blue earl czy beczkowe?

– Jak ci łatwiej. – Stilton usiadł przy stoliku plecami do drzwi i otaksował wzrokiem Andreę. – Co ty tu robisz?

– Ser zwąchał mysz – rzucił Nardo.

– Zamknij się, dupku. – Stilton ciągle był zwrócony w stronę Andrei. – Myślałem, że masz pilnować sędzi.

Andrea poluzowała pięści. Serce tak jej łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– W szpitalu pilnuje jej teraz inny zespół – powiedziała.

– Nie kręć, agentko. To tylko część tej historii. – Nardo dojadł ciasto i wytarł ręce w koszulę, zostawiając smugi po czekoladzie na piersi. – Ser, twoja



przyjacielska agentka próbowała ratować biedną Star. Prawda, Ricky? Mamusia Star chce odzyskać córcię.

Ricky przewróciła oczami, stawiając piwo na barze.

– Możesz pełnić honory, słonko? – rzuciła w stronę Andrei.

Andrea była wdzięczna za pretekst, żeby podejść do Stiltona. Podała mu piwo i nie wróciła już na miejsce, tylko usiadła obok niego.

– Patrz, Ricky, Ser ma dziewczynę – odezwał się Nardo. – Przykro mi, że cię rozczaruję, agentko, ale Ser warzy się na widok cipki.

Ricky parsknęła śmiechem, pakując owoce do pojemników.

Andrei nie obchodziło dziwaczne poczucie humoru tej kobiety. Zerknęła na gigantyczny kowbojski rewolwer Stiltona. Pasek wokół rękojeści był odpięty. Próbowwała ściągnąć na siebie uwagę Stiltona, on jednak łapczywie pochłaniał zawartość kufła i nie rozglądał się na boki.

Spojrzała na zegar. Pięć minut po północy. Jeszcze osiem minut, no, co najmniej.

Czy da radę sięgnąć po broń Stiltona? Czy on będzie się z nią szarpał? Czy ona zdąży chwycić rewolwer w obie ręce, wstać i wycelować, zanim Nardo sięgnie za plecy po swoją broń?

Problemem była Star, która siedziała tuż obok Narda. Andrea dobrze strzelała na strzelnicy, ale tu było prawdziwe życie. Czuła każdy nerw w swoim ciele, miała płytki oddech, pot spływał strużkami po plecach. Nie była pewna, czy trafi jedno bez narażania drugiego.

Spojrzała na zegar. Ciągle pięć po północy. Wskazówka sekundowa ledwie się przesunęła.

– Niech to szlag. – Ricky też spojrzała na zegar. – Ostatnie zamówienie, ludzie. Muszę wstać za sześć godzin i odwalać całą robotę od nowa.

– Nie psuj imprezy, staruszko. – Nardo okręcił się na stołku, żeby spojrzeć wprost na Andreę i Stiltona. Zwierzęcy instynkt mówił mu, że coś jest nie tak.

Normalny człowiek posłuchałby instynktu i wyszedł, jednak Nardo oparł się plecami o bar, kładąc łokcie na brzegu. – Obsługa, może jedno piwo, co?

Andrea puściła mimo uszu sarkastyczną odpowiedź Ricky, niecierpliwie czekając, aż Stilton na nią spojrzy. Potem zerknęła na jego broń. On mógł aresztować Narda. Skończyć z tym już teraz.

Stilton zmrużył oczy. Policyjna część jego natury tonęła w alkoholu, ale musiał wyczuwać wzrastające napięcie. Andrea nie mogła się powstrzymać i znowu spojrzała na zegar, poganiając go w myślach. Patrzyła, aż wskazówka przeskoczyła o jedną wartość.

Sześć minut po północy.

Wtedy zadzwonił telefon.

Napięcie w pomieszczeniu sięgnęło zenitu. Andrea z trudem oddychała.

Telefon zadzwonił znowu i Stilton sięgnął do kieszeni. Andrea zobaczyła identyfikator dzwoniącego.

USMS COMPTON.

Stilton spojrzał na nią pytająco. Andrea potrząsnęła głową prawie niedostrzegalnie. Błagała w duchu, żeby jego umysł rozjaśnił się na tyle, by nie popełnił błędu, który okaże się dla nich śmiertelny w skutkach.

Stilton chrząknął.

– Słucham?

Nie trzymał telefonu tuż przy uchu, podpierał go zakrzywionym małym palcem. Andrea słyszała szmer głosu Compton, ale nie była w stanie wyłowić słów.

– Co takiego? – spytał Stilton i nastąpiła długa pauza, w trakcie której słuchał Compton.

Andrea domyślała się, o czym mówi jej szefowa. Wexler aresztowany. Nardo w bistrze. Nakaz aresztowania wystawiony. Nardo może być uzbrojony i niebezpieczny.

Stilton zrobił to, czego nie należało robić. Odpowiadając Compton, spojrzał na Narda.

– Jestem teraz w bistrze. Jasne, jasne. Rozumiem. Nie ma problemu.

Andrea patrzyła, jak Stilton się rozłącza. Odłożył telefon na stół wyświetlaczem do dołu. Powolnym ruchem położył ramię na oparciu krzesła. Jego palce znalazły się centymetry od rękojeści rewolweru.

Zostawił jednak broń w kaburze.

– Nardo – odezwał się w końcu. – Może powiesz mi coś o Emily?

Andrea przygryzła wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi.

– Ja pierdolę – powiedziała Ricky. – Odpuść, Jack.

Nardo prychnął. Łokcie ciągle trzymał na krawędzi kontuaru. On albo Stilton mogli w każdej chwili sięgnąć po broń.

– Zdzirowata była, nie?

Andrea bolała szczęką od zaciskania zębów. Dlaczego Stilton pytał o Emily? Compton musiała dać mu zielone światło, więc czemu nie aresztował Narda?

– Wiem, że ją zgwałciłeś – stwierdził Stilton.

– Wiesz? – Nardo odwrócił głowę w bok, dając jasno do zrozumienia, że wie, że Stilton jest uzbrojony. – Nie znam się na prawie, stary, ale wydaje mi się, że przedawnienie nastąpiło... och, może trzydzieści pięć lat temu.

– Więc to przyznaj. Zgwałciłeś ją. – Stilton nie odpuszczał.

– Dobra, wystarczy. – Ricky zastukała w kontuar, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Ser, jesteś pijany. Nardo, mam dość twojego bajdurzenia. Wszyscy wynocha. Ty też, słonko.

Nikt się nie ruszył. W sali nastąpiła taka cisza, że Andrea słyszała szum krwi we własnym ciele.

– Jasne, zerznąłem ją – odezwał się Nardo.

Ricky wydała z siebie tłumiony okrzyk. Serce Andrei zamarło. Stilton ani drgnął.

– No co? – Nardo wyglądał na zadowolonego z ich reakcji. – Nie mówcie mi, że nikt o tym przedtem nie myślał. Oczywiście, że ją przeleciałem. Widzieliście jej cycki?

Andrea usiłowała stłumić nagły atak paniki. Polowała na to wyznanie, a teraz, kiedy wreszcie je usłyszała, myślała tylko o tym, że żadne z nich nie wyjdzie stąd żywe.

– Stilton, Nardo ma broń – powiedziała.

– Ja też. – Stilton zacisnął palce na rękojeści rewolweru, jednak nie wiedząc czemu zostawił go w kaburze. – Ty jej nie zerznąłeś. Ty ją zgwałciłeś.

– Wsadziłem kutasa w każdy otwór tej młodej damy. To zrobiłem. – Nardo napawał się zgrozą widoczną w oczach Stiltona. – Prosiła się o to, była napalona jak cholera.

– Nardo – upomniała go Ricky ostrzegawczym tonem.

– Masz. – Nardo odchrząknął i wypluł flegmę na podłogę. – Porównaj moje DNA z Judith. To tylko udowodni, że gościłem w jej matce. A skoro musisz wiedzieć, to więcej niż raz.

Nerw na skroni Stiltona zaczął drgać. Tak mocno zaciskał palce na rękojeści rewolweru, że kłykcie mu zbieleły. Chciał zastrzelić Narda, to było nie do uniknięcia, ale w tym stanie mógł zabić też Star.

– Jack – odezwała się Andrea. – Musisz...

– A co z Deanem? – Stiltonowi załamał się głos przy wymawianiu tego imienia. Miał znękaną minę, jakby nie wierzył w to, co słyszy. – Dean odwiózł ją do domu.

Na twarzy Narda pojawił się sadystycznie złośliwy szeroki uśmiech.

– Kto wie, co stary nawyczyniał w tym aucie? Nasz pan Wexler z pewnością lubi dziewczyny, które nie mogą powiedzieć nie.

– Ja pierdolę – rzuciła Ricky. – Nardo, stul pysk.

– Jako ciekawostkę dodam, że wszystkie panie na farmie są dowodem, że gościu nie może być ojcem. – Nardo nie potrafił się powstrzymać. Upajała go udręka Stiltona. – Powiedz, Ser, czy to z powodu Emily zacząłeś zaglądać do butelki? Ciągłe oplakujesz stratę inkubatora w stanie śmierci mózgowej?

– Nardo! – wrzasnęła Ricky. – Agentka USMS słyszy każde twoje słowo.

– Zdycham z nudów w tej przeklętej mieścinie. Minęło czterdzieści lat, a wszyscy ciągle tylko biadają: kto-jest-ojcem-kto-jest-ojcem? – sparodiował jęśliwe zawodzenie. – No i właśnie głęboki mroczny sekret wyszedł na jaw. Wielkie mi co. W najgorszym razie dostanę prawo do odwiedzin mojej zachwycającej wnuczki.

Stilton zerwał się tak szybko, że przewrócił krzesło, w końcu sięgnął po rewolwer, wycelował w pierś Narda i odwiódł kurek kciukiem.

– To koniec, sukinsynu. Oni wiedzą o szantażu.

– Star! – Andrea na próżno usiłowała przyciągnąć jej uwagę. Star znajdowała się przed linią ognia, jej plecy były jak tarcza strzelnicza. – Star, odsuń się!

– Szantaż? – Nardo pozostał niewzruszony. – Minęło dwadzieścia lat, odkąd po cichu załatwiłeś sprawę, gdy prowadziłem auto pod wpływem. To ty wpakujesz się w kłopoty.

– Nie ja, dumny pojebie – zaśmiał się Stilton. – Sędzia. Ona dała im wszystko.

No i wreszcie Nardo nie miał błyskawicznej riposty.

Zamiast niego odezwała się Ricky:

– O czym ty mówisz?

Znowu trzymała w ręce nóż, a Star nadal była na linii ognia. Andrea czuła, jak serce telepie się jej w piersi. Star się nie ruszy, Ricky jest nieprzewidywalna, Stilton ledwo trzyma rewolwer... A Nardo za chwilę wyciągnie broń i rozpęta się piekło.

– Ser – powiedział Nardo. – Zastanów się, co robisz. Pomyśl o tym, co wiem.

– Powiedz to agentom. Ja już mam to w dupie. – Stiltonowi znowu załamał się głos i zaczął płakać. – A ten telefon? Dzwoniła zastępczyni naczelnika policji. Już wywlekli Wexlera w kajdankach, teraz jadą po ciebie, żalony dupku. Światło dnia zobaczysz już z za krat.

Star w końcu się poruszyła, ale tylko okręciła się na stołku.

– Wszystko z Deanem dobrze? – spytała Stiltona.

– Z nikim nie jest dobrze. – Stilton ruszył w stronę Narda. Łzy płynęły mu po twarzy. Musiał trzymać rewolwer oburącz, żeby nie drżał. – Czterdzieści lat temu

obiecałem Emily, że znajdę dupka, który ją zgwałcił. Przez czterdzieści lat prześladowała mnie ta obietnica, ty zasrany śmieciu. Czterdzieści przeklętych lat, i dorwałem cię. W końcu cię dorwałem.

Na usta Narda wrócił zjadliwy uśmiezek.

– Wal się.

I znowu dwie rzeczy wydarzyły się bardzo szybko jedna po drugiej.

Nardo sięgnął ręką za plecy.

Stilton pociągnął za spust.

Wystrzał rozbrzmiał jak salwa armatnia. Andrea skuliła się i zakryła uszy. Zobaczyła, że prawa strona ciała Narda odskakuje. Kula rozerwała mu szyję, a krew trysnęła na twarz i klatkę piersiową Star.

Ricky zaczęła krzyczeć.

– O kur... – Nardo złapał się za szyję, a SIG Sauer P365 potoczył się na podłogę. Otworzył szeroko oczy, wargi mu drżały.

– Nie ruszaj się! – Stilton znowu odwiódł kurek, szykując się do drugiego strzału.

– Nie! – Andrea pchnęła w dół lufę jego rewolweru. Nardo był już nieuzbrojony, nie był w stanie podnieść SIG Sauera. Nie był w stanie zrobić nic więcej.

Są dwie tętnice szyjne wspólne, biegną po obu stronach szyi. Ich budowa się różni, ale obie dostarczają natlenioną krew z serca do mózgu. Tętniak, skrzep albo utrudnienie przepływu krwi może wywołać rozległy udar. Jeśli z powodu uszkodzenia tętnicy transportowana krew wypływa na zewnątrz ciała, śmierć z wykrwawienia może nastąpić w ciągu pięciu do piętnastu sekund.

Tylko dłoń Narda utrzymywała krew we wnętrzu tętnicy.

– W-w-wezwę karetkę. – Ricky sięgnęła po telefon i wybrała numer alarmowy.

– Zamordowałeś Emily – powiedział Stilton do Narda. – Powiedz to. Niech to usłyszę.

Nardo otworzył usta, ale z jego gardła wydobyło się tylko bulgotanie. Zaczął szczękać zębami, skóra stawała się woskowa, krew wypływała spomiędzy palców jak woda przez gąbkę.

– Proszę – ciągnął błagalnie Stilton. – Nie wyjdiesz z tego. Powiedz prawdę. Wiem, że ją zamordowałeś.

– Na pomoc! – Ricky wrzasnęła do słuchawki. – Mój mąż... on... o Boże! Na pomoc!

– Powiedz to – powtórzył Stilton. – Spójrz na mnie i powiedz to.

Nardo na moment zdołał skupić wzrok i spojrzał wprost na Jacka Stiltona. Kącik jego ust drgnął w uśmiešku.

– Proszę... – nalegał Stilton.

Nardo oderwał dłoń od szyi gestem showmana zapowiadającego ostatni akt widowiska i struga krwi trysnęła z jego rozerwanej tętnicy.

Już nie żył, kiedy osunął się na ziemię.

SUV-a prowadził Bible, Andrea siedziała na tylnym siedzeniu z rozsłochaną Ricky. Cała się trzęsa pod cienkim bawełnianym pledem, którym okryli ją ratownicy. Odmówiła jazdy do szpitala. Odmówiła składania zeznań. Chciała tylko jechać do domu.

Nie było prawnych przeszkód, żeby jej odmówić. Prawdę powiedziawszy, Andrea też chciała jak najszybciej uciec z bistra. Powinna się cieszyć, że Nardo nie żyje, nie mogła jednak wyzbyć się dojmującego poczucia niesprawiedliwości. Nardo nie zapłaci za gwałt na Emily i nie stanie przed sądem za jej zabójstwo. Chociaż zginął nagłą śmiercią, odszedł na własnych warunkach, a przecież nie był godzien spokojnego końca. Jak powiedziałyby Esther Vaughn, nie zasłużył na to.

– Co... – Ricky stłumiła szloch. – Co zrobią z... ciałem?

Andrea wymieniła spojrzenie z Bible'em. Był powód, dla którego zaoferowali, że odwiozą Ricky Fontaine do domu. Nardo przyznał się tylko do gwałtu, do zabójstwa już nie. Pozornie to bez znaczenia, ale żeby ponad wszelką wątpliwość udowodnić przestępczy czyn, potrzebowali niezależnej weryfikacji. Eric Blakely

utonął czterdzieści lat temu, Clay Morrow siedział w więzieniu, Bernard Fontaine już nic nie powie, a Jack Stilton dowiódł, że nie maczał palców w zabójstwie Emily. Natomiast Dean Wexler skorzystał z prawa do milczenia, kiedy czterech agenci wyprowadzali go po schodach z domu na farmie.

Ricky mogła być jedyną osobą na ziemi, która potwierdzi, że Bernard Fontaine zamordował Emily Vaughn.

– Ciało Narda zostanie przewiezione do stanowej kostnicy – powiedziała Andrea. – Przeprowadzą pełne badanie.

Ricky znowu zanosła się płaczem i drżała jeszcze bardziej, szczelniej otulając ramiona pledem. W końcu bransoletki na jej przegubach nie podzwaniały. Ricky na próżno usiłowała reanimować Narda, a jego krew pokryła bransoletki niczym klej.

– Jesteśmy na miejscu. – Bible wjechał na stromy podjazd domu Ricky, odwrócił się i powiedział do nich obu: – Przepraszam, ale muszę zadzwonić. Dajcie mi znać, moje panie, jeśli będziecie czegoś potrzebować. Proszę pani... – Ricky spojrzała w dół, gdy Bible dotknął jej ramienia. – Bardzo mi przykro z powodu pani straty.

Andrea wysiadła z SUV-a i obeszła go, żeby pomóc Ricky wsiąść. W ostrym świetle reflektorów wyglądała bardzo źle. W ostatniej godzinie przybyło jej lat. Zmarszczki na twarzy się pogłębiły i miała podkrążone oczy. Opierała się ciężko na Andrei, gdy wspinały się po stromych schodach. Dom nie był zamknięty. Ricky otworzyła drzwi.

Andrea nie czekała na zaproszenie. Obeszła cały salon i pozapalała lampy, potem weszła po kilku schodkach do kuchni. Żyrandol nad stołem już świecił. Podeszła do kuchenki. Czajnik był pełen, więc odkręciła palnik, który buchnął niebieskawym płomieniem.

– Herbata będzie za chwilę! – zawołała do Ricky w salonie na dole.

Nasłuchiwała, ale nie było odpowiedzi, a gdy podeszła do krawędzi schodów, zobaczyła w salonie czubek głowy Ricky. Siedziała na kanapie i wciąż okryta pledem kołysała się w przód i w tył. Ratownicy powiedzieli, że jest w szoku.



Andrea też była w szoku, jednak w tej sprawie zbyt wiele z siebie dała, by w końcowej fazie odpuścić.

W zlewie znalazła brudny kubek, gąbka do naczyń leżała na parapecie. Nadstawiła uszu, gdy z salonu dobiegał cichy płacz Ricky. Umyła i wytarła kubek, potem podeszła do lodówki, by spojrzeć na fotografie, pocztówki, samoprzylepne karteczki-przypominajki i przepisy. Niektóre były tak stare, że tusz wyblakł, ale nic nie sprawiało wrażenia jakichś szczególnie osobistych pamiątek. Większość pocztówek pochodziła od turystów, którzy dziękowali za miły czas spędzony w bistrze, i skojarzyły się Andrei z miłkami wpisami w kronice szkolnej Ricky:

Chór był ekstra! Nie zapomnij o zajęciach z chemii ogólnej! Nigdy się nie zmieniaj!

Wzięła do ręki jedną z fiolek z lekami stojących na blacie i odruchowo sięgnęła po iPhone'a. Nie mogła sprawdzić nazw ogólnych na etykietkach, rozpoznała tylko diazepam, czyli valium, paracetamol/kodeinę, czyli tylenol 3, oraz oksykodon, czyli percocet. Laura próbowała tego wszystkiego na różnych etapach leczenia raka, ale tylko doustna morfina uśmierzała ból.

Gdy czajnik zagwizdał, Andrea wyłączyła gaz i chciała otworzyć szafkę, jednak zmieniła zdanie.

Znowu podeszła do krawędzi schodów i zawołała do Ricky:

– Gdzie pani trzyma herbatę? – Ponieważ Ricky narzuciła pled na głowę, jakby chciała zniknąć, powtórzyła: – Gdzie herbata?

– W szafce... – chropowatym głosem odparła Ricky. – W szafce przy zlewie.

W tej szafce Andrea zobaczyła tylko przyprawy i wielkie opakowanie herbaty rumiankowej. Nalała wrzątek do kubka i włożyła torebkę, a na blacie znalazła podstawkę. Kiedy zeszła po schodach do salonu, Ricky nie siedziała już na kanapie, tylko stała przy konsoli z pledem na ramionach. Twarz miała spuchniętą od płaczu. Ratownicy próbowali ją obmyć, ale krew Narda poplamiała T-shirt i zaschła na farbowanych włosach.

Andrea postawiła podstawkę i kubek na konsoli. Zobaczyła, że obie szuflady są otwarte. Ricky wyjęła niektóre zdjęcia – z urodzin, ze ślubu, Narda i Claya, gdy siedzieli przy barze w tym samym bistrze, gdzie Nardo właśnie zginął.

Ricky wzięła do ręki oprawione zdjęcie grupy.

– Zostało nas tylko dwoje – powiedziała.

Andrea wyczuła w jej głosie rozpacz. Byli jej światem, zwłaszcza Nardo.

– Już po wszystkim, tak? – Ricky zwróciła się do Andrei. – Powiesz sędzi, że to sprawka Narda.

Andrea skinęła potakująco, zaraz jednak dodała:

– Chciałabym, żeby to było takie proste, ale Nardo nie przyznał się do wszystkiego. – Ricky odetchnęła krótko, niemal spazmatycznie, nie patrząc na Andreę, która mówiła dalej: – Nardo przyznał, że odbył z nią stosunek seksualny, a próbka DNA ostatecznie to wykaże na tak lub nie, choć prawie na pewno na tak, jak sądzę, jednak ani słowa nie powiedział o zabójstwie Emily. – Andrea umilkła, czekając na reakcję Ricky, która w milczeniu i bezruchu wpatrywała się w zdjęcie trzymane w dłoniach. – Będę mówić do pani po imieniu, dobrze? – Zobaczyła, jak Ricky potakuje. – Powiedz mi, czy Nardo kiedykolwiek rozmawiał o niej z tobą? Albo o tym, co wydarzyło się w wieczór balu? Czy Emily coś mówiła, może...

– To Clay wprowadził ją do kliku. – Głos Ricky brzmiał beznamienne. Miała szkliste oczy. – Nardo bardzo jej nie lubił. Była strasznie nudna, nie pasowała do nas. Emily nigdy do nas nie pasowała. – Ostrożnie odstawiła zdjęcie na konsolę. – Nardo miał osiemnaście lat, kiedy to się stało. W tym wieku człowiek przeleci wszystko, co się rusza, nie? Nawet taką myszowatą małą dziwkę. – W jej głosie pojawił się gniew. Wciąż nie chciała uwierzyć, że Nardo zgwałcił Emily. – To, co zrobił Ser... On nic nie wie. Emily powiedziała rodzicom, że ktoś ją zgwałcił, bo się wściekli, kiedy zaszła w ciążę. Straszna z niej była kłamczucha. – Przeniosła wzrok na fotografię Narda i Claya w bistrze, a potem przesunęła palcem po chłopięcej twarzy Narda. – Na imprezie flirtowała ze wszystkimi. Zaczęła od Claya, potem przyssała się do mojego brata, a on zamknął się w łazience na klucz,

żeby przed nią uciec. – Andrea nie spuszczała z oka Ricky, która zasłoniła dłonią całą sylwetkę Narda, jakby chciała go chronić. – Emily niby miała być moją najlepszą przyjaciółką, a ja nienawidziłam jej, że się z nim pieprzyła. Nardo był mój. Należał do mnie. A teraz... – Głos uwiązał jej w gardle. – Odszedł. Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma. – Znowu się załamała. Zakryła twarz pledem, a jej płacz zabrzmiał jak żałobny lament. Zgarbiła się, chowając głowę w ramionach, jakby w końcu ugięła się pod brzemieniem noszonym przez tyle lat.

– Ricky – zaczęła Andrea. – Czy Nardo kiedykolwiek o tym mówił? O tym, co zaszło?

– Szlag. – Ricky rozejrzała się po salonie. – Potrzebuję chusteczki.

– Gdybyś mogła... – Andrea łagodnie dotknęła jej ramienia.

– Daj mi chwilę. – Ricky zrzuciła pled z ramion i wyszła z salonu. Z trudem weszła po schodach, trzymając się poręczy i nieustannie potrząsając głową. Wreszcie zniknęła w kuchni.

Andrea schyliła się, żeby podnieść pled, i omal nie uderzyła głową w róg jednej z szuflad konsoli.

Zajrzała do środka.

Ricky zostawiła otwarte szuflady i pokazała jej część ich zawartości. Nie miała powodu sądzić, że agentka Oliver nie zobaczy reszty.

Andrea wyprostowała się, cofnęła o parę kroków i wspięła na palce, żeby zobaczyć wnętrze kuchni. Ricky stała plecami do schodów, oparta rękami po obu stronach kuchennego zlewu, a jej wstrząsane płaczem ramiona drżały.

Pled wypadł z rąk Andrei, gdy podeszła z powrotem do konsoli i sięgnęła po akt zgonu Erica Blakely’ego wydany w Nowym Meksyku. Dokument był stary, ale nadal czuła pod palcami zagłębienia, gdzie czcionki maszyny uderzyły w papier. Odłożyła dokument i zaczęła szperać w lewej szufladzie. Znalazła rachunki za trumnę, kremację, czarny smoking z Maggie’s Formal Wear. Przypomniała sobie metalową kasetkę. Z jakiegoś powodu Ricky trzymała ją w swojej kapliczce pamięci. Włożyła rękę głębiej.

Kasetka wyglądała jak poprzednio, a srebrny wskaźnik nadal pokrywał się z literami A-B.

Gdy paznokciem kciuka wcisnęła guzik na spodzie kasetki, pokrywka odskoczyła gwałtownie i Andrea zobaczyła jedno nazwisko: Brickel, Melody. Ten sam adres, pod którym była z Bible'em przedwczoraj. Siedmiocyfrowy numer telefonu pewnie też nie uległ zmianie.

Charakter pisma był piękny, niemal jak u przedszkolanki, i nie należał do żadnej z osób, których własnoręcznie spisane zeznania czytała. Jack Stilton pisał prawie nieczytelną kursywą, Ricky stawiała nad „i” kółeczko zamiast kropki, Clay sadził w tekście wielkie litery wedle uznania, Nardo pisał ściśle, a Eric Blakely tak mocno naciskał długopis, że prawie przebijał kartkę. Nie było to też pismo Melody z kasety-składanki ani z tego, co wzięła za afirmacje Emily Vaughn.

Andrea próbowała rozgryźć zasadę działania urządzenia. Kartki trzymały się na zawiasach, alfabetyczne tabulatory biegły od góry do dołu, a w każdej sekcji znajdowały się dodatkowe kartki, wskaźnik miał zacisk, który przytrzymywał pozostałe kartki, żeby nie przeszkadzały. Andrea opuściła pokrywkę. Przesunęła wskaźnik do liter C-D. Wieczko znowu odskoczyło i uwagę Andrei przyciągnęły dwa podkreślone słowa na górze strony:

Śledztwo Columbo

Serce podeszło Andrei do gardła. Piękny charakter pisma należał do Emily Vaughn.

Zostawiła na chwilę kasetkę, żeby sprawdzić, co robi Ricky. Nadal stała przy zlewie. I nadal płakała.

Andrea przeczytała pierwsze słowo pod nagłówkiem Columbo:

Clay?

Musiała przełknąć ślinę, zanim przeszła do następnej linii:

Dean Wexler – 20 października 1981: Dean mówi, że „nie jest pieprzonym ojcem”. Przyznał, że przyjechał po mnie na Imprezę. Mówił, że Nardo zadzwonił do niego, żeby zabrał mnie do domu. Powiedział, że kłóciłam się z Clayem przy

basenie, kiedy przyjechał. Zagroził, że zrobi mi krzywdę, jeśli publicznie go oskarżę. Chwycił mnie za nadgarstek. Bardzo bolało.

Aktualizacja: sprawdziłam w bibliotece znaczenie słowa „orchitis”. Może mówi prawdę w kwestii ojcostwa, ale to nie znaczy, że czegoś mi nie zrobił, prawda?

Andrea przeczytała następny wpis.

Ricky Blakely – 20 października 1981: nazwała mnie kłamczuchą i powiedziała, że uprawiałam seks z różnymi osobami, których oni nie znają, na obozie letnim szkolnego zespołu muzycznego, klubu dyskusyjnego itd., nie tylko na Imprezie. Oskarżyła mnie, że jestem jak Pollyanna i że moi rodzice kombinują, żeby wydać mnie za Narda, bo tak robią bogacze. I jeszcze że zniszczyłam klikę. Aha, i że chcę zmusić Claya, żeby się ze mną ożenił, co nie ma sensu, bo moi rodzice już ponoć (????) dobili targu z rodzicami Narda. Nie chce więcej ze mną gadać. Nazwała mnie głupią zdzirą i kazała wynosić się z jej domu. Zawsze wiedziałam, że jest złośliwa, ale dziś zachowała się okropnie. Czemu kiedykolwiek uważałam ją za swoją przyjaciółkę?

Andrea przewróciła kartkę. Na odwrocie też były notatki. Pismo było drobniejsze i bardziej ściśle, odległości między linijkami mniejsze.

Blake (tego samego dnia): mówi, że się kompletnie „napruł” na Imprezie i się zsiakał. Przez cały czas był zamknięty w łazience. Mówi, że to nie on. Poprosił, żebym za niego wyszła, ale tylko żeby ułatwić sobie późniejszy start w polityce. Odmówiłam, a on na to, żebym „spuściła to w toalecie”. Przystawiał się do mnie, położył moją rękę na tym, co ma między nogami, to było obrzydliwe. Blake jest tak samo zły jak Nardo. Czemu nigdy wcześniej nie zauważyłam, jaki z niego wstrętny człowiek?

Andrei trzęsły się ręce, gdy przewracała następną kartkę.

Nardo Fontaine – 21 października 1981: nienawidzę go. To palant. Najpierw jego rodzice piszą głupi list, żebym trzymała się od niego z daleka, a on tego samego dnia znajduje mnie w bibliotece i nie potrafi się zamknąć. Nardo przyznał, że zadzwonił do pana Wexlera w noc Imprezy. Musiał przekupić go kwasem, żeby

przyjechał i uwolnił go ode mnie. Kłóciłam się z Clayem, według Narda, ale wygląda na to, że wszyscy uzgodnili swoje wersje, a zgodnie z ich wersją jestem złą osobą. Nardo mówi, że Jack był na Imprezie i sprzedał nam kwas, wniosek: to on mnie skrzywdził. Nie wierzę mu. Jack mógł sprzedać kwas, ale nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił. Nardo jest kłamcą. Czasem mówi okrutne rzeczy, tylko żeby zranić ludzi. Udało mu się!

Andrea znalazła wpis dotyczący Claya, jak dotąd najkrótszy ze wszystkich:

Clay – 21 października 1981: DOKŁADNY cytat: „Weszłaś do gry. Musisz pogodzić się z przegraną. Miej trochę godności”.

Zapiski przybrały formę pamiętnika po wpisie na temat Claya. Kolor tuszu się zmienił, daty przeskoczyły do przodu, zapiski stały się zwarte, wypełniły marginesy po obu stronach. Andrea pośpiesznie wertowała następne kartki, wybierając przypadkowe zdania z przelanych na papier myśli Emily Vaughn sprzed czterdziestu lat.

Jack tego nie zrobił. Obiecał, że mi pomoże, i wiem, że to zrobi... Mojego ostatniego dnia w szkole Clay powiedział, że przykro mu z tego powodu, ale według mnie był miły, bo chce, żebym milczała. Nie rozumie, co to oznacza dla mojej przyszłości... Nardo złapał mnie za pierś przed całą szkołą, i to bardzo bolało, a on się roześmiał, kiedy krzyknęłam z bólu... Myślę, że to Ricky przykleiła taśmą podpaski do mojej szafki i pomazała je na czerwono... Myślę, że to Ricky wycięła dziurę w moim T-shircie... Wiem, że Ricky podarła wszystkie moje notatki z angielskiego... Tylko Ricky mogła wysmarować gównem futerał mojego fletu... Ricky powiedziała, że zasługuję na śmierć... Ricky była w centrum, kiedy poszłam do Maggie's po rzeczy na wieczór. Goniła mnie po ulicy. Nigdy nie widziałam jej tak rozjuszonej. Powiedziała, że jeśli dziś wieczorem zobaczy mnie w pobliżu Narda, zatłucze mnie na śmierć gołymi rękami. Wszystko mi jedno. I tak pójdę na bal. Ich tam nie będzie. Nie kalają się kontaktami z plebsem.

Andrea przewróciła kartkę i dotarła do sekcji W-X. Dalej były już puste linijki. Ostatni wpis pochodził z siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset

osiemdziesiątego drugiego roku, z dnia balu maturalnego.

Wzięła do ręki rachunek za smoking. Dwadzieścia dolarów nie wystarczyłoby na kupno smokingu, ale na wypożyczenie już tak. W logo na górze rachunku widniał napis Maggie's Formal Wear. Data na rachunku: siedemnasty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Opis: b-tux. Andrea założyła, że ten skrót oznacza black tuxedo czyli czarny smoking.

Pomyliła się.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku Eric Blakely był już rozwiniętym młodym mężczyzną, nosił więc męski smoking. Prawdopodobnie nie można było znaleźć w wypożyczalni damskich smokingów, tak samo jak dzisiaj rzadko trafiały się robocze spodnie dla kobiet służących w organach ścigania. Trzeba było szukać odpowiedniego rozmiaru w dziale dziecięcym wśród ubrań dla chłopców. Akurat Andrea powinna się domyślić, że b to boys. Z wpisu samej Emily Vaughn wynikało, że tego dnia Ricky była w Maggie's Formal Wear. Poszła po chłopięcy smoking, żeby na balu pasowali do siebie strojem.

Andrea znowu przyjrzała się fotografii grupowej. Dopiero teraz zauważyła, że wszyscy mieli na sobie różne odcienie tego samego koloru.

Klika.

Emily została usunięta z tego zdjęcia. Upłynęło czterdzieści lat, odkąd Ricky zmasakrowała Emily Vaughn, ale nadal nie mogła patrzeć na twarz tej dziewczyny.

Odłożyła zdjęcie i podeszła do schodów.

Ricky ciągle stała przy zlewie. Była zwrócona plecami do Andrei, mimo to zapytała:

– Wszystko w porządku, słonko?

– Tak. – Andrea wychwyciła w jej tonie fałszywą swobodę. – Właśnie się nad czymś zastanawiałam.

– Nad czym? – Głos Ricky nadal brzmiał osobliwie.

– W akademii powtarzają, żeby nigdy przedwcześnie nie przyjmować żadnych założeń. Moim zdaniem ktoś przyjął zupełnie błędne założenia w sprawie Emily.

Ricky nadal stała zwrócona plecami do Andrei.

– Tak?

– Uważam, że ten, kto ją zgwałcił na imprezie, nie jest tą samą osobą, która ją zabiła.

Ricky spojrzała w okno nad zlewem jak w lustro i zobaczyła w szybie odbicie Andrei.

– Emily miała coś, co nazwała Śledztwem Columbo. Robiła zapiski o każdym, kto mógł wiedzieć, co ją spotkało na imprezie. Zakładałam, że to notatnik, ale to nie był notatnik, prawda? To był jej adresownik. – Bez skutku czekała na jakąś reakcję Ricky. – Miała go przy sobie, kiedy została zaatakowana, tyle że policja nigdy go nie odnalazła. Była naga, brakowało jej torebki. Wiesz, co się z nią stało?

Ricky milczała, lecz musiała wiedzieć, co leży w szufladzie konsoli.

– Na palecie w zaułku znaleziono czarne nitki... – Andrea zawiesiła głos. – Czy tamtego wieczoru miałś na sobie czarny smoking, Ricky? Wiem od ciebie, że byłeś na tym balu.

Ricky opuściła głowę i patrzyła na zlew. Ciągłe trzymała się blatu, a silikonowe opaski i srebrne bransoletki okalały jej nadgarstki. Światło lampy uwydatniło blade blizny tam, gdzie próbowała podciąć sobie żyły.

Do Andrei wróciło echo słów Bible'a. Skłonności samobójcze i mordercze idą w parze.

– Powinnaś już... – Ricky zakasłała. – Idź już, dobrze? Muszę odpocząć.

– Minęło czterdzieści lat. Nie masz dość życia w poczuciu winy?

– Ja nie... – Ricky znowu zakasłała. – Chcę, żebyś wyszła. Proszę, wyjdź.

– Nie wyjdę, Ricky. Musisz mi powiedzieć, co się stało. Nie dla sędzi, nie dla Judith. Zrób to dla siebie.

– Nie wiem, o czym... Nie mogę, rozumiesz? Nie mogę.

– Owszem, możesz, naprawdę możesz. Już dość wycierpiałaś. Ile razy próbowałaś się zabić, bo nie możesz żyć z tym, co zrobiłaś?

Ricky zgięła się pod ciężarem swojej winy, dotknęła czołem krawędzi zlewu.



– Proszę, nie zmuszaj mnie.

– To cię niszczy od środka. Powiedz to, Ricky. Wyduś z siebie te słowa.

W kuchni zapadła cisza. Gdzieś tykał zegar. Ricky w końcu odetchnęła głęboko i wychrypiała szeptem:

– Tak... zabiłam ją. Zabiłam Emily.

Andrea otworzyła usta, ale tylko po to, żeby nabrać powietrza.

– Powiedziałam, żeby trzymała się z daleka od Narda. – Ricky oparła łokcie o zlew i ukryła twarz w dłoniach. – Widziałam, jak rozmawia z nim przed salą gimnastyczną. Flirtowała z nim, prowokowała, nie mogła się opanować. Czemu nie trzymała się od niego z daleka?

Andrea nadal milczała.

– Nie miałam zamiaru... – Ricky zaklaskała w dłonie. – Chciałam tylko ją ostrzec, i tak się jakoś stało, że... straciłam kontrolę. Nie powinna tam przychodzić. Powiedziałam, żeby nie przychodziła, a potem... nie mogłam się powstrzymać. Wszystko stało się bardzo szybko. Nawet nie pamiętam, jak weszłam w tę uliczkę, jak podniosłam deskę. Byłam zła. Piekielnie zła.

Andrea wiedziała, że Ricky jest zdolna do tego rodzaju wściekłości, nie wiedziała natomiast, co stało się potem. W chwili ataku Emily Vaughn ważyła sześćdziesiąt dziewięć kilogramów, więc Ricky nie byłaby w stanie sama jej przenieść.

– Czy twój brat pomógł ci przenieść ciało z zaułka?

Ricky najpierw tylko potrząsnęła głową, jednak po chwili odparła:

– Dlatego wyjechał. Strasznie się bał, że ktoś go widział albo że zostanie aresztowany, a on wiedział, że nie może... że będzie musiał powiedzieć prawdę o... – Głos uwiązł jej w gardle, gdy wstrząsnął nią szloch.

– Dlaczego zdjęłaś jej sukienkę?

– Blake powiedział, że na niej mógł zostać jakiś dowód albo... sama nie wiem. Zrobiłam, co kazał. Spaliliśmy ją za domem. – Ricky pociągnęła nosem. – Blake

był dobry w tych sprawach, umiał kalkulować, zauważał szczegóły, na które inni nie zwracali uwagi.

Andrea nie mogła zaprzeczyć. Zdołał zatrzeć ślady siostry zabójczynie na czterdzieści lat.

– Tak mi przykro – szepnęła Ricky. – Cholernie mi przykro.

Ramiona Ricky znowu zaczęły drżeć od płaczu. Ta kobieta nad nikim nie płakała tak rozpaczliwie jak nad sobą. Na chwilę spotulniała, ale Andrea nie miała pojęcia, jak długo to potrwa. Kiedy zdecydowanym ruchem położyła rękę na ramieniu Ricky, by wyprowadzić ją na zewnątrz, dostrzegła rozbryzg ciemnej cieczy na brudnych naczyniach w zlewie.

W pierwszej chwili pomyślała, że to płyn do mycia naczyń, zaraz jednak dostrzegła częściowo rozpuszczone tabletki, które przypominały konstelacje na ciemnym niebie.

Ricky zakasłała, z jej ust wydobyła się żółć i pociekła na koszulę. Powieki zatrzepotały, Ricky zachwiała się na nogach.

Andrea odwróciła głowę w stronę buteleczek z tabletkami na blacie.

Valium. Leki przeciwbólowe.

Wszystkie buteleczki były puste.

Bulgot w gardle Ricky był upiornie podobny do odgłosu, jaki wydobył z siebie Nardo w bistrze. Ricky zaczęła osuwać się na podłogę. Andrea złapała ją w pasie od tyłu, ale zamiast sprowadzić ją na podłogę, chwyciła lewą pięść prawą ręką i obie z całej siły ucisnęła w brzuch Ricky.

– Nie. – Ricky zwymiotowała do zlewu. Rozpuszczone pigułki i kęsy niestrawionego jedzenia bryzgnęły na naczynia. – Proszę...

Andrea powtórzyła ucisk raz, drugi i trzeci, aż z gardła Ricky chlusnął na podłogę strumień wymiocin. Pomarańczowe i żółte pigułki utworzyły przyprawiającą o mdłości tęczę na linoleum. Andrea włożyła całą siłę w ostatni bezwzględny ucisk przepony.

Ricky zwymiotowała tak mocno, że dostała konwulsji. Potem nastąpiła seria wymiotów, aż Ricky nie miała już czego zwracać. Mogła tylko znowu zanieść się szlochem, zawodząc jak zagubione dziecko.

– Czemu? – spytała błagalnie. – Czemu nie pozwoliłaś mi odejść?

– Ponieważ na to nie zasłużyłaś – odparła Andrea.

Miesiąc później

Andrea siedziała u podstawy schodów w budynku, w którym mieściło się jej baltimorskie mieszkanie. Trzymała telefon przy uchu, słuchając relacji Bible'a z pogrzebu sędzi Esther Vaughn. Rak zabrał ją prędzej, niż się spodziewano, a może sędzia po prostu wiedziała, kiedy odejść. Złożyła pełne zeznania przed prokuratorami i nagrała swoje wyznanie przedśmiertne. Potem pojechała do domu w Baltimore, gdzie zjadła lekki lunch z Judith i Guinevere, następnie ucięła sobie drzemkę i już się nie obudziła.

– Nie było tłumów z wymiaru sprawiedliwości, zważywszy na jej przewiny – powiedział Bible. – Ale pojawiło się mnóstwo przyjaciół Judith z akademii sztuki. Cholera, ci ludzie potrafią tankować.

Andrea uśmiechnęła się do siebie. Picie było jedynym powodem, dla którego ludzie szli do akademii sztuki.

– Mówiła o Nardzie i Ricky?

– Judith to rozsądna kobieta i nie zdziwiła się, że jej ojciec był złym człowiekiem. Co do Ricky to wiesz, że nie miałem pojęcia. Judith jest zadowolona, że wredny babsztyl przyznał się do winy i spędzi resztę życia w więzieniu. Myślę, że Esther zaznała trochę spokoju, kiedy w końcu się dowiedziała, jak było. A skoro Esther to uszczęśliwiło, Judith też była szczęśliwa.

Andrea pomyślała, że to bardzo podobne do Judith. Mimo swojej apodyktyczności, surowości i nielegalnych działań, sędzia Esther Vaughn bardzo kochała Judith. W głębi duszy była zagubioną starą kobietą, której córka została zamordowana i którą bił mąż.

– Partnerko, wyżerka była przednia. Jadłaś kiedyś szybki pudding? To ulubiony deser sędzi.

Znała ten pudding tylko z najbardziej irytującej piosenki, która nie chciała się odczepić.

– Czemu szybki?

– A licho wie. Pewnie nazwany tak od jakiegoś jankeskiego farmera, który go wymyślił. Tyle tego wtrząchnąłem, że do końca miesiąca nie będę jadł chleba. Wiesz, co mówią...

– Chudzi agenci kochają swoje żony – dopowiedziała Andrea. – Co to właściwie znaczy?

Bible parsknął śmiechem.

– Wiesz, że raz w roku trzeba przejść testy sprawnościowe. Kiedyś mogli człowieka wywalić, jeśli nabrał za dużo ciała. Już nie mogą, bo to dyskryminacja, więc teraz, jeśli pomyślnie przejdziesz testy, dostajesz dwa tygodnie urlopu, żeby je spędzić z piękną żoną. Albo z mężem, jeśli się go ma.

Ta zachęta brzmiała znajomo. Gordon stworzył prezentację w PowerPoincie, żeby uwydatnić ważne kwestie z regulaminu pracy w USMS. Andrea odpowiedziała tylko, że Citibank prawdopodobnie odciągnie jej ostatnią ratę kredytu studenckiego z jej polisy pogrzebowej.

– Ej, partnerko, wszystko dobrze? – spytał Bible.

– Dobrze, dobrze – odparła Andrea, chociaż nie mogła poczuć się naprawdę dobrze, póki nie skończy się sprawa Deana Wexlera i psychopata nie wyłąduje w więzieniu.

Nie mogli udowodnić, że zrobił coś Emily Vaughn, na szczęście oszustwa podatkowe, unikanie podatków, oszustwo telekomunikacyjne oraz inne przestępstwa podatkowe administracja Stanów Zjednoczonych traktuje z najwyższą powagą. W najlepszym razie Wexler dostanie wyrok dwudziestu pięciu lat w więzieniu federalnym. Miał sześćdziesiąt pięć lat. Nawet jeśli wyjdzie wcześniej za dobre sprawowanie, będzie już po osiemdziesiątce.

Ucieszyła ją informacja, że w ramach umowy Wexler nie wylądował w wygodnym Club Fedzie, w jakim siedział Clay Morrow. Wexler miał odsiadywać karę w zakładzie karnym Berlin w New Hampshire, więzieniu o średnim rygorze, z salami wieloosobowymi, co przy ogólnokrajowym kryzysie kadrowym w więzieniach federalnych zwiększało poziom zagrożenia. Wexler będzie musiał nosić więzienny drelich, zmywać podłogę, czyścić toaletę, jeść przetworzoną żywność, wstawać o szóstej rano i mieć posłane łóżko do siódmej trzydzieści. Do tego trzeba dodać kontrolę korespondencji, nagrywanie rozmów telefonicznych, limity odwiedzin. Żadnej prywatności, nawet wolny czas pod kontrolą.

Mimo wszystko to ciągle było za mało.

Jedynym pocieszeniem dla Andrei było wspomnienie bezkrytycznie zadowolonego z siebie Wexlera, kiedy jechała z nim starą furgonetką w dniu znalezienia ciała Alice Poulsen. Wexler chełpił się, jak bez troski wiódł życie, odkąd przestał uczyć w szkole. Jeśli życie naprawdę każe płacić człowiekowi za jego charakter, Dean Wexler nigdy więcej nie zobaczy nad głową bezkresu nieba.

Andrea chrząknęła. Nadszedł czas na trudniejsze kwestie.

– Jak dziewczyny?

– Dziewczyny... – powtórzył Bible. Dla niego ta część też była trudna. Każdego dnia rozmawiali o przydzielonych zadaniach, pogodzie, Cussy i szefowej, ale w końcu zawsze wracali do tematu dziewczyn z farmy.

Po aresztowaniu Wexlera karetki stały w gotowości, żeby zawieźć dziewczyny do szpitala Johns Hopkinsa w Baltimore. Tylko trzy na dwanaście skorzystały z oferty. Jedna z nich zmarła z powodu braku przyrostu masy ciała, druga wyszła ze szpitala, trzecia była tak niedożywiona, że trzeba było do niej wzywać specjalistę z Centrum Kontroli i Prewencji Chorób, żeby nadzorował opiekę nad nią.

Star Bonaire zjednoczyła pozostałe wolontariuszki i jakimś sposobem stała się ich nieformalną liderką. Przychodziły do sądu za każdym razem, kiedy Wexler stawiał się na rozprawie, a kiedy wracał do celi, one wracały do własnego więzienia na farmie.

– Wiesz – zaczął Bible – moja żona Cussy była tam dziś rano z Melody Brickel i rozmawiały ze Star. Poinformowały dziewczyny, że kiedy rząd ostatecznie zamknie to miejsce, mają inne możliwości. Może dom grupowy ze wsparciem opiekuna, może powrót do rodziny. Szefowa twierdzi, że ona i Melody walą głową w mur, próbując do nich trafić, ale to chyba poprawia im samopoczucie.

– Na pewno. – Andrea usłyszała kroki na schodach.

Mike niósł butelkę wina.

– Przepraszam, Bible. Muszę iść. Dbaj o rękę, ptasi mózdzku.

– Au, skończ z tymi żartami o papudze, partnerko. To tani chwyt.

Andrea zaśmiała się i zakończyła rozmowę, a Mike usiadł za nią na schodach. Oparła się o jego nogę i zadarła głowę, żeby spojrzeć na niego.

– Mama i Gordon rozpakowują moje książki.

Mike zrobił niepewną minę.

– Jak idzie?

– Gordon zaproponował, że przygotuje arkusz kalkulacyjny w komputerze. Odbyli już gorącą dyskusję, czy uporządkować tytuły alfabetycznie, czy tematycznie.

– Pytali cię o zdanie?

– Nie.

– Ustawisz książki według kolorów, kiedy mama i Gordon już pójdą?

– Tak. – Pocałowała go w usta, zanurzyła palce w jego brodzie i żartobliwie pociągnęła go za zarost na policzku. – Nie zadzieraj z moją mamą.

– Skarbie, wiesz, że nigdy bym się nie ośmielił.

Andrea wiedziała, że robi dokładnie odwrotnie, ale nie było już powodu, żeby odwlekać to, co nieuniknione.

Detektory ruchu włączyły światła na długim korytarzu. Jej nowe mieszkanie było mniejsze od poprzedniego, za to miało tę zaletę, że nie znajdowało się nad matczynym garażem. Nie leżało nad niczym. Andreę było stać wyłącznie na mieszkanie w suterenie w SOBO, jak miejscowi nazywają południową część

Baltimore. Właścicielka lokalu obniżyła czynsz, kiedy dowiedziała się, że Andrea jest agentką USMS, ale nawet przy obniżonym czynszu Andree i tak czekało jedzenie błyskawicznego makaronu aż do nabycia praw emerytalnych. O ile system nadal będzie istniał.

Andrea posłała Mike'owi ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i otworzyła drzwi.

– O, patrz, mama i tata tu są – rzucił Mike na widok jej rodziców.

Laura mocniej zacisnęła palce na książce.

Gordon chrząknął.

Mike obszedł pokój z tym swoim durnym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Przyjemne miejsce, Andy. Pierwszy raz widzę je na oczy, bo nie mam pojęcia, gdzie sypialnia.

Nozdrza Laury rozszerzyły się z irytacji.

Gordon znowu chrząknął.

Andrea chwyciła wino. Tego nie dało się zrobić na trzeźwo.

Mała kuchnia mieściła się tuż przy salonie i przylegała do jeszcze mniejszej sypialni. Łazienka była tak wąska, że drzwi ocierały się o sedes. Andrea miała trzy okna. To nad zlewem w kuchni było długie, wąskie i oferowało doskonały widok na obuwie przechodniów idących chodnikiem po drugiej stronie okna.

Andrea pokochała to miejsce.

Zaczęła szukać kieliszków do wina, ale szybko zrezygnowała. Nie zdążyła rozpakować rzeczy, zanim rodzice zjawili się z pomocą, głównie dlatego, że spodziewała się pomocy z ich strony. Znalazła dwie szklanki, słoik po dżemie i kubek do kawy w kartonie z napisem RÓŻNOŚCI.

Odkręciła kran w kuchni, strzyknęła płynem do mycia naczyń, wzięła gąbkę. Talerze z ubiegłego wieczora były powalane sosem... i jej nieproszona pamięć podsunęła żywy obraz, jak Nardo Fontaine odrywa dłoń od szyi i krew obryzguje Star, która nawet nie krzyczy, nawet nie wyciera krwi z twarzy, tylko siedzi na



stołku, trzyma złęczone dłonie na kontuarze i patrzy tępo przed siebie na ścianę w białych płytkach, jakby czekała, aż ktoś jej powie, co robić.

Andrea zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Tak jej się zdarzało. Trauma powracała. Przebłyski przemocy, przebłyski bólu. Zamiast z tym walczyć, zamiast zmienić swoje życie z tego powodu, nauczyła się to akceptować. Te wspomnienia stały się istotnym fragmentem jej tożsamości, jak wspomnienie triumfu, gdy wymogła na Ricky Fontaine pełne przyznanie się do winy.

Wsluchwała się w dźwięki dobiegające z drugiego pokoju. Jej wyjście obniżyło temperaturę. Słyszała, jak Laura poucza Mike'a, a Gordon śmieje się z nich. Wyjęła iPhone'a z tylnej kieszeni. Na jej koncie w chmurze znalazły się kopie zdjęć kolażu nastoletniej Judith, które zrobiła ukradkiem w jej pracowni. Oryginał spłonął w pożarze. Andrea dysponowała jedynym dowodem, że kiedykolwiek istniał.

Przewinęła zapiski z kasety-składanki autorstwa Melody Brickel. Afirmacje, co odkryła później, pochodziły z jednego z listów Melody. Zdjęcia USG z życia płodowego Judith ułożone w wachlarz w samym środku kolażu. Fotografie Emily roześmianej, rozbawionej, zajętej wszystkim prócz umierania.

Andrea na siłę szukała u Judith podobieństwa do Claya, ale ona bardzo przypominała matkę. Jasnoniebieskie oczy Emily w niczym nie przypominały lodowatych oczu Claya, a jej wydatne kości policzkowe i drobny dołeczek w brodzie mogły pochodzić od jakiegoś odległego przodka Vaughnów lub Fontaine'ów. Na takiej samej zasadzie ona wylosowała w puli genowej swojej rodziny zadarty nos.

Przewijała zdjęcia, aż trafiła na grupową fotografię, którą Judith umieściła w kolażu pośród zdjęć nieupozowanych. To samo zdjęcie, które przez czterdzieści lat stało u Ricky na honorowym miejscu.

Klika.

Emily i Ricky ubrane podobnie. Oczy podkreślone wyrazistą konturówką, mocno kręcona trwała, innymi słowy, kwintesencja lat osiemdziesiątych. Chłopcy

mieli wystrzępione fryzury i kurtki marki Members Only z podwiniętymi rękawami. Ricky bardziej przypominała Narda niż swojego brata bliźniaka, a Blake i Clay mogli uchodzić za braci. Razem grupa wyglądała, jakby pozowała do prequela Klubu winowajców, tyle że nie było wśród nich zapaśnika ani królowej piękności. Andrea widziała tylko nerda i świra, a prócz jednej osoby wszyscy byli kryminalistami.

Donośny śmiech Gordona przerwał jej rozmyślenia. Wychwyciła też żartobliwy ton w głosie Laury, gdy odpowiadała Gordonowi. Tym razem Mike z niczym nie wyskoczył.

Schowała telefon do kieszeni, wsadziła ręce do wody z płynem i zaczęła zmywać naczynia. Zacisnęła palce na gładkiej krawędzi talerza, jej umysł znowu zaprowadził ją do bistra.

Śledztwo przeprowadzone przez policję stanową Delaware wykazało, że użycie broni przez Jacka Stiltona i zastrzelenie Bernarda Fontaine'a było uzasadnione. Andrea nie mogła nie zgodzić się z tymi ustaleniami, chociaż nie dawała jej spokoju myśl, czy Stilton i tak nie szukałby okazji, żeby zabić Narda. Był gotów oddać drugi strzał, powstrzymała go tylko obecność agentki Oliver. Rozumiała jego nienawiść do Narda. Dupek dręczył Stiltona latami, według jego słów nawet pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Wtedy zagroził, że jeśli nie anuluje mu zarzutów za jazdę po pijanemu, to on rozgłosi, że Stilton jest gejem. Andrea nie potrafiła sobie wyobrazić, jak trudne życie miał Jack Stilton. Wstrząśnięty zabójstwem najlepszej przyjaciółki z ogólniaka, zdolowany niemożnością postawienia jej zabójcy przed sądem... Wiedział, że Nardo jest kluczem do rozwiązania tej sprawy, jednak za bardzo się go bał, żeby stawić mu czoło. Andrea wiedziała, że Stilton jest alkoholikiem i mizoginem, ale prócz tego był jedynym prawdziwym przyjacielem Emily Vaughn.

– Hej. – Mike objął ją w pasie i pocałował w kark. – Wszystko dobrze?

– Mhm. – Gula w gardle powiedziała jej, żeby nie okłamywać Mike'a. – Myślałam o Star.

Mike znowu musnął wargami jej kark. Jego trzy apodyktyczne siostry nauczyły go, że nie każdy problem da się rozwiązać.

– Przykro mi.

Laura chrząknęła znacząco, trzymając w dłoniach trzy kieliszki do wina.

– Zalazłam je w pudle z napisem ŁAZIENKA.

Andrea wzruszyła ramionami.

– Po co brać kąpiel, skoro nie masz zamiaru pić?

Laura zmarszczyła brwi, gdy Mike wyjął z jej rąk kieliszki.

– Czytałam nekrolog sędzi w „Timesie”. Nic dziwnego, że Reagan ją nominował. Cholerna hipokryzja.

– Przestępcy, którzy żyją w szklanych domach... – zaczął Mike.

– To co innego – przerwała mu Laura. – Nie pniesz się w górę po szczeblach kariery i władzy bez uszczerbku na duszy. Patrz na mojego odrażającego brata.

Andrea była wdzięczna losowi, usłyszawszy sygnał telefonu. Identyfikator dzwoniącego pokazał BIBLE, LEONARD. Zdziwiła się, ponieważ zwykle wyświetlał się napis USMS BIBLE.

– Wiem, że nie umiecie udawać miłych, ale grajcie chociaż fair – rzuciła do Mike’a i Laury i wyślizgnęła się z mieszkania, nie dając matce okazji do riposty. Poszła w stronę schodów i odebrała telefon. – Co, wymyśliłeś jakiś ptasi dowcip?

W słuchawce zapadła długa cisza. Andrea usłyszała okrzyki i przekleństwa, czyli tło dźwiękowe charakterystyczne dla więzienia federalnego.

– Witaj, Andreo – powiedział Clayton Morrow, a ona odruchowo zasłoniła dłonią usta. – Słyszałem, że odwiedziłaś rodzinne miasto.

Oderwała dłoń od ust i nabrała powietrza. Nie krzyknęła, nie spanikowała, tylko w myślach wypunktowała fakty. Jej ojciec siedział w więzieniu, gdzie nietrudno przemycić telefon do celi. A Clay podszył się pod numer Bible’a, żeby odebrała.

Czegoś od niej chciał.

– Andy, słyszałem wieści o Ricky i Nardzie. Co za toksyczny związek. Jedno drugiego warte.

Wzięła kolejny głęboki oddech. Może Dean Wexler był nędzną kopią Claya Morrowa, ale szyderczy ton Claya przypomniał jej Bernarda Fontaine’a.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

Andrea wstała. Nie mogła ryzykować, że matka wyjdzie na korytarz, dlatego wspięła się po stromych schodach, otworzyła drzwi i wyszła na ulicę wprost w objęcia ulicznego ruchu.auta, klaksony, tłum pieszych na chodnikach. Oparła się plecami o ścianę budynku. Jeśli Mike nadal stał przy zlewie, mógł zobaczyć jej stopy przez wąskie okno.

– Czego chcesz? – spytała.

– Ach, ten piękny głos. Chciałbym, żebyś mnie odwiedziła, córko. Podałem cię na moją zatwierdzoną listę.

Zaczęła potrząsać głową. Żadne odwiedziny nie wchodziły w rachubę.

– Twój wuj Jasper... Wiem, że z nim pracowałaś.

– Nie pracowałam z Jasperem. Próbowалаm tylko zadbać, żebyś nigdy nie wyszedł z więzienia.

– Niestety, jestem niewinny – powiedział Clay. – Chociaż popraw mnie, jeśli się mylę, ale to brzmi, jakbyś żałowała, że to nie ja ją zabiłem.

Zacisnęła palce na telefonie. Jego przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego miało się odbyć za pięć miesięcy. Była pewna, że Jasper czyni zakulisowe, pokątne starania, żeby wniosek o zwolnienie warunkowe został odrzucony. Sama przysięgła sobie, że nie pozwoli, by jej życie nagle stanęło w miejscu z powodu psychopatycznego ojca. Wprawdzie swojej części misji – zatrzymania go w więzieniu aż do śmierci – nie wykonała, i tak nie pozwoli, żeby Clayton Morrow wpędził ją w poczucie klęski.

– Nieważne – ciągnął Clay. – Mam trochę fascynujących historii o niepohamowanym apetycie drogiego Jaspera, które mogą cię zainteresować.

– Niby jakich? – spytała. – Uczestniczył w każdym twoim przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego. Nie pomyślałeś, żeby wcześniej użyć tej wiedzy przeciwko niemu i zamknąć mu usta?

– Ciekawostka, co? Czemu miałbym ukrywać coś, co mogłoby go zniszczyć? – Clay zachichotał w nagłej ciszy. – Przyjedź z wizytą, córko. Obiecuję, że się nie rozczarujesz.

Andrea otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wydobyla z siebie głosu. W ustach czuła lodowate powietrze. Pomyślała o płynącym w niej tlenie krążącym w jej krwiobiegu i niosącym życie ciało.

Clayton Morrow nie zadzwonił dlatego, że chciał wylać na Jaspiera kubek pomyj. Dzwonił, żeby przyciągnąć Andreę z powrotem na swoją orbitę. Nie mogła pozwolić, żeby jej świat zatrzymał się dla niego. Był psychopata, jego tlenem była uwaga, potrzebował Andrei, żeby podsycać swój ogień.

– An-dree-ah – zanucił. – Myślę, że powinnaś...

Zakończyła rozmowę.

Włożyła telefon do tylnej kieszeni i spojrzała na ulicę. Obok przejechał rower, ludzie śpieszyli na zakupy, dzieci rozmawiały o pracy domowej, milenialsi popijali latte, dog niemiecki na długiej smyczy przekłusował przed nią jak kucyk pokazowy.

Gdy oderwała się od ściany i weszła do budynku, na schodach usłyszała niskie tony głosu Mike'a, serdeczność śmiechu Laury, ciągłe odchrząkiwanie Gordona.

W zeszłym miesiącu matka zarzuciła jej, że podchodzi do każdego wyzwania w życiu jakby to był klif, z którego musi się rzucić całkowicie poza kontrolą, zdając się na grawitację.

Teraz jej życie przypominało raczej trampolinę.

W końcu nauczyła się skoków.

Już wiedziała, jak upadać.

## PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności pragnę podziękować Kate Elton i Victorii Sanders za trwanie przy mnie bez względu na wszystko. A ponieważ ostatnio sporo było tego „wszystkiego”, przepraszam i wyrażam wdzięczność. Szczególne podziękowania kieruję do Diane Dickensheid za to, że żagle są właściwie ustawione przez cały czas; do Emily Krump za zdumiewający spokój; i do Bernadette Baker-Baughman, mojej współsiostry, za dbałość o moje zdrowie psychiczne. A przynajmniej o punktualność.

Dziękuję Liate Stehlik, Jen Hart, Heidi Richter-Ginger, Kaitlin Harri, Mirandzie Mettes, Kathryn Cheshire, Elizabeth Dawson, Sarah Shea, Izzy Coburn, Chantal Restivo-Alessi, Juliannie Wojcik z wydawnictwa HarperCollins. Dziękuję Hilary Zaitz-Michael i Sylvie Rabineau z WME. Dziękuję niezwyklej Brunie Papandrei, Steve’owi Hutensky’emu, Janice Williams i Casey Haver z Made Up Stories. Dziękuję także Charlotte Stoudt, Lesli Linka Glatter i Minkie Spiro za wyjątkowy profesjonalizm i prawdziwą dobroć. Eric Rayman i Jeff Frankel okazali się pomocni jak zwykle. I oczywiście nie mogę zapomnieć o cudownej ekipie z Netflixa.

Proszę, by moje podziękowania przyjęli: Keith Booker, Marc Cameron, Brooke Davis, Van Grady, Chaz Johnson, Kevin R. Kamrowski, David Oney oraz J.B. Stevens z United States Marshal Service za odpowiedzi na wszystkie moje drobiazgowo pytania. Wszelkie błędy czy nieścisłości są wyłącznie moją winą. Oni dali z siebie wszystko.

Alafair Burke, Patricia Friedman, Charles Hodges i Greg Guthrie pomogli mi rozjaśnić zawilości tematyki prawnej. Sara Blaedel potwierdziła finezję przeciętnego duńskiego jeża. David Harper odpowiedział na pytania medyczne

i już się wyrywa do pomocy przy kolejnej części cyklu z Sarą i Willem (to dla tych, których ciekawi, co będzie następne). Kristian Bush i Melanie Hammet wyjaśnili mi zmiany metrum oraz inne muzyczne osobliwości, żebym się nie ośmieszyła. (Tak nadal może się stać; mówię tylko, że próbowali). Carly Place służyła faktami o stanie Delaware, choć miasteczko Longbill Beach jest fikcyjne.

Na koniec, jak zawsze, dziękuję mojemu tacie za obecność przy mnie. Oraz D.A. za to, że wytrzymuje ze mną. Jesteś moim sercem. Jesteś moim domem.



Fot. Alison Rosa

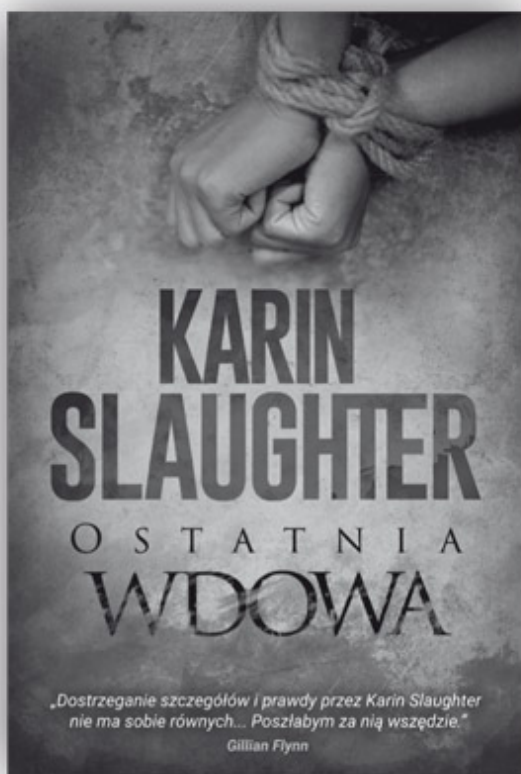
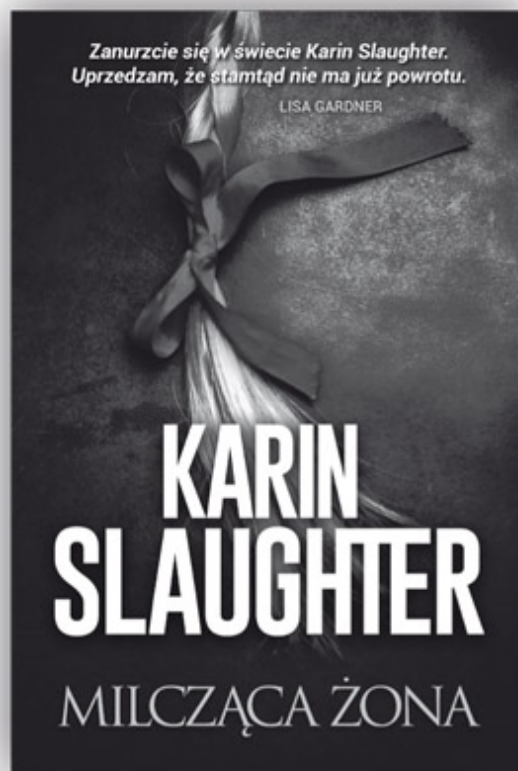
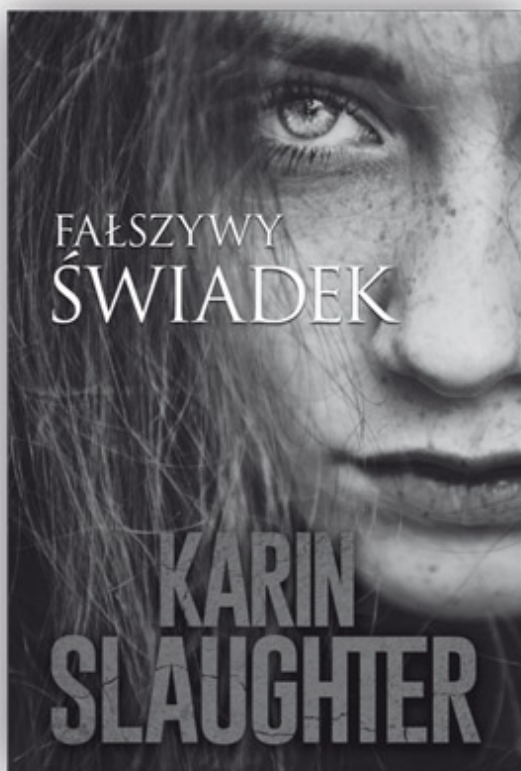
KARIN SLAUGHTER jest jedną z najpoczytniejszych i uznanych autorek kryminałów i thrillerów. Jej książki, opublikowane dotąd w stu dwudziestu krajach, osiągnęły w sumie nakład ponad trzydziestu pięciu milionów egzemplarzy. Karin Slaughter ma na koncie dwadzieścia tytułów, wśród nich jest cykl, którego akcja rozgrywa się w Grant County, seria z detektywem Willem Trentem, Miasto glin nominowane do nagrody im. Edgara Allana Poe, a także powieści z listy bestsellerów „Sunday Timesa”: *Moje śliczne*, *Dobra córka*, *Układanka* i *Ostatnia wdowa*. Jest pomysłodawczynią i założycielką Save the Libraries, organizacji non profit, której celem jest wspieranie bibliotek oraz ich cyfryzacja. Urodzona w Georgii, Karin Slaughter mieszka w Atlancie. Obecnie Netflix pracuje nad



ekranizacją Układanki, trwają także prace nad realizacją cyklu o Grant County i serii z detektywem Willem Trentem na potrzeby telewizji.

[www.KarinSlaughter.com](http://www.KarinSlaughter.com)

**POLECAMY RÓWNIEŻ INNE KSIĄŻKI KARIN SLAUGHTER:**



# SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

17 KWIETNIA 1982

CZASY OBECNE

1

2

17 PAŹDZIERNIKA 1981

3

19 PAŹDZIERNIKA 1981

4

20 PAŹDZIERNIKA 1981

5

20 PAŹDZIERNIKA 1981

6

21 PAŹDZIERNIKA 1981

7

21 PAŹDZIERNIKA 1981

8

26 LISTOPADA 1981

9

26 LISTOPADA 1981

10

11

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Girl, Forgotten*

Pierwsze wydanie: HarperCollinsPublishers 2022

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Projekt okładki oryginalnej: Grace Han

Ilustracja na okładce: © Getty Images

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

Copyright © Karin Slaughter 2022

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

ISBN 978-83-276-8835-4

HarperCollins Polska sp. z o.o.

ul. Domaniewska 34a  
02-672 Warszawa  
[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / [Woblink](#)